

Deighton Len

Set w Meksyku

Przełożyła: TERESA SOŚNICKA

ROZDZIAŁ I

Niektórzy szukają śmierci - powiedział Dicky Cruyer naciskając pedał hamulca, by uniknąć przejechania chłopca z gazetami. Dzieciak uśmiechał się szeroko prześlizgując między wolno posuwającymi się samochodami i wymachiwał gazetami z żywiołowością zamiłowanego tancerza. SZEŚCIU PRZED PLUTONEM EGZEKUCYJNYM, błyszcząły wielkie, czarne nagłówki. HURAGAN ZAGRAŻA VERACRUZ. Zamazane zdjęcie walk ulicznych w San Salvador zajmowało całą pierwszą stronę dziennika.

Było późne popołudnie. Ulice opromieniał osobliwie jasny, nie pozostawiający cienia blask, który poprzedza burzę. Pojazdy rojące się na wszystkich sześciu pasach Insurgentes zatrzymały się i jeszcze więcej chłopców z gazetami wkroczyło na jezdnię, razem z kobietą sprzedającą kwiaty i dzieciakiem z biletami na loterię zwisającymi z rolki jak papier toaletowy.

Wybierając drogę między samochodami zbliżał się przystojny mężczyzna w starych dzinsach i kraciastej koszuli. Towarzyszyło mu małe dziecko. Mężczyzna trzymał w ręce butelkę coca-coli. Pociągnął z niej i przechylił do tyłu głowę patrząc prosto w niebo. Stał wyprostowany i nieruchomy jak posąg z brązu nim podpałił oddech, który wielką kulą ognia buchnął z jego ust.

- Do diabła - powiedział Dicky. - To niebezpieczne.

- Zarabia na życie - odparłem. Widywałem już przedtem połykaczy ognia. Zawsze znalazł się jakiś występujący w dużym korku ulicznym. Włączyłem radio, lecz naelektryzowane powietrze zakłócało muzykę dźwiękami wyładowań atmosferycznych. W mieście było bardzo upalnie w tym roku. Otworzyłem okno, lecz nagły zaduchspalin zmusił mnie, abym je zamknął z powrotem. Przyłożyłem rękę do wylotu klimatyzacyjnego, ale powietrze było gorące.

Połykacz ognia ponownie dmuchnął wielkim, pomarańczowym płomieniem.

- Dla nas - wyjaśnił Dicky. - Niebezpieczne dla ludzi w samochodach. Takie płomienie w połączeniu ze spalinami... czy możesz to sobie wyobrazić? - Zagrzało. - Żeby w końcu spadł deszcz - westchnął. Spojrzałem na niebo, niskie czarne chmury były

obramowane złotem. Ogromne słońce zabarwione jaskrawą czerwienią przez zawsze wiszący nad miastem smog wciskało się między szklane budowle skąpane w jego blasku.

- Kto nam załatwił ten samochód? - zapytałem. Motocykl, którego przyczepa załadowana była stosem skrzynek z piwem, niebezpiecznie kluczył pomiędzy samochodami omal nie przejeżdżając kwiaciarki.

- Jeden z pracowników ambasady - odpowiedział Dicky. Zwolnił hamulec i duży niebieski chevrolet potoczył się kilka metrów do przodu, by znów ugrzęznąć w korku. W każdym mieście na północ od granicy ten fabrycznie nowy samochód nie zwróciłby niczyjej uwagi. Mexico City jest jednak miejscem, do którego przyjeżdżają stare samochody, aby dokonać żywota. Te, które nas otaczały, były w większości powgniatane, zardzewiałe albo prymitywnie przemalowane na jaskrawe kolory. - Pożyczył go nam mój przyjaciel.

- Mogłem się tego domyślić - odparłem.

- Termin był krótki. Dopiero przedwczoraj dowiedzieli się, że przyjeżdżamy. Henry Tiptree, który oczekiwał nas na lotnisku, udostępnił go nam. Znam go z Oxfordu.

- Byłoby lepiej, gdybyś nie poznał go w Oxfordzie; moglibyśmy wynająć samochód u Hertza - z działającą klimatyzacją.

- Co więc mamy zrobić... - powiedział zirytowany Dicky - oddać mu go z powrotem i powiedzieć, że nie jest dostatecznie dla nas dobry?

Patrzeliśmy, jak połykacz ognia wydmuchuje kolejny balon płomieni, podczas gdy mały chłopiec pospiesznie przechodzi od samochodu do samochodu zbierając tu i tam peso za występ swojego ojca.

Dicky wydobyl kilka amerykańskich monet z kieszeni drelichowej marynarki i dał je dziecku. To właśnie spłowiałe robocze ubranie Dicky'ego, jego kowbojskie buty i kręcone włosy przyciągnęły uwagę groźnie wyglądającej przedstawicielki urzędu imigracyjnego na lotnisku w Mexico City. Jedynie nalepki najlepszych hoteli na drogich walizkach i szybka reakcja radcy z ambasady, przyjaciela Dicky'ego, uratowały go przed poniżeniem kontroli osobistej.

Dicky Cruyer stanowił ciekawe połączenie erudycji z bezwzględną ambicją, lecz był niewrażliwy i to go często gubiło. Brak wyczucia ludzi miejsc i atmosfery powodował, że czasem zachowywał się jak błazen, a nie jak człowiek światowy, za jakiego się uważał. Ale nie był przez to mniej groźny ani jako przyjaciel, ani jako wróg.

I Kwiaciarka nachyliła się, zastukała w szybę samochodu i pomachała Dicky'emu.

Krzyknął: - *Vamos!* - Nie można prawie było dostrzec jej twarzy spoza naręcza kwiatów. Były tam kwiaty wszystkich możliwych kolorów, kształtów i rozmiarów. Kwiaty do ślubu, kwiaty dla pań domu, kwiaty dla kochanek i kwiaty dla podejrzliwych żon.

Ruch został wznowiony. Dicky krzyknął: - *Vamos!* - tym razem o wiele głośniej.

Kobieta spostrzegła, że sięgam do kieszeni po pieniądze i oddzieliła tuzin różowych róż o długich łodygach od mniej kosztownych nagietek i astrów. - Może wypadaloby dać jakieś kwiaty żonie Wenera? - zapytałem.

Dicky zignorował moją propozycję. - Zejdz z drogi! - krzyknął do starej kobiety i samochód gwałtownie ruszył do przodu. Staruszka w porę odskoczyła.

- Spokojnie, Dicky, o mało jej nie potraciłeś.

- *Vamos!* Powiedziałem jej *vamos*. Nie powinno ich być na jezdni. Czy wszyscy poszaleli? Doskonale mnie słyszała.

- *Vamos* znaczy „dobrze, chodźmy” - powiedziałem. - Pomyślała, że chcesz coś kupić.

- W Meksyku to znaczy również „zjeżdżaj” - powiedział Dicky, blisko podjeżdżając do białego autobusu marki VW znajdującego się przed nami. Pełno w nim było ludzi i skrzynek z pomidorami, a powgniatana karoseria doszczętnie była oblepiona błotem, tak jak bywają samochody, gdy zapuszczą się na wiejskie drogi deszczową porą roku. Rura wydechowa była dopiero co przywiązana drutem, a tylna przykrywa usunięta dla lepszego chłodzenia silnika. Z powodu głośnej pracy wentylatora Dicky musiał podnieść głos, aby można go było usłyszeć. - *Vamos: zjeżdżaj*. Tak mówią na kowbojskich filmach.

- Może ona nie chodzi na kowbojskie filmy - powiedziałem.

- Popatrz na plan miasta.

- To nie jest plan, tylko ogólna mapa. Są na niej zaznaczone tylko główne ulice.- Znajdziemy ją. Jest przyległa do Insurgentes.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak rozległy jest Mexico City? Insurgentes ma około 50 kilometrów długości - powiedziałem.

- Szukaj po swojej stronie, a ja będę patrzył po mojej. Volkmann powiedział, że to w centrum miasta. - Prychnął pogardliwie. - Nazywają je Mexico. Nikt tutaj nie powie Mexico City. Nazywają miasto Mexico.

Nie odpowiedziałem. Odłożyłem małą, kolorową mapkę i wyjrzałem na zatłoczone ulice. Nie miałem nic przeciwko temu, aby być wozonym wokół miasta przez godzinę lub dwie, jeśli Dicky'emu na tym zależało.

Dicky odezwał się: - „Gdzieś w centrum miasta” może oznaczać Paseo de la Reforma, w pobliżu kolumny ze złotym aniołem. W każdym razie kojarzy się to z centrum każdemu

turyście przybywającemu tutaj po raz pierwszy. A Werner i jego żona są tutaj po raz pierwszy. Prawda?

- Werner powiedział, że to będzie ich drugi miesiąc miodowy.

- Myślę, że z Zeną jeden miesiąc miodowy wystarczyłby - stwierdził Dicky.

- Byłby zbyt długi - odpowiedziałem.

- Zabiję tego twojego cholernego Wenera, jeśli ciągnął nas tu z Londynu na darmo.

- Wyrwaliśmy się z biura - powiedziałem. Zauważyłem, że Werner stał się „moim” Wenerem i tak pozostanie, jeśli sprawy przyjmą zły obrót.

- To ty wyrwałeś się - powiedział Dicky. - Nie masz nic do stracenia. Biurko będzie czekało na ciebie, gdy wrócisz. Na moją posadę czyha co najmniej tuzin osób. Stworzy to Bretowi znakomitą sposobność, jeśli będzie chciał przejąć moją robotę. Zdajesz sobie sprawę, prawda?

- Dlaczego Bret miałby przejmować twoją robotę, Dicky? Zajmuje przecież wyższe od ciebie stanowisko?

Samochody poruszały się z prędkością ośmiu kilometrów na godzinę. Mały umorusany dzieciak przyglądał się z wielkim zainteresowaniem Dicky’emu zza tylnej szyby autobusu. Natrętnie spojrzenie wyraźnie wprawiało Dicky’ego w zakłopotanie. Odwrócił się, aby spojrzeć na mnie.

- Bret szuka pracy, która by mu odpowiadała, a moja praca odpowiadałaby jemu. Nie będzie miał nic do roboty, teraz, kiedy jego komisja ma ulec likwidacji. Toczy się już spór o to, kto ma przejąć jego biuro. I o to, kto ma przejąć wysoką, jasnowłosą maszynistkę, która nosi białe swetry.

- Glorię? - spytałem.

- O! Nie powiesz mi, że ją znasz?

- My, ludzie pracy, musimy trzymać się razem, Dicky - odpowiedziałem.

- Bardzo zabawne - rzekł Dicky. - Jeśli Bret przejmie moją działkę, zaorze cię na śmierć. Praca dla mnie kojarzyć ci się będzie z wakacjami. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę, drogi przyjacielu.

Nie wiedziałem, że olśniewająca kariera Breta przyjęła kierunek zwrotny i doszła do punktu, w którym Dicky wpadł w panikę. Byłem skłonny mu uwierzyć, ponieważ Dicky był ekspertem w dziedzinie polityki personalnej.

- Jesteśmy w Zona Rosa - powiedziałem. - Może zaparkujemy samochód przed jednym z hoteli i weźmiemy taksówkę?

Dicky'emu wyraźnie ulżyło na myśl o zleceniu taksówkarzowi odnalezienia mieszkania Wenera Volkmana, nie byłby jednak Dickim, gdyby przez kilka minut nie kwestionował tego pomysłu. Gdy zjechał na prawy pas, brudny dzieciak w autobusie uśmiechnął się, a potem wykrzywił do nas.

- Czy robisz miny do tego dziecka? Na miłość boską, Bernardzie, zachowuj się stosownie do twego wieku - powiedział Dicky. Był w złym humorze, a rozmowa na temat pracy uczyniła go jeszcze bardziej drażliwym.

Skręcił z Insurgentes w boczną ulicę i jechał w kierunku wschodnim, aż znaleźliśmy parking pod jednym z dużych hoteli. Gdy zjeżdżaliśmy stromym zjazdem w ciemność, włączył światła. Był to inny świat. Świat, w którym samochody firmy Mercedes, Cadillac i Porsche żyją w komforcie, błyszczą zdrowiem, pachną nową skórą i są strzeżone przez dwóch uzbrojonych ludzi ze służby bezpieczeństwa. Jeden z nich włożył kwit za wycieraczkę i uniósł szlaban, abyśmy mogli przejechać.

- A więc twój szkolny kumpel Werner rozpoznał w mieście grubą rybę z KGB. Nie rozumiem, dlaczego szef Wydziału Europejskiego nalegał, żebym przyjechał tutaj o tej parszywej porze roku? - Dicky okrążał wolno ciemny garaż szukając miejsca, aby zaparkować.

- Werner nie rozpoznał Ericha Stinnesa - powiedziałem. - Rozpoznała go żona Wenera. Z jego powodu ogłoszono stan pogotowia w naszym Departamencie. Tutaj jest miejsce.

- Za ciasno, to duży samochód. Stan pogotowia? Nie musisz mi tego mówić, chłopie. Zarządzenie w tej sprawie sam podpisywałem, nie pamiętasz? Szef Niemieckiej Sekcji? Tylko że ja nigdy nie widziałem Ericha Stinnesa. Nie rozpoznałbym Ericha Stinnesa, nawet gdyby pochodził z Księżycy. Ty jesteś jedynym, który może go zidentyfikować. Dlaczego ja musiałem przyjeżdżać?

- Jesteś tutaj, aby decydować co robić. Nie mam odpowiedniej rangi ani nie jestem dostatecznie godny zaufania, aby podejmować decyzje. Co byś powiedział o miejscu tam, obok białego mercedesa?

- Aha - przytaknął Dicky. Miał kłopot z zaparkowaniem samochodu na obszarze wytyczonym przez białe linie. Jeden ze strażników, rosły mężczyzna o kamiennej twarzy w sztywnym mundurze i wypolerowanych wysokich butach, podszedł, aby nas obserwować. Stał gapiąc się, podparty pod boki, podczas gdy Dicky ruszał do przodu i cofał próbując wcisnąć się między białą limuzynę i słup betonowy, na którym widniały różnokolorowe ślady lakierów samochodowych.

- Czy naprawdę powiodło ci się z tą blondynką pracującą u Breta? - spytał mnie Dicky, gdy rezygnując z pierwotnego zamierzenia wjechał na wstecznym biegu na inne miejsce, oznakowane jako „Zarezerwowane”.

- Z Glorią? Myślałem, że każdy wie o mnie i o Glorii - odpowiedziałem. W rzeczywistości nie znałem jej lepiej niż Dicky, nie zdołałem jednak oprzeć się pokusie podrażnienia go. - Żona opuściła mnie. Jestem znów wolnym człowiekiem.

- Twoja żona uciekła - powiedział Dicky złośliwie. - Twoja żona pracuje dla tych cholernych Ruskich.

- To sprawa już zakończona - odparłem. Nie miałem zamiaru rozmawiać ani o mojej żonie i dzieciach, ani o żadnym innym problemie. Gdybym chciał porozmawiać, Dicky byłby ostatnią osobą, którą wybrałbym na powiernika.

- Ty i Fiona byliście bardzo blisko - rzucił Dicky oskarżające

- To nie zbrodnia być zakochanym we własnej żonie - odpowiedziałem.

- Temat tabu, co? - Dickiemu sprawiało przyjemność dotykanie newralgicznego miejsca i obserwowanie reakcji. Powinienem być mądrzejszy i nie odpowiadać na jego zaczepki. Byłem winny przez związek. Raz jeszcze stałem się kandydatem przyjętym na próbę i miałem pozostać nim dopóki znów nie udowodnię wszystkim mojej lojalności. Nic nie zostało przeciwko mnie powiedziane oficjalnie, jednak drobny wybuch złości Dicky'ego nie był pierwszą oznaką tego, co Departament rzeczywiście czuje.

- Nie wybrałem się w tę podróż, aby dyskutować o Fionie - powiedziałem.

- Nie wszczynaj sprzeczki - rzekł Dicky. - Chodźmy porozmawiać z twoim przyjacielem Wernerem i skończmy z tym. Nie mogę się doczekać, ażeby się wydostać z tej plugawej, piekielnej dziury. Styczeń i luty: to jest okres, w którym rozsądni ludzie jadą do Meksyku. A nie w środku pory deszczowej. - Dicky otworzył drzwi samochodu, a ja prześlizgnąłem się przez siedzenie, aby wysiąść na jego stronę. - *Prohibido aparcar* - powiedział strażnik.

- Słucham? - zapytał Dicky, a mężczyzna powtórzył to jeszcze raz.

Dicky uśmiechnął się i wytłumaczył łamanym hiszpańskim, że jesteśmy gośćmi tego hotelu oraz że pozostawimy samochód jedynie na pół godziny, gdyż mamy bardzo ważne spotkanie w interesach.

- *Prohibido aparcar* - beznamiętnie rzekł strażnik.

- Daj mu trochę pieniędzy, Dicky - powiedziałem. - Tylko o to mu chodzi.

Strażnik bezpieczeństwa przeniósł spojrzenie z Dicky'ego na mnie i kciukiem wygładził sumiaste czarne wąsy. Był potężnym mężczyzną, równie wysokim jak Dicky, lecz dwukrotnie szerszym.

- Nie zamierzam mu niczego dawać - rzekł Dicky. - Nie będę mu dwa razy płacił.

- Pozwól mi to zrobić - poprosiłem. - Mam przy sobie trochę drobnych.

- Ani mi się waż - powiedział Dicky. - Musisz nauczyć się, jak należy postępować z tymi ludźmi. - Obrzucił spojrzeniem strażnika. - *Nada! Nada! Nada! Entiendo?*

Strażnik popatrzył na naszego chevroleta, podniósł wycieraczkę i z łoskotem spuścił ją z powrotem na szybę. - Zniszczy nam samochód - powiedziałem. - Nie czas wdawać się w rozróbę, której nie wygrasz.

- Nie boję się go - odparł Dicky.

- Wiem, że się nie boisz, ale ja tak. - Wepchnąłem się przed niego, zanim zdążył zamachnąć się na strażnika. Pod czarującą powierzchownością Dicky'ego kryła się znaczna doza zawziętości, a nawet brutalności; był zapalonym członkiem klubu judo przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Dicky nie bał się niczego i właśnie dlatego nie lubiłem z nim pracować. Wsunąłem kilka banknotów w wyczekującą rękę strażnika i popchnąłem Dicky'ego w kierunku napisu: WINDA DO HALLU HOTELOWEGO. Strażnik, z twarzą nadal pozbawioną jakichkolwiek uczuć, patrzył w ślad za nami. Dicky wcale nie był zadowolony. Myślał, że próbowałem obronić go przed strażnikiem i przez moją interwencję poczuł się poniżony. Hall hotelowy był tą samą wszechobecną kombinacją przyciemnianych luster, plastikowych marmurów i podłoga gąbczastych dywanów, którą międzynarodowi podróżni uważają za godną podziwu. Usiedliśmy pod ogromną ekspozycją sztucznych kwiatów i przyglądaliśmy się fontannie.

- *Machismo* - odezwał się ponuro Dicky. Czekaliśmy, aż portier w cylindrze znajdzie nam taksówkarza, który zawiózłby nas do mieszkania Wenera.

- *Machismo* - powtórzył w zamyśleniu. - Każdy z nich ma obsesję na tym punkcie. To dlatego nie można na nic się tutaj doczekać. Mam zamiar złożyć zażalenie dyrektorowi na tego drania na dole.

- Zaczekaj z tym, dopóki nie będziemy mieli samochodu - poradziłem.

- W każdym razie ambasada wysłała radcę, aby nas powitał. Oznacza to, że Londyn kazał udzielić nam pełnego dyplomatycznego poparcia.

- Równie dobrze może to oznaczać, że personel ambasady w Mexico City, wliczając w to twojego kumpla Tiptree, ma zbyt dużo wolnego czasu. - Dicky oderwał się od liczenia czeków podróży.

- Co mam zrobić, abyś zapamiętał, że to jest Mexico. Nie Mexico City. Mexico!

ROZDZIAŁ II

I o był nowy Werner Volkmann. W niczym nie przypominał zamkniętego w sobie żydowskiego sieroty, z którym chodziłem do szkoły, ani ponurego nastolatka, z którym dorastałem w Berlinie. Nie był to też już zamożny, otyły bankier, swobodnie działający po obu stronach muru. Nowy Werner był postawny i dobrze zbudowany, w bawełnianej podkoszulce z krótkimi rękawami i dopasowanych spodniach z madrasu. Duże, zwisające wąsy były przyszczyżone, jak również czarne, gęste włosy. Urlop z dwudziestodwuletnią żoną odmłodził go.

Stał na balkonie szóstego piętra małego bloku z luksusowymi apartamentami w śródmieściu Mexico City. Roztaczał się stąd widok na rozległe miasto na tle ciemnej zasłony gór. Zachodzące słońce znów zaróżowiło świat, teraz, gdy przeszły burzowe chmury.

Długie, postrzępione paski pomarańczowych i złotych obłoków rozciągały się w poprzek nieba, niczym plakat reklamujący zaczerwienione smogiem słońce, poszarpany przez przechodzącego wandalę.

Balkon był na tyle duży, że mieścił zarówno drogie, białe ogrodowe meble, jak i wielkie donice z egzotycznymi kwiatami. Zielone, bogato pokryte liśćmi rośliny pięły się nad głowami dając cień, a na półkach, niczym książki, ustawione były zbiory kaktusów. Werner nalał ze szklanego dzbanka różowy napój. Przypominał wodnistą sałatkę owocową, coś, co wmuszają w ludzi na przyjęciach, na których nikt nie jest w stanie się upić. Nie wyglądał zachęcająco, ponieważ jednak było mi gorąco, przyjąłem szklankę z wdzięcznością.

Dicky Cruyer gorzał, a na kowbojskiej koszuli widniały ciemne plamy potu. Miał zarzuconą na ramię błękitną, drelichową marynarkę. Rzucił ją na krzesło i sięgnął po napój od Wernera. Żona Wernera, Zena, ponownie nadstawiła szklankę. Wyciągnęła się na rozkładanym krześle. Miała na sobie przewiewną, w tęczowe paski sukienkę, przez którą ciemno prześwitywało opalone ciało. Gdy dźwignęła się, aby się napić, niemieckie żurnale zsunęły się jej z brzucha i otwarte rozsypały po podłodze. Zena zakłęła cicho. Była to obca, monotonna mowa ziem wschodnich, które nie były już niemieckie. Prawdopodobnie była to jedyna rzecz, którą odziedziczyła po swoich ubogich rodzicach i odnosiłem wrażenie, że czasami byłaby bez niej szczęśliwsza.

- Z czego ten napój? - spytałem.

Werner pozbierał żurnale z podłogi i podał żonie. W interesach był nieustępliwy, w przyjaźni szczerzy, ale w stosunku do Zeny był zawsze uległy.

Zaciągał pożyczki w bankach zachodnich i z tego finansował eksport do Niemiec Wschodnich, za co prawdopodobnie otrzymywał pieniądze od ich rządu. Nazywano to „korzystną pomocą”: Werner otrzymywał niewielki procent od każdej transakcji. Nie obchodziło to bankierów; kto chciał mógł się tym zajmować, choć wielu się na tym sparzyło. Werner musiał być sprytny, ażeby wyjść z tego cało.

- Napój? Z soków owocowych - odpowiedział Werner. - W tym klimacie jest zbyt wcześnie na alkohol.

- Nie dla mnie - stwierdziłem. Werner uśmiechnął się, jednak nie ruszył się z miejsca, aby podać mi drinka. Był moim najstarszym i najbliższym przyjacielem, z rodzaju tych, którzy w taki sposób potrafią zmieszać cię z błotem, na jaki nie zdobyliby się nawet wrogowie. Zena nie podniosła oczu; udawała, że nadal czyta swoje żurnale.

Dicky wkroczył w gąszcz kwiatów, aby mieć lepszy widok na miasto. Spojrzałem ponad jego ramieniem i stwierdziłem, że ruch uliczny jest nadal niemrawy. Na ulicy poniżej, dwa policyjne samochody na syrenach, z błyskającymi czerwono światłami, wjechały na chodnik, aby wyminąć ruch. Mówi się, że w mieście liczącym piętnaście milionów mieszkańców co dwie minuty popełniana jest zbrodnia. Hałas na ulicach nigdy nie zamierał. Gdy fala powracających do domu urzędników przepływała, następował nowy napływ ludzi zdążających do restauracji i kin w Zona Rosa. - Co za dom wariatów - powiedział Dicky.

Groźnie wyglądający czarny kot obudził się i miękko zeskoczył ze swojego legowiska na podnóżku. Podbiegł do Dicky'ego, wbił mu pazury w nogę i spojrzał w górę, jakby chciał zobaczyć reakcję. - Psiakrew! - wrzasnął Dicky. - Wynoś się, ty bydlaku! - Dicky zamierzył się na kota, ale nie trafił. Kot zmykał bardzo szybko, jak gdyby robił to samo już przedtem, innym cudzoziemcom.

Krzywiąc się z bólu i rozcierając nogę, Dicky odsunął się na bezpieczną odległość od kota i przeszedł na drugi koniec balkonu, aby zajrzeć do dużego hallu, pełnego regionalnych kafli, starych masek i meksykańskich tkanin. Przypominało to sklep z wyrobami rękodzielnictwa artystycznego i z pewnością wyposażenie hallu pochłonęło duże kwoty.

- Ładne tu macie mieszkanie - rzekł Dicky. W jego uwadze było coś więcej niż cień sarkazmu. Nie było w guście Dicky'ego. Wszystko, co zbyt odbiegało od mebli Harrodsa stanowiących wyposażenie Departamentu, było zbyt obce dla niego.

- Należy do wuja i ciotki Zeny - wyjaśnił Werner. - Opiekujemy się mieszkaniem, gdy są w Europie. - Wyjaśniona została więc kwestia notatnika, który widziałem obok telefonu. Zena starannie zanotowała: „kieliszek do wina”, „kubek”, „kieliszek do wina”, „mały chiński

wazon w niebieskie kwiatki”. Była to lista stłuczek; przykład poczucia porządku i uczciwości Zeny.

- Wybraliście złą porę roku - narzekał Dicky. - A ściśle mówiąc, wuj Zeny wybrał dobrą. - Opróżnił szklanę przechylając ją do góry dnem, dopóki kostki lodu, ogórka i kawałki cytryny nie spłynęły po szkle wprost do ust.

- Zenie ona odpowiada - powiedział Werner, jak gdyby jego własna opinia nie miała tu żadnego znaczenia.

Zena, wciąż skupiona nad żurnalem, odezwała się: - Kocham słońce. - Powtórzyła to dwukrotnie i powróciła do czytania, nie tracąc wątku.

- Żeby tylko chciało padać - powiedział Werner. - To ciężkie powietrze przed burzą jest nie do zniesienia.

- Widzieliście podobno tego gościa, Stinnesa? - zapytał Dicky obojętnie, jakby nie to było powodem, że nas dwóch wlokło się cztery tysiące mil na rozmowę z nimi.

- U *Kronprinza* - powiedział Werner.

- Co to jest *Kronprinzl* - spytał Dicky. Postawił szklanę i papierową serwetką wytarł usta.

- Klub.

- Co za klub? - Dicky wetknął kciuki za skórzany pas i zadumany spoglądał na czubki swoich kowbojskich butów. Kot podążył za spojrzeniem Dicky'ego i sprawiał wrażenie gotowego sięgnąć powyżej buta i raz jeszcze wbić pazury w chudą łydkę. Dicky ze złością próbował wymierzyć kopniaka, lecz kot był szybszy. - Wynoś się! - zawołał Dicky o wiele głośniejszym razem.

- Przepraszam z powodu kota - powiedział Werner. - Myślę jednak, że ciotka Zeny tylko dlatego pozwoliła nam korzystać z mieszkania, że będziemy towarzystwem dla Cherubina. To z powodu pańskich spodni. Koty lubią drapać drelich.

- Drapie do krwi - rzekł Dicky rozcierając nogę. - Powinien mu pan obciąć pazury. W tej części świata koty roznoszą wszystkie zarazy.

- Co za różnica jaki klub? - spytała nagle Zena. Zamknęła żurnal i rozpuściła włosy. Wyglądała inaczej, nie przypominała już małej, nieustępliwej dziewczynki robiącej karierę, wyglądała raczej na niepracującą damę. Potrząsnęła długimi, kruczoczarnymi włosami i odrzuciwszy je do tyłu na powrót spięła srebrnym, meksykańskim grzebieniem.

- Klub niemieckich biznesmenów. Istnieje od 1902 roku - powiedział Werner. - Zena lubi piątkowe potańcówki, na których można również dobrze zjeść. Tutaj w mieście jest duża kolonia niemiecka. Zresztą zawsze była.

- Werner twierdził, że otrzymamy zapłatę gotówką za odnalezienie Stinnesa - upewniała się Zena.

- Zwykle płacimy - odpowiedział Dicky wymijająco, choć wiedział, że nie ma szans na płatność gotówką za zwyczajny raport. Widocznie Werner w ten sposób postanowił zachęcić Zenę do współpracy z nami. Spojrzałem na Wenera, wytrzymał mój wzrok bez zmiany wyrazu twarzy.

- Skąd wiecie, że to rzeczywiście Stinnes? - spytał Dicky.

- To jest z całą pewnością on - odpowiedział spokojnie Werner. - Jego nazwisko jest na karcie członkowskiej i kredyt w barze jest na to nazwisko.

- I książeczka czekowa - dodała Zena. - Jego nazwisko jest wydrukowane na czekach.

- Jakiego banku? - spytałem.

- Banku amerykańskiego - odpowiedziała Zena. - Oddział w San Diego, w Kalifornii.

- Nazwisko o niczym nie świadczy - stwierdził Dicky. - Skąd wiecie, że ten facet jest pracownikiem KGB? A nawet jeśli jest, skąd macie pewność, że to ten sam, który przesłuchiwał Bernarda w Berlinie Wschodnim? - Szybki ruch ręki w moim kierunku. - To może być ktoś używający tego samego fałszywego nazwiska. Wiemy, że ludzie z KGB tak robią. Prawda, Bernardzie?

- Zdarzały się takie wypadki - potwierdziłem, choć za żadne skarby nie mogłem sobie przypomnieć przykładu tak nierozsądnej taktyki, jaką mieliby stosować niezbyt bystry wprawdzie, jednak dokładni, biurokraci z KGB.

- Ile? - spytała Zena. A kiedy Dicky spojrzał na nią i podniósł brwi, powtórzyła: - Ile macie zamiar nam zapłacić za informację o Stinnesie? Werner powiada, że intensywnie go poszukujecie, twierdzi, że jest ważną figurą.

- Spokojnie - odparł Dicky. - Jeszcze go nie mamy. Nie wiemy nawet, czy to na pewno on.

- Erich Stinnes - wyrecytowała Zena, jak gdyby powtarzała wyuczoną lekcję. - Czterdziestoletni, przeredzone włosy, tanie okulary, kopci jak komin. Berliński akcent.

- Z brodą?

- Nie nosi brody - odparła Zena. Pośpiesznie dodała: - Musiał ją z pewnością zgolić. - Nie rezygnowała łatwo ze swoich roszczeń.

- Rozumiem, że rozmawiałeś z nim? - spytałem.

- Bywa tam w każdy piątek - rzekł Werner. - Bardzo regularnie. Pracuje w ambasadzie radzieckiej, powiedział o tym Zenie. Twierdzi, że jest kierownicą.

- Oni są zawsze kierowcami - powiedziałem. - Tym tłumaczą posiadanie ładnych, dużych samochodów oraz fakt bezkarnego poruszania się nimi. - Dolałem sobie owocowego ponczu Wenera. Nie pozostało go wiele, a dno dzbanka wypełniała mieszanina zielonkawych, rozmokłych kawałków cytryny. - Czy rozmawiał o książkach i amerykańskich filmach?

Huśtała nogami zwisającymi z rozkładanego krzesła odsłaniając przy tym opalone uda. Uchwyciłem spojrzenie Dicky'ego, gdy wyglądała sukienkę. Była pociągająca seksualnie, co często idzie w parze z młodością, zdrowiem i bezgraniczną energią. Zmrużyła perłowszare oczy, teraz, gdy była pewna, że odnalazła prawdziwego Stinnesa. - Tak. Kocha stare, hollywoodzkie musicale i angielskie detektywistyczne opowiadania...

- A więc to on - stwierdziłem bez entuzjazmu. Miałem cichą nadzieję, że to wszystko okaże się fałszywym alarmem, że będę mógł wrócić prosto do Londynu, do domu i do dzieci. - Tak, to „Lenin”, ten sam, który po uwolnieniu zabrał mnie na Checkpoint Charlie.

- Co teraz zamierzacie zrobić? - spytała Zena. Była niska, sięgała Dicky'emu zaledwie do ramienia. Niektórzy twierdzą, że niscy ludzie są agresywni, jak gdyby w ten sposób chcieli zrekompensować sobie hiałą posturę; gdy patrzy się jednak na Zenę, można dojść do przekonania, że to agresywni ludzie zostali stworzeni małymi, aby całkowicie nie opanowali świata. Tak czy owak Zena była mała i kipiała energią jak garnek z mlekiem tuż przed zagotowaniem. - Co teraz zamierzacie z nim zrobić?

- Nie pytaj - zwrócił się do niej Werner.

Dicky jednak odpowiedział: - Chcemy z nim porozmawiać, pani Volkmann. Żadnych drastycznych metod, jeśli tego się pani obawia.

Połknąłem poncz, a w ustach zostały mi małe kawałki lodu i pestki z cytryny. Zena uśmiechnęła się. Nie obawiała się żadnych drastycznych metod a jedynie tego, że nie otrzyma pieniędzy za udział w tej sprawie. Wstała, splotła ramiona, a potem leniwie przeciągnęła się i wyciągając nad głową jedną rękę za drugą, jawnie manifestowała swoją kobiecość. - Czy potrzebna jest wam moja pomoc? - spytała.

Dicky nie odpowiedział wprost. Przeniósł wzrok z Zeny na Wenera i z powrotem, zanim powiedział: - Stinnes jest majorem KGB. Komputer nie dysponuje dużą ilością informacji o oficerach tak niskiej rangi. Większość z tego, co o nim wiemy, pochodzi od Bernarda, który był przez niego przesłuchiwany. - Spojrzenie w moim kierunku miało podkreślić fakt nieścisłości nie potwierdzonych informacji pochodzących z innych źródeł. - Jest starszym funkcjonariuszem w Berlinie. Cóż zatem robi w Mexico? Prawdopodobnie jest narodowości rosyjskiej. Co knuje? Co robi w tym waszym niemieckim klubie?

Zena roześmiała się. - Czy uważa pan, że powinien zapisać się do *Perowskiego!* - Znów się roześmiała.

- Zena zna to miasto bardzo dobrze, Dicky - powiedział Werner. - Ma tutaj ciotki i wujów, kuzynów i siostrzeńca. Mieszkała tutaj przez pół roku po skończeniu szkoły.

- Gdzie, co, jak lub dlaczego u *Perowskiego!* - spytał Dicky. Był szefem Sekcji Niemieckiej. Nie lubił, gdy śmiano się z niego i zauważyłem, że zaniemówił, gdy Werner nazwał go Dickym.

- Zena żartuje - wyjaśnił Werner. - *Perowski* jest obskurnym klubem dla Rosjan w pobliżu placu Narodowego. Na parterze znajduje się restauracja dostępna dla wszystkich. Został otwarty zaraz po rewolucji. Członkami byli książęta i hrabiowie oraz ci, którzy uciekli przed bolszewikami. Obecnie członkami są przypadkowi ludzie, jednak linia antykomunistyczna stanowi nadal zasadę. Tak więc ludzie z radzieckiej ambasady z dala omijają to miejsce. Gdyby człowiek taki jak Stinnes wszedł tam i niewłaściwie się odezwał, mógłby nigdy nie wyjść.

- Naprawdę, nigdy by nie wyszedł? - spytałem.

Werner spojrział na mnie. - To brutalne miasto, Bernardzie. Nie same *margaritas* i *marichis*, jak na kartkach pocztowych.

- W klubie *Kronprinz* nie mają tak szczególnych wymogów w odniesieniu do swoich członków? - dopytywał się Dicky.

- Nikt nie chodzi tam, aby rozmawiać o polityce. Jest to jedyne miejsce w mieście, gdzie możesz dostać prawdziwe niemieckie leżakowane piwo i dobre niemieckie jedzenie - wyjaśnił Werner. - To bardzo popularny klub. Odbywa się w nim wiele spotkań towarzyskich; bywa tam wielu różnych ludzi. Wielu z nich jest tylko przejazdem - piloci, handlowcy, inżynierowie okrętowi, biznesmeni. Nawet duchowni.

Oraz ludzie z KGB?

- Wy, Anglicy, unikacie się nawzajem, gdy jesteście za granicą - powiedział Werner. - My, Niemcy, lubimy być razem. Niemcy ze Wschodu, Niemcy z Zachodu, emigranci, banicy, podatnicy uciekający przed podatkami, mężowie uciekający przed żonami, dłużnicy uciekający przed wierzycielami, przestępcy uciekający przed policją. Naziści, monarchiści, komuniści a nawet Żydzi, jak ja. Lubimy być razem, ponieważ jesteśmy Niemcami.

- Takimi Niemcami jak Stinnes? - zapytał Dicky sarkastycznie.

- Musiał długo mieszkać w Berlinie. Jego niemiecki jest równie dobry jak Berniego - powiedział Werner patrząc na mnie. - W pewien sposób nawet bardziej przekonujący, ponieważ ma ten rodzaj mocnego akcentu berlińskiego, który rzadko się słyszy, jedynie w

niektórych miejskich barach dla robotników. Dopiero kiedy rzeczywiście wnikliwie wsłuchałem się, wykryłem pewną nieprawidłowość w jego wymowie. Założę się, że wszyscy w klubie myślą, że jest Niemcem.

- Nie przyjechał tutaj, ażeby się opalać - rzekł Dicky. - Takiego człowieka jak on wysyła się tylko do zadań specjalnych. Co o tym sądzisz, Bernardzie?

- Stinnes był na Kubie - odparłem. - Sam powiedział mi o tym. W służbie bezpieczeństwa. Gdy przewertowałem archiwa, odgadłem, że był tam, by udzielać Kubańczykom rad, gdy robili „czystkę” z niektórych grubych ryb w 1970 r. Był to duży wstrząs. Stinnes musiał być wtedy ekspertem do spraw Ameryki Łacińskiej.

- Nigdy nie zaszkodzi zajrzeć do historii - powiedział Dicky. - Co robi teraz?

- Przypuszczam, że zajmuje się przerzutem agentów. Gwatemala ma teraz pierwszeństwo w KGB, a to niedaleko stąd. Każdy może się przedostać; granicą jest po prostu dżungla.

- Nie myślę, żeby tak było - rzekł Werner.

- Niemcy Wschodnie popierały Sandinistyczny Front Wyzwolenia Narodowego na długo przedtem nim sfingowano wybory i utworzono rząd - powiedziałem.

- Niemcy Wschodnie popierają każdego, kto może być cierniem w oku Amerykanów - stwierdził Werner.

- Jak myślisz, czym on się rzeczywiście zajmuje? - zapytał mnie Dicky.

Udzielałem wymijających odpowiedzi, ponieważ nie wiedziałem, co, zdaniem Dicky'ego, mogłem powiedzieć w obecności Zeny i Wenera. Postanowiłem robić tak nadal. Powiedziałem: - Stinnes mówi dobrze po angielsku. Jeśli książeczka czekowa nie jest zaplanowanym sposobem wprowadzenia nas w błąd, być może zajmuje się przerzutem agentów do Kalifornii. Być może przesyła dane skradzione w firmach elektronicznych i zajmujących się badaniami dla przemysłu precyzyjnego. - Improwizowałem. Nie miałem bladego pojęcia, czym może zajmować się Stinnes.

- Cóż to może obchodzić Londyn? - zapytał Werner, który znał mnie na tyle dobrze, aby odgadnąć, że blefuję. - Nie powiesz mi, że Centrala w Londynie ogłosiła stan pogotowia w związku ze Stinnesem dlatego, że kradnie Amerykanom tajemnice komputerowe.

- To jest jedyny powód, który przychodzi mi do głowy - odpowiedziałem.

- Nie traktuj mnie jak dziecko, Bernardzie - powiedział Werner. - Jeśli nie chcesz być szczerzy, nie musisz. - Jak gdyby w odpowiedzi na wyrzut Wenera, Zena przeszła w stronę kominka i nacisnęła ukryty guzik dzwonka. Z głębi mieszkania dobiegł nas odgłos kroków i

pojawiła się Indianka. Z uniesioną brodą i wpół-przymkniętymi oczami, miała postawę tak charakterystyczną dla wielu Meksykanek, gotową do dźwigania na głowie dzbana z wodą.

- Wiem, że chcielibyście spróbować dania meksykańskiej kuchni - powiedziała Zena. Była to ostatnia rzecz, na którą osobiście miałem ochotę, lecz nie czekając na naszą odpowiedź, kazała kobiecie podawać do stołu. Zena mówiła łamanym hiszpańskim z dużą pewnością siebie, dzięki czemu brzmiał lepiej. Wszystko robiła w ten sposób.

- Doskonale rozumie niemiecki i w pewnym stopniu angielski - powiedziała, gdy kobieta odeszła. Było to ostrzeżenie, abyśmy trzymali język za zębami.

- Maria pracuje u mojej ciotki od przeszło dziesięciu lat.

- Jednak nie mówi pani do niej po niemiecku - stwierdził Dicky. Zena uśmiechnęła się do niego. - Gdy trzeba powiedzieć *tortillas*, *tacos*, *guacamolei* *quesadillas* i tak dalej, łatwiej dodać *por favor* i mieć problem załatwiony. - Stół był elegancki z błyszczącą, solidną srebrną zastawą, ręcznie wyszywanym obrusem lnianym i ładnie szlifowanym szkłem. Posiłek z całą pewnością był przygotowany i wkalkulowany w oczekiwaną przez Zenę płatność gotówkową. Jedzenie było dobre i chwalić Boga, nie tak znów cholernie regionalne. Miałem ograniczoną zdolność przyswajania prymitywnych odmian płatków kukurydzianych, fasolowych papek i chili powodującej drętwienie podniebienia i palącej wewnątrz od Dallas do Przylądka Horn. Zaczęliśmy od homara z rusztu i zimnego białego wina; przysmażonej fasoli nie było w zasięgu wzroku.

Firanki były odsłonięte, powietrze mogło więc swobodnie przedostawać się przez otwarte okna, nie chłodziło jednak. Cyklon znad Zatoki nie przesunął się w stronę wybrzeża jak i nie nadeszły zapowiadane burze; nie nastąpił również znaczny spadek temperatury. Słońce zaszło już za górami otaczającymi miasto ze wszystkich stron i niebo stało się fiołkoworóżowe. Migające światła miasta, jak gwiazdy w planetarium, ciągnęły się aż do podnóża szczytów odległych gór, by podobne do Drogi Mlecznej stać się mglistą plamą.

Jadalnia pogrążona była w mroku, jedyne światło pochodziło od wysokich świec, które paliły się jasno w nieruchomym powietrzu.

- Czasem Centrala w Londynie wyprzedza naszych amerykańskich przyjaciół - powiedział Dicky przebijając ogon kolejnego homara z rusztu. Zastanawiam się, czy rzeczywiście tyle czasu zajęło mu wymyślenie odpowiedzi dla Wenera. - Daje nam to przewagę w negocjacjach z Waszyngtonem, gdy dysponujemy dobrym materiałem o działalności KGB na tyłach Wujka Sama.

Werner sięgnął przez stół, aby dolać wina żonie. - To chilijskie wino - powiedział. Dolał również Dicky'emu i mnie, a następnie napełnił swój własny kieliszek. W ten sposób

chciał dać Dicky'emu do zrozumienia, że nie wierzy w ani jedno jego słowo, jednak nie jestem pewien, czy Dicky to wyczuł.

- Niezłe - powiedział Dicky sącząc wino, zamknąwszy oczy i odchyliwszy do tyłu głowę, jak gdyby całą uwagę pragnął skupić na degustacji. Delektował się nią. Uprzednio demonstracyjnie obwąchał korek. - Czegoś brakuje meksykańskim winom. Przypuszczam, że w związku ze spadkiem peso będzie coraz trudniej zdobyć jakiekolwiek importowane wino.- Stinnes przybył tu zaledwie dwa lub trzy tygodnie temu - uparcie wrócił do tematu Werner. - Jeśli Centrala w Londynie interesuje się Stinnesem, to nie z powodu tego, co zamierza zrobić w Dolinie Krzemowej czy deszczowych lasach Gwatemali, ale z powodu całej jego działalności w Berlinie w ciągu ostatnich dwóch lat.

- Tak pan myśli? - zapytał Dicky patrząc na Wenera z przyjacielskim i pełnym szacunku zainteresowaniem, jak człowiek, który pragnie się czegoś nauczyć. Jednak Werner nie dał się temu zwieść.

- Nie jestem idiotą - powiedział Werner beznamiętnym tonem cedząc jednak słowa w sposób, w jaki zamawia się bezkofeinową kawę u niezbyt uważnego kelnera. - Wymykałem się ludziom KGB, kiedy miałem dziesięć lat. Bernie i ja pracowaliśmy dla Departamentu, kiedy był budowany mur w 1961 r. i wciąż jeszcze chodziliśmy do szkoły.

- Punkt dla ciebie, stary - powiedział z uśmiechem Dicky. Mógł sobie pozwolić na uśmiech; był dwa lata od każdego z nas młodszy, z o wiele krótszym stażem w Departamencie, lecz wygrał z silną konkurencją pożądaną funkcję szefa Sekcji Niemieckiej. I wbrew pogłoskom o bliskich zmianach personalnych w Centrali londyńskiej, wciąż ją piastował. - Prawda polega na tym, że ludzie w Londynie nie mówią mi wszystkiego. Jestem facetem działającym po omacku. Nie konsultują ze mną projektów budowy nowych elektrowni jądrowych. - Polał roztopionym masłem ostatni kawałek homara z tak wielką uwagą, jak gdyby żadne inne sprawy nie zaprzętały jego myśli.

- Opowiedz mi o Stinnesie - poprosił Wenera. - Czy przychodzi do klubu *Kronprinz*, by pociągać za sznurek przywróconych do życia przez KGB? Czy z własnej inicjatywy? Czy siada w kącie z dużą szklanką *Berliner Weise mit Schuss*, czy też węszy wokół, aby coś wyszperać? Jak on się zachowuje, Wenerze?

- Jest typem samotnika - odrzekł Werner. - Przypuszczam, że nigdy by się do nas nie odezwał, gdyby nie pomylił Zeny z jedną z dziewcząt Biedermanna.

- Kim są dziewczęta Biedermanna? - zapytał Dicky. Gdy pozostałości po daniu z homara zostały usunięte, indiańska służąca wniosła szereg podstawowych dań meksykańskich: podsmażaną fasolę, chili w całości oraz płatki kukurydziane, przyrządzone

na różne sposoby - *enchiladas, tacos, tostadas, quesadillas*. Dicky zatrzymywał się tak długo przy każdym, dopóki nie zostało mu opisane i nie nauczył się je rozpoznawać; nakładał sobie jednak niewielkie porcje na talerz.

- Tutaj w Mexico chili świadczy o męskości - odezwała się Zena kierując tę uwagę do Dicky'ego. - Mężczyzna, który jada gorące chili, jest uważany za wyjątkowo męskiego i silnego.

- O, kocham chili - odparł Dicky tonem, który świadczył o tym, że wyłowił szyderstwo w uwadze Zeny. - Zawsze miałem słabość do chili - rzekł sięgając po talerz, na którym były ułożone różne gatunki. Spojrzałem na Wenera, który przyglądał się Dicky'emu z zainteresowaniem. Dicky podniósł wzrok na Wenera i patrząc mu prosto w twarz wyjaśnił: - Tylko drobna, ciemnego koloru, jest w stanie zwalić z nóg. - Wziął duży bladezielony strąk i uśmiechnął się w stronę naszych pełnych wątpliwości twarzy nim go ugryzł. Zapanowała cisza, gdy chili zniknęło w ustach Dicky'ego. Każdy z nas, oprócz niego samego, wiedział, że pomylił chili z bardzo łagodną jego odmianą rosnącą w rejonach wschodnich. Wkrótce Dicky dowiedział się o tym także. Otworzył usta, twarz zaczerwieniła mu się, a w oczach rozbłysły łzy. Walczył z piekącym bólem, lecz w końcu musiał je wypluć. Następnie pochłonął olbrzymie ilości samego ryżu.

- Biedermannowie są zamożną berlińską rodziną - kontynuowała Zena, jak gdyby nie spostrzegła rozpaczliwie złego samopoczucia Dicky'ego. - Są dobrze znani w Niemczech. Mają udziały w niemieckich towarzystwach podróżniczych. W gazetach pisano, że towarzystwo pożyczyło miliony dolarów na budowę miejscowości wypoczynkowej na półwyspie Jukatan. Nigdy nie została zakończona. Erich Stinnes wziął mnie za młodszą siostrę, Poppy, która często gości na kolumnach prasowych plotek.

Panowała cisza, gdy czekaliśmy, aż Dicky się pozbiera. W końcu oparł się o krzesło i zdobył na ponury uśmiech. Na czole miał kropelki potu i oddychał z otwartymi ustami. - Czy znasz tych Biedermannów, Bernardzie? - zapytał. Jego głos brzmiał chrapliwie.

- Poczęstuj się *avocado* - poradził Werner. - Działa bardzo łagodnie. - Dicky wziął gruszkę *avocado* z miski i zaczął ją jeść.

Powiedziałem: - Gdy mój ojciec był związany z wojskowym rządem w Berlinie, wydał staremu Biedermannowi licencję, aby mógł znów prowadzić działalność w zakresie przewoźnictwa autobusowego. Był jednym z pierwszych po wojnie i ta działalność, przypuszczam, była zaczątkiem jego fortuny. Tak, znam ich. Spotkałem Poppy Biedermann na obiedzie u Franka Harringtona, gdy byłem ostatnim razem w Berlinie. - Dicky jadł szybko

łyżeczką *avocado* traktując owoc jako antidotum na palenie w ustach. - Cholernie piekące - wyznał w końcu.

- Nigdy nie można być pewnym, które są ostre, a które łagodne - powiedziała Zena łagodnym tonem, który zdziwił mnie. - Gatunki są krzyżowane, nawet w tym samym zbiorze mogą występować zarówno te ogniste jak i delikatne... - Uśmiechnęła się.

- Czy ci Biedermannowie mogą z jakichś powodów interesować Stinnesa? - zapytał Dicky. - Są może właścicielami fabryki produkującej komputery z miękkimi dyskami w Kalifornii? Lub czegoś w tym rodzaju. Co wiesz o tym, Bernardzie?

- Nawet jeśli są, Stinnes nie miał powodu, aby kontaktować się z właścicielem - stwierdziłem. Spostrzegłem, że Dicky nastawił się na koncepcję Doliny Krzemowej i że nie będzie łatwo odwieść go od niej. - Szukałby raczej kontaktu z kimś z laboratorium. Albo z kimś robiącym programy.

- Musimy mieć dokładne rozeznanie bieżącej sytuacji od strony Kalifornii - powiedział Dicky z westchnieniem. Znałem to westchnienie. Dicky przygotowywał mnie właśnie na parny tydzień w Mexico City, podczas gdy on sam wyruszy, aby fruwać po południowej Kalifornii.

- Porozmawiaj z Biedermannami - powiedziałem. - To łatwiejsze.

- Stinnes pytał mnie o Biedermannów - rzekł Werner. - Pytał, czy ich znam. Znam Paula bardzo dobrze, lecz powiedziałem Stinnesowi, że słyszałem o tej rodzinie tylko z gazet.

- Werner! Nie powiedziałeś mi, że znasz Biedermannów - wtrąciła podekscytowana Zena. - Zawsze o nich piszą na kolumnie z plotkami. Poppy Biedermann jest prześliczna. Rozwiodła się właśnie z milionerem.

Dicky spojrział na mnie i powiedział: - Lepiej jeśli ty porozmawiasz z Biedermannem. Nie ma sensu, abym się ujawniał. Traktuj to nieformalnie. Poszukaj go, jedź i spotkaj się z nim. Czy zrobisz to, Bernardzie? - Było to polecenie wydane w amerykańskim stylu; pozornie brzmiało jak grzeczna prośba.

- Mogę spróbować.

Dicky mówił dalej: - Nie chciałbym załatwiać tego drogą urzędową przez Londyn lub prosić Franka Harringtona, aby nas sobie przedstawił, gdyż cały świat wiedziałby co nas interesuje. - Nalał sobie wody z lodem i napił się. Odzyskiwał panowanie nad sobą, gdy nagle wrzasnął: - Ty draniu! - z oczami utkwionymi w biednym Wernerze i głową wyciągniętą nisko nad stołem. Werner sprawiał wrażenie bardzo zmieszanego, dopóki Dicky, wciąż pochylając się do przodu, z głową prawie w talerzu, ryknął: - Ten cholerny kot!

- Cherubinie, jesteś bardzo nieznosny - powiedziała łagodnie Zena, gdy uklękła, by odcepić kocie pazury od nogi Dicky'ego. Przedtem jednak Dicky wymierzył kopniaka, który wyprawił Cherubina wyjącego z bólu na drugi koniec pokoju. Zena podniosła się zaczerwieniona i wściekła. - Zadał mu pan ból - stwierdziła ze złością.

- Okropnie mi przykro - powiedział Dicky. - To był po prostu odruch.

Zena nic nie odpowiedziała. Kiwnęła głową i opuściła pokój w poszukiwaniu kota.

- Dotarcie do Paula Biedermanna nie jest problemem - odezwał się Werner, aby przerwać kłopotliwą ciszę. - Załatwił mi gwarancje bankowe w zeszłym roku. Kosztuje mnie to wiele, jednak zawsze mogę na niego liczyć, kiedy jest potrzebny. Ma biuro w mieście i dom na wybrzeżu w Tcumazan. - Werner spojrzął w kierunku drzwi, nie było jednak śladu Zeny.

- No proszę! - rzekł Dicky. - Poznaj go więc, Bernardzie. Znałem Paula Biedermanna; gdy byłem ostatnio w Berlinie, wymieniliśmy powitania, ale z trudem go poznałem. Rozbił się wracając do Mexico nowiutkim ferrari z pijackiej zabawy w Guatemala City. Jadący z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę samochód, zjechał nagle głęboko w przydrożną dżunglę. Dużo czasu zajęło ratownikom odnalezienie go i dużo czasu wydostanie. Dziewczyna, która była z Biedermannem, została zabita, lecz śledztwo w tej sprawie umorzono.

Jakakolwiek byłaby prawda, ma teraz jedną nogę krótszą od drugiej, a na twarzy bliznę po przeszło stu równych szwach. Ułomności te nie pomogły przezwyciężyć mojej antypatii do Paula Biedermanna.

- Tylko ustny raport. Na razie nic na piśmie. - Dicky chciał mieć wszystkie drogi otwarte. Nic na piśmie, dopóki nie dowie się, jakie są rezultaty i wtedy ustali listę zasług i win, na wzór boskiej bezstronności.

Werner spojrzął na mnie. - Oczywiście, Dicky - powiedziałem. Dicky Cruyer był czasami wielkim błaznem, teraz jednak był to inny, bardzo sprytny Dicky, który dokładnie wie czego chce i jak ma to zdobyć. Nawet, jeśli czasami oznacza to nieopanowanie jednego z drobnych, brutalnych odruchów.

ROZDZIAŁ III

Dżungla cuchnie. Pod błyszczącą zielenią i jaskrawymi kwiatami tropikalnymi, które ciągną się wzdłuż dróg, jak nie kończące się wystawy drogich kwiaciarń, znajduje się zduszona mieszanina gnijących roślin, która wydaje odór ścieku. Czasami droga była zaciemniona przez roślinność zrastającą się w górze, a splecione pnącza bębniły po dachu samochodu. Zamknąłem na chwilę okno, chociaż klimatyzacja nadal nie działała.

Dicky'ego nie było ze mną. Poleciał do Los Angeles zostawiając numer telefonu do biura w gmachu federalnym. Było to niedaleko od sklepów i restauracji w Beverly Hills, gdzie z całą pewnością siedział właśnie, gdzieś w pobliżu jasnobłękitnego basenu trzymając w ręce zamrożony napój i studiując długie menu, z tym rodzajem bezgranicznego oddania, do którego zawsze był zdolny, gdy chodziło o jego własne dobro.

Duży niebieski chevrolet, który mi zostawił, nie był właściwym samochodem na nędzne, kręte drogi przez dżunglę. Sprowadzony bez cła przez Tiptree, kumpla Dioky'ego z ambasady, nie miał twardego zawieszenia i wzmocnionego podwozia jak tutejsze samochody. Podrzucał mnie jak yo-yo na wybojach wydając złowieszcze zgrzyty, gdy wpadał w dziurę, a droga do Tcumazan pełna była dziur i wyboi.

Wyruszyłem wczesnym rankiem zamierzając przejechać pasmo Sierra Mądre i zatrzymać się w restauracji na późniejszy obiad, by przeczekać najbardziej gorącą porę dnia. Najgorętszą porę spędziłem jednak rozkraczony na zakurzonej drodze mając troje dzieci i kurczę za audytorium, gdy zmieniałem przedziurawioną oponę i przeklinałem Dicky'ego, Henry'ego Tiptree razem z jego samochodem, londyńską Centralę oraz Paula Biedermanna; szczególnie Paula Biedermanna za to, że wybrał do życia takie zapomniane przez Boga miejsce jak Tcumazan, Michoacan na meksykańskim wybrzeżu Pacyfiku. Mogli się tu wybierać tylko właściciele prywatnych samolotów i luksusowych jachtów. Dojazd tutaj z Mexico City chevroletem Tiptree nie był godny polecenia.

Był wczesny wieczór, gdy dotarłem do oceanu w miejscowości różnie nazywanej, Małe San Pedro lub Santiago, w zależności od tego, kto mnie tam kierował. Nie było jej na mapie pod żadną nazwą; nawet droga do niej prowadząca nie była niczym innym niż przerywaną czerwoną linią. Santiago składało się tylko z kupy śmieci, około dwóch tuzinów chałup zbudowanych z gliny i starego, karbowanego żelaza, budowli z półfabrykatów, uwieńczonych dużym krzyżem i baru z zielonym, blaszanym dachem. Bar był spojony emaliowanymi reklamami piwa i napojów niskoalkoholowych. Były poprzybijane, czasem do góry nogami lub bokiem, tam gdzie pojawiły się pęknięcia w murze. Pilnie potrzebna była jeszcze większa liczba tablic reklamowych.

Wioska Santiago nie jest rejonem turystycznym. Nie widać więc było tu niepotrzebnych paczek po filmach, bibulek czy pojemników po witaminach, zanieczyszczających ulice. Z wioski nie było widoku na ocean; brzeg znajdował się poza zasięgiem wzroku, przesłonięty przez rząd szerokich, kamiennych stopni, które prowadziły donikąd. Nie było widać ludzi, tylko zwierzęta: koty, psy, parę kóz i kilka trzepoczących skrzydłami kur.

Przy barze stał zaparkowany wyblakło-czerwony ford sedan. Dopiero gdy stanąłem obok, zobaczyłem, że jest podparty na ceglach i posiada jedynie gołą karoserię. Wewnątrz również siedziały kury. Gdy zamknąłem chevrolet, pojawili się ludzie. Nadchodzili od strony wysypiska śmieci: plastra miodu, którego niewielkie komórki stanowiły pudła, powginane puszkę i beczki po oleju. To śmietnisko nie było jedynym. Żadna kobieta ani dziecko nie wyszło zza wysypiska, tylko niscy, ciemnoskórzy mężczyźni o spokojnych, nieodgadnionych twarzach, charakterystycznych w rzeźbach Azteków, artystycznej formie przesiąkniętej brutalnością i śmiercią.

Wciąż unosił się zapach dżungli połączony teraz z odorem ludzkich nieczystości. Psy z pstrokatą sierścią świadcząca o parchach obwąchiwały się wzajemnie i grasowały między odpadkami. Jedna z zewnętrznych ścian baru w całości pokryta była prymitywnie namalowanym freskiem. Kolory wypłowywały, jednak zarys czerwonego traktora tnącego zagon wysokiej trawy i uśmiechniętych wieśniaków machających rękami sugerował, że była to część propagandy pewnego, dawno zapomnianego, rządowego planu rolnego.

Było wciąż bardzo gorąco i wilgotna koszula lepiała mi się do ciała. Słońce zachodziło i długie cienie zdobiły zakurzoną drogę, a żarówki elektryczne, które znakowały wejście do baru, tworzyły żółte plamy w błękitnym powietrzu. Przekroczyłem dużego kundla, który spał w progu i pchnąłem małe wahadłowe drzwi.

Za barem znajdował się tłusty człowiek z wąsami. Siedział na wysokim stołku, z głową przechyloną na piersi, sprawiał wrażenie, że śpi. Stopy miał uniesione wysoko na kontuarze, a podeszwami butów dotykał szuflady od kasy. Gdy wszedłem do baru, podniósł wzrok, wytarł twarz brudną chustką i kiwnął głową nie uśmiechając się.

Wewnątrz panował niespodziewany nieporządek, przypadkowy obraz dążeń meksykańskich. Były tu kolorowe zdjęcia rodzinne w popękanych ramkach stoczonych przez robaki. Dwie bardzo stare widokówki linii lotniczych *Pan American* przedstawiały Alpy Szwajcarskie i centrum Chicago. Nawet zdjęcia pań ukazywały ambiwalentność natury *machismo*. Meksykańskie gwiazdy filmowe w przyzwoitych kostiumach kąpielowych i wesołe *gringas* wydarte z amerykańskich magazynów porno. W jednym kącie stała wspaniała grająca szafa, lecz tylko dla dekoracji, gdyż wewnątrz niej nie było żadnej maszyny. W innym kącie znajdowała się stara beczka po oleju używana jako pisuar. Dochodziły ciche dźwięki muzyki meksykańskiej z radia zawieszzonego nad półką z butelkami z *tequilą*, które pomimo różnych nalepek wyglądały, jakby były wielokrotnie napełniane z tego samego dzbana.

Zamówiłem piwo i powiedziałem *cantinero*, że jedno jest dla niego. Wyjął dwie butelki z lodówki i nalewał z nich równocześnie trzymając dwie butelki w jednej i dwie szklanki w drugiej ręce. Napilem się. Było ciemne, mocne i bardzo zimne.

- *Salud y pesetas* - rzekł barman.

Wypiłem za zdrowie i za pieniądze, a następnie zapytałem go, czy nie zna kogoś, kto mógłby mi naprawić moją przedziurawioną oponę. Nie odpowiedział od razu. Obrzucił mnie spojrzeniem od stóp do głów, a potem wyciągnął szyję, aby zobaczyć mój chevrolet, choć nie miałem żadnej wątpliwości, że obserwował moje przybycie. Po głębszym namyśle powiedział, że jest człowiek, który mógłby wykonać tę pracę. Można to zorganizować, choć materiały są drogie i trudno dostępne. Ludzie, którzy uważają się za specjalistów, w rzeczywistości są niezdarni i niewprawni, a załatane przez nich opony na gorącym słońcu i złych drogach mogą przepuszczać powietrze i podróżny zostaje na lodzie.

Hamulce, układ kierujący i opony, to najistotniejsze części samochodu. On osobiście stwierdził, że nie posiada samochodu, ale zna się na tych sprawach, gdyż jeden z jego kuzynów ma samochód. Na tych drogach podróżny, który został na lodzie, może natknąć się na złych ludzi, nawet *bandidos*. Do tak istotnej naprawy potrzebny jest ktoś, kto by wykonał ją właściwie.

Wypiłem piwo i pokiwałem głową ze zrozumieniem. W Mexico w ten sposób były załatwiane sprawy; nic nie uzyskałoby się przez przerwanie jego wywodów. Za to otrzymywał swój procent. Gdy głośno krzyknął w kierunku ludzi zaglądających przez drzwi, oddalili się. Z pewnością poszli zakomunikować człowiekowi, który łątał dziury, że jego szczęśliwy dzień w końcu nadszedł.

Wypiliśmy po jeszcze jednym piwie. *Cantinero* nazywał się Domingo. Obudzony przez dźwięk otwieranej kasy, Pedro spojrział w górę i warknął. - Bądź cicho, Pedro - powiedział barman i przesunął na drugi koniec lady, w moim kierunku, mały talerzyk z chili. Podziękowałem. Położyłem pieniądze przed sobą na ladzie, a następnie zapytałem, jak stąd daleko do domu Biedermanna. Popatrzył na mnie kpiąco, nim odpowiedział. To bardzo daleka, daleka droga i bardzo zła. Miejscami wymył ją deszcz. Zawsze się tak dzieje o tej porze roku. Motocyklem lub nawet jeepem byłoby to możliwe. Jednak moim chevroletem, który Domingo nazwał podwójnym łóżkiem - *cama matrimonial* - nie było szansy dotarcia tam. Lepiej pójść ścieżką na nogach, tak jak chodzą wieśniacy. Nie zajmie mi to dłużej niż pięć minut, może dziesięć. Piętnaście w najgorszym razie. Najlepiej zrobię, gdy pójdę do domu Biedermanna ścieżką w górę.

- Pan Biedermann jest mi winien pieniądze - wyjaśniłem. - Czy mogę napotkać kłopoty w odzyskaniu ich?

Domingo popatrzył na mnie, jakbym przybył z Marsa. Czyż nie wiem, że *señor* Biedermann jest *muy rico, muy, muy rico*.

- Jak bogaty? - spytałem.

- To, co jednym wydaje się dużo, dla innych stanowi niewiele - powiedział barman cytując hiszpańskie przysłowie. - Ile jest panu winien?

Zignorowałem jego pytanie. - Czy jest teraz w domu? - Bezmyślnie bawiłem się pieniędzmi na ladzie.

- Nie jest łatwym człowiekiem we współzyciu - powiedział Domingo. - Tak, jest u siebie. Całkiem sam. Nie może już nikogo znaleźć do pracy, a i jego żona ostatnio rzadko z nim przebywa. Sam robi sobie nawet pranie. Nikt stąd nie będzie dla niego pracował. - Dlaczego?

Domingo przyłożył kciuk do ust i podniósł rękę do góry, aby zademonstrować, że Biedermann jest tęgim pijakiem. Potrafi opróżnić dwie lub trzy butelki, gdy ma jeden ze swoich ataków szału. *Tequila, l mezcal, aguardiente* czy importowana whisky, wszystko mu jedno, gdy zacznie chlać. Staje się grubiański w stosunku do każdego, kto z nim nie pije. Uderzył jednego z pracowników naprawiającego podłogę; młodzieniec musiał iść do lekarza. Teraz odmawia dokończenia roboty.

- Czy bywa grubiański w stosunku do ludzi, którzy przychodzą odebrać pieniądze? - spytałem.

Domingo nie uśmiechnął się. - Gdy nie jest pijany, jest dobrym człowiekiem. Kto wie, może ma kłopoty?

Powróciliśmy do rozmowy o samochodzie. Domingo miał zorganizować naprawę opony i zaopiekować się moim samochodem. Zasugerował, że gdyby przybył duży, dostawczy wóz z piwem, prawdopodobnie można by było przetransportować mój pojazd pod dom Biedermanna. Powiedziałem, że nie; lepiej jeśli pozostanie tu, gdzie jest; niewielu dostawców piwa widziałem po drodze.

- Czy wygodna jest ścieżka do domu Biedermannów? - spytałem wciskając mu jeszcze trochę pieniędzy.

- Którąkolwiek drogę pan wybierze, będzie to mila złej drogi - odpowiedział poważnie Domingo. Miałem nadzieję, że to tylko kolejne przysłowie.

Wyjąłem z samochodu torbę na ramię. Były w niej: czysta koszula i bielizna, kąpielówki i ręcznik, zestaw do golenia, duża plastikowa torba, sznurek, latarka, antybiotyki,

Lomatil i połowa butelki rumu do opatrywania ran. Rewolweru nie było. Mexico nie jest dobrym miejscem dla *gringos* noszących broń.

Poszedłem szlakiem, który wskazał mi Domingo. Była to wąska ścieżka wydeptana przez robotników chodzących z wioski do pól uprawnych. Wspinałem się stromym zboczem obok szeregu kamiennych stopni, które, jak powiedział mi Domingo, były jedyną pozostałością świątyni Azteków. Tu, w górze, było słonecznie, podczas gdy dolina była pograżona w cieniu. Obejrzałem się i zobaczyłem wieśniaków stojących wokół chevroleta oraz Domingo paradującego przed nim z miną właściciela. Pedro zadarł nogę, aby obsiusiać przednie koło. Domingo spojrział w górę, jak gdyby wyczuwając, że patrzę, jednakże nie pomachał. Nie był typem człowieka przyjaznego, tylko gadatliwego.

Odwinąłem rękawy koszuli w obawie przed moskitami. Szlak prowadził wzdłuż grani góry pokrytej skarłowaciałymi drzewami.

Okrażał olbrzymie skały i kępy juki, której ostre liście wymierzone były w niebo jak szpady. Ciężko było iść kamienną ścieżką, toteż często zatrzymywałem się, aby złapać oddech. Poprzez skarłowaciałe dęby i sosny mogłem dostrzec purpurę gór, przez które przeprowiliłem się samochodem. Jeszcze więcej pasm górskich znajdowało się w kierunku północnym. Były duże i wyglądały jak kratery wulkanów. Odległość do nich, a tym samym ich rzeczywisty wymiar był nie do określenia; wszystkie jednak w czystym wieczornym powietrzu sprawiały wrażenie ostrości i twardości i wydawały się bliższe niż w rzeczywistości. Gdy szedłem, od czasu do czasu dostrzegałem drogę, która okrażała szczyt i schodziła długim objazdem do brzegu. Wyglądała na piekielnie złą drogę; przypuszczam, że tylko Biedermann z niej korzystał.

Zajął mi blisko godzinę, aby dotrzeć do domu Biedermanna. Dostrzegłem go dopiero, gdy przeszedłem grań. Był to mały domek nowocześnie zaprojektowany. Zbudowany był z dekoracyjnego drzewa i matowoczarnej stali z fundamentami osadzonymi w skałach, u podnóża których Ocean Spokojny rozbijał olbrzymie fale. Jedna strona domu przylegała do skrawka dżungli schodzącej wprost do brzegu. Była tam mała piaszczysta plaża, na której znajdowała się niewielka drewniana przystań. W zasięgu wzroku nie było żadnej łodzi ani samochodu.

Łańcuchem połączony płot, który otaczał obszar wokół domu, był zniszczony przez obsunięcia ziemi, a drut porwany i powyginany na tyle, że przez powstałą szparę można było przejść. Wąska wydeptana ścieżka biegła od zniszczonego płotu stromo w górę, aż do trawnika. Były tu kwiaty - białe i różowe kamelie, floribundy i, oczywiście, pnącza tropikalne o purpurowych przylistkach. Ogród był tak zaprojektowany, aby ukryć miejsce, gdzie nowa

nawierzchnia tłuczniowej drogi kończyła się podwójnym garażem i ocienioną wiatą. Nie było widać jednak żadnego samochodu, a drewniana krata blokowała białe drzwi garażu.

A więc Paul Biedermann odleciał pomimo umówionego spotkania ze mną. Nie zdziwiło mnie to. Zawsze miał w sobie coś z tchórza.

Nie miałem żadnej trudności z dostaniem się do domu. Frontowe drzwi były zamknięte, ale drabina pozostawiona na trawie dosięgała jednego z balkonów. Zsuwane okno, zabezpieczone jedynie plastikowym zaczepem, było dość łatwe do sforsowania.

Przez okno wpadała dostateczna ilość światła dziennego, abym mógł dostrzec, że wielka sypialnia jest uporządkowana i posprzątana z dbałością mogącą świadczyć jedynie o wyjeździe. Pościel była zdjęta, a olbrzymie, podwójne łóżko przykryte plastikowymi pokrowcami. Dwa małe dywaniki zwinięto w worki mające stanowić zabezpieczenie przed termitami. W koszu na śmieci znalazłem pół tuzina podartych lotniczych kwitów bagażowych z którejś poprzedniej podróży oraz trzy nowe, a także nie używane lotnicze torby na ramię, które widocznie nie były potrzebne. Lotnicze torby, stanowiące darmowy dodatek do biletów, nie należały do przedmiotów, które Biedermannowie podarowaliby służącym. Stałem nasłuchując; w domu panowała cisza. Słysząc było tylko odgłosy fal wielkiego Oceanu Spokojnego, gniewnie huczących i rozbijających się o skały poniżej domu.

Otworzyłem jedną z szaf. Pachniała środkami przeciwmolowymi. Znajdowały się tam ubrania: kremowe, lniane garnitury męskie, spodnie i swetry w jasnych kolorach, buty zrobione na zamówienie w prawidłach i specjalnych workach z wyszytym P. B. oraz szuflady wypełnione koszulami i bielizną.

W innej szafie: suknie damskie, droga bielizna owinięta w bibuły i mnóstwo butów wszystkich typów i kolorów. Na toalecie dostrzegłem zdjęcie pana i pani Biedermann w kostiumach kąpielowych, stojących na trampolinie i nieśmiało uśmiechających się. Było zrobione przed wypadkiem.

We wszystkich trzech pokojach gościnnych na górnym piętrze - każdy z oddzielnym balkonem i widokiem na ocean oraz prywatną łazienką - była zdjęta pościel. Wewnątrz domu znajdowała się galeria prowadząca do trzech sypialni, otwarta na stronę dużego hallu poniżej. Wszystkie meble były zabezpieczone przed kurzem prześcieradłami, a w kącie hallu wiadro z brudną wodą, kielnia i kilka lepkich i brudnych szmat znajdowały się w miejscu, w którym podłoga wyłożona była nowymi płytkami ceramicznymi.

Dopiero gdy wszedłem do gabinetu Biedermann, z którego roztaczał się widok na całe wybrzeże, znalazłem ślady niedawnej bytności. Był to gabinet, a dokładniej pokój umeblowany luksusowymi meblami biurowymi, których koszt zakupu może być potrącony z

podatku jako wyposażenie biura. Znajdował się tam duży głęboki fotel, barek i okazałe, drewniane biurko. W kącie stał tapczan, który w Hollywood nazywany jest „łóżkiem rozdzielającym role”. Leżały na nim nierówno poskładane prześcieradła i poplamiona poduszka. Duży kosz na śmiecie zawierał druki komputerowe i kilka egzemplarzy *Wall Street Journal*. Bardziej poufne druki były płataniną papierowych serpentyn w jasnych, plastikowych workach rozdrabniacza. W notatniku nie było notatek, również nie był używany drogi kalendarz na biurku, wydany w Rio de Janeiro a przedstawiający barwne kwiaty Południowej Ameryki - inne na każdy tydzień roku. Nie było tu żadnych książek oprócz informatorów handlowych i książek telefonicznych oraz książki z numerami teleksowymi. Paul Biedermann nigdy w szkole nie był wielkim miłośnikiem książek, zawsze jednak był dobry w rachunkach.

Jeszcze raz spróbowałem włączyć światło, ale bezskutecznie. Dom wybudowany tutaj, na końcu świata, musiał posiadać własny generator używany, gdy dom był zamieszkały. W czasie gdy przeszukiwałem pomieszczenia i nie znalazłem go, ściemniło się. Morze stało się ciemnopurpurowe i prawie znikła zachodnia linia horyzontu.

Wróciłem na górne piętro i wybrałem ostatni gościnny pokój, obok galerii, aby spędzić w nim noc. Znalazłem w szafie prześcieradło i wybierając jedno z łóżek powleczonego plastikiem, okryłem się przed mgłą, która napływała od morza. Wkrótce stało się zbyt ciemno, by czytać, a ponieważ osłabło również moje zainteresowanie dla czasopisma *Wall Street Journal*, pogrążyłem się we śnie, ukołyszany szumem fal.

Była druga trzydzieści pięć, gdy obudził mnie samochód. Zobaczyłem światła odbijające się na suficie na długo przedtem, nim usłyszałem silnik. W pierwszej chwili pomyślałem, że to tylko sen, gdy jasny snop światła znów rozbłysnął na suficie i dobiegł mnie silnik Diesla. Ani przez chwilę nie pomyślałem, że to Paul Biedermann lub ktoś z rodziny wrócił do domu. Instynktownie wyczułem niebezpieczeństwo.

Rozsunąłem szklane drzwi i wyszedłem na balkon. Zbierało się na burzę. Rzadkie, strzępiaste chmury ścięły się przepływając przez księżyc, a wiatr tak się nasilił, że jego ryk mieszał się z szumem fal rozbijających się o skały poniżej. Obserwowałem samochód. Światła były umieszczone wysoko i blisko siebie, ustawione w sposób sugerujący, że był to pojazd jeepopodobny; świadczyła o tym również łatwość, z jaką pokonywał złą drogę. Z dużą szybkością tyłem wjechał do garażu. Kierowca musiał być tutaj już przedtem.

Słychać było dwa głosy: jeden z mężczyzn miał klucz do drzwi frontowych. Przeszedłem przez gościnną sypialnię i przycupnąłem w głębi galerii, aby słyszeć o czym mówią w hallu na dole.

- Uciekł - powiedział jeden.

- Prawdopodobnie - odpowiedział drugi, jak gdyby się tym nie przejmował. Rozmawiali po niemiecku. Nie było wątpliwości co do berlińskiego akcentu Ericha Stinnesa, lecz niemiecki drugiego miał silny rosyjski akcent.

- Nie ma jego samochodu - powiedział pierwszy mężczyzna. - Co będzie, jeśli Anglicy przybyli przed nami i zabrali go ze sobą?- Minęlibyśmy ich po drodze - odpowiedział Stinnes. Zachowywał stoicki spokój. Usłyszałem jęk sofy pod ciężarem jego ciała. - Tak lepiej - westchnienie. - Nalej sobie drinka, jeśli masz ochotę. Jest w barku, w jego gabinecie.

- Ta cuchnąca droga przez dżunglę. Najchętniej wykopałbym się.

- Ty to nazywasz dżunglą? - zapytał łagodnie Stinnes. - Zaczekaj, aż znajdziesz się na Wybrzeżu Wschodnim. Gdy pojedziesz do obozu, gdzie są szkoleni bojownicy o niepodległość i będziesz wycinał za pomocą *machete* drogę przez prawdziwy las deszczy tropikalnych, a pół nocy spędzisz zdrapując pchły tropikalne ze swojego tyłka. Dopiero wtedy dowiesz się, jak wygląda dżungla.

- Wystarczy to co przeszliśmy - powiedział pierwszy mężczyzna.

Uniosłem głowę ponad balustradę galerii, aby móc ich zobaczyć. Stali przy wysokim oknie w świetle księżyca. Ubrani w ciemne garnitury i białe koszule, starali się wyglądać na meksykańskich biznesmenów. Stinnes miał około czterdziestki; był w moim wieku. Zgolił krótką przypominającą Lenina brodę, którą nosił, gdy widziałem go ostatnio, nie było jednak wątpliwości co do akcentu i surowo błyszczących oczu zza okrągłych, w złoconej oprawie, okularów.

Drugi mężczyzna był znacznie starszy, miał co najmniej pięćdziesiątkę. Nie był wąty. Ramiona miał jak zapaśnik, ostrzyżoną głowę i żywiołową energię atlety. Popatrzył na zegarek, wyjrzał przez okno, a następnie podszedł do miejsca, gdzie naprawiane były płytki ceramiczne. Kopnął kielnię tak, że prześlizgnęła się przez podłogę i z hałasem uderzyła o ścianę.

- Powiedziałem ci, żebyś nalał sobie drinka - rzekł Stinnes. Nie uległ nastrojowi drugiego mężczyzny.

- Mówiłem, że powinienes nastraszyć Biedermanna. I nastraszyłeś go. Wygląda na to, że przestraszyłeś go tak bardzo, że zwał stąd. Nie tego od ciebie oczekiwali.

- Wcale go nie straszylem - powiedział spokojnie Stinnes. - Nie posłuchałem twojej rady. Był już dostatecznie przerażony. Raczej wymagał uspokojenia. Prędzej czy później wypłynie na powierzchnię.

- Prędzej czy później - powtórzył starszy z mężczyzn. - Chcesz przez to powiedzieć, że wypłynię, gdy ty wrócisz do Europy i będzie to już czyjś problem. Gdyby ta sprawa była pozostawiona mnie, nadałbym jej bezwzględne pierwszeństwo. Zaalarmowałbym każdą ekipę KGB w Ameryce Środkowej. Nauczyłbym go, że rozkaz to rozkaz.

- Tak, wiem - powiedział Stinnes. - Dla was, którzy całe życie siedzicie za biurkiem, wszystko jest takie łatwe. Biedermann jest tylko małą częścią skomplikowanego planu... a żaden z was nie wie dokładnie co to za plan.

Była to w protekcyjny sposób udzielona nagana i cichy głos starszego mężczyzny nie taił złości. - Mówię, że jest on słabym ogniwem w łańcuchu, przyjacielu.

- Może właśnie ma nim być - odparł spokojnie Stinnes. - Być może, pewnego dnia, Angielka zleci ci wykonanie jednego ze swoich zwariowanych planów, wtedy będziesz mógł zignorować jej polecenia i udowodnić każdemu, jaki jesteś sprytny na polu bitwy. Jednak do tego czasu masz wykonywać rozkazy w sposób, w jaki ci kazano, bez względu na to, jak głupie mogą ci się wydawać. - Podniósł się. - Idę napić się, nawet jeśli ty nie masz ochoty, Biedermann ma dobre brandy.

Stinnes zniknął mi z pola widzenia, usłyszałem jak wchodzi do gabinetu i nalewa drinki. Wrócił niosąc dwa kieliszki. - To cię uspokoi, Paweł. Bądź cierpliwy, wszystko pomyślnie zostanie rozwiązane. Pewnych spraw nie można przyspieszyć. Musisz przyzwyczać się do tego. To nie tropienie moskiewskich dysydentów. - Podał starszemu mężczyźnie kieliszek i obaj się napili. - Francuska brandy. Sznapsy i piwo nie nadają się do picia, chyba że są z lodówki. - Wypił. - Och, od razu lepiej. Cieszę się, że wrócę do Berlina, nawet jeśli na krótko.

- Byłem w Berlinie w 1953 roku - powiedział starszy z mężczyzn. - Czy wiedziałeś o tym?

- Ja także byłem - rzekł Stinnes.

- W pięćdziesiątym trzecim? C» robiłeś?

Stinnes zachichotał. - Miałem tylko dziesięć lat. Mój ojciec był żołnierzem. Matka była również w armii. W czasie rozruchów byliśmy trzymeni w barakach.

- Więc nic o tym nie wiesz. Ja byłem w samym wirze wydarzeń. Wszystkie kłopoty zaczęły się od murarzy i budowlańców pracujących w stalinowskich miejscowościach. Zaczęło się od protestu przeciwko dziesięcioprocentowemu wzrostowi norm wydajności pracy. Pomaszerowali do gmachu ministerialnego na Leipzigerstrasse i domagali się spotkania z przewodniczącym partii Ulbrichtem. - Roześmiał się. Był to niski, męski śmiech. - Wysłano do nich biednego, starego ministra górnictwa. Miałem dwadzieścia lat. Byłem w

Radzieckiej Komisji Kontroli. Mój szef ubrał mnie jak niemieckiego pracownika budowlanego i wysłał, abym się zmieszał z tłumem. W całym moim życiu nie byłem tak przerażony. - Z twoim akcentem miałeś do tego całkowite prawo - rzekł Stinnes.

Kolega nie zdawał się być rozbawiony. - Trzymałem buzię na kłódkę, tylko oczy miałem otwarte. Tej nocy strajkujący przemaszzerowali obok radiostacji RIAS w Berlinie Zachodnim i chcieli, aby ich żądania były transmitowane przez zachodnią rozgłośnię. Perfidne niemieckie świnię.

- Czego żądali? - zapytał Stinnes.

- Tego co zwykle: wolnych i tajnych wyborów, obniżki norm pracy, niekarania podżegaczy. - Starszy z mężczyzn napił się trochę. Był spokojniejszy teraz, gdy miał drinka. - Poradziłem moim, aby wyprowadzili naszych chłopców, którzy oczyściliby ulice, tak jak zrobili to w 1945 roku. Kazałem im natychmiast ogłosić godzinę policyjną i wydać armii rozkaz strzelania bez ostrzeżenia.

- Nie zrobili tego jednak - powiedział Stinnes.

- Miałem tylko dwadzieścia lat. Mężczyźni, którzy walczyli na wojnie, nie mieli czasu dla dzieciaków takich jak ja. Komisja Kontroli nie była traktowana poważnie. Czekali więc całą noc mając nadzieję, że rano wszystko będzie w porządku.

- Niepokoje rozprzestrzeniły się następnego dnia.

- Około jedenastej przed południem siedemnastego czerwca zdarli czerwoną flagę z Bramy Brandenburskiej i splądrowali biura Partii.

- Armia za to utarła im nosa, prawda?

- W końcu musiała. W całym kraju były strajki: w Dreźnie, Lipsku, Jenie, Gerze, nawet w Rostocku i na bałtyckiej wyspie Rugii. Dużo czasu upłynęło, zanim sprawy zostały unormowane. Powinni byli działać natychmiast. Od tamtej pory nie żywię sympatii do ludzi, którzy mówią mi, abym był cierpliwy, gdyż wszystko zostanie pomyślnie rozwiązane.

- Czego ode mnie teraz oczekujesz? - zapytał drwiąco Stinnes. - Mam wyprowadzić chłopców, aby oczyścili ulice, tak jak zrobili to w 1945 roku? Czy mam natychmiast ogłosić godzinę policyjną i wydać armii rozkaz strzelania bez ostrzeżenia?

- Wiesz o co mi chodzi.

- Nie masz pojęcia, na czym ten cały interes polega, Paweł. Twoja kariera upłynęła ci na kierowaniu pracą maszynistek biurowych, podczas gdy moja na kierowaniu agentami w terenie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Zachowujesz się jak gwałcień, gdy my próbujemy uwodzić. Czy naprawdę uważasz, że agentów można musztrować jak pruską piechotę? Czy nie rozumiesz, że ludzie tacy jak Biedermann muszą być fantastami?

- Nigdy nie powinniśmy korzystać z agentów, którzy nie są nam politycznie oddani - stwierdził Paweł.

Stinnes podszedł do okna i wyraźnie widziałem go w świetle księżyca, jak patrzy na morze. Na zewnątrz wiatr huczał między drzewami hałaśliwie uderzając o szyby okien. Stinnes podniósł wysoko swoją szklanę i obracał ją obserwując, jak drogie brandy przywiera do szkła. - Ciągle jest w tobie pasja, która kiedyś była również we mnie - powiedział Stinnes. - W jaki sposób udało ci się pozostać wiernym tym wszystkim iluzjom, Pawle?

- Jesteś cyniczny - powiedział starszy mężczyzna. - Równie dobrze ja mogę zapytać, w jaki sposób możesz wykonywać swoją robotę bez wiary w jej sensowność.

- Wiara? - rzekł Stinnes popijając brandy i odwracając się, aby spojrzeć na swojego towarzysza. - Wiara w co? Wiara w zasadność mojej pracy czy w ideę rewolucji socjalistycznej?

- Mówisz, jak gdyby te dwie sprawy były nie do pogodzenia.

- A są do pogodzenia? Dlaczego państwo robotników i chłopów potrzebuje tak wielu policjantów takich, jak my?

- Istnieje zagrożenie z zewnątrz - powiedział starszy z mężczyzn używając standardowego sloganu partyjnego.

- Wiesz, co Brecht napisał po powstaniu czerwcowym? Mówię o Brechcie, a nie o żadnym reakcjonście zachodnim. Brecht napisał wiersz zatytułowany „Rozwiązanie”. Czy czytałeś go?

- Nie mam czasu na poezję.

- Brecht zadaje pytanie, czy rządowi nie byłoby łatwiej rozwiązać naród i samemu głosować na inny?

- Wiesz, co mówią o tobie w Moskwie? - zapytał starszy mężczyzna. - Pytają, czy ten człowiek jest Rosjaninem czy Niemcem?

- Co im odpowiadasz, gdy zadają to pytanie, Pawle?

- Nigdy przedtem cię nie spotkałem - odpowiedział. - Znałem cię jedynie ze słyszenia.

- A teraz, kiedy mnie już znasz?

- Tak bardzo lubisz mówić po niemiecku, że czasami myślę, że zapomniałeś języka rosyjskiego.

- Nie zapomniałem języka mojej matki, Pawle. Ćwiczenie niemieckiego dobrze ci zrobi. Jeszcze bardziej jest ci potrzebna konwersacja w języku hiszpańskim, twoja przerażająca hiszpańszczyzna rani mi uszy.

- Niemieckiego nazwiska używasz tak często, że zastanawiam się, czy nie wstydzisz się nazwiska swojego ojca.- Nie wstydzę się. Stinnes było moim operacyjnym nazwiskiem i zatrzymałem je. Wielu innych zrobiło to samo.

- Ożeniłeś się z Niemką. Czy Rosjanka nie była dostatecznie odpowiednia dla ciebie?

- Gdy się ożeniłem, byłem w służbie czynnej, Pawle. Jeśli pamiętam, nie było wtedy żadnych przeciwwskazań.

- Teraz słyszę, że mówisz o powstaniu siedemnastego czerwca, jak gdybyś sympatyzował z terrorystami. A co z naszymi rosyjskimi chłopcami, których krew została przelana dla przywrócenia prawa i porządku?

- Nie możesz kwestionować mojej lojalności, Pawle. Moje akta są lepsze od twoich, wiesz o tym.

- Ale ty już nie wierzysz.

- Prawdopodobnie nigdy nie wierzyłem w ten sam sposób co ty - rzekł Stinnes. - Być może na tym polega problem.

- Nie uznaję kompromisów - powiedział starszy z mężczyzn. - Albo uznajesz Zjazd Partii i jego interpretację marksizmu i leninizmu, albo jesteś heretykiem.

- Heretykiem? - zapytał Stinnes udając zainteresowanie. - *Extra ecclesia nulla salus* - poza Kościołem zbawienie nie jest możliwe. O to chodzi, Pawle? No cóż, może jestem heretykiem. To twoja strata, że Partia woli takich jak ja, podobnie jak nasza służba. Heretyk, jak ja, nie może stracić swojej wiary.

- O walkę też się nie troszczysz. Nawet nie zadałeś sobie trudu, aby przeszukać dom.

- Nie ma żadnego samochodu ani łodzi w doku. Czy myślisz, że człowiek taki jak Biedermann poszedłby pieszo przez dżunglę, która nawet ciebie tak przeraża?

- Wiedziałeś, że nie będzie go tutaj.

- Teraz jest już tysiące kilometrów stąd - rzekł Stinnes. - Jest bogaty. Tacy ludzie mogą jechać dokąd chcą i kiedy chcą. Prawdopodobnie zbyt dawno nie byłeś na Zachodzie, by zrozumieć, jak utrudnia to naszą pracę.

- Po co wlekiśmy się więc tutaj przez tę obrzydliwą dżunglę?

- Wiesz dlaczego. Przyjechaliśmy, ponieważ Biedermann zawiadomił nas, że telefonował Anglik i że on się tutaj wybiera. Przyjechaliśmy, ponieważ ta głupia kobieta w Berlinie przysłała priorytetowy teleks zeszłej nocy z poleceniem, abyśmy tu przybyli.

- A ty chciałeś udowodnić, że Berlin się myli. Chciałeś udowodnić, że masz lepsze od niej rozeznanie.

- Biedermann jest kłamcą. Stwierdzamy to nie po raz pierwszy.

- Wobec tego wracajmy - powiedział starszy mężczyzna. - Udowodniłeś, że masz słuszność, wracajmy więc do Mexico City, do elektryczności i ciepłej wody.

- Dom musi zostać przeszukany. Masz rację, Pawle. Rozejrzyj się wokół. Ja tutaj zaczekam.

- Nie mam broni.

- Jeśli ktoś cię zabije, Pawle, znajdę go.

Starszy mężczyzna zawahał się na moment, jakby chciał się spierać, jednak przystąpił do wykonywania polecenia nerwowo szperając wokół latarką, podczas gdy Stinnes obserwował go ze źle ukrywanym zadowoleniem. Wszedł także na górę, lecz był amatorem. Schronił się przed nim na balkonie. Nie musiałem trudzić się nawet do tego stopnia, gdyż błysnęła tylko latarką, aby sprawdzić, czy łóżko jest puste. Po upływie dziesięciu minut był z powrotem w hallu mówiąc Stinnesowi, że w domu nie ma nikogo. - Czy możemy teraz wrócić?

- Stajesz się łagodniejszy, Pawle. Czy w tym celu Moskwa przysłała cię na mojego asystenta?

- Dobrze wiesz, dlaczego Moskwa mnie tu wysłała - mruknął starszy mężczyzna.

Stinnes roześmiał się krótko i usłyszałem, że odstawił kieliszek na stół. - Tak, czytałem twoje akta personalne. Za „poglądy polityczne”. Co takiego zrobiłeś w Moskwie, że wydział uważa cię za niepewnego politycznie?

- Nic. Wiesz doskonale, że ten drań pozbył się mnie, gdyż odkryłem, że bierze łapówki. Pewnego dnia role się odwróca. Taki kryminalista nie może działać bez końca.

- Póki to nie nastąpi, Pawle, bardzo mi odpowiadasz. Mogę być pewien, że jako politycznie niepewny jesteś człowiekiem, który nie złoży raportu na temat moich niekonwencjonalnych poglądów.

- Jest pan moim przełożonym, majorze Stinnes - powiedział starszy z mężczyzn nadąsany.

- To prawda. A więc wracajmy. Będziesz prowadził przez kilka pierwszych godzin. Zmienię cię, gdy dotrzemy do gór. Jeśli zobaczysz coś na drodze, jedź nie zatrzymując się. Zbyt wielu ludzi próbujących ominąć oczy błyszczące w światłach reflektorów zostało zabitych.

ROZDZIAŁ IV

Gdy odjechali, nie mogłem zasnąć. Nerwowo drzemałem, gdyż ciągle wydawało mi się, że słyszę ryki i wycie ich powracającego samochodu, jakie tylko rzeczywiście zła nawierzchnia skalna może wydobyć z umęczonego, małego silnika. To był jednak tylko wiatr, ale i potem, gdy nadszedł świt i przeszła burza, wciąż nie spałem, rozbudzony szczebiotaniem i skrzeczeniem zwierząt. Przychodziły do wody szerokim, podziemnym przejściem, którego wyjście znajdowało się tuż przy domu. Przepływał tam strumień; blisko okna gabinetu Biedermanna. Przypuszczam, że lubił obserwować zwierzęta. Tej cechy charakteru Biedermanna nie znałem jeszcze.

Świt świecąc swoim mrocznym szarym światłem sprawiał, że morze wyglądało jak granit. Zszedłem do kuchni i znalazłem kilka konserw z fasolą i pomidorami. Ponieważ nie widziałem możliwości podgrzania ich zawartości, zjadłem zimne danie. Byłem głodny.

Z kuchennego okna roztaczał się widok na wioskę, z której przyszedłem. Niebo było jasnorożowe. Naliczyłem siedem sępów krążących bardzo wysoko i rozglądających się za śniadaniem. Na drzewach w pobliżu domu ptaki robiły wielki hałas, a małpy przepychające się na niższych gałęziach od czasu do czasu wjeżdżały na gałęzi do ogrodu.

Dałbym wiele za filiżankę kawy, jednak kawa w proszku rozmieszana z zimnym mlekiem z puszki nie nadawała się do wypicia. Nalałem sobie brandy Biedermanna. Była dokładnie - jak powiedział Stinnes - tak dobra, że dolałem sobie raz jeszcze.

Pokrzepiony mocnym drinkiem i okryty jednym z ekstrawaganckich, różnokolorowych swetrów Biedermanna, wybranych w jego szafie, wyszedłem z domu. Słońce zakryte chmurami dawało zimne, nie pozostawiające cienia światło, i choć przeszły już czarne chmury, wiał zimny wiatr od oceanu. Na drodze były widoczne ślady opon jeepa. Poszedłem nową drogą o tłuczniowej nawierzchni aż do bramy wyjściowej. Była otwarta, a łańcuch świeżo przecięty. Pomimo pożyczonego swetra było mi zimno i zrobiło się jeszcze zimniej, gdy okrążyłem cały dom, przeszedłem przez wewnętrzny dziedziniec osłonięty od wiatru i wspiąłem się na sam szczyt skały. Wioska i droga nie były stąd widoczne, ale unosząca się mgiełka dymu z palonego drzewa wskazywała na położenie wioski. Po Biedermannie i jego samochodzie nie było śladu. Nagle, po raz pierwszy dostrzegłem basen. Znajdował się około dwieście metrów od domu, ukryty za rzędem jałowców, posadzonych w tym celu przez jakiegoś ogrodnika.

Basen był duży i bardzo błękitny. Na samym dnie, w najgłębszym jego miejscu siedział człowiek. W pierwszej chwili pomyślałem, że został utopiony. Owinięta w tanie, szare koce postać tworzyła bezkształtny, prawie niewidoczny tobołek w ciemnej czeluści niebieskiego cienia. Dopiero gdy minąłem drewniany budynek mieszczący cztery

przebieralnie, a także urządzenia filtrujące i ogrzewcze, miałem pewność, że w basenie nie było wody.

- Hej! - zawołałem w kierunku bezwładnej postaci. - *Tu que haces?*

Bardzo powoli koce zaczęły odwijać się ukazując mężczyznę ubranego w białe wymięte spodnie i podkoszulkę reklamującą firmę Underberg. Na jednym z gołych, opalonych ramion, a także na jednej stronie twarzy widniały białe blizny. Mrugał oczami i mrużył je próbując mnie zobaczyć na tle oślepiającego nieba.

- Paulu Biedermann - zawołałem. - Co u diabła robisz w basenie?

- Przyszedł pan - powiedział. Głos miał zachrypnięty i musiał odkasłać, aby oczyścić gardło. - Czy inni odjechali? Jak się pan tutaj dostał?

- To ja, Bernard - powiedziałem. - Rozmawialiśmy przez telefon - Bernard Samson. Przyszedłem pieszo. Tak, ci dwaj odjechali dawno temu. - Musiał obserwować drogę. Nie mógł dostrzec mojego przybycia górską drogą z miejsca, w którym się ukrywał.

Zobaczyłem owiniętą kocem strzelbę myśliwską. Odstawił ją, skłonił głowę prawie do kolan i rozprostował ramiona. Potem rozcierał nogi i ręce próbując przywrócić krążenie. Cała noc na twardym, zimnym dnie cementowego basenu musiała być bardzo uciążliwa. Spojrzał w górę i uśmiechnął się rozpoznając mnie. Był to bolesny uśmiech, wykrzywiony pomarszczonymi bliznami, które widniały po jednej stronie twarzy.

- Bernard. Czy jesteś sam? - zapytał próbując nadać swojemu pytaniu brzmienie, jak gdyby nie miało ono dla niego większego znaczenia niż liczba kaw, które trzeba zamówić. Jego twarz i ramiona były niebieskie; to światło odbijało się od wymalowanych ścian basenu.

- Odeszli - powiedziałem. - Chodź, włącz prąd i zrób mi filiżankę kawy.

Przewiesił strzelbę przez ramię i wszedł po drabinie pustego basenu. Koc pozostawił na dnie. Ciekaw byłem, czy zamierza tam spędzić kolejną uciążliwą noc.

Poruszał się jak automat. Gdy znalazł się wewnątrz domu, pokazał mi wszystko, co powinienem sam znaleźć. Była to gazowa butla do gotowania, generator do oświetlenia i krótkofalowe radio Sony zasilane przez baterie. Zagotował wodę i w ciszy odmierzał kawę, jak gdyby chciał zyskać jak najwięcej czasu nim zaczniemy rozmawiać. Nawet wtedy, gdy we dwóch siedzieliśmy w gabinecie trzymając w rękach filiżanki z mocną, czarną kawą, nadal nie spieszył się z wyjaśnieniem swojego osobliwego zachowania. Nie odzywałem się. Czekałem, żeby on zaczął mówić. To była lepsza metoda. Ciekaw byłem, jak zacznie, a co ważniejsze, czego nie powie.

- Mam wszystko - odezwał się Paul Biedermann. - Mnóstwo pieniędzy, zdrowie i żonę, która została ze mną po wypadku. Nawet po tym, gdy ta dziewczyna zginęła w moim samochodzie.

Trudno było uwierzyć, że to ten sam nerwowy uczeń, którego znałem w Berlinie. Nie była to sprawa mocnego, amerykańskiego akcentu, jaki nabył w drogiej szkole na Wybrzeżu Wschodnim, lecz coś w postawie i sposobie bycia. Paul Biedermann stał się Amerykaninem, tak jak tylko zdolni są do tego Niemcy.

- To była paskudna sprawa - powiedziałem.

- Trzy dni byłem nieprzytomny. W szpitalu spędziłem sześć miesięcy licząc rekonwalescencję. Sześć miesięcy. Nienawidzę szpitali. - Napił się kawy. Była to mocna, meksykańska kawa, z której Biedermann przyrządził diabelski wywar powodujący dzwoniące zęby.

- Wtedy zostałem uwikłany w sprawę z tymi draniami i od tego czasu nie spałem spokojnie. Wierzysz, Bernardzie? To szczerą prawdą, gdy to się zaczęło, naprawdę nie spałem dobrze.

- Tak, oczywiście - odpowiedziałem. Nie zamierzałem siedzieć z otwartą buzią. Chciałem sprawiać wrażenie zupełnie nie zdziwionego, a nawet prawie znudzonego. Bardzo mnie to jednak interesowało, szczególnie gdy usłyszałem Stinnesa i jego kumpla rozmawiających o Biedermannie, jako o agencie KGB.

- Rosjanie - powiedział Biedermann - szpieczy i cały ten interes. Wiesz, o czym mówię, prawda? - Patrzył ponad moim ramieniem, jakby chciał zobaczyć zwierzęta i ptaki na drzewach za oknem.

- Wiem, o czym mówisz, Paul - odpowiedziałem.

- Ponieważ sam siedzisz w tym po uszy, prawda?

- W pewnym sensie - odparłem.

- Rozmawiałem z moją siostrą Poppy. Spotkała cię na przyjęciu w domu jednego z czołowych szefów berlińskiej szpiegów. Ty jesteś jednym z nich, Bernardzie. Prawdopodobnie zawsze byłeś. Czy dlatego twój ojciec posłał cię do szkoły w Berlinie zamiast odesłać do Anglii, tak jak inne brytyjskie rodziny odsyłały swoje dzieci, aby tam chodziły do szkoły?

- Kim oni są, Paul? Kim są ci mężczyźni, którzy przyjechali w nocy?

- Nie zauważyłem twojego przybycia. Byłem poza domem ze strzelbą polując na jaszczurki. Nie cierpię jaszczurek, a ty? Ci Rusecy są jak jaszczurki, prawda? Szczególnie ten w okularach. Przypuszczałem, że przyjadą i nie myliłem się.

- Czy znasz ich dobrze?

- Przekazują mnie sobie jak paczkę. Miałem do czynienia z tak wielu Rosjanami, że prawie straciłem rachubę. Ci dwaj zostali przysłani z Berlina. Ten z silnym berlińskim akcentem nazywa siebie Stinnes, lecz naprawdę nie jest Niemcem; jest Rosjaninem. Drugi nazywa siebie Paweł Moskwin. Brzmi to jak fałszywe nazwisko, prawda? Dotychczas nie udało mi się stwierdzić, czy pracują dla Moskwy, czy należą do wschodnioniemieckiego wywiadu. Jak myślisz, Bernardzie?

- Moskwin oznacza: człowiek z Moskwy. To może być prawdziwe nazwisko. Czy mają osłonę dyplomatyczną?

- Twierdzą, że tak.

- Są zatem Rosjanami. KGB daje prawie wszystkim swoim pracownikom papiery dyplomatyczne. Wschodnie Niemcy nie dają. Ich agenci pracują głównie w Niemczech Zachodnich; przerzucają ich między udającymi się tam uchodźcami.

- Dlaczego?

- Jest to część planu warunkowego. Agenci z Niemiec Wschodnich są trudni do odnalezienia na terenie Niemiec Zachodnich. Nie muszą się ukrywać. W innych częściach świata natomiast wschodnioniemiecka sieć działa, gdy Rosjanie z dyplomatycznymi dokumentami zostają wykryci i wykopani.

- Nigdy nie odpowiadają na żadne pytania. Myślałem, że zostawią mnie w spokoju, teraz, gdy większą część roku spędzam w Mexico. - Nie większość czasu, ale większość roku. Większość roku finansowego; istotna tu była finansowa miara czasu.

- W jaki sposób zostałeś uwikłany w sprawę z Rosjanami, Paul? - zapytałem ostrożnie dobierając jego własne słowa.

- Co miałem robić? Połowa mojej rodziny wciąż mieszka w Rostocku. Miałem powiedzieć, żeby poszli sobie do diabła i pozwolić, aby dobrali się do moich ciotek i wujów?

- Tak, to właśnie powinieneś zrobić - powiedziałem.

- A więc nie zrobiłem tego - rzekł Biedermann. - Prowadziłem z nimi grę. Powiedziałem, że nie zajmuję się niczym poważnym, a gdy pytali o sprawy związane z kierowaniem fabrykami, nie dowiedzieli się niczego istotnego.

- Do czego zdołali cię nakłonić?

- Wymieniałem pieniądze. Nigdy nie żądali ode mnie pieniędzy - wydawało się, że sami mają ich mnóstwo; chcieli, abym marki niemieckie wymieniał na dolary, szwedzkie korony na meksykańskie pesos i odwrotnie, waluty Ameryki Łacińskiej na holenderskie guldeny.

- Mogli to samo zrobić w kasie wymiany walutowej w Berlinie Zachodnim.

Uśmiechnął się spoglądając na coś poza mną i upił łyk kawy. - *Ja* - powiedział zapominając przez chwilę, że rozmawiamy po angielsku. Dotknął policzka, jak gdyby odkrywając po raz pierwszy straszne blizny.

- Jest pewna różnica; pieniądze były przysyłane do mnie dużymi przekazami gotówkowymi, a ja musiałem przekazywać je jako małe datki i darowizny.

- W jaki sposób je przekazywałeś?

- Poczta.

- Jako małe kwoty?

- Sto dolarów, dwieście dolarów. Nigdy nie większe niż pięćset dolarów - lub odpowiednie sumy w innych walutach.

- Gotówką?

- O tak, gotówką. Absolutnie żadnych czeków. - Wiercił się niespokojnie i miałem wrażenie, że żałuje swojego wyznania. - Banknoty o dużych nominałach w zwykłych kopertach. Żadnych listów poleconych; oznaczałoby to zbyt wiele nazwisk, adresów i druków pocztowych. Twierdzili, że to zbyt ryzykowne dla tego typu działalności.

- Dokąd były wysyłane te wszystkie pieniądze?

Odstawił na stół kawę i zaczął szukać w kieszaniach spodni papierosów. Wstał i rozejrzał się dookoła. W końcu znalazł srebrną papierośnicę na stole. Wziął jednego papierosa. Podsunął mi otwarte pudełko. Był to oczywiście wykrętny sposób grania na zwłokę, który psychologowie nazywają przeniesioną aktywnością. Aby uprzedzić podobny proceder z poszukiwaniem zapalek, rzuciłem mu moje. Palił, a potem nerwowo odpędzał od siebie dym. - Wiesz, dokąd one docierają, Bernardzie. Związki zawodowe, ruchy pokojowe, grupy terrorystyczne. Moskwa nie może oficjalnie przekazywać im funduszy. Pieniądze muszą pochodzić od „przeciętnych ludzi” z całego świata. Nie urodziłeś się wczoraj, Bernardzie. Wszyscy wiemy, w jaki sposób się to robi.

- Tak, wszyscy wiemy, jak to się robi, Paul. - Odwróciłem się, aby go widzieć. Na bocznym stoliku stała butelka brandy, którą ze Stinnesem znacznie opróżniliśmy. Zastanawiałem się, czy to ona przyciągała jego wzrok, gdy spoglądał ponad moim ramieniem. Teraz na nią nie patrzył. Patrzył na mnie.

- Daruj sobie te cholerne szyderstwa. Mam krewnych, o których muszę się troszczyć. Gdybym nie wysyłał tych przeklętych datków, kto inny by to dla nich zrobił. Nie zmieni to historii świata, prawda? - Wciąż chodził naokoło pokoju patrząc na meble, jakby widział je po raz pierwszy.

- Nie wiem, co to może zmienić, Paul. Otrzymałeś bardzo staranne wykształcenie - szkoły w Szwajcarii, szkoły w Ameryce i dwa lata podyplomowych studiów w Yale. Mówiłeś mi, że jesteś gotów zmienić historię świata.

- Nie byłeś taki wyniosły i potężny w dawnych czasach. Nie byłeś tak nadęty, gdy sprzedawałeś mi to stare ferrari, które cały czas się psuło.

- To był dobry samochód. Nie miałem z nim żadnych kłopotów - stwierdziłem. - Sprzedałem go tylko dlatego, że wyjeżdżałem do Londynu. Powinieneś bardziej o niego dbać. - Jaką miał pamięć; całkiem zapomniałem, że sprzedałem mu samochód. Może w ten sposób bogaci stają się bogatsi pamiętając w najdrobniejszych szczegółach każdą transakcję, którą zawarli.

Trzymał papierosa w ustach i wciąż stojąc, obracał w palcach klucze od komputera, jakby miał zamiar je użyć. - Staje się to coraz bardziej trudne - powiedział. Obrócił się, aby spojrzeć na mnie. Dym z papierosa niczym wspaniały welon spowił jego twarz i wciskał się do oczu powodując ich mrużenie. - Teraz, gdy Meksykanie znacjonalizowali banki i peso spadł na łeb na szyję, pojawiły się nie kończące się przepisy dotyczące wymiany obcych walut. Nie jest łatwo prowadzić tego typu transakcje bez zwracania na siebie uwagi.

- Powiedz więc o tym swoim Rosjanom - poradziłem.

- Nie chcę, aby oni rozwiązywali moje problemy. Chciałbym wycofać się z tego całego interesu.

- Powiedz im to.

- Rzykując, co przydarzy się moim krewnym?

- Mówisz, jakbyś był wyższej klasy szpiegiem - powiedziałem. - Gdy powiesz im, że masz dość, zakończy to całą sprawę.

- Zabiją mnie - stwierdził.

- Nonsens - odparłem. - Nie jesteś dla nich na tyle ważny, aby tracili czas i podejmowali taki wysiłek.

- Zrobią ze mnie pokazówkę. Poderzną mi gardło i dopilnują, aby każdy się dowiedział dlaczego.

- Nie zrobią z ciebie pokazówki - powiedziałem. - Jaki by to miało sens? Ostatnia rzecz, którą chcieliby zrobić, to zwrócić uwagę na swoją tajną sieć finansową. Dopóki myślą, że jesteś dyskretny, pozwolą ci odejść, Paul. Będą się irytowali i pryfciali, wrzeszczeli i grozili w nadziei, że dostatecznie cię przestraszą, abyś zmienił zdanie. Gdy przekonają się jednak, że jesteś zdecydowany z tym skończyć, pogodzą się z tym.

- Chciałbym w to wierzyć. - Wypuścił kłęby dymu. - Jeden z nowych urzędników w moim biurze, w Mexico City, Niemiec, zadawał mi pytania dotyczące pewnych kwot, które wysyłałem. To tylko kwestia czasu...

- Nie pozwalasz chyba, aby personel w twoim biurze adresował koperty?

- Nie, oczywiście, że nie. Adresuję koperty na maszynie adresowej. Nie mogę siedzieć całą noc wypisując adresy na kopertach.

- Jesteś głupcem, Paul.

- Wiem - odpowiedział przygnębiony. - Ten niemiecki dzieciak księgował listę z adresami i spostrzegł, że instytucje charytatywne i związki zawodowe są kodowane w ten sam sposób. Te kody różniły się od wszystkich pozostałych adresów. Wy tłumaczyłem mu, że była to część mojej gwiazdkowej listy dobroczynnej, nie jestem jednak pewien, czy mi uwierzył.

- Powinieneś go przenieść do innego swojego biura - powiedziałem.

- Zamierzam wysłać go do Caracas, lecz to faktycznie nie rozwiąże problemu. Zwróci na to uwagę inny urzędnik. Nie mogę odręcznie adresować kopert zostawiając wszędzie dowody na piśmie, prawda?

- Dlaczego mówisz mi o tym wszystkim, Paul?

- Musiałem z kimś o tym porozmawiać.

- Chcę znać prawdę - stwierdziłem.

Zgasił papierosa i powiedział: - Poinformowałem Rosjan, że brytyjska służba wywiadowcza stała się podejrzliwa. Wymyśliłem opowieści o nieznanym przeprowadzających dochodzenia w różnych biurach.

- Czy uwierzyli w to?

- Rozmowy telefoniczne; zawsze mówiłem, że dochodzenia były przeprowadzane przez telefon. Nie musiałem więc opisywać niczyjego wyglądu. - Podszedł do bocznego stolika i wziął butelkę brandy. Postawił ją w kredensie i zamknął drzwiczki. Była to zwykła czynność pedantycznego człowieka, który nie lubi widoku wystawionych butelek z alkoholem w swoim gabinecie.

- Bardzo mądrze - powiedziałem, choć uważałem, że taki pomysł zabrzmiał bardzo nieprzekonująco dla każdego doświadczonego oficera.

- Wiem, że musieliby mnie zawiesić, gdybym był przesłuchiwany.

- Czy rozmowa ze mną jest częścią twego planu? Poinformowałeś ich o naszej rozmowie telefonicznej? Czy to ona natchnęła cię tym pomysłem? Pewnie dlatego przyjechali tutaj ubiegłej nocy?

Nie odpowiedział na moje pytania, co potwierdziło moje domysły. Biedermann ubzdurał sobie, że Brytyjczycy staną się podejrzliwi tylko dlatego, że zatelefonowałem do niego.

Powiedział: - Jesteś kimś w szpiegowskim światku, sam się do tego przyznałeś. Zdaję sobie sprawę, że nie pełnisz żadnych kierowniczych funkcji, ale z pewnością znasz ludzi, którzy je pełnią. Jesteś jedynym kontaktem, jaki posiadam.

Chrząknąłem. Nie byłem pewien, czy to była szczerza opinia Paula Biedermanna, czy też miał nadzieję sprowokować mnie, abym zadeklarował swoją władzę i wpływy.

- Czy mogę liczyć na twoją pomoc? - spytał. Skończyłem kawę i wstałem. - Skopiuj dla nas listę z adresami, Londyn może być nią zainteresowany, a ja dopilnuję, że Bonn zostanie poinformowane, że prowadzimy dochodzenie w twojej sprawie. Staniesz się tym, co wywiad NATO nazywa „nietykalnym”. Żadna z innych sił bezpieczeństwa nie będzie przesłuchiwała cię bez zawiadomienia nas o tym. Szybko dotrze to do twoich szefów.

- Chwileczkę, Bernard. Nie chcę, aby Bonn ograniczało moją swobodę poruszania się czy otwierało moją korespondencję.

- Nie można mieć wszystkiego, Paul. „Nietykalny”, to najniższa kategoria, jaką mamy. Istnieje bardzo niewielka możliwość, aby Bonn uznało twoją sprawę na tyle interesującą, żeby się nią zająć, zostawią ją nam.

Biedermann nie wyglądał na bardzo zachwyconego pomysłem, z powodu którego miała ucierpieć jego reputacja, zdawał sobie jednak sprawę, że była to najlepsza oferta, jaką mógł otrzymać. - Nie próbuj zrobić ze mnie podwójnego agenta - powiedział.

- Dlaczego miałbym to robić?

- Nie jestem na sprzedaż dla tych, którzy oferują najwyższą stawkę. Chcę się z tego wycofać. Nie zamierzam zamienić szefa moskiewskiego na szefa londyńskiego.

- Rozśmieszasz mnie, Paul - odpowiedziałem. - Naprawdę wydaje ci się, że jesteś arcyszpiegiem, prawda? Czy jesteś pewien, że chcesz się wycofać, a może chcesz w to wejść głębiej?

- Potrzebna jest mi pomoc, Bernardzie.

- Gdzie ukryłeś samochód?

- Można jechać brzegiem, gdy jest odpływ.

Powinienem być o tym pomyśleć. Przyptyw zmywa ślady opon. To wywiodło w pole Stinnesa i jego kumpla. Czasami amatorzy mogą nauczyć czegoś ekspertów. - Teraz jest odpływ - stwierdziłem. - Czy możesz wziąć samochód i podwieźć mnie do wioski, zanim ktoś nie wynajmie mojego chevy jako schowka na klejnoty.

- Zatrzymaj sweter - powiedział - do twarzy ci w nim.

ROZDZIAŁ V

Muy complicado - powiedział Dicky. Łokciami torowaliśmy sobie drogę przez olbrzymi, kamieniami wybrukowany plac, który dwa razy w tygodniu stawał się jednym z najbardziej zatłoczonych ulicznych targów w Mexico City, a Dicky słuchał mojego sprawozdania z wycieczki do domu Paula Biedermanna. Dicky nazywał to połączeniem interesu z przyjemnością. - To bardzo cholernie skomplikowane - powiedział po namyśle. W ten sposób oznajmiał, że nic nie rozumie.

- Wcale nieskomplikowane - odparłem. Uznałem opowieść Biedermanna za deprymująco prostą - być może zbyt prostą, aby w całości mogła być prawdziwa, ale nie za skomplikowaną.

- Biedermann ukrywający się całą noc w jakimś cholernym basenie ze strzelbą myśliwską? - powiedział Dicky z ponurą ironią. - Nie, nie, wcale nieskomplikowane, oczywiście. - Ogryzał przez chwilę paznokcie małego palca, a teraz przyglądał mu się. - Nie powiesz mi, że wierzysz w tę całą historię?

Słońce prażyło. Wysokie chmury cumulusowe rozbudowały się na wschód i wilgotność stawała się nie do zniesienia. Schodziliśmy w dół wzdłuż szeregu kramów, na których sprzedawano używane wyroby żelazne, od starożytnych lampek oliwnych począwszy do fałszywych medali nazistowskich. Dicky zatrzymał się, by przyjrzeć się niektórym połamanym glinianym figurkom, które, jak głosił napis, pochodziły od starożytnych Olmeków. Podniósł jedną i przyglądał się jej. Wyglądała na zbyt nową, aby mogła być autentyczna; to samo jednak można powiedzieć o wielu eksponatach w Muzeum Narodowym.

Dicky podał ją mnie i poszedł dalej. Odłożyłem ją z powrotem na miejsce obok innych rupieci. W moim życiu było już zbyt wiele połamanych elementów. Znalazłem Dicky'ego pochylonego nad koszykiem pełnym posrebrzanych bransolet. - Muszę przywieźć do Londynu jakieś drobne upominki.

- Która część opowiadania Biedermanna, twoim zdaniem, nie jest prawdziwa? - zapytałem.

- Nie do ciebie należy zadawanie pytań - warknął Dicky. Nie chciał być w Mexico. Chciał być w Londynie mając pewność, że jego stanowisko jest bezpieczne. W jakiś przewrotny sposób winił mnie za swoje położenie, choć jeden Bóg wie, że nikt nie pomachałby mu na pożegnanie z większą przyjemnością.

Zaczął targować się z Indianką siedzącą po turecku przy regionalnej biżuterii. Zgodził się kupić sześć drobiazgów po długich dyskusjach cenowych. Przykucnął i zaczął pieczołowicie sortować biżuterię, aby wybrać z niej sześć najlepszych sztuk.

- Pytam, w co wierzysz, a w co nie - powiedziałem. - Do diabła, Dicky, jesteś szefem. Powinienem znać twoje zdanie.

Wciąż nachylony spojrział na mnie spod rzęs w sposób, który świadczył, że z trudem panuje nad nerwami. Świadomie prowokowałem go. - Myślisz pewnie, że rozbijałem się po Los Angeles marnując czas i pieniądze Departamentu, prawda? - Dicky od czasu powrotu z Kalifornii przypominał wyglądem bywalca Hollywood. Zniknęły spłowiałe dzinsy, zastąpiły je obcisłe spodnie w pasy i zielona podkoszulka safari z krótkimi rękawami oraz pętlami, w których umieszcza się naboje na nosorożca.

- Dlaczego miałbym tak myśleć?

Usatysfakcjonowany wyborem bransolet, odliczył meksykańskie pieniądze i zapłacił za nie. Uśmiechnął się i włożył bransolety do kieszeni koszuli. - Widziałem się z Frankiem Harringtonem w Los Angeles. Nie wiedziałeś, że zamierzam się z nim spotkać, prawda?

Frank Harrington stał na czele Berlińskiej Jednostki Operacyjnej. Był starym, doświadczonym pracownikiem *Whitehallu*, z wpływami, które się rzeczywiście liczą na samej górze. Nie spodobał mi się pomysł wymykania się Dicky'ego na spotkanie, z którego celowo wykluczono mnie. - Nie, nie wiedziałem.

- Frank miał uczestniczyć w pewnym zebraniu CIA i wierciłem mu dziurę w brzuchu, aby porozmawiał o Stinnesie. - Doszliśmy do końca rzędu z kramami; Dicky obrócił się i wszedł między następne stragany z jaskrawokolorowymi owocami i jarzynami po jednej i połamanymi meblami po drugiej stronie. - To nie jest jeden z wielu meksykańskich targów ulicznych - powiedział Dicky, który nalegał, abyśmy tu przyszli. - To *tianguis* - targ indiański. Niewielu turystów ma możliwość zobaczenia go.

- Byłoby lepiej, gdybyśmy przyszli wcześniej. Zawsze jest cholernie gorąco w porze lunchu.

Dicky prychnął pogardliwie. - Nie mogłem się wybrać, dopóki nie odbyłem mojego codziennego treningu i nie zjadłem przyzwoitego śniadania.

- Może powinniśmy znaleźć hotel, tutaj, w mieście. Przejazdy w tę i z powrotem do Cuernavaca pochłaniają mnóstwo czasu.

- Kilka kilometrów biegu każdego ranka dobrze by ci zrobiło, Bernardzie. Przybrałeś znacznie na wadze. To z powodu tych wszystkich ciężko strawnych potraw, które jadasz.

- Lubię ciężko strawne potrawy - rzekłem.

- Nie bądź śmieszny. Spójrz na te cudowne świeże warzywa i wyśmienite owoce. Popatrz na te wielkie strąki chili. Występują w pięćdziesięciu różnych odmianach. Żałuję, że nie wziąłem z sobą kamery.

- Czy Frank wie coś o Stinnesie?

- O bogowie! Frank zna każdego w Berlinie, wiesz o tym, Bernardzie. Frank twierdzi, że Stinnes jest jednym z ich najbystrzejszych ludzi. Posiada grube akta dotyczące zarówno samego Stinnesa, jak wszystkich jego działań na terenie całego świata.

Skinąłem głową. Frank zawsze twierdził, że ma grube akta dotyczące każdej sprawy, gdy był z dala od swojego biura. Gdy tylko znalazł się w Berlinie, „grube akta” stawały się małą różową karteczką z napisem „Informacje o Banku Danych”. - Poczciwy, stary Frank - powiedziałem.

Część targu znajdująca się poza stoiskami warzywnymi zajęta była przez kramy z żywnością. Prawie każdy na targu coś jadł. Jedli kupując, jedli sprzedając, jedli gawędząc, jedli nawet paląc i pijąc. Niektórzy bardziej zaangażowani w sprawę jedzenia spożywali posiłek na siedząco i dla nich miejsca były zabezpieczone; krzesła i taborety rozmaitego rodzaju, wieku i wielkości, które poza swoją ułomnością nie miały nic wspólnego.

Na większości kramów stary dymiące garnki, z których serwowano potrawy będące mieszaniną ryżu, drobiu, wieprzowiny i wszelkich możliwych gatunków fasoli. Były również grille na węgiel drzewny uginające się pod ciężarem skwierczącego mięsa, które napępniały powietrze dymem i smakowitymi zapachami. Placki kukurydziane, nieodzowne dla kuchni meksykańskiej, były zjadane natychmiast, gdy tylko zdążono je zagnieść, zwinąć i upiec. Do Dicky'ego podeszła stara kobieta i podała mu jeden. Dicky zmieszał się i próbował pozbyć się jej.

- Chce, żebyś dotknął ciasto i podziwił jego kolor - powiedziałem.

Uśmiechnął się do niej szeroko, wziął placek w palce, jak gdyby chciał go rozłamać na trzy części, a następnie oddał z powrotem, powtarzając kilkakrotnie: - *Gracias, adios*.

- Stinnes wspaniale mówi po hiszpańsku - powiedziałem. - Czy Frank mówił ci coś na ten temat?

- Miałeś rację co do Stinnesa. Jeździł na Kubę, aby rozwiązywać niektóre ich problemy bezpieczeństwa. Robił to tak dobrze, że stał się karaibskim doradcą KGB na początku lat siedemdziesiątych. Był wszędzie, gdzie byli wysłani kubańscy żołnierze - mnóstwo więc podróżował.

- Czy Frank wie, dlaczego Stinnes jest tutaj?

- Myślę, że na to pytanie już sam odpowiedziałeś - rzekł Dicky. - Jest tutaj, aby kierować twoim przyjacielem Biedermannem. - Spojrzał na mnie, a gdy nie odpowiedziałem, zapytał: - Czy nie uważasz tak, Bernardzie?

- Zarządzając niewielkimi kwotami, aby wesprzeć związki zawodowe lub sfinansować organizację antynuklearną? Nie jest to najważniejsze zajęcie dla jednego z najinteligentniejszych ludzi z KGB, prawda?

- Nie jestem taki pewien - powiedział Dicky. - Sprawy Ameryki Środkowej są traktowane jako ściśle priorytetowe przez KGB, nie możesz temu zaprzeczyć, Bernardzie.

- Pozwól ująć to inaczej - rzekłem. - Sfingowane przepływy finansowe są robotą administracyjną. Nie jest to zajęcie dla Stinnesa z jego znajomością języków i latami doświadczeń w pracy operacyjnej.

- Ho, ho - rzekł Dicky. - Przytyk, przytyk, co? Chcesz powiedzieć, że wy, faceci z biegłą znajomością języków i doświadczeniem w terenie, marnujecie się w pracy administracyjnej, którą ja się zajmuję?

Tak właśnie dokładnie myślałem, ponieważ jednak nie zamierzałem powiedzieć tego głośno, zaprzeczyłem.

- Dlaczego nosi niemieckie nazwisko? - zapytałem. - Dlaczego taki człowiek pracuje poza Berlinem? Musi mieć ze czterdzieści lat - przełomowy wiek dla ambitnego mężczyzny. Dlaczego nie jest w Moskwie, gdzie rzeczywiście zapadają wielkie decyzje?

- *Si maestro* - powiedział bardzo wolno Dicky. Popatrzył na mnie kpiąco przesuwając opuszką palca wzdłuż swoich wąskich bladych ust, jak gdyby powstrzymując się od uśmiechu. Ja przeciwnie, zamiast ukryć swoje własne uczucia, uparcie identyfikowałem się ze Stinnesem. Miałem również czterdzieści lat i chciałem być tam, gdzie podejmowane są wielkie decyzje. Dicky poważnie pokiwał głową. Mógł nie być zbyt biegłym w językach i w pracy w terenie, za to w rozgrywkach polityki biurowej był niezrównany. - Frank Harrington to wyjaśnił. Stinnes - prawdziwe nazwisko Nikołaj Sadoff - ożenił się z niemiecką dziewczyną, która nie zdołała opanować języka rosyjskiego. Przez pewien czas mieszkali w Moskwie, lecz była tam bardzo nieszczęśliwa. W końcu Stinnes poprosił o przeniesienie. Mieszkają we Wschodnim Berlinie. Frank Harrington uważa, że przydzielone mu zadanie w Mexico City wiąże się z bardzo krótkim jego pobytem tutaj.

- Tak, mówił, jakby wkrótce miał wyjechać - „gdy pojedę z powrotem do Europy” - powiedział.

- Mówił także, że Angielka zleciła mu zadanie związane z jednym z jej zwariowanych projektów, prawda?

- Mniej więcej - odpowiedziałem.

- Obaj wiemy, kto jest tą Angielką, prawda? Twoja żona kieruje tą operacją. To twoja żona przysłała teleks z Berlina, który niechętnie wykonali. Czy mam rację?

Nic nie odpowiedziałem.

Ze ściągniętymi ustami i zwężonymi oczami Dicky wbił we mnie wzrok.

- Tak czy nie?

- Prawdopodobnie chodzi o Fionę - powiedziałem.

- Dobrze, cieszę się, że w tej kwestii jesteśmy zgodni - odparł Dicky z sarkazmem. Dopiero gdy usłyszałem pogardę w jego głosie, zdałem sobie sprawę, że w równym stopniu nienawidzi roboty ze mną, co ja z nim. W londyńskim biurze nasze stosunki były znośne, lecz w pracy tego typu każde, niewielkie nawet nieporozumienie doprowadzało do starcia. Dicky odwrócił się ode mnie i wielką uwagę poświęcił różnorodnym garnkom z gulaszem. Jeden z właścicieli straganu otworzył pokrywę, abyśmy mogli poczuć zapach.

- Powąchaj to - powiedziałem. - Jest tu dostateczna ilość chili, żeby wyprawić cię na orbitę.

- Raczej wyprawić na tamten świat - rzekł Dicky, szybko posuwając się naprzód. Obiad u Volkmannów zmniejszył jego apetyt na chili. - Nasz przyjaciel Biedermann zamierza wywieść Rosjan w pole. Zaczął snuć opowieści o brytyjskich szpiegach telefonujących do niego, a kto wie o jakich jeszcze innych bzdurach. To ich zdenerwowało i Stinnes został wysłany, aby doprowadzić Biedermanna do porządku.

- Czy to właśnie powiedział Frank?

- Nie, takie jest moje zdanie. To oczywiste. Nie rozumiem, dlaczego jesteś taki podejrzliwy. Faktycznie, nie jest to może ważna sprawa, ale ci ludzie z KGB lubią małe, miłe przejażdżki do Meksyku - świeżą sałatkę z homara, kąpiel w Pacyfiku jako urozmaicenie w pracy. Stinnes nie należy do wyjątków.

- To wszystko nie ma sensu. Biedermann jest bogaty, to człowiek sukcesu; ale równocześnie jest człowiekiem bez charakteru i ma rozwodniony umysł. Nie dostrzegam żadnej motywacji dla jego działania, gdyż z pewnością nie potrzebuje pieniędzy.

- Biedermann obawia się o swoją rodzinę. Czy możemy tutaj zjeść? Niektóre z tych potraw wyglądają naprawdę dobrze. Spójrz na tę. - Przeczytał podpis. - Co to jest *carnitas*?

- Duszona wieprzowina. Podaje się ją na *chricharrones*, wieprzowych skwarkach. Najpierw je się mięso, a potem pozostałą część dania. Biedermann nie poczęstowałby tym daniem swojej rodziny, a już z pewnością nie swoich dalekich krewnych w Rostocku.

- Pójdziemy do końca i sprawdzimy, co jest jeszcze, a potem wrócimy i skosztujemy tego dania - zaproponował Dicky. Zawsze potrafił mnie zaskoczyć. Stwierdziłem, że tym razem reprezentuje typ turysty *gringo* chcącego spożyć posiłek na *fonda*. - A jaka jest twoja teoria?

- Nie mam żadnej teorii - odpowiedziałem. - Ludzie stają się agentami w różny sposób. Niektórzy w oczekiwaniu na okres powszechnego szczęścia w socjalizmie... niektórzy z nienawiści do swoich rodziców, inni ze złości na firmę udzielającą kredytów za to, że ich zniszczyła. Niektórzy chcą po prostu więcej pieniędzy. Zwykle o początku decyduje przypadek. Człowiek odkrywa, że ociera się o sprawę dyskretną i znaczącą. Zaczyna zastanawiać się nad wykorzystaniem tej sposobności, aby uzyskać więcej pieniędzy. W ten sposób staje się oddanym komunistą. Czy Biedermann pasuje do tej koncepcji? Gdzie są jego tajemnice? Jaka jest jego motywacja?

- Poczucie winy - odparł Dicky. - Czuje się winny z powodu bogactwa.

- Gdybyś kiedykolwiek poznał Paula Biedermanna, zrozumiałbyś, jaki świetny dowcip powiedziałeś.

- W takim razie może szantaż?

- Z jakiego powodu? - Seksu.

- Paul Biedermann jeszcze zapłaciłby ludziom, żeby rozgłaszali, że jest maniakiem seksualnym. Bogaty playboy - takie chciałby mieć o sobie wyobrażenie.

- Pozwalasz, aby zdecydowana antypatia do Paula Biedermanna wpływała na twoje sądy, Bernardzie. Jest agentem, takie są fakty. Słyszałeś rozmowę dwóch ludzi z KGB. Jest agentem; nic dobrego nie wyniknie z twoich usiłowań przekonania samego siebie, że jest inaczej.

- Ależ oczywiście, że jest - powiedziałem. - Nie jest jednak agentem tej klasy, żeby musiał nim kierować taki człowiek jak Stinnes. To mnie właśnie zastanawia.

- Twoje doświadczenie powoduje, że przeceniasz wymogi stawiane agentom. Spróbuj na to spojrzeć z ich punktu widzenia: bogaty, amerykański biznesmen - ktoś, kogo lokalne gminy niechętnie będą niepokoić - odizolowany dom na samotnym, rozległym wybrzeżu w Zachodnim Mexico, niedaleko od drogi do stolicy. A przez morze, niedaleko od Władystoku.

- Myślisz o przerwaniu broni?

- Człowiek o reputacji pijaka, który tak brutalnie obchodził się ze służącymi, że został sam. Żona i dzieci często poza domem. Dogodny brzeg i dostatecznie duża przystań dla dużej motorówki.

- Mów dalej, Dicky - powiedziałem. - W kategoriach Biedermanna, to tylko wakacyjny domek. To miejsce, do którego przybywa, aby przeczytać *Wall Street Journal* i spędzić koniec tygodnia rozważając możliwości szybkiego zarobienia jednego lub dwóch milionów.

- Przez pół roku dom jest kompletnie pusty. Wyłącznie do dyspozycji Stinnesa i jego kompana. Wiemy, że broń przedostaje się z Kuby na wschodnie wybrzeże Mexico i dalej transportowana jest lekkim samolotem. Łatwiej jest przerzucić ją przez Pacyfik bezpośrednio z kraju, w którym jest produkowana. - Doszliśmy do końca straganów z żywnością i Dicky zainteresował się kramami, na których były wyeksponowane zdjęcia. Były tam grupowe rodzinne fotografie i kolorowe litograficzne portrety generałów oraz prezydentów. Wszystkie oprawione we wspaniałe, stare ramki.

- Nie podoba mi się ta koncepcja - powiedziałem.

Dicky przedstawił jednak przekonujący scenariusz. Nie ma znaczenia, jakiego rodzaju uzdolnienia reprezentuje Biedermann, gdyż głównym punktem zainteresowania jest jego dom. Tak, Centrala w Londynie byłaby zachwycona tym raportem. Miał on swoją dramaturgię, którą tak lubiono. Poruszał problemy geopolityczne, co wymagało posłużenia się mapami i kolorowymi diagramami. I co najistotniejsze, mógł odpowiadać prawdzie. - Jeśli nie podoba ci się - powiedział Dicky z ponurą miną - powiem Londynowi, aby zapomniał o całej sprawie. - Gdy stał wyprostowany patrząc na zdjęcia oferowane na sprzedaż, uświadomiłem sobie, że studiuje własne odbicie w szybach fotografii stojących w pierwszym rzędzie. Był zbyt chudy w długiej, jaskrawozielonej koszulce safari, wyglądał w niej jak lizak. - Czy będzie padać? - zapytał sprawdzając czas. Kupił sobie również nowy zegarek. Był to czarny, z mieniącym się cyferblatem chronometr, wskazujący czas z dokładnością do pięćdziesięciu setnych sekundy.

- Rzadko pada rano, nawet w porze deszczowej.

- Wobec tego lunie w samo południe - zawyrokował Dicky spoglądając na chmury, które zabarwiły się żółtawo.

- Nie wiem nadal, jakie Londyn ma plany w stosunku do Stinnesa? - powiedziałem.

- Londyn chce zwinąć Stinnesa - odparł, jak gdyby sobie o tym właśnie przypomniał. - Czy możemy wrócić do miejsca, w którym podawano wieprzowinę? Dlaczego nazywasz ją *carnitas*?

- Zwinąć? - Mogło to oznaczać wiele rzeczy, od rozmów o dezercji do stuknięcia w głowę i zawinięcia w dywan. - To będzie trudne.

- Im jest się większym, tym boleśniej się spada - rzekł Dicky. - Sam powiedziałeś, że ma czterdziestkę i że pominięto go przy awansie. W Berlinie trzymają go wieki. Berlin

Zachodni jest rarytasem dla wywiadu zachodniego, natomiast dla własnych ludzi jest miejscem zsyłki. Sprytny major KGB pozostawiony, aby zginąć w Berlinie Wschodnim z pewnością wykończy się psychicznie.

- Jego żonie tam się podoba - odparłem.

- A cóż to ma do rzeczy? - spytał Dicky. - Czy dlatego mam wziąć robotę w Kanadzie, że moja żona lubi hokej?

- Nie, oczywiście, że nie, Dicky.

- Ten Stinnes potrafi właściwie ocenić, co jest dla niego dobre. Frank Harrington uważa, że szanse są duże.

- Rozmawiałeś o tym z Frankiem?

- Oczywiście. Frank musiał zostać poinformowany, ponieważ Stinnes działa w rejonie dużego B. To terytorium Franka, Bernardzie. - Nerwowy ruch palców po skręconych włosach. - Najgorszy problem związany jest z informacją, którą uzyskaliśmy z Banku Danych: Stinnes ma osiemnastoletniego syna. Może to oznaczać kłopoty.

- Chryste, Dicky - powiedziałem, gdy oswoiłem się już z tą bombą.

- Czy wiedziałeś o tym wszystkim, gdy wyjeżdżaliśmy z Londynu?

- Masz na myśli zwinienie Stinnesa?

- Tak, właśnie to.

- Można się było spodziewać, że sprawa przyjmie taki obrót. - Dicky przyjął postawę defensywną. Wiedział o wszystkim, to oczywiste. Zastanawiałem się, o czym wie jeszcze, a o czym ja dowiem się dopiero, gdy stanie się faktem. - Przecież Centrala w Londynie ogłosiła w związku z nim alarm w Departamencie, prawda? - Sięgnęliśmy po *carnitas* stojące opodal. Wybrał krzesło, które nie chwiało się i usiadł. - Zawinę mój kawałek w placek kukurydziany. Skóra wieprzowa jest bardzo tłusta.

- Centrala w Lody nie ogłosiła alarm w Departamencie w związku z urzędnikami, którzy uciekli kradnąc drobne kwoty.

- Nie wysyłałoby wyższych urzędników, takich jak my, aby ich zidentyfikować, gdy się na nich natkniemy.

- Skaperować - powiedziałem rozważając wszystkie komplikacje. - Kogoś tak błyskotliwego jak Stinnes. Ty i ja. To szaleństwo.

- Tylko nie myśl o tym w ten sposób - rzekł Dicky. - Moim zdaniem - przerwał - jeśli to ma jakieś znaczenie - skromny uśmiech - to stoimy przed wspaniałą szansą.

- Kiedy ostatnio skaperowałeś majora KGB?

Dicky przygryzł wargi. Obaj znaleźliśmy odpowiedź. Dicky był gryziopiórkiem. Stinnes był pierwszym oficerem KGB, do którego dotarł tak blisko, lecz którego nawet nie widział.

- Czy Londyn nie zamierza przysłać kogoś do pomocy? To skomplikowana robota, Dicky. Potrzebujemy kogoś z doświadczeniem.

- Bzdura. Potrafimy sami to zrobić. Nie potrzebuję, aby Bret Rensselaer siedział mi na karku. Jeśli uda się nam przeciągnąć go, będzie to prawdziwie mistrzowskie posunięcie. - Uśmiechnął się. - Nie spodziewałem się, że zaczniesz prosić Londyn o pomoc. Myślałem, że lubisz działanie samodzielne.

- Nie działałam samodzielnie - stwierdziłem. - Jestem z tobą. Właściciel straganu mieszał w kotle z wieprzowiną wybierając większe kawałki na duży metalowy talerz.

- Wolałbyś pracować z twoim przyjacielem Wernerem, prawda? Rozpoznałem ostrzegawcze sygnały. - Chodziliśmy razem do szkoły - odparłem. - Znam go już bardzo długo.

- Werner Volkmann nie jest nawet zatrudniony przez Departament. Od lat nie był u nas zatrudniony. Oficjalnie, nie - powiedziałem. - Pracował jednak dla nas od czasu do czasu.

Ponieważ dawałeś mu robotę - rzekł Dicky. - Nie próbuj mi wmawiać, że to Departament go zatrudniał. Werner zna Berlin - powiedziałem.

- Ty znasz Berlin, Frank Harrington zna Berlin. Nasz przyjaciel Stinnes zna Berlin. Nie brak ludzi, którzy znają Berlin. To jeszcze nie powód, żeby zatrudniać Wenera.

- Werner jest Żydem. Urodził się w Berlinie w nazistowskich czasach. Instyktownie wyczuwa w ludziach to, czego ty i ja musimy się uczyć. Nie możesz porównywać jego wiedzy o Berlinie i berlińczykach z moją.

- Uspokój się. Każdy wie, że Werner jest twoim drugim *ego* i dlatego nie może być krytykowany.

- Jakie wolisz mięso? „Chude mięso”, „czyste mięso” czy „mięso bez tłuszczu”, a może każdego po trochu?

- Jaka jest różnica...

Nie wdawajmy się w semantykę - przerwałem. - Spróbuj *sortido*, jest w nim każdego po trochu. - Pokiwał z aprobatą głową.

Dicky, który zawsze wykazywał znaczne uzdolnienia w zakresie prawidłowego odżywiania się, teraz odkrył, że stoisko z *carnitas* znajduje się odpowiednio blisko straganów, na których można kupić niezbędne dodatki. Zaopatrzył nas w *salsas* i marynowane kaktusy i stwierdził, że placki kukurydziane są sprzedawane na kilogramy. - Kilogram poproszę -

zwrócił się do kobiety za straganem, która zaraz zniknęła z zapłatą pozostawiając Dicky'ego z olbrzymim stosem placków.

- Jak myślisz, czy będą jeszcze dobre, gdy zawiozę je Daphne? - Zawinał kawałek wieprzowiny w placek leżący na wierzchu. Wyśmienite - powiedział zjadając pierwszą porcję i biorąc kolejny placek, aby przygotować następną. - Jakie to części wieprzowiny?

- To jest ucho, a te kawałki, to jelita - wyjaśniłem.

- Gdy Daphne usłyszy co jadłem, to zwymiotuje. Nasi sąsiedzi byli w Meksyku w zeszłym roku. Zatrzymali się w *Sheratonie*. Nawet zęby myli w przegotowanej wodzie. Żałuję, że nie mam kamery, aby sfilmować mój posiłek na tym targu. Powiedz mi raz jeszcze, co to jest *carnitas*? Chciałbym dokładnie i prawidłowo móc im to opisać.

- *Carnitas* - powiedziałem. - *Sortido*.

Dicky wytarł usta w chustkę, wyprostował się i rozejrzał po placu targowym. Z miejsca, w którym siedzieliśmy, mogłem obserwować ludzi sprzedających plastikowe zabawki, antyczne stoły i pozłacane lustra, tanie koszule, mosiężne łóżka, amerykańskie magazyny filmowe z oślimi uszami i wybór korków z rżniętego szkła, które są zawsze trwalsze od karafek.

- Tak - odezwał się Dicky. - To szczególne miejsce. Piętnaście milionów ludzi, żyjących na dwu tysiącach metrów wysokości, z wysokimi szczytami górskimi wokół i z grubą warstwą smogu nad głową. Gdzie można znaleźć drugą stolicę bez rzeki, bez wybrzeża, za to z tak ohydnyimi drogami. A przecież jest to jedno z najstarszych miast świata. Nie ma lepszego dowodu na to, że wyścig ludzkości jest obłąkańczą gonitwą szaleńców.

- Nie spodziewasz się, mam nadzieję, że pójde prosto do Stinnesa i zaproponuję mu przejście na naszą stronę? - zapytałem.

- Cały czas zastanawiam się nad tym - odparł Dicky. - Volkmannowie już go znają. Może im zlecimy zrobienie wstępnego kroku?

- Werner nie pracuje dla Departamentu. Właśnie przed chwilą mi to powiedziałaś.

- Niezupełnie tak - rzekł Dicky. - Mówiłem, że znajomość Berlina nie jest dostatecznym powodem, żeby korzystać z Wenera w Berlinie. Nie zapominajmy, że Werner w swej teczce z aktami ma etykietkę „nie zatrudniać w sprawach najwyższej wagi”.

- Jesteś mściwym draniem, Dicky - powiedziałem. - Wracasz do przecieku sygnałów w 1978 r. Wiesz bardzo dobrze, że Werner został całkowicie oczyszczony z podejrzeń.

- Ponieważ zrobiła to twoja żona - stwierdził Dicky. Nagle wpadł w złość. Był zły, gdyż nigdy nie podejrzewał Fiony o przekazywanie tajemnic i nagle zdałem sobie sprawę, że

dostrzegł we mnie nie główną ofiarę Fiony, ale kogoś, kto przyczynił się do tego, aby go wywieść w pole.

Zasnute chmurami niebo pociemniało i czuć było specyficzny przed nadejściem burzy ruch powietrza. Nigdy nie zdołałem przyzwycząić się do połączonych efektów gorąca i wilgotności. Gdy przybyliśmy na targ, powietrze wypełniał słodki zapach świeżych owoców i warzyw. Teraz był to już tylko zapach rozkładu towarzyszący gniciu zepsutych, zgniecionych i połamanych produktów.

- Tak, to zrobiła moja żona. Werner jest niewinny.

- Gdybyś mnie słuchał uważnie, zauważyłbyś, że powiedziałem, iż Werner miał etykietkę w swojej kartotece. Nie twierdzę, że ona wciąż tam jest.

- Czy zamierzasz poprosić Wenera, aby skaperował dla ciebie Stinnesa?- Myślę, że będzie lepiej, jeśli ty mu to zlecisz, Bernardzie.

- Jest na urlopie. Coś w rodzaju ponownego miodowego miesiąca.

- Mówiłeś już o tym - powiedział Dicky. - Wydaje mi się, że oboje są sobą odrobinę znudzeni. Gdybyś spędzał miodowy miesiąc - pierwszy, drugi lub trzeci - czy miałbyś ochotę na przebywanie wieczorami w jakimś obskurnym klubie niemieckim, w kiepskiej dzielnicy miasta?

- Nie widzieliśmy jeszcze klubu - przypomniałem mu. - Być może jest imponujący.

- Uwielbiam sposób, w jaki to powiedziałeś, Bernardzie. Żałuję, że nie mogę nagrać brzmienia twego głosu, gdy wymówiłeś „imponujący”. Tak, to może być meksykański odpowiednik Pałacu Cezara w Vegas lub paryskiego Lido, jednak nie liczyłbym na to. Widzisz, gdyby chodziło o mnie, drugi miodowy miesiąc z rozkoszną, małą Zeną spędziłbym w Acapulco lub znalazłbym jakąś małą, piaszczystą plażę, na której nikt by nam nie przeszkadzał. Nie zabierałbym jej do klubu *Kronprinz*, aby stwierdzić, kto wygrywa turniej brydżowy.

- Czy coś się zmieniło? - zapytałem. - Nigdy nie twierdziłeś, że Zena jest mała i rozkoszna. Zdawało mi się, że jej nie lubisz. Pamiętam jak mówiłeś, że jeden miesiąc z Zeną wystarczyłby.

Przez szarozółte niebo przetoczył się silny grzmot; zapowiedź silnej burzy.

Dicky roześmiał się. - Przyznaję, że byłem zbyt pochopny w sądach. Bardzo dawno nie wyjeżdżałem z domu. Obecnie jestem zdania, że Zena wygląda seksowniej z każdym dniem.

- Czy uważasz, że rozmowa ze Stinnesem o demokracji na Zachodzie i o wolnym świecie wprowadzi ożywienie do życia Volkmannów? - zapytałem.

- Możesz darować sobie sarkazm. Przedstaw im tę propozycję i zobaczysz jak zareagują.

Spójrz na te dzieci z osłem i starego człowieka w sombrero. Tego rodzaju zdjęcia wygrywają nagrody na konkursach fotograficznych. Byłem głupi, że nie wziąłem z sobą kamery. Czy widziałeś, jakie ceny trzeba płacić za kamerę w tym kraju? Amerykanie chcą wycisnąć, ile się da w pesos. No, Bernardzie, myślę, że powinieneś z nimi porozmawiać. Skontaktuj się z Wernerem i poleć mu, aby poszedł do klubu *Kronprinz* i zobaczył, czy jest tam Stinnes.

Zatrzymał się przy stoisku, aby przyjrzeć się mężczyźnie przygotowującemu *chiles relenos*: nadziewającemu mięsem olbrzymie strąki papryki. Każdy był posypywany przed usmażeniem i włożeniem do sosu czosnkowo-pomidorowego dużą łyżeczką posiekanego chili. Sam widok przyprawiał mnie o mdłości.

- Musisz poinformować Wenera, co Londyn jest gotów zaoferować Stinnesowi. Przypuszczam, że można rozmawiać o pierwszej, jednorazowej dużej płatności, stałej pensji oraz o umownych prowizjach związanych z wielkością domu, marką samochodu, i tak dalej.

- Tak się to załatwia? Brzmi to jak kontrakt małżeński.

- Lubią, gdy jest to określone w ten sposób, ponieważ nie można kupić domu w Europie Wschodniej i nie znają cen samochodów, itd. Zwykle chcą dokładnie wiedzieć, co dostaną.

- Londyn zapłaci - powiedział Dicky. - Bardzo chcą mieć Stinnesa, naprawdę go chcą. Niech to zostanie między nami, oczywiście; Werner Volkmann nie musi o tym wiedzieć. - W konspiracyjnym geście przytknął palec do ust. - Każde żądanie, w granicach rozsądku, zostanie spełnione.

- Co Werner ma powiedzieć Stinnesowi? - Na brukowanej nawierzchni, pokrytej czarnym pyłem, zaczęły pojawiać się błyszczące, ciemne kropki, jedna za drugą. Rozpadało się.

- Prowadźmy całą sprawę w bardzo delikatny sposób, dobrze? - powiedział Dicky. Jego żona Daphne pracowała w małej agencji reklamowej. Dowiedziałem się od Dicky'ego, że jej firma stosuje bardzo agresywne metody w zakresie sprzedaży nowoczesnych technik. Czasami miałem wrażenie, że Dicky chciałby, aby Departament był kierowany w ten sam sposób. Najchętniej przez niego samego.

- Czy mam rozumieć, że nie udzielimy żadnych instrukcji Wernerowi?

- Zaczekajmy, aż przynęta skruszeje - odparł Dicky. Było to znane, reklamowe wyrażenie, które oznaczało: schowaj głowę w piasek, wystaw pupę i zaczekaj na wybuch.

Moja przepowiednia, że pada tylko popołudniami, okazała się niezwykle trafna. Zaledwie kilka minut po pierwszej zaczęło padać. Dicky podwiózł mnie tylko do uniwersytetu, gdzie miał się spotkać z jednym ze swoich oxfordzkich przyjaciół i tam, w strumieniach deszczu, wysadził mnie na otwartym placu. Przekląłem go w duchu, nie doszukiwałem się jednak przejawów wrogości w egocentryzmie Dicky'ego; prawie w stosunku do każdego zachowałby się tak samo.

Niełatwo było złapać taksówkę, jednak w końcu biały VW beetle zatrzymał się przy mnie. Wnętrze samochodu było poobijane i brudne, ale miejsce kierowcy było wyposażone jak kabina pilotów boeinga-jeta. Na tablicy rozdzielczej wyklejonej fornirem w kolorze orzecha włoskiego znaleźć można było szereg korkociągów, śrubokrętów i latarek w kształcie długopisów, a także duży kolorowy medalion z relikwiarzem Madonny z Gwadelupy. W kontraście z zaniedbaną karoserią małego samochodu, młody kierowca był ubrany w świeżo wykrochmaloną koszulę, ciemnopopielaty krawat i bardziej przypominał swoim wyglądem maklera giełdowego niż kierowcę taksówki. Taki właśnie jest Meksyk.

Ruch uliczny posuwał się naprzód w ciężkich strumieniach deszczu, ale hałas nie zmniejszył się. Dominowały dwutaktowe motocykle, samochody z oderwanymi tłumikami oraz wielkie ciężarówki, niektóre tak dokładnie wymalowane, że każdy sworzeń od szoferki, każdy nit i dekiel były innego koloru. Tutaj na peryferiach miasta, wzdłuż szerokiej alei stały częściowo zburzone mury, na nieużytkach pasły się kozy, wszędzie widoczne były chaty z nie wypalanej cegły, wysypiska śmieci, niestarannie wymalowane na jaskrawo frontowe ściany sklepów i powyginane, żelazne płyty, zeszpecone sloganami politycznymi i sprośnościami. Pomimo deszczu, wzdłuż całej długości chodnika leżeli rozwaleni pijacy, a ogień w *barbecue* syczał i migotał w szynkwasach.

Gdy dotarłem do dzielnicy, w której znajdował się apartament Wernera Volkmana, ulewny deszcz płynął rynsztokami i tworzył wielkie jeziora, które przejeżdżające samochody rozbryzgiwały i w których czasem grzęzły. Rozlegał się, nigdy nie zamierający, harmider klaksonów samochodowych i wyjących silników wprawianych w nadmierne obroty przez nerwowych kierowców. Taksówka poruszała się powoli, mogłem więc przyglądać się obdartemu i brudnemu dziecku oferującemu suche i czyste bilety loteryjne, zabezpieczone wewnątrz przezroczystych torebek plastikowych.

Wielu dobrze ubranych klientów posiadało własnych kierowców, którzy w jednej ręce trzymając parasol, drugą otwierali drzwi limuzyn. Nie mogłem sobie wyobrazić Zeny Volkman nigdzie indziej, tylko tutaj, w Zona Rosa. Na obszarze wytyczonym przez Insurgentes, Sevilla i Chapultepec znajdują się duże, międzynarodowe hotele, małe

restauracyjki, sklepy firm paryskich i nowojorskich. W zatłoczonych kafejkach natomiast, które wylewają się na ulicę, można usłyszeć każdą nową plotkę, żart czy dowiedzieć się o skandalu, których to niegodziwe miasto dostarcza pod dostatkiem.

Zena Volkmann, oczywiście, mogła żyć gdziekolwiek. Woląла jednak żyć w komforcie. Nauczyła odnosić się z szacunkiem do majątku i bogaczy w sposób, w jaki tylko można nauczyć się spędzając dzieciństwo w biedzie. Była rozbitkiem wspinającym się po drabinie, nie z powodu wykształcenia, którego nie miała, poza umiejętnością czytania, pisanie i malowania twarzy oraz naturalnej zdolności do liczenia. Być może jestem niesprawiedliwy, lecz czasem miałem wrażenie, że zrobiłaby wszystko, gdyby cena była dostatecznie wysoka, gdyż wciąż dręczył ją niepokój, że jeden atak nędzy może zaciążyć na całym życiu i żadna ilość pieniędzy nie wynagrodzi straty.

Jej poglądy nie były tajemnicą. Nawet w takim kraju jak Mexico, kraju wielkich kontrastów, nie wykazywała większego zainteresowania problemami nędzy. Jak większość biednych ludzi, żywiła tylko pogardę dla socjalizmu we wszelkich jego przejawach, gdyż tylko zamożni i przestępcy mogą pozwolić sobie na znajdowanie upodobania w filozofiach egalitarnych.

Zena Volkmann miała tylko dwadzieścia dwa lata. Większość swojego dzieciństwa spędziła z dziadkami. Po nich odziedziczyła tęsknotę za Niemcami z przeszłości. Za protestanckimi Niemcami arystokratów i *Handkusse*, srebrnych zeppelinów i pojedynków studenckich. Za Niemcami *Kultiviertes* muzyki, przemysłu, nauki i literatury, za imperium niemieckim rządzonym z kosmopolitycznego Berlina przez pracowitych i nieprzekupnych Prusaków. Za Niemcami, których nigdy nie widziała, za Niemcami, które nigdy nie istniały.

Wyszukane popołudnie *Kaffee trinken*, które zaplanowała, było manifestacją jej nostalgii. Delikatna chińska porcelana, w której podawała kawę, solidne srebrne widelczyki, którymi jedliśmy owocową tartę i cienkie serwetki z adamaszku, które przykładaliśmy do ust, zawierały elementy typowo niemieckiej ceremonii; scenę, którą można oglądać na zamożnych przedmieściach każdego z setek miast Zachodnich Niemiec.

Brązowa, jedwabna, popołudniowa sukienka Zeny, z wykrochmalonym kołnierzykiem i lamówką poniżej kolan, czyniła z niej wizerunek oddanej *Hausfrau*. Jej długie, ciemne włosy splecione były w dwa warkocze i zwinięte nad uszami w staromodne „obwarzanki”; fryzura właściwie nieznaną nigdzie poza Niemcami. Werner zaś zdobył się na to, aby założyć swój tropikalny garnitur w brązowym kolorze oraz zawiązać krawat i siedział przypominając oswojonego goryla. Zbyt dobrze zdawałem sobie sprawę, że moja stara, z nie dopiętym

kołnierzykiem koszula jest bardzo nie na miejscu, gdy stawiałem filiżankę z kawą na kolanie moich, błotem pochlapanych, ze sztucznego tworzywa spodni.

Gdy Zena była w kuchni, opowiedziałem Wernerowi o mojej wycieczce do domu Biedermanna, o Rosjanach, których tam zastałem i o spowiedzi Biedermanna przede mną. Werner nie odezwał się od razu. Odwrócił się i wyjrzał przez okno. Na bocznym stoliku stała duża popielnica, a w niej ułożone stłuczone części filiżanki i spodka. Werner przeniósł popielnicę na stół na kółkach z telewizorem. Z szóstego piętra apartamentu roztaczał się widok na miasto. Niebo było teraz ciemne i znajdowało się nisko, a deszcz uderzał wielkimi, szumiącymi strugami, jak bywa tylko podczas burz tropikalnych. Werner nie odezwał się, nim Zena nie wróciła z kuchni.

- Biedermann był zawsze typem samotnika - powiedział. - Ma dwóch braci, lecz Paul zawsze sam podejmuje decyzje w interesach. Wiesz o tym.

Była to nic nie znacząca rozmowa, lecz teraz Zena była z nami i nie wiedziałem, co mogę przy niej powiedzieć. - Czy obaj jego bracia zajmują się interesami?

Werner odparł: - Stary Biedermann dał równe udziały całej piątce, dwóm dziewczętom i trzem chłopcom. Lecz pozostawili oni wszystkie decyzje Paulowi.

- Dlaczegoż by nie - powiedziała Zena krojąc dla nas porcję tarty owocowej. - On wie, jak się robi pieniądze. Rodzeństwu nie pozostaje nic innego jak je wydawać.

- Nigdy go nie lubiłeś, prawda, Bernie? - zapytał Werner. - Nigdy nie lubiłeś Paula.

- Słabo go znam - odparłem. - Chodził do jakiejś ekskluzywnej szkoły. Pamiętam jego ojca. Pozwalał mi kierować olbrzymią ciężarówką wokół ich bazy transportowej, gdy sam naciskał hamulec i pedał gazu. Byłem zaledwie dzieciakiem. Szczerze lubiłem starszego pana.

- To była obrzydliwa stara baza - powiedział Werner. Mówił to raczej do Zeny niż do mnie, a może mówił sam do siebie? - Pełna rupieci i nieczystości. Co to była za cudowna kraina dla nas, dzieciaków, którzy się tam bawiliśmy. Mieliśmy tyle uciechy. - Wziął kawałek tarty. Jego porcja była mała; Zena próbowała go odchudzić. - Paul lubił się uczyć. Starszy pan był z niego dumny, jednak nie mieli wiele z sobą wspólnego, gdy Paul wrócił ze swoimi wszystkimi stopniami naukowymi i specjalizacjami. Stary pan Biedermann nie był wykształcony. Zakończył naukę, gdy miał czternaście lat.

- Był prawdziwym berlińczykiem - powiedziałem. - Kierował transportem zdecydowaną ręką. Znał nazwiska wszystkich pracowników. Mieszał ich z błotem, gdy był zły i upijał się z nimi, gdy była do tego okazja. Zapraszali go na swoje śluby i chrzciny i nigdy nie opuścił żadnego pogrzebu. Gdy związki organizowały każdego roku wycieczki na

weekend, zawsze zapraszały go, by w nich uczestniczył. Nikt nie chciał na nie jechać bez starszego pana.

- Mówisz o transporcie drogowym, a stanowił on jedynie niewielki wycinek jego interesów.

- Od tego zaczął i była to jedyna sfera w imperium Biedermanna, którą naprawdę lubił.

Gdzieś w kuchni rozległ się dźwięk czasomierza, ale Zena nie ruszyła się. W końcu ucichł. Domyśliłem się, że była tam Indianka, która miała zakaz przebywania w ostatnim pokoju.

- To była strata pieniędzy - powiedział Werner.

- Więc dlatego Paul Biedermann, gdy tylko wrócił ze swojego kursu o amerykańskim zarządzaniu, sprzedał natychmiast towarzystwo transportowe i wysłał ojca na emeryturę.

- Przemawia przez ciebie gorycz, Bernie. Chyba to nie z tego powodu tak bardzo nienawidzisz Paula? Co?

Upiłem trochę kawy, zacząłem podejrzewać, że Zena nie zamierza zostawić nas samych, abyśmy mogli porozmawiać o sprawach, o których porozmawiać musieliśmy. Podtrzymałem rozmowę o niczym. - To zabiło starego Biedermanna - powiedziałem. - Gdy bazę zamknięto, a towarzystwo przeniesiono do Nowego Jorku, nie miał dłużej po co żyć. Pamiętasz, jak zwykł przesiadywać w kawiarni Leuschnera całymi dniami opowiadając każdemu, kto tylko chciał słuchać, o starych dobrych czasach, nawet dzieciakom?

- Tak się dzisiaj mają sprawy - odparł Werner. - Towarzystwa są kierowane przez komputery. Udział zysków zmniejszył się. Żaden szef nie zna nazwisk swoich pracowników, gdyż nie ma czasu, aby oderwać wzrok od rachunków. To cena, jaką płacimy za postęp.

Zena wzięła popielnicę z potłuczoną filiżanką i spodkiem. Sposób, w jaki odwróciła wzrok od Wenera, potwierdził moje przypuszczenia, że to on był sprawcą stłuczki. Zabrała również dzbanek do kawy i wyszła do kuchni.

Powiedziałem: - Dicky widział się z Frankiem Harringtonem w Los Angeles. Prawdopodobnie Londyn postanowił skaperować Ericha Stinnesa. - Starłem się powiedzieć to bez pośpiechu, ale nie udało mi się.

- Skaperować? - Byłem ciekaw, czy Werner będzie równie skonsternowany i zaskoczony jak ja. - Czy już poczyniono jakieś kroki?

- Masz na myśli ewentualne rozmowy ze Stinnesem? Zastanawiałem się nad tym samym. Z tego jednak, co wydobyłem z Dicky'ego, odnoszę wrażenie, że chcą iść w ciemno.

Werner przeniósł swój znaczny ciężar na oparcie fotela i cicho gwizdnął przez zęby. - Kto ma podjąć próbę?- Dicky chce, abys to ty spróbował - odparłem. Pociągnąłem łyk mocnej kawy próbując nadać memu głosowi zwykle brzmienie. Wiedziałem, że Werner jest w równej mierze oburzony, co zadowolony. Rozpaczliwie pragnął znów stać się regularnym pracownikiem Departamentu. Zdawał sobie jednak sprawę, że wyboru do tej roboty nie zawdzięczał swoim umiejętnościom, tylko temu, że był najbliższym Stinnesa. - To wielka szansa - powiedział Werner z urazą. - Wielka szansa na niepowodzenie. W ten sposób Frank Harrington i ci ludzie, którzy zniesławiali mnie przez te wszystkie lata, będą mieli pretekst, aby mnie oczernić na nowo.

- Muszą zdawać sobie sprawę, że szanse są znikome - odparłem. - Jeśli jednak Stinnes na to pójdzie, głośno będzie o tobie w mieście, Werner.

Werner uśmiechnął się do mnie kwaśno. - Masz na myśli obie strony, wschodnią i zachodnią?

- O czym rozmawiacie? - zapytała Zena wracając z kawą. Czy dotyczy to Ericha Stinnesa?

Werner spojrzął na mnie. Wiedział, że nie chcę o tym rozmawiać przy Zenie. - Jeśli mam spróbować, Zena musi o tym wiedzieć, Bernie - powiedział usprawiedliwiająco. Skinąłem głową. Prawda była taka, że Werner powtarzał jej wszystko, co mu mówiłem, mogła więc równie dobrze usłyszeć o tym ode mnie.

Zena dołała kawy i poczęstowała nas *Spritzgebäck*, małymi niemieckimi herbatnikami, które Werner lubił. - Chodzi o Stinnesa, prawda? - zapytała podnosząc do ust swoją kawę, wypila ją, czarną i mocną, i usiadła. Nawet w swej surowej sukni wyglądała prześlicznie; duże oczy, bardzo białe zęby i wydatne kości policzkowe delikatnie opalonej twarzy sprawiały, że wyglądała jak arcydzieło azteckiego mistrza złotniczego.

- Londyn chce go skaperować - powiedział Werner.

- Chcesz powiedzieć, że Londyn chce go zwerbować, aby dla niego pracował? - zapytała Zena.

- Werbuje się zwykłych ludzi, aby zostali szpiegami - wyjaśnił Werner cierpliwie. - Wrogi oficer bezpieczeństwa, szczególnie taki, który może pomóc w rozpracowaniu własnej siatki, jest kaperowany.

- W gruncie rzeczy chodzi o to samo - powiedziała ożywiona Zena.

- Nie, to zupełnie co innego - odparł Werner. - Gdy werbuje się kogoś i robi się z niego szpiega, roztacza się przed nim romantyczne perspektywy. Pokazuje mu się splendor i robi się wszystko, aby czuł się kimś ważnym i mężnym. Agent, którego kaperujesz, zna już

wszystkie odpowiedzi. Kaperowanie jest podstępne. Opowiada się stek kłamstw wyspecjalizowanemu kłamcy. Na ogół bywa cyniczny i ma wygórowane żądania. Łatwo jest zacząć, lecz później pojawia się coraz więcej goryczy i kończy się tym, że jeden drugiemu skacze do oczu.

- To przypomina rozwód - stwierdziła Zena.

- Trochę tak - powiedziałem. - Może być bardziej brutalne. - Bardziej brutalne niż rozwód? - zatrzepotała rzęsami Zena. - Zamierzacie tylko zaproponować Erichowi Stinnesowi możliwość ucieczki na Zachód. Czy nie może zrobić tego, kiedy zechce? Jest w Mexico. Po co ma wracać do Rosji, jeśli nie chce? - Było coś zachwycająco kobiecego w Zenie i jej poglądzie na otaczający świat.

- To nie jest takie proste - powiedział Werner. - Niewiele krajów Europy Wschodniej zezwoli swoim obywatelom na ucieczkę. Marynarze, którzy wyskoczyli ze statków, załoga Aeroflotu, pasażerowie, którzy opuścili samolot w miejscu poboru paliwa czy delegaci rosyjscy, którzy na posterunkach obcych policji prosili o azyl, przekonali się, że to nie jest łatwe. Nawet prawicowe rządy odsyłają ich z powrotem do Rosji, aby ponieśli wszelkie konsekwencje. - Ugryzł herbatnik. - Dobry *Spritzgeback*, kochanie.

- Nie udało mi się kupić z orzechami laskowymi, wzięłam więc na próbę te z miodem. Nie są złe, prawda? Dlaczego nie pozwalają im pozostać? Odsyłają ich do Rosji? To oburzające - powiedziała Zena.

- Udzielenie poparcia uciekinierom z pewnością rozgniewałoby Rosjan - rzekł Werner. - Gdyby Stinnes wyraził chęć pozostania w Mexico, radziecki ambasador natychmiast udałby się do ministra spraw zagranicznych i wywierałby nacisk, aby władze meksykańskie wydały go.

- Dlaczego Stinnes nie mógłby wówczas powiedzieć, żeby poszli do diabła? - zapytała Zena.

- Ambasador oświadczyłby wtedy, że Stinnes okradł kasę lub że jest poszukiwany za kryminalne przestępstwa w Moskwie. Meksykanie mogliby zostać oskarżeni o udzielanie schronienia przestępcy. Nie zapominaj również, że ktoś musi płacić uciekinierowi zasiłek lub znaleźć mu pracę. - Werner sięgnął po kolejny herbatnik.

- Tutaj jest Mexico. Dlaczego miano by się przejmować Rosjanami?

Werner był pochłonięty herbatnikami. Odpowiedziałem: - Rosjanie mają duże wpływy w tej części świata, pani Volkmann. Mogą wywołać kłopoty i zmusić państwa sąsiadujące, aby wywierały nacisk. Kuba zawsze będzie posłuszna, gdyż jest całkowicie uzależniona od radzieckich pieniędzy. Mogą domagać się sankcji ekonomicznych. Mogą wpływać na

komitety Narodów Zjednoczonych i inne bezsensowne organizacje typu UNESCO, etc. Wszystkie te kraje muszą liczyć się ze swoimi partiami komunistycznymi gotowymi zrobić wszystko, czego Rosjanie zażądataj. Rządy nie przeciwstawiają się Związkowi Radzieckiemu bez bardzo istotnego powodu. Udzielenie azylu uciekinierowi jest rzadko wystarczającym powodem.

- A jednak jest mnóstwo uciekinierów - upierała się Zena.

- Tak - powiedziałem. - Wielu uciekinierów jest sponsorowanych przez USA, tak jak się sponsoruje sławnych muzyków czy aktorów, z powodu niekorzystnego rozgłosu, jaki ich ucieczka ma dla systemu komunistycznego. Poza tym na ogół dość łatwo potrafią zarobić na swoje utrzymanie. Pozostający muszą mieć z sobą coś opłacalnego jako cenę swojego przyjęcia.

- Tajemnice?

- To zależy, co pani rozumie przez pojęcie tajemnicy. Zwykle państwo udziela azylu osobie posiadającej informacje dotyczące metod szpiegowskich stosowanych przez Związek Radziecki w danym kraju. Dla tego typu informacji rząd jest zwykle gotowy wytrzymać presję Rosjan.

- Z tego powodu - wtrącił Werner - większość ucziwych Rosjan nie może otrzymać azylu, tylko ci dranie z KGB. Zbierz razem wszystkich uciekinierów, a będziesz mieć balet, orkiestrę, kilka gwiazd sportu i olbrzymią armię tajnej policji.

Zena popatrzyła na mnie swoimi dużymi, czarnymi oczami i powiedziała figlarnie: - Jeśli wy dwaj nie mylicie się co do Ericha Stinnesa, jest on pracownikiem KGB. Może dostarczyć cennej informacji na temat szpiegostwa w Mexico. Mógłby uzyskać zgodę na pozostanie tutaj bez waszej pomocy.

- Czy chciałaby pani spędzić resztę swego życia w Mexico, pani Volkmann? - spytałem.

Przez chwilę milczała, zastanawiając się. - Chyba nie - przyznała.

- Nie, człowiek taki jak Stinnes chciałby mieć brytyjski paszport.

- A może amerykański? - spytała Zena.

- Obywatelstwo amerykańskie nie zabezpiecza żadnych praw w podróży zagranicznej. Paszport brytyjski identyfikuje podmiot brytyjski i daje jego posiadaczom prawo opuszczenia kraju, gdy tylko zechcą. Stinnes da nam niemałą listę żądań, jeśli zdecyduje się przyjąć naszą propozycję. Trzeba będzie wykonać mnóstwo papierkowej roboty, aby miał całkowicie nową tożsamość. Rozumiem przez to tożsamość zarejestrowaną w sposób niepodważalny.

- Jakie działania trzeba podjąć? - zapytała Zena.

- Działania wymagające współpracy wielu różnych departamentów rządowych. Potrzebne mu będzie, na przykład, prawo jazdy. Musi pochodzić z konkretnego miejsca, być wystawione na czterdziestolatka, musi istnieć kartoteka dotycząca przeszłości kierowcy i dowód o zdanym egzaminie na prawo jazdy. Będzie musiał mieć nie wzbudzającą podejrzeń kartotekę w swoim lokalnym urzędzie podatkowym. Jak wypełni wniosek, gdy będzie ubiegał się o kartę kredytową? A jeszcze dokumenty podrózne. Prawdopodobnie będzie chciał mieć swobodę poruszania się, a z tym zawsze jest ból głowy. Przy okazji, będzie musiał nam dać kilka zdjęć do paszportu i innych dokumentów. Jedno ujęcie całej twarzy wystarczy. Zdjęcie żony także. W ambasadzie zrobią kopie.

Werner skinął głową. Zdawał sobie sprawę, że była to forma pouczenia. Mówiłem na temat propozycji, jakie będzie mógł przedłożyć Stinnesowi.

- Zakładasz, że będzie mieszkał w Anglii? - zapytał Werner.

- Na pewno przez pierwszy rok. - powiedziałem. - Będzie musiał odbyć długie szkolenie. Czy to może stanowić problem?

- Zawsze mówił, że Niemcy, to jedyne miejsce, w którym chciałby żyć. Prawda, Zeno?

- Tak, to prawda - przytaknęła Zena. - Takie rzeczy wszyscy mówią w klubie *Kronprinz*. Każdy popija niemieckie piwo i wymienia wiadomości o starym kraju. To naturalne, że mówił o Niemczech z wielką miłością. Wszyscy mówią. Gdy jednak oferuje się komuś szansę spędzenia emerytury w komforcie, Anglia nie byłaby najgorsza. - Uśmiechnęła się.

- Dicky uważa, że Stinnes ochoczo skorzysta z każdej przyzwoitej propozycji - powiedziałem.

- Tak sądzi? - zapytał Werner z powątpiewaniem.

- Londyn jest zdania, że Stinnes został pominięty przy awansie. Przypuszcza się, że zostawią go w Berlinie, aby zgnił.

- Dlaczego więc jest teraz w Mexico? - zapytał Werner.

- Dicky twierdzi, że zafundowano mu małą, miłą wycieczkę.

- To właściwa odpowiedź, gdy nie można wymyślić czegoś bardziej przekonującego - odparł Werner. - A co ty uważasz, Bernie?

- Jestem pewien, że jego obecność tutaj ma związek z Paulem Biedermannem - powiedziałem ostrożnie. - Ale, do diabła, nie wiem dlaczego.

Werner skinął głową, ale nie potraktował tego, co powiedziałem, poważnie. Wiedział, że nie lubię Paula Biedermanna i sądził, że ten fakt zacierał ostrość mojego sądu. - Dlaczego tak myślisz, Bernie? - zapytał.

- Stinnes i jego kumpel nie wiedzieli, że podsłuchuję ich rozmowę w domu Biedermanna. Mówili, że kierują działalnością Biedermanna i wierzę w to.

- Paul Biedermann przyjmował przekazy od KGB i dla nich je rozsyłał - zwrócił się Werner do Zeny.

- Co za łotr - powiedziała. Rodzinny majątek w Prusach Wschodnich, którego Zena nie zdołała odziedziczyć, ponieważ stał się częścią ZSRR, wpływał na jej negatywny stosunek do ludzi, którzy pomagali KGB. Nie użyła jednak zbyt wiele jadu” aby potępić Biedermanna; pochłonięta była problemem Stinnesa. - Co jest w Stinnesie szczególnego? - zapytała mnie.

- Londyn chce go mieć - odpowiedziałem. - A Centrala londyńska działa w sposób dziwny i trudny do przewidzenia.

- To pomysł Dicky’ego Cruyera - stwierdziła w nagłym olśnieniu. - Założę się, że Londyn nie ma z tym nic wspólnego. Pojechał do Los Angeles i spotkał się z Frankiem Harringtonem. Następnie powrócił zelektryzowany wiadomością, że Londyn chce Ericha Stinnesa i to on postanowił być tym, który ten zamysł zrealizuje.

- Nie mógł sam tego zrobić - powiedział Werner, który nienawidził, gdy podważano jego wiarę w Centralę londyńską. - To polecenie z Londynu, prawda, Bernie? Musi być stamtąd.

- Nie bądź niemądry, Bernie - perswadowała jego żona. - Później to wszystko zostało prawdopodobnie oficjalnie zaaranżowane. Wiesz, że Frank Harrington nie dałby się nikomu na nic namówić.

Werner chrząknął. Krótkotrwały romans Zeny z dużo starszym Frankiem Harringtonem był sprawą, do której nigdy nie wracano, o której jednak nie zapomniano, jak zdołałem zauważyć.

Zena odwróciła się w moim kierunku. - Mam rację. Pan o tym wie, prawda?

- Skaperowanie Stinnesa w cudowny sposób pomnoży szanse Dicky’ego na utrzymanie Sekcji Niemieckiej - powiedziałem. Wstałem i podszedłem do okna. Prawie zapomniałem, że jesteśmy w Mexico, lecz ukazujące się właśnie góry zza welonu mgły, ciemne sklepienie z chmur, błyski światła i tropikalna burza, która dokładnie zalała miasto, były czymś, czego nie zobaczy się w Europie.

- Kiedy otrzymamy pieniądze za odnalezienie go? - zapytała Zena. Stałem odwrócony do niej tyłem i zachowywałem się, jakby pytanie skierowane było do Wenera.

Odpowiedział: - Wszystko zostanie dopracowane, kochanie. Te sprawy wymagają czasu.

Zena podeszła do okna i zwróciła się do mnie. - Nie udzielimy wam żadnej pomocy, dopóki nam nie zapłacicie.

- Nic nie wiem o pieniądzech - stwierdziłem.

- Nie, nikt nic nie wie o pieniądzech. W ten sposób pracujecie, prawda?

Werner wciąż siedział ciężko w swoim krześle chrupiąc herbatniki. - To nie wina Berniego, kochanie. Bernie dałby ci koronę z klejnotami, gdyby to tylko zależało od niego. - Korona z klejnotami była dla Wenera synonimem szczytowego bogactwa. Pamiętam z okresu, kiedy chodziliśmy do szkoły, że nie chciał jej zamienić na żadne łupy wojenne.

- Nie proszę o koronę z klejnotami - powiedziała poważnie Zena. Obejrzałem się, aby zobaczyć jej twarz. Mój Boże, brak skrupułów zupełnie nie zeszpecił jej urody. Nagle uświadomiłem sobie, jaki fatalny ma wpływ na Wenera. To tak, jakby się miało ulubione piranie w kąpielni albo jedwabistego pytona skalnego w kredensie za Inianymi drzwiami. Nigdy się ich nie oswoi, zabawnie jest jednak popatrzeć, jakie wrażenie wywołują na przyjaciółach. - Proszę, aby zapłacono mi za znalezienie Ericha Stinnesa. - Wzięła notes leżący obok telefonu i wciągnęła filiżankę i spodek na listę stłuczek.

Spojrzałem na Wenera, miał jedną ze swoich nieodgadnionych min, więc odezwałem się: - Nie wiem, kto pani obiecał płatność gotówkową za informacje o miejscu przebywania Ericha Stinnesa, ale z pewnością nie ja. Prawda jest taka, pani Volkmann, że Wydział nie płaci nigdy żadnego rodzaju zaliczek. Przynajmniej nie słyszałem, aby tego rodzaju płatność miała miejsce. - Patrzyła na mnie z tak wielkim spokojem i beznamiętnością, że zacząłem się martwić, czy moja kawa nie była zatruta. - Prawdopodobnie będę mógł podpisać kilka voucherów, które pokryją państwu koszty przelotu w obie strony, pierwszą klasą.

- Nie chcę jałmużny - stwierdziła. - Chcę to, co mi się należy. - Zauważyłem, że nie powiedziała „nam”.

- Jakiego rzędu wynagrodzenie zadowoliliby panią? - spytałem.

- Rzędu szesnastu tysięcy dolarów - odpowiedziała. Była zdecydowana, ile chce. Początkowo zastanawiałem się, jak doszła do tej ściśle określonej kwoty, potem doszedłem do wniosku, że to ustalenie nie miało nic wspólnego z pracą, którą dla nas wykonała, a odpowiadało kwocie pieniężnej, która była jej do czegoś potrzebna. W ten sposób pracował umysł Zeny, a każdy jej krok miał trudny do określenia kierunek.

- To mnóstwo pieniędzy, pani Volkmann - powiedziałem. Spojrzałem na Wenera. Właśnie dolewał sobie kawę i zajęcie to pochłaniało go bez reszty, jak gdyby nic nie działo się dookoła. Odpowiadało mu to, że Zena ćwiczy mnie. Przypuszczam, że wyrażała urazę, która narastała w nim przez te wszystkie lata, w czasie których Werner cierpiał z powodu bezwzględnych obłudników o ptasich mózdkach z londyńskiej Centrali. Wymyślanie Zeny nie bawiło mnie jednak. Byłem zły na niego i doskonale sobie zdawał z tego sprawę. - Dopilnuję, aby pani żądanie zostało przekazane do Londynu.

- Niech im pan to powie - rzekła. Mówiła nadal łagodnym tonem uśmiechając się tak, że przypadkowy świadek mógłby pomyśleć, iż prowadzimy przyjacielską pogawędkę. - Niech im pan powie, że jeśli nie otrzymam pieniędzy, dopilnuję, aby Erich Stinnes nie ufał ani jednemu waszemu słowu.

- W jaki sposób zamierza pani to osiągnąć? - zapytałem.

- Nie, Zena... - powiedział Werner, lecz wkroczył w sprawę zbyt późno.

- Powiem mu dokładnie, co zamierzacie zrobić - stwierdziła. - Powiem mu, że oszukacie go tak samo, jak oszukaliście mnie.

Roześmiałem się pogardliwie. Sprawiała wrażenie zdziwionej. - Siedziała pani tutaj podczas naszej rozmowy z Wernerem i nie zrozumiała pani, o czym rozmawialiśmy. Pani mąż zarabia pieniądze na spekulacji. Pożycza pieniądze w bankach zachodnich, aby zapłacić za towary wysyłane statkami do Niemiec Wschodnich. Charakter pracy wymaga, aby znaczną część czasu spędzał we Wschodnich Niemczech. To naturalne, że rząd brytyjski mógł wykorzystać kogoś takiego jak Werner do rozmów ze Stinnesem o przejściu na drugą stronę. KGB nie byłoby, rzecz jasna, tym zachwycone, ale przełknęłoby to, tak jak i my przełykamy wykorzystywanie przez nich handlowców do kontaktów z podlegaczami i propagatorami idei, które nie bardzo się nam podobają.

Spojrzałem na Wenera. Stał za Zeną z założonymi rękami i niezadowoloną miną. Przed chwilą zamierzał mi przerwać, teraz jednak patrzył na mnie czekając, co mam do powiedzenia. - Lubimy obserwować sportowców wbiegających na boisko, wymieniających dowcipy z sędziami liniowymi i rzut monetą dla kapitanów przeciwnych drużyn. Skaperowanie jednak, to nie tylko oferta pieniężna dla przejścia na drugą stronę; może oznaczać cios w głowę i podróż statkiem w okratowanym pomieszczeniu. Nie twierdzę, że tak się stanie, ale Werner i ja wiemy, że to jest możliwe. Jeśli jednak się zdarzy, chciałbym mieć pewność, że ludzie w przeciwnej drużynie będą uważać Wenera za niewinnego widza, który zapłacił pełną kwotę za bilet wstępu. Gdyż, jeśli zaczną podejrzewać, że Werner jest tym, który wspinał się po płocie i rzucał puszkami po piwie w bramkarza, mogą stać się groźni,

pani Volkmann. A kiedy członkowie KGB stają się groźni, działają bardzo bezwzględnie. Ja najszczerzej radzę więc pani nie rozmawiać z Erichem Stinnesem w sposób, który mógłby sugerować, że Werner jest blisko związany z Departamentem, gdyż istnieje poważne ryzyko, że zrobią krzywdę wam obojgu.

Werner wiedział, że zamierzam wbić jej to w głowę. Przypuszczam, że wolałby, żeby nie zrozumiała sensu mojego wystąpienia, niż gdyby miało ją to martwić.

Spojrzałem na nią. Skinęła głową. - Jeśli Werner chce rozmawiać ze Stinnesem, nie będę przeszkadzać - obiecała. - Nie proście mnie jednak o pomoc.

- Zgoda - powiedziałem.

Werner podszedł i objął ją ramieniem, aby pocieszyć. Nie sprawiała wrażenia, że trapią ją obawy o Wenera. Wyglądała na bardzo zagniewaną z powodu nieotrzymania pieniędzy.

ROZDZIAŁ VI

Jeśli Zena kiedykolwiek mnie porzuci, nie wiem, co zrobię - powiedział Werner. - Chyba umrę, naprawdę umrę. - Odpędził muchę swoim słomkowym kapeluszem.

To był Werner w jednym z jego żalobnych nastrojów. Skinąłem głową, choć miałem ochotę przypomnieć mu, że Zena rzucała go już kilkakrotnie, a wciąż pozostawał przy życiu. Przetrwiał nawet całkiem niedawny okres, gdy zamieszkała razem z Frankiem Harringtonem, żonatym mężczyzną, dostatecznie starym, żeby być jej ojcem - i wyglądało, że myśli o tym związku jako o czymś trwałym, tylko że Zena niczego trwałego nie zamierzała zrobić, oprócz trwałego unieszczęśliwienia Wenera.

- Zena jest bardzo ambitna - powiedział Werner. - Myślę, że zdajesz sobie z tego sprawę, prawda, Bernie?

- Jest bardzo młoda, Werner.

- Chciałeś powiedzieć, że za młoda dla mnie?

W odpowiedzi ostrożnie dobieierałem słowa. - Zbyt młoda, aby mieć właściwy obraz świata, Werner.

- Tak, biedna Zena.

- Tak, biedna Zena - powtórzyłem za nim. Werner przyjrzał mi się sprawdzając, czy nie dostrzeże sarkazmu. Uśmiechnąłem się.

- To piękny hotel - rzekł Werner. Siedzieliśmy na balkonie jedząc śniadanie. Było wczesnie rano i czuło się chłód w powietrzu. Miasto znajdowało się za nami i patrzeliśmy na delikatnie pofałdowane zielone wzgórza, których obraz zacierał się za lekką zasłoną z porannej mgły. Widok mógłby przypominać Anglię, gdyby nie odgłosy owadów, ciężki

zapach kwiatów tropikalnych i sępy, które krążyły bez końca wysoko na czystym, błękitnym niebie.

- Dicky go odkrył - powiedziałem.

Zena zezwoliła Wernerowi, aby zorganizował sobie dzień, przybył więc do Cuernavaca - znajdującego się niedaleko, jadąc samochodem, od zachodniej strony Mexico City, by opowiedzieć mi o spotkaniu ze Stinnesem w klubie *Kronprinz*. Dicky postanowił zrobić „naszą kwaterę główną” w tej leniwej miejscowości wypoczynkowej, do której przybywało wielu Amerykanów, aby spędzić stare lata i wydać tanie pesos. - Gdzie jest teraz Dicky? - zapytał Werner.

- Jest na spotkaniu - odparłem.

Werner skinął głową. - To bardzo rozsądne, że zatrzymaliście się tutaj w Cuernavaca. Po tej stronie gór jest zawsze chłodniej i nie musicie dzień i noc wdychać smogu.

- Za to mam Dicky'ego w sąsiednim pokoju.

- Dicky jest w porządku - stwierdził Werner. - Przez ciebie staje się nerwowo.

- Przeze mnie? - zapytałem z niedowierzaniem.

- To musi być dla niego bardzo trudne - powiedział Werner. - Znasz sprawy niemieckie lepiej, niż on kiedykolwiek zdoła poznać.

- Ale on nimi kieruje - stwierdziłem.

- Czego od niego oczekiwałeś? Że zrezygnuje z takiej roboty? Powinieneś dać mu spokój, Bernie.

- Dicky świetnie sobie radzi - powiedziałem. - Nie potrzebuje żadnej pomocy ani od ciebie, ani ode mnie. Ma cudowny okres.

Dicky zorganizował spotkanie z emerytem amerykańskim z zarządu CIA o nazwisku Miller i Anglikiem utrzymującym, że ma wielkie wpływy w meksykańskiej służbie bezpieczeństwa. Tak naprawdę, Dicky poznawał nowe restauracje na koszt podatników rozszerzając równocześnie wielki krąg przyjaciół i znajomych. Kiedyś Dicky pokazał mi swój rejestr wizytówek świadczący o kontaktach z całym światem. Oczywiście był to rejestr nieformalny. Dicky trzymał go w biurku, w domu. Na każdej wizytówce zapisywał imiona żon, dzieci, nazwy ulubionych restauracji oraz opisywał domy, które posiadają. Na drugiej stronie pisywał krótkie *resume*, w którym szacował zamożność, pozycję i wpływy. - On będzie moją uroczą wizytówką - żartował, gdy trafił mu się ktoś wpływowy. Czasami zastanawiałem się, czy jest w rejestrze moja wizytówka, a jeśli tak, co jest na niej napisane.

Dicky był zamiłowanym podróżnikiem i jego wybór barów, restauracji i hoteli był rezultatem intensywnych poszukiwań w przewodnikach i magazynach podróżniczych.

Hacienda Margarita, stare rancho na przedmieściach miasta, było dowodem, jakie korzyści mogą płynąć z tego typu badań. Był to uroczy, stary hotel, którego chłodne, kamienne kolumny otaczały dziedziniec z karłowatymi palmami, drzewami pieprzowymi i wysokimi palmami. Sypialnie wyłożone cudownymi kaflami posiadały duże okna i zaciszne balkony, gdyż miejsce to zostało zbudowane na długo przedtem, zanim słyszano o klimatyzacji; w czasach konkwistadorów, jeśli wierzyć tablicy nad pulpitem kasjera.

W międzyczasie z przyjemnością spożywałem śniadanie, które Dicky uznał za jedyne, aby zdrowo rozpocząć dzień. Składało się na nie: dzban świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego, termos gorącej kawy, mleko w puszcze - Dicky nie miał zaufania do mleka meksykańskiego - świeże bułki i garnuszek tutejszego miodu. Taca przybrana była orchideą i leżała na niej lokalna gazeta angielskojęzyczna: przedruk *The News*. Werner napił się soku pomarańczowego i kawy, ale podziękował za bułki z miodem. - Obiecałem Zenie, że zrzucę wagę.

- W takim razie zjem twoje - powiedziałem.

- Też masz nadwagę - stwierdził.

- Ale niczego nie obiecywałem Zenie - powiedziałem grzebiąc w miodzie.

- Był tam zeszłej nocy - rzekł Werner.

- Czy poszedł na to, Werner? Czy Stinnes poszedł na to?

- Co można sądzić mając do czynienia z człowiekiem takim jak Stinnes?

- Powiedziałem, że spotkałem tutaj w Mexico człowieka, którego znałem w Berlinie.

Powiedziałem, że załatwia uchodźcom z Niemiec Wschodnich wszystkie potrzebne papiery, aby mogli wyjechać i żyć w Anglii. Stinnes zapytał, czy papiery są autentyczne czy fałszywe. Odpowiedziałem, że prawdziwe; paszport, dokumenty identyfikacyjne oraz zezwolenie na zamieszkanie w Londynie lub w innym z dużych miast.

- Brytyjczycy nie potrzebują żadnych papierów identyfikacyjnych i mogą mieszkać, gdzie chcą.

- Nie znam tych spraw - powiedział Werner z rozdrażnieniem. - Nigdy nie mieszkałem w Anglii. Jeśli Anglicy nie potrzebują żadnych dokumentów, cóż u diabła mamy mu do zaoferowania?

- Nie przejmuj się tym wszystkim, Werner. Co odpowiedział Stinnes?

- Powiedział, że uchodźcy nigdy nie są szczęśliwi. Poznał wielu wygnańców, którzy zawsze żałowali opuszczenia ojczyzny. Mówił, że nigdy nie zdołali opanować języka i nie zintegrowali się z mieszkańcami nowego kraju. Najgorsze ze wszystkiego jest to, że ich dzieci wyrosły w nowym kraju i traktowały rodziców jak obcych. - Grał na zwłokę, oczywiście.

- Czy wiedział do czego zmierzasz?

- Prawdopodobnie nie był pewien na początku, ale wytrwale kontynuowałem temat i pomogła mi Zena. Wiesz, Bernie, powiedziała, że nie pomoże, a pomogła.

- Co zrobiła?

- Powiedziała, że trochę pieniędzy może rozwiązać wszystkie problemy. Opowiedziała o swoich przyjaciółach, którzy wyjechali do Anglii i cieszą się tam każdą minutą życia. Stwierdziła, że wszyscy lubią życie w Anglii. Jej przyjaciele mają duży dom w Hampshire z olbrzymim ogrodem. Przychodzi do nich nauczyciel, aby pomagać im w angielskim. Jeśli ma się pomoc i pieniądze, problemy przestają istnieć.

- Musiał odebrać tym razem wiadomość - stwierdziłem.

- Tak, stał się bardzo ostrożny - rzekł Werner. - Przypuszczam, że bał się, iż usiłuję zrobić z niego durnia.

- I?

- Musiałem wyrażać się bardziej konkretnie. Powiedziałem, że mój przyjaciel potrafi zawsze załatwić pracę dla kogoś w dziedzinie bezpieczeństwa. Przyjechał tylko na urlop kilkutygodniowy do Mexico po podróży przez USA, gdzie rekrutował ekspertów z dziedziny bezpieczeństwa dla bardzo dużej brytyjskiej korporacji, towarzystwa pracującego dla rządu brytyjskiego. Płaca jest bardzo dobra i długi kontrakt korzystny dla obu stron.

- Szkoda, że naprawdę nie masz takiego przyjaciela, Werner - powiedziałem. - Chciałbym go sam spotkać. Jak Stinnes zareagował?

- A jak miał zareagować, Bernie? Co ty lub ja powiedzielibyśmy, będąc na jego miejscu, wobec takiej propozycji?

- Powiedział - być może?

- Powiedział tak... był w każdym razie tak tego bliski, na ile odważył się. Bał się jednak, że to jest pułapka. Każdy bałby się. Chciał znać więcej szczegółów i mieć możliwość przemyślenia wszystkiego. Stwierdził, że będzie się musiał spotkać z mężczyzną organizującym rekrutację. Ja, oczywiście, podałem się za pośrednika.

- Czy uwierzył, że jesteś tylko pośrednikiem?

- Tak sądzę - odpowiedział Werner. Podniósł orchideę i przyglądał się jej, jak gdyby widział po raz pierwszy. - Nie można hodować orchidei w Mexico City, a tutaj, w Cuernavaca, kwitną. Nikt nie wie, dlaczego. Być może z powodu smogu.

- „Tak sądzę”, to za mało, Werner. - Zezłościł mnie zmieniając temat rozmowy i unikając ważnych pytań. - Nie żartowałem zeszłej nocy, gdy ostrzegałem Zenę. Nie żartowałem mówiąc, że potrafią być niebezpieczni.

- Uwierzył mi - powiedział tonem świadczącym o tym, że próbuje mnie uspokoić.

- Stinnes nie jest amatorem - stwierdziłem. - Jest tym, którego przydzielili do mnie, gdy byłem aresztowany. Zabrał mnie do budynku na Normannenstrasse i siedział pół nocy gawędząc, paląc i jasno stawiając sprawę, że gdyby to on był szefem, zrobiliby ze mnie marmoladę.

- Obaj widzieliśmy wielu specjalistów z KGB takich jak Erich Stinnes - powiedział Werner. - Jest dość uprzejmy nad szklanką piwa, ale w innych okolicznościach może być bardzo niebezpieczny. Nie wolno mu ufać, Bernie. Trzymałem odpowiedni dystans. Wiesz, że nie jestem bohaterem.

- Czy ktoś z nim był?

- Starszy mężczyzna - około pięćdziesiątki - zbudowany jak czołg, z krótko ostrzyżonymi włosami, nie potrafiący mówić w żadnym języku bez silnego, rosyjskiego akcentu.

- Wygląda na to, że to ten sam, który był z nim w domu Biedermanna. Stinnes zwracał się do niego „Paweł”. Mówiłem ci o czym rozmawiali, prawda?

- Sądzę, że to był on. Na szczęście nie rozumie dobrze niemieckiego, szczególnie gdy rozmawialiśmy ze Stinnesem. Stinnes pozbył się go natychmiast, gdy tylko stwierdził, jaki kierunek przyjmuje rozmowa. Myślę, że to mógł być dobry znak.

- Wykorzystam wszystkie dobre znaki, jakie posiadamy, Werner. - Wypiłem łyk kawy. - Można opowiadać mu o lekcjach języków w Hampshire, lecz on wie, że właściwą gratką będzie on sam siedzący w jakimś wstrętnym punkcie kontaktowym i rozwalający sieć KGB. Każdego wieczoru będzie wypijał pół butelki szkockiej whisky, aby zapomnieć, jakie szkody wyrządza swoim własnym ludziom i że od rana zacznie to robić od nowa. Hej, nie bądź taki zmartwiony, Werner.

Spojrzał na mnie przygryzając wargi. - On wie, że ty tu jesteś, Bernie, jestem pewien, że wie. - W jego głosie słychać było nutę niepokoju. - Pytał, czy znam Anglika, który jest przyjacielem Paula Biedermanna. Odpowiedziałem, że Paul zna wielu Anglików. Odparł, że ten zna od lat całą rodzinę Biedermannów.

- Ten opis pasuje do wielu ludzi - powiedziałem.

- Nie pasuje jednak do nikogo w Mexico City - rzekł Werner. - Myślę, że Stinnes wie, że tutaj jesteś. A jeśli wie, to źle.

- Dlaczego źle? - zapytałem, choć wiedziałem, co zamierza powiedzieć. Znałem Wernera tak długo, że nasze myśli biegły tymi parnymi torami.

- Ponieważ wygląda na to, że dowiedział się o tym od Paula Biedermanna.

- Możliwe - powiedziałem.

- Jeśli Stinnes jest tak zaniepokojony Biedermannem, jakby to wynikało z usłyszanego przez ciebie rozmowy, jest bardzo możliwe, że przepuści go przez wyżymaczkę. Ty wiesz i ja wiem, że Biedermann nie zniósłby dużych cięgów i natychmiast zacząłby przypominać sobie wszystko, co wie, a nawet szczegóły będące jedynie domysłami.

- Co Biedermann może im powiedzieć? To, że sprzedałem mu używane ferrari, które się psuło?

- Śmiejesz się. Biedermann może jednak wiele powiedzieć. Może powiedzieć im o twojej pracy w wywiadzie. Może powiedzieć o Franku Harringtonie w Berlinie i o ludziach, z którymi się Frank widuje.

- Nie bądź śmieszny, Werner. KGB wie wszystko o Franku Harringtonie. Długi czas jest Rezydentem w Berlinie, a i przed podjęciem pracy nie był tam obcy. Tej nocy” kiedy Stinnes trzymał mnie na Normannenstrasse, wiedział dla kogo pracuję; dyskutowaliśmy jedynie na temat opodatkowania płac.

- Myślę, że on chce z tobą rozmawiać, Bernie. Wszystko o tym świadczy, choć nie wymówił twojego nazwiska.

- W końcu będzie się musiał ze mną zobaczyć. Rozpozna mnie. Wyśle więc teleks do Moskwy, aby przysłali mu wyciąg z komputera dotyczący mojej osoby. Taka jest kolej rzeczy, Werner. Nic nie możemy na to poradzić.

- Nie podoba mi się to, Bernie.

- Więc co mam robić - przykleić sztuczną brodę, włożyć kamień do buta i udawać chromego?

- Niech Dicky to zrobi.

Dicky? Żartujesz, Dicky ma skaperować Stinnesa? Stinnes ucieknie, gdzie pieprz rośnie.

Prawdopodobnie ucieknie również, gdy ty będziesz próbował - powiedział Werner. - Nie ma żadnego dowodu, że Dicky pracował jako agent operacyjny. Jest mało prawdopodobne, żeby zrobili Dicky’emu coś naprawdę groźnego.

- Tak, to jest argument - powiedziałem.

- To nie jest temat do żartów, Bernie. Namalowałeś wczoraj Zenie optymistyczny obraz. Doceniam twoją troskę natchnienia jej spokojem. Obaj jednak wiemy, że najlepszym sposobem zabezpieczenia przed skaperowaniem jest zabicie tego, który zamierza tego dokonać... i obaj wiemy, że Moskwa podziela ten pogląd.

- Czy wyznaczyłeś czas i miejsce?

- Wciąż mi się to nie podoba, Bernie.

- Co może się stać. Ja mu powiem, jak urocze jest życie w Hampshire. On mi odpowie, żebym się wypchał.

Z dużego dziedzińca, poniżej naszego balkonu, rozlegała się muzyka. Część personelu hotelowego stawiała scenę, rozstawiała rozkładane krzesła i dekorowała kolumny kolorowymi lampionami przygotowując dziedziniec do koncertu, którego reklamę widziałem w hallu. Pod wysokim, kolczastym drzewem skarłowaciałej palmy, w najodleglejszej części dziedzińca, siedziało sześciu mężczyzn i pełna temperamentu dziewczyna. Jeden z mężczyzn brzdąkał na gitarze strojąc ją. Dziewczyna uśmiechała się i nuciła melodię, natomiast pozostali mężczyźni zastygli w obojętnej i nieruchomej pozie, charakterystycznej dla ludzi żyjących w bardzo gorących krajach.

Werner podążył za moim spojrzeniem i wychylił się, aby zobaczyć, co się dzieje. Mężczyzna brzdąkający na gitarze zaintonował melodię, którą zna każdy w Mexico i cicho zaśpiewał:

Życie jest nic nie warte, życie nie jest nic warte Zawsze zaczyna się krzykiem a płaczem się kończy To dlatego, na tym świecie, życie jest nic nie warte.

- Stinnes mówi, że boi się tego Pawła - odezwał się Werner. - Twierdzi, że Paweł zrobi wszystko, aby wrócić do Moskwy, a jest to możliwe dopiero, gdy wróci do łask. Stinnes obawia się, że przy pierwszej sposobności narobi kłopotów.

- Brzmi to jak miła pogawędka. Stinnes mówi, że się boi? Nie jest on tym, kogo można łatwo przestraszyć, a już z pewnością nie tym, kto by się do tego przyznawał.

- Nie było to powiedziane otwarcie - stwierdził Werner. - Wszystko było owinięte w eufemizmy i dwuznaczności, sens jednak był jednoznaczny.

- Jaki był rezultat końcowy?

- Chce rozmawiać z tobą, ale wszystko musi odbyć się w całkowicie bezpiecznym miejscu. Gdzieś, gdzie nie będzie podsłuchu i ukrytych świadków.

- Na przykład?

- Na łodzi Biedermanna. Powiedział, że spotka się z osobą, z którą mam go skontaktować, na łodzi Biedermanna.

- To brzmi rozsądnie - powiedziałem. - Dobrze się spisałeś, erner.

- Rozsądnie dla niego, nie dla ciebie.

- Dlaczego?

- Oszalałeś? Z pewnością będzie miał ze sobą Biedermanna. Wypłyną na Pacyfik i wyrzucą cię za burtę. Potem powiedzą, że gdy płonąłeś, złapał cię atak serca. Tutejsze gliny

na pewno siedzą w kieszeni Biedermanna, podobnie jak tutejszy lekarz, który wystawi świadectwo zgonu, jeśli zdecydują się w ten sposób to rozegrać.

- Masz mój testament, prawda, Werner?

- Jeżeli jesteś tak głupi, że nie dostrzegasz grożącego ci niebezpieczeństwa, moje wywody na niewiele się zdadzą.

- Nie widzę powodu, dla którego miałoby zadawać sobie tyle trudu, gdy to samo, o wiele łatwiej, można osiągnąć w wypadku samochodowym, gdy będę pospiesznie przechodził któregoś ranka przez ulicę Reforma.

- Oczywiście, nie wiem, jakie przygotowałeś zabezpieczenia. Przypuszczam, że w pobliżu stoi fregata Marynarki Królewskiej z radarem. Zdaję sobie sprawę, że nie powiedziałeś mi wszystkiego.

Czasami Werner był w stanie doprowadzić mnie do szaleństwa. - Wiesz, równie dobrze jak ja, że powiedziałem wszystko, o czym powinienś wiedzieć. Jeśli zdecyduję się spotkać ze Stinnesem na tej cholernej łodzi, nie będę miał przy sobie nawet fińskiego noża... fregata Marynarki Królewskiej... Dobry Boże, Werner, te twoje pomysły!

Poniżej nas gitarzysta śpiewał:

...Tylko zima cieszy się poważaniem

To dlatego życie jest nic nie warte w Guanajuato...

- Rób jak chcesz - powiedział ponuro Werner. - Wiem, że nie usłuchasz mojej rady. Nigdy nie słuchałeś.

Wydaje mi się, że spędziłem pół życia słuchając Wenera udzielającego rad. W pamięci miałem wrytą długą listę przypadków, w których z całego serca żałowałem, że kierowałem się nimi. Nie powiedziałem mu tego jednak. - Wszystko w porządku, Werner.

- Wydaje ci się, że wszystko w porządku, ponieważ twoja żona przeszła na stronę Rosjan - powiedział Werner. - W żadnym stopniu nie zwiększa to twojego bezpieczeństwa, Bernardzie.

Nie rozumiałem do czego zmierza. - Zwiększenie mojego bezpieczeństwa? O co chodzi?- Nigdy nie potrafiłem współpracować z Fioną. Zawsze się do tego przyznawałem. Bardziej z powodu jej zachowania niż mojego. Kiedy się pobraliście, chciałem, żebyśmy zostali przyjaciółmi. Wiesz o tym, prawda, Bernie?

- Co chcesz powiedzieć, Werner?

- Teraz Fiona pracuje dla KGB. Nie twierdzą, że zamierza wysłać grupę uderzeniową KGB za ojcem swoich dzieci. Nie wyobrażaj sobie jednak, że będziesz wечно cieszyć się całkowitą nietykalnością. To nie sposób, w jaki pracuje KGB, Bernardzie.

- Nie sposób?

- Jesteście teraz po przeciwnych stronach, ty i Fiona. Ona pracuje przeciwko tobie, Bernie. Pamiętaj o tym. Zawsze będzie pracować przeciwko tobie.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że Fiona wysłała Stinnesa do Mexico w nadziei, że możesz przyjechać tutaj na urlop zamiast jechać do Hiszpanii, do której miałeś już zarezerwowane bilety, nim dowiedziałeś się z magazynu *Time*, że Mexico jest jeszcze tańsze. Nie sądzisz, że zrobiła to, ponieważ liczyła, że natkniesz się na Stinnesa i zawiadomisz o tym londyńską Centralę. Musiałaby następnie założyć, że wyślą mnie tutaj z propozycją skaperowania go. Uważam, że za dużo tu domniemyanych uwarunkowań. Fiona musiałaby być czarodziejką, żeby to wszystko przewidzieć.

- Lubisz robić ze mnie durnia - powiedział Werner. - To poprawia ci samopoczucie, prawda?

- Tak, poprawia. A od czasu, gdy uwielbiasz rozczulać się nad sobą, stanowimy idealny, symbiotyczny związek. - Robiło się bardziej gorąco w promieniach porannego słońca, a w powietrzu wisiał słodki zapach kwiatów. W niczym nie przypominał lekkiego świeżego zapachu wsi europejskiej.

Kwiaty były duże, o żywych barwach, z gatunku tych, które ogląda się w telewizji, na zwolnionych filmach o naturze, jak pożerają owady. Pachniało ciężkimi, duszącymi perfumami jak w sklepie wolnołowym na lotnisku.

- Mówię jedynie o sprawach oczywistych. Musisz przestać myśleć, że nadal będziesz miał uroczne życie, tylko dlatego że Fiona dla nich pracuje.

- Będę nadal miał? O czym ty mówisz?

Werner pochylił się do przodu. - Fiona miała pewność, że nic ci się nie stanie przez te wszystkie lata, gdy działała jako agent w londyńskiej Centrali. Sam to powiedziałeś. Nie ma sensu zaprzeczać, Bernardzie. Powiedziałeś o tym zaraz, gdy cię wypuścili.

- Mówiłem, że być może miała z nimi taką umowę.

- Ale nie będzie tego robić dłużej. Kieruje Stinnesem oraz tym, co on robi z Biedermannem, zza biurka w Berlinie Wschodnim. Moskwa będzie śledzić każdy jej ruch: będzie musiała więc udowodnić, że jest po ich stronie. Nawet jeśli chciałaby cię chronić, nie zezwoli jej na to. Jeśli udasz się na łódź Paula Biedermanna w przeświadczeniu, że nic nie może ci się stać, gdyż KGB będzie rozgrywać to w sposób, w jaki chce Fiona, możesz nie wrócić.

- Będzie więc szansa, aby sprawdzić, jaki jest wynik. Wybiorę się na łódkę ze Stinnesem i zobaczę, co się stanie.

- Dobrze, nie mów tylko, że cię nie ostrzegałem - powiedział Werner.

Nie chciałem kłócić się, szczególnie z Wernerem, bo nawet, jeśli gdał jak kwoka, to z obawy o moje bezpieczeństwo. Sam denerwowałem się, co Stinnes chowa w zanadru. Werner wypowiadający swoje obawy przyprawiał mnie o drgawki. Dyskusja z Wernerem miała rozproszyć moje wątpliwości, lecz im dłużej trwała, tym mniej przekonująco brzmiały argumenty, które wysuwałem. - Postaw się w jego położenie, Werner - powiedziałem. - Stinnes robi dokładnie to, co ty lub ja robilibyśmy na jego miejscu. Rozgrywa to w bezpieczny sposób zachowując swoją pozycję i prosząc o więcej informacji. Nie obchodzi go, czy *rendez-vous* na łódce Biedermanna będzie dla nas łatwe i wygodne. Jeśli nie przezwyciężymy naszych zastrzeżeń, obaw i trudności, będzie uważał, że nie jesteśmy poważni.

Werner w zamyśleniu wysunął do przodu dolną wargę. Następnie dla wzmocnienia refleksyjnej pozy, zamknąwszy oczy zacisnął kciuk i palec wskazujący na nosie. Była to bardziej dopracowana wersja miny, którą robił w szkole, gdy próbował przypomnieć sobie zadaną lekcję. - Jadę z tobą - powiedział. Był to szlachetny gest. Werner nienawidził wszystkiego, co pływa.

- Czy Stinnes zgodzi się na to?

- Po prostu tam się zjawię. Powiemy, że miałeś problemy z drogówką. Dodamy, że zażądali potwierdzonego notarialnie oświadczenia od właściciela samochodu, którym jeździsz - takie jest tutaj prawo. Powiemy, że nie zdołałeś go zdobyć, więc musiałem przywieźć cię moim samochodem.

- Czy uwierzy w to?

- Pomyśli, że gliny usiłowały wycisnąć od ciebie dużą łapówkę; zatrzymywanie samochodów z cudzoziemcami i żądanie łapówki od kierowcy jest powszechnie uprawianym procederem wśród gliniarzy, i pomyśli, że jesteś za głupi na to, aby zrozumieć, o co im faktycznie chodziło.

- Kiedy ma odbyć się spotkanie?

- Jutro. Dobrze?

- Świetnie.

- Bardzo wcześnie.

- Powiedziałem dobrze, Werner.

- Muszę zatelefonować do niego i je potwierdzić.

- Szyfrem?

- Nie, chce, abym powiedział, że mój przyjaciel będzie mógł pojechać na wędkarską wycieczkę.

- Dobrze. Zabobony z szyframi żenowałyby mnie. W ten sposób lubią pracować moskiewscy urzędnicy.

Werner przytaknął. Gitarzysta wciąż śpiewał wpadającą w ucho melodię:

Chryste, na Twoim wzgórzu, na górskiej grani Cubilete Pocziesz tych, którzy cierpią, jesteś wielbiony przez ludzi Chryste, na Twoim wzgórzu, na górskiej grani Cubilete.

- To popularna piosenka - powiedział Werner. - Wiesz, że góra Cubilete ma grzbiet ukształtowany w kształcie kubka do gry w kości? Dlaczego życie nic nie jest warte?

- Ponieważ znaczy to, że życie jest tanie - odpowiedziałem. - To jest piosenka o zabijaniu ludzi bez powodu w tej części świata.

- Przy okazji - powiedział Werner. - Czy mógłbyś zwrócić opłaty za przelot, tak jak proponowałeś? Byłbym bardzo wdzięczny.

- Oczywiście - odparłem. - Mogę to zrobić na własną odpowiedzialność. Dwa bilety pierwszej klasy, na trasie Berlin-Mexico City-Berlin. Dam ci *voucher*, który wymienię na gotówkę wszystkie większe linie lotnicze.

- Bardzo się to nam przyda. Peso jest bardzo tanie, niemniej jednak wydaliśmy mnóstwo pieniędzy.

ROZDZIAŁ VII

Była noc, gdy dotarliśmy do Santiago. Światło księżyca pozwoliło nam dostrzec, że brama w domu Biedermanna jest zamknięta. Zauważyłem, że miejsce starego, przepiłowanego w czasie mojej poprzedniej wizyty, łańcucha zajął nowy. Nikt nie odpowiadał, gdy naciskałem guzik domofonu.

- Jeśli ten drań nie zjawi się... - powiedziałem i kopnąłem bramę.

- Uspokój się - rzekł Werner. - Przybyliśmy zbyt wcześnie. Przespacerujmy się po plaży.

Zostawiliśmy samochód terenowy Wenera przy wejściu i poszliśmy na plażę, aby popatrzeć na ocean. Rozpogodziło się po burzy i powietrze było spokojne, lecz gdy podeszliśmy bliżej, ogłuszył nas huk oceanu. Fale uderzające o plażę wybuchały wzdłuż piasku wielkimi plejadami iskrzących się fosforescencji. Wszędzie brzeg był zaśmiecony pływającymi odpadkami: połamanymi kawałkami drewna z szalup i chałup oraz konarami drzew oderwanymi przez wielkie wichry.

Nad słońą wonią zgnilizny, którą pachnie ocean, unosił się zapach dymu palonego drzewa.

Wzdłuż linii wody, w miejscu, w którym obszar dżungli, nie w pełni wyrosniętej, wchodził na piasek, migotały płomienie ogniska. Werner i ja poszliśmy naprzód i za krawędzią skalną dostrzeżliśmy okryte kocami kształty rozciągnięte wokół ognia.

Tutaj, pod osłoną skał i roślinności, mniejszy był hałas morza, lecz czułem dudniącą ziemię pod stopami, a na moich okularach pojawiły się kropelki wilgoci z rozpylonego w powietrzu pyłu wodnego.

Blisko ognia, opierając się o skałę, siedział mężczyzna. Od czasu do czasu ogień rozbłyskiwał ukazując jego brodatą twarz i włosy związane w koński ogon. Był potężnie zbudowanym młodzieńcem, ciemno opalonym, ubranym w stare kąpielówki i zbyt ciasną podkoszulkę. Palił i wpatrywał się w ogień. Nie dostrzegał nas, dopóki na niego nie weszliśmy.

- Kto tu jest? - zawołał po angielsku. Głos miał cienki, sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

- Mieszkamy niedaleko - powiedziałem. - Wybieramy się na ryby. Czekamy na łódź.

Od strony owiniętych postaci dobiegł nas dziwny odgłos. Początkowo był to cichy pisk stłumiony kocami. - Zamknij się, Betty - powiedział brodaty chłopiec. Głos nie ucichł jednak. Stał się bardziej nosowy, prawie chrapliwy, aż można w nim było rozpoznać szloch dziewczyny. - Zamknij się, mówię. Są tutaj ludzie. Spróbuj zasnąć. - Brodaty chłopiec zaciągnął się głęboko papierosem. W powietrzu unosił się słodki zapach dymu z marihuany.

Dziewczyna usiadła. Miała około osiemnastu lat i była ładna, jeśli nie brać pod uwagę pryszczki na twarzy, które mogły być spowodowane wiekiem dojrzewania lub niewłaściwą dietą. Włosy miała krótko obcięte, krócej od włosów brodatego chłopca. Gdy koc zsunął się jej z ramion, zobaczyłem, że ma na sobie tylko stanik. Była bardzo opalona. Przestała szlochać i palcami otarła łzy z oczu. - Czy ma pan papierosa? - zapytała mnie. - Amerykańskiego papierosa?

Podąłem jej paczkę. - Czy mogę wziąć dwa? - wyszeptwała.

- Proszę wziąć całą paczkę - powiedziałem. - Próbuję rzucić palenie.

Natychmiast zapaliła przekazując papierosy brodatemu chłopcu, który zapalił camela używając w tym celu swojego niedopałka. Za jego plecami jeden ze śpiących poruszył się. Miałem wrażenie, że nikt nie śpi i wszyscy nas słuchają.

- Przyjechaliście tutaj niedawno? - zapytałem. - Nie widziałem was w zeszłym tygodniu.

Chłopiec czuł się zobowiązany do udzielenia pewnych wyjaśnień. - Jest nas siedmioro, czterech chłopców i trzy dziewczyny. - Schylił się i kawałkiem drzewa podsycił

ogień. Zobaczyłem strzępy nie wywołanego filmu, które chłopak zagrzebał w popiele, żeby się spaliły. - Spotkaliśmy się wszyscy czekając na autobus, w Mazatlan, na północ stąd. Zebraliśmy manatki i ruszyliśmy wzdłuż wybrzeża kierując się na południe, w stronę Acapulco. Jednak jeden z chłopców - Teo - spał przedwczorajszej nocy pod drzewem *manzanillo*, którego soki są trujące. To było w naszym poprzednim obozie, kawał drogi stąd, w górę wybrzeża. Teo był we wstrząsie. Odszedł, aby szukać w głębi łądu kliniki. - Brodaty chłopiec potarł ramię w miejscu, gdzie ciemna opalenizna była jeszcze ciemniejsza przez długi ślad zabarwienia jodyną, którą posmarowano brzydkie przecięcie na jego ramieniu.

- Czy w ciągu ostatnich kilku godzin widział pan motorówkę? - zapytałem.

- Oczywiście - powiedział brodac. - Jest zakotwiczona po drugiej stronie cypla. Przyglądaliśmy się jej wcześniej. Elegancka panienska. Czy to na niej się wybieracie? Podpłynęła do brzegu i próbowała przybić do małej przystani, przypuszczam jednak, że ruch fal nie był sprzyjający, ponieważ para facetów musiała użyć szalupy. - Odwrócił głowę, aby spojrzeć na fale zalewające plażę. Ścigały się w naszym kierunku tworząc olbrzymie arkusze wypolerowanej stali, aż woda traciła swój impet i wtapiała się w pociemniały piasek.

- Jeszcze jej nie widzieliśmy - powiedziałem. - Czy to dobra łódź?

- Ta łódź to prawdziwy statek. Na jakie ryby się wybieracie?

- Na wszystko, co tu pływa - odpowiedziałem. - Czy całą drogę idziecie pieszo?

- Czasami łapiemy okazję. Dwukrotnie wzięliśmy meksykański autobus drugiej klasy, lecz w tym rejonie wybrzeża autostrada biegnie zbyt w głębi łądu. Staramy się trzymać blisko oceanu. Lubimy pływać, łowić ryby, a potem jeść je pieczone w ognisku. Ciężko nam było się poruszać na końcowym odcinku. Ostatnie osiem kilometrów musieliśmy wyrąbywać sobie drogę.

Teraz już bez wątplenia wszyscy byli rozbudzeni, wszyscy sześcioro. Siedzieli jednak nieruchomo, mogli więc słyszeć wszystko, co zostało powiedziane. Zauważyłem, że tutaj, w miejscu osłoniętym skalnym występem, zrobili małe obozowisko. Na skale przymocowali, w obawie przed szczurami, siedem plecaków. Ktoś próbował zbudować *palapas*, chatę, którą tubylcy budują jako czasowe schronienie wykorzystując palmę kokosową. Postawienie jej nie jest łatwe, jakby się mogło zdawać, i ta też rozpadła się na kawałki. Drewniany szkielet przewrócił się na jedną stronę, a porozrywane liście palmy leżały rozrzucone po plaży. Na krzakach suszyło się pranie - męska podkoszulka, para dzinsów i komplet bielizny. Na drzewie był zawieszony w charakterze prysznic żółty, plastikowy pojemnik. Dwa cienkie talerze były prawie na pół zgięte.

- Ktoś próbował zjeść swój talerz - powiedziałem.

- Tak - odpowiedział brodaty chłopak. - Próbowaliśmy wykopać studnię bez szpadla. Ciężko to idzie. Tutaj nie ma wody. Jutro musimy się przenieść.

- Gdzie umówiliście się ze swoim przyjacielem? - zapytałem.

Chłopiec patrzył na mnie dostatecznie długo, aby dać do zrozumienia, że zadaję zbyt wiele pytań, jednak odpowiedział. - Teo zdecydował się ruszyć z powrotem do domu. Zostawił nam swój plecak. Nie chciał iść z nami na południe do Acapulco.

- To przykre - powiedziałem.

- Te drzewa *manzanillo* mogą rzeczywiście wypalić kawałek człowieka.

- Będę na nie uważał - powiedziałem.

- Koniecznie - rzekł chłopiec. Skały były tutaj pochodzenia wulkanicznego; podziurawione jak zęby, przez które morze bulgotało, przetykało i wypluwało rozdrobnioną wodę, która sycząc opadała z powrotem, w błysku fluoryzującego światła, na ostre, czarne zęby trzonowe.

- Dzięki za papierosy - powiedziała bardzo cicho dziewczyna, gdy odchodziliśmy. Obok niej siedziała druga. Obejmowała ją ramieniem i słyszeliśmy, jak powiedziała: - Staraj się zasnąć, Betty. Jutro musimy się przenieść.

Werner i ja powędrowaliśmy z powrotem plażą, aż wyszliśmy prosto na mały samochód terenowy. Miał napęd na cztery koła i ostatni odcinek drogi pokonał bez większego trudu. Werner go pożyczył. Miał zdumiewającą zdolność zdobywania tego, co trzeba, kiedy trzeba i gdzie trzeba. Nie pytałem, skąd samochód pochodzi. Spojrzał na zegarek. - Stinnes powinien tu być w każdej chwili - powiedział.

- Taki człowiek jak on przybywa zwykle wcześniej - rzekłem.

- Jeśli masz jakieś wątpliwości...

- Nie, będziemy czekać.

- Jak myślisz, kim byli ci ludzie na plaży? Sądzisz, że to hippisi?

- Zastanawiam się - powiedziałem. Na wargach czułem sól z rozpylonej wody i jeszcze raz przetarłem okulary, aby pozbyć się jej śladów.

- Dlaczego dziewczyna płakała? Czy to cię nie zastanawia?

- Sześciu ludzi przedzierających się przez kilometry zarośli z siedmioma plecakami?

- Jeden należał do dzieciaka, który poszedł szukać kliniki. Do licha! Wiesz, jak zwariowane rzeczy ludzie robią.

- Ranny dzieciak zrezygnował ze swojego plecaka? To tak jakby zrezygnował z całego swojego dobytku.

- To możliwe - stwierdził Werner.

- A pozostałych sześciu miałyby dźwigać dodatkowy plecak? Jaki to ma sens, Werner. Równocześnie wycinając drogę przez gąszcz. Jak można nieść plecak, gdy już się ma założony jeden? Spróbuj kiedyś.

- Do czego zmierzasz?

- Jeśli ci młodzi ludzie mieliby dodatkowy plecak do niesienia, rozdzieliliby jego zawartość między siebie albo, co jest bardziej prawdopodobne patrząc na nich, sprzedaliby go w tutejszej wiosce, gdzie za skromny plecak zrobiliby zapasy, kupiliby coś do palenia lub inne potrzebne im rzeczy.

- A chłopiec miał brzydkie cięcie na ramieniu - powiedział Werner.

- Brzydkie cięcie w najwłaściwszym miejscu, Werner - na lewym przedramieniu. Były także cięcia na dłoni. Prawdopodobnie kolejne pod pożyczoną podkoszulką. Dziewczyna szlochała, jakby miało pęknąć jej serce. Druga dziewczyna pocieszała ją.

- Ktoś brał prysznic.

- Tak, i wyprał jeden komplet ubrania - powiedziałem. - Czterech mężczyzn i trzy dziewczyny śpiący na plaży każdej nocy. Oto recepta na kłopoty.

- Dlaczego kopali studnię? W wiosce przecież musi być woda? - zapytał Werner.

- Z pewnością. Mogę się założyć, że Biedermann nie zaczął budować swojego domu, dopóki nie znalazł wody.

- Jeśli nasze podejrzenia są słuszne, powinniśmy zawiadomić policję - stwierdził Werner.

- O tak, na pewno - powiedziałem. - Tylko tego nam potrzeba; tutejsze gliny zadające nam całą noc pytania, a Stinnesowi i Biedermannowi także. Trudno wymyślić lepszy sposób na zaprzepaszczenie szans skaperowania Stinnesa, niż postawienie go w stan oskarżenia za morderstwo, które, jeśli tego dopilnujemy, zbiegnie się dokładnie z czasem jego planowanego przybycia.

- Nie podoba mi się, że nic w tej sprawie nie zrobimy - powiedział Werner.

- Czasami zdumiewasz mnie, Werner.

Nie odpowiedział. Znałem go takiego. Siedział nadąsany w swoim poczuciu sprawiedliwości. Uważał, że powinienem zawiadomić policję o naszych podejrzeniach i nie miałem żadnej wątpliwości, że zamierzał wygłosić mowę skierowaną do mnie, gdy tylko doskonale ją sformułuje.

Siedzieliśmy w samochodzie patrząc na wypogodzoną wschodnią stronę nieba snując własne rozważania, dopóki pół godziny później nie zobaczyliśmy świateł samochodów podskakujących na wyboistej drodze w naszym kierunku.

W jednym jechał Stinnes, a Biedermann w drugim. Jeden samochód zatrzymał się na końcowym odcinku złej drogi. Biedermann otworzył bramę mruknąwszy słowa powitania i wszyscy zajechaliśmy przed dom.

- Przepraszam z powodu zamkniętej bramy - powiedział Biedermann. Nie odbyło się żadne formalne przedstawienie. Jak gdyby w ramach nie wypowiedzianej umowy każdy wiedział, że nie może pamiętać o tym spotkaniu. - Służący musieli zapomnieć, co im nakazałem.

„Służący” - to mężczyzna i chłopiec, którzy sądząc po butach, niedawno przybyli pieszo tą samą ścieżką, którą szedłem na poprzednie spotkanie. Podali nam garnuszki z bardzo słodką, ulubioną przez Meksykanów kawą, parzoną z cukrem. Ubrani byli w koszule i spodnie w kratę. Chłopiec był prawie dzieckiem. Domyśliłem się, że równocześnie stanowią załogę motorowej łodzi Biedermann. Traktowali go z widocznym respektem mogącym być rezultatem pijackich ataków wściekłości, które, jak głosiła fama, często się zdarzały. Teraz jednak Biedermann był trzeźwy i zamknięty w sobie. Staliśmy w czwórce na wewnętrznym dziedzińcu patrząc na smugami słońca porysowany brzask i w dół, gdzie stał zakotwiczony sto metrów od brzegu krążownik, którego kabina miała około dwunastu metrów wysokości.

Wykorzystałem okazję, aby spojrzeć na Stinnesa i przypuszczam, że on też nie przepuścił żadnej sposobności przyjrzenia się mnie. Jedyne doskonały niemiecki z berlińskim akcentem mógł być powodem mylenia go z rodowitym berlińczykiem. Takie chude, o stalowych mięśniach postacie ze słowiańskimi twarzami widuje się tylko na ulicach Moskwy. Zdjął swój słomkowy kapelusz odsłaniając wysokie czoło i mocno przerzedzone włosy ukazujące kształt czaszki. Jego oczy błyszczały zza małych, okrągłych, w pozłacanych oprawkach okularów, które zdjął, aby przetrzeć, równocześnie rozglądając się wokół. Przebywał na słońcu i miejsce, które niedawno zakrywała mała broda, pociemniało, miał jednak bladą karnację i zbyt mało pigmentu, żeby opalić się równomiernie. Jego kości policzkowe i nos przybrały na meksykańskim słońcu kolor żółtawobrazowy, jak nikotyną poplamione palce nałogowego palacza. Bawełniany garnitur, tak jasny, że prawie biały, był źle dopasowany i wymięty z powodu podróży. Przy tym wszystkim Stinnes miał szybkie, inteligentne spojrzenie i niezachwianą pewność siebie, która czyni człowieka atrakcyjnym w stosunkach z innymi ludźmi.

- Chodźmy już - powiedział niecierpliwie Biedermann. Był nerwowy. Unikał mojego spojrzenia. - Zostawcie kawę. Pedro i jego syn zaparzą świeżą na łodzi, jeśli będziecie mieć ochotę. Bierzymy jedzenie na pokład. - Kręcił się wokół nas jak przewodnik turystyczny i objął prowadzenie, gdy zaczęliśmy schodzić do przystani. Przestrzegał, aby pamiętać o

stopniach i uważać na błoto oraz śliskie, drewniane deski. Spojrzałem w stronę brzegu i hippisów, ale było zbyt daleko i zasłaniała ich skała. Obejrzałem się przez ramię. Stinnes szedł na samym końcu wybierając drogę w dół schodów z przesadną troską, a jego słomiany kapelusz, niemodne okulary i wygnieciony biały garnitur nadawały mu wygląd postaci z Czechowa. Mowa tu oczywiście nie o skomplikowanym, awangardowym Czechowie ze scen teatrów zachodnich, lecz o zimnym i jałowym wrogu klasowym, jakiego kreują radzieckie teatry.

Słońce przebijało się przez mgłę, jak rozpuszczone masło przez bibułkowe opakowanie. Nikt nie komentował obecności Wenera i byłem mu wdzięczny za to, że tu był. Albo zamierzali nie być bezwzględni, albo być tak bezwzględni, że jedna dodatkowa ofiara nie robiła im różnicy.

Nazywała się „Wir” i była łodzią tej klasy, którą ludzie pokroju Biedermanna uwielbiają. Unosiła się wysoko nad wodą z górnym pokładem, używanym dla obserwacji i rufą przykrytą zasłoną, z dużym „fotelem dentystycznym” dla łowiącego ryby. Kabina obudowana była kosztowną wykładziną i wyposażona w stereo hi-fi, duży telewizor, bar i lodówkę. Stamtąd, w górę, prowadziły stopnie do dużego mostka, na którym obrotowy fotel i znajdujące się naokoło szyby udostępniały kapitanowi panoramiczny widok. Była nawet czapka z napisem „Kapitan”, oplecionym skrzyżowanymi kotwicami, wyszytym cienkim, złotym sznurkiem. Pedro, Meksykanin, nie włożył jej jednak; jego długie tłuste włosy poplamiałyby ją. Siedział za sterem jak długodystansowy kierowca autobusowy czekający na dworcu. Oparty o koło bawił się zapakowanym cygarem, którego nigdy nie zapalał. Za zasłoną przeciwsłoneczną wciśnięte było tanie radio tranzystorowe. Nastawił je na lokalną stację nadającą muzykę meksykańską, a potem ściszył, aby nie było go słychać w kabinie.

Wielkie silniki zadrzały tak cicho, że sam dźwięk był mniej zauważalny niż wibracje pod stopami. Stinnes rozejrzał się wokoło bez oznak wielkiego zachwyty czy podziwu. Myślę, że tu było wszystko, czego komuniści nienawidzili. Nawet mnie bogactwo to wydało się zbyt ostentacyjne.

- Kto ma ochotę na drinka? - zapytał Biedermann tonem dźwięczącym pogodą, jak przystało na doskonałego gospodarza. Otworzył bar i wystawił różne butelki z alkoholami. Scotch brandy, angielski gin. Podniósł jedną i potrząsnął nią. - „Robert Brown” - meksykańska whisky, jeżeli jeszcze jej nie próbowaliście, to polecam.

Stinnes przeszedł przez kabinę i bardzo cicho powiedział: - Lepiej jeśli zabierzesz pana Volkmana z powrotem do domu, Paul. Jeśli Pedro pokaże mi urządzenia sterujące, sam mogę prowadzić łódź. - Był to typowy dla KGB trick, dokładnie zaplanowany, a

niespodziewany. Nie potrafili działać spontanicznie, ale znajdowali sposoby, aby bez tego się obejść.

Paul Biedermann spojrzał na niego i zamrugał oczami. - Oczywiście, jeśli tego sobie życzysz.

- Tak, tego sobie życzę - powiedział Stinnes. Zdjął słomkowy kapelusz i przesuwał dłoń po głowie, wygładził swoje rzadkie włosy.

- Wezmę również Pedro i jego chłopaka. A może chcesz ich mieć z sobą? - Gdy Stinnes nie odpowiedział, Biedermann uśmiechnął się nerwowo i zerwał na równe nogi. - Pedro, pokaż panu Stinnesowi, jak się prowadzi łódź.

Siedziałem na przeciwległym końcu kabiny i przyglądałem się uważnie Biedermannowi. Albo bał się Stinnesa, albo było to bardzo dobrze zagrane. Werner też przyglądał się całej scenie. Siedział jak zwykle, zgarbiony w fotelu z półprzymkniętymi oczami. Taki był zawsze Werner; chciał wiedzieć wszystko i snuć domysły na temat tego, czego nie wiedział. Lubił przy tym sprawiać wrażenie, że drzemie. Odnosiłby wielkie sukcesy jako dziennikarz publikujący w kronice towarzyskiej, gdyby nie notoryczne niedotrzymywanie terminów.

Stinnes patrzył na mnie i choć wyraz jego twarzy nie zmienił się, czekał na moje skinienie, nim zajął miejsce za sterem. - Paul - powiedział Stinnes. - Bez alkoholu. Lepiej zachowajmy wszyscy jasne umysły.

- Tak, oczywiście - powiedział Biedermann. - Pomyślałem tylko, że ktoś...

- Lepiej to schowaj - rzekł Stinnes. - Zabierz pana Volkmana do domu i napijcie się kawy.

- Zanim to schowasz - powiedziałem - zostaw dla mnie odrobinę, dobrze?

Nalałem sobie niemałą dawkę whisky słodowej z butelki, którą Biedermann odstawił dla mnie i sączyłem ją nie rozcieńczoną. Nie miałem zaufania do picia jej z wodą, nigdzie poza Szkocją, a w Szkocji nigdy nie byłem.

Usłyszałem jęk elektrycznego motoru podnoszącego kotwicę i zachwiałem się, gdy nurt objął łódź w posiadanie. Przez świetlik zobaczyłem szalupę, a w niej Wenera, Paula Biedermanna i dwóch Meksykanów, powracających do przystani. Prawie ją wywracało. Zastanawiałem się, czy Werner czuje się dobrze. Nienawidził morza pod każdą postacią. Jego propozycja przybycia tutaj była szlachetnym gestem przyjaźni.

Łodzią wstrząsnęła wibracja, gdy Stinnes siedząc za sterami, zwiększył obroty silnika i włączył śruby. Odgłos fal uderzających o kadłub zmienił się w huk wody wyrzucanej przez

łódź, a gdy Stinnes przekręcił kołem i skierował ją na otwarte morze, po oszklonej kabinie zaczęła pędzić olbrzymia plama światła słonecznego.

Pozwalałem Stinnesowi zabawiać się sterem, podczas gdy ja popijając whisky, zadawałem sobie pytanie - co robię tutaj na morzu, w pływającym cadillacu, w sezonie huraganów, z majorem KGB przy sterze. Po kilku minutach zwiększył jeszcze obroty i wkrótce rozległ się huk wyrzucanej wody zalewającej pokład, łódź przechyliła się, a zielony ocean rozbryzgiwał wodę na szybach, aż w kabinie zrobiło się ciemno. Stinnes skorygował stery, bardziej delikatnie tym razem. Uczył się. Wystarczyło zostawić go samego na parę minut.

Zostawiłem go na dłuższą chwilę. Gdy przechodziłem przez kabinę, aby nalać sobie drugiego drinka, musiałem stawiać szeroko stopy, ponieważ łodzią huštało. Dopłynęliśmy do miejsca, w którym chłodny, równikowy prąd Pacyfiku łączył się z ciepłymi, letnimi prądami opływającymi ląd. Mocno ścisnąłem napój idąc na górę, do Stinnesa siedzącego przy sterach. Słońce oświetlało go z tyłu tworząc aureolę z jego rzadkich włosów i zdobiąc jego białą, bawełnianą marynarkę lamówką ze złota. Z małego, plastikowego radia dobiegały stłumione dźwięki meksykańskiej muzyki.

- Przypuśćmy, że potraktowałem to poważnie - powiedział Stinnes zauważając moje pojawienie się na mostku. - Przypuśćmy, że powiem: Tak, chciałbym przejść na waszą stronę. Czy to nie jest żart? Czy naprawdę upoważniony jest pan do prowadzenia negocjacji?

- Dokąd nas pan wiezie? - zapytałem zaniepokojony nagle. Straciliśmy ląd z oczu. Musiałem mówić głośno, aby przekrzyczeć huk morza i muzykę z radia.

- Wiem, co robię - powiedział Stinnes. - Biedermann ma radar, sonar, urządzenie do badania dna i wszystkie inne luksusy.

- Czy mamy coś, co zabezpieczyłoby nas przed zatonięciem? - zapytałem.

- Volkmann mówi, że ma pan pewną propozycję - powiedział Stinnes. Spojrzał w dół na urządzenia i postukał w barometr. - Czy jest pan miłośnikiem muzyki meksykańskiej, czy czeka pan na ostrzeżenie o huraganie? - zapytałem. Ściszył radio tak, że tylko był słyszalny słaby szmer na tle odgłosu wiatru i wycia silników. - Jest propozycja - rzekłem. - Czekam gotowa.

- Dlaczego ja? - zapytał Stinnes.

Sam zadawałem już sobie to pytanie i nie znalazłem odpowiedzi. - A dlaczego nie?

- Pański rząd nie wysłał pana tak daleko bez motywu; dobrego motywu. - Ani wzmianki o Dickym Cruyerze, zauważyłem. Czy to znaczy, że Dicky jest mu nie znany? To mogłoby być korzystne. - Są inne powody mojej tu obecności.

Popatrzył na mnie z obojętną twarzą, lecz wiedziałem, że mi nie wierzy. Był podejrzliwy, tak jak i ja byłbym na jego miejscu. W grę nie wchodziły żadne półśrodki. Będę musiał pracować bardzo ciężko, aby go przekonać. Był taki jak ja - zbyt stary i zbyt cyniczny, żeby ulec czemukolwiek innemu niż szczerości lub jeszcze głębszemu cynizmowi niż jego własny. - Pan jest naszym celem - powiedziałem. - Londyn widzi w panu wyjątkowego agenta wroga.

Słońce świeciło teraz jaśniej padając ponad jego ramieniem na tablicę rozdzielczą, tak że mogłem dojrzeć urządzenia sterownicze odbijające się w soczewkach jego okularów. - Na pewno? - zapytał bezbarwnym głosem, lecz miałem wrażenie, że tym razem uwierzył mi i był dumny, że to jego Londyn wybrał.

Prawdopodobnie obrałem właściwą drogę postępowania. Przypominało to przygodę miłosną; a Stinnes osiągnął ten niebezpieczny wiek, kiedy mężczyzna jest wrażliwy albo na uroki niewinnej ślicznotki, albo doświadczonej dziwki. A najskuteczniejszą bronią jednej i drugiej jest pochlebstwo.

- Ci w Londynie czasem tacy są - powiedziałem. - Dojdą do wniosku, że chcą kogoś mieć, a wtedy pośpiech, pośpiech, pośpiech. Nienawidzę tego rodzaju roboty.

- Nie chciałbym, żeby to, o czym mówimy, zostało przekazane przez wasz system kodowy - powiedział Stinnes. - Szczególnie nie przez waszą ambasadę w Mexico City. Od początku na to nalegam.

Nie chciałem, aby myślał, że Londyn jest zbyt zainteresowany. Jeśli Stinnes powie nie, będziemy zmuszeni go porwać, a zależało mi, żeby nie był przygotowany na taki rozwój wypadków. Rozgrywałem to chłodno. - Musimy działać szybko - powiedziałem. - Jeśli wszystkiego nie ustalimy do przyszłego tygodnia, ci w Londynie mogą stracić zainteresowanie całą sprawą i zrezygnować z projektu. Tacy właśnie są.

Było już całkiem jasno i choć słońce wciąż przebijało się przez poranną mgłę, nie było żadnych chmur. Zanosilo się na bardzo upalny dzień. Wiatr wiał z prędkością od piętnastu do osiemnastu kilometrów na minutę, fale rozciągały się i załamywały tu i tam tworząc rozrzucone białe grzywy. Na zachodniej stronie horyzontu dostrzegłem dwa statki. Spojrzałem na kompas. Czy Stinnes zamierzał pobić mnie moją własną bronią? Czy to były rosyjskie trawlerzy oczekujące na Stinnesa, który miał mnie przekazać na statek, z grupą śledczą KGB wychylającą się przez burtę? Prawdopodobnie Stinnes domyślił się, co przyszło mi do głowy, gdyż przekręcił delikatnie ster kierując się na południe. Gdy zmienił kierunek, przypadkowa, duża fala załamała się nad dziobem rozpryskując wodę wokół tak, że powietrze miało jej smak. - Twój ludzie są sprytni, Samson... Czy to jest twoje prawdziwe nazwisko?

- Tak. Są sprytni.

Uśmiechnął się pozbawionym wesołości uśmiechem. - Mam czterdzieści lat i ciągle jestem majorem. Nikłe szanse na stopień pułkownika. Nie jestem *Wunderkind*, Samson. Nie skończę jako generał posiadający własny wydział i ładne, duże biuro w Moskwie oraz samochód i kierowcę, który odwoziłby mnie co wieczór do domu. Nawet ja zacząłem zdawać sobie z tego sprawę.

- Myślałem, że lubi pan Berlin - stwierdziłem.

- Mieszkałem tam dostatecznie długo. Mam dość Berlina. Mam dość siedzenia w małym, ciasnym domu i oglądania wschodniemieckiej telewizji reklamującej rzeczy, które moja żona chciałaby mieć, a których nie może kupić.

Kolejna fala załamała się na dziobie. Stłumił ją najeżdżając na nią z prędkością pozwalającą zachować kierunek. Łódź prześlizgiwała się i podskakiwała na falach, musiałem złapać się burty, aby zachować równowagę. - Zamierzam się rozwieść - powiedział koncentrując się nagle na sterach, jak gdyby to, co powiedział, nie było ważne. - Czy Londyn coś wie na ten temat?

- Nie - odpowiedziałem.

- Nie, oczywiście, że nie. Nawet moi współpracownicy jeszcze nie wiedzą. Kierownictwo nie lubi rozwodów... nazywa je chwiejnością. Wewnętrzną chwiejnością. Co tylko złego dzieje się w małżeństwie, jest klasyfikowane jako „wewnętrzna chwiejność”; może to być bicie dzieci, bicie żon, utrzymywanie kochanek lub alkoholizm. Nazywane jest to wewnętrzną chwiejnością i wiąże się z otrzymywaniem czarnych not. Te z kolei przyczyniają się do długich rozmów z oficerami śledczymi, a czasami nawet do konieczności odbycia krótkiego „kursu kierowniczego” ze szkoleniem politycznymi ćwiczeniami gimnastycznymi. Żony oficerów KGB stają się od tego zależne, Samson.

- Nie lubię ćwiczeń gimnastycznych - powiedziałem. Może w Londynie są sprytniejsi niż myślałem. Może już o tym wiedzą. Dlatego tak się śpieszą. Zastanawiałem się też, czy informowano o tym Dicky'ego. Ciekaw byłem, które czarne noty mogły być przypisane Stinnesowi: za bicie dzieci nie, za bicie żony - możliwe, za utrzymywanie kochanki - wysoce prawdopodobne. Był typem mężczyzny mogącym podobać się niektórym kobietom. Spojrzałem na twardą, nieustępliwą twarz, gładką, jak starannie wyrzeźbione *netsuke*, dotykaną przez pokolenia kolekcjonerów i pociemniałą, jak ciemnieje kość słoniowa, gdy trzymana jest w zamknięciu bez dostępu światła.

- Tym bardziej nie lubiłby pan tego rodzaju ćwiczeń gimnastycznych - stwierdził Stinnes. - Szkoła Dowodzenia dla Oficerów Operacyjnych KGB znajduje się w odległości stu

sześćdziesięciu kilometrów od najbliższego miasta na Sachalinie, na Morzu Ochockim. Pojechałem tam raz, gdy byłem młodym porucznikiem. Byłem jednym z dwójga eskortujących. To było we wrześniu 1964 r.: kapitan z mojej jednostki został oddelegowany do szkoły na czteromiesięczny kurs. Został wysłany za to, że pewnej nocy, po pijanemu, w pokoju, w którym siedziało wielu oficerów, powiedział, że Nikita Chruszczow nie nadaje się na premiera, a już z pewnością nie na Pierwszego Sekretarza Radzieckiej Partii Komunistycznej. To ponure miejsce, Samson. Byłem tam tylko dwie godziny, ale całkiem mi to wystarczyło; nie ogrzewane pokoje, prysznice z zimną wodą i wszędzie biegający „kandydaci”. Tylko personel mógł chodzić. Nie jest to miejsce, które panu albo mnie podobałoby się. Kilka tygodni później, żeby było śmieszniej, Chruszczow został potępiony w dużo mocniejszych słowach i zastąpiony przez Breżniewa. - Stinnes przez chwilę uśmiechał się smutno. - Kapitan nie został jednak zwolniony. Musiał odbyć pełny wyrok... jak mówią, zakończył kurs kierowniczy. Nie chciałem tam być wysłany.

- Znacznie umacnia to wierność małżeńską - powiedziałem.

- Tak. Jeszcze nie poprosiłem oficjalnie o rozwód. Myślałem tylko o tym. Każdy jednak wie, że nie żyję dobrze z moją żoną Ingą. Jestem nią znudzony, a ona jest znudzona mną i nic nie da się z tym zrobić, oprócz tego, że muszę odejść, zanim zacznę jej nienawidzić. Czy pan rozumie? - spojrzał na mnie.

Obaj wiedzieliśmy, co stało się z moją żoną; została jego szefem. Nie wyglądał na człowieka, który cieszy się pracą dla szefa kobiety. Zastanawiałem się, czy to była część prawdziwego opowiadania.

- Czy ma pan jeszcze jakieś dzieci? - spytałem.

- Nie, tylko osiemnastoletniego chłopca. Jest w wieku, w którym zdał sobie sprawę, jak niewiele pozostało z ojca, którego czcił. Początkowo złościło mnie to, a teraz jestem tylko smutny. Doszedłem do przekonania, że to naturalny etap rozwoju młodego człowieka.

- Ożenił się pan z Niemką - stwierdziłem.

- Byłem samotny. Inge była zaledwie o kilka miesięcy młodsza ode mnie. Zna pan ten szczególny rodzaj uroku, jaki roztaczają berlińskie dziewczęta. Promienie słońca, mocne piwo, krótkie spódnice, długie, leniwe wieczory i żeglowanie po Muggelsee. To nie powinno być dozwolone. - Stinnes roześmiał się krótkim, suchym, gorzkim śmiechem, jak gdyby wciąż był w niej zakochany i oburzało go to.

- Wyjazd na Zachód rozwiąże wszystkie pańskie problemy - powiedziałem. Nie chciałem go ponaglać. Jakakolwiek sugestia o pośpiechu mogłaby wpłynąć na zmianę jego decyzji. Może przejdzie na naszą stronę, może tylko bawi się ze mną, wiedziałem jednak, że

nie mogę przestać popychać sprawy do przodu. Domyślałem się, jakie myśli, kłębiły mu się w głowie. Było tak wiele spraw, które musiał załatwić. Byli życzliwi ludzie, których będzie chciał odesłać daleko, aby nie zostali obciążeni jego zdradą.

- Co za cudowna propozycja. Któż mógłby oprzeć się przyszłości bez problemów!

- To pańskie życie - powiedziałem. Przez chwilę nie dbałem o to, co robi, lecz natychmiast mój profesjonalizm wziął górę nad gniewem. Do mnie należało skaperowanie Stinnesa i powinienem dać z siebie wszystko, aby tego dokonać. - Jeśli jednak powie pan nie, wątpię, aby Londyn zwrócił się do pana ponownie. Teraz albo nigdy.

- Bardzo dobrze - powiedział Stinnes. - Zakomunikuj pan swoim ludziom, że powiedziałem nie. Chcę, aby to poszło do Londynu przez waszą ambasadę w Mexico City, zwykłym kodem. - Skinąłem głową i spróbowałem nie okazywać mojego zdziwienia, że Rosjanie złamali nasze kody. W przyszłości musimy dopilnować, aby wszystkie ważniejsze informacje szły przez Waszyngton, przy wykorzystaniu tajnej, cyfrowej maszyny NSA. Czekaj, aż wymruczę zgodę.

- Złożę raport o waszej propozycji. Nie zidentyfikuję pana, Samson. Mgliście zasugeruję Moskwie, że jakiś tutejszy, niskiej rangi agent próbował zdobyć dla siebie rozgłos. Pan natomiast, gdy wróci do Londynu, powie komu trzeba, że zgadzam się.

- Ile czasu potrzebuje pan?- Jest kilka spraw, które muszę załatwić. Potrzebny jest mi miesiąc.

- Zgoda - powiedziałem. Będzie chciał dostać się do tajnych dokumentów, aby coś przynieść z sobą. Będzie chciał trochę czasu spędzić z żoną i odbyć ostatnią rozmowę z synem, zjeść obiad z rodziną, wypić drinka z sekretarką i spotkać się wieczorem ze starymi przyjaciółmi. Będzie chciał zachować ich obraz w pamięci. - Rozumiem.

Poczułem palące słońce na ramieniu. Padało przez prawą burtę. Dopiero teraz zauważyłem, że obracał kołem sterowym drobnymi, wprawnymi ruchami, aż łódka zrobiła obrót i kierowała się z powrotem do domu. Stinnes robił wszystko z jednakową, profesjonalną skrytością.

Poczułem się nieswojo.

- Moi współpracownicy będą niecierpliwi - ostrzegłem.

- Wszyscy wiemy, jacy są urzędnicy. Czy będzie pan ich uspokajał?

- Spróbuję - odparłem. - Niech pan lepiej przyniesie ze sobą coś naprawdę dobrego.

- Nie jestem nowicjuszem, Samson. Dlatego potrzebny jest mi miesiąc. - Wyjął małe, czarne cygaro z górnej kieszeni i przez chwilę je zapalał. Gdy się dobrze rozpałiło, wyjął je z ust i skinął głową, jak gdyby utwierdzając się w czymś.

Jeśli rzeczywiście zamierza przyjść do nas, zagrabi tyle dokumentów, ile będzie mógł znaleźć i zabezpieczy je gdzieś, prawdopodobnie w podziemiach banku szwajcarskiego. Tylko głupiec przybyłby nie mając niczego ekstra. A Stinnes nie był głupcem.

- Jaki rodzaj materiałów ich interesuje? - zapytał.

- Spodziewają się, że rozpracuje pan siatkę - odparłem. Zamyślił się. - Czy to właśnie powiedział Londyn?

- Nie, to ja mówię. Wiem, czego będą oczekiwali. Tego samego żądałby pan ode mnie, gdyby mnie pan miał w Moskwie.

- Tak.

- Dam panu radę - powiedziałem. - Niech pan nie rozwiąże siatki przed dostarczeniem nam listy osób oraz ich nieaktualnych już adresów. Mogłoby to wszystkich zdenerwować i nasunąć przypuszczenie, że wciąż jest pan opłacany przez Moskwę. Czy zrozumiał pan?

Dmuchał piekielnie pachnącym dymem z cygara. - To przyjemność załatwiać interesy z panem, panie Samson. Stawia pan sprawy bardzo jasno.

- Niech więc mi pan pozwoli postawić i tę. Jeśli próbuje mnie pan zwodzić, jeśli próbuje pan jakichkolwiek sztuczek, zniszczę pana.

ROZDZIAŁ VIII

w południe minęły trzy godziny naszego oczekiwania na samolot, który nadal nie przybywał. Inne odloty były również opóźnione. Huragany stanowiły oficjalne wyjaśnienie. Lotnisko w Mexico City zatłoczone było ludźmi. Indianki ścisnęły worki z mąką, a grupa rockowa, w ubraniach wyszywanych cekinami, pilnowała swoich wzmacniaczy. Każdy znalazł jakiś sposób, żeby zająć się czymś wobec nieokreślonego czasu oczekiwania: matki karmiły piersią dzieci, chłopcy ścigali się w hali lotniska na deskorolkach, obładowany towarem handlarz dywanów systematycznie go prezentował zniewolonej publiczności, przewodnicy turystyczni spacerowali zdecydowanym krokiem, personel lotniczy ziewał, turyści z obolałymi nogami chrapali, zakonnice odmawiały różańce, wysoki czarny mężczyzna z walkmanem marki Sony kołysał się rytmicznie, a dzieciaki z jakiejś szwedzkiej szkoły przegrywały ostatnie peso na automatach.

Dicky Cruyer miał nadmierny bagaż i paczkę z tanimi, cienkimi maskami dekoracyjnymi i nalegał, żeby móc wziąć to z sobą jako podręczny bagaż. Z miejsca, w którym siedziałem, widziałem go, jak koncentruje cały swój urok na dziewczynie przy stanowisku kontrolnym. Nigdzie nie było wolnych miejsc. Opierałem się o jedną z walizek Dicky'ego rozmawiając z Wernerem. Patrzyłem, jak Dicky gestykułuje rozmawiając z

dziewczyną, gładząc dłońmi swoje kręcone włosy, w typowy sposób, gdy chciał sprawiać nieśmiało i chłopięce wrażenie.

- Nie ufaj mu - powiedział Werner.

- Dicky'emu? Nie martw się, nie będę.

- Wiesz o kim mówię - rzekł Werner. - Nie ufaj Stinnesowi. Siedział na jednej z wielu walizek Dicky'ego. Był ubrany w *guy-*

avera, tradycyjną koszulę meksykańską, całą w fałdach i guzikach, Iniane spodnie i buty wyglądające na drogie, ozdobione dziurkami. Chociaż Werner narzekał na upał i wilgotność, klimat zdawał się mu służyć. Miał karnację sprzyjającą łatwemu opalaniu i w promieniach słonecznych wyglądał na bardziej odprężonego niż kiedykolwiek w Europie.

- Nie ma nic do stracenia - powiedziałem.

- Masz na myśli Centralę w Londynie czy siebie?

- Robię tylko to, czego Londyn ode mnie chce, Werner. „Nie do nich należy udzielanie odpowiedzi. Nie do nich należy przekonywanie. Dla nich należy pracować i umrzeć”... Wiesz, czego Londyn od nas oczekuje.

- Tak - powiedział Werner, który prowadził ze mną tę samą rozmowę już wiele razy przedtem. - Zawsze jest łatwiej pracować i umrzeć niż zastanawiać się, dlaczego.

- Nie ufam mu. Wcale mu nie ufam - powiedziałem myśląc o ostrzeżeniu Wenera. - Nie dałbym za niego złamanego szeląga. Nie zazdroszczę mu jego szansy wyciśnięcia z Departamentu większej gotówki niż którykolwiek oddany pracownik kiedykolwiek dostał. Większe pieniądze, sądzę, niż którakolwiek wdowa i dzieci po ofiarach Departamentu kiedykolwiek otrzymały. Ale to mnie zastanawia, Werner. O co tutaj, do diabła, chodzi.

- To jest gra - powiedział Werner. Osunął się na ścianę trzymając w ręce kubek ze słabą, gorącą kawą. - To nie ma nic wspólnego z dobrem ani ze złem, z wysiłkiem ani wynagrodzeniem, to jest tylko gra. Wiesz o tym, Bernie.

- Czy Stinnes jest lepszym graczem?

- Nie jest to gra zręcznościowa - odparł Werner. - To gra hazardowa.

- Czy nie skonstruowano urządzenia, które zapalającym się światłem reagowałoby na oszustwo?

- Stinnes nie oszukuje. Jest człowiekiem zawsze na właściwym miejscu i we właściwym czasie. Niczym nie zachęcał Londynu do skaperowania.

- Co o nim sądzisz, Werner?

- Jest zawodowym oficerem KGB. Obaj spotkaliśmy miliony takich jak on. Nie jest mnie w stanie niczym zaskoczyć, Bernie. Ciebie także nie, zakładając, że mu nie ufasz.

- Nie zadawał pytań - powiedziałem. - Myślę o tym nieustannie od czasu wycieczki łodzią. Stinnes nie zadał mi żadnego ważnego pytania. Pytania, które ja bym zadał na jego miejscu.

- Jest jak robot - stwierdził Werner. - Czego się spodziewałeś, że wciągnie cię w polityczny spór? Czy oczekiwałeś szczegółowych rozważań na temat podziału trzeciego świata?

- Czegoś w tym rodzaju - przyznałem.

- Tak, to jest właściwy kraj dla kogoś, kto szuka politycznych sporów - powiedział Werner. - Jeśli istniało kiedyś państwo zawieszona na krawędzi rewolucji, jest nim Mexico. Spójrz wokół: dwie trzecie meksykańskiej populacji, to jest około pięćdziesięciu milionów ludzi, żyje na granicy głodu. Widziałeś *campesinos* walczących o wyhodowanie zbiorów na popiele wulkanicznym i skałach, którzy przynoszą na targ pół tuzina cebuli albo inny, równie imponujący plon. Widziałeś ich tu, w mieście, tych, którzy paznokciami wydrapują swój byt, w slumsach tak ubogich jak nigdzie na świecie. Czterech na dziesięciu Meksykanów nigdy nie pije mleka, dwóch na dziesięciu nie jada mięsa, jajek i chleba. Ale rząd meksykański dopłaca do sprzedaży coca-coli. Oficjalnie uzasadnia się to jej właściwościami odżywczymi. - Werner napił się swojej obrzydliwej kawy. - Teraz Międzynarodowy Fundusz Walutowy zmusił Mexico do zdewaluowania peso, duże amerykańskie towarzystwa, takie jak Xerox i Sheraton mogą budować tutaj fabryki i hotele po najniższych cenach prowadząc transakcje z klientami płacącymi w twardej walucie. Inflacja rośnie. Wzrasta liczba bezrobotnych. Rosną podatki. Rosną ceny. Zmniejszają się tylko zarobki. Czy podobałoby ci się to, gdybyś był Meksykaninem?

- Czy to powiedział Stinnes?

- Czy nie słuchałeś mnie? Stinnes jest zawodowym oficerem KGB. Nic go nie obchodzi Meksykanie i ich problemy, oprócz tego, jak i kiedy rzutują one na jego zawodowe perspektywy. Pewnego wieczoru w klubie zacząłem z nim rozmowę na ten temat. Nic nie wie o Mexico. Nie miał nawet regularnych odpraw, jakie organizują wszystkie służby dyplomatyczne z krajów Europy Wschodniej dla swojego personelu.

- Dlaczego? - zapytałem.

- Dlaczego? - powtórzył rozdrażniony Werner sądząc, że pragnę jedynie zmienić temat. - Skąd mam wiedzieć?

- Zastanów się nad tym. Jest to pierwsza rzecz wskazująca, że decyzja o jego przybyciu tutaj zapadła w ostatniej chwili. Nawet wtedy, znając KGB, zorganizowano by tutaj w Mexico polityczne szkolenie dla niego.

Werner niespokojnie usadowił się na walizkach Dicky ego rozglądając się wokół, czy nie ma innego miejsca do siedzenia. Nie było; pomieszczenie stawało się coraz bardziej zatłoczone. Teraz pojawiła się grupa młodych ludzi noszących przewieszone przez ramię jaskrawo-pomarańczowe torby, które identyfikowały ją jako chór z Nowej Zelandii. Rozsiadła się wzdłuż całego korytarza. Miałem nadzieję, że nie zaczną śpiewać. - Przypuszczam, że masz rację - rzekł Werner.

- Mam rację - stwierdziłem. - Powiem ci coś jeszcze. Całkowity brak szkolenia politycznego sugeruje, że Stinnes nie jest tutaj, aby wysłać agentów do Kalifornii ani żeby kontrolować przekazywanie moskiewskich pieniędzy przez Biedermanna.

- Nie trzymaj mnie w niepewności - odezwał się Werner ze znużeniem.

- Sam nie znam odpowiedzi, Werner. Nie wiem, co Stinnes tutaj robi. Nawet nie wiem, co sam tutaj robię. Stinnes mógł być z całą pewnością zidentyfikowany bez udziału mojej osoby.

- Londyn nie przysłał ciebie po to, żebyś zidentyfikował Stinnesa, to Stinnes miał zidentyfikować ciebie.

- Bez anagramów, Werner. Wyrażaj się jaśniej.

- Jak myślisz, co było pierwszą rzeczą, która przyszła mu do głowy, gdy pewnej nocy zacząłem opowiadać o zamrażarkach, video i o tym, jakie przyspieszenie na starcie ma porsche 924 turbo?

- O zasadzce?

- Tak, oczywiście. Był przerażony, że jestem urzędnikiem KGB zamierzającym dostarczyć dowód, który wysłałby go do syberyjskiego obozu karnego na dwadzieścia lat.

- Mhm. Mógł być pewien, że jestem agentem wywiadu z Londynu, gdyż byłem w areszcie w Berlinie Wschodnim. Sądzę, że masz rację. Przypuszczam, że Bret też to wziął pod uwagę.

- Czy mówisz o Brezie Rensselaerze? Jest najsprytniejszy ze wszystkich pracowników londyńskiej Centrali. Szczególnie teraz zależy mu bardzo, żeby udowodnić, jak Departament go potrzebuje.

- Dicky obawia się, że Bret zagarnie Sekcję Niemiecką - powiedziałem.

- *Stuhlpolonaise* - stwierdził Werner.

- Dokładnie. - „Komórki do wynajęcia”. Użyte przez Wenera niemieckie słowo przywoływało obraz sztywnego zachowania i przesuwania się w powolnym rytmie par, co dokładnie odzwierciedlało taniec w Centrali w Londynie, gdy miały miejsce duże zmiany

personalne. - Bret wysłał Dicky'ego, aby maszerował sześć i pół tysiąca kilometrów od jedynego krzesła, a Dicky pragnął wrócić do Londynu, nim skończy się muzyka.

- Nie chciał wrócić jednak bez wiadomości o wielkim sukcesie - rzekł Werner.

- Zauważyłeś to - powiedziałem z uznaniem. Niewiele było rzeczy, które uszłyby uwadze Wenera. - Tak, Bret postawił Dicky'ego w kłopotliwym położeniu, co nawet jego zaniepokoiło. Jeśli będzie tutaj czekał zbyt długo, żeby usidlić Stinnesa, Bret będzie pierwszym, który mu pogratuluje i wyśle na następne zadanie. Z drugiej strony, jeśli Dicky pospieszy się z powrotem bez zakończenia sprawy Stinnesa, znajdzie się ktoś, kto powie, że Dicky nie nadaje się do tej roboty.

- Tymczasem wracacie obaj - powiedział Werner. Rozejrzał się po zatłoczonej sali. Na zewnątrz przedpole hangaru było puste i szalała regularna popołudniowa, gwałtowna burza. Nic nie wskazywało na to, żeby ktoś dokądś się wybierał.

- Jestem teraz oficerem rejestratorem. Dicky napisze raport, w którym wyjaśni, w jaki sposób doprowadził sprawę Stinnesa do zakończonego sukcesem finału, nim przekazał ją mnie.

- Przebiegły drań - rzekł Werner.

- Powiedz teraz coś, o czym nie wiem.

- Jeśli Stinnes nie przybędzie, Dicky stwierdzi, że to ty spartaczyłeś robotę.

- Brawo, Werner. Naprawdę rozwijasz się.

- Boję się, że jest jedynie nikła szansa, że Stinnes przejdzie na naszą stronę.

- Dlaczego? - Zgadzałem się z Wernerem, chciałem jednak poznać jego opinię.

- Wciąż boi się, to pewne. Gdyby naprawdę zaufał ci, nie mówiliby o wysyłaniu negatywnej odpowiedzi do Londynu. Pozwoliłby przekazać im, co tylko byś chciał.

- Nie przyznaj się Dicky'emu, że powiedziałem ci o rozszyfrowanym systemie kodowym - poprosiłem. - Uznałby to za naruszenie bezpieczeństwa.

- Bo to jest naruszenie bezpieczeństwa - rzekł Werner. - Mówiąc otwarcie nie powinienem być informowany o sprawach najwyższej wagi, skoro mnie bezpośrednio nie dotyczą.

- Mój Boże, Werner, cieszę się, że to nie ty jesteś odpowiedzialny za Sekcję Niemiecką w Londynie. Przypuszczam, że zamknąłbyś mnie za zdradę tajemnicy.

- Może zrobiłbym to - powiedział zadowolony z siebie. Złapałem go za gardło i udawałem, że duszę. Przedstawienie to na tyle zainteresowało jedną z zakonnicek, że trąciła łokciem swoją towarzyszkę wskazując w moim kierunku. Posłałem im obu groźne spojrzenie, a Werner wystawił język i wywrócił oczy.

Uwolniłem Wernera pozwalając mu wypić jego wstrętną kawę i powiedziałem: - Mówiłeś, że Stinnes uważa mnie za czystego z powodu przesłuchania.- Można mieć do tego dwojaki stosunek - rzekł Werner. - Gdybyś faktycznie pracował dla Moskwy, mogłoby być dla ciebie korzystne aresztowanie w Berlinie Wschodnim. Byłbyś w doskonałej sytuacji, żeby zastawić pułapkę na Stinnesa.

- Nie jest on na tyle ważny dla Moskwy, żebyśmy mieli odgrywać takie komedie.

- Z pewnością Stinnes myśli inaczej. Jest tylko człowiekiem, prawda? Wszystkim nam wydaje się, że jesteśmy kimś ważniejszym niż jest w rzeczywistości.

Werner był zdolny wyprowadzić z równowagi. - W Hollywood nazywa się to „logiką półinteligentów”, Werner. Jest to sposób obłądnego rozumowania, któremu nie można nic zarzucić, ale który prowadzi do absurdalnych wniosków.

- Wytłumacz, dlaczego jest głupi.

Wziąłem głęboki oddech i powiedziałem: - Dlatego, że jeśli Moskwa ma dobrze ukrytego agenta w Londynie, którego tożsamość była tak ściśle strzeżona, że Stinnes nie mógłby go podejrzewać, nie wysyłałaby go do Berlina, żeby został aresztowany tylko po to, by zdobyć zaufanie Stinnesa i w kilka miesięcy później, w Mexico City, nakłonić do zdrady. Zastanów się, Werner.

Uśmiechnął się z zażenowaniem. - Masz rację, Bernie. Stinnes będzie jednak ciągle nieufny. Zapamiętaj moje słowa.

- Oczywiście, ale będzie nieufny w stosunku do Londynu i jego przewrotnych urzędników, czy dotrzymają obietnicy. Nie będzie zastanawiał się, czy jestem wtyczką KGB. Taki człowiek jak Stinnes potrafi rozpoznać agenta KGB na sto metrów, tak jak i my potrafimy rozpoznać naszych pracowników.

- Gdy mowa o rozpoznawaniu swoich, Dicky kieruje się w naszą stronę - rzekł Werner. - Czy ten mężczyzna z nim pracuje w wywiadzie?

Dicky Cruyer wciąż nosił swoje hollywoodzkie ubranie. Dzisiaj były to błękitne, prążkowane spodnie, bawełniana, sportowa koszula w palmy i oryginalne buty od Gucciego. Niósł mały, skórzany worek, który, jak sam powiedział, nie był torbą ani niczym w tym rodzaju.

Włókł z sobą swojego przyjaciela z ambasady. Byli razem w Balliol i nie ukrywali tam ogromnej, wzajemnej rywalizacji. Chociaż byli w tym samym wieku, Henry Tiptree wyglądał młodziej. Prawdopodobnie z powodu niewielkiego, rzadkiego wąsa, który zaczął zapuszczać, szczupłego karku, wydatnej brody i niezgrabnej figury, odzianej w tropikalny garnitur z Hongkongu i mocno zawiązanego starego, szkolnego krawata.

Dicky mówił mi, że jego przyjaciel bardzo młodo został adwokatem, bo w wieku trzydziestu ośmiu lat, a teraz ciężko pracował na trzeci stopień. Służba dyplomatyczna jest jednak usłana znakomitymi adwokatami w różnym wieku i wielu z nich odsyła się do Instytutu Studiów Strategicznych lub przyznawane jest im członkostwo Wszystkich Towarzystw Oxfordu, gdzie mogą do woli pisać i przelewać z pustego w próżne o radzieckich celach i zamiarach dotyczących Europy Wschodniej, podczas gdy tacy ludzie jak ja i Werner faktycznie mamy z nimi do czynienia.

- Henry załatwił wszystko z bagażem - powiedział Dicky.

- Z moim nie trzeba było niczego załatwiać - stwierdziłem. - Odprawiłem go, gdy tylko przyszliśmy.

Dicky zignorował moją uwagę i dodał: - Polecą frachtem lotniczym. Dzięki temu, że mamy bilet pierwszej klasy, polecą naszym samolotem.

- A gdzie jest nasz samolot? - zapytałem.

Henry spojrzął na zegarek i powiedział: - Twierdzą, że zaraz przybędzie.

- Chyba nie wierzysz w to, co? - zapytał Dicky. - Bogowie, ci faceci z linii lotniczych kłamią bardziej gładko niż służba dyplomatyczna.

- Tak, tak - potwierdził gorliwie Henry. - Tym razem jednak przypuszczam, że powiedzieli prawdę. O tej porze roku jest wiele opóźnień, ale w końcu jakoś to się posuwa. Przeciętne opóźnienie wynosi trzy godziny. Dlatego pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli was odprowadzę. - Henry wymówił „odprrowadzę” z silnym angielskim akcentem, który byłby bardzo na miejscu, gdyby został ambasadorem.

- Przede wszystkim jesteś tutaj, bo dzisiaj jest „dzień poczty” - powiedział Dicky. Henry uśmiechnął się.

Werner zapytał: - „Dzień poczty”?

- Tym samolotem przylatuje kurier z pocztą dyplomatyczną - wyjaśniłem.

- Bez względu na wszystko, doceniamy twoją obecność, Henry - rzekł Dicky. - Dopilnuję, aby prywatny sekretarz premiera dowiedział się, jakiej pomocy nam udzieliliś. - Obaj roześmieli się z tego niewinnego żartu Dicky’ego, w którym była obietnica bliżej nieokreślonego poparcia, gdy zajdzie potrzeba. Tacy byli absolwenci Balliol, a może tylko tak twierdził Dicky.

Zauważyłem, że Werner przygląda się Henry’emu z zainteresowaniem próbując odgadnąć, czy jest rzeczywiście zatrudniony przez wywiad jako pracownik ambasady. Było to prawdopodobne. Mrugnąłem porozumiewawczo do Wenera. Uśmiechnął się od ucha do

ucha, gdyż domyślił się, że wiem, nad czym się zastanawia. Tacy byliśmy my, niewykształceni ludzie, a może to tylko ja tak zawsze twierdziłem.

- Dicky mówi, że jest pan osobą podtrzymującą Departament - powiedział Henry.

- Nie jest to łatwe - rzekłem.

Dicky, który spodziewał się, że zaprzeczę stwierdzeniu Henry'ego, szybko powiedział: - Henry pożyczył nam samochód.

- Dzięki, Henry.

- Nie wiem, jak poradziście sobie z tą cholerną popsutą klimatyzacją. Przypuszczam, że zamierzacie wykazać w waszych wydatkach pełne koszty wynajmu samochodu u Hertz'a?

- Nie, Dicky - stwierdziłem.

- No, no - rzekł Henry.

Dicky pospiesznie zmienił temat. - Truskawki i świeżo złowiony łosoś - powiedział. - Czas, aby znaleźć się już w Anglii, Henry. Zatrzymaj sobie krainę *tacos* i suszonej fasoli.

- Nie bądź sadystą, Dicky - rzekł pracownik ambasady. - Mam nadzieję, że wkrótce nadejdzie decyzja o moim przeniesieniu. W przeciwnym razie będę tu musiał tkwić do Bożego Narodzenia lub do Nowego Roku. Bez możliwości wyjazdu.

- Nie powinieneś być tu przyjeżdżać: - stwierdził Dicky.

- Nie mogę narzekać. Spędziłem tu sześć miesięcy ucząc się slangu, a od czasu do czasu bywałem w Los Angeles. Wyobraź sobie, że Meksykanie to banda alkoholików. Niewiele potrzeba, aby ich straszliwie rozżłościć. - Henry powiedział: rozżłościć.

- To nieważne. Nie zostajesz tu na zawsze. Uzyskałeś już czwarty stopień, a z pewnością zakończysz karierę z tytułem szlacheckim - stwierdził Dicky z zazdrością. Fakt, że stopniowo awansowani urzędnicy wywiadu nie mogli liczyć na tytuły szlacheckie, a nawet na mniejsze honory, był szczególnym powodem do żalu Dicky'ego. Wszystko zależało od tego, w którym miejscu kończyła się kariera.

- Jeśli nie obleję prezydentowej alkoholem, nie wywołam wojny lub nie zrobię innej, równie strasznej rzeczy. - Znów roześmiał się.

Cicho zapytałem Dicky'ego, czy zawiadomił ambasadę o podsłuchiwanym sygnałach.

- O Boże - rzekł Dicky. - Bernie przypomniał mi właśnie o czymś do twojej prywatnej wiadomości, a konkretnie do prywatnej wiadomości szefa placówki.

Henry uniósł brwi. Szef placówki był wyższym oficerem wywiadu w ambasadzie.

Dicky powiedział: - Ściśle poufne, Henry, stary łbie, mamy powody, aby przypuszczać, że Rosjanie słuchają waszego urządzenia Piccolo i nauczyli się odczytywać muzykę.

- Rozumiem - rzekł Henry.

- Proponuję, żebyś natychmiast zawiadomił twojego szefa misji. Podkreślam jednak, że jest to tylko podejrzenie.

- Nie tak łatwo dostać się do szefa, Dicky. Grube ryby urywają się do Acapulco, gdy tylko mają okazję. - Podeszedł do okna i powiedział: - Już podjeżdża. Kołuje. Lepiej odpraw bagaże.

- To może być tylko żart - rzekł Dicky. - Mamy nadzieję, że w ciągu kilku tygodni będziemy w stanie tę informację potwierdzić lub jej zaprzeczyć. Jeśli pojawi się w tej sprawie coś nowego, usłyszysz o tym drogą oficjalną, zwykłymi kanałami.

- Wy, pracownicy londyńskiej Centrali, jesteście prawdziwymi obserwatorami życia - powiedział Henry. - Czy zrobiłeś skok na miarę Jamesa Bonda? Skrzyżowałaś szpady z tutejszymi Ruskimi?

- Ani słowa - rzekł Dicky. - Złapmy lepiej jakichś facetów z linii lotniczych, żeby zaciągnęli ten bagaż do kontroli.

- Na czym będziemy siedzieć? - zapytał zawsze praktyczny Werner. Dicky udał, że nie słyszy pytania i strzelił palcami w kierunku przechodzącego tragarza, który ochoczo i gwałtownie zareagował wrywając Wernerowi jego oparcie i chwyciwszy pozostałe walizy Dicky'ego zarzucił je na ramiona.

Dicky dotykał swojego kosztownego bagażu, jak gdyby było mu żal się z nim rozstać.

- Te trzy są bardzo delikatne - *muy fragil. Comprende usted?*

- Rzecz jasna - odparł tragarz. - Nie ma sprawy, bracie.

- A więc Ruscy czytają kod radia Piccolo? - zamyślił się Henry. - To tłumaczyłoby wiele rzeczy.

- Na przykład? - zapytał Dicky licząc walizki, gdy tragarz wiozł je na wózku.

- Drobnie sprawy - powiedział wymijająco Henry. - Sądzę jednak, że twoja poufna informacja nie jest żartem.

- Jeden zero dla Stinnesa - rzekł Werner.

Na monitorze telewizyjnym zapalił się numer będący sygnałem wyjścia do naszego lotu. Pożegnaliśmy się więc pośpiesznie z Henrym i Wernerem, aby Dicky mógł podążyć tuż za tragarzem i mieć pewność, że walizki nie zaginą.

- Henry studiował języki współczesne - powiedział Dicky, gdy znaleźliśmy się w powietrzu w drodze do domu, ze szklanką szampana w dłoni i uśmiechającą się stewardesą oferującą nam małe krążki grzanek na zimno przybrane kawiozem. - Był cholernie sympatycznym kumplem i słynne były przyjęcia u niego, nie miał jednak wielkiego umysłu

ani nie był szczególnie pracowity. Dostał tę pracę, ponieważ znał wszystkich właściwych ludzi. Prawdę mówiąc, nigdy nie przypuszczałem, że dostosuje się do starych, dyplomatycznych wymogów. Nie sądziłem, że podejmie regularną pracę i będzie mówić „tak, proszę pana, nie, proszę pana” do każdego w zasięgu wzroku. Biedny drań, musi odsiedzieć i wypocić swoje w tej piekielnej dziurze.

- Tak, biedny Henry - powiedziałem.

- Rozpaczliwie chciałby dołączyć do naszej szopki, lecz całkiem uczciwie, Bernardzie, nie sądzę, żeby był dla nas odpowiedni. Co o tym myślisz?

- Z tego, co mówisz, wnioskuję, że jest dla nas idealny.

- Naprawdę?

Dicky organizował wszystko w sposób, który jemu odpowiadał. Położył trzy delikatne pakunki na dodatkowym siedzeniu i zabezpieczył je pasem bezpieczeństwa. Zdjął buty i włożył kaptcie, które wyjął z podręcznej walizy. Połknął tabletki przeciwwymiotne i upewnił się, czy tabletki aspiryny i Alka Seltzer są w zasięgu ręki. Przeczytał instrukcję bezpieczeństwa, sprawdził położenie wyjść awaryjnych i sięgnął pod fotel, aby upewnić się, czy reklamowana kamizelka bezpieczeństwa rzeczywiście się tam znajduje. Ci nicponie z lotnictwa mówią swoim własnym językiem - powiedział. - Czy zauważyłeś to? Stewardesy są hostessami i zaczynam się zastanawiać, czy na stewarda nie mówić „host”. Pasy bezpieczeństwa są zwojem taśmy, a wyjście awaryjne wyjściem bezpieczeństwa. Kto wymyślił tę podwójną mowę?

- Musiał to być ten sam pracownik Służby Informacyjnej, który przemianował Ministerstwo Wojny na Ministerstwo Obrony.

Podniosłem szklankę, żeby stewardesa mogła dolać mi szampana. Dicky położył rękę na swojej szklance. - Mamy długą podróż przed sobą - powiedział z nutą napomnienia.

- Dostateczny powód, żeby wypić jeszcze jedną szklankę szampana - stwierdziłem.

Dicky odstawił swoją i lekko klepnął się po udach jak przewodniczący otwierający zebranie i powiedział: - W końcu mam cię dla siebie, możemy porozmawiać o sprawach zawodowych.

Jedynym powodem uniemożliwiającym przeprowadzenie rozmów zawodowych było to, że każdą chwilę Dicky spędzał jeżdżąc, pijąc, robiąc zakupy, oglądając widoki i rozszerzając swoje wpływy. Teraz zamierzał dowiedzieć się, czego dotychczas dokonałem, aby móc przekonać swoich zwierzchników, że przebijał głową mur. - Co chcesz wiedzieć, Dicky?

- Jakie są szanse, że towarzyszy Stinnes przejdzie na naszą stronę?

- Pominąłeś te łatwiejsze pytania?

- Wiem, że nie znosisz snucia domysłów, lecz, jak sądzisz, co się stanie? Spotkałeś się przecież ze Stinnesem. Jakim jest człowiekiem? Zajmowałeś się już przedtem przejmowaniem agentów, prawda?

To nie to, że nie znosiłem snucia domysłów. Nienawidziłem zwierzać się z nich Dicky'emu, od czasu gdy z upodobaniem wypominał mi wypadki, kiedy moje przewidywania okazały się błędne. Odpowiedziałem: - Nigdy nie miałem do czynienia z naprawdę doświadczonymi urzędnikami z KGB. Agenci, którymi się zajmowałem, byli mniej ważni.

- Stinnes jest zaledwie majorem. Mówisz o nim, jakby był członkiem Biura Politycznego. Przypominam sobie, że miałeś do czynienia z pułkownikiem lotnictwa... attache, który trząśł się i drzął, aż w końcu został deportowany, zanim zdążyliśmy go przejąć.

- Co do rangi, masz rację. Stinnes jest jednak bardzo doświadczony i bardzo twardy. Jeśli dostaniemy go, będziemy mieli doskonałe źródło informacji. Miesiącami będzie wypełniał zwoje pergaminu notatkami i przekaże interesujące dane oraz szacunki pierwszej klasy. Nasze szanse na przejęcie go są jednak niewielkie.

- Mówiłeś, że powiedział „tak”.

- Był zmuszony to zrobić, żeby usłyszeć, co mamy mu do zaproponowania.

- Czy chodzi o pieniądze? - zapytał Dicky.

- Nie wierzę, żeby pieniądze odegrały dużą rolę w jego decyzji. Człowiek pokroju Stinnesa jest gruntownie ideologicznie uświadomiony. Zawsze trudno takim ludziom znaleźć się w naszej społeczności.

- Czy uważasz, że jest zatwardziałym komunistą?

- Tyle o ile. Zdziwiłbym się dowiadując, że jest prawdziwym wiernym. - Wypiłem szampana. Dicky czekał, aż znów zacznę mówić. - Stinnes jest bigotem o wąskich horyzontach. Należy do elity w państwie totalitarnym, państwie, któremu obce są bolesne rozważania o karze śmierci, zanieczyszczeniu środowiska, czy moralnych wątpliwościach wynikających z posiadania broni nuklearnej. Major KGB, jak Stinnes, może wejść bez pukania do biura dowodzącego generała. Nikt tutaj na Zachodzie nie ma takiej władzy, jaką on się cieszy.

- Proponujemy mu miłe, wygodne życie. A z tego, co mówisz o jego zamiarach rozwiedzenia się, wynika, że oferta przyszła w samą porę.

- Rezygnacja z takiej władzy nie będzie łatwa. Jako uciekinier będzie nikim. Widział prawdopodobnie uciekinierów i życie, jakie wiodą w Związku Radzieckim. Nie będzie miał żadnych iluzji, jak ono może wyglądać.

- Jak możesz porównywać życie uciekiniera na Wschodzie z tym, który przybywa na Zachód? Cóż mogą zaoferować mu tam, oprócz wypaczonej ideologii i średniowiecznego systemu socjalnego bazującego na przywilejach i posłuszeństwie. My mamy wolne społeczeństwo, wolną prasę, prawo do protestowania, prawo do powiedzenia wszystkiego, co się chce.

- Stinnes spędził wiele czasu z wyższymi urzędnikami autorytarnego społeczeństwa. Nie miałby zamiaru protestować ani uczestniczyć w demonstracjach antyrządowych bez względu na ich ideę i miałby diablo mało sympatii dla tych, którzy to robią.

- Daj mu więc garść gotówki, zaprowadź do sklepów i pokaż, jakie materialne korzyści wynikają z nieskrępowanej przedsiębiorczości i wolnej konkurencji.

- Stinnes nie jest człowiekiem, który sprzedałby swoją duszę za paskudztwa komponentów hi-fi i kuchenek mikrofalowych - powiedziałem.

- Sprzedać duszę? - zapytał oburzony Dicky.

- Nie rób z tego debaty politycznej, Dicky. Zapytałeś, jakie mamy szanse i odpowiedziałem ci tak jak myślę.

- Jakie więc mamy szanse? - nalegał Dicky. - Pięćdziesiąt na pięćdziesiąt?

- W każdym razie nie większe.

- Powiem staremu, że pięćdziesiąt na pięćdziesiąt - stwierdził Dicky odfajkowując w myśli to pytanie. Nie wiem, dlaczego próbowałem mu tłumaczyć cokolwiek. Wolał konkretne odpowiedzi. Wyjaśnienia wprowadzały zamieszanie.

- A co z tym Biedermannem?

- Nie wiem.

- Jest bogaty jak krezus. Dowiadywałem się o niego, gdy byłem w Los Angeles.

- Nie rozumiem, dlaczego miałby być kimś ważnym dla Stinnesa, skoro nie jest ważny dla nas? To mnie zastanawia.

- Umieszczę go w raporcie - powiedział Dicky. Chociaż zabrzmiało to jak postanowienie, Dicky w ten sposób prosił mnie, abym potwierdził słuszność jego decyzji.

- Koniecznie. Mam listę osób, którym przesyłał pieniądze. Mógłbyś wykorzystać jednego z bystrych, młodych stażystów, aby zbudowali z tego coś imponującego.

- Czy zamierzamy coś zrobić w sprawie Biedermanna?

- Niewiele możemy zrobić - powiedziałem niepewnie - poza trzymaniem go na oku oraz nastraszeniem od czasu do czasu, żeby wiedział, że o nim nie zapomnieliśmy.

- Delikatnie - rzekł Dicky. - Taki człowiek jak on mógłby przysporzyć nam kłopotów.

- Znam go od czasu, gdy był dzieckiem - powiedziałem. - Nie zamierza sprawiać kłopotów, chyba że dojdzie do wniosku, iż zdoła się nam wymknąć.

- Przejęcie Stinnesa jest bardzo ważną sprawą - powiedział Dicky.

- Biedermann jest niczym w porównaniu z szansą zyskania Stinnesa.

- Już trzymam kciuki za powodzenie - rzekłem.

- Jeśli nam się uda, przede wszystkim będzie to twoja zasługa.

- Moja? - zapytałem. Było to nieprawdopodobne.

- To właśnie powiedziałem Bretowi przed naszym wyjazdem z Londynu. Powiedziałem, że faktycznie to jest twoja akcja. Pozwól Bernardowi prowadzić sprawę według jego uznania, poradziłem. Bernard ma duże doświadczenie.

- Co Bret powiedział na to? - Zauważyłem, że jeśli zeszkrobie się wiekowy kawior lotniczy z małych okrągłych grzanek, nie są najgorsze w smaku.

- Czy zdenerwowałeś Breta?

- Zawsze go denerwuję.

- Będziesz mieć z nim dużo do czynienia, Bernard. Bret jest ci potrzebny. Jest ci potrzebna pomoc, której on może ci udzielić. Oczywiście, stoję cały czas za tobą, lecz jeśli Bret przejmie moją Sekcję, możesz nie mieć jego poparcia.

- Dzięki, Dicky - powiedziałem bez przekonania. W ten sposób chciał zyskać moją pomoc w walce o wpływy z Bretem, a obawiał się, jak sądzę, że otrzymałem już dosyć szturchańców, aby robiło to mi jakąś różnicę.

- Wiesz o czym mówię, Bernardzie?

- Oczywiście - odparłem, chociaż nie wiedziałem. Oparłem się o siedzenie i zajrzałem do menu. Kątem oka widziałem Dicky'ego, jak zawija w bibułki Kleenexa swoje wieczne pióro, chociaż byliśmy już na wysokości 35 000 stóp i przeciekałoby, gdyby miało przeciekać.

- Tak - powiedział Dicky. - To będzie przełomowy moment dla ciebie, Bernardzie. - Odłożył zabandażowane pióro do swojej torby, jak małą egipską mumię, aby spoczywała w grobie przez tysiąclat. - Dzięki Bogu nie ma emisji filmów w samolocie - stwierdził. - Nie znoszę filmów w samolocie, a ty?

- Też nie - odpowiedziałem. Była to jedna z bardzo niewielu rzeczy, co do której zgodzaliśmy się bez zastrzeżeń.

Teraz, gdy znajdowaliśmy się ponad chmurami, światło słoneczne było oślepiające. Dicky, siedzący przy oknie, ściągnął roletę. - Nie będziesz czytał, prawda?

Spojrzałem na Dicky'ego i pokręciłem głową. Uśmiechnął się, a ja zastanawiałem się, jaki rodzaj gry prowadzi mówiąc o „mojej akcji”. Z pewnością przemyślał wszystko dokładnie, zanim odkrył przede mną nadzwyczajne aspekty naszej eskapady.

Dotarliśmy do Londynu późnym rankiem. Słońce świeciło na czystym, błękitnym niebie, ale wiał chłodny wiatr. Była niedziela i w odpowiedzi na dwie wiadomości wysłane telexem i rozmowę telefoniczną przeprowadzoną przez Dicky'ego z Mexico, przyjechał po nas samochód. Załadowaliśmy go tak, że jęczało zawieszenie i udaliśmy się do domu Dicky'ego. Gdy znaleźliśmy się na miejscu, przyjąłem zaproszenie na drinka.

Żona Dicky'ego czekała na nas ze schłodzoną butelką *Sancerre* w wiaderku z lodem i ciepłą kawą. Daphne była energiczną kobietą, blisko trzydziestki. Wydała mi się szczególnie atrakcyjna, gdy stała w kuchni, otoczona winem i jedzeniem. Gruntownie zmieniła swój wygląd; fartuch w kwiaty i babcine okulary zniknęły, a ich miejsce zajął bladożółty kombinezon. Zmienił się również sposób uczesania: włosy obcięte prosto „na pazia”, z grzywką, czyniły ją podobną do studentki sztuk pięknych, którą Dicky poślubił wiele lat temu. - O, drogi Bernard! Co za miła niespodzianka. - Miała donośny głos i akcent wyższej klasy, który harmonizował z weekendami w olbrzymich, nie ogrzewanych wiejskich domostwach, gdzie każdy rozmawiał o koniach i czytał w broszurowych wydaniach Dicka Francisa.

Daphne była w trakcie przygotowywania obiadu. Na stole przed nią stała duża miska i sprężynowa waga, na której odważono ćwierć kilo masła. Ręce miała pobrudzone mąką, więc wytarła je w ręcznik z wydrukowanymi widokami wieży Eiffla. Podniosła kilka bransolet i wcisnęła je na nadgarstek, nim uściskała Dicky'ego.

- Jesteś wcześniej, kochanie - powiedziała całując go, a mnie muskając ustami.

Dicky oczyścił koszulę z mąki i powiedział: - Samolot przyleciał zgodnie z planem. Nie liczyłem na to.

Zapytała męża, czy wolałby kawę czy wino, mnie nie zadawała pytań. Wyjęła kieliszek z kredensu, otwartą butelkę schłodzonego wina z wiaderka z lodem i nalała mi solidną porcję. Było wyborne.

Dicky szperając w kredensie kuchennym zapytał: - Gdzie są filiżanki ze spodkami firmy Spode?

- Są w maszynie do zmywania. Tylko trzy nam zostały. Będziesz musiał wziąć kubki.

Dicky westchnął w sposób, w jaki zwykł to robić, gdy jeden z jego urzędników przynosił mu ściśle tajne dokumenty, które zostawił na kopiarence. Następnie nalał sobie kubek czarnej kawy i usiadł przy stole kuchennym.

- Przykro mi, że nie możemy usiąść w salonie - powiedziała Daphne. - Aktualnie nie można z niego korzystać. - Spojrzała na zegar kuchenny, zanim uznała, że może sobie nalać wina.

- Daphne opuściła swoją agencję - rzekł Dicky. - Nie mówiłem ci o tym? Stracili zestawienia śniadaniowe i musieli zredukować liczbę personelu. Zaoferowali Daphne złoty uścisk dłoni - pięć tysięcy funtów. Nieźle, co? - Zaciskał uszy i przełykał, jak zwykł zawsze robić po podróży samolotem.

- Co teraz robisz, Daphne? - zapytałem.

Dicky odpowiedział za nią: - Zajmuje się rozbieraniem, wspólnie z koleżanką z agencji. - Daphne uśmiechała się w sposób świadczący o tym, że słyszała już ten żart przedtem, lecz pozwoliła opowiedzieć mu go do końca. - Można zarobić pieniądze na rozbieraniu, twierdzi Daphne. - Dicky uśmiechnął się szeroko kładąc rękę na ramieniu żony.

- Rozbiera meble - powiedział. - Salon jest po sufit załadowany antycznymi meblami. Rozbierają je, zdzierają z nich farbę, polerują i sprzedają za fortunę.

- Nie ma mebli antycznych - stwierdziła Daphne. - Bernard już uważa nas za filistrów. Nie chcę, aby myślał o mnie jako o całkowitym barbarzyńcy rujnującym zabytkowe meble. To używane rupiecie, krzesła, stoły kuchenne i tym podobne. Nie znajdzie się ich w małych sklepach w Camden Town. Liza i ja jeździmy na wieś i pukamy od drzwi do drzwi. Jest to raczej zabawne. Można spotkać najdziwniejszych ludzi. Gdy zanurzy się meble w sodzie kaustycznej, farba sama zejdzie. Zaczynamy w przyszłym tygodniu, gdy będę miała odpowiednie ochronne rękawice.

- Próbowałem kiedyś - powiedziałem. - To była drewniana obudowa kominka. Rozpadła się na kawałki. Trzymała ją w całości jedynie pięćdziesięcioletnia farba.

- O, nie opowiadaj takich rzeczy, Bernardzie - powiedziała Daphne. Roześmiała się. - Zniechęcasz mnie. - Dołała mi wina. Nie wyglądała na zniechęconą.

- Nie przejmuj się Bernardem - rzekł Dicky. - Nie potrafi zmienić korka bez spalenia wszystkich bezpieczników.

- Nie będziemy sprzedawały mebli jako nowe - powiedziała Daphne.

- To jest to, czego szukają nowożeńcy - stwierdził Dicky. - W każdym bądź razie tego też. - Mrugnął do żony i przytulił ją czule. - Perspektywy są dobre. Tak uważam. Naprawdę dobre. Gdy dziewczynom uda się zdobyć przyzwoity lokal, zrobią fortunę, wspomnisz moje słowo. Chciały nazwać sklep *Strip Joint*, lecz dowiedzieliśmy się, że ktoś już wymyślił tę nazwę.

- Nie bardzo się opaliłeś, Dicky - stwierdziła, bacznie przyglądając się jego twarzy. - Biorąc pod uwagę miejsce, w którym byłeś, spodziewałam się, że wrócisz o wiele bardziej opalony. - Ty też, Bernardzie - dodała spoglądając na mnie.

- Pracowaliśmy, staruszek, a nie opalaliśmy się. Prawda, Bernardzie? - Podniósł korek od wina, które Daphne nalewała mi, i powąchał go.

- Tak, Dicky.

- Widziałem się z Henrym Tiptree, kochanie. Pamiętasz Henry'ego? Był w Balliol ze mną.

- Czy to ten, który odszedł z BBC, ponieważ wszyscy wyśmiewali się z niego?

- Nie, kochanie - Henry. Wysoki, szczupły, rudawe włosy. Sprawia wrażenie nadpobudliwego. Jego kuzyn jest księciem. Henry to ten, który zawsze przynosił ci te olbrzymie pudła belgijskich czekoladek, pamiętasz?

- Nie - odparła Daphne.

- Zawsze zanosiał je twojej mamie. Potem Henry został dokądś wysłany i mnie kazał je dla niej kupować. Belgijskie czekoladki. Kosztowały mnie fortunę.

- Tak, a kiedy się pobraliśmy, powiedziałeś, że sklep nie prowadzi dłużej ich sprzedaży i przynosiłeś jej w zamian *Black Magie*.

- Naprawdę kosztowały majątek - powiedział Dicky. - W każdym razie Henry jest teraz w Mexico i pożyczył nam samochód. Udało mi się wyrwać do Los Angeles i kupić wszystko według twojej listy, oprócz poszewek od Robinsona. Nie mieli takiego koloru ani wzoru, o jaki prosiłaś. Były bardziej purpurowe niż fiołkowo-różowe, więc nie kupiłem ich.

- Słodki jesteś, kochanie - powiedziała. - On jest taki słodki - poinformowała mnie.

- Wiem - rzekłem.

- Zdobyłem na targu tuzin masek, które Meksykanie robią z cienkiej blachy i sześć posrebranych bransoletek. Tak więc zatroszczyłem się o listę prezentów gwiazdkowych.

- Zamówiłam całego łososa na czwartek - powiedziała Daphne. - Nie mogę tylko wymyślić żadnej dziewczyny dla Bernarda.

- Powinienem był ci powiedzieć - rzekł Dicky odwracając się do mnie. - Jesteś zaproszony na obiad w czwartek. Czy jesteś wolny?

- Myślę, że tak. Dzięki.

- Nie martw się o dziewczynę dla niego - powiedział Dicky. - Spotyka się z jedną panią z naszego biura. - W jego głosie była nuta goryczy. Daphne zauważyła ją także. Spojrzała na niego ostro, gdyż uczucie Dicky'ego ochłodziło ostatnio i Daphne odkryła to. Opróżniła szklankę wina.

- Jak miło - powiedziała lodowato nalewając sobie następny kieliszek. - Jak się nazywa, Bernardzie?

- Nazywa się Gloria - odezwał się Dicky, nim zdążyłem odpowiedzieć.

- Czy to ta, którą chciałeś zatrudnić jako sekretarkę? - zapytała Daphne. Stała z butelką w ręce czekając na odpowiedź.

- Nie, nie, nie - odparł Dicky. - To Bret chciał mi ją wepchnąć wbrew mojej woli. - Chcąc uspokoić Daphne, odwrócił się do mnie i powiedział: - Nie obrażaj się, stary. Jestem pewien, że jest bardzo miłą dziewczyną.

- To wspaniale - rzekła Daphne. Dołała mi wina. - Miło mi będzie ją poznać. Dicky mówił, że cudownie pisze na maszynie. - Wydawało mi się, że Daphne wciąż nie była przekonana o niewinności Dicky'ego.

- Czy twoja przyjaciółka Gloria przyjdzie na obiad? - zapytał Dicky przyglądając mi się wnikliwie.

- Gloria? Ależ naturalnie - powiedziałem. - Pójdzie wszędzie na darmowy obiad.

- To nie bardzo elegancko z twojej strony, Bernardzie - stwierdziła Daphne.

- Przyjdziemy. - Usłyszałem siebie mówiącego. Nie wiem, dlaczego to powiedziałem, może dlatego, że Dicky zawsze wyzwał to co najgorsze we mnie. Prawie nie znałem Glorii. Rozmawiałem z nią dwukrotnie, za każdym razem upominając, aby się pospieszyła z przepisywaniem.

ROZDZIAŁ IX

Dobrze było znów znaleźć się w Londynie. Podniosłem żaluzje we wszystkich pokojach wpuszczając do środka popołudniowe światło słoneczne. Nie mogłem przyzwyczać się do powrotu do ciemnego i pustego domu. Wydawało się, że dopiero co rozbrzmiewał głosami dzieci, niani i Fiony, mojej żony.

Na obiad przygotowałem sobie filiżankę herbaty, a zawartość puszk sardynek ułożyłem na bardzo przestarzałych sucharach. W pokoju na górnym piętrze, który służył mi za gabinet, było gorąco i duszno. Otworzyłem okno, aby wypełnił się dźwiękami Londynu w niedzielne popołudnie. Dobiegały mnie odległe krzyki dzieci bawiących się na ulicy i kurant sprzedawcy lodów. Zatelefonowałem do biura z informacją, że jestem w domu. Dyżurny urzędnik zdawał się być zmęczony i znudzony, powstrzymałem więc jego usiłowania wciągnięcia mnie w dyskusję o klimacie meksykańskim o tej porze roku.

Jedząc sardynki otworzyłem stos korespondencji. Oprócz rachunków za gaz, elektryczność i wino, większość poczty stanowiły kolorowe broszurki reklamowe: główny kelner pożądliwie patrzący na kartę kredytową, słynny szef kuchni oferujący bibliotekę

książek kucharskich, portfele ze świńskiej skóry reklamowane jako bezpłatny dodatek do subskrypcji magazynów, szansa usłyszenia wszystkich symfonii Beethovena, jakbym ich nigdy nie słyszał przedtem. W notatniku na moim biurku sprzątaczką, Portugalka - pani Dias, wypisała ołówkiem listę osób, które telefonowały w czasie jej codziennej bytności. Gdy przejrzałem wszystkie niewprawną ręką wypisane nazwiska, nie miałem ochoty zadzwonić do nikogo, oprócz mojej matki. Zatelefonowałem do niej i porozmawiałem. Zamieniłem również kilka słów z dziećmi.

Sprawy miały wrażenie dość szczęśliwych, słyszałem nianię podpowiadającą im od czasu do czasu.

- Czy podobało ci się w Mexico? - zapytała Sally.
- Było bardzo gorąco - odpowiedziałem.
- Babcia powiedziała, że zabierzesz nas nad morze, gdy wrócisz.
- Czy chcecie tam jechać?
- Tak długo cię nie było, tatusiu.
- Zabiorę was nad morze.
- Kiedy?
- Gdy tylko będę mógł.
- Billy wiedział, że tak powiesz.
- Przykro mi, że jestem paskudnym ojcem.
- Czy wrócimy do domu?
- Tak, wkrótce.

Dopiero gdy wziąłem prysznic i przebrałem się, zauważyłem kremową kopertę opartą o zegar. Pani Dias uznała zegar za miejsce, na którym ludzkie oko najczęściej spoczywa.

„Zatelefonuj do domu lub do biura, gdy tylko wrócisz. Wiele spraw do omówienia. David.”

List był dostarczony przez posłańca. Na kopercie naklejona była jaskrawoczerwona nalepka PILNE, a wiadomość napisana atramentem na ciężkim, ręcznie robionym papierze, który harmonizował z kopertą. Rozpoznałem właściciela sklepu papierniczego nawet bez wytłoczonego adresu i artystycznego obrazu domu, który był jego ozdobą. Perspektywa dyskusji z moim teściem, panem Timothim Kimber-Hutchinsonem, filantropem, filozofem, potentatem finansowym i członkiem Królewskiego Towarzystwa Sztuki nie była moją ideą powitania z krajem. Nie udało mi się jednak wymyślić żadnego wytłumaczenia dla uniknięcia jej, zatelefonowałem więc i zgodziłem się spotkać z nim bezzwłocznie.

Jego dom znajdował się na wzgórzu porośniętym drzewami, niedaleko od miejsca, w którym zbudowany przez starożytnych Rzymian trakt - Stanę Street oddziela Basen Londyński od Downs. Była to rezydencja jakobińska, przez wieki przebudowywana, tak że bardzo niewiele z oryginalnej, szesnastowiecznej budowli zostało. Pierwszeństwo zawsze dawane było sprawom doczesnym, nigdy więc nie przeciekał dach, a instalacje gazowe i wodnokanalizacyjne, ogrzewanie i dopływ energii umożliwiały życie w komforcie, co rzadko spotykało się w angielskich, wiejskich rezydencjach.

Czasami zastanawiałem się, ile pieniędzy musiało przejść przez jego ręce, aby mógł prowadzić dom zapewniając niezbędne mieszkania dla służby, dysponując niezależnym skrzydłem dla gości i ogrzewaną stajnią dla koni. Zaparkowałem swojego poobijanego forda między rollsem Kimbera-Hutchinsona a jaguarem jego żony. Mój teść nie pozwoliłby sobie na zagraniczny samochód. Nie była to tylko kwestia patriotyzmu, jak powiedział mi kiedyś, lecz to, że zawiódłby swoich klientów. Biedny gość, musiał nosić buty robione na zamówienie, z powodu „niezgrabnych stóp” i garnitury od *Sawille Row*, gdyż, nieszczęśliwie, na jego figurę nie pasowały gotowe. Tanie wina wywoływały sensacje żołądkowe, pijał więc tylko drogie, a ponieważ nie mieścił się w siedzeniach samolotowych klasy ekonomicznej, był zmuszony wszędzie latać pierwszą klasą. Biedny David, zazdrościł takim ludziom jak ja, zawsze mi to powtarzał.

David - chciał, abym nazywał go Davidem, „teść” było określeniem zbyt specyficznym, „ojciec” niedokładnym, „pan” Kimber-Hutchinson niewygodnym, a „Kimber” formą zarezerwowaną tylko dla bliskich znajomych - czekał na mnie w pracowni artystycznej. Była to w luksusowy sposób przebudowana stodoła. Na jednym końcu znajdowało się olbrzymie, na północ wychodzące okno i sztaluga, przy której lubił stawać i malować akwarele, które były rozchwytywane po dobrych cenach przez zarządy towarzystw, z którymi prowadził interesy. Pod świetlikiem stał duży, drewniany dziób statku, o którym mówiło się, że pochodzi z paryskiej pracowni Maillola, rzeźbiarza, który poświęcił swoje życie na rozkoszowanie się aktami kobiecymi. Zapytałem kiedyś Davida, do czego to służy, ale otrzymałem jedynie niejasną odpowiedź.

- Bernardzie, wejdź i usiądź, stary chłopie. - Gdy tam wszedłem, pracował nad obrazem, nie stał jednak przy sztalugach. Siedział przy małym stoliku, z deską kreślarską na kolanach i szkicował ołówkiem krajobraz z końmi. Na stoliku leżało pół tuzina powiększonych zdjęć z tym samym krajobrazem, zdjęcia koni oraz arkusz kalki rysunkowej, z którego przerysowywał. - Odkryłeś moją małą tajemnicę - powiedział nie odrywając wzroku od swojego szkicu. - Zawsze zaczynam od fotografii. Dlaczego miałbym nie wykorzystać

każdego możliwego udogodnienia. Michał Anioł używałby kamery pracując nad sklepieniem Kaplicy Sykstyńskiej, gdyby miał taką szansę.

Gdy David Kimber-Hutchinson nie okazywał chęci snucia dalszych rozważań na temat sfrustrowanych technologicznych aspiracji Michała Anioła, chrząknąłem i usiadłem, a on dokończył przerysowywanie konia. Choć zdjęcie przedstawiało wierny wizerunek zwierzęcia, koń naszkicowany przez Davida był drewniany i skarłowaciały. Był tego świadom, gdyż poprawiając sylwetkę wydłużył nogi, lecz na niewiele to się zdało. Miał na sobie ciemnoniebieski chałat, założony na żółty kaszmirowy golf i bryczesy do konnej jazdy. Jego twarz tryskała czerwienią. Domyśliłem się, że właśnie wrócił z przejażdżki konnej na drugą stronę Downs. Jego intencją było, abym zastał go szkicującego. Myślał być może, że bardziej będę podziwiał umiejętności oszukiwania niż sam talent. Człowiek nie mógłby szczyścić się swoim talentem, tak jak szczyści się sprytem.

W końcu zrezygnował z prób i odłożył ołówek na stojący przed nim stół. - Nie potrafię rysować koni - stwierdził. - To nie jest w porządku. Żaden artysta nie kocha koni tak ja ja, ani nie wie o nich tak wiele. Ja natomiast, nawet gdy korzystam ze zdjęć, nie potrafię ich dobrze narysować. To nie jest w porządku.

Nie słyszałem, aby kiedykolwiek odwoływał się do sprawiedliwości. Zwykle popierał krańcową sprawiedliwość sił rynkowych i przetrwanie najzdolniejszych. - Może dlatego, że kopiujesz zdjęcia - stwierdziłem. - Spróbuj kopiować obrazy.

Spojrzał na mnie zastanawiając się, czy przejść do obrony, moja twarz była jednak bez wyrazu, więc powiedział: - Muszę spróbować. Skopiuję Stabbsa, aby odkryć tajniki fachu. Mhm. Wszystko to sztuczki, wiesz? Malarz z Królewskiej Akademii kiedyś mi to wyznał. Malarstwo jest nauczaniem się szeregu sztuczek jak gra na giełdzie.

- Sztuczki, których nigdy nie opanuję - przyznałem.

- Nie jest to trudne, Bernardzie. Nie jest to trudne. - Zdjął swój malarski chałat i uśmiechnął się. Lubił słyszeć, że jego osiągnięcia przewyższają osiągnięcia innych. Szczególnie cenił sobie, gdy komplementowano jego zręczność z końmi. Co rano czyścił je i znosił długą jazdę do londyńskiego biura, aby móc wrócić i z nimi przebywać. Niejednokrotnie powiedział mi, że woli konie od ludzi. - Nigdy cię nie okłamią - mówił. - Nigdy nie będą próbowały cię oszukać.

Mówił nie podnosząc wzroku znad kartonu. - Wciąż jeździsz tym starym fordem. Myślałem, że masz zamiar kupić volvo.

- Odwołałem zamówienie - powiedziałem. - Nie jest mi teraz potrzebny duży samochód.

- Tym bardziej że kosztuje duże pieniądze, większe niż mógłbyś zapłacić - powiedział z bezpośredniością, na którą zawsze można było liczyć. - Powinieneś zobaczyć rachunki, jakie płacę za rollsa. W zeszłym miesiącu musiałem wymienić gaśnicę i kosztowało mnie to siedemdziesiąt osiem funtów.

- Może okazać się to opłacalne, gdy wybuchnie pożar.

- Chcesz drinka, Bernardzie? Jazda z Londynu jest męcząca. Którędy jechałeś? Przejazdem Kingston? Zatłoczony niedzielnymi kierowcami. Odcinek na północ od Kingston Vale nazywają morderczym kilometrem. Widziałem tuzin samochodów zgruchotanych na tym odcinku drogi. Światła zmieniają się przy Robbin Hood Gate i doprowadza to kierowców do szaleństwa.

- Jazda w tę stronę nie była najgorsza - powiedziałem. Podszedł do starego kredensu ze słojami pędzli i tub, butelkami terpentyny i oleju lnianego z czasów, gdy malował farbami olejnymi. Z przegródki kredensu wyjął szklanekę i butelkę z alkoholem. - Jeśli dobrze pamiętam, pijasz whisky z wodą sodową. Dużo wody sodowej i dużo whisky. - Roześmiał się i nalał olbrzymiego drinka. Oceniał mnie nieźle. - Czy może być *Teachersl* - Podał nie czekając na odpowiedź. - Nie ma w pobliżu lodu. - Był to tani kubek, nie od *Waterforda*, których używano przy stole. David, który malował tutaj, w swojej pracowni, był innym Davidem, nie tyle artystą, co zwykłym człowiekiem, z przyziemnymi przyjemnościami i prostym gustem.

- Tak - powiedział. - Duży samochód w żadnych wypadku nie jest teraz dla ciebie, kiedy jesteś na swoim. Duży dom będzie też ciężarem. Wypisałem kilka cyfr, żeby ci pokazać.

- Naprawdę?

Podniósł ze stołu kawałek papieru i zapadł się w sofę studiując go, jak gdyby nie widział nigdy przedtem. - Kupiłeś dom cztery lata temu i jego wartość od tamtego czasu nie wzrosła. W swoim czasie ostrzegałem cię, o ile sobie przypominam. Przy obecnym rynku będziesz szczęśliwy, jeśli odzyskasz pieniądze. - Spojrzał na mnie.

- Rzeczywiście? - powiedziałem.

- Jeśli się weźmie pod uwagę stopę inflacji i straty związane z zamrożeniem kapitału, tę inwestycję trzeba określić jako złą. Obawiam się, że będziesz musiał uśmiechnąć się i znieść to. Ważną sprawą jest ograniczenie twoich wydatków. Od razu, jutro rano, idź do agenta nieruchomości. Wystaw dom na sprzedaż. Znajdź sobie małe służbowe mieszkanie - sypialnia, pokój dzienny i kuchnia, to wszystko co potrzebujesz. Nawet zastanawiam się, czy jest ci potrzebna kuchnia. - Gdy nie odpowiedziałem, dodał: - Zanotowałem numery

telefoniczne do kilku agentów nieruchomości, z którymi prowadzę interesy. Nie możesz zwrócić się do pierwszych lepszych ludzi. Zbyt wielu Żydów zajmuje się tym interesem. - Uśmiechnął się. - Och, zapomniałem, że ty lubisz Żydów.

- Nie bardziej niż Szkotów czy Arabów Saudyjskich. Jednakże zawsze podejrzewam, że jeśli coś przydarzy się Żydom w danym tygodniu, jest wielce prawdopodobne, że to samo przydarzy się mnie w następnym. W każdym bądź razie postanowiłem nie rezygnować z domu. Przynajmniej w najbliższym czasie.

- To absurd, Bernardzie. Będziesz w przyszłości miał tylko swoją pensję. Nie będziesz miał kapitału Fiony, kapitału dzieci ani pensji Fiony.

- Kapitał był wykorzystywany wyłącznie na Fionę i dzieci - zwróciłem mu uwagę.

- Oczywiście, oczywiście - powiedział David. - Jest jednak faktem niezaprzeczalnym, że w twoim budżecie domowym będzie mniej pieniędzy. Z całą pewnością zbyt mało, aby utrzymać elegancki dom na West Endzie.

- Jeśli przeniosę się do służbowego mieszkania, nie będzie miejsca dla dzieci.

- Do tego zmierzam, Bernardzie. Dzieci. Myślę, że zgodzisz się ze mną bez zastrzeżeń, są najważniejsze w tej całej tragicznej sprawie.

- Tak - przyznałem.

Spojrzał na mnie. - Myślę, że sam też się napiję. - Wstał, podszedł do kredensu i nalał sobie gin z dużą ilością toniku. - Pozwól, że zajmę się również tobą, Bernardzie. - Wziął moją szklankę i ponownie ją napełnił. Przez chwilę sączył swój napój, a potem znów zaczął, tym razem z innego końca. - Jestem socjalistą, Bernardzie. Wiesz o tym, gdyż nigdy nie robiłem z tego tajemnicy. Mój ojciec pracował ciężko przez całe życie i zmarł przy swoim warsztacie pracy. Zmarł przy swoim warsztacie pracy... Tego nigdy nie zapomnę.

Skinąłem głową. Słyszałem już o tym wszystkim przedtem. Wiedziałem też, że warsztat pracy był dla ojca Davida tym, czym dla niego samego jest sztaluga. Ojciec Davida był właścicielem połowy fabryki zatrudniającej pięciuset ludzi.

- Nigdy jednak nie miałem żadnych powiązań z komunistami, Bernardzie. Kiedy więc usłyszałem, że Fiona przez te wszystkie lata pracowała dla Ruskich, powiedziałem do mojej żony: „Ona nie jest naszą córką”. Powiedziałem dokładnie tak. „Ona nie jest naszą córką” i tak uważam. Następnego ranka posłałem po mojego prawnika i wydziedziczyłem ją. Napisałem i oznajmiłem jej to, przypuszczam, że prawnicy zajmujący się jej kapitałem mają jakiś zwrotny adres... - Spojrzał na mnie.

- Nie wiem - powiedziałem. - Nie kontaktowałem się z nimi - Nie śmiałem powiedzieć, że Departament się z nimi kontaktował, nic jednak nie wiedziałem o zwrotnym adresie.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek otrzymała mój list. - Podeszedł do miejsca, w którym siedziałem, i dodał niższy głos, drżący ze wzruszenia... - Osobiście, Bernardzie, jest mi to obojętne. Nie jest moją córką. Nie po tym wszystkim.

- Wydawało mi się, że zamierzałeś coś powiedzieć o dzieciach - ponagliłem go.

- Tak, zamierzałem. Fiona odeszła na dobre, Bernardzie. Nigdy nie wróci. Jeśli będziesz trzymał dom w nadziei, że ona wróci do ciebie, zrobisz błąd.

- Jeśli wróci - powiedziałem - czeka ją długi wyrok w więzieniu.

- Tak, myślałem o tym - przyznał. - Psiakrew! To byłaby ostateczna hańba. Jej matka umarłaby ze wstydu, Bernardzie. Dzięki Bogu historia nie ukazała się w gazetach. I tak o połowę rzadziej składam wizyty w klubie, na wypadek, że spotkam kogoś, kto jest poinformowany o tych sprawach. Straciłem wiele z mojego życia towarzyskiego. Nie grałem w golfa od czasu, gdy dotarły do nas te wiadomości.

- Moje życie też nie stało się łatwiejsze - powiedziałem.

- W Departamencie uważają, że powinieneś ją zdemaskować wcześniej, jak sądzę?

- Tak, tak uważają.

- Przecież to ty byłeś tym, który w końcu sprawę rozpracował. To ty byłeś tym, który odkrył, że ona jest szpiegiem, prawda?

Nie odpowiedziałem.

- Nie martw się, Bernardzie. Nie mam o to pretensji. Ktoś to musiał zrobić. Wypełniłeś jedynie swój obowiązek. - Napił się drinka i uśmiechnął się ponurym męskim uśmiechem. Przypuszczam, że uważał siebie za wielkodusznego. - Teraz musimy sprostać problemom, które za sobą pozostawiła. Przedyskutowaliśmy z żoną całą sprawę w szerokim aspekcie - uśmiechnął się chcąc w ten sposób podzielić się ze mną trudnościami wynikającymi zwykle z rozmów z kobietami. - I chcielibyśmy mieć dzieci. Niania mogłaby być z nimi, zachowalibyśmy więc zasadniczą ciągłość. Rozmawiałem z moim przyjacielem o szkołach. Billy, tak czy inaczej, musi w tym roku zmienić szkołę.

- Dzieci zostaną ze mną - powiedziałem.

- Wiem, co czujesz, Bernardzie - rzekł. - Warunki jednak na to nie pozwalają. Nie stać cię na płatności związane z amortyzacją domu przy aktualnej stopie procentowej. Jak zdołasz opłacić nianię? A jak poradzisz sobie bez niej?

- Dzieci są obecnie z moją matką.

- Wiem. Jest ona za stara, aby zajmować się dziećmi. Ma zbyt mały dom. Jest przy nim tylko taki niewielki ogród.

- Nie wiedziałem, że tam byłeś - powiedziałem.

- Kiedy dowiedziałem się, że jesteś w Mexico, uważałem za swój obowiązek zobaczyć dzieci i upewnić się, czy jest im wygodnie. Zabrałem im trochę zabawek i dałem twojej matce pieniądze na ubrania i inne rzeczy.

- To nie twoja sprawa - powiedziałem.

- Są moimi wnukami - rzekł. - Wiesz, że dziadkowie też mają prawa. - Powiedział to delikatnie. Nie chciał się sprzeczać. Zamierzał osiągnąć swój cel przejęcia opieki na dziećmi.

- Dzieci zostaną ze mną - powiedziałem.

- A jeśli Fiona przyśle Rosjan i będzie próbowała je porwać?

- Mają przez dwadzieścia cztery godziny uzbrojoną ochronę - odpowiedziałem.

- Na jak długo? Twoi współpracownicy nie przydzielą ci za darmo na zawsze uzbrojonej ochrony, prawda?

Miał rację. Ochrona była jeszcze, ponieważ musiałem lecieć do Mexico. Gdy tylko wrócę do biura, zaczną się naciski, aby wycofać to kosztowne udogodnienie. - Zobaczymy - powiedziałem.

- Nie życzę sobie, żeby kapitał dzieci został na to roztrwoniony. Mój prawnik zarządza kapitałami obojga dzieci, być może to przeoczyłeś. Dopilnuję, abyś nie użył tych pieniędzy na strażników ani nawet na pensję niani. To nie byłoby uczciwe w stosunku do dzieci, w sytuacji, gdy możemy im zaoferować lepsze życie tutaj na wsi, z końmi i innymi zwierzętami na farmie. I to bez korzystania z ich pieniędzy.

Nie odpowiedziałem. W pewnym sensie miał rację - to wiejskie otoczenie było lepsze od wszystkiego, co mogłem im zaoferować, jednak nieszczęściem byłoby, gdyby miały rosnać przy takim człowieku jak David Kimber-Hutchinson, który nie odniósł wielkiego sukcesu wychowując Fionę.

- Przemyśl to - powiedział. - Nie mów nie. Nie chciałbym zostać zmuszony do walki o opiekę nad dziećmi na salach sądowych. Już i tak zbyt wiele płacę prawnikom.

- Stracisz tylko pieniądze - powiedziałem. - W takich okolicznościach sąd zawsze mnie przyzna opiekę nad dziećmi.

- Nie bądź taki pewien. W ostatnich latach wszystko bardzo się zmieniło. Powiedziano mi, że moje szanse na prawną opiekę są duże. Problem polega na tym, zamierzam być z tobą absolutnie szczerzy, że nie podoba mi się płacenie prawnikom wielkich pieniędzy za to, żeby powiedzieli światu, jakiego złego mam zięcia.- Więc zostaw nas w spokoju - rzekłem.

Obawiałem się, od momentu gdy zobaczyłem kremową kopertę opartą o zegar, że zmierzał do takiej konfrontacji.

- Nie tylko ja poniosę straty - bezlitośnie kontynuował. - Pomyśl, co powiedzą zwierzchnicy, gdy twoje nazwisko i nazwisko mojej córki będzie ciągane po sądach. Nie zdołają ukryć tego przed gazetami, jak udało im się po zdradzie Fiony.

Miał oczywiście rację. Jego prawni doradcy zapracowali na swoje gaże. Departament będzie za wszelką cenę starał się trzymać tę sprawę z dala od sądów. Nie mogę liczyć na żadne poparcie z jego strony, gdy będę próbował zatrzymać dzieci. Przeciwnie, będzie nalegać, abym zaakceptował rozsądną propozycję pomocy mojego teścia. Ponad nim, za dużymi oknami pracowni widziałem drzewa, które stały się złote w promieniach wieczornego słońca i *padok*, na którym Billy i Sally lubili prowadzić poszukiwania. Pieniądze to nie wszystko, lecz ludzie pokroju Davida sądzą, że są w stanie wszystko kupić. - Lepiej już pójdę - powiedziałem. - Prawie nie spałem w samolocie, a jutro czeka na mnie na biurku mnóstwo roboty.

Położył rękę na moim ramieniu. - Pomyśl o tym, Bernardzie. Poczekaj kilka tygodni. Przyjrzyj się nadchodzącym rachunkom i zanotuj trochę cyfr. Spójrz na twój roczny dochód netto i porównaj z wydatkami w roku ubiegłym. Nawet jeśli zredukujesz wydatki do minimum i tak nie wystarczy ci pieniędzy. Przemyśl to sam, a wtedy zrozumiesz, że to, co powiedziałem, ma sens.

- Zastanowię się - obiecałem, choć już podjąłem decyzję i dostrzegł to w tonie mojego głosu.

- Zawsze będziesz mógł przyjechać tutaj, żeby się z nimi zobaczyć, Bernardzie. Nie muszę chyba tego mówić.

- Powiedziałem, że zastanowię się.

- I nie zgłaszaj kradzieży porscha Fiony. Wysłałem mojego szofera, aby go sprowadził i w przyszłotygodniowym *Sunday Times* ukaże się jego oferta sprzedażna. Lepiej się go pozbyć. Wiąże się dla ciebie ze zbyt wieloma przykrymi wspomnieniami, żebyś chciał z niego korzystać, wiem o tym.

- Dziękuję, Davidzie - powiedziałem. - Myślisz o wszystkim.

- Tylko się staram.

ROZDZIAŁ X

Pomimo zmęczenia nie spałem dobrze po powrocie z Leith Hill. Powietrze było gorące, zostawiłem więc w sypialni otwarte okno. Rozbudziło mnie zupełnie rozzdzierające wycie śmigieł i grzmot silników samolotowych, z szeroko otwartą przepustnicą dla

zrównoważenia oporu klapy. Typowe podejście kontrolerów z lodyńskiego lotniska Heathrow polegające na wysłaniu kilku dużych jetów wyjących nad szczytami domów, o szóstej trzydzieści każdego ranka, tylko na wypadek, aby nikt z mieszkańców nie zaspał.

Budzik w radiu był połączony z trzecim programem BBC, mogłem więc wysłuchać serwisu informacyjnego o siódmej, a następnie spędzić piętnaście minut na rowerze do ćwiczeń, przy muzyce Mozarta i Bacha. Od czasu, kiedy mieszkałem sam, połączyłem ekspres do kawy z czasomierzem, mogłem więc schodząc na dół czuć zapach świeżej kawy. Otworzyłem puszkę z mlekiem firmy *Camation* i w pojemniku z pieczywem znalazłem rogalik. Był stary, wyschnięty i pomarszczony jak zawartość odkryta w grobie faraona. Żułem go z przyjemnością - nie jadłem nawet skromnego posiłku od czasu lotu samolotem, ale nie byłem głodny. Zaprzętały mnie myśli o dzieciach i o rozmowie z teściem. Nie chciałem mu wierzyć, lecz jego ostrzeżenia dotyczące pieniędzy niepokoiły mnie. Rzadko się mylił, jeśli w ogóle, w kwestiach pieniężnych.

Byłem na ulicy i otwierałem drzwi samochodu, gdy podeszła do mnie dziewczyna. Miała około trzydziestu lat, a może była młodsza, ciemnoskóra i bardzo atrakcyjna. Miała na sobie uniform pielęgniarski i ciemnoniebieski płaszcz oraz prostą, niebieską torbę. - Nie mogę zapalić mojego przekłętego samochodu - powiedziała. Jej akcent zdradzał pochodzenie z Indii Zachodnich; domyśliłem się, że prawdopodobnie z Jamajki. - Przełożona zabije mnie, jeśli nie będę w szpitalu św. Mary Abbots o ósmej czterdzieści pięć. Czy jedzie pan gdzieś w tym kierunku? Czy dokądś, gdzie mogłabym złapać taksówkę?

- Szpital św. Mary Abbots?

- Na Marloes Road w pobliżu Cromwell Road, niedaleko lotniska.

- Już pamiętam - powiedziałem.

- Przykro mi, że sprawiam panu kłopot - rzekła. - Mieszkam po przeciwnej stronie ulicy pod numerem czterdzieści siedem. - Był to duży dom, w którym jakiś spekulant porobił małe apartamenty, lecz nie zdołał ich sprzedać. Na balustradzie zawsze widniał napis DO WYNAJĘCIA, a przez dom przewijało się szereg lokatorów, którzy długo nie zagrzali miejsca. Przypuszczam, że właśnie w takim miejscu chciałby umieścić mnie mój teść.

- Myślę, że popsuł się starter - powiedziała.

- Mogę jechać przez park - zaproponowałem.

Skromnie owinęła płaszcz wokół nóg i położyła torbę na kolanach. - To bardzo miło z pańskiej strony. Prawdopodobnie musi pan nadrobić kilometry.

- Nie - powiedziałem. Faktycznie był to znaczny objazd, lecz perspektywa siedzenia przez dwadzieścia minut obok niej była bardzo pożądana.

- Niech pan lepiej zapnie pas bezpieczeństwa - poradziła. - Teraz takie jest prawo, prawda?

- Tak - odparłem. - Nie łammy prawa tak wcześnie rano. Zapięła też swój pas i zapytała: - Czy śledzi pan rozgrywki krykietowe?

- Wyjeżdżałem - odparłem.

- Pochodzę z Kingston na Jamajce - wyjaśniła. - Mam pięciu braci. Byłam zmuszona zainteresować się krykietem, gdyż tylko o tym potrafili rozmawiać.

Mówiliśmy wciąż o krykiecie, gdy wyjechałem z parku i poruszałem się nadal w kierunku południowym Exhibition Road, gdyż obowiązywał zakaz skrętu w prawo. Gdy zatrzymałem się na światłach przy muzeum Victorii i Alberta, przerwała moją paplaninę o nieudanych rzutach kulą drużyny angielskiej przeciwko Australii zeszłej zimy mówiąc: - Przykro mi, że muszę to panu zrobić, panie Samson. Skręci pan w lewo, w Cromwell Road, gdy będziemy przejeżdżać tym jednokierunkowym systemem.

- Dlaczego? O co pani chodzi? - Odwróciłem głowę i zobaczyłem, że patrzy na mnie. Nie odpowiedziała. Spojrzałem w dół i stwierdziłem, że na kolanach trzyma strzykawkę. Ostrze igły było bardzo blisko mojego uda. - Niech pan patrzy na drogę! Rób co mówię, a wszystko będzie w porządku.

- Kim u diabła pani jest?

- Będziemy jechać cały czas Cromwell Road, aż do londyńskiego lotniska. Muszę coś wykonać. Gdy to się stanie, będzie pan mógł jechać dokąd zechce. - Wolną ręką sięgnęła i przekręciła lusterko, tak że nie widziałem nic z tyłu.

- A jeśli nacisnę nagle hamulce?

- Lepiej tego nie robić, panie Samson. Jestem wykwalifikowaną pielęgniarką. Moje dokumenty są w porządku i gotowa opowieść. To, co mam w strzykawce, działa w kilka sekund. - Wciąż miała zachodnioindyjski akcent, ale teraz był mniej dostrzegalny, w sposobie jej bycia również zaszła zmiana. Mniej z Florence Nightingale, więcej z Jane Fondy. Nie powiedziała już ani razu „przepraszam” czy „dziękuję”.

Byłem skrupowany pasem bezpieczeństwa. Nie widziałem innej możliwości, jak jechać na Heathrow. Włączyła samochodowe radio. Nastawione było na program czwarty, zmuszeni byliśmy słuchać zespołu ekspertów odpowiadających na pytania dotyczące ogrodnictwa.

- Powtarzam to jeszcze raz - powiedziała. - Nikt nie zamierza wyrządzić panu krzywdy.

- Dlaczego na lotnisko?

- Zrozumie pan, gdy tam dotrzemy. Niech pan nie myśli, że chcemy pana porwać. Dotyczy to tylko pańskich dzieci i pańskiej pracy. - Jechaliśmy za zardzewiałym, starym samochodem emitującym mnóstwo czarnego dymu; na tylnej szybie widniała naklejka: ENERGIA NUKLEARNA? - NIE, DZIĘKI.

Gdy dojechaliśmy na lotnisko, skierowała mnie do drugiego sektora, gdzie odprawiano linie niebrytyjskie, głównie linie europejskie. Przejechaliśmy przez główny przejazd oraz wielopiętrowy parking i jechaliśmy dalej, aż dotarliśmy do drogi prowadzącej do sektora trzeciego. Pomimo żółtych linii i napisu NIE PARKOWAĆ, stały tam samochody. - Niech pan się tutaj zatrzyma - powiedziała. - I niech się pan nie rozgląda. - Ostrożnie, nie wypuszczając strzykawki, i nie odrywając ode mnie wzroku, sięgnęła do tyłu i odbezpieczyła guzik w tylnych drzwiach.

Stanęliśmy między dwoma ciemnoniebieskimi ciężarówkami. Usłyszałem, że drzwi samochodu otwierają się i poczułem reakcję zawieszenia pod ciężarem innego pasażera. - Niech pan jedzie powoli - powiedziała pielęgniarka. Zrobiłem, co mi kazano. - Przejedziemy z powrotem przez tunel. Następnie w dół jednokierunkową drogą dla samochodów, z powrotem do sektora drugiego. Zrozumiał pan?

- Tak - odparłem.

- Jest do twojej dyspozycji - powiedziała pielęgniarka do osoby na tylnym siedzeniu nie spuszczać ze mnie oczu.

- To ja, kochanie - odezwał się głos. - Mam nadzieję, że nie przestraszyłam cię. - Nie potrafiła wyeliminować nuty kpiny. Wielu ludzi nie zwróciłoby na to uwagi, ja jednak znałem ją zbyt dobrze, aby przeoczyć delikatne napawanie się dumą. To była moja żona. Zdrętwiałem. Zawsze chwaliłem się, że jestem przygotowany na wszystko, gdyż taki być musi zawodowy agent, teraz byłem jednak zaskoczony.

- Fiona, czy ty oszalałaś?

- Przyjeżdżając tutaj? Nie wydano nakazu aresztowania mnie. Zmieniłam wygląd i nazwisko... nie, nie oglądaj się. Nie chcę, żebyś zemdłał.

- Co to wszystko ma znaczyć? - Pomysł, abym kierował, był bardzo dobry: ograniczał moje możliwości zrobienia czegokolwiek, co nie spodobałoby się im.

- To z powodu dzieci, kochanie. Billy i Sally. Przyjechałam, aby je zobaczyć. Czekałam na drodze między domem twojej matki a szkołą. Wyglądały tak słodko. Oczywiście nie widziały mnie. Musiałam uważać na twoich szpiegów. Oboje mieli na sobie dobrane stroje - ostrozielone z błyszczącą żółcią plastikowe kurtki. Jestem przekonana, że to ojciec je przysłał. Tylko on ma naturalny instynkt do wulgarności, którą dzieci kochają.

- Widziałaś się z ojcem?

Roześmiała się. - Nie jestem tutaj na urlopie, Bernardzie kochany. A nawet gdybym była, nie sądzę, że wizyta u mojego ojca byłaby w planie podróży.

- Co więc to wszystko ma znaczyć?

- Nie bądź gburowaty. Muszę z tobą porozmawiać, a nie mogłam zatelefonować do ciebie ryzykując, że zostanę zarejestrowana na tej cholernej automatycznej sekretarce. - Umilkła na moment. Słyszałem szybkie, głębokie oddychanie, nieomal hiperwentylację, co zawsze świadczyło o tym, że była podniecona lub nerwowa, albo jedno i drugie. - Nie chcę unieszczęśliwić dzieci, podobnie jak ty.

- Co proponujesz?

- Złożę ci przyrzeczenie, że zostawię dzieci, tutaj w Anglii, na rok. Dam im szansę, aby żyły normalnie. Wożenie ich do szkoły samochodem z dwoma strażnikami bezpieczeństwa i trzymanie dzień i noc uzbrojonej straży jest całkowicie upiorne. Jakie to życie dla dzieci?

- Na rok? - zapytałem. - A co potem?

- Zobaczymy. Niczego nie obiecuję po upływie roku.

- Chcesz, abym pozostawił je bez straży?

- I tak Departament wkrótce ją odwoła. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. A ciebie nie stać, żeby płacić za taką ochronę.

- Poradzę sobie. - Zatrzymałem się przy drodze jednokierunkowej czekając na moment, kiedy pojawi się przerwa w ruchu, aby do niego się włączyć. Kierowanie bez wstecznego lusterka było trudne.

- Zorganizujesz ochronę wykorzystując swoich starych przyjaciół. - Usiłowała zawrzeć w słowach całą dla nich niechęć. - Mogę wyobrazić sobie, jakie będą efekty. Twój pijani kumple siedzący naokoło i rozmawiający o tym, co zrobią, gdy spróbuję odebrać ci dzieci.

- I nic nie chcesz w zamian?

- Oczekuję od ciebie, że dasz sobie spokój z absurdalnym pomysłem dotyczącym biednego, starego Ericha Stinnesa.

- Co Stinnes ma wspólnego z nami?

- To, że jest moim starszym asystentem. Nie kuś Ericha żadnymi ofertami łatwego życia czekającego na Zachodzie. Jest zbyt zaangażowany i zbyt poważny na to. Lecz znam ciebie i znam Departament. Wiem, że gdy wszystko inne zawiedzie, będziecie gotowi go porwać.

- A to nie byłoby dla ciebie najlepsze - powiedziałem. Wjeżdżaliśmy w tunel prowadzący na lotnisko. Zastanawiałem się, czy nagła ciemność nie daje mi szansy obezładnienia pielęgniarki nim zdoła ukłuć mnie, doszedłem jednak do wniosku, że nie. - Sektor drugi?

- Tak, sektor drugi - odpowiedziała Fiona. - Jeśli będziesz kontynuował pościg za Stinnesem, uznam postanowienia dotyczące dzieci za niebyłe i nieważne. Bądź rozsądny, Bernardzie. Próbuję robić to, co jest najkorzystniejsze dla Billy'ego i Sally. Jak sądzisz, jak się czuję mając perspektywę nieoglądania ich? Próbuję przekonać cię o mojej dobrej woli. O nic nie proszę w zamian, oprócz rezygnacji z porwania mojego starszego asystenta. Czy proszę o zbyt wiele?

- Decyzja nie będzie należała do mnie, Fiona.

- Zdaję sobie sprawę. Masz jednak wpływ. Jeśli naprawdę będzie ci zależało, żeby zrezygnowali z projektu, zrezygnują. Nie rób z Ericha Stinnesa części osobistej wendetty przeciwko mnie.

- Nie przysięgłem ci wendetty - powiedziałem.- Zrobiłam to, o czym wiedziałam, że muszę zrobić - rzekła. Pierwszy raz była tak blisko usprawiedliwienia się.

- Kierujesz teraz oficerami KGB, prawda?

Dosłyszałem rozbawienie w jej głosie. - Wszystko reorganizuję, co jest przestarzałe, kochanie. Wkrótce jednak będzie doprowadzone do porządku. Nie życzysz mi powodzenia? - Nie odpowiedziałem. W każdym razie nie poprosiła, abym się do niej przyłączył. Fiona była na to za mądra. A jednak to nie było do niej podobne, że nie próbowała. Czy dlatego, że wiedziała, że nie ma szansy przekonania mnie, czy dlatego, że miała inne plany - porwania lub nawet usunięcia mnie na dobre?

- Niech pan się zatrzyma za tą taksówką - powiedziała pielęgniarka. Odezwała się po raz pierwszy, odkąd Fiona wsiadła do samochodu. Zatrzymałem się.

- Erich Stinnes nie przejdzie na waszą stronę z własnej woli - powiedziała Fiona. - Powiedz o tym twoim zwierzchnikom.

- Już im to powiedziałem.

- W takim razie nie posprzeczamy się. Żegnaj, kochanie. Lepiej nie mów dzieciom, że spotkałeś się ze mną. To je tylko rozstroi. Nie informuj nikogo w londyńskiej Centrali o naszym spotkaniu.

- A jeśli poinformuję?

- Nie skontaktuję się już z tobą. Myśl, kochanie.

- Żegnaj, Fiona. - Wciąż nie mogłem uwierzyć, co się stało, przypuszczam, że liczyła na to zaskoczenie; w chwili, gdy pożegnałem się, drzwi otworzyły się. Trzasnęły, gdy odeszła. Pamiętam, jak złamała zawias w fordzie przez nawyk zbyt mocnego ich zatrząskiwania.

- Niech pan patrzy w tę stronę - powiedziała pielęgniarka. - To jeszcze nie koniec. - Zauważyłem, że spojrzała na zegarek. Był przyczepiony do ramiączka fartucha, jak zwykle nosić go pielęgniarki.

- Co to jest? - zapytałem. - Lot Aerofłotu do Moskwy czy Polskich Linii do Warszawy? Jeden i drugi ma międzylądowanie w Berlinie, prawda?

- Wrócimy do A4 - powiedziała - nie do drogi szybkiego ruchu, gdyż mógłby przyjść panu do głowy olśniewający pomysł zrobienia czegoś śmiałego w powrotnej drodze.

- Już od dłuższego czasu nie miałem żadnego olśniewającego pomysłu - stwierdziłem.
- Każdego może pani o to zapytać.

ROZDZIAŁ XI

Bret Rensselaer posłał po mnie tego ranka. Nie byłem obecny. Posłał po mnie znowu i posyłał dotąd, dopóki nie wróciłem z lotniska. Bret był w swoim gabinecie na górnym piętrze. Wnętrze było bardzo eleganckie - szary dywan, biurko ze szkła i chromu i czarny skórzany fotel firmy *Chesterfield* - w monochromatycznym zestawie kolorów, który tak idealnie odpowiadał ugruntowanej stronie, węglowo-stalowej osobowości Breta.

Bret był Amerykaninem o wyglądzie człowieka wygłodzonego, miał około pięćdziesięciu lat, jasne włosy, które stawały się już siwe i uśmiech, który mógł przecinać diamenty. Plotki głosiły, że ubiegał się o obywatelstwo brytyjskie, aby utorować sobie drogę do tytułu szlacheckiego, który był jego marzeniem. Nigdy z pewnością nie musiał tęsknić za materialnymi dobrami. Jego rodzina posiadała kilka małych banków, które zostały wchłonięte przez większe kompleksy bankowe, a te przez następne, tak że aktualne udziały Breta stanowiły więcej pieniędzy niż potrzebował, aby wieść swój bardzo brytyjski, skromny tryb życia.

- Usiądź, Bernardzie. - Akcentował zawsze ostatnią sylabę mojego imienia. Gdyby nie talk, którym posypywał brodę i sygnet bractwa, który zawsze nosił, myślę, że czasami mógłbym zapomnieć o jego amerykańskiej narodowości, gdyż miał ledwie dostrzegalny akcent i nosił ubrania od *Saville Row*. - Spóźniłeś się - powiedział. - Diabelnie się spóźniłeś.

- Tak, to prawda - odpowiedziałem.

- Czy mogę prosić o wyjaśnienie?

- Miałem cudowny sen, Bret. Śniło mi się, że pracuję dla miłego człowieka, który się nie zna na zegarze. Bret czytał coś na biurku i nie dał znać po sobie, że cokolwiek usłyszał. Ubrany był w wykrochmaloną koszulę firmy *Turnbull Asser*, z przesadnymi mankietami, wyszytym monogramem na kieszeni i złotymi spinkami. Na niej miał rozpiętą kamizelkę i szary, jedwabny krawat. Marynarka wisiała na krześle, które stało tu tylko w charakterze wieszaka. W końcu podniósł wzrok znad bardzo ważnych dokumentów, które czytał i powiedział: - Słyszałeś już prawdopodobnie, że obecnie przejmuję trochę ciężaru z ramion Dicky'ego Cruyera.

- Nie było mnie tutaj - odparłem.

- Jasne, że cię nie było - powiedział. Uśmiechnął się - zdjął okulary do czytania, popatrzył na mnie, a potem znów je założył. Były duże, w stylu tych, które noszą milicjanci drogowi i wyglądał w nich młodziej niż w rzeczywistości. - Jasne, że cię nie było. - Tak więc Bret wyznaczył granice terenu złotodajnego w obrębie Sekcji Dicky'ego. Nie mogłem się doczekać, jak Dicky to przyjmie. - Przejąłem dodatkową pracę, gdy Dicky pojechał do Mexico. Chociaż jestem jego przełożonym, nie znaczy to, że nie jest szefem swojego działu, zrozumiałeś?

- Zrozumiałem - odparłem. To była czysta poezja. Na wypadek, iż ktoś mógłby pomyśleć, że Bret pomaga Dicky'emu, zamierzał przedtem, nim zrobi cokolwiek, podkreślić, że jest jego szefem. Tylko dlatego chciał, aby każdy o tym wiedział, że nie zależy mu na robocie Dicky'ego. Kto mógłby uznać tego wyjątkowo pomocnego i niezrozumiałego Breta Rensselaera za kogo innego, jak nie za Bizantyjczyka.

- Podobno rozmawiałeś z tym Stinnesem?

- Tak, rozmawiałem.

- I?

Wzruszyłem ramionami.

Bret zdenerwował się. - Czy muszę wyciągać z ciebie każde słowo? Co mówił? Co ty o tym sądzisz?

- To, co on mówił i to, co ja myślę, to dwie różne sprawy - odpowiedziałem.

- Rozmawiałem już z Dickym. Powiedział, że Stinnes przyjdzie do nas, nie ma perspektyw w pracy, poza tym chce rzucić żonę. Pragnie się rozwieść, ale obawia się zawiadomić o tym swoją organizację, gdyż byliby wściekli na niego.

- Tak powiedział.

- Czy zgadza się to z tym, co wiemy o KGB?

- Skąd mam wiedzieć, co „my” wiemy o KGB?

- Dobrze, spryciarzu. Czy zgadza się to z tym, co ty wiesz o nich?

- Wszystko zależy od tego, jakie jest jego prywatne *dossier*. Jeśli Stinnes zwykł sypiać, na przykład, z cudzymi żonami i rozwód jest tego następstwem... może to wpędzić go w kłopoty.

- Co może mu się przydarzyć?

- Stacjonowanie poza Rosją jest traktowane jako przywilej dla każdego Rosjanina. Przykładowo, regulamin armii nie przewiduje, aby jakikolwiek Żyd, bez względu na rangę, służył poza Republikami. Litwinom, Łotyszom, Estończykom, Tatarom Krymskim i obywatelom z zachodniej Ukrainy przydziela się specjalny nadzór, gdy służą na obcych placówkach, nawet w krajach komunistycznych, takich jak Polska czy NRD.

- Stinnes nie należy do żadnej z tych narodowości?

- Jego małżeństwo z Niemką jest ewenementem. Niewielu Rosjan żeni się z cudzoziemkami; zbyt dobrze zdają sobie sprawę, że zdegradowałoby ich to do obywateli drugiej klasy. Stinnes jest wyjątkiem i dziwna jest jego pewność siebie, jaką okazywał robiąc to. Również zagadkowe jest używanie przez niego niemieckiego nazwiska. Dlatego od początku zastanawiałem się, czy nie pochodzi on od niemieckich komunistów.

- Czy niemieccy komuniści nadal żyją w Rosji? Myślałem, że Stalin wymordował wszystkich w latach czterdziestych. - Okręcił się w fotelu i wstał, aby wyjrzeć przez okno. Bret Rensselaer był perypatetykiem; nie mógł myśleć, dopóki ciało nie znajdowało się w ruchu. Zgarbił ramiona jak bokser i przechylał się, jak gdyby przed uniknięciem ciosu. Czasami podnosił stopę i zginał kolano, z którym, mówiło się, miał kłopoty od czasu, gdy jako nastolatek zaciągnął się na ochotnika do Marynarki USA w końcowych miesiącach wojny na Pacyfiku. Nigdy jednak nie żalił się na nie. Nie przeszkadzało mu również jeździć na nartach.

- Wielcy komuniści niemieccy mieszkający nad Wołgą zostali zlikwidowani w egzekucjach i deportacjach w 1941 roku. Wciąż jednak Niemcy pozostali rozrzućeni po całej Rosji - był nadal odwrócony do mnie tyłem, lecz przyzwyczałem się już do niego i jego ciekawych manier, mówiłem więc dalej. - Wielu Niemców zasiedlało Syberię i regiony arktyczne. W większości dużych miast rosyjskich mieszkają mniejszości niemieckie stanowiące, oczywiście, niewielki odsetek.

Odwrócił się twarzą do mnie. - Skąd masz pewność, że Stinnes nie pochodzi z tych niemieckich komunistów?

Pociągnął za końce szarego, jedwabnego krawata, aby sprawdzić, czy nadal jest porządny i schludny.- Ponieważ stacjonował w Niemczech Wschodnich. Armia i KGB ma żelazną zasadę, że nikt pochodzenia niemieckiego nie może służyć w jednostkach wojskowych w Niemczech.

- Czy jeśli Stinnes zwróci się o rozwód, istnieje prawdopodobieństwo, że wyślą go na roboty do Rosji?

- Tak, prawdopodobnie do odległego „nowego miasta” w Centralnej Azji. Nie jest to placówka, na którą chciałby zostać wysłany.

- Bez względu na to, jak przepada za Berlinem. Doskonale. - Myśl ta rozweseliła go. - Widoki na to, że Stinnes przyjmie naszą ofertę, są dobre.

- Skoro tak uważasz, Bret - powiedziałem.

- Jesteś wstrętym sceptykiem, Bernardzie. - Zdjął okulary do czytania, odłożył na biurko i dobrą chwilę mierzył mnie od stóp do głów.

- Nie licz na przejęcie Stinnesa - powiedziałem. - Nie ma żadnych szans.

- Nie twierdzisz chyba, że powinniśmy zrezygnować z całej sprawy?

- Nie twierdę, że powinniście. Jeśli ty i Dicky nie macie nic lepszego do roboty, próbujcie dalej. Jest mnóstwo innych, jeszcze mniej obiecujących projektów, na które Departament traci czas i pieniądze. Ponadto, powiedziałbym, że byłoby bardzo dobre dla Dicky’ego zdobycie praktycznego doświadczenia, z drugiej, bezpardonowej strony tego interesu.

- Czy ta szpila jest skierowana również do mnie?

- Nie ma powodu, dla którego miałbyś się nie włączyć. Nigdy nie widziałeś z bliska Rosjan, nie licząc tych widzianych znad kanapek z wędzonym łososiem na popołudniowych przyjęciach w ambasadzie - stwierdziłem. - Stinnes jest prawdziwym profesjonalistą. Rozmowa z nim sprawi ci przyjemność.

Bret nie lubił uwag o braku doświadczenia operacyjnego bardziej niż ktokolwiek inny, ale nie okazał swojego gniewu. Usiadł za biurkiem i przez chwilę bawił się okularami. Następnie powiedział: - Zostawmy ten temat na razie, ponieważ są pewne formalne sprawy, które muszę z tobą omówić. - Nie odpowiedziałem. - Dotyczą twojej żony. Wiem, że już o wszystko cię pytano, Bernardzie, muszę jednak usłyszeć to od ciebie.-

- Rozumiem - powiedziałem.

- Mam nadzieję, że rozumiesz - rzekł Bret. Opał na krzesło i podniósł słuchawkę, lecz przedtem powiedział: - Frank Harrington jest w mieście. Myślę, że to niezły pomysł, żeby uczestniczył w tej rozmowie. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

- Frank Harrington?

- Jest bardzo z tym wszystkim powiązany. I bardzo cię lubi, Bernardzie. Chyba nie muszę ci tego mówić.

- Tak, wiem o tym.

- Jesteś dla niego kimś w rodzaju syna - bawił się słuchawką.

- Frank ma syna - powiedziałem zgryźliwie.

- Tego pilota linii lotniczych? - zapytał pogardliwie Bret, jakby taka kariera automatycznie wykluczała jego ojcostwo. Nacisnął guzik telefoniczny i powiedział: - Proszę poprosić pana Harringtona, żeby wstąpił do mnie. - Gdy czekaliśmy na Franka, podniósł kawałek papieru. Była to pojedyncza kartka z notesu. Odwrócił ją na drugą stronę. Upewnił się, że nie ma na niej żadnych, jego drobnym pismem sporządzonych notatek i dopiero wtedy odłożył ją na stos takich samych kartek pod szklanym przyciskiem. Był systematyczny. Przesuwał palcem w dół następnej strony z notatkami i gdy wszedł Frank, wciąż ją czytał.

Frank Harrington był szefem Berlińskiej Jednostki Operacyjnej; tę funkcję mój ojciec pełnił dawno, dawno temu. Był szczupły, kościsty, miał sześćdziesiąt lat, ubrany w gładki, tweedowy, trzyczęściowy garnitur i bardzo wypolerowane buty z Oxfordu. Na ulicy można by go było wziąć za pułkownika wytwornego regimentu piechoty i czasem odnosiłem wrażenie, że Frank celowo pielęgnuje takie o sobie wyobrażenie. Pomimo bladej, lecz wiatrem posiekanej twarzy, przystrzyżonych na jeża wąsów i wetkniętej za mankiet chustki, nigdy nie był w armii nie licząc krótkich szkoleń. Zaczął pracować w Departamencie, głównie dzięki swojemu wspaniałemu świadectwu akademickiemu. O *Literae Humaniores* mówiło się, że wymaga odpowiedniej mowy, odpowiedniej myśli oraz zdolnego i krytycznego umysłu. Nieszczęśliwie „wielcy” nie mają wyczucia współczesnego świata i nie potrafią radzić, jak rozwiązywać aktualne tajemnice polityczne i ekonomiczne. Studia klasyczne mogą wypaczyć znajomość współczesnych języków i do dzisiaj niemiecki Franka ma sztuczną formalność proklamacji *Kaiserliche*.

Bez słowa powitania Bret wskazał palcem czarny skórzany fotel *Chesterfield*. Frank uśmiechnął się do mnie i usiadł. Obaj już przyzwyczailiśmy się do amerykańskiego sposobu zachowania się Breta w biurze.

- Jak już powiedziałem, jest to krótkie powtórzenie. Zaczynamy więc i miejmy to za sobą - powiedział Bret.- To mi odpowiada - odparłem. Frank wyjął fajkę z kieszeni, bawił się nią z czułością, a potem głośno przedmuchał. Gdy Bret spojrzał na niego, Frank uśmiechnął się przepaszająco.

- Oczywiście - Bret spojrział na mnie, aby zobaczyć, jak zareaguję na jego pytanie - nigdy nie podejrzewałeś żony, że pracuje dla KGB wcześniej, przed twoją misją w Berlinie Wschodnim.

- Tak, to prawda - powiedziałem. Spojrzałem na Franka. Położył na kolanach złoty woreczek z ceraty i grzebał w nim chcąc nappełnić fajkę. Nie patrzył na mnie.

- Nawet jeśli cofniemy się lata wstecz? - zapytał Bret.

- Zwłaszcza jeśli cofniemy się lata wstecz - odparłem. - Była moją żoną. Byłem w niej zakochany.

- Żadnych podejrzeń? Żadnych w ogóle?

- Była sprawdzana przez Departament. Była sprawdzana przez kontrwywiad. Regularnie badano ją...

- *Touche* - powiedział Bret. Frank Harrington przytaknął, choć nikomu konkretnie, ale nie uśmiechał się.

- Jeśli robisz notatki - rzekłem - zanotuj również i to. Moje niepowodzenie nie jest większe niż Departamentu.

Bret potrząsnął głową. - Nie bądź głupcem, Bernardzie. Była twoją żoną. Przyprowadziłeś ją do mnie i zaproponowałeś, żebym dał jej pracę. Byliście małżeństwem przez dwanaście lat. Jest matką twoich dzieci. Jak możesz porównywać swoją klęskę zrozumienia, kim rzeczywiście jest, z naszą?

- W końcu jednak to ja zrozumiałem - rzekłem. - Gdybym jej nie spłoszył, wciąż by tu pracowała i przekazywałaby wasze tajemnice do Moskwy.

- Nasze tajemnice - powiedział Bret Rensselaer. - Powiedz lepiej „nasze” tajemnice, chyba że też myślisz o porzuceniu nas.

- Cholernie przykrą rzecz powiedziałaś, Bret - stwierdziłem.

- Wobec tego wycofuję to - rzekł Bret. - Nie mam zamiaru jeszcze bardziej utrudniać ci życia, Bernardzie, naprawdę. - Przesunął małe kartki na biurku. - Czy nigdy nie słyszałeś rozmowy telefonicznej, czy nie znalazłeś korespondencji, która w świetle tego, co wiemy obecnie, miałyby związek z ucieczką twojej żony?

- Czy sądzisz, że nie powiedziałbym o tym? Musiałeś czytać kopię mojego oficjalnego przesłuchania. Wszystko tam jest.

- Wiem, Bernardzie i już przepraszałem cię, że raz jeszcze musisz przez to przejść. To przesłuchanie jest dla kontrwywiadu. Zostanie wykorzystane w twojej opinii. - Co roku była wypełniana opinia o każdym zatrudnionym przez bezpośredniego zwierzchnika, dla

Departamentu spraw osobowych. Fakt, że w tym roku Bret sporządzał moją, stanowiło jeszcze jedną oznakę, że wślizguje się chyłkiem do Sekcji Dicky'ego Cruyera.

- Do mojej opinii?

- Otóż nie wyobrażaj sobie, że będziemy mogli przeoczyć zdradę twojej żony. Jestem zobowiązany zaopiniować twoje - rzut oka do notesu - sądy, poglądy polityczne, możliwości analizowania oraz zdolność przewidywania. Prawie w każdej opinii znajduje się wzmianka o żonie zatrudnionego, Bernardzie. Nie ma w tym nic szczególnego. Cała Brytyjska Służba Cywilna ma dokładnie ten sam system opiniowania, a więc to nie ja staję się paranoikiem.

Frank skończył nabijać fajkę. Przechylił się do tyłu i powiedział: - Departament pilnuje swoich własnych spraw. Nie muszę ci tego mówić, Bernardzie. - Wciąż nie zapalał fajki, tylko trzymał ją w ustach i ssał cybuch.

- Nie rozumiem o czym mówisz, Frank - powiedziałem.

Frank Harrington spędził długi okres w Departamencie i dawało mu to pewne przywileje, tak więc nie musiał ulegać Bretowi Rensselaerowi, mimo jego wyższego stanowiska. - Próbuję wytłumaczyć ci, że Bret i ja chcemy, aby to wyszło ci na dobre, Bernardzie.

- Dziękuję, Frank - powiedziałem niezbyt ciepło.

- Musi to jednak wyglądać równie dobrze na papierze - stwierdził Bret. Wstał, włożył ręce do kieszeni i dzwonił drobnymi.

- A jak to wygląda teraz na papierze, bez całego waszego wysiłku? - zapytałem.

Bret spojrzał na Franka z wyrazem bólu w oczach. To spojrzenie miał opanowane i mógł w każdej chwili obrócić je na mnie, gdybym nadal zachowywał się z niesubordynacją. Stał przy oknie. Wyglądał na park i bez odwracania się powiedział: - Departament ma wielu wrogów, Bernardzie. Nie tylko pewnych socjalistów z parlamentu. Pałac Westminster pełen jest łajdaków szukających rozgłosu, którzy zachwyceni byłiby złapaniem czegoś takiego, aby celebrować to w *Panoramie*, zrobić kilka migawek do wiadomości telewizyjnych, czy udzielić wywiadu do *Wiadomości Nocą*. Mamy wielu kolegów w White-hallu, których zawsze cieszy widok nas wijących się pod mikroskopem.

- Czy coś próbujemy ukryć, Bret? - zapytałem.

Napał na mnie ze złością. - Na miłość boską... - przeszedł przez pokój, złapał swoją marynarkę i przewiesił ją przez ramię. - Porozmawiaj z nim, Frank - powiedział. - Wychodzę na chwilę. Zobaczmy, czy zdołasz nalać mu trochę oleju do głowy. Frank nie odezwał się. Przez chwilę trzymał nie zapaloną fajkę w zębach, po czym wyjął ją z ust i przyglądał się tytoniowi. Trzeba było zająć się czymś, zanim Bret Rensselaer nie wyszedł z pokoju i nie

zamknął za sobą drzwi. Ale i wtedy Frank odczekał, nim powiedział: - Znamy się nawzajem bardzo długo.

- To prawda - przytaknąłem.

- Berlin 1945. Dopiero zaczynałeś chodzić. Mieszkaliście na górnym piętrze domu Frau Hennig. Twój ojciec był pierwszym oficerem, który przywiózł swoją rodzinę do okupowanych Niemiec. Byłem tym wzruszony, Bernardzie. Tak wielu innych gości wolało być z dala od swoich rodzin. Wiedli aksamitne życie zwycięzców - duże apartamenty, służba, alkohol, kobiety - wszystko było osiągalne za kilka papierosów lub przydział racji. Twój ojciec jednak był wyjątkiem, Bernardzie. Chciał, abyście ty i twoja matka byli tam razem z nim i poruszył niebo i ziemię, ażeby was sprowadzić. Ceniłem go za to. I za wiele więcej.

- Co chciałeś mi powiedzieć, Frank?

- Ta historia z twoją żoną była szokiem. Dla ciebie i dla mnie. Cały Departament był zaskoczony i wciąż jeszcze boleśnie odczuwa uderzenie.

- I wini mnie? Czy o to chodzi?

- Nikt cię nie wini, Bernardzie. Jak powiedziałeś przed chwilą Bretowi, to ty nas poinformowałeś. Nikt cię nie wini.

- Ale... Czy usłyszę „ale”?

Frank bawił się bezmyślnie fajką. - Porozmawiajmy o Stinnesie - zaproponował. - On był oficerem, który aresztował cię w Berlinie Wschodnim, w czasie ucieczki twojej żony.

- Tak - potwierdziłem.

- On był również oficerem prowadzącym śledztwo?

- Rozmawiałem już z tobą o tym wszystkim, Frank. Nie było to przesłuchanie w ścisłym tego słowa znaczeniu. Miał polecenie z Moskwy czekać na przybycie Fiony.

- Tak, pamiętam - rzekł Frank. - Uważam, że Stinnes jest wyższym oficerem w biurze berlińskim.

- Nie ma co do tego wątpliwości - zgodziłem się.

- Twoja żona pracuje teraz dla KGB w tym samym biurze?

- Prawdopodobnie kieruje nim - odpowiedziałem.

- Stinnes na pewno jest członkiem jej wyższego personelu, mógłbyś tak powiedzieć?

- Oczywiście.

- Tak więc Stinnes jest jedyną osobą, która wie o zdradzie twojej żony i jej obecnym zajęciu. Możliwe, że zajmował się jej przechwyceniem.

- Nie krąż wokół tematu, Frank. Powiedz mi to, co masz mi do powiedzenia.

Frank zaczął wymachiwać fajką w moim kierunku i zamknąwszy oczy, formułował odpowiedź. Była to maniera datująca się jeszcze z czasów Oxfordu.

- Ten Stinnes wie wszystko o zdradzie twojej żony i jej późniejszym zatrudnieniu. On ciebie przesłuchiwał. Od tego czasu w związku z nim był ogłoszony w Departamencie stan pogotowia. Dlaczego Dicky Cruyer, szef Sekcji Niemieckiej, pojechał do Mexico City przyglądać się Stinnesowi, gdy stwierdzono, że tam przebywa?

- Obaj znamy na to odpowiedź, Frank. Dicky kocha darmowe wycieczki dokądkolwiek. Ta usuwała go z drogi, podczas gdy Bret zagrabił Dicky'emu jego małe imperium.

- Bardzo dobrze - powiedział Frank w sposób, który wskazywał, że nie zgadza się z moją interpretacją wydarzeń. - Dlaczego w takim razie wysłali ciebie?

- Ponieważ pracowałem z Dickim. Gdy nas dwoje zostało usuniętych z drogi, Bret miał lepsze wytłumaczenie na przejście brzemienia pracy... - powiedziałem naśladując głos Breta.

- To nie tak - powiedział Frank. - Chcą skaperować Stinnesa. Była to decyzja kierowniczego komitetu i nadano jej bezwzględne pierwszeństwo. Chcą mieć tutaj Stinnesa, żeby w czasie przesłuchania zdradzał tajemnice.

- Dotyczące Fiony?

- Tak, dotyczące twojej żony - powiedział Frank. Zauważyłem, że zawsze mówi „twoja żona” od czasu jej ucieczki. Jej imię nie mogło mu przejść przez usta. - Oraz ciebie.

- Mnie?

- Jak długo będziesz naiwny, Bernardzie? He musi upłynąć czasu, żebyś zrozumiał, że będziesz tak długo podejrzany, dopóki nie oczyści cię dowód pierwszej klasy?

- Zaczekaj chwilę, Frank. Pamiętasz mnie? To ja poinformowałem Departament o działalności Fiony.

- Ona popełniała błędy, Bernardzie. Gdybyś nas nie zaalarmował, kto inny by to zrobił wcześniej czy później. Dlaczego więc nie miałbyś osobiście donieść o niej w Departamencie. I zrobić to w sposób, w jaki życzyła sobie Centrala w Moskwie?

Myślałem o tym przez chwilę. - To się nie trzyma kupy, Frank.

- Zrobiłeś to w taki sposób, aby dać jej szansę ucieczki. I skorzystała z niej, Bernardzie. Sprawiałeś wrażenie zatrwożonego, nie zapominaj jednak, że w każdym razie miała dosyć czasu na ucieczkę.

- Niektórzy odetchnęli z ulgą, Frank. Są tutaj tacy, którzy zrobiliby wszystko, żeby uniknąć rozgłosu i kolejnego procesu o szpiegostwo. Postawienie Fiony przed sądem spowodowałoby nieodwracalne szkody w Departamencie.

- Każdy, kto odetchnął z ulgą, jest cholernym głupcem - stwierdził Frank. - Zabrała ze sobą czarę wypełnioną złotem. O ile wiem, nie dokumenty objęte tajemnicą, ale jej doświadczenie tutaj, które może mieć równą im wartość. Zdajesz sobie z tego sprawę.

- Czy mówi się, że dobrowolnie zorganizowałem jej ucieczkę? - zapytałem z oburzeniem i niedowierzaniem.

Frank widział, jak jestem wściekły i pośpiesznie dodał: - Nikt ci niczego nie zarzuca, lecz musimy sprawdzić każdą ewentualność. Każdą ewentualność. Taka jest nasza robota, Bernardzie. Jeżeli twoja żona i tak była spalona, dlaczego nie miałbyś ty nas o tym poinformować. W ten sposób KGB straciłoby wprowadzić wysoko ulokowanego agenta, ale miałyby kolejnego na miejscu, w tym samym biurze. Listy uwierzytelniające drugiego agenta byłyby pewne: czyż nie wystąpił przeciwko swojej własnej żonie?

- Czy dlatego chcą skaperować Stinnesa?

- Sądzę, że rozumiałeś to od początku. Doprowadzenie Stinnesa na przesłuchanie jest jedynym sposobem, w jaki mógłbyś udowodnić, że wszystko odbyło się tak, jak powiedziałeś.

- A jeśli go nie dostarczę?

Frank stukał lulką o kciuk. - Nie działasz na swoją korzyść twierdząc, że Stinnesa nie da się skaperować. Z pewnością masz tę świadomość.

- Mówię to, co uważam.

- Do diabła, Bernardzie, przestań tak mówić. W przeciwnym razie Departament pomyśli, że zależy ci na tym, abyśmy trzymali ręce z dala od Stinnesa.

- Departament może myśleć, co mu się żywnie podoba.

- Głupia rozmowa, Bernardzie. Stinnes byłby dla nas nie lada kąskiem. Prawdziwy jednak powód, dla którego Departament przeznacza czas i pieniądze, to wysoka opinia, jaką się cieszysz. Głównie dlatego, że chcą cię zatrzymać, nalegają na skaperowanie Stinnesa.

Frank miał zmysł dyplomatyczny, nie zmieniało to jednak zasadniczych faktów. - Cholernie mnie to złości, Frank.

- Nie bądź dziecinny - powiedział Frank. - Nie wciągnęli cię nawet na zastrzeżoną listę poufnych informacji. Wzrost podejrzeń powoduje fakt, że ty i Fiona byliście tak szczęśliwym małżeństwem, że aż tkwi w tym coś absurdalnego. Wystarczyło tylko spojrzeć na was razem, aby wiedzieć, że jesteście zakochani. Szczęśliwe małżeństwo, obiecująca kariera, cudowne dzieci. Gdybyście stale kłócili się i żyli w separacji, łatwiej byłoby

zrozumieć, że jesteście po przeciwnych stronach i reprezentujecie odmienne poglądy polityczne.

- A jeśli nie skaperujemy Stinnesa? Co będzie wtedy?

- Trudno będzie zatrzymać cię w kierownictwie.

- Rozumiem, jakie będą tego następstwa. - Pamiętałem kilku urzędników, których kontrwywiad uznał za nieodpowiednich na stanowiska kierownicze. Przeszedł mnie lodowaty dreszcz, gdy przypomniałem sobie ludzi, których wskaźnik zaufania został zdewaluowany w środku kariery. Zwykle przyczyną były rutynowe, okresowe kontrole. W ten sposób odkryto dyskretnych homoseksualistów, którzy spędzali weekendy z młodymi kelnerami hiszpańskimi i lesbijki dzielące apartamenty z paniami, które okazały się nie być ich kuzynkami. Byli też młodzi ludzie, którzy bez problemu zapominali, że są członkami międzynarodowych towarzystw studenckich, towarzystw, które przeciwstawiły się takim hasłom jak „wolność”, „pokój” i „życie”, a hołdowały więzieniu, wojnie i śmierci. Bądź też przyłączali się do innych, równie niewinnie wyglądających zgromadzeń, które lokowały się w pobliżu uniwersytetów i naciągały szacownie ubranych gości na kawę, bułeczki z rodzinami i idealistyczne rozmowy. Wiedziałem, że takie zdegradowane wyrzutki znajdowały pracę jako najniższy personel wywiadu w ambasadach Afryki Środkowej lub kontrolerzy towarów Aeroflotu na londyńskim lotnisku.

- Nie musisz się martwić o opuszczenie kierownictwa - pocieszał Frank. - Zdobędziesz Stinnesa. Teraz, gdy wiesz, o jaką chodzi stawkę, dostaniesz go. Jestem o tym przekonany, Bernardzie.

Wydawało się, że nie pozostało już nic więcej do powiedzenia. Jednak gdy podniosłem się z krzesła, Frank odezwał się: - Zamieniłem wczoraj kilka słów z D-G. Wypiłem u niego drinka i poruszyliśmy wiele tematów...

- Tak?

- Wszyscy niepokoimy się tobą i problemem opieki nad dziećmi, Bernardzie.

- Pieniądze są jedynym problemem - powiedziałem ostro.

- Wiem, Bernardzie. Właśnie o pieniądzach mówię. D-G rozważa możliwość przydzielenia ci specjalnego dodatku. Służba dyplomatyczna posiada coś, co nazywa się Uzasadniony Pośredni Dodatek Reprezentacyjny. Tylko biurokraci mogli wymyślić taką nazwę, prawda? Pokrywa się nim koszty niańki opiekującej się dziećmi, w czasie gdy dyplomaci i ich żony pełnią funkcje społeczne. Dyplomaci mają również Dodatek do Internatu, nie jestem pewien, jakie sumy wchodzi w rachubę, lecz na pewno w jakiś sposób

ułatwi to twoją sytuację materialną. Jedyne problemy polegają na tym, że może to trochę potrwać.

- Nie zamierzam wysłać dzieci do internatu.

- Odpuść się, Bernardzie. W ostatnim czasie jesteś zbyt najeżony. Nikt nie zamierza wtykać nosa, do jakiej szkoły uczęszczają twoje dzieci. D-G pragnie jedynie znaleźć sposób, aby ci pomóc. Chciałby zastosować już przyjętą formułę. Wolałby nie dokonywać dodatkowych, gratisowych płatności. Gdyby ktoś odkrył, że kierowane są bezpośrednio do pracownika, mógłby wybuchnąć z tego skandalu.

- Jestem wdzięczny, Frank.

- Wszyscy są ci życzliwi, Bernardzie. - Schował woreczek z tytoniem do kieszeni. Fajka nadal była nie zapalona. - A przy okazji. Stinnes jest z powrotem w Berlinie. Był w sektorze zachodnim, aby odwiedzić twoich przyjaciół Volkmannów... Szczególnie panią Volkmann. Pomyślałem, że chciałbyś o tym wiedzieć.

Frank Harrington miał romans z Zeną Volkmann i złe stosunki między nim a Wernerem datowały się od długiego czasu. Zastanawiałem się, czy to że Frank powiedział mi o Stinnesie było formą nagany dla Wenera, który nie poinformował mnie o tym. - Dobrze, nie wycofam się, Frank. Będę musiał lecieć do Berlina. Pozostaje tylko kwestia uzgodnienia wszystkiego.

Zostawiłem Franka, aby przekazał Bretowi, że zrobię to, czego ode mnie się oczekuje. Wyrysowałem tak prosty diagram, że nawet ja zdołałem go zrozumieć. Potem wypisał szczegółowe podpisy pod każdą częścią składową.

* * *

Później, tego samego popołudnia, poszedłem do mojego biura i posłałem po młodego stażystę Juliana MacKenzie. - I co? - zapytałem.

- Nie, pielęgniarki u św. Mary Abbots nie noszą uniformów, które pan opisał, i nie zmieniają się o ósmej czterdzieści pięć. Również kolorowe kobiety w żadnym wieku nie są lokatorkami domu naprzeciwko pańskiego mieszkania.

- Załatwiłeś to bardzo sprawnie, MacKenzie.

- Też tak uważam, szefie.

MacKenzie był impertynenckim małym draniem, który trafił tu z Cambridge z odznaczeniem z języków współczesnych i uzyskał znak A1 od komisji wyborczej administracji państwowej, zwykle zarezerwowany dla przyjaciół lub krewnych i był na stażu w Departamencie od kilku miesięcy. To szczytowe osiągnięcie było tym godniejsze uwagi, że MacKenzie, pomimo swojego szkockiego nazwiska, mówił z silnym akcentem z Birmingham.

Był tak ambitny, że mógł pracować ciężko i długo i nigdy nie zadawał pytań, ani nie oczekiwał ode mnie rozkazu na piśmie, gdy zlecałem mu jakąś robotę. Jego krnąbrne zachowanie w stosunku do wszystkich bez wyjątku bawiło mnie.

- Naprawdę chciałbym zajmować się sprawami operacyjnymi. W jaki sposób mógłbym zacząć? Jakies ślady i poufne informacje, szefie? Tak teraz wygląda typowe śledztwo.

- Tak, od czasu do czasu uczesz włosy, każdego dnia zmieniaj koszulę i używaj uniżonej nuty w towarzyskich rozmowach ze starszym personelem.

- Ja nie żartuję.

- Ani ja - zapewniłem go. - Skoro już tu jesteś, jak się nazywa ta dziewczyna, Gloria? Maszynistka, która zwykle pracuje dla pana Rensselaera?

- Ta wspaniała blondyna z dużym przedsięwzięciem?

Masz taki delikatny sposób wyrażania wszystkiego, MacKenzie. Tak, o nią mi chodziło. Nie widziałem jej ostatnio. Gdzie teraz pracuje?

- Nazywa się Kent. Gloria Kent. Jej ojciec jest dentystą. Uwielbia tańczyć na balach i jeździć na nartach wodnych. Nie jest jednak maszynistką, jest samodzielnym oficerem, 9 stopnia. Ma nadzieję zdobyć jedną z dotacji przyznawanych przez Departament i pójść na uniwersytet. Co więcej, mówi biegle po węgiersku. - Uśmiechnął się szeroko. - Nami wszystkimi kieruje ambicja. Powiedziałbym, że panna Kent jest żądna zrobienia kariery w służbie, nie sądzi pan?

- Jesteś kopalnią informacji, MacKenzie. Czy jej ojciec jest Węgrem?

- Zgadł pan. Mieszka z rodzicami i siedzi z nimi w domu daleko za miastem. Obawiam się, że nie zazna pan tam rozkoszy.

- Jesteś impertynenckim, małym draniem, MacKenzie.

- Tak, wiem o tym. Powiedział mi to już pan któregoś dnia. Ona obecnie pracuje w Rejestracji, biedactwo. Tylko dzięki moim codziennym wycieczkom na dół, żeby zobaczyć ją pograżoną w materiałach wypełniających gabinet, pozostała przy zdrowych zmysłach.- W Rejestracji, co? - Było to najbardziej niepopularne zajęcie w Departamencie i blisko jedna trzecia personelu była tam zatrudniona. Teoretycznie komputer w Banku Danych mógł stopniowo zastępować tysiące zakurzonych ankiet i Rejestracja mogłaby w końcu zniknąć. Zgodnie jednak z prawami każdej biurokracji, personel w Banku Danych powiększał się, lecz nie zmniejszała się liczba zatrudnionych w Rejestracji.

- Chciałaby pracować tutaj na górze, z panem. Wiem, że oddałaby wszystko, aby móc pracować z kimś z personelu kierowniczego.

- Wszystko?

- Prawie wszystko, proszę pana - powiedział MacKenzie i zmrugał oko. - Przynajmniej tak słyszałem.

Zadzwoiłem do starej jędzy, która kierowała Rejestracją, i powiedziałem jej, że potrzebuję panny Kent, aby pracowała dla mnie przez kilka dni. Gdy przyszła na górę do mojego biura, pokazałem jej ogromny stos dokumentów, które trzeba było wypełnić. Zalegały miesiącami na szafce i moja własna sekretarka była uradowana widząc, że obowiązek został przejęty.

Gloria Kent była wysoka. Szczupła, długonoga, miała około dwudziestu lat. Włosy koloru jasnej słomy były poskręcane, jednak na tyle luźne, że opadały jej na czoło, krótkie, ale na tyle długie, że dotykały kołnierza jej ciemnobrązowego swetra. Miała duże piwne oczy, długie rzęsy i szerokie usta. Gdyby Botticelli malował na wieku pudełka lalkę Barbie, wyglądałaby tak jak Gloria Kent. Pomimo to nie przypominała lalki. Nie było w niej nic drobnego. Nie pochylała głowy, tak jak czyni to wiele wysokich kobiet, aby dostosować się do wzrostu niższych mężczyzn znajdujących się wokół. Wyprostowana sylwetka nadawała jej wygląd chórzystki raczej niż pracownika w służbie państwowej, gdyż makijaż był bardzo skromny.

Około godziny sortowała akta, nim zapytała: - Czy wrócę do pracy w Rejestracji?

- Nie mam z tym nic wspólnego, panno Kent - powiedziałem. - Oboje pracujemy dla pana Cruyera. On podejmuje wszystkie decyzje.

- Jest szefem Niemieckiej Sekcji? - zapytała, oficjalnie tytułując Dicky'ego. - To jest mój Departament, prawda?

- Nazywamy to zwykle Działem Niemieckim - odparłem. - Obawiam się, że obecnie, tam na górze, panuje ogromne zamieszanie.

- Wiem. Pracowałam dla pana Rensselaera. Trwało to jednak tylko dziesięć dni. Potem jego komitet wywiadu ekonomicznego nie miał dla mnie więcej pracy. Trochę pisałam dla pracowników na górnym piętrze, a potem zostałam odesłana do Rejestracji.

- Czy nie lubi pani Rejestracji?

- Nikt jej nie lubi. Nie ma tam dziennego światła, a fluoryzujące oświetlenie ogromnie mnie męczy. Człowiek staje się bardzo brudny przekładając cały dzień formularze. Gdyby mógł pan zobaczyć moje ręce, gdy wracam wieczorem do domu. Nie mogę się wtedy doczekać, aby wszystko zrzucić z siebie i wziąć kąpiel.

Odetchnąłem głęboko i powiedziałem: - Mam nadzieję, że tutaj na górze tak się pani nie wybrudzi.

- To wielka przyjemność widzieć światło dzienne, panie Samson.

- Nikt nie zwraca się tutaj do mnie inaczej, jak Bernard - powiedziałem. - Może łatwiej będzie, jeśli pani będzie zwracać się tak samo.

- Ja jestem Gloria - powiedziała.

- Tak, wiem - rzekłem - Przy okazji, Glorio, pan Cruyer zawsze lubi organizować towarzyskie spotkania ze swoim personelem. Od czasu do czasu zaprasza kilku swoich pracowników na prywatny obiad i pogawędkę.

- To bardzo miło - powiedziała Gloria. Wygładziła spódnice wokół bioder.

- Tak, to prawda. Wszyscy to doceniamy. W ten czwartek właśnie organizuje jeden ze swoich obiadów. Bardzo podkreślał, że chciałby, aby pani w nim uczestniczyła.

- W czwartek, to bardzo niedługo - powiedziała. Poruszyła głową kołysząc włosami i dotknęła ich, jak gdyby rozważając, kiedy pójść do fryzjera.

- Jeśli masz coś ważnego do roboty, jestem przekonany, że to zrozumie.

- Zabrzmiałoby to okropnie, prawda?

- Nie, dlaczego. Wy tłumaczyłbym mu, że masz inne spotkanie, którego nie możesz odwołać.

- Lepiej pójde - zdecydowała się. - Jestem przekonana, że uda mi się poprzestawić sprawy. W przeciwnym razie - uśmiechnęła się - mogę spędzić resztę życia w Rejestracji.

- Zaprosił nas na siódmą czterdzieści pięć, na drinka. Siadają do stołu o ósmej trzydzieści. Jeśli mieszkasz daleko, pani Cruyer, jestem pewien, będzie szczęśliwa mogąc udostępnić ci pokój do przebrania. Jeśli o tym mowa - powiedziałem - możesz wypić drinka i przebrać się u mnie. Potem zawiozę cię na miejsce. Jego dom trudno jest znaleźć.

Zobaczyłem na jej twarzy spojrzenie pełne wątpliwości. Przeraziłem się przez chwilę, że trochę przesadziłem, ale pogrzyżłem się w pracy i nic więcej nie powiedziałem.

* * *

Przyjęcie u Dicky'ego było bardzo udane. Daphne przez trzy dni przygotowywała posiłek i zdałem sobie sprawę, że dlatego nie zaprosiła mnie na obiad w poprzednią niedzielę, ponieważ musiała wypróbować na Dickym według tego samego przepisu sporządzoną zupełną ogórkową, ten sam ryż ten sam krem agrestowy, który podano na przyjęciu. Tylko gotowany łosoś był eksperymentem. Jego łeb spadł na podłogę, gdy wyjmowano go z kotła.

Było nas ośmiu. Jeżeli Gloria Kent spodziewała się, że będzie to zebranie pracowników Departamentu, nie okazała rozczarowania poznając nowych sąsiadów Cruyerów oraz małżeństwo Stephensów, którego ładniejsza połowa, pani Liz Stephens, była partnerką Daphne w nowym interesie. Dicky nie mógł powstrzymać się od opowiedzenia

dowcipu o Daphne robiącej pieniądze na rozbieraniu, choć było oczywiste, że tylko Gloria nie słyszała go przedtem. Roześmiała się.

Rozmowa przy stole ograniczała się do typowo londyńskich, mało istotnych rozmów przy obiedzie: o ulubionych rejonach narciarskich za granicą, tutejszych restauracjach, szkołach i samochodach, według kolejności od tych najbardziej do najmniej pożądanym. Potem rozmawiano o interesie renowacji mebli. Pierwsze próby nie powiodły się. Nikt nie uprzedził pań, żeby nie próbować z meblami z wyginanego drzewa i pierwsza partia krzeseł rozpadła się w kąpielni sodowej. Dwie panie opowiadały o tym ze śmiechem, ale ich mężowie wymienili pełne rezygnacji spojrzenia.

Sąsiedzi z przeciwnej strony ulicy, których opiekunka do dzieci w wieku szkolnym musiała wrócić do domu wcześniej, wyszli zaraz po kremie agrestowym. Stephensowie natomiast wkrótce po pośpiesznie wypitej filiżance kawy. Została więc nasza czwórka w salonie. Dicky nastawił cichutko muzykę Chopina. Gloria zapytała Daphne, czy może jej pomóc w zmywaniu, a gdy jej podziękowano, podziwiała prymitywne malarstwo przedstawiające Adama i Ewę wiszące nad kominkiem. Daphne „odkryła” je na pchlim targu w Amsterdamie. Sprawiało jej zawsze przyjemność, gdy ktoś je podziwiał.

- Cholernie dobre jedzenie - powiedział Dicky do swojej żony, która przyniosła drugą filiżankę kawy i miętowe czekoladki. Jego głos był udaną imitacją Silasa Gaunta, jednego z pracowników Departamentu pamiętających dawne czasy. Nadstawił filiżankę, aby ją ponownie napełniono.

Daphne spojrzała na niego, roześmiała się nerwowo i rozlała kawę na wypolerowany stół. Odnosiłem wrażenie, że te obiady były zmartwieniem dla Daphne. Gdy Dicky ożenił się, była dążącą do kariery, pewną siebie dziewczyną, świadoma jednak swojego braku uzdolnień kulinarnych wiedziała, jak krytyczny potrafi być Dicky, w swoim czasie prezydent Towarzystwa Uniwersytetu Oxfordzkiego Wina i Żywności, kiedy odgrywa rolę gospodarza dla swoich pracowników. Czasami wyglądało na to, że obawia się go fizycznie, a wiedziałem dostatecznie dużo o jego nagłych napadach złego humoru, żeby jej współczuć.

Po współzawodnictwie, kto zużyje większą liczbę chusteczek *Kleenexa*, aby zetrzeć rozlaną kawę, które wygrała Daphne używając pełne ich naręcze, by ukryć i przeszmuglować z pokoju pudełko bardzo wilgotnych cygar, Gloria powiedziała: - Jaki piękny dom państwo mają, pani Cruyer.

- Daphne, Daphne, na miłość boską. To jest po prostu chlew - stwierdziła ze skromną pewnością siebie. - Czasami mnie to załamuje.

Rozejrzałem się wokół, ale nie było śladu po meblach, które Daphne tutaj zgromadziła. Wszystkie zostały usunięte. Biedna Daphne. Samochody naszych gospodarzy stały zaparkowane na ulicy. Wszystkie meble były przypuszczalnie ustawione w garażu.

- Miło widzieć was oboje - powiedział Dicky podając kawę Glorii. Bardzo podkreślił słowo „oboje”. Nadał mu prawie zmysłowy charakter. Uśmiechnęła się nerwowo do Dicky’ego, a potem spojrzała na mnie. - Tak - kontynuował dalej Dicky podając mi filiżankę kawy. - Bernard tak dużo o pani mówił.

- Kiedy? - zapytała Gloria. Nie była głupia. Od razu zgadła, co kryło się za jego uwagami.

- Gdy byliśmy w Mexico - powiedział Dicky.

- Rozumiem - rzekła, jak gdyby jej myśli podążały gdzie indziej. - Moja matka z ojcem spędzili tam urlop dwa lata temu. Nakręcili mnóstwo filmów. To jest hobby mojego ojca. Tam jest okropnie. - Odwróciła się do mnie i uśmiechnęła słodko, ale oczy pozostały zimne. - Nie wiedziałam, że rozmawiałeś o mnie, gdy byłeś w Mexico, Bernardzie - powiedziała.

Napiłem się kawy. Gloria skupiła swoją uwagę na Daphne. - Żeby tylko nie musiała wrócić do pracy w Rejestracji, pani Cruyer - stwierdziła. - To absolutne piekło. - Daphne skinęła głową. To było genialne, że zwróciła się do Daphne. Gdyby poprosiła Dicky’ego lub mnie, myślę, że Daphne dopilnowałaby, żeby Gloria wróciła do Rejestracji jutro rano. - Czy nie mogłaby pani poprosić męża, żeby pozwolił mi pracować gdziekolwiek indziej?

Daphne wyglądała na niezdecydowaną. Powiedziała: - Jestem przekonana, że zrobi, co będzie mógł. Prawda, Dicky?

- Oczywiście, że zrobię - odparł Dicky. - Może pracować na górze. Zawsze znajdzie się dodatkowa praca, będę musiał poprosić Breta Rensselaera, żeby odstąpił swoją sekretarkę jednemu z deputowanych pracujących w biurze. Gloria mogłaby pomóc mojej sekretarce i Bernarda, a także wykonywać od czasu do czasu pracę dla Breta.

Więc Dicky walczył dalej. Poczciwy, stary Dicky. Odstąpienie sekretarki cofnęłoby Breta do neutralnego narożnika i otrząsnęło łzy z oczu Dicky’ego.

- To by było cudownie, panie Cruyer - powiedziała Gloria, ale uśmiechnęła się do Daphne. Stawało się dla mnie jasne, że Gloria ma wielką karierę przed sobą. Był taki dowcip o Węgrach wchodzących do drzwi obrotowych za, a wychodzących przed tobą.

- W Departamencie Dicky’ego jesteśmy jedną szczęśliwą rodziną - powiedziałem.

Dicky uśmiechnął się do mnie pogardliwie.

- Chyba już pójdziemy - oznajmiłem. Spotkawszy spojrzenie Dicky'ego dodałem: - Gloria zostawiła u mnie swoje ubranie.

- O, zabrzmiało to okropnie - stwierdziła Gloria. - Bernard pozwolił mi przebrać się u siebie. Rodzice mieszkają zbyt daleko, abym zdążyła pojechać, aby zrobić to w domu.

Gdy powiedzieliśmy dobranoc i znaleźliśmy się w moim starym fordzie, Gloria odezwała się: - Jacy to mili ludzie.

- Tak - powiedziałem.

- Pan Cruyer jest bardzo interesującym mężczyzną - stwierdziła.

- Tak myślisz?

- A ty nie? - zapytała zaniepokojona, że powiedziała coś niewłaściwego.

- Bardzo interesującym - odpowiedziałem. - Jestem jedynie zdziwiony, że tak szybko to odkryłaś.

- Był w Balliol - powiedziała z tęsknotą. - Wszyscy najinteligentniejsi ludzie idą do Balliol.

- To prawda - przyznałem.

- Gdzie ty studiowałeś, Bernardzie?

- Możesz mówić do mnie panie Samson, jeśli masz ochotę - powiedziałem. - Nigdzie nie studiowałem. Skończyłem szkołę w wieku szesnastu lat i podjąłem pracę.

- Nie w Departamencie?

- Coś w tym rodzaju - odpowiedziałem.

- Nie mogłeś zdać egzaminu ze Służby Cywilnej w tym wieku.

- Wszystko to zdarzyło się w obcym kraju - powiedziałem. - Mój ojciec był Rezydentem w Berlinie. Tam też dorastałem. Mówię po niemiecku jak rodowity Niemiec. Znam miasto. Nic więc dziwnego, że zacząłem pracować dla Departamentu. Dokumenty zostały później uzupełnione. Nigdy nie przechodziłem przez Komisję Selekcyjną. - Brzmiało to bardziej defensywnie niż zamierzałem.

- Z pięciu przedmiotów miałam najwyższe oceny - powiedziała z dumą Gloria. Zniknęła gdzieś *la femme fatale*; przeobraziła się nagle we wzorową uczennicę biegnącą do domu z idealną cenzurką.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziałem. - Czy mam ci znieść ubranie, czy masz ochotę wstąpić na drinka?

Ku mojemu zdziwieniu odchyliła do tyłu głowę, aż oparła się o moje ramię. Poczulem zapach jej perfum i ciepło ciała. - Nie chcę, żeby ten wieczór się skończył - powiedziała.

- Niech trwa więc tak długo, jak to możliwe - zaproponowałem. - Chodź na drinka.

Uśmiechnęła się leniwie. Gdyby nie fakt, że wypila bardzo mało wina, mógłbym podejrzewać, że jest pijana. Położyła mi rękę na ramieniu i odwróciła do mnie twarz. Pocałowałem ją w czoło i otworzyłem drzwi. - Chodź zatem. - Zachichotała i wyszła z samochodu. Gdy zsuwała się z siedzenia, spódnica zawinęła się odsłaniając długie nogi. Naciągnęła ją i uśmiechnęła się skromnie.

Gdy znalazła się w domu, usiadła na sofie i jeszcze raz powtórzyła, jaki spędziła cudowny wieczór. - Brandy? - zapytałem. - Likier, whisky z wodą sodową?

- Odrobinę brandy - odpowiedziała. - Jeśli nie pójdziemy niebawem, ucieknie mój ostatni pociąg. - Nalałem dwa olbrzymie *Mar telle* i usiadłem obok niej.

- Czy twoi rodzice będą się martwić? - Skromnie pocałowałem ją w policzek. - Jeśli ucieknie pociąg, czy rodzice rzeczywiście bardzo się będą niepokoić?

- Jestem już dużą dziewczynką - odpowiedziała.

- To prawda, Glorio - powiedziałem z zachwytem. - Jesteś cudowną dziewczyną. - Objąłem ją ramieniem i przytuliłem do siebie. Była delikatna, ciepła i duża. Taka, jaką chciałem.

- Co mówiłeś o mnie będąc w Mexico City? - Jej głos był marzycielski, złagodzony przez sposób, w jaki bawiła się moim uchem.

- W Mexico. Słyszałaś, co mówił Dicky. Zawsze nazywają je Mexico.

- Czy założyłeś się z Dickym Cruyerem, że pójdziesz ze mną do łóżka? - zamruczała.

- Ależ skąd - odpowiedziałem.

- Bo powiedziałeś, że już ze mną byłeś, co?

- Dobry Panie, nie. Rozmawialiśmy o zatrudnieniu. Nie mówiliśmy o żadnym pracowniku w szczególności. Rozmawialiśmy o biurze... o obciążeniu pracą.

Przysunęła twarz do mojego ucha. - Jesteś strasznym kłamcą, Bernardzie. Czy ktoś ci to kiedyś powiedział? Jesteś zupełnie beznadziejnym kłamcą. Jak mogłeś przetrwać jako tajny agent? - Pocałowała mnie w policzek. Gdy przytuliłem ją, zamruczała. - Przyznaj się, że powiedziałeś Dicky'emu, że jesteśmy kochankami. - Powiedziawszy to odwróciła się do mnie nadstawiając usta i pocałowaliśmy się. Oderwawszy się ode mnie, warknęła: - Powiedziałeś czy nie?

- Musiałem mu coś powiedzieć, co niewłaściwie zrozumiał - przyznałem. - Wiesz, jaki jest Dicky.

Pocałowała mnie znowu. - Muszę iść do domu - powiedziała.

- Musisz?

- Muszę. Rodzice mogą się denerwować.

- Jesteś już dużą dziewczynką - przypomniałem jej. Odepchnęła mnie jednak i zerwała się na nogi. - Może innym razem - rzekła. Była czujna i zdałem sobie sprawę, że zdecydowała się opuścić mnie. - Pójdę na górę wziąć moją torbę. A ty... - Wzięła mnie za rękę i pociągnęła do wyjściowych drzwi. - Wyjdiesz i zapalisz samochód, żeby zawieźć mnie na stację.

Gdy nie okazałem zbytniego entuzjazmu, żeby zastosować się do jej poleceń, pomaszzerowała na górę pozbierać swoje rzeczy, a przez ramię powiedziała: - Jeśli ucieknę mój pociąg z Waterloo, będzie mnie pan musiał odwieźć do samego Epsom, panie Samson. Jazda tam po nocy jest nieprzyjemna. Rodzice moi, natomiast, zwykli czekać, aby zobaczyć, z kim spędziłam wieczór. Nie cierpię ich złościć.

- Dobrze, Gloria - powiedziałem. - Przekonałaś mnie. - Nie uśmiechała mi się perspektywa stanięcia twarzą w twarz z oburzonym węgierskim dentystą w późnych godzinach nocnych.

Zdażyłem zawieźć ją na dworzec Waterloo, aby złapała swój pociąg i wróciłem do mojego samotnego łóżka.

Dopiero następnego ranka odkryłem, że wzięła nożyczki z szafki w łazience, aby poprzecinać całą moją bieliznę na pół. Przy świetle dziennym natomiast zobaczyłem napis ze szminki na szybie okna łazienkowego - „Jest pan draniem, panie Samson”. Spędziłem wieki usuwając ślady szminki i ukrywając kawałki bielizny przed przybyciem sprzątaczk, pani Dias. Nie spieszyłem się, aby powtórzyć eksperyment z Głorią. Zemsta skierowana przeciwko mojej bieliznie musiała mieć głębokie psychologiczne znaczenie, dla mnie jednak była tylko niegroźnym żartem.

ROZDZIAŁ XII

Ten cholerny Werner widuje się ze Stinnesem - powiedział Dicky. Spacerował w tę i z powrotem obgryzając paznokcie swojego małego palca. Oznaczało to, że był poruszony. Ostatnio często bywał poruszony. Czasami zastanawiałem się, czy jeszcze pozostały mu jakieś paznokcie.

- Słyszałem o tym - stwierdziłem spokojnie.

- Aha - rzekł. - Tak myślałem. Czy znowu działasz za moimi plecami?

Skloniłem się nisko w geście pojednania. - O, panie. Dowiedziałem się o tym od sahiba Harringtona.

- Nie błażnij - powiedział Dicky. Usiadł za ogromnym stołem z drzewa różanego. W swoim gabinecie nie miał prawdziwego biurka, tylko kilka antycznych mebli, łącznie ze stołem z drzewa różanego, krzesłem *Charlesa Eamesa*, w którym mógł się wygodnie wyciągnąć, oraz parę lekkich krzeseł dla odwiedzających. Pokój był duży, z dwoma oknami

wychodzącymi na park. Dawniej dzielił to pomieszczenie ze swoją sekretarką, lecz później dołączył dla niej gabinet obok, a sam miał większą przestrzeń.

- Nikt mi nic nie mówi - rzekł Dicky. Siedział na małym, twardym krześle ze ściśniętymi nogami i kolanami oraz rękami zaplecionymi mocno na piersi. Mógłby stanowić ilustrację do książki zawierającej porady, jak postępować z nadąsanymi dziećmi. - Bret jest zdecydowany przejąć moją działkę. Przypuszczam, że aktualnie zamierza odciąć mnie od kontaktów ze wszystkimi moimi agentami.

- Werner Volkmann oficjalnie nie pracuje dla Departamentu. Nie chciałeś mu dać żadnych pieniędzy w Mexico. Czy pamiętasz, że gdy cię o nie poprosiłem, powiedziałeś, że po twoim trupie.

- Nie miał prawa spotykać się ze Stinnesem, bez poinformowania mnie o tym.

- Nie mógł mieć wielu spotkań w Berlinie - powiedziałem. - Dopiero co tam wrócił.

- Powinien poprosić o pozwolenie - stwierdził Dicky.

- Werner niczego nie jest nam winien, to raczej my jemu.

- Kto jest mu winien? - zapytał Dicky swarliwie.

- Volkmann określił miejsce przebywania Stinnesa, a ty nie wyraziłeś zgody, żeby mu za to zapłacić. Czego się spodziewasz?

- Tak więc twój kumpel, Werner, zamierza udzielić nam lekcji. Czy taką przyjął metodę?

Zapadłem się bardzo głęboko w fotel *Charlesa Eamesa*; można się w nim było doskonale odprężyć. Nic dziwnego, że Dicky nigdy nie miał zrobionej na czas żadnej pracy. - Werner jest jednym z tych dziwnych ludzi, którzy lubią pracować w wywiadzie. Dobrze zarabia na swoich transakcjach handlowych, ale chce pracować dla nas. Wciągnij go z powrotem na listę płac, a będzie najbardziej entuzjastycznym agentem. Daj mu trochę pieniędzy, to nawet jego żona będzie zainteresowana.

- Ona jest chciwa. Ta Zena jest bardzo chciwa.

Nawet Dicky to zauważył. - Tak, jest - powiedziałem. - Jeśli jednak oboje widują się ze Stinnesem, radzę ci pozostać z nią w dobrych stosunkach.

Dicky chrząknął i dalej obgryzał paznokcie.

- Zena ma oczy i uszy otwarte. A Stinnes zdaje się ją lubić. Jest zdolna odgadnąć, co ma na myśli przed wszystkimi.

Dicky zrobił kwaśną minę. Zawsze był taki, nim zatwierdził dodatkowe płatności jakiemukolwiek agentowi operacyjnemu. Normalnie zaaranżowałbym rozmowę na temat pieniędzy w dniu, w którym Dicky byłby w zwykłej fazie swojego maniackiego stylu

życia. - Jeśli Wernerowi tak wiele zawdzięczamy, a nie jest przez nas opłacany, mogę się tego wyprzeć - wyjaśnił Dicky, który zabierał się do każdej sprawy najpierw zastanawiając się, jak się z niej wypłacie, gdy zakończy się niepowodzeniem.

- Biorę za niego osobistą odpowiedzialność - powiedziałem. Dicky rozjaśnił się na ten pomysł. - W ten sposób można będzie to załatwić - stwierdził. Ścianę za plecami Dicky'ego prawie całkowicie zakrywały zdjęcia w ramach, przedstawiające uśmiechającego się Dicky'ego, potrząsającego rękę ważnych ludzi. Ta forma własnej reklamy, znacznie częściej spotykana w biurach ekstrawaganckich, amerykańskich producentów filmowych, była uważana za nie na miejscu, gdy tylko Dicky zaczął zbierać swoją kolekcję. Dicky jednak zrobił z tego kawał, zabawną, studencką formę żartu, którą mógł się delektować. Jedno ze zdjęć ukazywało Dicky'ego w Kalkucie, podczas jego wycieczki z Sir Henrym Clevemore'em, dyrektorem generalnym. Było to duże, kolorowe zdjęcie w złotej ramie. Dwaj mężczyźni stali przed straganem, na którym były wystawione litograficzne plakaty. Przyjrząwszy się bliżej, można było rozpoznać portrety Johna Lennona, Napoleona, Marylin Monroe, Lenina oraz Johna F. Kennedy'ego. W jakiś dziwny sposób Dicky zawsze kojarzył mi się z tym młodym człowiekiem na zdjęciu, uśmiechającym się do swojego szefa, w otoczeniu plejady ludzi sukcesu. - Przekazałem do Berlina, że chcę mieć natychmiast tutaj Wenera. Wyleci przed południem samolotem. Posłałem po niego samochód na lotnisko, tak że będzie tutaj około trzeciej. Weźmiemy go w obroty i dowiemy się, o co tu do diabła chodzi. Zgoda, Bernardzie?

- Mam nadzieję, że zaczniesz od zaoferowania mu odpowiedniego kontraktu - powiedziałem. - Nie jest twoim pracownikiem. Może po prostu powiedzieć ci, żebyś się wypchał i zadzwonił po swojego prawnika.

Dicky zagryzł usta. - Już o tym rozmawialiśmy. Powiedziałeś, że weźmiesz na siebie odpowiedzialność za niego.

- W takim razie pozwól mi zaoferować mu przyzwoity kontrakt - rzekłem. Dicky sprawiał wrażenie niezdecydowanego. Dodałem: - Trzymanie się z daleka od Wenera, na wypadek, gdyby wszystko potoczyło się źle, brzmi rozsądnie, jednak nie trzymaj się na tyle daleko, aby stracić go z oczu. Mogłyby nie być policzone ci zasługi, jeśli wszystko dobrze pójdzie.

Dicky wyciągnął chustkę i wytarł sobie nos. - Przeziębilem się - powiedział przygnębiony. - To powrót tutaj i wysokie temperatury w Mexico.

Przytaknąłem. Rozpoznałem symptomy. Kiedy Dicky manifestował oznaki przeziębienia, było to zwykle z powodu oczekiwania pracy, której nie zdołał podjąć lub

pytań, na które nie będzie chciał odpowiedzieć. - Pozwól mi spotkać się z Wernerem - powiedziałem. - Pozwól mi zaplanować kontrakt. Nie ściągaj go tutaj do biura. Powiedz, co chcesz, aby zrobił i będzie z tobą w kontakcie. Kieruj nim przeze mnie. Będziesz miał wtedy najlepszy z dwóch światów.

- Bardzo dobrze - powiedział Dicky. Jeszcze raz wytarł nos usiłując ukryć ulgę za swoją dużą, białą chustą.

- Potrzebuję jednak pieniędzy - stwierdziłem. - Nie garść drobnych; co najmniej dziesięć tysięcy.

- Dziesięć tysięcy.

- To tylko pieniądze, Dicky.

- Jesteś nieodpowiedzialny, Bernardzie. Dwa tysiące - może, ale nie dziesięć.

- Przecież to nie twoje pieniądze.

- Spodziewałem się, że to powiesz - rzekł Dicky. - Wydaje ci się, że Departament ma pieniądze do wyrzucenia.

- Pieniądze są częścią naszego uzbrojenia - stwierdziłem. - Ich używamy w naszej pracy. Możemy oczywiście ich strzec siedząc na tyłkach i patrząc w przestrzeń.

- Ty zawsze znajdziesz odpowiedź - powiedział Dicky. Skinąłem głową. Wiedziałem, że było to zdanie, które Dicky zapamięta na przyszły użytek, kiedy następnym razem kasjer biurowy zakwestionuje jego nadmierną rozrzutność.

- Bardzo dobrze, zatem dziesięć tysięcy. Na rachunek, jeśli nie sprawi ci to różnicy. Chcę, aby każdy fenig był przelany na rachunek.

- Sądzę, że Werner powinien pojechać do Berlina Wschodniego i dowiedzieć się o Stinnesie na jego rodzinnym podwórku.

Dicky zaczął obgryzać paznokcieć u małego palca z takim oddaniem, że nasza rozmowa stała się sprawą drugorzędną. - Niebezpieczne - rzekł nie przerywając obgryzania. - Niebezpieczne dla wszystkich zainteresowanych.

- Pozwól Wernerowi to osądzić. Nie będę go do niczego zmuszał.

- Nie, tylko dasz mu pieniądze i powiesz, że otrzymał kontrakt. A potem zapytasz go, czy nie zechciałby tam pojechać. Jesteś bezwzględny draniem, Bernardzie. Myślałem, że Werner jest twoim przyjacielem.

- Jest nim. Nie pojedzie dopóty, dopóki nie będzie uważał, że może to zrobić bez narażania się na kłopoty. - Czy to jednak była prawda? Zastanawiałem się. Czy naprawdę zamierzałem manipulować Wernerem w tak cyniczny sposób? A jeśli tak, czy nawet nie zdałbym sobie z tego sprawy, gdyby nie replika Dicky'ego?

- Dziesięć tysięcy funtów - zadumał się. - Gdyby mnie przypadło w udziale takie niespodziewane szczęście. Nie wiem, jak zdołam opłacić w przyszłym roku szkołę chłopców. Właśnie otrzymałem długi list od przełożonego. Nie winię szkoły, jej wydatki są astronomiczne.

- Rząd twierdzi, że inflacja znów spada - powiedziałem. Ciekaw byłem, co by powiedział Dicky, gdyby usłyszał, że przydzielono mi dodatek na internat i pieniądze dla niani.

- Co to tych cholernych polityków obchodzi - rzekł Dicky. - Pierwszą rzeczą, którą ci dranie robią, kiedy obejmują urząd, to głosują za astronomicznymi podwyżkami swoich płac i dochodów.

- Tak - powiedziałem. - Aż do barykad. - A więc niezadowolenie występowało już w szeregach Whitehallu, pomimo pensji indeksacyjnych i związanych z nimi dochodów.

- Tak - rzeki Dicky. - Cóż, śmiem zauważyć, że ty też masz swoje finansowe problemy.

- Tak, Dicky, mam.

- Gdzie mam kazać podwieźć Wernera, gdy zostanie zabrany z lotniska? Powiedziałeś, że nie chcesz się tutaj z nim spotkać. Jeśli może przemieszczać się na Wschód, tam i z powrotem, równie dobrze można go trzymać na dystans.

- Czy mogę powiedzieć twojej sekretarce, żeby wypisała czek?

- Tak, tak, tak, tak, tak - powiedział zirytowany Dicky. - Powiedziałem tak. Nie zamierzam cofnąć mojej obietnicy dla twojego cennego Wernera. Weź czek, a ja podpiszę go.

Wróciłem do mojego biura z czekiem. Nie mogłem zostawić podpisanego formularza u sekretarki Dicky'ego, gdyż mógłby się nad nim ponownie zastanawiać. Moja sekretarka wyszła na wcześniejszy obiad, była tylko Gloria Kent. Odniosłem wrażenie, że specjalnie wolno pracowała nad aktami, żeby mieć pewność, że zostanie na górze.

- Zanieś czek do kasy. Powiedz im, że chcę, aby był zrealizowany w gotówce. Przed obiadem.

- W kasach jest straszny tłok, Bernardzie - powiedziała.

- Zostań tam, dopóki go nie zrealizujesz. Bądź nieznośna w czasie oczekiwania.

- W jaki sposób? - zapytała Gloria.

- Mów do nich - zaproponowałem. - A jeszcze lepiej, czytaj wszystko, co ci wpadnie w oko i komentuj, jakie płatności są dla kogo dokonywane. To zawsze ich denerwuje.

- Nigdy nie wiem, kiedy żartujesz - powiedziała.

- Nigdy nie żartuję w kwestiach finansowych - rzekłem.

Nie zdążyła zejść w dół korytarzem, gdy zadzwonił telefon. Operator poinformował mnie, że z zewnątrz telefonuje pani Kosiński. Zawsze byłem zaskoczony słysząc nazwisko Kosiński. Nigdy nie myślałem o siostrze Fiony jako o pani Kosiński, a już z pewnością nie o droгим starym George'u, moim szwagrze, z jego londyńskim akcentem i strasznymi dowcipami, jako o George'u Kosiński.

- Bernard przy telefonie.

- O, Bernardzie. Od wieków usiłuję się dostać do ciebie. Twoi ludzie tutaj strzegą cię tak dobrze, kochanie. Chciałabym mieć takiego podejrzliwego strażnika opiekującego się mną - to prawie tak, jakbym próbowała dostać się do Buckingham Pałace. Gorzej nawet, ponieważ George miał kilku klientów na dworze królewskim i widziałam, że dostawał się do nich bez problemu. - Był to jakby wypowiedziany bez tchu fragment z gazetowej kolumny z plotkami.

- Jak się masz, Tessa? - A więc telefonowała moja zdumiewająca, seksowna, postrzelona i swawolna szwagierka. - Czy stało się coś złego?

- Nic, o czym bym mogła mówić przez telefon, kochanie - odpowiedziała.

- Ach, tak - powiedziałem zastanawiając się, czy rozmowa była rejestrowana przez kontrwywiad. Po tym wszystkim, co powiedział mi Frank Harrington, musiałbym być bardzo głupi, żeby sobie wyobrazić, że nie obserwowano mnie, nawet jeśli tylko pobieżnie.

- Bernardzie. Czy masz czas na obiad? Dzisiaj. Zaraz. Jeśli masz spotkanie, przełoż je. Muszę się z tobą zobaczyć, kochanie. - Potrafiła powiedzieć to z mocnym naciskiem w każdym zdaniu, a pomimo to nie wyrażając nuty prawdziwego nalegania. Odnosiłem wrażenie, że nawet jeśli jej dom stanąłby w ogniu, Tessa wykrzyknęłaby „pożar” w sposób bardziej elegancki niż rozpaczliwy.

- Mam czas na obiad.

- Świetnie.

- Dokąd chcesz pójść? - Wiedziałem, że Tessa ma zawsze jakieś upatrzone miejsce. Zbyt wiele razy słyszałem jej zgryźliwe opisy nieodpowiednich posiłków w niemodnych restauracjach.

- Och. - Tylko angielska średnia klasa potrafi wymówić głoskę przejściową w ten sposób. Tessa potrafiłaby „och” przekształcić w kantatę Bacha. - Muszę się zastanowić - powiedziała. - Jestem znudzona tymi wszystkimi straszliwymi małymi restauracyjkami prowadzonymi przez młode męskie pary, które spędzają urlopy w Bocuse. Co myślisz o *Savoju*, kochanie. W gruncie rzeczy jest to jedyne miejsce w Londynie z prawdziwą klasą. Wszędzie indziej w dzisiejszych czasach pełno jest ludzi od reklamy.

- Dowiem się o wolny stolik - obiecałem.

- W restauracji, kochanie, nie w grillu. Nigdy nie widziałam nikogo z moich przyjaciół w grillu. Powiedzmy o pierwszej, dobrze? Gdy zatelefonujesz, poproś szefa, pana Edelmana, George zna go doskonale. Powołaj się na George'a.

- Czy jest to spotkanie towarzyskie, Tessa? Czy może z jakiejś specjalnej okazji?

- Jadłam wczoraj wieczorem kolację z ojcem, Bernardzie. Muszę z tobą porozmawiać. Wiesz o kim i o dzieciach, kochanie. Słyszałam o twojej wizycie w Leith Hill.

- Tak, David chciał się ze mną zobaczyć.

- Wiem o tym. Spędzimy miło czas przy obiedzie i o wszystkim porozmawiamy.

- Czy George się miewa dobrze?

- George zawsze miewa się dobrze, gdy robi pieniądze. Wiesz o tym.

- Miło mi słyszeć, że robi pieniądze - powiedziałem.

- Ma dotyk Midasa, mój drogi. Mamy teraz mieszkanie w May-fair. Słyszałeś o tym? Nie, oczywiście, że nie, kartki ze zmianą adresu nie dojdą wcześniej niż w przyszłym tygodniu. Będziesz nim zachwycony, jest cudowne. I w śródmieściu.

- Porozmawiamy o tym na obiedzie - rzekłem widząc wchodzącego Dicky'ego.

- Restauracja *Savoy*, punktualnie o pierwszej - powiedziała Tessa.

Była roztrzępana i w wielu sprawach niezdecydowana, w kwestii naszego obiadu upewniła się, żeby nie było nieporozumienia. Przypuszczam, że każdy, kto miał tak wiele przygód miłosnych i randek jak Tessa umawiając się musiał być systematyczny i dokładny.

- Do zobaczenia.

- Kto to był? - zapytał Dicky.

Miałem ochotę powiedzieć, że to nie jest jego sprawa, ale odpowiedziałem zgodnie z prawdą. - Tessa Kosiński - moja szwagierka.

- Och - powiedział Dicky. Z tego, co dowiedziałem się od Fiony, Tessa miała krótki, szalony romans z Dickym. Przyjrzałem się jego twarzy i uznałem, że prawdopodobnie była to prawda. - Poznałem ją. Jest miłą, małą kobietą.

Miła, mała kobieta, nie jest to określenie, które na ogół przychodzi do głowy mężczyźnie, gdy poznaje Tessę Kosiński. - Niektórzy uważają, że jest sex-bombą - stwierdziłem.

- Nie powiedziałbym - chłodno rzekł Dicky.

- Czy coś sobie życzysz?

- Werner. Dokąd mam go wysłać?

- Wyślij go do restauracji *Savoy* - powiedziałem. - Jestem tam umówiony z moją szwagierką na obiad.

- Myślałem, że nie masz pieniędzy.

- Werner przyłączy się na kawę.

- Och nie, to nie ty będziesz płacił za obiad - rzekł Dicky.

- W restauracji - powiedziałem - nie w grillu. Tessa nigdy nie widuje żadnych swoich przyjaciół w grillu.

Tessa wyglądała wspaniale. Miała trzydzieści trzy lata, a wyglądała o dziesięć lat młodziej. Cokolwiek robiła, służyło jej to. Miała cudowną skórę i jasnoblond włosy, które rozpuszczone opadały jej na ramiona. Dochód George'a, nie mówiąc już o pensji, którą otrzymywała od ojca, był widoczny w każdym ściegu ciemnoniebieskiej sukni *Chanel*, torebce *Hermes* i butach *Charles Jourdan*. Nawet najbardziej zblazowany kelner odwrócił głowę, aby popatrzeć, jak całowała mnie z przesadnymi uściskami i westchnieniami nim usiedliśmy.

Pod stołem zrzuciła pantofel i cicho klnąc rozcierała stopę. - Jaki cudowny stół zarezerwowałeś. Z tym ślicznym widokiem na rzekę. Muszą cię tutaj znać.

- Nie - powiedziałem szczerze. - Powołałem się na George'a, jak sugerowałaś.

Uśmiechnęła się z przymusem, jak z ciągle powtarzanego dowcipu. Pomachała menu nawet do niego nie zaglądając i zamówiła melon, sole z grilla i mieszaną sałatkę. Gdy zobaczyła, że przeglądam listę win, powiedziała: - Czy bardzo źle pomyślałbyś o mnie, gdybym poprosiła cię, żebyś zamówił butelkę *Bollingera*, kochanie? Mój doktor kazał mi się wystrzegać wszystkich czerwonych win i wszystkich innych alkoholi.

- Butelkę *Bollingera* proszę - powiedziałem do kelnera.

- Widziałam się z Davidem. - Nadal rozcierała stopę. - Jest bezwzględny draniem, prawda?

- Nigdy nie zgadzaliśmy się ze sobą - stwierdziłem.

- Jest draniem. Wiesz, że nim jest. A teraz próbuje ci zabrać dzieci. Mam nadzieję, że powiedziałeś mu, żeby poszedł sobie do diabła.

- Nie chciałem, żeby miał dzieci.

- Staremu draniowi powinno zabronić się prowadzić nawet ZOO - powiedziała Tessa.

- Zrujnował moje życie i winię go za to, co się stało z Fioną.

- Naprawdę?

- Czyż nie mówi się o wszystkich szpiegach i zdrajcach, że okazują w ten sposób swoją nienawiść do rodziców?

- Jest to popularna teoria - rzekłem.

- A mój ojciec jest żyjącym dowodem o jej słuszności. Kto mógłby wyobrazić sobie biedną, starą Fi pracującą dla paskudnych komunistów, gdyby nie została do tego doprowadzona przez Davida?

- Zatrzymam dzieci przy sobie - powiedziałem. - Będzie mi ciężko finansowo, ale nie ciężej niż było mojemu ojcu.- Brawo, Bernie. Miałam nadzieję, że to powiesz, ponieważ zamierzam ci pomóc, jeśli się zgodzisz. - Spojrzała na mnie z surowym wyrazem, co mnie wzruszyło. Nie sposób było jej nie porównać z twardą jak diament Zeną, jednak pomimo wyszukanego stylu życia i dowcipnych rozmów, Tessa nie posiadała pewności siebie. Czasami zastanawiałem się, czy przypadkowe przygody miłosne miały zwiększyć jej wiarę w swoje możliwości, tak jak innym ludziom służą w tym celu alkohol czy lustra. Zawsze miałem do niej słabość, bez względu na to, jak była niezdolna. Była powierzchowna, ale równocześnie spontanicznie wspaniałomyślna. Bez trudu zakochałbym się w niej, postanowiłem jednak nie dopuścić do tego. Uśmiechnęła się skromnie i wyjrzała przez okno. Wody Tamizy były wysokie i błyszcząły jak oliwa. Płynący pod prąd sznurek łodzi rzecznych, załadowanych po brzegi nieczystościami, poruszał się wolno i został rozerwany na części przez sklepienie łukowe mostu Waterloo.

- Zgodzę się, Tessa. Wykorzystam każdą możliwą pomoc.

- Telefonowałam do twojej matki. Martwi się o ciebie.

- Matki zawsze się martwią - powiedziałem.

- Mówiła, że dzieci wracają na Duke Street. Jedno dobre, to to, że niania jest wciąż z nimi. Cudowna dziewczyna. Nie przypuszczałam, że będzie taka. Chyba jest jej niewygodnie tłoczyć się w małym domu twojej matki. Tak czy owak pomyślałam, że pójdę na Duke Street z moją sprzątaczką i wszystko dla nich przygotuję. Zgoda?

- To miło z twojej strony, Tessa. Jestem przekonany, że sam wszystkiemu podołam.

- Jesteś mężczyzną i nie masz pojęcia, co trzeba zrobić w domu, gdy przeprowadza się do niego dwoje młodych ludzi. Trzeba przewietrzyć pokoje, przygotować czystą odzież, posłać łóżka, ugotować jedzenie, zaopatrzyć kredens w artykuły spożywcze i zamrażarkę w gotowe posiłki.

- Chyba masz rację - powiedziałem.

- Oczywiście, że mam rację. Nie sądzisz chyba, że to wszystko zrobi się samo za dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

- Mam panią Dias - wyjaśniłem.

- Pani Dias - powtórzyła Tessa. Roześmiała się, wypila szampana spoglądając na kelnera i wskazując nasze kieliszki, aby je napelnić. Potem roześmiała się znowu na myśl o pani Dias. - Z pani Dias jest taki pożytek jak z dziury w moście.

- Fiona zawsze korzystała z jej usług.

- Ponieważ sama robiła połowę roboty.

- Sama? Nie wiedziałem o tym.

- Oczywiście, że nie wiedziałeś. Mężczyźni niczego nie wiedzą. Faktem pozostaje jednak, że będziesz musiał mieć właściwie zorganizowany dom, jeśli chcesz zatrzymać dzieci. To nie będzie łatwe, Bernardzie. Ja zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy.

- To bardzo miło z twojej strony, Tessa.

- Postanowiłam, że David nie dostanie ich w swoje ręce. - Kelner przyniósł dania. Tessa podniosła swój kieliszek i powiedziała: - Proszę mi dolać szampana. - Nachylając się przez stół do mnie dodała: - Od szampana, prawdziwego francuskiego, nie tyje się. Chodzę do zupełnie cudownego doktora, który przepisał mi dietę.

- Miło mi słyszeć te rewelacyjne nowości o szampanie - powiedziałem. - Jak wpływa na tuszę tani, czerwony, hiszpański cienkusz?

- Nie mów mi tylko, że ze wszystkim dasz sobie radę. Już słyszałam o tym. Ustalmy, że przyślę samochód w sobotę rano, żeby zabrał nianię i dzieci z domu twojej matki. George zawsze znajdzie jakiś samochód z salonu wystawowego i wolnego kierowcę.

- Dziękuję - powiedziałem. - Czy jest jeszcze coś, o czym chciałabyś ze mną porozmawiać?

- Nie, nie, nie - odparła. - Tylko o domu. Doprowadzę go do porządku. Daj mi tylko klucz od drzwi, wiem, że masz zapasowy w biurku w swoim biurze.

- Czy jest coś, o czym nie wiesz? - zapytałem.

Podniosła wzrok i wyciągnęła rękę dotykając palcami wierzchu mojej dłoni. Pod wpływem jej dotyku przeszedł mnie dreszcz. - Nie wiem wielu rzeczy, Bernardzie - powiedziała. - Wszystko jednak we właściwym czasie, dobrze?

ROZDZIAŁ XIII

Werner nie przybył o trzeciej. Nie otrzymał wiadomości od Dicky'ego przed obiadem. Samolot, którym miał odlecieć z Berlina-Tegel, miał jakąś awarię. Ponieważ dawne porozumienia określały, że w lotach między Berlinem a Niemcami Zachodnimi nie mogą kursować Niemieckie Linie Lotnicze, nastąpiło opóźnienie, spowodowane koniecznością sprowadzenia innego samolotu Brytyjskich Linii Lotniczych. W końcu, gdy samolot przybył do Londynu, Wenera nie było na pokładzie.

Werner nie przyleciał również następnego dnia. Zatelefonowałem do jego mieszkania w Berlinie-Dahlem, ale telefon nie odpowiadał.

Trzeciego dnia Dicky zaczął wyrażać swoje pogroźki i ponure podejrzenia. - Biuro w Berlinie wysłało samochód - powiedział płacząco. - Zarezerwowano dla niego bilet samolotowy, a kierowcy powierzono, aby przekazał mu sto funtów szterlingów. Gdzie, u diabła, podział się ten cholerny facet?

- Prawdopodobnie wszystko wkrótce się wyjaśni - odpowiedziałem.

- Lepiej będzie, jeśli nastąpi to szybko - powiedział Dicky. - Teraz już nawet deputowany D-G zaczął dopytywać się o Stinnesa. Co mam mu powiedzieć? Może ty mi powiesz, co? - Nie było to pytanie retoryczne; patrzył na mnie i czekał na odpowiedź. Gdy nie padła żadna, wyciągnął chustkę i przyłożył ją do oczu. Stał przez chwilę głęboko oddychając, jak gdyby przygotowywał się do kichnięcia, i w końcu wytarł nos. - Wciąż nie mogę pozbyć się przeziębienia - powiedział.

- Może najlepiej byłoby, gdybyś kilka dni posiedział w domu zasugerowałem.

Rzucił w moim kierunku podejrzliwe spojrzenie i powiedział: - Może do tego dojść. Zaczynam bać się, że mogę zarażać innych.

- Daj Wernerowi czas do końca tygodnia - zaproponowałem. - Potem, być może, będziemy zmuszeni ogłosić rodzaj pogotowia i uruchomić nasze kontakty, aby dowiedzieć się, gdzie on jest.

- Czy telefonowałeś do Franka Harringtona?

- Tak, dopiero co powrócił do Berlina. Werner nie jest jego agentem. Nie ma z nim kontaktu.

- Tylko z Zeną? - zapytał Dicky sarkastycznie. Taka złośliwa uwaga o wyższym urzędniku, o jego złym prowadzeniu się, była czymś niezwykłym. Zacząłem zastanawiać się, czy Dicky rzeczywiście nie ma gorączki.

Werner zatelefonował do mnie po południu, gdy właśnie miałem wyjść z biura. Całe piętro było prawie puste - Dicky poszedł do domu, Gloria Kent poszła do domu i moja sekretarka poszła do domu. Personel z centrali telefonicznej już połączył linie zewnętrzne z oficerem dyżurnym, lecz Werner, na szczęście, zatelefonował na mój prywatny numer. - Gdzie, u diabła, byłeś? - zapytałem go ze złością. - Mam na karku Dicky'ego, który przez ciebie zatruwa mi życie.

- Przykro mi - powiedział Werner. Potrafił wyrażać żal nie okazując skruchy. - Lepiej od razu tutaj przyjedź.

- Gdzie jesteś? W Berlinie?

- Nie, jestem w Anglii. W starym punkcie kontaktowym, z którego zwykleś korzystać... w tym niedaleko morza, koło Bosham.

- W Chichester? Co tam robisz, Werner? Dicky będzie wściekły. Nie mogę mówić. Korzystam z telefonu w pubie. Ktoś czeka w kolejce. Spotkamy się przed domem.

- To ponad sto kilometrów paskudnej drogi, Werner. Nienawidzę tej drogi. Jazda tam zajmie mi około godziny.

- Zatem do zobaczenia za godzinę. Pamiętasz, jak tam trafić?

- Do zobaczenia - powiedziałem bez entuzjazmu. Bosham, nazwa, którą Anglicy, jako część nieustannego spisku w zbijaniu z tropu cudzoziemców, wymawiają „Bozzam” jest skupiskiem małych willi, starych i nowych, stłoczonych na półwyspie między dwoma zatokami, do których wpadają wody z głębi łądu i razem łączą się z wodami Kanału. Są tu żaglowe łodzie, każdego kształtu i rozmiaru, żeglarskie szkoły i kluby. Są puby zagracone żeglarskimi rupieciami i zegary brzmiące dźwiękiem okrętowych dzwonów o godzinie zamykania. Hałaśliwi mężczyźni w marynarskich swetrach holują łodzie za samochodami. Punkt kontaktowy znajdował się niedaleko małego boshamskiego kościoła. Był to mały i przyjemny dom typu „dwa mieszkania na górze, dwa na dole”, ze świeżo pomalowanym, deskami wyłożonym frontem i jaskrawopomarańczową dachówką. Nawet w latach stagnacji w obrocie nieruchomościami, taki mały domek z widokiem na łodzie, a czasem nawet mignięciem wody pod nimi, zachowywał swoją wartość.

Lato minęło, lecz dzień był udany dla tych szczęśliwców, którzy spędzali go żeglując. Wiał teraz wiatr od łądu, gdy wysiadłem z samochodu, powietrze było lodowate i potrzebny był mi płaszcz, który rzuciłem na tylne siedzenie. Gdy przybyłem, zapadał zmierzch. Żółte światła domów odbijały się w wodzie, a na niektórych łodziach wciąż byli ludzie zwijający żagle, aby przedłużyć cudowny dzień. Werner czekał na mnie siedząc za kółkiem samochodu marki Rover 2000, zaparkowanego naprzeciwko wejścia do domu. Otworzyłem drzwi samochodu i usiadłem obok niego.

- Co się dzieje, Werner?

- Czarnoskóra dziewczyna... kobieta, powinienem powiedzieć. Z Indii Zachodnich. Była żoną amerykańskiego lotnika stacjonującego w Niemczech. Rozwiodła się. Mieszka w Monachium: bardzo aktywny pracownik polityczny, lubiąca wypowiadać swoje zdanie, komunistka. Od dwóch lat stała się bardzo cicha i bardzo poważna. Wiesz dlaczego?

- Została zwerbowana przez KGB?

- Na to wygląda. W zeszłym tygodniu przyjechała do Berlina na szkolenie. Pewnego wieczoru śledziłem Stinnesa, stwierdziwszy, że przez cały obiad spogląda na zegarek. Potem

śledziłem ją. Przyjechała tutaj. - Werner uśmiechnął się. Był harcerzem. Kochał całą zabawę związaną ze szpiegostwem w sposób, w jaki inni mężczyźni są opętani grą w golfa, kobietami czy kolekcjonowaniem znaczków pocztowych.

- Przypuszczam, że się spotkaliśmy - powiedziałem.

- Przyjechała tutaj - rzekł Werner.

- Do Anglii. Tak, wiem.

- Przyjechała tutaj - powtórzył Werner. Trzymał w ręce kluczyki od samochodu i stuknął nimi o kierownicę dla podkreślenia swoich słów. - Do tego domu.

- Jak to jest możliwe? To punkt kontaktowy Departamentu.

- Wiem - powiedział Werner. - Śledziłem ją aż tutaj i rozpoznałem miejsce. Wysłałeś mnie tutaj. To było dawno temu. Przyniosłem paczkę z dokumentami dla kogoś, kto był tutaj trzymany.

- Czy jest teraz w środku?

- Nie, odjechała.

- Czy próbowałeś się dostać do środka?

- Byłem wewnątrz. I wyszedłem. Tam, na górze jest ciało.

- Dziewczyny?

- Wygląda na ciało mężczyzny. Nie mogłem znaleźć głównego wyłącznika prądu. Nie można wiele dostrzec przy świetle latarki.

- Co za ciało?

- Okienne były zamknięte, nie przedostawało się więc światło dzienne, a nie chciałem deptać po domu wszędzie zostawiając ślady.

- Pójdźmy lepiej zobaczyć - powiedziałem. - Którędy dostałeś się przedtem?

- Przez okno kuchenne. Tam jest wszystko ubabrane, Bernardzie. Naprawdę ubabrane. Krew na podłodze. Obawiam się, że zostawiłem ślady butów. Krew na podłodze. Krew na ścianach. Krew na suficie..;

- Co się stało? Czy masz jakieś przypuszczenia?

- Wygląda na to, że ciało leży tam już od kilku dni. Rana postrzałowa. Strzał w głowę z broni szybkopalnej. Wiesz, co się stało.

- Przyjrzyjmy się temu lepiej - zaproponowałem. Wsiadłem z samochodu. Słyszałem podchmielonych wczasowiczów opuszczających pub znajdujący się w pobliżu i ich podniesione głosy, śpiewające piosenkę.

Jak Werner już zauważył, otwarcie kuchennego okna nie stanowiło trudności, moje przymusowe wejście nie było jednak demonstracją wprawy jak bym sobie tego życzył.

Werner nie skomentował tego, że moje buty pozostawiły błoto na zlewozmywaku, ani że łokciem strąciłem filiżankę do herbaty i byłem mu wdzięczny za jego opanowanie.

Wpuściłem Wenera przez frontowe drzwi i podszedłem do szafki pod schodami, żeby znaleźć skrzynkę z bezpiecznikami i włączyć światło. Niewiele się zmieniło od ostatniej mojej bytności tutaj. Mieszkał tu naukowiec z Niemiec Wschodnich przez cały rok akademicki. Przebywałem z nim, gdy przyszła moja kolej. By ulżyć niedoli internowania, zezwolono mu na kilka wycieczek żaglówką. Dom kojarzył mi się ze szczęśliwymi wspomnieniami. Do tego czasu jednak, kiedy trzymano tu dwóch rosyjskich oficerów sił powietrznych. Jeden z nich przypuszczalnie powrócił do ZSRR. Pomimo sposobu, w jaki wszyscy internowani byli tutaj przewożeni w zamkniętych pojazdach, zawsze istniała obawa, że adres zostanie spalony.

Oficjalnie, od kilku lat, dom nie był wykorzystywany przez uciekinierów, jednak był widoczny taki wkład wytrwałej, ciężkiej pracy w jego zagospodarowanie, że z pewnością planowano nadal z niego korzystać. Nie tylko elektryczność była wciąż podłączona i opłacana, ale dom był czysty i starannie utrzymany. Widać było ślady niedawnej bytności: porcelana na suszarce i artykuły spożywcze na półce.

Najpierw poszedłem na górę do frontowej sypialni. Otworzyłem drzwi i włączyłem światło. Wszystko było tak ubabrane, jak opisał Werner. Jasnozielona tapeta w kwiaty była zbryzgana krwią; sufit jeszcze bardziej, a na podłodze widniała lepka kałuża krwi. Wpływ powietrza odbarwił ją, nie była już jaskrawoczerwona lecz brązowa, a miejscami prawie czarna.

To był mały pokój, z pojedynczym łóżkiem wyglądającym jak sofa, dzięki luźno zwisającym narzutom i ułożonym poduszkom. W kącie stała toaleta z dużym lustrem, w którym odbijało się ciało mężczyzny rozciągnięte na tanim indyjskim dywanie. Został rzucony twarzą do przodu z małego kuchennego krzesła, na którym siedział. Krzesło było przewrócone, a na oparciu widniało surowe drzewo, gdzie kula odłupała dużą wyrwę.

- Czy rozpoznajesz go?

- Tak - powiedziałem. - To jeden z naszych ludzi, stażysta. Bystry dzieciak. Nazywał się Julian MacKenzie. - Światło padło na okrągły plastikowy krążek, który podniosłem z podłogi. Było to porysowane szkło od zegarka. Stwierdziłem, że pochodziło z jednej z moich starych omeg. Gdy przestała chodzić, włożyłem ją razem ze szkłem do koperty, lecz nigdy nie zaniósłem do naprawy. Zastanawiałem się, kto ją znalazł i gdzie.

- Czy wiedziałeś, że się tutaj wybierał? - zapytał Werner. Wyłączyłem światło i zamknąłem drzwi zostawiając za nimi martwe ciało. Zajrzałem do sąsiedniego pokoju. To

była również sypialnia z pojedynczym łóżkiem. - Pojedyncze łóżko - powiedziałem, żeby nie myśleć o ciele MacKenzie'ego. - Nikt by nie uwierzył, że jest to domek letniskowy. Te zawsze są zapchane łózkami.

W kącie stała toaleta, tym razem z porozrzucanymi kawałkami opakowań, śladami pudru i plamami rozlanych płynów. Na łóżku leżało duże plastikowe pudełko. Ostrożnie je otworzyłem i znalazłem wewnątrz komplet elektrycznych wałków do włosów. Zamknąłem wieko i wytarłem miejsca, których dotknąłem. W koszu na śmiecie znajdowała się kolekcja plastikowych butelek po szamponie, po kremie nawilżającym, po płynie do włosów, farbie do włosów oraz mnóstwo pozwijanych bibulek i kłębków waty. Jeszcze więcej śladów bytności znalazłem w łazience: długie włosy w wannie, gdzie ktoś, prawdopodobnie kobieta, mył włosy, i ręczniki rozwieszane na stojakach, aby mogły wyschnąć.

To prawda - powiedział Werner. - Nie przypomina to domku letniskowego, tylko punkt kontaktowy.

Zszedł za mną po schodach. Rozejrzałem się po kuchni.

- Czy stwierdziłeś, gdzie schowany jest alkohol, gdy byłeś tu za pierwszym razem?

- Nie ma alkoholu.

- Nie mów głupstw, Werner. Zawsze jest alkohol w punktach kontaktowych.

- Jakaś butelka stoi w lodówce. - Wziął krzesło i usiadł na nim okrakiem, łokciami opierając się o jego oparcie, a ręką podtrzymując swoją szeroką szczękę. Patrzył na mnie groźnie swoimi czarnymi oczami spod krzaczastych czarnych brwi marszcząc czoło w grymasie dezaprobaty. Czasami nie rzucało się w oczy, że jest mężczyzną roslym jak niedźwiedź, teraz jednak ze zgarbionymi plecami i szeroko rozstawionymi stopami wyglądał jak zapaśnik Sumo.

Przyglądał mi się, gdy szukałem szklanek w szafce i wyjmowałem z lodówki dużą, w kształcie czworoboka, zieloną butelkę - *Bokina oude jenever*. Nie miałem żadnych wątpliwości, że pochodziła z którejś z żeglarskich wypraw na holenderskie wybrzeże. Nalałem drinka dla siebie i dla Wenera. Początkowo machnięciem ręki pokazał, że dziękuje, lecz gdy napiłem się, podniósł szklankę i podejrzliwie wachając wypił odrobinę, a potem wykrzywił się.

- Biedny MacKenzie - powiedziałem. Nie usiadłem razem z nim. Obszedłem naokoło pokój z butelką i szklanką w ręce i przyglądałem się wszystkim obrazom, urządzeniom i meblom przypominając sobie okres, który tutaj spędziłem.

- Był stażystą. Nie nauczył się, kiedy należy się bać. Ciemnoskóra dziewczyna była ubrana jak pielęgniarka. Podwoziłem ją samochodem. Powiedziała, że spóźniła się do pracy.

Skierowała na mnie igłę strzykawki. Pasy krępowaly mi ruchy. Czulem się jak cholerny głupiec, Werner. Cóż jednak mogłem zrobić?

- Musiała spać w drugiej sypialni. W szafie znajduje się uniform pielęgniarski i pudełko z medycznym wyposażeniem; jest kilka strzykawek oraz tabletki, których nazwy są mi obce.

- Mówiła, że pochodzi z Jamajki. Wybrali ją prawdopodobnie dlatego, że miała brytyjski paszport. - Usiadłem i odstawiłem na stół szklankę z butelką.

- Tak, widziałem, jak przechodziła przez kontrolę paszportową przejściem dla posiadaczy paszportów Zjednoczonego Królestwa.

- Dlaczego ten dom, Werner? Jeśli jest agentką KGB, dlaczego ta kryjówka Departamentu? Mają własne swoje miejsca, domy, o których nie wiemy.

Werner skrzywił się, aby pokazać, że nie zna odpowiedzi.

- Wysłałem MacKenzie'ego, aby ją odnalazł.

- Wygląda na to, że udało mu się.

- Śledziłeś ją aż tutaj. Co potem?

- Wróciłem do Londynu. Zena była tam tylko przez dwa dni. Nie chciałem zostawiać jej samej. Denerwuje się, gdy zostaje sama.

- Jesteś cholernie dobrym agentem, Werner.

- Nie wiedziałem, że to takie ważne - powiedział. Zaczerwieniona twarz i złość w głosie wskazywały na zakłopotanie. - Skąd mogłem przypuszczać, że sprawa przybierze taki obrót?

- Jednak wróciłeś. Co wtedy?

- Samochód czarnoskórej dziewczyny odjechał. Zauważyłem forda fiestę zaparkowanego w pobliżu pubu. Był wyposażony w radiotelefon. Rozpoznałem aparaturę i antenę.

- MacKenzie. Nikt ze starszego personelu w dzisiejszych czasach nie używa standardowych urządzeń radiotelegraficznych. Zbyt rzuca się to w oczy.

- Wdrapałem się tu. Znalazłem ciało. Zatelefonowałem do ciebie. Koniec historii.

- Doceniam to, Werner.

- Sprytny chłopak, ten twój MacKenzie. W jaki sposób trafił na jej ślad? Co ona zrobiła, że poszedł za nią aż tutaj?

- Nie wiem, Werner.

- Nie zatelefonował do ciebie, żeby powiedzieć, co robi?

- Do czego zmierzasz?

- Twój MacKenzie był jednym z nich, nie sądzisz? To wytłumaczenie jedynie pasuje. Był pracownikiem KGB. Nic ci nie powiedział. Pomógł im zrobić to, co planowali, a potem czarnoskóra dziewczyna uciszyła go.

- To kusząca teoria, Werner, ale jej nie kupię. W każdym razie jeszcze nie teraz. Potrzebuję czegoś więcej, żeby uwierzyć, że MacKenzie był pracownikiem KGB.

- Jak więc trafił na ich ślad? Czy było to tylko szczęście?

- Widziałeś ciało na górze, Werner? Nie wygląda pięknie. Ty i ja widzieliśmy już mnóstwo takich rzeczy, ale wyszedłeś stamtąd odrobinę zielony, a ja musiałem się napić. Nie wydaje mi się, żeby zrobiła to kobieta. Strzela z rewolweru: bryzga krew. Towarzyszą temu krzyki i wrzaski śmiertelnie rannego mężczyzny. Widzi jego przedśmiertne męczarnie. Strzela ponownie, jeszcze więcej rozbryzgananej krwi. Potem znów. I znów. - Potarłem twarz. - Nie, nie sądzę, żeby kobieta mogła zrobić to w ten sposób.

- W takim razie nie wiesz zbyt wiele o kobietach - rzekł Werner z podnieceniem.

- Myślisz o zbrodni w afekcie. To nie jest jednak przypadek kobiety, która nakrywa w łóżku swojego kochanka z rywalką. To było morderstwo z zimną krwią. MacKenzie siedział na krześle na środku pokoju. Żadnego dowodu na seksualny motyw, łóżko nie było nawet wygniecione.

- Jeśli nie czarnoskóra kobieta, to kto?

- Tego nie zrobiła kobieta. To był mężczyzna, mężczyźni prawdopodobnie - grupa uderzeniowa KGB.

- Zabili jednego ze swoich własnych ludzi - powiedział Werner, zdecydowanie obstając przy swojej teorii.

- Jeśli KGB zwerbowało MacKenzie'ego w Cambridge i potem zdołał uzyskać pracę w Departamencie, trzymaliby go chroniąc i czekając, aż zdobędzie stanowisko dla siebie. Nie zabiliby go.

- Jeśli więc nie był agentem K.GB, jaki odkrył sekret, że musieli go zabić?

- MacKenzie nie był wielkim detektywem, Werner. Był tylko ostrym dzieciakiem ze wspaniałymi wynikami akademickimi. Nie był nawet byłym gliną, nie miał doświadczenia w prowadzeniu śledztwa, nie miał praktyki, był naturalny w sposób, w jaki ty jesteś naturalny. Z pewnością nie byłby w stanie wpaść na ślad doświadczanego agenta KGB, w domu będącym punktem kontaktowym. Został tutaj zwabiony, Werner. Ktoś naprowadził go na trop, za którym poszedł.

- Dlaczego?

- To był nasz punkt kontaktowy, Werner. Ściśle strzeżona tajemnica Departamentu. Dranie z KGB chcieli pokazać, jak są sprytni.

- I zabili stażystę, żeby natrzeć nam uszu? - Werner nie był przekonany. Napił się ginu przyglądając mu się potem, jakby z obawą, że może być zatruty.

- To ma dziwny smak - przeczytał nalepkę *Oude jenever*. - Nie przypomina prawdziwego sznapsa.

- Jałowcówka holenderska tak właśnie smakuje - powiedziałem. - Gdy tylko ją wymyślono, była stosowana jako lekarstwo.

- Trzeba być piekielnie chorym, żeby jej spróbować - stwierdził Werner odsuwając ją na bok. - Zbrodnia z premedytacją?

- Siedział na krześle ra środku pokoju, Werner. Jego oprawca znajdował się za nim. Pistolet trzymał na wysokości górnej części kręgosłupa. W ten sposób *Ochrana* wykonywała egzekucje na

00rewolucjonistach rosyjskich za czasów cara. W latach dwudziestych bieżącego stulecia czekiści polowali na „białych” Rosjan, którzy wyemigrowali do Paryża i Berlina. Niektórzy z nich zostali zabici w ten sposób. W czasie hiszpańskiej wojny domowej stalinowskie NKWD działało w Katalonii i wykonało w ten sposób wyroki na tuzinach trockistów.

- Dlaczego jednak uderzeniowa grupa KGB działała z taką ostentacją? W jakim celu przyjechała tutaj czarnoskóra dziewczyna?

- Zobaczyć się ze mną. A mówiąc dokładniej, widziała mnie już, zanim tu przysła.

- Po co miała się z tobą widzieć?

Zawahałem się nad odpowiedzią. Nalałem sobie ponownie ginu i trochę wypilem. Zawsze lubiłem ciekawy, słodowy smak holenderskiego ginu i teraz z wdzięcznością powitałem palące ciepło w moim żołądku.

- Musisz mi powiedzieć - rzekł Werner. - Obaj zbyt głęboko w tym siedzimy, abyśmy mogli mieć przed sobą tajemnice.

- Fiona przysłała wiadomość. Powiedziała, że pozwoli mi zatrzymać przez rok dzieci, ale chce, żebym zapobiegł skaperowaniu Stinnesa.

- Zapobiegł?

- Nie wiem, Werner. Staram się patrzeć na to z jej punktu widzenia. Próbuję odgadnąć, co może zrobić. Ona kocha dzieci, Werner, lecz pragnie wyrzucić wrażenie na nowych szefach. Oddała im całe swoje życie - karierę, rodzinę, małżeństwo. Więcej z siebie dała Moskwie niż kiedykolwiek dzieciom.

- Stinnes jest w to zamieszany - powiedział Werner. - Udzielał jej instrukcji. Widziałem ich razem.

- Nie wyciągajmy jeszcze wniosków. Może Stinnes nie został poinformowany o całym planie. Gdyby wiedzieli, że widuje się z tobą, gdy przebywa w Berlinie Zachodnim, prawdopodobnie trzymaliby go w ukryciu. - Poczuję się bardzo zmęczony. Również perspektywa jazdy z powrotem do Londynu nie była zachęcająca. Z pewnością Fiona musiała im zdradzić istnienie tego punktu kontaktowego... Co jeszcze im powiedziała? A co jeszcze mogła powiedzieć? MacKenzie leżał na górze nieżywy, a ja wciąż nie mogłem w to uwierzyć. Przez napięcie miałem skurczony żołądek i nawet alkohol nie rozluźnił mnie, ani nie usunął z moich ust zjełczałego smaku strachu.

Skoczyłem usłyszawszy nagły hałas na zewnątrz. Zerwałem się na równe nogi i słuchałem, lecz to tylko jeden z biesiadników potracił kosz na śmiecie. Usiadłem z powrotem i sączyłem drinka. Na chwilę zamknąłem oczy. Sen był tym, czego mi było potrzeba - a gdy przebudzę się, wszystko będzie wyglądać inaczej. MacKenzie będzie żył, a Fiona będzie czekała na mnie w domu z dziećmi.

- Nie możesz siedzieć tutaj przez całą noc opróżniając butelkę ginu, Bernardzie. Będziesz musiał zawiadomić o tym Departament.

- Kłopot polega na tym, Werner, że nie powiedziałem im nic o czarnej dziewczynie.

- Powiedziałeś przecież MacKenzie'emu, żeby ją odszukał.

- Nie był to rozkaz wydany drogą formalną.

- Jesteś cholernym głupcem, Bernie. - Wernerowi zawsze wydawało się, że lepiej ode mnie potrafiłby wykonać zadanie i od czasu do czasu zdarzało się coś, co podtrzymywało go w tym złudzeniu. - Cholernym głupcem.

- Teraz łatwo powiedzieć.

- Sam wpędzasz się w kłopoty. Dlaczego nie powiedziałeś im?

- Szedłem do biura z takim zamiarem. Bret jednak zaczął brzęczeć i był obecny Frank Harrington, który odgrywał rolę poważnego ojca. Zobojętniałem na wszystko.

- To jest morderstwo. Pracownik Departamentu w domu będącym punktem kontaktowym z udziałem KGB. Nie może być ci to obojętne, Bernardzie.

Spojrzałem na Wenera. Zwięźle opisał sytuację i w ten właśnie sposób planując operację z KGB niewątpliwie ją widzieli. Jedno, czego nie wzięli w rachubę, to to, że mogą uniknąć konsekwencji trzymając język za zębami.

- To nie wszystko - powiedziałem. - Ciemnoskóra dziewczyna kazała mi jechać na londyńskie lotnisko. Gdy się tam znalazłem, Fiona wsiadła z tyłu do samochodu. Nie

widziałem jej, ale to była ona, nie mam co do tego żadnej wątpliwości. Wszędzie rozpoznałbym jej głos. Polecenie związane z dziećmi otrzymałem bezpośrednio od niej. Czarnoskóra dziewczyna była razem z nią. Słyszała wszystko, o czym była mowa, dlatego przypuszczam, że odbywało się to za zgodą KGB.

Spodziewałem się, że Werner będzie równie jak ja zaskoczony, ale przyjął to bardzo spokojnie. - Domyśliłem się, że musiało być coś takiego.

- W jaki sposób?

- Widziałeś elektryczne wałki do włosów na górze. Wałki zmieniające sposób uczesania. Było także mnóstwo kosmetyków. Kosmetyków, których nie używałaby ciemnoskóra dziewczyna. I farby do włosów. Gdy nie zwróciłeś na nie uwagi, domyśliłem się, że wiesz o obecności drugiej kobiety. To musiała być Fiona. Przyjechała tutaj, żeby zakręcić włosy i zmienić ich kolor, aby nie zostać rozpoznaną.

- Masz całkiem nieźle poukładane w głowie, Werner - powiedziałem ze szczerym podziwem.

- Nie myślisz chyba poważnie, że będziesz w stanie zapobiec tym wynurzeniom w czasie przesłuchania związanego ze śmiercią MacKenzie'ego?

- Nie wiem, Werner. Spróbuję jednak. - Werner przyglądał mi się usiłując stwierdzić, czy jestem przestraszony. Bałem się panicznie, ale robiłem wszystko, co mogłem, aby to ukryć.

Miałem nadzieję, że Werner zmieni temat, on jednak przy nim trwał.

- Gdy MacKenzie dostał się tutaj, z pewnością rozpoznał Fionę. Był to wystarczający powód, żeby go zabić; nie chcieli, żeby to on zawiadomił o niej, chcieli, żebyś to ty zrobił. Czy, być może, chcieli, żebyś nic nie powiedział o niej, wtedy konsekwencje byłyby dla ciebie gorsze.

- To zbyt duża subtelność. KGB nie słynie z niej.

- Lepiej przemyśl to jeszcze raz - rzekł Werner. - Twoja żona pracuje dla nich, a to wszystko zmienia.

- Czy widzisz jakieś tego dowody?

- Bernie, ona wie, że nigdy nie nakłoni cię do zdrady, wobec czego nie marnuje czasu na próby. Zamiast tego robi kolejne doskonałe posunięcia przekonując Departament, że ty już zmieniłeś strony. W ten sposób usunie cię z operacji, a może nawet całkiem z Departamentu.

- Czy dlatego, że KGB widzi we mnie swojego najniebezpieczniejszego wroga? - zapytałem z ironią.

- Nie. Dlatego, że jesteś nim dla Fiony. Znasz ją lepiej niż ktokolwiek inny. Znasz sposób jej myślenia. Jesteś przeszkodą, jedyną osobą mogącą zrozumieć każdą jej decyzję.

Werner prawdopodobnie miał rację. Tak jak ja obawiałem się, w jaki sposób Fiona wykorzysta wiedzę o mnie przeciwko mnie, tak ona miała te same obawy, co ja mogę zrobić przeciwko niej. Problem polegał na tym, że podczas gdy nasze małżeństwo odsłoniło przed nią wszystkie moje słabości, mnie nauczyło jedynie, że ona sama nie ma żadnych. - Właśnie dlatego nie zamierzam zawiadomić o tym londyńskiej Centrali. Powiedzą, że to jest dowód na to, że wywierano na mnie nacisk i będą dopytywać się, w jakiej sprawie go wywierano, aż w końcu zmuszą mnie, abym powiedział im o spotkaniu z Fioną na lotnisku. Potem zawieszają mnie w obowiązkach na czas trwania śledztwa. - Nałożyłem nakrętkę na butelkę z ginem, wytarłem ślady, umyłem szklanki i odstawiłem je na miejsce. Musiałem coś zrobić; siedzenie tutaj i rozmawianie z Wernerem powodowało, że dostawałem drgawek. - Tym miejscem ktoś regularnie się zajmuje, przekonasz się. Znajdzie ciało i zamelduje o tym normalnymi kanałami. Tak będzie dużo lepiej, Werner.

Werner był jednak bezlitosny. - Zrobię jak będziesz uważał, Bernie. Sądzę, że powinieneś wrócić do Centrali i powiedzieć im o wszystkim.

- Czy zostawiłeś gdzieś jakieś ślady?

- W kilku miejscach, ale wiem, w których.

- Spójrz na to - powiedziałem podnosząc szkiełko od zegarka. - Jakiś drań podłożył je na gorze obok ciała, żeby zostało znalezione przez oficera prowadzącego dochodzenie.

- Widziałem, jak to podniosłeś. Czy to jest twoje? Skinąłem głową i z powrotem włożyłem je do kieszeni. - Usuńmy ślady i wynośmy się stąd. Co myślisz o tym, żeby jutro rano lecieć do Berlina. Czy to by ci odpowiadało? Dla mnie będzie to właściwa pora, żeby znaleźć się z dala od biura.

Werner spojrzał na mnie i skinął głową. Często narzekałem na Dicky'ego, który z powodu najdrobniejszego kłopotu nie zjawiał się w biurze. Sposób, w jaki ja uciekałem przed problemami, obrażał poczucie obowiązku Wenera.

- Co jeszcze? - spytał podejrzliwie. - Widzę, że jest coś jeszcze. Równie dobrze możesz powiedzieć mi od razu. - Masował policzek próbując zachować czujność.

Niełatwo ukryć jakiegokolwiek myśli przed Wernerem. - Centrala w Londynie chce z powrotem wciągnąć ciebie na listę płac. Dziesięć tysięcy funtów szterlingów na rachunek, w regularnych miesięcznych płatnościach plus pokrycie wydatków. Rachunek jest prosty, Werner.

Kamienna twarz Wenera zmieniała wyraz na nieodgadniony, który zwykł nosić, gdy nie chciał, aby ktokolwiek odkrył, że jest szczęśliwy.

- I?

- Chcą, żebyś zrobił krótki wypad na Wschód i przekonał się, czego można dowiedzieć się o Stinnesie.

- Na przykład?

- O jego małżeństwie; czy rzeczywiście jest zagrożone? Jaką cieszy się reputacją? Czy pominięto go w awansie, czy to tylko wymyślona historia?

- Czy to wszystko? - zapytał Werner z ciężką ironią. Wyraz jego twarzy bardzo się teraz zmieniał, poruszał ustami, żeby je zwilżyć, jakby stały się nagle suche na myśl o ryzyku.

- Czy Centrala londyńska udzieliła jakichkolwiek wskazówek na temat, w jaki sposób powinienem odkryć wszystkie intymne sekrety KGB? To nie baza amerykańska w dzień wizyt. Oficerowie nie będą wręczać napisanych na maszynie przepustek ani zdjęć z połyskiem, które można powielić bez opłaty, ani map z wojskowymi urządzeniami na wypadek, gdyby odwiedzający się zgubili. - Pociągnął duży łyk ginu. Potrzeba przewyciężyła smakową awersję.

Nie mogłem się z nim sprzeczać. Wiedział więcej ode mnie o trudnościach w tej pracy, a obaj wiedzieliśmy nieskończenie więcej od pracowników londyńskiej Centrali, a także to, kto zamierza podpisać meldunek i zebrać zaszczyty. - Rób co możesz - powiedziałem. - Weź pieniądze i zrób, co będziesz w stanie.

- Chyba niewiele - rzekł Werner.

- Pieniądze też będą niewielkie - powiedziałem. - Nie rób więc niczego głupiego. - Werner opróżnił szklankę i zrobił pewną siebie minę. Wiedział, że jestem przerażony.

ROZDZIAŁ XIV

Jechałem z powrotem do Londynu słuchając Ingrid Haebler, która grała koncert fortepianowy Mozarta. Nastawiłem odtwarzacz samochodowy bardzo głośno próbując oderwać się od myśli i teorii wirujących bez końca w moim mózgu. Gdybym był mniej zmęczony i mniej pochłonięty myślą o śmierci MacKenzie'ego, przedsięwziąłbym stosowne środki ostrożności wchodząc do domu. To, co powinno być ostrzeżeniem dla każdego człowieka: odsłonięta dziurka od klucza i częściowo nie domknięta kłapa od skrzynki na listy, nie zostało przeze mnie zarejestrowane. Wszedłem frontowymi drzwiami i spostrzegłem, że na parterze wszystkie światła były zapalone.

Przeszedłem przez hall. Nikogo nie było w salonie. Pchnąłem więc drzwi do kuchni i cofnąłem się. W mroku niewielkiej spizarni znajdującej się za kuchnią majaczyła postać. Dotknąłem uchwyty pistoletu znajdującego się w kieszeni.

- Kto tutaj jest?

- Bernard, kochanie. Nie byłem pewna czy jesteś w domu, czy cię nie ma.

- Tessa, jak się tutaj dostałaś?

- Dałeś mi klucz do drzwi, Bernardzie. Z pewnością pamiętasz.

- Oczywiście.

- Wkładam zamrożoną zupę i filety z ryb do zamrażarki, kochanie. Twoje dzieci jutro wracają do domu. Czyżbyś o tym zapomniał? - Mówiła przez ramię. Widziałem ją wyraźniej w cieniu spizarni. Długie włosy opadały jej na twarz, gdy nachylała się nad zamrażarką. Ciemny sufit błyszczał jak firmament odbijając refleksy brylantów na jej palcach. Otaczał ją „dym” zmrożonego powietrza.

- Nie - odpowiedziałem. - Zapomniałem jednak. - Rozmawiałam przez telefon z nianią. Jest dobrą dziewczyną, potrzebuje jednak czymś karmić dzieci. Nie chciałbyś, żeby chodziła na zakupy zostawiając je same w domu. Nie będzie też ich ciągną ze sobą.

- To bardzo miło z twojej strony, Tessa.

Włożyła na miejsce ostatnie opakowania i zatrzasnęła pokrywę zamrażarki. - Co byś powiedział na drinka? - zapytała. Klasnęła w dłonie strzepując kryształowy lód. Była ubrana w luźną, zapinaną na guziki sukienkę z naturalnego jedwabiu, pod którą błyszczała różowa bluzka harmonizująca wspaniale z jej jasnymi włosami.

- Na co masz ochotę, Tessa?

- Zdaje się, że widziałam butelkę szampana w lodówce? A może trzymasz go na *tete-a-tete* z przepiękną Glorią?

- Wiadomości szybko rozprzestrzeniają się - - powiedziałem zdejmując płaszcz i wyjmując kieliszki oraz butelkę szampana. Do kubelka wrzuciłem zawartość pojemnika na lód i napelniwszy go wodą, wstawiłem butelkę.

- To tak wytwornie mieć odpowiedni kubek na lód - rzekła Tessa. - Czy mówiłam ci, że George kupił jeden z solidnego srebra i ktoś go zwinął.

- Ukradł? Kto?

- Nie dowiedziałam się nigdy, kochanie. Wydawaliśmy przyjęcie dla biznesmenów zajmujących się samochodami. Jakiś drań ukradł go. Zastanawiam się, czy wiedział, że był srebrny, czy ukradł go dla kawału. Słyszałam wszystko o tym egzotycznym stworzeniu, które przyprowadziłeś z sobą do Cruyerów. Byłam na kawie z Daphne.

- Z Daphne Cruyer? Myślałem, że ty i Daphne... To znaczy, myślałem...

- Mów dalej, kochany Bernardzie. Sądziłeś, że ja i Daphne powinnyśmy sobie skakać do gardła od czasu, kiedy miałam mały wyskok z dandysem Dickym?

- Tak - powiedziałem, całą moją uwagę poświęcając korkowi od szampana. Po pewnych trudnościach otworzyłem go z hukiem rozlewając, nim zdążyłem napełnić kieliszki.

Daphne nie jest taka, kochanie. Daphne jest uroczą osobą. Nigdy bym tego nie zrobiła, gdybym przypuszczała, że to mogłoby ją zranić.

- A nie zraniło?

- Oczywiście, że nie. Gwiżdże na to.

- Dlaczego gwiżdże na to, że miałaś romans z Dickym?

- Romans. Jak romantycznie. Tylko, że to nie był romans, kochanie. Nikt nie zdołałby przeżyć romansu z Dickym, ponieważ ma nieprzemijający romans z samym sobą. Która kobieta mogłaby konkurować z pierwszą i jedyną jego miłością.

- Czym więc to było? - Podałem jej kieliszek.

- Zachcianka, kaprys, nagła fantazja. Wszystko skończyło się po kilku tygodniach.

- Fiona twierdziła, że trwało to blisko trzy miesiące.

- Wcale nie.

- Fiona miała niezłą pamięć do takich rzeczy. Jestem pewien, że trwało to trzy miesiące.

- Zgoda, trzy miesiące. I co z tego. Czy to długo? Nie wierzę, żeby Daphne się tym niepokoiła. Wiedziała, że nie zamierzam z nim uciec. Czy możesz sobie wyobrazić mnie uciekającą z Dickym? Teraz Daphne trzyma go pod pantoflem.

- Naprawdę?

- Oczywiście, kochanie. Czuje się winny jak diabli i powinien się tak czuć. Nie wie, jak w ostatnim okresie przypodobać się Daphne, kupuje jej nawet kwiaty. Umm, wyborny szampan... Mówiłam ci, że mój lekarz przepisał mi specjalną dietę - mnóstwo szampana z wykluczeniem innych alkoholi oraz cukru i tłuszczu. - Okręciła butelkę, aby przyjrzeć się nalepce. - *Bollinger* i to dobry rocznik. Mój ulubiony szampan. Stajesz się ekstrawagancki. Czy to ma coś wspólnego z Glorią?

- Wolałbym, żebyś zamilkła na temat Glorii - powiedziałem. - Ta butelka *Bollingera* pochodzi ze skrzynki, którą nam podarowałaś jako prezent gwiazdkowy.

- Jaka jestem niemądra - powiedziała Tessa. - Jak bardzo, bardzo niedelikatna.

- To było bardzo miłe z twojej strony, Tessa. Dziękuję za przyniesienie jedzenia dla dzieci. - Wzniosłem i wychyliłem na jej cześć toast.

- To jeszcze nie wszystko - powiedziała Tessa, która czuła, jak dziecko, potrzebę nagradzania. - Wysprzątałam ich pokoje, przyniosłam trochę nowych zabawek i posłałam łóżka w prześcieradła z wydrukowanymi smokami ziejącymi ogniem. Poduszki też. Powinieneś je zobaczyć, Bernardzie. Żałuję, że nie sprzedają takich w dużych rozmiarach, na łóżka dorosłych. Smoki - uwielbiałabym je w moim łóżku, a ty nie, kochanie?

- Jeśli mowa o łóżku...

- Czy trzymam cię, Bernardzie? Wyglądasz na bardzo zmęczonego. Przepraszam, że przyszedłam tutaj za późno, ale nie mogłam zawieść mojego partnera brydzowego. Graliśmy aż do przeszło jedenastej. Jest on właścicielem hurtowni z mrożoną żywnością, gdzie zrobiłam zakupy. Włożył to z tyłu swojego samochodu. Wszystko było obłożone suchym lodem. Nie musisz się obawiać.

- Niczego się nie obawiam.

- Czy mogę prosić jeszcze odrobinę szampana? - Dolała sobie nie czekając na odpowiedź. - O, jeszcze jest mnóstwo. Dolać ci trochę? Zaraz naprawdę muszę iść do domu.

- Dzięki, Tessa, proszę.

Piliśmy oboje, gdy nagle, jak gdyby widząc mnie po raz pierwszy, powiedziała: - Wyglądasz całkiem upiornie.

- Pracowałem. Co masz na myśli?

Wciąż patrzyła na mnie. - Wyglądasz na chorego, kochanie. Zmieniłeś się. Gdybym nie widziała tego na własne oczy, nie uwierzyłabym. W ciągu kilku zaledwie dni postarzałeś się o dziesięć lat. Czy jesteś chory? Poważnie, mój drogi. Wyglądasz strasznie. Nie miałeś wypadku samochodowego? Nie przejechałeś kogoś, czy nie przydarzyło ci się coś złego?

- Oczywiście, że nie.

- George miał poważny wypadek kilka dni temu i pamiętam, że całkiem osiwiiał przez jedną noc. Wyglądał dokładnie tak jak ty - był zielony. Ty też jesteś zielony i postarzałeś się.

Podniosłem butelkę szampana i powiedziałem: - Jeśli mamy ją skończyć, możemy równie dobrze zrobić to na siedząco i porozmawiać wygodnie. - Skierowałem się do salonu, włączyłem światło i usiedliśmy. Powiedziałem: - Jestem po prostu zmęczony, to wszystko.

- Rozumiem. Cała ta historia z Fioną musiała być czymś absolutnie wstrząsającym dla ciebie. A teraz ojciec, który w sprawie dzieci zachowuje się jak skończony łajdak; masz prawo mieć już tego wszystkiego dość. Pieniądze muszą być również dla ciebie problemem. Ojciec twierdzi, że sprzedajesz dom. Ale ty nie sprzedajesz, prawda?

Tessa wyglądała również na zmęczoną, w każdym razie nie była w tak dobrej formie, jak zwykle. Opadające włosy zakryły jej twarz, jak gdyby chciała się za nimi ukryć; wyglądała jak dziecko chowające się za firanką podczas zabawy w chowanego.

- Na razie nie.

- Zatrzymaj go, Bernardzie. Ojciec twierdzi, że jest zbyt duży. Jest słodkim, małym domem, w którym masz zarówno bawialnię, jak i sypialnię dla dzieci. Gdyby niania nie miała tak dużej sypialni, zajęłaby również pokój dzienny.

- Twój **ojciec** twierdzi, że dom jest za duży, gdyż chce zabrać dzieci do Leith Hill.

- Wiem. Powiedziałam mu, że to głupi pomysł. - Na chwilę twarz jej się skurczyła i zastanawiałem się, czy nie zacznie płakać. Przycisnęła jednak kciuki do twarzy i opanowała się. - Nigdy nie znosił hałasu, jaki robią dzieci; czy możesz wyobrazić go sobie bawiącego się z nimi albo czytającego im przed snem?

- Nie - powiedziałem.

- Chce mieć dzieci jako ozdobę. Tak jak swoje różne rodzaje broni w hallu czy śmieszoną bibliotekę wypełnioną kosztownymi pierwszymi wydaniem, do których zagląda tylko wtedy, gdy sprowadza rzeczoznawcę, aby odnowić ubezpieczenie. Wyrusza potem do klubu, aby opowiedzieć wszystkim, jaką cudowną zrobił inwestycję.

- Sądzę, że ma również wiele zalet - powiedziałem, bardziej z powodu zmartwienia, jakie okazywała, niż żeby jakiegokolwiek przyszyły mi na myśl.

- Trzyma je starannie ukryte - rzekła i roześmiała się zrzucając z siebie nagle brzemię smutku. Zerwała się na nogi sięgając po butelkę szampana i nim wróciła na kanapę napełniła swój i mój kieliszek. Zrzuciła pantofle i opierając się na łokciu o oparcie, podwinęła pod siebie nogi.

- Chcesz zatelefonować do George'a? - zaproponowałem. - Czy wie, gdzie jesteś?

- Odpowiedź brzmi nie, na obydwa pytania - powiedziała. - Na kolejne - nie obchodzi go to.

- Czy sprawy między tobą a George'em układają się dobrze?

- George nie kocha mnie już. Nienawidzi mnie. Szuka sposobu, żeby się mnie pozbyć i móc zająć kimś innym.

- Czy ma kogoś innego? Czy ma romans?

- Nigdy nie można być pewnym. Seks jest jak zbrodnia. Tylko jeden procent to motywacja, a dziewięćdziesiąt dziewięć to okazja. - Napłała się trochę wina.

- Nie mogę go winić. Byłam najgorszą żoną ze wszystkich żon. George chciał zawsze mieć dzieci. - Zaczęła szperać w torbie w poszukiwaniu chustki. - Och, nie bądź taki

zaniepokojony, Bernardzie. Nie zamierzam zacząć szlochać ani robić czegoś w tym rodzaju. - Wbrew tym zapewnieniom mazała oczy i wszystko świadczyło o tym, że właśnie to robi. - Dlaczego wysłałam za niego za męża?

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Poprosił mnie o rękę. To proste.- Jestem pewien, że zrobiło to także wielu innych mężczyzn.

- George poprosił mnie w momencie, kiedy czułam się niedowartościowana. W chwili, w której nagle zapragnęłam wyjść za męża. Nie zrozumiesz tego; mężczyźni nigdy tego nie przeżywają. Mężczyźni żenią się dla spokoju i wygody. Nigdy nie czują się przerażeni z powodu niebycia żonatym, tak jak to czasem zdarza się kobietom.

Czułem się zakłopotany intensywnością jej uczuć. - Skąd wiesz, że George ma kogoś? Czy powiedział ci o tym?

- Żonie nie trzeba tego mówić. To jasne, że mnie nie kocha. Ma kogoś innego; oczywiście, że ma. - Przetarła oczy chustką, nim podniosła na mnie wzrok. Mrugnęła i dzielnie próbowała się uśmiechnąć. - Zabiera ją do Południowej Afryki.

- Kobiety zawsze są skłonne wyobrazać sobie mężczyzn z innymi kobietami - powiedziałam. - Jeśli nie wspominał o innej kobiecie, jest prawdopodobne, że w ogóle taka nie istnieje.

- George mógł znieciernić wszystkie kobiety. Czy to masz na myśli? Być może George chce jedynie odrobinę spokoju i ciszy z dala ode mnie? Z dala od wszystkich kobiet? Pijąc i śmiejąc się z przyjaciółmi zajmującymi się interesami.

Dokładnie tak właśnie myślałem. - Nie - powiedziałam. - Oczywiście, że nie. George jest jednak bardzo pochłonięty swoją pracą. Zawsze był, wiesz o tym. Również gospodarka nie znajduje się w takim okresie wzrostu, jak każdy życzyłby sobie. Być może musi dokonać w związku z tym wielu przemyśleń.

- Wy mężczyźni zawsze trzymacie się razem.

- Słabo znam George'a, zawsze robił jednak na mnie wrażenie przyzwoitego chłopca. Nieźle jednak sobie z nim pogrywałaś, Tessa. To musiało nie być łatwe dla niego. Nie byłaś zbyt dyskretna ze swoimi romansami, prawda?

- Gdybyś był na miejscu George'a, możliwość przebywania w Afryce Południowej, kilka tysięcy kilometrów ode mnie, byłaby dla ciebie cudowną okazją... I z pewnością nie taką, żebyś miał zabierać ze sobą żonę. Kobiety są wszędzie, prawda? Możesz je wynająć na godzinę. Lub na tuziny. Kobiety dostępne są od Arktyki po Pacyfik, od Persji do Pekinu.

- Kobiety można mieć wszędzie - powiedziałem. - Jednak małżeństwa, te umiarkowanie szczęśliwe, są czymś szczególnie rzadkim.

- Byłam głupia, Bernardzie. George był zawsze dobrym mężem. Nigdy nie robił problemów z pieniędzmi i aż do ostatniego tygodnia nie pomyślałam, że mógłby być z inną kobietą.

- Co zdarzyło się w zeszłym tygodniu?

- Czy mówiłam ci, że był we Włoszech, w fabryce Ferrari? Bywał już tam przedtem i znałam hotel, w którym zawsze się zatrzymywał. Zatelefonowałam więc i zapytałam się, czy zastałam panią Kosiński. Dziewczyna z recepcji odpowiedziała, że pana i pani Kosiński nie ma w pokoju, że jest tylko gentleman zajmujący drugą sypialnię w apartamencie i czy mam ochotę z nim rozmawiać, czy zostawić wiadomość.

- Czy rozmawiałaś z „nim”?

- Nie, przeraziłam się i odłożyłam słuchawkę.

- Kto był tym drugim mężczyzną?

- Ktoś z fabryki, albo główny dyrektor George’a. Czasami razem z nim podróżuje.

- Czy przycisnęłaś o to George’a?

- Zrobiłam test. Wybiera się do Południowej Afryki w związku z interesami. Nigdy tam nie byłam, więc powiedziałam, że pojedę razem z nim. Dziwnie spojrział na mnie i stwierdził, że nie może zmienić zarządzeń i że pojedzie sam.

- Czy to wszystko?

- Pojedzie z kobietą. Z pewnością, to oczywiste. Zabierze ją z sobą do Afryki Południowej.

- On często jeździ w podróże służbowe. Czy chcesz powiedzieć, że zawsze zabiera z sobą kobiety?

- Nie wiem. Prawie nigdy nie jeździłam z nim. Zawsze nudziło mnie spotkanie tych wszystkich sprzedawców samochodowych. Byłam dostatecznie zła, gdy przyprowadzał ich do domu - wszyscy mówili o datach dostaw, projektach reklamowych i wielkości zysku. O samych samochodach nie rozmawiali nigdy, chyba że był to zjazd kierowców albo Grand Prix. Czy byłeś kiedyś na wyścigach samochodowych, Bernardzie?

- Nie sądzę. Nie przypominam sobie.

- Wobec tego na pewno nie byłeś. Ponieważ gdybyś był, nigdy byś tego nie zapomniał. Któregoś roku George zabrał mnie do Monte Carlo. Miała to być przyjemność. George wynajmuje apartament w Hotel de Paris; w Monte Carlo mieszkała moja koleżanka ze szkoły ze swoją rodziną. Otóż, Bernardzie, gdy zatelefonowałam do niej, jej służąca

powiedziała mi, że zawsze opuszcza miasto z rodziną, gdy odbywa się wyścig. Ponieważ hałas jest ogłuszający i trwa nieprzerwanie dzień i noc. Bez końca, kochanie. Owinęłam głowę poduszką i wrzeszczałam.

- Nie przebywałaś chyba w hotelu przez cały wyścig?

- Nie jestem kompletnie głupia, Bernardzie. George miał najlepsze miejsca, jakie są osiągalne. Po dziesięciu minutach wyścigu nie można jednak było powiedzieć, który z nieszczęsnych samochodów znajduje się z przodu, a który z tyłu. Wszystko, co można było zobaczyć, to te cuchnące małe maszyny przejeżdżające obok, duszące wyziewem spalin oraz ogłuszające hałasem. Gdy chciało się wrócić do hotelu, na drodze stali policjanci z Monaco, najgłupszy goryle na świecie. Wyścig był dla nich wielką okazją, aby krzyżeć, wrzeszczeć i popychać; i w pełni z niej korzystali. Nigdy tam nie jedź, Bernardzie. To jest całkowicie upiorne.

- Rozumiem, że była to ostatnia podróż służbowa, którą odbyłaś z George'em?

- Zgadłeś, kochanie. - Spojrzała na mnie. Miała bardzo duże oczy i bardzo błękitne.

- A teraz jesteś przekonana, że George znalazł damę, która lubi spaliny i hałas, a siły policyjne Monaco uważa za czarujące.

- Na to wygląda, nie sądzisz? Moja matka zawsze powtarzała, że wszędzie winnam z nim jeździć. Mama nigdy nie spuszcza Davida z oczu. Nie podobało się jej, że pozwalałam George'owi wszędzie jeździć samemu. Tak zawsze zaczynają się kłopoty, twierdziła moja matka. - Tessa zakryła twarz rękami i płakała próbując się opanować. Współczułem jej. Chociaż płacz był bardzo teatralny, dostrzegłem, że za nieopanowaniem małej kobiety kryje się prawdziwe strapienie.

- To jeszcze nie koniec świata, Tessa.

- Nie mam nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić - powiedziała szlochając. - Jesteś jedyną osobą, z którą mogę porozmawiać teraz, kiedy Fi odeszła.

- Masz tysiące przyjaciół.

- Wymień chociaż jednego.

- Nie bądź głuptasem. Masz tak wielu przyjaciół.

- Czy w tak delikatny sposób chcesz powiedzieć - kochanków? Kochankowie nie są przyjaciółmi. W każdym razie nie moi kochankowie. Mężczyźni w moim życiu nigdy nie byli przyjaciółmi. Moje przygody miłosne były żartami... uczniowskimi żartami. Głupie kaprysy, których nikt poważnie nie traktował. Uścisk, objęcie, kilka godzin między prześcieradłami w bardzo drogim pokoju hotelowym. Spędzenie weekendu w wiejskim domu, u dziwnych ludzi, których prawie nie znałam. Namiętne uściski w narciarskich domach i szybkie przytulanki w

zaparkowanych samochodach. Olbrzymie podniecenie szaleńczej miłości, a potem nagły koniec. Wiemy, że to nigdy się nie skończy, prawda? Żegnaj, kochanie i nie oglądaj się za siebie.

- Zawsze sprawiałaś wrażenie takiej szczęśliwej, Tessa.

- Byłam, kochanie. Szczęśliwa, ufna Tessa, pełna radości i zawsze żartująca ze swoich spraw sercowych... Wtedy jednak miałam George'a, do którego wracałam do domu. A teraz go nie mam.

- Co masz na myśli?

- Nie bądź taki przerażony, Bernardzie. Nie mam niczego na myśli, kochanie. Nie zamierzam wprowadzić się do ciebie. Powinieneś zobaczyć swoją twarz.

- Nie o to mi chodzi. Jeśli opuścisz George'a, zawsze możesz mieć do dyspozycji pokój za kuchnią. Jest w nim łóżko, gdyż korzystaliśmy z niego, gdy moja matka zostawała na noc. Nie jest zbyt wygodny.

- Oczywiście, że nie jest wygodny, kochanie. To pokój dla matek pozostających na noc. Jest to okropny, ciemny, mały pokój, który doskonale nadawałby się dla szwagierki, żeby przypadkiem nie pozostała zbyt długo. - Poświęciła całą swoją uwagę bąbelkom unoszącym się nad szampanem i przesunęła opuszką palca w dół kieliszka znacząc linię na wilgotnej powierzchni.

- Wygląda na to, że zamierzasz rozczulać się nad sobą?

- Tak, kochanie. Dlaczego miałabym tego nie robić? Mój mąż już mnie nie chce, a jedyny mężczyzna, którego kocham, spogląda co chwila na swój śliczny nowy zegarek i ziewa.

- Wracaj do domu i powiedz George'owi, że go kochasz - powiedziałem. - Zobaczysz, że wszystko szczęśliwie się wyjaśni.

- To ty z pewnością jesteś panią Samotne Serce. Czytam twoją rubrykę co tydzień.

Wyjąłem butelkę z wiaderka i podzieliłem resztkę szampana między nasze kieliszki. Na moje ramię spłynęła z butelki woda z lodem. Uśmiechnęła się. Tym razem był to bardziej przekonujący uśmiech. - Zawsze cię uwielbiałam, Bernardzie. Wiesz o tym, prawda?

- Porozmawiamy o tym kiedy indziej, Tessa. A tymczasem, jak uważasz, czy mam cię odwiedzić do domu, czy zatelefonować po taksówkę?

- Nie mają alkoholu w klubie brydżowym, jest to najgorsza jego wada. Jestem trzeźwa jak sędzia. Pojadę do domu i zostawię cię w spokoju.

- Porozmawiaj z George'em. Wam dwojgu uda się dojść do porozumienia.

- Jesteś kochany - powiedziała. Pomogłem jej włożyć zamszowy płaszcz, a ona pocałowała mnie. - Jesteś jedyną osobą, z którą mogę porozmawiać. - Uśmiechnęła się. - Będę tutaj, gdy przybędzie niania. Idź do pracy. Nie musisz się martwić.

- Lecę do Berlina jutro rano.

- To paskudnie z twojej strony, Bernardzie. Nie będzie cię w domu, aby powitać dzieci. - Nie, nie będzie mnie.

- Nie martw się. Pójdę do *Gloriette*, naprzeciwko *Harrodsa* i przyniosę im wspaniały tort czekoladowy z „Całusami od taty” wypisanymi na wierzchu i powiem, jak bardzo jest ci przykro, że musiałeś wyjechać.

- Dzięki, Tessa.

Otworzyłem drzwi wejściowe, ale nie wyszła. Odwróciła się do mnie i powiedziała: - Którejś nocy śniła mi się Fiona. Telefonowała do mnie we śnie, a ja zapytałam ją, czy dzwoni z Rosji, odpowiedziała, że to nie jest istotne. Czy kiedyś śniła ci się, Bernardzie?

- Nie - powiedziałem.

- Mój sen był taki żywy. Powiedziała, żebym spotkała się z nią na lotnisku. Miałam nikomu o tym nie mówić. Chciała, żebym przyniosła jej kilka zdjęć.

- Zdjęć?

- Zdjęć waszych dzieci. Gdy się nad tym zastanowić, to takie głupie. Fiona musiała zabrać ze sobą zdjęcia, gdy odchodziła. We śnie rozpaczliwie chciała je mieć. Śniło mi się, że krzyczała w słuchawkę w sposób, w jaki robiła to gdy byłyśmy dziećmi, a ona nie mogła dostać tego, co chciała. - Obudź się - wrzeszczała. To był taki głupi sen, lecz mnie zupełnie rozstroił. Chciała także twoje zdjęcia.

- Co? Moje zdjęcia?

- To był tylko sen, kochanie. Och, twoje zdjęcia zostawiła u mnie kilka miesięcy temu. Zapomniała któregoś wieczora zabrać je ze sobą. Zdjęcia zrobione ostatnio; przypuszczam, że paszportowe. Bardzo nieciekawe i portrety dzieci. Czy to nie dziwne, że nieraz śnią się takie głupie, nic nie znaczące sny?

- Które wejście?

- O co chodzi?

- We śnie. Przy którym wejściu miałyście się spotkać na lotnisku?

- Przy wejściu drugim. Nie denerwuj się tym, Bernardzie. Gdybym wiedziała, że tak zareagujesz, nie wspominałabym o tym. Wyobraź sobie, jaka ja byłam zdenerwowana. Było wczesnie rano i śniło mi się, że odebrałam telefon, a telefonista zapytał mnie, czy zgadzam się ponieść koszty rozmowy z Bosham. Zastanawiam się, z jak głębokich i ciemnych zakątków

moich komórek mózgowych wyłowili Bosham? Nigdy tam nie byłam. - Roześmiała się. - George był strasznie zły, gdy obudziłam go i wszystko opowiedziałam. - Gdyby telefon rzeczywiście dzwonił, usłyszałbym go, a nie słyszałem - powiedział. Wtedy zdałam sobie sprawę, że to tylko mi się śniło. Chociaż często się zdarza, że telefon dzwoni, a George go nie słyszy, szczególnie gdy wraca z klubu po sporej dawce alkoholu, tak jak tamtej nocy.

- Spróbuj zapomnieć o tym - powiedziałem. - To nic nadzwyczajnego mieć takie dziwne sny po tym, co się wydarzyło.

Skinęła głową, a ja objąłem ją ramieniem. Zdrada siostry głęboko ją dotknęła. Dla niej, tak jak i dla mnie, była to zdrada osobista wymagająca gruntownego przeanalizowania całych wzajemnych stosunków. Chyba domyśliła się o czym myślałem, gdyż spojrzała na mnie, uśmiechnęła się jakby myśląc o sekrecie, który oboje dzieliliśmy.

- Zapomnij o tym - powtórzyłem raz jeszcze. Nie chciałem, żeby Tessa się martwiła, a z praktycznego punktu widzenia nie chciałem, żeby zadzwoniła do centrali telefonicznej, aby sprawdzić, czy rzeczywiście miała miejsce rozmowa z Bosham. Doprowadziłoby to jedynie do pytań, których chciałem uniknąć. Śledziłem rozumowanie Fiony: rozmowa na koszt odbiorcy nie zostanie wykazana w rachunku telefonicznym domu w Bosham, zamiesza natomiast w całą sprawę jej siostrę.

Pocałowałem jeszcze raz Tessę mówiąc, żeby uważała na siebie. Nie podobało mi się to, że Fiona chciała mieć moje zdjęcia paszportowe. Nie po to były jej potrzebne, żeby postawić je koło łóżka.

Patrzyłem, jak Tessa wsiadła do swojego srebrnego VW. Otworzyła szybę, żeby przesłać mi całusa. Kilkakrotnie zapalające się światła i migające kierunkowskazy, gdy cofała samochód z niewielkiego parkingu, obudziły we mnie wątpliwości, czy powiedziała prawdę o niedostępności alkoholu w jej klubie brydżowym.

Kiedy poszedłem na górę do łóżka, miałem przed oczami obraz MacKenzie'ego rozciągniętego na podłodze z mózgiem rozbryzganym na tapecie ściennej. Był to rodzaj halucynacji. Przez moment, póki nie włączyłem światła w sypialni, jego wizerunek był bardziej jasny i bardziej realny niż w rzeczywistości. To był szok, alkohol, zmęczenie i obawa. Biedny, mały drań, pomyślałem. Wysłałem go na śmierć. Gdyby był doświadczonym agentem, być może nie czułbym się tak winny, MacKenzie był jednak prawie dzieckiem i nowicjuszem w rozgrywkach szpiegowskich. Gdy byłem gotowy, aby położyć się spać, nagle zacząłem odczuwać opóźnioną reakcję, z którą moje ciało zwlekało i zwlekało. Trząśłem się w sposób niekontrolowany. Nie chciałem przyznać tego, nawet przed samym sobą, ale byłem przerażony. Obraz MacKenzie'ego rozmazywał się i stawał się moim obrazem, a moje

poczucie winy przeradzało się w strach. Gdyż strach jest czymś wielce niepożądanym i przychodzi jedynie w przebraniu, a tym najbardziej ulubionym jest poczucie winy.

ROZDZIAŁ XV

Kiedyś dom Lisi Hennig wydawał mi się gigantyczny. Gdy byłem dzieckiem, każdy marmurowy stopień wielkich schodów był górą. Wdzieranie się na szczyty wymagało wysiłku przekraczającego moje możliwości i potrzebowałem chwili odpoczynku po każdym zdobytym wierzchołku. Teraz tym samym były dla Frau Lisi Hennig. Mierzyła się ze schodami tylko wtedy, gdy była w swojej najlepszej formie. Obserwowałem ją, jak metr po metrze posuwa się w stronę „salonu”, by zająć miejsce na olbrzymim połączanym tronie, wymoszczonym aksamitnymi poduszkami, aby jej artretyczne kolana nie obciążone były nadmiernym wysiłkiem. Była stara, ale ufarbowane na brąz włosy, duże oczy i ładne rysy jej pomarszczonej twarzy czyniły jej wiek nieodgadnionym.

- Bernd - powiedziała używając imienia, którym nazywano mnie w mojej berlińskiej szkole. - Bernd. Postaw moje kule za fotelem, żebym mogła je znaleźć, gdy będą mi potrzebne. Nie wiesz, co to znaczy być unieruchomionym. Bez kul jestem więźniem w tym cholernym krześle.

- Już je tam postawiłem - powiedziałem.

- Pocałuj mnie. Pocałuj mnie - rzekła rozdrażniona. - Czy zapomniałeś *Tante* Lisi? Oraz to, jak zwykłam huścić cię w moich ramionach?

Pocałowałem ją. Od trzech dni byłem w Berlinie czekając na powrót Wernera z „krótkiego rekonesansu” w sektorze wschodnim, każdego dnia jednak Lisi witała mnie jak po długiej nieobecności.

- Mam ochotę na herbatę - rzekła Lisi. - Odszukaj tę wstrętną dziewczynę Klarę i każ jej przynieść herbatę. Zamów też dla siebie, jeśli chcesz. - Zawsze przybierała ten sam autokratyczny, nie znoszący sprzeciwu ton. Rozejrzała się wokół, żeby upewnić się, że wszystko jest na właściwym miejscu. Matka Lisi wybrała te ręcznie rzeźbione dębowe meble i żyrandol, który w 1945 r. był ukryty w komórce na węgłach. Za czasów dzieciństwa Lisi wewnątrz tego pokoju złagodzone było koronkami i haftami, stosownie do miejsca, w którym kobiety odpoczywały po obiedzie, a w którym teraz mieściła się recepcja hotelowa. W tym salone matka Lisi podawała berlińskim damom popołudniową herbatę. W piękne, letnie dni otwierano duże okna balkonowe, przez które można było podziwiać gwardię przyboczną Kajzera Aleksandra, gdy maszerując wracała do swoich baraków.

Lisi pierwsza nazwała to miejsce salonem i przyjmowała tutaj najbardziej obiecujących berlińskich architektów, malarzy, poetów, pisarzy i niektórych polityków

nazistowskich. Nie mówiąc już o siedmiu kolarzach z Pałacu Sportu należących do brunatnych koszul, którzy przybyli pewnego popołudnia z tancerkami erotycznymi z jednego z bardziej znanych miejskich *Tanzbars* i hałaśliwie gonili je po domu, w poszukiwaniu wolnych sypialni. Wciąż były tu dawne znakomite osobistości, które przyczyniły się do tego, że w Berlinie lata dwudzieste były złotymi latami. Tłoczyły się na ścianach salonu uśmiechając się i spoglądając w dół ze zdjęć o tonacji ciemnobrązowej, zdjęć podpisanych zamasyście, z pasją, która była wyrazem lekkomyślnej dekady poprzedzającej Trzecią Rzeszę.

Lisi ubrana była w zielony jedwab, który kaskadą spływał w dół jej wielkiego, bezkształtnego ciała i opadał na małe, spiczaste, sznurowane z przodu buty. - Co robisz dziś wieczorem? - zapytała. Klara, „wstrętna dziewczyna”, która miała blisko sześćdziesiątki i od dwudziestu lat pracowała dla Lisi, zajrzała do pokoju. Skinęła w moim kierunku i uśmiechnęła się nerwowo dając do zrozumienia, że słyszała polecenie Lisi dotyczące herbaty.

- Muszę zobaczyć się z Wernerem - powiedziałem.

- Miałam nadzieję, że zagrasz w karty - rzekła. Rozcierała obolałe kolano uśmiechając się do mnie.

- Bardzo bym chciał, Lisi - powiedziałem. - Muszę się jednak z nim zobaczyć.

- Nie znosisz grać w karty ze swoją starą *Tante* Lisi. Wiem, wiem. - Podniosła wzrok i gdy światło padło na nią, dostrzegłem sztuczne rzęsy oraz warstwy różu i pudru, które zwykła nakładać na twarz w dni, w które wychodziła z domu. - Uczyłam cię grać w brydża. Miałeś wtedy zaledwie dziewięć lat. Uwielbiałeś tę grę.

- Uwielbiałbym i teraz - zaprotestowałem nieszczerze.- Jest miły, młody Anglik, z którym chcę cię poznać i przyjdzie stary Herr Koch.

- Gdybym tylko nie musiał się spotkać z Wernerem, naprawdę z przyjemnością spędziłbym z wami wieczór. - Uśmiechnęła się ponuro. Wiedziała, że nie cierpię gry w karty. Perspektywa „bardzo miłego, młodego Anglika” rywalizowała jedynie z pomysłem spędzenia wieczoru słuchając, często powtarzanych, wspomnień starego pana Kocha.

- Z Wernerem? - wykrzyknęła Lisi, jakby nagle sobie przypominając. - Jest wiadomość dla ciebie. Wenera zatrzymały sprawy i nie może się z tobą spotkać dziś wieczorem. Zatelefonuje jutro rano. - Uśmiechnęła się. - To nie ma znaczenia, *Liebchen*. *Tante* Lisi nie będzie trzymać cię za słowo. Wiem, że masz bardziej interesujące rzeczy do roboty niż granie w karty z brzydką, starą, dotkniętą kalectwem kobietą jak ja.

To był gem, set i mecz dla Lisi. - Będę czwartym - powiedziałem z tak dużym wdziękiem, na jaki mogłem się zdobyć. - Skąd telefonował Werner?

- *Wundervoll* - powiedziała Lisi uśmiechając się szeroko. - Skąd telefonował, kochanie? A skąd miałabym wiedzieć? - Przypuszczam, że domyślała się, że Werner był w sektorze wschodnim, ale nie chciała się do tego przyznać, nawet przed samą sobą. Jak wielu innych rdzennych berlińczyków starała się nie pamiętać, że jej własne miasto jest teraz małą wyspą na środku komunistycznego morza. Wyrażała się o komunistycznym świecie w formie dowcipów, w półprawdach, eufemizmach, w taki sam sposób jak trzysta lat wcześniej wiedeńczycy nie przyjmowali do wiadomości oblężenia tureckiego. - Ty nie rozumiesz licytacji - powiedziała Lisi. - Dlatego nigdy nie będziesz dobrym brydżystą.

- Jestem wystarczająco dobry - rzekłem. Głupio było z mojej strony obrażać się na jej uwagę, tym bardziej że nie miałem żadnych ambicji w tym kierunku. Dotknęło mnie jednak, że ta stara kobieta zdołała usidlić mnie na wieczór brydżowy używając tych samych, wypróbowanych metod, które stosowała, gdy byłem dzieckiem.

- Rozchmurz się, Bernardzie - powiedziała. - Tutaj masz herbatę. Wierzę, że znajdzie się również ciastko. Cytryna niepotrzebna, Klaro, pijemy na sposób angielski. - Wątpi Klara postawiła tacę na stole i zajęła się rytuałem zestawiania talerzy, widelczyków, filiżanek, spodków i srebrnej czary, wewnątrz której znajdowało się cedzidło z herbatą. - A oto mój nowy angielski przyjaciel - powiedziała Lisi - ten, o którym ci mówiłam. Jeszcze jedna filiżanka ze spodkiem, Klaro.

Odwrociłem się, żeby zobaczyć mężczyznę, który wchodził do salonu. Był to kumpel z czasów akademickich Dicky'ego, którego poznałem w Mexico City. Trudno było pomylić z kimś innym tego wysokiego, chudego Anglika z brązowymi, prawie rudymi włosami, przyczesanymi gładko przy głowie. Jego twarz w kształcie serca wciąż nosiła ślady bezlitosnego słońca meksykańskiego. Rudą karnację podkreślały miejscami piegi, które w połączeniu z jego niezdarnością sprawiały, że wyglądał młodziej niż na swoje trzydzieści osiem lat. Miał na sobie szare flanelowe ubranie sportowe i niebieski blezer z dużymi, dekoracyjnymi guzikami oraz emblematem jakiegoś klubu krykietowego na kieszeni. - Bernard Samson - powiedział. Wyciągnął rękę. - Jestem Henry Tiptree, pamiętasz? - Uścisk jego dłoni był energiczny, lecz dyskretny, w rodzaju tych, jakie dyplomaci i politycy wymieniają przechodząc przez długi szereg gości. - Co za szczęście, że znalazłem cię tutaj, zeszedł nocy rozmawiałem z gościem o nazwisku Harrington. Twierdzi, że wiesz więcej o tym nadzwyczajnym mieście niż dziesięciu innych ludzi. - Miał głos człowieka wykształconego, gardłowy i przenikliwy. Rodzaj głosu, który BBC angażuje do odczytania wiadomości wieczornych, gdy umiera ktoś bardzo ważny. - Nadz...dzzdzwyczajne miasto - powtórzył jak gdyby ćwicząc. Tym razem przeciągał głoskę jeszcze dłużej.

- Myślałem, że pracujesz w Mexico City.

- *Und guten Tag, gnadige Frau* - powiedział do Lisi, która nagle zmarszczyła brwi koncentrując uwagę, aby zrozumieć nagły atak angielszczyzny. Henry Tiptree pochylił się, aby ucałować ozdobioną klejnotami dłoń, którą do niego wyciągnęła. Następnie skłonił się ponownie i uśmiechnął z ponurym wdziękiem, jaki prezentują barytoni w musicalach Hollywoodu o starym Wiedniu. Odwrócił się do mnie. - Myślałeś, że przebywam w Mexico City. Faktycznie tam pracowałem. Jednak gdy jest się przez kilka lat w służbie dyplomatycznej, można przyzwyczać się do myśli, że osoby, które ostatnio robiły kurs języka koreańskiego w Seulu, spotkasz w ambasadzie w Paryżu, gdzie będą pracować jako oficerowie w biurze informacyjnym. - W zamyśleniu podrapał się po nosie. - Jakiś guru w Departamencie personalnym uznał, że mój szkolny niemiecki jest właśnie tym, co jest potrzebne, aby dołączyć mnie do was na nieokreślony czas. Żadnych wyjaśnień, żadnych przeprosin, bez okresu przygotowawczego. Szast prast, i jestem tutaj.- Prawdziwa niespodzianka - powiedziałem. - Sądzę, że będziemy razem grać w karty dziś wieczorem.

- Tak się cieszę, że przyłączysz się do nas - rzekł Henry sprawiając wrażenie autentycznie zadowolonego. - To jest to, co nazywam prawdziwym Berlinem. Piękna i wykształcona Frau Hennig i ten świetny gość, Koch, o którym wszystko pani mi opowiedziała. To są ludzie, których ma się ochotę spotkać, a nie gołowąsy bez obciążeń dobijający się do drzwi każdej naszej ambasady.

Lisi uśmiechała się; na tyle rozumiała angielski, aby wiedzieć, że jest piękna i wykształcona. Klepnęła mnie w ramię. - Włóż marynarkę i krawat, dobrze, *Liebcheril* Dlatego, żeby sprawić przyjemność starej ciotce Lisi. Chociaż raz bądź w ładnym garniturze, tym, który zawsze nosisz, gdy idziesz na spotkanie z Frankiem Harringtonem. - Lisi wiedziała jak zrobić ze mnie ostatniego głupca. Spojrzałem na Tiptree; uśmiechał się.

* * *

Graliśmy w karty w gabinecie Lisi, w małym pokoju przepelnionym jej skarbami. Tutaj sporządzała rachunki i przyjmowała pieniądze od gości. W kredensie ozdobionym chińskimi ornamentami trzymała butelkę sherry. Tutaj też znajdował się groteskowy, w oprawie z połączanego brązu zegar, ze swoimi tańczącymi aniołami i skrzydlatymi smokami, który słychać było czasami w całym domu, jak we wczesnych godzinach rannych wydzwaniał kuranty. Nad kominkiem wisiał portret Kajzera Wilhelma, wokół którego jaśniejszy odcień tapety wskazywał, że to miejsce zajmowało większe, podpisane zdjęcie Adolfa Hitlera, przez okres dekady, która skończyła się w momencie, gdy dom rodzinny stał się hotelem.

- Karty należy dobrze potasować - powiedziała Lisi żalonym głosem układając przed sobą kilka ocalałych żetonów, za które płaciliśmy po pięćdziesiąt fenigów za każdy. Przegrana Lisi z pewnością nie była większa od ceny butelki sherry, którą prawie wypiliśmy, ale ona nie lubiła przegrywać. Pod tym względem, a także pod wieloma innymi, była typową berlinką.

Czworo nas siedziało wokół okrągłego, mahoniowego, trójnożnego stołu, przy którym Lisi zwykła jadać śniadania. Cztery krzesła, również z mahoniu, miały przepięknie wyrzeźbione w weneckim stylu figury na oparciach; tylko tyle pozostało z szesnastu krzeseł jadalni, które matka Lisi tak bardzo pielęgnowała. Lisi opowiadała o europejskich rodzinach królewskich oraz o działalności społecznej ich ocalałych członków. Pomimo to, że często opowiadała się jako zwolenniczka agnostycyzmu, była oddana monarchii i przekonana o boskich prawach królów.

Obecny Lothar Koch rozpoczął jedną ze swoich długich opowieści. - O czym to ja mówiłem - zapytał nie potrafiąc tasować kart i mówić równocześnie.

- Opowiadał nam pan o najciekawszym tajnym raporcie dotyczącym buntu Holendrów - odpowiedział Henry.

- A tak - przypomniał sobie. Lothar Koch był małym, staroświeckim człowiekiem o ciemnych, zatrwożonych oczach i nosie o wiele za dużym na małej, posępnej twarzy. Nosił na ręce duży złoty zegarek Rolexa i lubił zakładać na wieczór krawaty w kropki. Kosztownie wyglądający garnitur był na niego zbyt obszerny. Lisi twierdziła, że był szyty nim stracił wagę, a teraz Lothar odmawiał kupna nowej odzieży. - Jestem zbyt stary, aby nabywać nowe garnitury - powiedział do Lisi, gdy obchodził swoje siedemdziesiąte urodziny, w garniturze już zbyt luźnym. Teraz miał osiemdziesiąt pięć lat i kurcząc się nadal, nie kupował nowych ubrań. Lisi powiedziała, że przestał kupować płaszcze w wieku sześćdziesięciu lat. - *Ja, ja, ja.* Były zamieszki w Amsterdamie. Tak to się zaczęło. Był rok 1941. Brandt przyszedł do mojego biura wkrótce po zamieszkach.

- Rudolf Brandt - wyjaśniła Lisi - sekretarz Heinricha Himmlera.

- Tak - powiedział Koch. Spojrzał na mnie, aby upewnić się, że słucham. Wiedział, że już słyszałem wszystkie te historie i że moja uwaga może nie być skupiona.

- Rudolf Brandt - potwierdziłem. - Sekretarz Heinricha Himmlera. Tak, oczywiście.

Upewniwszy się, że słucham z uwagą, Koch kontynuował:

- Pamiętam, jak gdyby to było wczoraj. Brandt rzucił na moje biurko raport. Był w żółtej obwolucie i zawierał czterdzieści trzy strony maszynopisu. Spójrz, do czego teraz doszedł ten głupiec Bormann.

Miał na myśli Hitlera, ale to Bormanna zwykło się winić za wszystko. To prawda, że Bormann podpisał każdą stronę, lecz stał wtedy na czele partii Kanclerza i nie odgrywał żadnej politycznej roli. Był to z pewnością pomysł Fihrera i Brandt lepiej o tym wiedział niż ktokolwiek inny. Bezpieczniej było winić Bormanna, nikt nie ośmielił się powiedzieć słowa przeciwko Fthrerowi.

- Co to jest? - zapytałem. Miałem dostatecznie dużo swoich własnych dokumentów do czytania, nie szukałem więc kolejnego raportu, żeby zająć sobie wieczór. - Wszyscy mieszkańcy Holandii mają być przesiedleni do Polski.

- Dobry Boże - powiedział Henry... Pociągnął łyk sherry, a potem wytarł usta papierową serwetką reklamującą *Konig Pilsner*. Lisi dostała je za darmo.

Tiptree przebrał się. Być może z powodu uwag Lisi dotyczących ubioru, skierowanych do mnie; ubrany był w białą koszulę, szkolny krawat i ciemnoszary, wełniany garnitur w rodzaju tych, które dawane są naprawdę oddanym urzędnikom przez któryś z wydziałów w Biurze Spraw Zagranicznych.

- Tak - powiedziała lojalnie Lisi. Słyszała tę opowieść więcej razy ode mnie.

- Osiem i pół miliona ludzi. Najpierw trzy miliony obejmujące tych „nieprzejdanych”, co w żargonie nazistowskim określało wszystkich tych, którzy nie byli nazistami i nie mieli nimi zostać. W tej liczbie mieli się znaleźć ogrodnicy, farmerzy i wszyscy z praktyką i doświadczeniem rolniczym. Mieli być wysłani do Galicji i tam stworzyć ekonomiczną bazę dla wspomżenia pozostałych Holendrów, którzy mieli przybyć później.

- Co mu pan powiedział? - zapytał Henry. Chwycił węzeł krawata między palec wskazujący a kciuk i potrząsał nim, jak gdyby próbował odzepić małe prądkowane zwierzę, które dusiło go za gardło.

Koch spojrział na mnie. Zdawał sobie sprawę, że należę do „nieprzejdanej” części słuchaczy. - Cóż więc mu pan powiedział, panie Koch? - zapytałem.

Odwrócił spojrzenie. Moje nagłe zainteresowanie nie przekonało go, że słucham, jednak, pomimo to, kontynuował dalej. - Jak możemy takim nieprawdopodobnym wysiłkiem obciążyć *Reichs-bakrit* - zapytałem. Rozumiecie, że w stosunku do tych ludzi bezsensowne było odwoływanie się do moralnych aspektów.

- To było bardzo mądre - rzekł Henry.

- Wehrmacht przygotowywał się do ataku na ZSRR - powiedział Koch. - Był ogrom pracy... szczególnie w zakresie rozkładu pociągów, dostaw z fabryk i tak dalej. Poszedłem natychmiast tego popołudnia spotkać się z Kerstenem. Było deszczowo, a ja wybrałem się bez

płaszczka oraz bez parasola. Dokładnie to pamiętam. Na Friedrichstrasse był duży ruch i nim dotarłem do mojego biura, przemokłem do suchej nitki.

- Felix Kersten był osobistym medycznym doradcą Heinricha Himmlera - wyjaśniła Lisi.

Koch mówił dalej. - Kersten był obywatelem fińskim, urodzonym w Estonii. Był doktorem, lecz równocześnie wyjątkowo wprawnym masażystą. Przed wojną żył w Holandii i opiekował się królewską rodziną. Himmler uważał go za geniusza w dziedzinie medycyny. Kersten miał wiele sympatii dla Holendrów i wiedziałem, że wysłucha mnie.

- Dlaczego nie rozdaje pan kart? - zapytałem. Koch popatrzył na mnie i skinął głową. Obaj wiedzieliśmy, że jeśli będzie próbował to zrobić kontynuując równocześnie opowieść, niechybnie pomyli się w liczeniu.

- Co za fascynująca historia - rzekł Henry. - Co powiedział Kersten?

- Słuchał, lecz niczego nie skomentował - powiedział Koch uderzając brzegiem talii o powierzchnię stołu. - W późniejszych swoich wspomnieniach twierdził, że to jego osobista interwencja uratowała Holendrów. Himmler cierpiał na ostry skurcz żołądka i Kersten ostrzegł go, że taki rozległy projekt jak przesiedlenie całej holenderskiej społeczności może nie tylko przekraczać zdolności kolei niemieckich, ale w momencie, gdy Himmler będzie za niego odpowiedzialny, może również oznaczać kompletne załamanie się jego zdrowia.

- Zrezygnowali z projektu? - zapytał Henry. Był cudownym słuchaczem i pan Koch rozkoszował się uwagą, którą mu poświęcano.

Rozsypał karty i upadły z odgłosem przypominającym krótką strzelaninę z odległego MG42. Uśmiechnął się i powiedział: - Himmler przekonał Hitlera, żeby zaczekał z tym do okresu powojennego. W tym czasie nasze armie walczyły w Jugosławii i Grecji. Wiedziałem, że nie ma szans, aby to kiedykolwiek się stało.

- To zupełnie nadzwyczajne - rzekł Henry. - Powinien pan zostać odznaczony medalem.

- Pan już otrzymał medal - powiedziałem. - Prawda, panie Koch?

Koch ponownie rozsypał karty i mruczając przytaknął.

- Pan Koch otrzymał *Dienstauszeichnung*, prawda, panie Koch?

Uśmiechnął się do mnie zmieszany, pozbawionym radości uśmiechem. - Tak, otrzymałem, Bernd. - Zwrócił się do Henry'ego. - Bernd uważa za zabawne to, że dostałem nagrodę nazistowską za długą służbę, gdyż byłem dziesięć lat w partii nazistowskiej. Lecz doskonale wie - podniesionym palcem kiwał w moim kierunku - moja praca i mój stopień w

Ministerstwie Spraw Wewnętrznych wymagały bezwzględnego wstąpienia do partii. Nigdy nie byłem aktywnym działaczem partii, każdy o tym wie.

- Pan Koch był nieprzejednany - powiedziałem.

- Jesteś człowiekiem siejącym niezgodę, Bernd - stwierdził pan Koch. - Gdybym nie był tak bliskim przyjacielem twojego ojca, pogniewałbym się za pewne rzeczy, które powiedziałeś.

- Żartuję tylko, Lothar - rzekłem. W rzeczywistości pozostałem nadal pewny, że Lothar Koch był oddanym nazistą czytającym co wieczór przed snem rozdział z *Mein Kampf*. Zawsze jednak bardzo uprzejmie odpowiadał na moje uwagi i podziwiałem go za to.

- Co ma znaczyć to „Bernd”, Samson? - zapytał Henry marszcząc ze zdziwieniem swoje łuszczące się, czerwone czoło. - Nie jesteś przecież Niemcem, prawda?

- Czasami - odpowiedziałem - czuję się tak, jakbym nim był.

- Ta kobieta powinna otrzymać medal - powiedział nagle Koch. Wskazywał Lisi Hennig. - Na piętrze ukryła rodzinę Żydów. Ukrywała ją przez trzy lata. Czy wiecie, co by się stało, gdyby odkryło to gestapo? - Pan Koch przejechał palcem wskazującym w poprzek gardła. - Poszłaby do obozu koncentracyjnego. Byłaś szalonym głuptasem, droga Lisi.

- Wszyscy byliśmy szalonymi głupcami, w ten albo w inny sposób - rzekła Lisi. - To był czas szalonej głupoty.

- Czy sąsiedzi wiedzieli, że pani ich ukrywa? - zapytał Tiptree.

- Wiedziała cała ulica - odparł Koch. - Matka ukrywanej rodziny była jej kucharką.

- Pewnego razu musieliśmy wepchnąć ją do lodówki - powiedziała Lisi. - Była tak przerażona, że walczyła. - Uduszę się - wrzeszczała. - Uduszę się. Lecz pomoc kuchenna, olbrzymia kobieta, Panie świeć nad jej duszą, pomogła mi; wyjęliśmy całą żywność na stół, a na jej miejsce upchnęliśmy panią Volkmann.

- Przyszli gestapowcy i przeszukiwali dom - powiedział pan Koch.

- Było ich trzech - rzekła Lisi. - Podskakujący, mali mężczyźni. Zabrałam ich do baru.

W celu poszukiwań.

- A co z kobietą w lodówce? - zapytał Henry.

- Kiedy poziom sznapsa obniżył się do połowy butelki, zdecydowałam, że bezpiecznie można już ją wyprowadzić. Czują się dobrze. Dałyśmy jej butelkę z ciepłą wodą i zapakowałyśmy do łóżka.

- To była matka Wenera - powiedziała Lisi do mnie.

- Wiem, Lisi - rzekłem. - Byłaś bardzo dzielna.

Często po partiach brydża Lisi oferowała nam drinki w domu, lecz tym razem pozwoliła, aby każdy zapłacił za siebie. Myślę, że dotkliwie odczuła to, że mój niewprawy brydż przyniósł mi pięć marek, podczas gdy ona straciła trzy. Była w jednym ze swoich drażliwych nastrojów i narzekała na wszystko, począwszy od bólu w nodze, skończywszy na podatkach za alkohol. Byłem zadowolony, że postanowiła iść wcześniej do łóżka. Wiedziałem, że nie będzie mogła zasnąć. Będzie czytać gazety i prawdopodobnie puszczać stare płyty aż do późnych godzin nocnych. Pożegnaliśmy się z nią, a wkrótce potem Lothar Koch zatelefonował po taksówkę i odjechał.

Henry Tiptree sprawiał wrażenie, że zależy mu, aby przedłużyć ten wieczór, odpowiadałem chętnie na jego pytania, a na stole przed nami stała butelka brandy. - Nadzwyczajny starszy pan - powiedział Henry, gdy Koch powiedział dobranoc i chwiejnym krokiem zszedł po schodach do czekającej taksówki.

- Wszystko widział - rzekłem.

- Czy rzeczywiście musiał zostać nazistą dlatego, że pracował w Ministerstwie?

- Ponieważ był nazistą, dostał pracę w Ministerstwie. Do 1933 roku pracował w recepcji w *Kaiserhof*. Był to hotel, z którego często korzystał Hitler. Lothar znał większość nazistowskich grubych ryb. Niektórzy przychodzili ze swoimi przyjaciółkami i wkrótce rozeszła się wiadomość, że jeśli jest potrzebny na godzinę pokój, Lothar noszący odznakę partyjną w klapie marynarki jest właściwym urzędnikiem, do którego należy się zwrócić.

- Czy za to otrzymał pracę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych?

- Nie wiem, czy to był jedyny powód, pracę jednak dostał. Nie było to oczywiście żadne wysokie stanowisko, jak teraz utrzymuje. Był tam jednak i miał uszy szeroko otwarte. Przymykał natomiast oczy na ukrywanie rodziców Wenera przez Lisi.

- Czy jego opowiadania są prawdziwe?

- Tak. Lothar ma jednak skłonność do zmiany obsady i w jego opowieściach dubler gra główną rolę.

Henry przyglądał mi się wnikliwie, nim zdecydował się roześmiać... - Cha, cha. Na Boga, to jest właśnie prawdziwy Berlin. Biuro chciało ulokować mnie u Kempnińskiego lub we wspomniałym, nowym hotelu *Steingenberger*, twój przyjaciel Harrington powiedział, żebym jednak zamieszkał tutaj. Tam poznasz prawdziwy Berlin, mówił. I na Boga, miał rację.- Czy nie masz nic przeciwko temu, żebym dolał sobie odrobinę brandy?

- Och, pozwól mi to zrobić. - Nalał mi obfitą miarkę i jedynie kapeczkę sobie. - Domyślałem się, że jesteś tutaj, żeby wykonać z Dickim jakąś cholerną robotę w dziedzinie tropienia szpiegów?

- Pomyliłeś się dwukrotnie - powiedziałem. - Dicky śpi bezpiecznie otulony w swoim łóżku w Londynie, a ja jestem tutaj, żeby zebrać torbę dokumentów, które zawiozę do Londynu. Tak naprawdę, to jest zajęcie dla kuriera, ale mamy nieustanne niedobory personelu.

- Do diabła - rzekł Henry. - A ja tłumaczyłem sobie niepokój, który przez cały wieczór malował się na twojej twarzy tym, że denerwujesz się jakimś biedakiem przedzierającym się niedaleko stąd przez druty kolczaste. - Roześmiał się i wypił trochę brandy. Z pokoju Lisi dobiegła mnie jedna z jej ulubionych melodii. Płyta była porysowana i przekazywała stłumione dźwięki.

...Nikt tutaj nie może pokochać mnie i zrozumieć, Och, jakie historie o szczęściu wszyscy bezlitośnie mi opowiadają...

- Przykro mi, że cię rozczarowałem - powiedziałem.

- Czy nie możemy pójść na kompromis? - zapytał wesoło Henry. - Czy nie możesz przyznać, że jest chociaż jeden James Bond, który nadstawia karku pomiędzy Ruskimi?

- Jest, prawdopodobnie - odpowiedziałem. - Tylko że nikt mi o nim nie mówił.

- Cha, cha! - roześmiał się Henry i napił się brandy. Początkowo pił bardzo wstrzemięźliwie, teraz jednak trochę zrezygnował z ostrożności.

- Powiedz mi, co tutaj robisz - powiedziałem.

- Co tutaj robię? W rzeczy samej. To długa historia, drogi chłopie.

- Powiedz bez względu na to. - Spojrzałem na zegarek. Było późno. Zastanawiałem się, skąd telefonował Werner. Był samochodem ze wschodnioniemiecką rejestracją. To zawsze komplikuje sprawę; nie może przywieźć go na Zachód. Planował wrócić przez strefę rosyjską, autostradą, która biegnie od Helmstedt. Nigdy nie lubiłem tej metody; autostrada była regularnie kontrolowana, aby zapobiec spotkaniom Niemców z Niemiec Wschodnich z tymi z Zachodu, przejeżdżających tą drogą tranzytem. Zorganizowałbym spotkanie, aby ktoś czekał w określonym miejscu o umówionej porze. Teraz jednak nie miałem pojęcia, gdzie Werner jest i nie mogłem nic zrobić, żeby mu pomóc. Lisi ponownie puściła płytę.

...Spakuj wszystkie moje troski i niedole. Oto odchodzę śpiewając nisko, Żegnaj Czarny Ptaku...

- Masz czas, żeby wysłuchać mojej nudnej historii życia? - zapytał Henry. Zachichotał. Wiedzieliśmy obaj, że Henry Tiptree nie jest tym mężczyzną, który zwierza się komukolwiek. Nigdy nie narzekaj, niczego nie wyjaśniaj - to kanon szkoły państwowej.

- Mam czas - powiedziałem. - A ty masz brandy.

- Sądziłem, że zamierzasz powiedzieć - mam czas, jeśli ty masz skłonność, jak Big Ben powiedział do nachylonej wieży w Pizie. Co? Cha, cha!

- Jeśli pracujesz nad czymś, co jest objęte tajemnicą... - powiedziałem.

Zamachnął się gestem odrzucającym taką sugestię. Ręką trącił kieliszek i rozlał trochę alkoholu, więc go uzupełnił. - Mój aktualny szef pracuje nad jednym z tych nie kończących się raportów, który będzie nazwany „Zachodnia polityka negocjacyjna a sowiecka potęga militarna” lub podobnie. Jego nazwisko będzie widniało na okładce i dzięki temu raportowi będzie awansowany. Ja wykonawszy zlecony wycinek pracy odnajdę swoje nazwisko zagubione na długiej liście tych, którym wyraża się uznanie. - Myśl ta ponagliła go do napicia się, tym razem solidnego łyku.

- Co mówią twoje długie badania?

- Jesteś miły. Wiesz co mówią, Samson. Mówią o tych wszystkich rzeczach, o których wiemy tak dobrze, że politycy rozpaczliwie dążą, żebyśmy o nich zapomnieli.

- Na przykład?

- O tym, że osiemdziesiąt procent uzbrojenia umieszczonego w Europie Środkowej od roku 1965 należy do krajów Układu Warszawskiego. O tym, że między rokiem 1968 a 1978 amerykańskie wydatki na zbrojenia zostały zmniejszone o czterdzieści procent, podczas gdy w tym samym okresie wydatki radzieckie wzrosły o siedemdziesiąt pięć procent. Zostało odnotowane, że zachodnie siły militarne zostały zredukowane o pięćdziesiąt tysięcy ludzi, gdy w tym okresie Wschód zwiększył swoje o sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Nie dowiesz się niczego ponad to, co już wiesz.

- Po cóż więc o tym pisać?- Według bieżących założeń mamy znaleźć motywy, jakie się kryją za gromadzeniem tych olbrzymich sowieckich sił wojskowych. Ogromnych sił ludzkich i gigantycznych składów zbrojeniowych. Moi szefowie czują, że odpowiedź można znaleźć śledząc szczegółowe taktyczne przygotowania, czynione przez jednostki armii radzieckiej na linii frontu, przez jednostki stykające się z jednostkami NATO.

- Jak to zrobisz? - zapytałem. Lisi puściła płytę po raz trzeci.

- To długi i żmudny proces. Mamy swoich ludzi, którzy regularnie rozmawiają z żołnierzami rosyjskimi o sprawach dnia codziennego, przesłuchujemy dezerterów, a także otrzymujemy raporty od naszych agentów. - Odślonił zęby. - Jeszcze trochę brandy, Samson. Słyszałem, że nieźle pociągasz.

- Dzięki - powiedziałem. Nie byłem pewny, czy podoba mi się, że posiadam taką reputację, nie zamierzałem jednak oszczędzić jego brandy, aby jej zaprzeczyć. Nalał nam obu duże ilości i natychmiast znaczną część wypił.

- Głównie współpracuję z waszymi pracownikami - rzekł. - Będę również przebywał z innymi grupami. Wszystko to zorganizował Dicky. Strasznie dobry kumpel, Dicky. - Lok rudych włosów opadł mu na twarz. Strzepnął go do tyłu jak muchę, zirytowany. A gdy opadł ponownie, odrzucił go tak energicznie do tyłu, że zwichrzył sobie włosy jeszcze bardziej. - Na zdrowie.

- Co będziesz z nimi robił? - zapytałem.

Mówił teraz znacznie wolniej. - Jakieś idiotyczne rzeczy, sowieckie siły militarne i zachodnie... jak to się nazywa.

- Jakoś tak - powiedziałem. Dołałem nam obu brandy. Teraz byliśmy już blisko dna.

- Wiem, do czego zmierzasz, Samson - powiedział. Jego głos przybrał wysoką tonację, jaką matka mogłaby mówić do dziecka i podniósł pięść w żartobliwym geście złości. - Wiem, co zamierzasz zrobić. - Słowa były bełkotliwe, a włosy zmierzwiłone.

- Co?

- Upić mnie. Ale nie uda ci się, stary chłopie. To ty wpadniesz pod stół.

- Nie zamierzam cię upić. Im mniej wypijesz, tym więcej zostanie dla mnie.

Henry Tiptree wnikliwie analizował moje stwierdzenie próbując znaleźć błąd w moim rozumowaniu... Potrząsnął głową zawiedziony i opróżnił butelkę dzieląc między nas z wielką troską każdą kroplę. - Dicky twierdzi, że jesteś przebiegły.

- Zatem za zdanie Dicky'ego - powiedziałem wznosząc toast.

- Za zdrowie Dicky'ego - odpowiedział, nie dosłyszawszy mnie dokładnie. - Znam go od dawna. W Oxfordzie zawsze mu współczułem. Ojciec Dicky'ego miał inwestycje w Ameryce Południowej i większość pieniędzy stracił w czasie wojny. Pozostajej rodzinie natomiast powodziło się dobrze. Dicky musiał patrzeć na swoich kuzynów przyjeżdżających sportowymi samochodami i latającymi na weekendy do Paryża, gdy jego nie stać było na bilet kolejowy do Londynu. Było to cholernie dla niego poniżające.

- Nie wiedziałem o tym - powiedziałem.

- Koledzy w Oxfordzie mówili, że pochodzi z awansu społecznego... i rzeczywiście tak było i wciąż jest... To było bodźcem do uzyskiwania tak dobrych rezultatów. Chciał nam wszystkim pokazać do czego jest zdolny... i oczywiście nie mając pieniędzy, miał dużo czasu do swojej dyspozycji.

- Teraz też ma dużo czasu - powiedziałem.

Henry Tiptree popatrzył na mnie poważnie, nim uśmiechnął się chytrze. - Co byś powiedział na jeszcze jedną butelkę - zaproponował.

- Myślę, że obaj już mamy dosyć, Henry - odparłem.

- Ja stawiam - rzekł Henry. - Mam jeszcze jedną butelkę w pokoju.

- Nawet jeśli ty stawiasz, obaj mamy dość - powiedziałem. Wstałem. Nie spieszyłem się. Nie byłem pijany. Miałem jednak opóźnioną reakcję i słabą koordynację ruchową. Zastanawiałem się, o której jutro rano zatelefonuje Werner. Głupio zrobiłem mówiąc mu, że wciągnięty został na listę płac. Będzie zdecydowany pokazać teraz Londynowi, co tracił przez te wszystkie lata. Znając Wenera, wymyśli jakiś pewny przepis na nieszczęście. Widywałem już Wenera, gdy chciał na kimś wywrzeć wrażenie. Gdy byliśmy w wieku szkolnym, chodziła z nami do klasy ładna dziewczyna, Renata, mieszkająca w Wedding. Jej matka była sprzątaczką w klinice. Werner tak bardzo chciał zaimponować Renacie, że próbował ukraść amerykański samochód, zaparkowany przed naszą szkołą. Usiłował otworzyć drutem szybę samochodową, gdy złapał go kierowca, amerykański sierżant. Werner miał wiele szczęścia, że uciekł oberwawszy jedynie kuksańca w głowę. To było śmieszne. Werner nigdy w życiu niczego nie ukradł. Samochód; nie miał zielonego pojęcia, jak się go prowadzi. Zastanawiałem się, czy nie wpadł w tarapaty w sektorze lub poza nim, w strefie. Gdyby cokolwiek mu się przytrafiło, winiłbym za to siebie. Nie można by było winić nikogo innego.

Henry Tiptree siedział sztywno na krześle, z twarzą zwróconą przed siebie nie poruszając się. Mrugał wytrzeszczonymi oczyma, jak jaszczurka obserwująca nic nie podejrzewającą muchę... Człowiek mniej dbający o swoją powierzchowność nie wyglądałby na tak pijanego. Potargane włosy zawsze nieskazitelnego Henry'ego Tiptree przekrzywiony na jedną stronę krawat i marynarka zmięta jego zabiegami, żeby zapiąć niewłaściwy guzik, powodowały, że wyglądał komicznie. - Nie odejdziesz z tym - powiedział ze złością. Przechodził przez różne etapy zamroczenia alkoholowego, od uniesienia do depresji *via* szczęście, podejrzliwość i złość.

- Z czym nie odejdziesz? - zapytałem.

- Wiesz, Samson. Nie graj niewiniątka. Ty wiesz. - Tym razem złość uniemożliwiła mu wyraźnie wypowiedzieć się.

- Powtórz jeszcze raz.

- Nie - powiedział. Patrzył na mnie z nienawiścią w oczach. Zrozumiałem wtedy, że Tiptree odgrywa jakąś rolę w tkaniu zawikłanej sieci, w którą zostałem wplątany. Miałem świadomość, że ze wszystkich stron otaczały mnie podejrzania, złość i nienawiść. Czy to była robota Fiony, czy sam ściągałem to na siebie? Jak mogłem z tym walczyć, gdy nie wiedziałem, gdzie znaleźć najbardziej zaciekle wrogów ani nawet kim oni są?

- Zatem dobranoc - powiedziałem. Wypiłem resztę mojego brandy, wstałem z krzesła i skinąłem głową w jego stronę.

- Dobranoc, cholerny panie Samson - odpowiedział gorzko Tiptree. - Cholerny mistrz w picciu alkoholu i nadzwyczajny tajny agent.

Wiedziałem, że patrzy za mną, gdy przechodzę przez pokój, dlatego szedłem ostrożnie. Obejrzałem się, gdy doszedłem do rozsuwanych drzwi oddzielających salon od baru. Walczył, żeby utrzymać się na nogach chwytając prawą ręką za róg stołu. Potem, z pobielającymi nadgarstkami naprężając się, podciągał się w górę. Wyglądało na to, że mu się powiedzie, lecz gdy doszedłem do schodów, usłyszałem straszliwy łomot. Okazał się zbyt ciężki i przeważał stół.

Powróciłem do baru, gdzie upadł Henry Tiptree zajmując całą długość podłogi. Oddychał bardzo ciężko i wydawał nieartykułowane dźwięki, które mogły być jękami, ale nie był nieprzytomny. - Chodź, Henry - powiedziałem. - Wyjdźmy stąd, zanim usłyszy nas Lisi. Nienawidzi pijaków. - Wiedziałem, że jeśli Henry zostanie jutro rano tutaj znaleziony, Lisi będzie mnie za to winić. Nieważne co powiem, cokolwiek przydarzyło się temu „angielskiemu dżentelmenowi” będzie moją winą. Postawiłem stół z powrotem na miejsce i miałem nadzieję, że Lisi nie słyszała tumultu.

Gdy wlokłem go na moim ramieniu do windy przeciwpożarowej, zacząłem zastanawiać się, dlaczego tutaj przyjechał. Z pewnością został przysłany, ale przez kogo? Nie należał do osób, które zatrzymałyby się w hotelu *Tante Lisi*, by schodzić na dół korytarzem każdego ranka, żeby się wykapać i stwierdzić, że nie ma już ciepłej wody. Ludzie pokroju Tiptree woleli hotele w centrum miasta, gdzie wszystko działa, nawet personel; miejsca, gdzie bywalcy obojga płci, w jedwabiach przybranych dżetami ustawiają rzędami butelki *Louis Roederer Cristal Brut*, a w czasopismach zwracają najpierw uwagę na kolumny z cenami akcji.

Henry Tiptree miał gładkie maniery, które czasami pozostawiają najlepsze angielskie internaty. Chłopcy w nich przebywający szybko oswajają się z zasadami siły pięści, zimnymi prysznicami, karami cielesnymi, z homoseksualizmem, klasyką i brutalnymi sportami, lecz wszystko to pozostawia twarde wyraz, który dostrzegłem w twarzy Tiptree. Był bystry i miał zmysł celowego działania, czego brakowało jego przyjacielowi, Dicky’emu Cruyerowi. Lecz z nich dwóch, w każdej chwili wybrałbym Dicky’ego. Był człowiekiem bez obciążeń, podczas gdy Henry, ze wszystkimi cha, cha i uczniowskimi uśmiechami był wykształconym w drogich uczelniach bojownikiem szturmowym.

Przeszedłem przez salon z ciężarem Henry’ego na sobie, zachwiałem się, a razem ze mną zachwiało się lustro, podłoga i sufit, ale znów odzyskałem równowagę i zatrzymałem się, nim przeszedłem obok drzwi prowadzących do pokoju Lisi.

Przygotuj mi łóżko i zaświeć światła

Dziś w nocy przybędę późno, żegnaj Czarny Ptaku.

ROZDZIAŁ XVI

Było zimno. Bezkształtne szare chmury ciągnęły się aż po horyzont w tym równinnym krajobrazie. Deszcz padał nieubłaganie i nawet ci ostatni gromadzący się w drzwiach wieśniacy, w oczekiwaniu na wytchnienie, pospiesznie cofnęli się, przemoczeni. We wszystkich rynnach przelewała się woda, a deszcz bulgotał spływając w dół rurami odpływowymi i wylewał się z kanałów. Pochylone strugi deszczu odbijały się od wybrukowanej ulicy tworząc złudzenie pola pszenicy, w którym przejeżdżający od czasu do czasu motocykl lub samochód dostawczy wycinał sobie drogę jak żniwiarka.

Werner zawiadomił mnie, że mam udać się do *Złotego Niedźwiedzia*, przyjechałem więc i czekałem dwa dni. Drugiego dnia w porze śniadaniowej przybył młody *Oberstabsmeister*. Rozpoznałem ciemnozielonego VW passata patrolowego. Nosił napis *Bundesgrenz-schuts*. Niemcy Zachodnie miały również straż graniczną, a jednym z jej zajęć było przesłuchiwanie cudzoziemców, którzy przybywali do wiosek granicznych i spędzali zbyt dużo czasu patrząc na wschód, na druty kolczaste i wieże określające granicę, na której strzelano do ludzi robiących wypadki z Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Strażnik graniczny był młodzieńcem o białej twarzy i jasnych włosach zakrywających górną część uszu i zawijających się spod czapki munduru. - Dokumenty - powiedział omijając formalności związane z przywitaniem i przedstawieniem się. Wiedział, że obserwowałem go, gdy wchodził. Widziałem, jak przeglądał rejestr hotelowy i zamienił kilka słów z właścicielem. - Jak długo zamierza pan zostać?

- Około tygodnia. W następny poniedziałek wracam do pracy. Zarezerwowałem pokój na siedem dni. - Wiedział o tym. - Jestem z Berlina - powiedziałem uniżenie. - Czasami czuję potrzebę wyjechania na kilka dni. Chrząknął.

Pokazałem mu dokumenty. Przedstawiały mnie jako niemieckiego obywatela, mieszkańca Berlina, pracującego jako kierownik w składzie zapasów armii brytyjskiej. Stał przez dłuższą chwilę z dokumentami w ręce przenosząc z nich wzrok na mnie i z powrotem. Miałem wrażenie, że nie wierzy całkowicie moim wyjaśnieniom, ale wielu mieszkańców Berlina Zachodniego zjeżdżało w dół autostradą i spędzało wakacje w najbardziej wysuniętym na wschód zakątku Niemiec Zachodnich. Gdyby zdecydował się skontaktować z armią, moja wersja zostałaby potwierdzona.

- Dlaczego tutaj? - zapytał.

- A dlaczego nie tutaj - odparowałem. Wyjrzał przez okno. Deszcz padał wciąż nieubłaganie. Po przeciwnej stronie ulicy robotnicy rozbierali na wpół drewniany budynek. Pracowali nie zwracając uwagi na deszcz. W momencie, gdy patrzyłem, runęła ściana z łoskotem łamanych listew, tynku oraz gradem kamieni. Pobielany tynk pociemniał od kropli deszczu, a chmura kurzu z sypiących się gruzów szybko została stłumiona. Zburzenie ściany odsłoniło widok na otwarte pola za wioską i błyszczący pasek będący migocącymi, szerokimi wodami Łaby dzielącej Wschód od Zachodu. Łaba zawsze była barierą, zatrzymała nawet Karola Wielkiego. W przeszłości dzieliła Lombardię od krajów słowiańskich, Franków od Awarczyków, chrześcijan od barbarzyńców, katolików od protestantów, a obecnie komunistów od kapitalistów. - Tu jest lepiej niż gdziekolwiek indziej - powiedziałem.

- Wszędzie jest lepiej niż tutaj - stwierdził strażnik; był w złym humorze, gdyż unikałem odpowiedzi na pytanie. Za jego plecami zobaczyłem syna właściciela, Konrada, gdy wchodził do sali, w której podawano śniadanie. Konrad był osiemnastolatkiem w niebieskich dżinsach i kowbojskiej koszuli z frędzlami. Był nie ogolony i nie wiedziałem, czy to z powodu zamierzonych wysiłków zapuszczenia brody, czy niedbałej obojętności, jaką zwykł okazywać wszystkim aspektom codziennych porannych ablucji. Zaczął nakrywać stoły do obiadu; na każdym kładł sztucce i lniany obrus oraz stawiał kieliszki do wina i dzbanuszki z przyprawami, a na końcu duży, niebieski fajansowy słój ze specjalną musztardą, z której *Złoty Niedźwiedź* w tej okolicy słynął. Pomimo troski i uwagi, z jaką oddawał się swojej pracy, nie miałem wątpliwości, że wszedł do sali, aby podsłuchiwać.

- Spaceruję - powiedziałem. - Mój doktor twierdzi, że muszę spacerować. Dla mojego zdrowia. Nawet w czasie deszczu codziennie chodzę na spacer.- Słyszałem o tym - powiedział strażnik. Upuścił moje dokumenty na obrus w czerwoną kratę, obok koszyka z rogalami. - Niech pan tylko nie chodzi w niewłaściwym kierunku. Czy wie pan, co tam jest?

Patrzył przez okno. Jedną rękę trzymał w kieszeni, kciuk drugiej włożył za pasek. Był zły. Być może rozzłościł go mój berliński akcent. Miał wymowę z tych okolic. Prawdopodobnie nie lubił gości z dużego miasta i cokolwiek berlińczyk powiedział, musiało brzmieć sarkastycznie dla jego krytycznego ucha. - Niezupełnie - odpowiedziałem. W tych okolicznościach rozsądniej było nie wiedzieć co „tam” jest.

Białolicy *Oberstabsmeister* wzięł głęboki oddech. - Zaczynając od przeciwnej strony najpierw napotyka się uzbrojone straże *Speczone*. Potrzebne są specjalne przepustki, aby można było wejść na teren zakazanej strefy będącej na pięć kilometrów szerokim pasem ziemi, z którego usunięto wszystkie drzewa i krzewy, aby strażnicy widzieli ją całą ze swoich wież. Pola mogą tam być tylko uprawiane przy świetle dziennym pod nadzorem strażników.

Potem jest na pięćset metrów szeroka *Schutzstreifen*. Znajduje się tam trzymetrowe ogrodzenie, skonstruowane ze specjalnego metalu. Otwory są w nim bardzo małe, żeby uniemożliwić zaczepienie się, a jeśli ktoś ma drobne palce, kobiety lub dzieci na przykład, metalowe brzegi przetną ciało jak nóż. Ogrodzenie jest początkiem „strefy bezpieczeństwa”, z psami patrolowymi często biegającymi swobodnie oraz z reflektorami i polami minowymi. Potem jest kolejne ogrodzenie, nieznacznie wyższe.

Ściągnął usta i zamknął oczy, jakby próbował przypomnieć sobie szczegóły obrazu lub diagramu. Recytował jak dziecko trudny wiersz wyuczony na pamięć bez zrozumienia treści. We mnie natomiast jego słowa wywołały żywe wspomnienia.

Przekraczałem tę strefę graniczną pewnej nocy w 1978 r. Mężczyzna, który był ze mną, został zabity. Biedny Max, dobry przyjaciel. Krzyknął bardzo głośno, pomyślałem więc, że na pewno nas znajdują, ale strażnicy bali się wejść na pole minowe, a Max usunął światło reflektora celnym strzałem z pistoletu. To była ostatnia rzecz, jaką zrobił. Strzały wskazały miejsce, gdzie się znajduje. Wszystkie karabiny wypaliły do niego równocześnie. Teraz słuchając strażnika, przeżywałem to wszystko jeszcze raz. Twarz zaczęła mnie palić i spociły mi się ręce.

A on mówił dalej. Potem kanał z wybetonowanymi brzegami, który mógłby zatrzymać czołg. Następnie drut kolczasty na szerokości ośmiu metrów. Dalej *Selbstschussgerdte*, czyli urządzenia, które wystrzelują małe, ostre kawałki metalu, a są odbezpieczane przez każdego przechodzącego obok. Potem jest droga dla samochodów patrolowych, które jeżdżą cały czas w górę i w dół... Po każdej jej stronie są starannie ukryte specjalne paski, które pokazują odciski stóp, gdy ktoś je przekroczy. Dopiero teraz dochodzi się do trzeciej strefy - *Kontrollstreifen* z kolejnymi dwoma ogrodzeniami, bardzo szerokimi zasiekami z drutu kolczastego, polami minowymi i wieżami obserwacyjnymi obsadzonymi ludźmi z karabinami maszynowymi. Nie wiem, po co zadają sobie tyle trudu, żeby trzymać ludzi w wieżach obserwacyjnych w *Kontrollstreifen*, o ile wiem, żaden uciekinier nie dostał się na sto metrów w głąb. Ponuro chrząknął.

Posmarowałem masłem rogal nie przestając jeść podczas jego długiego wywodu, co go wyraźnie denerwowało.

W końcu, gdy zakończył swój opis, spojrzałem na niego i pokiwałem głową.

- Oczywiście, jest jeszcze rzeka - powiedział strażnik.

- Dlaczego mi pan to wszystko mówi? - zapytałem. Napilem się kawy. Rozpaczliwie potrzebowałem napić się drinka, solidnego drinka, lecz musiałem zadowolić się kawą.

- Może pan przyjąć do wiadomości, że pański przyjaciel nie przybędzie - powiedział. Przyglądał mi się. Trzęsa mi się ręka, gdy odstawiałem filiżankę od ust i trochę kawy rozlałem na obrus.

- Jaki przyjaciel? - Wycierałem plamę.

- Widziałem już takich jak pan - powiedział. - Wiem, dlaczego pan czeka tutaj w *Złotym Niedźwiedziu*.

- Przeszkadza mi pan w śniadaniu - rzekłem. - Jeśli nie zostawi mnie pan w spokoju, poskarżę się w Biurze Turystycznym.

- W przyszłości proszę się wybrać na Zachód - powiedział. - Tak będzie lepiej dla pańskiego zdrowia, bez względu na to, co pański doktor panu zaleci. - Uśmiechnął się, zadowolony z żartu.

Gdy odszedł, podszedł do mnie syn właściciela. - To drań. Powinien być po tamtej stronie. *Druhen* - po tamtej stronie. Nie ważne, o której stronie granicy była mowa. Przeciwna była zawsze *druben*. Chłopiec nakrył obrusem sąsiedni stolik. Potem rozłożył sztućce. Gdy doszedł do przypraw, zapytał: - Czy czeka pan na kogoś?

- Możliwe - odpowiedziałem.

- Nagel. Tak się nazywa. *Oberstabsmeister* Nagel. Byłby dobrym strażnikiem u komunistów. Codziennie rozmawia z nimi. Wie pan o tym?

- Nie.

- Inny strażnik o tym mi powiedział. Istnieje połączenie telefoniczne między punktami granicznymi po obu stronach. Ma zapewnić łączność w razie wypadków w rzece, powodzi i pożarów lasów. Każdego ranka sprawdzają je i gadają. Wcale mi się to nie podoba. Taki drań jak Nagel łatwo może zbyt wiele powiedzieć. Pański przyjaciel nie będzie próbował płynąć, prawda?

- Nie jest szalony - odparłem.

- Czasami w ciągu nocy słyszymy, jak eksploduje mina - rzekł Konrad. - Ciężar zająca lub królika wystarcza, żeby eksplodowały. Czy chciałby pan więcej masła, a może kawy?

- Nie, dziękuję, Konrad.

- Czy to bliski pana przyjaciel, ten, na którego pan czeka?

- Byliśmy razem w szkole - odpowiedziałem.

Konrad skrzyżował ramiona, automatycznie dotykając w przelocie palcami czoła i ramion.

...

Nie zważając na ostrzeżenie *Oberstabsmeister a Nagela*, tego ranka spacerowałem wzdłuż brzegu rzeki. Zapięty byłem po szyję, by chronić się przed nie ustającym deszczem. Ta część północnych nizin polodowcowych jest całkiem płaska. Na zachód znajduje się Holandia, na północ, również nizinna, Dania, a na południe, kraina wrzosów - Liineburg. Co do kierunku wschodniego, można dojść aż do Polski, nie napotkawszy żadnej przyzwoitej góry. Tylko że nikt nie jest w stanie szybko posuwać się na wschód.

W pobliżu rzeki znajdował się poobijany, emaliowany napis: HALT ZONENGRENZE. Był to stary napis, który już dawno powinien być wymieniony. Strefa okupacyjna Związku Radzieckiego w Niemczech była zabawnie nazywana Niemiecką Republiką Demokratyczną. Ja natomiast, podobnie jak Werner, nie mogłem przestać nazywać jej strefą radziecką. Być może nas też już dawno powinno się wymienić.

Chodziłem po tak wysokiej trawie, że przemoczyłem nogawki spodni do kolan. Zdawałem sobie sprawę, że moja obecność na brzegu rzeki w żaden sposób nie przybliży mnie do Wenera, ale nie mogłem usiedzieć w *Złotym Niedźwiedziu...* Łaba w tym miejscu była bardzo szeroka tworząc meandry, tak jak wszystkie wielkie rzeki na równinnym obszarze. Na obu brzegach znajdowały się bagniste tereny o intensywnej zieleni, z wysokimi, o ostrych końcach trawami kwitnącymi na tych podmokłych łąkach. Choć na odległym brzegu nie było żadnej tamy, rosły tam młode wierzby i olchy; drzewa zawsze spragnione. Od strony rzeki dobiegł nagły hałas - gwałtowny klekot czapli wzbijających się w powietrze. Coś je spłoszyło, być może ruch jakiejś ukrytej warty. Przeleciały nad moją głową z leniwymi uderzeniami wielkich skrzydeł ciągnąc nogi w powietrzu jak dziecko, wystawiwszy rączkę z łódki pozwala, by unosiła ją woda.

Poczułem lekki powiew wiatru, który nie rozwiął jednak szarej mgły unoszącej się nad rzeką. Poranek, w którym strażnicy graniczni stają się nerwowi, a zdesperowani ludzie nierozważni. Na rzece znajdowały się łodzie i ludzie przy nich zatrudnieni. Barki, długie ich szeregi; brązowe widma posuwające się cicho po prawie bezbarwnej wodzie. Prześlizgiwały się za pogłębiarką rzeczną prowadzącą je wijącym się biegiem rzeki, czasami bliżej prawego, czasami lewego brzegu. Komuniści żądają prawa do korzystania z połowy rzeki.

Napotyka to na powszechnie znane trudności niedostatecznie głębokiego koryta rzeczno. Nawet łodzie patrolowe Niemiec Wschodnich skonstruowane z celowo płytkimi kadłubami, nie mogą korzystać z połowy rzeki, do której ich szefowie roszczą sobie pretensje. Pływają również łodzie Niemiec Zachodnich: policyjne krążowniki i rozwijające dużą szybkość łodzie urzędu celnego penetrujące wyludnione obszary przybrzeżne.

Spostrzegłem kolejną czapkę stojącą w płytkiej wodzie i patrzącą w dół. „Opanowany zabójca bagien”, nazywała ją moja szkolna książka. Stała całkowicie nieruchomo, poruszana delikatnie ruchem trzciny i sitowia na wietrze czekając na rybę, która podpłynie w zasięg, do harpuna podobnego, dzioba. Porywy wiatru w obu kierunkach nad powierzchnią wody były na tyle silne, żeby podnieść mgłę jak kurtynę. Wieża kontrolna na przeciwległym brzegu nagle stała się widoczna. Otwarte okno, o lustrzanych szybach mających ukryć uzbrojonych mężczyzn, błysnęło, gdy światło dzienne odbiło się od szyby w miedzianym kolorze. Za chwilę, równie nagle, mgła opadła i wieża, okna, mężczyźni, wszystko zniknęło.

Gdy dotarłem do dawno nie używanej przystani dla promów, zobaczyłem daleko, po drugiej stronie rzeki, jakieś ożywienie. Czterech wschodnioniemieckich robotników naprawiało ogrodzenie. Podpory były pochylone do przodu, gdyż fundamenty tkwiące w bagnistym brzegu rzeki jeszcze bardziej rozmiękły z powodu ulewnego deszczu. Podczas gdy czterech mężczyzn pracowało, dwóch strażników *Kasernierte Volkspolizei* stało opodal z karabinami maszynowymi gotowymi do strzału patrząc z niepokojem na zmieniającą się widoczność, żeby powierzeni ich opiece nie uciekli w mgłę. Takie „koszary policyjne” uważane były za pewniejsze od mężczyzn, którzy co wieczór wracali do domów, do swoich żon i dzieci.

Przeplłynęły następne barki. Tym razem czeskie, kierując się w dół, gdzie rzeka przecina granicę z Czechosłowacją. Na pokrywie luku siedział brodaty mężczyzna i pił z kubka. Miał ze sobą psa. Pieszaszczał w kierunku podwodnego pasa na przeciwległym brzegu i biegnąc wzdłuż łodzi kontynuował swój protest.

Doszedłem do miejsca, w którym pies zaszczekał i zobaczyłem, co przyciągnęło jego uwagę. Trzech żołnierzy z Niemiec Wschodnich ubranych w połowe mundury z zamaskowanymi hełmami próbowało się ukryć w wysokiej trawie. Byli to *Aufklärer*, specjalnie szkoleni żołnierze wschodnioniemieccy patrolujący najbardziej odległe krańce strefy przygranicznej, a czasami również tereny poza nią. Mieli przy sobie kamery; zawsze je mieli, aby obserwować kapitalistów i ich filmować. Pomachałem w ich kierunku nie zmieniając wyrazu twarzy i wysoko postawiłem kołnierz.

Spacerowałem przez blisko trzy godziny patrząc na rzekę i myśląc o Stinnesie, Wernerze i Fionie, nie wspominając już George’a i Tessy, dopóki nie zobaczyłem przed sobą zaparkowanego ciemnozielonego VW passata. Nie miałem zamiaru sprawdzać, czy był to *Oberstabsmeister* Nagel, czy któryś z jego kolegów. Ruszyłem przez pola, gdzie samochód nie mógł jechać za mną i stamtąd z powrotem do wioski.

Do *Złotego Niedźwiedzia* przybyłem w porze obiadowej. Zmieniłem przemoczone buty oraz spodnie i założyłem krawat. Gdy polerowałem okulary z kropli deszczu, usłyszałem pukanie do drzwi. - Panie Samson? To ja, Konrad.

- Wejź, Konradzie.

- Mój ojciec pyta, czy będzie pan jadł obiad.

- Czy spodziewasz się tłoku przy stolikach?

Konrad uśmiechnął się pocierając brodę. Przypuszczam, że swędziała go nie ogolona twarz. - Tata chciałby wiedzieć.

- Zjem *Pinkel* i kapuśniak, jeśli jest dzisiaj w menu.

- To zawsze jest w menu, tata to jada. Jeden człowiek w tej wiosce robi kielbaski *Pinkel*. Robi również *Bragenwurst* i *Kochwurst*. *Pinkel* jest kielbasą z Liineburg. Ale z Liineburg, a nawet z Hamburga przyjeżdżają ludzie ją kupować. Moja matka przyrządza ją z kapustą. Tata twierdzi, że kucharz nie potrafiłby jej przygotować odpowiednio. - Pomimo że zamówiłem obiad, nie odchodził. Patrzył na mnie z mieszaniną ciekawości i zdenerwowania. - Sądzę, że przybędzie pański przyjaciel - powiedział.

Rozłożyłem spodnie na grzejniku centralnego ogrzewania. - Proszę również o wędzonego węgorza; małą porcję na przystawkę. Skąd pan wie, że przyjedzie mój przyjaciel.

- Matka wyprasuje panu te wilgotne spodnie, jeśli pan sobie życzy. Był telefon z Schwanheide. Taksówka kogoś tutaj wiezie.

- Taksówka?

- Tam jest punkt przejścia granicznego - wyjaśnił Konrad na wypadek, gdybym nie wiedział.

- Mój przyjaciel na pewno nie telefonował, żeby zawiadomić o swoim przybyciu.

Konrad uśmiechnął się. - Telefonują kierowcy taksówki. Jeśli przywiozą kogoś tutaj, kto wynajmie pokój, otrzymują pieniądze od mojego ojca.

Schwanheide był punktem przecięcia dróg, niedaleko stąd, od którego granica biegnie prosto na północ i oddziela się od Łaby. Podałem chłopcu spodnie. - Proszę lepiej zamówić dwa razy *Pinkel* i kapuśniak - powiedziałem.

Werner zdążył na obiad. Jadalnia była wygodnym miejscem, szczególnie w tak wilgotny i chłodny dzień. Były kłody na opał, okopcone belki, wypolerowany mosiądz i w czerwonej kratę obrusy na stołach. Poczułem się tutaj swojsko, ponieważ te same nieprawdziwe wnętrza znajdowałem od Dublina po Warszawę w tysiącu miejscach po drodze i bezwstydnie ich kopie w Tokio i Los Angeles. Były projektowane przez artystów malujących drozdy na kartkach bożonarodzeniowych.

- Jak poszło? - zapytałem. Werner wzruszył ramionami. Zamierzał powiedzieć mi to we właściwym czasie. Zawsze musiał uporządkować myśli. Zamówił kufel *Pilsnera*. Nigdy nie sprawiał wrażenia, że potrzebuje coś mocniejszego; bez względu na to, co mu się przydarzyło, a nie wypite piwo wciąż stało przed nim, gdy podano wędzonego węgorka i ciemny chleb. - Czy były jakieś kłopoty?

- Nic poważnego - odparł. - Pomógł mi deszcz.

- To dobrze.

- Padało całą noc - powiedział Werner. - Było około trzeciej, gdy wyjechałem z Poczdamu.

- Co u diabła robiłeś w Poczdamie, Werner? Jakie licho cię tam zaniósło?

- Roboty drogowe. Był objazd. Kiedy przejeżdżałem przez Poczdam, lało jak z cebra. Nigdzie nie było widać żywej duszy ani żadnego samochodu. Nie było nawet policyjnego samochodu ani wojskowej ciężarówki, dopóki nie dojechałem do centrum miasta, Friedrich Ebert Strasse... Znasz Poczdam?

- Wiem, gdzie jest Friedrich Ebert Strasse - powiedziałem. - Według raportu wywiadu ostatnio znajdował się tam po zmierzchu punkt kontroli ruchu przy Nauener Tor.

- Czytałeś to wszystko, prawda? - zapytał Werner z podziwem. - Nie wiem, skąd na to znajdujesz czas.

` - Mam nadzieję, że ty też to czytałeś?

- Tak, oczywiście. Jednak przypomniałem sobie zbyt późno. Ostatniej nocy też znajdował się tam punkt kontrolny. W każdym razie stała wojskowa ciężarówka z dwójgiem ludzi w środku. Palili papierosy. Dostrzegłem ich z powodu jarzenia się papierosów.

- Czy twoje papiery były w porządku? Jak wytłumaczyłeś swoją tam obecność. To inny obszar jurysdykcyjny.

- Tak, to *Bezirk* Poczdam - powiedział Werner. - Miałem przygotowane wytłumaczenie. Znaki o objeździe nie były oświetlone. Pomyślałem, że wielu ludzi zabłądzi szukając z powrotem drogi do autostrady. Padał jednak ulewny deszcz i policjanci nie chcieli moknąć. Zwolniłem, prawie zatrzymując się, aby pokazać, że przestrzegam prawa. Kierowca opuścił jedynie szybę w ciężarówce i pomachał mi, żebym jechał dalej.

- Kiedyś było to nie do pomyślenia, prawda, Werner? Był czas, kiedy każdy tam robił wszystko zgodnie z zaleceniami. Nie więcej, nie mniej - tyle ile trzeba. Nawet w hotelach

personel odmawiał przyjmowania napiwków czy upominków. Teraz wszystko zmieniło się... Nikt już nie wierzy w rewolucję socjalistyczną, tylko w markę zachodnioniemiecką.

- Ci pewnie byli poborowymi - rzekł Werner. - Odliczającymi skrupulatnie osiemnaście miesięcy przymusowej służby. Może nawet *Kampfgruppen*.

- *Kampfgruppen* są pełni zapału - powiedziałem. - Nie opłacani ochotnicy. Oni by się tobą zajęli.

- Już nie - powiedział Werner. - Nie ma już ochotników. Fabryki wywierają nacisk na ludzi, żeby się do nich przyłączali. Od tego uzależniają awans na kierownika, czy nadzorcę.

Kampfgruppen

stali się bardzo opieszali.

- To mi się podoba - powiedziałem. - Kiedy przejeżdżałeś przez Poczdam z dokumentami ograniczającymi możliwość poruszania się do granic Berlina, sądzę, że to także było dla ciebie czymś normalnym.

- Tak jest nie tylko na Wschodzie - bronił się Werner. Traktował każdą krytykę Niemców i Niemiec jako osobisty atak. Czasem zastanawiałem się, jak godzi swój patriotyzm z chęcią pracowania dla londyńskiej Centrali. - Wszędzie jest to samo: łapownictwo i korupcja. Dwadzieścia lub więcej lat temu, gdy pierwszy raz zostaliśmy zamieszani w ten interes, ludzie kradli sekrety, ponieważ byli politycznie zaangażowani albo byli patriotami. Wyплаты Moskwy stanowiły błahe, małe sumy, płacone jedynie, aby Moskwa mogła mocniejszą ręką trzymać agentów pracujących z własnej woli za nic.

Czy wielu jest dzisiaj takich ludzi? Nie. Teraz obie strony muszą słono płacić za szpiegostwo. Połowa osób, które przynoszą nam materiały, sprzedałaby tym, którzy oferują najwyższą stawkę.

- Tym właśnie jest kapitalizm, Werner - powiedziałem drażniąc się z nim.

- Nie chciałbym być taki jak ty - powiedział Werner. - Gdybym miał takie przekonania, nie mógłbym pracować dla Londynu.

- Czy analizowałeś kiedyś swoją obsesję pracowania dla Departamentu? - zapytałem. - Zarabiasz dostatecznie dużo pieniędzy, masz Zenę. Po co, u diabła, wałęsas się wokół Poczdamu w środku nocy?

- To jest to, co robiłem od dziecka. Jestem w tym dobry, prawda?

- Lepszy niż ja, to właśnie chcesz udowodnić, prawda, Werner? - Wzruszył ramionami jak gdyby nigdy o tym nie pomyślał. - Chcesz udowodnić, że potrafisz zrobić moją robotę bez splamienia się, tak jak ja.

- Jeśli mówisz o hippisach na plaży...

- Zgoda, Werner. Tu cię boli. Powiedz mi o hippisach na plaży. Wiedziałem, że będziemy musieli o nich porozmawiać wcześniej czy później.

- Powinieneś zgłosić swoje podejrzenia na policję - powiedział pouczająco Werner.

- Byłem w trakcie wykonywania zadania, Werner. W obcym kraju. Wykonywane przeze mnie zadanie nie było całkiem legalne. Nie mogłem sobie pozwolić na luksus czystego sumienia.

- Co powiesz o domu w Bosham? - zapytał.

- Robię to, co uważam za słuszne, Werner.

- Ty zacząłeś tę kłótnię - powiedział. - Nigdy cię nie krytykowałem. To ty masz niespokojne sumienie.

- Czasami mógłbym cię zabić, Werner - powiedziałem. Sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie. Na odgłos śmiechu obejrzeliśmy się obaj. Grupa ludzi wchodziła do jadalni na obiad. Było to przyjęcie urodzinowe, wydawane na cześć pogodnie wyglądającego, sześćdziesięcioletniego mieszkańca tutejszej wsi. Świątował już przed przybyciem tutaj sądząc po tym, jak wpadł na stolik i przewrócił krzesło, nim zajął swoje miejsce. Towarzystwo składało się z dwunastu ludzi, wszyscy powyżej pięćdziesiątki, a niektórzy blisko siedemdziesiątki. Mężczyźni mieli na sobie niedzielne garnitury, a kobiety mocno pofalowane włosy i niemodne kapelusze. Dwanaście osób na obiedzie: sądzą, że dlatego kuchnia domagała się ode mnie uprzedniego złożenia zamówienia. - Jeszcze dwa razy *Pilsner* - Werner zawołał na Konrada. - Dla mojego przyjaciela, ze sznapssem.

- Żeby oczyścić palce z ryby - powiedziałem. Chłopiec uśmiechnął się. Taki był stary niemiecki zwyczaj, że do węgorza proponowano sznapsa i jego ostatnimi kroplami czyszczono palce. Jak w większości starych niemieckich zwyczajów, obecnie z niego również zrezygnowano bez żalu.

Towarzystwo celebrujące urodziny zajmowało długi stół pod oknem; znajdowało się jednak zbyt blisko Wenera, żebyśmy mogli kontynuować rozmowę. Mówiliśmy więc o rzeczach bez znaczenia przyglądając się uroczystości.

Konrad przyniósł nasz *Pinkel* z kapustą, kamienny garnek z kiełbaskami i groszkiem z jego cudownym zapachem wędzonego bekonu i cebuli. Uznając mnie za konesera kiełbasek, matka Konrada przysłała mały, dodatkowy talerz z *Kochwurst* i *Bragenwurst* na spróbowanie.

Towarzystwo obok jadło specjalne danie *Schlesisches Himmelreich*. Ten szczególny „Śląski raj” był duszoną wieprzowiną z suszonymi owocami i ostrymi przyprawami. Potrawa podana w dużym brązowym garnku została powitana okrzykami radości. Kolejne okrzyki odnosiły się do klusek, które wniesiono potem. Porcje ułożone były w wysokie stopy. Kobiety

nakładały je delikatnie, a mężczyźni, pomimo swojego wieku, zrzucali je na talerze z zapalem; piwo podawane było w małych kuflach, które Konrad wymieniał, gdy tylko zostały opróżnione.

Osmund, farmer o czerwonej twarzy, którego urodziny obchodzono, wznosił żartobliwe toasty za „celibat” oraz za „ukochane i żony, które mogą się nigdy nie poznać”, a następnie, już bardziej poważnie, za matkę Konrada, która co roku gotowała doskonałą, ulubioną śląską potrawę.

Towarzystwo nie ożywiło się bardziej w trakcie trwania uroczystości. Przeciwnie, każdy stał się bardziej przygnębiony począwszy od momentu, gdy Osmund wznosił toast za „nieobecnych przyjaciół”. Bowiem ci wszyscy starsi Niemcy pochodzili z Wrocławia. Ich ukochany Śląsk był teraz częścią Polski i nigdy go już nie zobaczą. Gdy po raz pierwszy weszli do sali, uchwyciłem ich akcent, lecz teraz, gdy wspomnienia zaprzatające ich umysły i alkohol rozwiązały im języki, akcent śląski stał się dużo silniejszy. W szybkich wymianach zdań używali słów i wyrażeń, których nie rozumiałem.

- Nasze Niemcy stały się czymś niewiele większym, niż miejsce zbiórki dla uchodźców - powiedział Werner. - Podobni do nich są krewni Zeny. Organizują duże zjazdy rodzinne i rozprawiają o starych czasach. Mówią o gospodarstwach, jak gdyby zaledwie wczoraj je opuścili. Pamiętają meble w każdym pokoju ich rozległych domów, na czyich polach nigdy nie udawał się ozimy jęczmień, a które miały najwcześniejsze zbiory buraka cukrowego, potrafią nazwać każdego konia, na którym kiedyś jeździli. I robią to, co ci ludzie przy stole obok: jedzą stare potrawy i rozmawiają o dawno zmarłych przyjaciółach i krewnych. W końcu zaśpiewają stare piosenki. To jest inny świat, Bernie. My jesteśmy dziećmi z dużego miasta. Ludzie ze wsi są inni niż my, a ci z ziem wschodnich znają życie, którego istnienia nawet się nie domyślamy.

- Było to dobre życie.

- Lecz skończyło się na zawsze - powiedział Werner. - Rodzina jej uciekała tuż przed Armią Czerwoną. Ich dom został trafiony przez ogień artyleryjski i nim się zorientowali, musieli ruszać na zachód. Wyszli w tym, w czym stali, z garścią gotówki, biżuterią i kieszeniami pełnymi rodzinnymi zdjęć.

- Zena jest przecież młoda. Nigdy nie widziała posiadłości rodzinnych w Prusach Wschodnich, prawda?

- Wszystko zostało zniszczone. Ktoś powiedział im, że wybudowano tam teraz fabrykę nawozów sztucznych. Ona jednak wyrastała słuchając tych bajecznych opowieści.

Wiesz, jak wiele dzieci fantazjuje, że urodziło się w arystokratycznej rodzinie lub że zostaną gwiazdą filmową.

- Fantazjuje?

- Oczywiście. Ja sam dorastając rozmyślałem, czy mógłbym być prawdziwym synem *Tante Lisi*.

- Czy Zena zastanawiała się dorastając, kto mógłby być jej matką?

- Wiesz o czym myślę, Bernie. Zena słyszała wiele historii o tym, że jej rodzina miała dwunastu służących, konie i pojazdy... o balach bożonarodzeniowych, myśliwskich śniadaniach, uroczystych bankietach i cudownych przyjęciach z wojskowymi orkiestrami i utytułowanymi gośćmi tańczącymi na zewnątrz pod gołym niebem... Zena jest wciąż bardzo młoda, Bernardzie. Nie chce uwierzyć, że to wszystko bezpowrotnie minęło.

- Lepiej jej to wytłumacz. Zarówno ze względu na nią, jak i na ciebie.

- Jest jeszcze dzieckiem, Bernie. Dlatego kocham ją tak bardzo. Kocham ją za to, że wierzy we wszystkie rodzaje bajek.

- Nie myśli chyba poważnie, że tam wróci?

- Tak, w swoim czasie. Jednak nie uo Prus Wschodnich.

- Mówi z akcentem - powiedziałem.

Werner spojrzał na mnie, jak gdybym poruszył jakiś intymny aspekt dotyczący jego żony, o którym nie powinienem był wiedzieć. - Tak, przejęła go od swojej rodziny. Czy to nie dziwne?

- Nie bardzo - powiedziałem. - Sam po trosze wytłumaczyłeś, dlaczego. Jest zdecydowana żyć marzeniami.

- Masz rację - rzekł Werner, który w wieku nastolatka, jak każdy, przeżył flirt z Freudem, Adlerem i Jungiem. - Pragnienie tkwi w jej podświadomości, lecz fakt, że wybrała mowę jako najbardziej odpowiedni środek dla jego wyrażenia, świadczy o tym, że chce je ujawnić.

Och, mój Boże, pomyślałem. Sam go sprowokowałem. Werner dający wykład z filozofii był jednym z najbardziej myślowo skotniałych doświadczeń znanych nauce.

Spojrzałem w bok, gdzie towarzystwo kończyło już deser i zamawiało kawę i brandy, która miała być podana w barze. Osmund nie spieszył się jednak. Wzniósł kieliszek proponując kolejny toast. Pokiwał niecierpliwie na sugestię Konrada, żeby udali się do następnej sali. - Słowa naszego nieśmiertelnego Goethego - rzekł Osmund - przemawiają do każdej niemieckiej duszy: *Gebraucht der Zeit. Sie geht so schnell von hinnen; doch Ordnung lehrt euch Zeit gewinnen.*

Odezwały się pomruki aprobaty i uznania. Potem wszyscy wypili za Goethego. Gdy odchodzili grupą do baru, powiedziałem do Wenera: - Nigdy bardziej nie czuję się Anglikiem niż gdy ktoś cytuje waszych wielkich niemieckich poetów.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Werner, z więcej niż śladem oburzenia.

- Takie idee zyskałyby sobie niewielu wyznawców w Anglii, bez względu na poziom wykształcenia, zamożności czy zaangażowania w sprawy polityki. Biorąc pod uwagę to, co nasz przyjaciel wygłosił tu tak dumnie. W angielskim byłoby to czymś w rodzaju: „Zajmij każdą chwilę, która tak szybko przemija”... Jak dotąd, w porządku. Lecz dalej „...niech uczy cię porządek, jak przewycięzać szybki bieg czasu”.

- To kiepskie tłumaczenie - rzekł Werner. - W tym kontekście *gewinnen* znaczy prawdopodobnie „wydobyć” lub „zdobyć”.

- Zwracam uwagę, drogi Wenerze, że jest to naturalna niechęć, jaką by poczuł każdy Anglik na wyobrażenie narzuconego uporządkowania jego czasu, szczególnie wolnego czasu i jak dano tu do zrozumienia, jego czasu na emeryturze...

- Dlaczego?

- Dla Anglików porządek nie idzie w parze z czasem wolnym. Lubią nieład i zamęt. Lubią dłużyć przy łodziach lub drzemać w leżakach na plaży, czy grzebać w ogrodach albo czytać gazety i książki w papierowych okładkach.

- Czy usiłujesz mnie przekonać, jak bardzo jesteś angielski?

- Henry Tiptree jest w Berlinie - powiedziałem. - Jest wielkim przyjacielem.

- Wiem, kim jest - rzekł Werner.

- Tiptree pytał mnie, czy nie jestem Niemcem.

- A jesteś?

- Czuję się Niemcem, gdy jestem z takimi ludźmi jak Tiptree - powiedziałem. Konrad podszedł do stołu wymachując menu. Przyglądał się Wenerowi z wielkim zainteresowaniem.

- Jeśli więc Tiptree zacznie cytować ci Goethego, załamiesz się nerwowo - stwierdził Werner. - Czy chcesz deser? Ja nie mam ochoty, a ty jesteś zbyt gruby.

- Tylko kawę - powiedziałem. - Nie wiem, kim jestem. Patrzę na tych ludzi ze Śląska. Opowiadasz mi o rodzinie Zeny. Przyglądam się sobie i zastanawiam, gdzie jest naprawdę mój dom. Czy rozumiesz o czym mówię?

- Pewnie, że rozumiem. Jestem Żydem. - Spojrzał na Konrada. - Dwie kawy i dwa sznapsy.

Konrad nie ponaglał nas do opuszczenia jadalni, gdy przyniósł zamówione napoje. Nalał kawę i postawił dwa niewielkie kieliszki przezroczyściego sznapsa, a butelkę postawił na

stole. Pochodziła z tutejszej manufaktury. Konrad zdawał się myśleć, że każdemu, kto przybywał „stamtąd”, potrzebna była olbrzymia ilość alkoholu. Musiałem zaczekać, aż zostaniemy całkiem sami, aby móc przystąpić do sprawy. Rozejrzałem się wokół sali, żeby upewnić się, że nie ma nikogo, kto mógłby nas słyszeć. Byliśmy sami. Z sąsiedniej sali dobiegały nas podniesione głosy Ślązaków. - Co ze Stinnesem?

Werner potarł jedną dłoń o drugą i powąchał je. Wciąż pachniały wędzonym węgorem. Nalał trochę alkoholu na obrus i wytarł palce wilgotnym materiałem. - Kiedy jechałem tam, myślałem, że to będzie strata czasu.

- Tak myślałeś, Werner?

- Pomyślałem, że jeśli Londyn chce, abym tam pojechał i wypocił jakiś raport, to jestem zobowiązany to zrobić. Nie wierzyłem jednak, żebym dowiedział się wiele o Stinnesie. Co więcej, byłem przekonany, że Stinnes wyprowadza nas w pole.

- A teraz?

- Zmieniłem zdanie w obu wypadkach.

- Co się stało?

- Niepokoisz się o niego, prawda? - powiedział Werner.

- Nic mnie nie obchodzi. Chcę tylko wiedzieć. - Utożsamiasz się z nim.

- Nie bądź śmieszny - powiedziałem.

- Urodził się w 1943, w tym samym roku co ty. Jego ojciec był w armii okupacyjnej, tak jak twój. Chodził do szkoły cywilnej w Niemczech podobnie jak ty. Jest starszym oficerem wywiadu ze specjalnością niemiecką, tak jak ty ze strony brytyjskiej. Ty się z nim utożsamiasz.

- Nie zamierzam klócić się z tobą, Werner, wiesz jednak równie dobrze jak ja, że mógłbym przedstawić listę przykładów na kilometr długą wskazującą, że opowiadasz nonsensy.

- Na przykład?

- Stinnes od wielu lat ma specjalizację z językiem hiszpańskim i prawdopodobnie był ekspertem KGB na Kubie. Założę się z tobą, że jeśli był związany pracą dla Moskwy, to właśnie w związku z Kubą.

- Stinnes nie dlatego pojechał na Kubę, że mówi po hiszpańsku - rzekł Werner. - Został tam wysłany głównie dlatego, że był jednym z moskiewskich ekspertów do spraw wyznania rzymskokatolickiego. Był w Biurze do Spraw Religii, w 44 sekcji. W tych czasach Biuro składało się z dwóch pracowników i psa. Teraz, gdy Kościół w Polsce odgrywa

poważną rolę w polityce, Biuro jest duże i ma istotne znaczenie. Stinnes od wielu lat nie pracuje już dla 44 sekcji. Żona namówiła go, żeby podjął pracę w Berlinie.

- Jak się układa, Werner, jego małżeństwo?

- Stinnes zawsze był kobieciarzem. Trudno w to uwierzyć, gdy się patrzy na niego, kobiety jednak są dziwnymi stworzeniami, obaj o tym wiemy, Bernie.

- Czy rozwodzi się?

- Wszystko wydaje się być dokładnie takie jak opisał Stinnes. Mieszkają w domu, nie w mieszkaniu, w domu na wsi, niedaleko od Werneuchen.

- Gdzie to jest?

- Na północny wschód, za granicami miasta. Ostatnia stacja jest w S-Bahn. Pociągi elektryczne jeżdżą tylko do Marzahn, inna komunikacja funkcjonuje o wiele dalej.

- Cholernie osobliwe miejsce do życia.

- Jego żona jest Niemką, Bernie. Wróciła z Moskwy, ponieważ nie zdołała nauczyć się mówić po rosyjsku. Nie chciała mieszkać z innymi rosyjskimi żonami.

- Czy pojechałeś tam?

- Widziałem się z żoną. Powiedziałem, że sporządzam spis ludności dla potrzeb komunikacji autobusowej. Pytałem, jak często jeździ do Berlina i jakim środkiem lokomocji.

- Chryste. To niebezpieczne, Werner.

- Wszystko w porządku, Bernie. Sądzę, że była zadowolona, że może z kimś porozmawiać.

- Nigdy więcej nie rób czegoś takiego, Werner. Znajdą się ludzie, którzy zrobią to dla ciebie, posiadający dokumenty i poparcie. A gdyby posłała po policję i musiałbyś okazać dokumenty?

- Wszystko w porządku, Bernie. Nie zamierzała po nikogo wysłać. Leczyła posiniaczoną twarz, która w okolicach oka przybierała czarną barwę. Twierdziła, że upadła, ale to Stinnes ją uderzył.

- Co takiego?

- Teraz rozumiesz, dlaczego stało się lepiej, że sam tam poszedłem? Rozmawiałem z nią. Powiedziała, że ma nadzieję wrócić do Lipska. Pochodzi z wioski pod Lipskiem. Mieszkają tam jej dwie siostry i brat. Nie może się doczekać, żeby tam wrócić. Powiedziała mi, że nienawidzi Berlina. Żony mówią tak jedynie wówczas, kiedy nienawidzą mężów. To wszystko razem pasuje, Bernie.

- Sądziś więc, że Stinnes jest uczciwy? Został pominięty w awansie i zamierza się rozwieść?

- Nie wiem nic o perspektywach awansu - powiedział Werner. - Małżeństwo na pewno jest skończone. Byłem we wszystkich domach na tej małej ulicy. Wszyscy sąsiedzi są Niemcami. Rozmawiali ze mną. Słyszeli kłótnie Stinnesa z żoną, a noc przedtem, nim zobaczyłem ją z poobijaną twarzą, słyszeli krzyki i huk rozbijanych przedmiotów. Walczyli ze sobą, Bernie, to pewne. Powodem było spotykanie się Stinnesa z innymi kobietami.

- Pozwól, że nie podzielę twojego zdania. Ta historia - kłótnie z żoną, uganianie się za kobietami i brak perspektyw w pracy, jest zaaranżowana przez KGB jako część ich planu. Zaprowadzą nas w pułapkę w najlepszym razie po to, żeby się przekonać, do czego zmierzamy. W najgorszym, podejmą próbę porwania jednego z nas.

- Porwania? Nie porwali mnie, chociaż dwukrotnie byłem na punkcie kontrolnym. Nie widzę również powodu, żeby mieli porwać Dicky'ego. Dlaczego nie powiesz wprost, że masz na myśli siebie?

- Zgoda, przypuśćmy, że myślę o sobie.

- Nie, Bernie. To nie była część planu. Stinnes uderzył pięścią swoją żonę w twarz. Nie powiesz mi, że zrobił to, ażeby zrealizować część planu.

Nie odpowiedziałem. Wyjrzałem przez okno. Robotnicy wrócili z obiadu do pracy nad rozbiórką. Spojrzałem na zegarek: dokładnie czterdzieści pięć minut. Tacy są właśnie Niemcy. Werner dowodził dalej: - Nikt nie idzie do domu i nie bije żony tylko po to, aby zgadzały się fakty w historii wymyślonej przez szefa.

- Przypuśćmy, że wszystko jest częścią jakiegoś dużego planu. Może w takim wypadku to opłacało się.

- Dlaczego nie chcesz przyznać się do tego, że jesteś w błędzie? Nawet gdyby sądzili, że zdołają zdobyć największe tajemnice świata, Werner nie uderzyłby z tego powodu swojej żony pięścią.

- Skąd ta pewność?

- Bernie - powiedział Werner spokojnie. - Czy wzięłeś pod uwagę szansę mojej bytności w ich domu i zobaczenia jej potłuczonej twarzy? Jedna na milion. Gdybyśmy snuli rozważania na podstawie plotek, możliwe, że zgodziłbym się z tobą. Gdybym opierał się jedynie na opiniach sąsiadów, mógłbym również z tobą się zgodzić. Mężczyzna nie rozbija jednak twarzy swojej żonie z powodu szansy jednej na milion, że wrogi agent podejmie, jak to nazwałeś, wielkie ryzyko.

- Masz rację, Werner.

Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę. Przypuszczam, że zastanawiał się, czy opowiedzieć mi całą resztę. W końcu powiedział: - Jeśli chcesz usłyszeć, co naprawdę o tym sędzę, to jesteśmy prawie w domu.

- Tak sądzisz, Werner? - Teraz, kiedy ostatnia ściana została zwalona, zaczęto spychać buldożerem kamienie na kupy.

- Myślę, że Stinnes był szefem w Berlinie, dopóki twoja żona nie przejęła wydziału. Powiedziała ci, że Stinnes jest jej starszym asystentem...

- Co z pewnością nie jest prawdą. Gdyby tak rzeczywiście było, ja byłbym ostatnią osobą, którą by o tym poinformowała.

- Sądzę, że wyrzuciła Stinnesa. Myślę, że wysłała go do Mexico, żeby się go pozbyć. Czy nie jest zawsze tak, że gdy nowy szef obejmuje departament, pozbywa się wszystkich swoich pracowników na wysokich stanowiskach razem z ich projektami?

- Być może. - Patrzyłem na robotników. Zawsze uważałem, że stare budynki były lepsze od nowych; solidniejsze i lepiej zbudowane, lecz ten był równie marny jak nowe, montowane przez chciwych spekulantów.

- Wiesz, jaka jest Fiona. Nie bała się Stinnesa jako konkurenta.

Mogła jednak to zrobić.

- Wiele myślałem o tym, co mogła Fiona zrobić - powiedziałem. - Sądzę, że nie mylisz się; chciała się go pozbyć. Może nawet na zawsze. - Werner spojrział czekając na ciąg dalszy. - Pozbyć się go pozwalając, żeby został skaperowany.

Werner zamknął oczy wciskając nos między kciuk a palec wskazujący. - Zbyt naciągane, Bernie - powiedział. - Pojechała do Londynu, żeby cię odwieść od tego zamiaru. Sam mi o tym powiedziałeś. - Miał nadal zamknięte oczy.

- To mogło być sprytne posunięcie; wiedziała, że nie wywrze żadnego wpływu na mnie.

- A jej usiłowania porwania dzieci?

- Nie było takich usiłowań. Przypominam sobie naszą rozmowę. zaproponowała, że przez rok nie będzie w te sprawy ingerować.

Otworzył oczy i patrzył na mnie dopowiadając: - Pod warunkiem, że Stinnesa zostawi się w spokoju.

- Tak, ale wszystko było przedstawione w formie negatywnej, a Fiona nigdy w ten sposób nie stawiała sprawy. Spodziewałbym się po niej, że powie mi, co mam zrobić i co ona zrobi w zamian za to. Taką jest osoba: lubi zawierać transakcje. Sądzę, że zależy jej na tym, żebyśmy skaperowali Stinnesa. Myślę, że chce się go pozbyć na stałe. Gdyby rzeczywiście

chciała przeciwdziałać naszym planom, wysłałaby go gdzieś, gdzie byłby poza naszym zasięgiem.

- A zabójstwo tego chłopca - MacKenzie'ego. Jak pasuje do tej teorii?

- Miała cały czas ze sobą świadka, czarnoskórą dziewczynę, byli również inni. Dlatego mówiła w sposób zagadkowy. Nie chciała spotkać się ze mną sama, żeby nie podejrzewano jej o podwójną grę. Sądzę, że decyzja o zabiciu MacKenzie'ego została podjęta przez kogoś innego; grupę wspomagającą. Z pewnością była tam z nią. Wiesz, jak oni pracują.

Werner siedział przez chwilę nieruchomo myśląc o tym. - Ona jest na tyle bezwzględna, że sama mogła to zrobić, Bernie...

- Figa jest - powiedziałem.

Odczekał chwilę. - Wciąż ją kochasz, prawda?

- Nie, nie kocham.

- Bez względu jak to nazwiesz, jest coś, co nie pozwala ci myśleć o niej jasno. To coś w krytycznym momencie powstrzyma cię od zrobienia koniecznego kroku. Może nie miałoby to takiego znaczenia, gdyby nie fakt, że postanowiłeś uwierzyć, że ona jest taka jak ty. Fiona jest bezwzględna, Bernie. Całkowicie oddana pracy dla KGB, bez względu na to, czego od niej zażąda. Spójrz prawdzie w oczy, wyeliminowała bez skrupułów MacKenzie'ego, a jeśli zajdzie potrzeba, zrobi to samo z tobą.

- Jesteś nieuleczalnym romantykiem, Werner - powiedziałem próbując obrócić to w żart, ale siła jego przekonania wstrząsnęła mną. Teraz, gdy Werner powiedział, co sądzi o Fionie, był zakłopotany. Siedzieliśmy obaj w ciszy wyglądając przez okno, jak dwaj obcy w przedziale pociągu. - Henry Tiptree - odezwał się w końcu Werner. - Co chciał?

- Nie lubi superluksusowych hoteli jak *Steigenberger*, z prywatnymi łazienkami, obsługą w pokojach, dyskoteką i wyszukany jedzeniem. Lubi prawdziwy Berlin. Lubi prymitywne warunki u Lisi.

- Bzdury - powiedział Werner.

- Próbował mnie upić któregoś wieczora. Prawdopodobnie myślał, że odkryję przed nim duszę. Dlaczego bzdury? Lubię mieszkać u Lisi i ty też.

Werner nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć na moje pytanie. Obaj wiedzieliśmy, że Henry Tiptree nie był do nas podobny i było mało prawdopodobne, żeby podzielał nasze gusty, od muzyki i jedzenia począwszy, a na samochodach i kobietach skończywszy. - Szpiegował cię - stwierdził Werner. - Frank Harrington przysłał go do Lisi, aby cię szpiegował, to jasne.

- Nie bądź głuptasem, Werner. - Roześmiałem się. To nie było zabawne. Śmiałem się dlatego, że siedziałem przy stole, naprzeciwko Wenera, który był bezpieczny i zdrowy. - Słuchając ciebie można dojść do przekonania, że Frank Harrington rządzi światem. Frank jest tylko Rezydentem w Berlinie. Jedyne, co go interesuje, to piastowanie funkcji kierownika Berlińskiej Jednostki Operacyjnej do czasu emerytury. Nie szkoli swoich szpiegów, żeby ścigali mnie po świecie od Mexico City po *Tante Lisi*, aby mnie upić i stwierdzić, jakie sekrety uda im się ze mnie wycisnąć.

- Zawsze próbujesz zrobić ze mnie głupca.

- Frank niczego od ciebie nie wyciąga. Nie próbuje również ode mnie.

- Kim więc jest Henry Tiptree?

- Jeszcze jednym uroczym absolwentem szkoły przy Biurze Spraw Zagranicznych - powiedziałem. - Pomaga pisać raporty o zasobach armii radzieckiej. Znasz te sprawy: jakie są zamiary polityczne i ekonomiczne sijkutki.

- Nie wierzysz w to - rzekł Werner.

- Wierzę. Dlaczego miałbym nie wierzyć. Departament jest zasypany dokumentami tego typu. Po to sady się lasy, aby dostarczały na nie masę celulozową. Uważam, że cały personel Biura Spraw Zagranicznych nie robi nic innego, tylko wymyśla różne raporty. Czy wiesz, Werner, że w roku 1914 personel Biura Spraw Zagranicznych liczył sto osiemdziesiąt sześć osób plus czterysta pięćdziesiąt osób w zamorskiej służbie dyplomatycznej. Teraz, kiedy straciliśmy imperium, potrzebuje sześć tysięcy urzędników i blisko osiem tysięcy lokalnie zatrudnionego personelu.

Werner spojrział na mnie spod ciężkich powiek. - Zażyj *Valium* i połącz się na chwilę.

- To prawie czternaście tysięcy osób, Werner. Czy musisz się zastanawiać, dlaczego mamy takich Henrych Tiptree włączających się po świecie w poszukiwaniu jakiegoś dla siebie zajęcia?

- Nie lubię go - powiedział Werner. - Jest tu, żeby narobić kłopotów. Zobaczysz.

- Zapytam Franka, kim on jest - zaproponowałem. - Muszę być w dobrych stosunkach z Frankiem. Będzie potrzebna mi jego pomoc, aby trzymał Londyn z dala ode mnie. - Staralem się, żeby zabrzmiało to zupełnie zwyczajnie, w rzeczywistości przerażały mnie wszystkie reperkusje, które powstaną w Departamencie, gdy moja osoba znów wypłynie na powierzchnię... Byłem daleki od pewności, że Frank będzie mógł mi pomóc. A także, czy będzie chciał mi pomóc.

- Czy wracasz samochodem do Berlina? Musiałem oczywiście zostawić samochód na Wschodzie. Zatelefonuję do Zeny i powiem, że będę na kolacji. Czy masz czas, żeby zjeść ją z nami?

- Zena będzie cię chciała mieć tylko dla siebie, Werner. - Na pewno Frank Harrington stanie po mojej stronie. Zawsze pomagał w przeszłości. Mieliśmy ojcowsko-synowskie stosunki, ze wszystkimi burzliwymi utarczkami, które często zdarzały się, ale Frank pomoże. W Departamencie był jedyną osobą, na której zawsze mogłem polegać.

- Nonsens. Zjemy ją wspólnie - powiedział Werner. - Zena lubi przyjmować gości.

- Nie bardzo obchodzi mnie Tiptree - powiedziałem. Oczywiście nie była to prawda. Obchodził mnie. Tak jak ten cały cholerny rozgardiasz, w którym tkwiłem. Fakt, że przeczyłem mojemu zainteresowaniu wystarczył, żeby Werner zrozumiał moje obawy. Patrzył na mnie; sądzę, że martwił się. Uśmiechnąłem się do niego i dodałem: - Wystarczy spędzić dziesięć minut z Tiptree, żeby przekonać się, że jest niezręcznym amatorem. - Czy jednak faktycznie był tylko takim głupim amatorem, zastanawiałem się. Czy był bardzo sprytnym człowiekiem, który wie, jakie trzeba sprawiać wrażenie?

- Amatorzy są najbardziej niebezpieczni - powiedział Werner.

ROZDZIAŁ XVII

Zena Volkmann potrafiła być czarująca, gdy miała nastrój, aby odgrywać uprzejmą panią domu. Tego wieczora powitała nas ubrana w obcisłe szare spodnie i dopasowaną koszulę. Na ten pozbawiony ozdób strój miała założoną kamizelkę w pasy, we wszystkich kolorach tęczy. Misternie upięte wysoko wokół głowy włosy świadczyły o długim czasie spędzonym u fryzjera. Użyła cienia na powieki, a cały makijaż podkreślał kości policzkowe. Wyglądała bardzo ładnie, jednak nie jak przeciętna pani domu witająca męża na kolacji, ale dziewczyna oczekująca, że zostanie zaproszona do drogiego nocnego lokalu. Podwiozłem Wenera do domu w Berlinie-Dahlem, gotów zapomnieć o jego zaproszeniu. Zena oświadczyła jednak, że przygotowała posiłek dla nas trojga i nalegała na tyle szczerze, że zdołała nakłonić mnie do pozostania i na tyle głośno, że Werner mógł być dumny z jej gorącej gościnności.

Trzymając go za ramiona przywitała się bardzo ostrożnie, żeby nie zetrzeć szminki i makijażu, a potem poprawiła mu krawat i strzepnęła pyłek z marynarki. Doskonale wiedziała, jak należy z nim postępować. Była ekspertem w dziedzinie właściwego traktowania mężczyzn. Sądzę, że byłaby zdolna kierować również mną, gdyby jej na tym zależało, ale szczęśliwie jej plany na przyszłość nie obejmowały mojej osoby.

Zwracała się do Wenera o radę we wszystkich sprawach, które jej nie obchodziły i prosiła o pomoc, gdy tylko nadarzała się okazja, żeby zagrać bezradną kobietę. Był wołany do kuchni, żeby otworzyć konserwę i wyjąć gorące rondle z piekarnika. Jedynie Werner potrafił otworzyć butelkę wina i przelać je do karafki. Był proszony, żeby zajrzeć do rożna i ocenić zapach pieczonego kurczęcia oraz pilnować, aż będzie gotowy. Biorąc pod uwagę to, że prawie cała żywność była przygotowana przez Paula Bocuse i pochodziła ze stoiska *Ka De We* oferującego największy na świecie asortyment żywności na sprzedaż, środki ostrożności stosowane przez Zenę były trochę przesadzone. Werner jednak zdawał się nimi upajać.

Gdybym przeczytał wszystkie psychologiczne książki z półki Wenera, mógłbym dojść do przekonania, że Zena jest uosobieniem jego pragnienia posiadania córki lub odbiciem podejrzeń z dzieciństwa o nieskazitelności matki. Zauważyłem, że Wenerowi odpowiadała uległość, a Zena była szczęśliwa mogąc tę rolę dla niego odgrywać. Byłem święcie przekonany, że Zena również nie czytała żadnej z tych książek.

Nie trzeba czytać książek, żeby być sprytnym, a Zena była sprytna jak uliczny łobuziak wdrapujący się pod połę namiotu cyrkowego. Z pewnością mogłaby nauczyć mnie paru rzeczy, co zresztą zrobiła dzisiejszego wieczoru. Samo mieszkanie było interesującym odbiciem ich wzajemnych stosunków. Werner, mimo nieustannych oświadczeń o nadciągającym bankructwie, zawsze był rozrzutny. Zanim jednak poznał Zenę, jego mieszkanie przypominało pokój studencki. Było mieszkaniem kawalera: znajdowało się w nim stare pianino, na którym Werner lubił grywać *Dym dostaje ci się do oczu* oraz duże, ciężkie krzesła z połamanymi sprężynami, których stare, w kwiatowe wzory obicia były podziurawione nieostrożnie trzymanymi papierosami. Była nawet przez mole zjedzona skóra tygrysa, która jak znaczna część umeblowania Wenera pochodziła z pchlego targu w opuszczonej stacji *Sobahn* na Tauentzienstrasse. Wyposażenie kuchni w tym czasie składało się głównie z otwieracza do konserw i patelni. Liczba szklanek przewyższała liczbę filiżanek w stosunku pięć do jednej. Teraz było inaczej. Nie było już prawdziwego mieszkania, tylko jedno z tych ogołoconych wnętrz, które fotografuje się dla ilustrowanych magazynów. Oświetlenie padało na sufit i ściany, sofę okrywała udrapowana narzuta. Zielona rośliny, małe dywany, cięte kwiaty i kilka książek rozmieszczono strategicznie, a krzesła były nowoczesne i niewygodne.

Siedzieliśmy wokół stołu jadalnego kończąc główne danie składające się z kurczaka nadziewanego truflami i egzotycznymi ziołami. Zena powiedziała Wenerowi, że wybrał cudowne wino, a on zapytał ją, co robiła w czasie jego nieobecności.

- Jedyne wieczór, o którym warto wspomnieć, to ten spędzony w operze. - Zwróciła się do mnie mówiąc: - Werner nie lubi opery. Zabieranie Wenera do opery, to tak jak usiłowanie nauczenia tańca niedźwiedzia.

- Nie poszłaś sama? - zapytał Werner.

- O tym właśnie zamierzam wam opowiedzieć. Telefonował Erich Stinnes. Nie powiedziałam, że cię nie ma, Werner. Nie chciałam, żeby wiedział, że wyjechałeś. Nie chciałam, żeby ktokolwiek wiedział, że jesteś poza domem.

- Erich Stinnes? - zapytał Werner.

- Telefonował. Wiesz, jaki on jest. Powiedział, że ma dwa bilety do opery. Jeden dla ciebie, Werner, a drugi dla mnie. Pomyślałam, że to bardzo ładnie z jego strony. Powiedział, że to w rewanżu za te wszystkie kolacje, na których u nas bywał.

- Nie było ich tak wiele - rzekł ponuro Werner.

- Był tylko grzeczny, kochanie. Powiedziałam mu więc, że wrócisz późno, ale że ja pójdę z ochotą.

Spojrzeliliśmy na siebie z Wernerem. W każdej innej sytuacji taka wymiana spojrzeń między dwoma mężczyznami mogłaby być podaniem w wątpliwość wierności żony. Werner i ja myśleliśmy jednak o czym innym. Zatrwożona twarz Wenera wyrażała obawę, że Stinnes wiedział o tym, że Zena jest sama, ponieważ śledził go po tamtej stronie, we wschodnim sektorze miasta. Zena przenosiła wzrok z jednego na drugiego. - O co chodzi? - zapytała.

- Opera - powiedział Werner niejasno analizując w myślach kroki od Berlina przez mroczne wioski do granicy i usiłując przypomnieć sobie wszystkie światła reflektorów na drodze za sobą, cień w drzwiach, postać na ulicy lub jedno z tysiąca przeoczeń, których ofiarami stają się nawet najlepsi z agentów.

- Przysłał samochód - powiedziała Zena. - Tuż przed jego przybyciem byłam pełna obaw. Zastanawiałam się, czy nie podjedzie do drzwi frontowych z kierowcą w rosyjskim mundurze i flagą z sierpem i młotem na samochodzie - zachichotała. - Byliśmy na „Czarodziejskim Flecie” Mozarta. W Operze Komicznej. Jest to przyjemny mały teatr, nigdy nie byłeś w nim? Wiele osób ze strefy zachodniej przyjeżdża tam wieczorem. Było kilku brytyjskich oficerów we wspaniałych mundurach i mnóstwo kobiet w długich sukniach. Czułam się źle ubrana jak nigdy. Musimy tam razem pójść, Werner. To było cudowne.

- Stinnes jest żonaty - zauważył Werner.

- Nie bądź taki pruderyjny, Werner. Wiem o tym. Oboje słyszeliśmy, jak opowiadał o swoim nieudanym małżeństwie dostatecznie dużo, abym mogła o nim zapomnieć.

- Czy nie sądzisz, że to było dziwne zachowanie?

- Och, Werner, kochany, jak możesz tak mówić. Słyszał, jak mówiłam, że bardzo lubię operę. Erich zapytał, czy ty też lubisz i odpowiedziałeś, że tak.

- Prawdopodobnie nie słuchałem go - powiedział Werner.

- Wiem, że go nie słuchałeś. Omal nie zasnąłeś. Musiałam cię kopać pod stołem.

- Musisz być bardzo ostrożna z Erichem Stinnesem - rzekł Werner. Uśmiechnął się, zdecydowany nie gniewać się na nią. - To nie jest grzeczny dżentelmen, za jakiego chciałby uchodzić. Jest w KGB, Zena, a wszyscy ci czekaści są niebezpieczni.

- Mam strudel jabłkowy i czekoladki ze stoiska *Lenotre* w *Ka De We*, te, które lubisz. Praliny. Czy chcesz kawałek strudla? A ty, Bernardzie?

- Poproszę i to, i to - odpowiedziałem.

- Strudel z bitą śmietaną? Czy kawę podać równocześnie? - zapytała Zena.

- Wyjęłaś te słowa z moich ust - stwierdziłem.

- Stinnes rozgrywa niebezpieczną grę - mówił dalej Werner. - Nikt nie wie, do czego on rzeczywiście zmierza. Co by było, gdyby zatrzymał cię jako zakładniczkę tam, po stronie wschodniej?

Zena objęła się ramionami i skrzywiła mówiąc: - Obiecanki cacanki.

- To nie jest zabawa - rzekł Werner. - Tak mogło się stać.

- Potrafię postępować z Erichem Stinnesem - powiedziała. - Rozumiem go lepiej niż wy mężczyźni kiedykolwiek moglibyście go zrozumieć. Powinniście prosić o pomoc kobietę, jeśli rzeczywiście chcecie zrozumieć męczyznę jego pokroju.

- Rozumiem go doskonale - Werner zawołał za nią, gdy zniknęła w kuchni, aby przynieść jabłkowy strudel i włączyć ekspres do kawy. Dodał cicho w moim kierunku: - Może rozumiem go zbyt dobrze.

Zadzwoił telefon. Odebrał go Werner. Burknął w słuchawkę, w niespotykany dla przyjacielskiego zawsze Wenera, sposób. - Tak, jest tutaj, Frank - powiedział.

Frank Harrington. Ze wszystkich mieszkańców Berlina znałem tylko jednego, którego naprawdę Werner nie lubił, a był to szef Berlińskiej Jednostki Operacyjnej. Nie wróżyło to dobrze przyszłej służbie Wenera w Departamencie; ze względu na niego miałem nadzieję, że Frank wkrótce pójdzie na emeryturę.

Wziąłem słuchawkę. - Hallo, Frank, mówi Bernard.- Szukałem cię wszędzie, Bernardzie. Dlaczego u diabła nie zatelefonujesz do mojego biura, gdy jesteś w mieście i nie zostawisz numeru, pod którym można cię znaleźć.

- Mieszkam u Lisi - powiedziałem. - Zawsze tam jestem.

- Nie zawsze jesteś u Lisi - rzekł Frank. Był zły. - Nie ma cię u niej teraz i nie było przez trzy ostatnie noce.

- Nie było mnie w Berlinie trzy dni - powiedziałem. - Nie prosiłeś o to, żebym informował cię każdego wieczoru, w którym miejscu świata przebywam, prawda? Nawet moja matka nie oczekuje tego ode mnie, Frank.

- Dicky twierdzi, że opuściłeś Londyn nawet nie mówiąc mu, że dokądś się wybierasz.

- Dicky tak powiedział?

- Tak - wrzeszczał Frank - tak powiedział.

- Dicky ma fatalną pamięć, Frank. W zeszłym roku zapisał się na korespondencyjny kurs poprawy pamięci, którego ogłoszenia reklamowe są drukowane w nowojorskich czasopismach. Nie wydaje się, aby wpłynął on na jakąś poprawę.

- Nie jestem w nastroju do żartów - powiedział Frank. - Masz być jutro u mnie w biurze, o dziesiątej rano, na pewno.

- Zamierzałem z tobą się skontaktować, Frank.

- Jutro rano o dziesiątej w moim biurze - powtórzył Frank. - Nie życzę sobie również, żebyś pił przez całą noc u Lisi w barze. Zrozumiałeś?

- Tak, zrozumiałem, Frank - odpowiedziałem.: Przekaż ukłony żonie. - Odłożyłem słuchawkę.

Werner patrzył na mnie.

- Frank zbeształ mnie - wyjaśniłem. - Nie upij się w barze Lisi, powiedział. Prawdopodobnie rozmawiał z tym gościem, Tiptree.

- On cię szpieguje - powiedział Werner z udawanym znużeniem. - Ile czasu upłynie, zanim zaczniesz mi wierzyć?

Zena pojawiła się ponownie z tacą, na której znajdował się mój kawałek strudla jabłkowego, bita śmietana, kawa oraz mały talerzyk z czekoladkami. - Kto telefonował? - zapytała.

- Frank Harrington - odparł Werner. - Chciał rozmawiać z Bernim.

Skinęła głową potwierdzając, że słyszy i zajęła się zestawieniem zawartości tacy na stół. Następnie, gdy uporała się już z tym zadaniem, podniosła głowę i powiedziała: - Oferują Stinnesowi ćwierć miliona za zdradę.

- Co takiego? - zapytał oszołomiony Werner.

- Słyszałeś mnie, kochanie. Centrala w Londynie oferuje Erichowi Stinnesowi ćwierć miliona dolarów za zdradę. - Była świadoma wagi informacji. Odniosłem wrażenie, że

głównym powodem namawiania mnie do pozostania na kolacji była chęć ujżenia mojej reakcji w momencie, gdy zakomunikuje nowinę.

- Śmieszne - rzekł Werner. - Czy wiesz coś na ten temat, Bernie?

Zena nie dała mi szansy, żebym ją ubiegł. - Jest to globalna suma, obejmująca cenę samochodu i inne wydatki. Nie będzie jednak opodatkowana i nie będzie obejmować ceny domu z dwoma sypialniami, który dla niego przewidują. Będzie niezależny. Postanowił nie prosić żony, żeby z nim pojechała. Nie zamierza nawet powiedzieć jej o tej propozycji. Boi się, że doniesie na niego. Nie mogą dojść do porozumienia. Klóć się.

- Ćwierć miliona dolarów - powiedział Werner. - To prawie siedemset tysięcy marek. - Nie wierzę w to.

Zena postawiła przede mną strudel i wzięła do ręki bitą śmietaną. - Czy chcesz śmietaną do kawy, Werner? - Nalała filiżankę kawy i podała ją mężowi.

- Cóż, jest to prawda, czy chcesz w nią wierzyć, czy nie. Tyle mu zaofierowali.

- Nic o tym nie słyszałem, Zena - powiedziałem. - Powierzono mi całą tę sprawę, lecz nie słyszałem o tak dużej globalnej kwocie. Gdyby zamierzali zaofierować mi ćwierć miliona, sądzę, że powiedzieliby mi o tym, nie wydaje ci się?

Postawiłem retoryczne pytanie, jednak Zena na nie odpowiedziała. - Nie, mój drogi Bernardzie. Jestem całkiem pewna, że nie powiedzieliby ci.

- Dlaczego nie? - zapytałem.

- Zastanów się - rzekła. - Jesteś wyższym urzędnikiem w londyńskiej Centrali, ważniejszym może niż Stinnes.

- O wiele ważniejszym - powiedziałem z ustami pełnymi strudla.

- Dokładnie tak - powiedziała. - Jeśli więc Erich jest wart ćwierć miliona dolarów dla Londynu, ty byłbyś wart tyle samo dla Moskwy.

Minęła chwila, a może dwie, nim zrozumiałem, co chce powiedzieć. Uśmiechnąłem się szeroko na myśl o tym. - Sądysz, że Londyn obawiał się, że odkryję swoją wartość i ucieknę do Moskwy?

- Oczywiście - powiedziała Zena. Miała dwadzieścia jeden lat. Świat wydawał się jej wspaniale prosty, tak jak mnie, gdy byłem w jej wieku. - Potrzebuję więcej niż ćwierć miliona, żeby złagodzić perspektywę spędzenia reszty życia w Moskwie - powiedziałem.

- Nie wykręcaj się - rzekła. - Czy naprawdę sądzisz, że Erich spędzi resztę życia w Londynie?

- Tak mi powiedziałaś. - Zjadłem do końca strudel, który popiłem małymi łykami kawy. Była bardzo mocna. Zena lubiła taką, ale ja dodałem śmietankę do mojej. To samo zrobił Werner.

Otarł twarz, wziął kawę i usiadł w fotelu. Wyglądał na bardzo zmęczonego. - Rozumiesz, co Zena ma na myśli, Bernie? - Patrzył to na Zenę, to na mnie, mając nadzieję, że uda się zachować spokój.

- Nie - powiedziałem.

- Rozwijając to założenie, czysto hipotetyczne - powiedział usprawiedliwiająco - Moskwa będzie chciała dogłębnie cię przeszkolić. Może to zająć sześć miesięcy, dwanaście maksimum.

- A co potem? Rozwijając dalej czysto hipotetyczne założenie, co stanie się ze mną potem?

- Nowa tożsamość. Teraz, kiedy KGB ma fabrykę, w której dokonuje się fałszerstw w pobliżu lotniska w Schönefeld, potrafią spreparować dokumenty, których autentyczności nie jest w stanie podważyć prawie żadna kontrola. Rozumiesz, niemiecka jakość. - Uśmiechnął się niepewnie, aby obrócić to wszystko w żart.

- Niemiecka jakość - powtórzyłem. - Rosjanie siedzą w tym od 1945 r. Pozbierali rozproszone pozostałości jednostek SS Amt VI F z berlińskiej Delbruckstrasse i wykorzystując znajdującą się w pobliżu Spechthausen bei Eberswalde fabrykę papieru i fałszerzy zamieszkujących w znajdującym się również blisko obozie koncentracyjnym Oranienburg, produkują doskonałe fałszywe dokumenty i pieniądze: od szwedzkich paszportów począwszy a na pięciofuntowych banknotach brytyjskich skończywszy. Znakomicie sfalszowane dokumenty i nowa tożsamość. A do tego nieograniczona ilość fałszywych pieniędzy. To cudowna wizja, Werner.

Spojrzał na mnie spod swoich ciężkich powiek i powiedział: - Ci, co przeszli na stronę Moskwy, kończą w dziwnych miejscach, Bernie. Ty i ja znamy niektórych rezydentów w Kapsztadzie, Rzymie i, gdzie mieszkał ostatni ze znanych nam, w Boliwii? Od czasu, kiedy widzieliśmy ich po raz ostatni, zmienili nagle i z powodzeniem swoje nazwiska i zajęcia.

- Za ćwierć miliona dolarów mam spędzić resztę życia w Kapsztadzie, Rzymie czy Boliwii? - zapytałem.

- Zena nie sugerowała, że zrobisz to za tę kwotę, Bernie.

- Nie sugerowała? Co miałaś na myśli, Zena? - zapytałem.

- Nie powinieneś się czuć dotknięty - stwierdziła. - Słyszałeś, co powiedziałam i wiesz, że to prawda. Centrala w Londynie boi się tego, co możesz zrobić. Nie mówiłam, że czuję to co oni. Londyn nie ufa nikomu. Nie ufają Wernerowi, nie ufają tobie, nie ufają mnie.

- Skąd wiesz, że nie ufają tobie?

Zena dotknęła naszyjnika i wygładziła kołnierzyk w jedwabnym zakiecie z wielką dbałością o swój wygląd patrząc zamyślona na pokój, jak gdyby zaprzętały ją inne, ważniejsze sprawy. - Nie chcę, żebym była ich pośrednikiem w kontaktach ze Stinnesem. Pytałam o to Dicky'ego Cruyera. Zignorował moje pytanie. Przedtem, tego samego wieczoru, przedstawiłam tobie ten pomysł. Ale zmieniłeś temat.

- Czy jesteś pewna, że Erich Stinnes ma tylko jedno dziecko? - zapytałem.

- Ma tylko osiemnastoletniego syna. Może teraz już dziewiętnastoletniego. Nie dostał się na Uniwersytet Berliński w zeszłym roku, pomimo bardzo wysokich ocen. Komunistyczny system daje pierwszeństwo dzieciom robotników. Erich był wściekły.

Wstałem od stołu i podszedłem do okna, aby przez nie wyrzeć. Był zmrok. Z mieszkania Wenera, znajdującego się na modnym berlińskim przedmieściu Dahlem, roztaczał się widok na inne drogie mieszkania w blokach. Między nimi majaczył ciemny, porośnięty drzewami szczyt Griinewaldu, parku ciągnącego się około sześciu kilometrów do szerokiej rzeki Haveli. W słoneczny dzień, gdy okna są szeroko otwarte, słodkie, ciepłe powietrze może zaspokoić każde zapotrzebowanie na słynny *Berliner Luft*. Teraz jednak było prawie ciemno i deszcz uderzał o szyby.

Prowokacyjne uwagi Zeny zdenerwowały mnie. Dlaczego Londyn nie poinformował mnie o ofercie złożonej Stinnesowi? Nie byłem oficerem zatrudnionym przy dokumentowaniu zwykłych operacji. Było to przejęcie agenta - najniebezpieczniejsza ze wszystkich gier. Według przyjętego zwyczaju prowadzący to przedsięwzięcie musiał być o wszystkim informowany. Zastanawiałem się, czy Dicky wiedział o jednej czwartej miliona dolarów. Szybko jednak doszedłem do przekonania, że musiał wiedzieć, gdyż jako szef Niemieckiej Sekcji musiał podpisać zlecenie wypłaty. Ćwierć miliona dolarów obciążało wydatki Departamentu, dopóki nie napłynęły środki z Funduszu Centralnego.

Ścieki uliczne, przepełnione wodą deszczową, odbijały światła miejskich lamp tworząc linię księżyców, nieustannie niszczoną przez przejeżdżające samochody. W każdym z zaparkowanych pojazdów mogła ukrywać się grupa dochodzeniowa. W każdym oknie mieszkania po przeciwnej stronie ulicy mogła znajdować się ukryta kamera z soczewkami o dużej długości ogniskowych i mikrofony z parabolicznymi reflektorami. W którym momencie uzasadniona roztropność staje się kliniczną paranoją? W którym momencie zaufany

pracownik staje się „niepewny”, aż krańcowo „nie może być zatrudniony w sprawach najwyższej wagi”?

Zasłoniłem okno i odwróciłem się do Zeny. - Jak wściekły? - zapytałem. - Czy na tyle, żeby wysłać swojego syna na zachodni uniwersytet?

- To nie ma nic wspólnego ze mną - odpowiedziała. - Zapytaj go sam.

- Potrzebna jest nam każda pomoc - zwrócił się do niej Werner łagodnie.

- Syn Stinnesa wrócił do swojej matki w Rosji, pierwszej żony Ericha.

- Zdystansowałaś nas w informacjach, Zena - przyznałem. - W komputerze nie ma żadnych wiadomości na temat pierwszej żony Stinnesa.

Wyraźnie ucieszyło ją to stwierdzenie. - Ma tylko jedno dziecko. Pierwsza żona była Rosjanką. Małżeństwo zostało rozwiązane dawno temu. Przez ostatni rok syn mieszkał ze Stinnesem i jego drugą żoną. Chciał nauczyć się niemieckiego. Teraz wrócił do Moskwy, do matki. Mają krewnych, którzy sądzą, że zdołają umieścić chłopca na Uniwersytecie Moskiewskim, więc pospiesznie poleciał do Moskwy. Oszalał na punkcie dostania się na studia.

- Gdybyś była na jego miejscu, oszalałabyś również - powiedziałem. - Absolwenci szkół średnich, którym to nie udało się, są wysyłani do fizycznej lub urzędniczej pracy w farmach i fabrykach wszędzie tam, gdzie tylko są potrzebni pracownicy. Co więcej, podlegałyby obowiązkowi służby wojskowej, podczas gdy studenci uniwersyteccy są z niej zwolnieni.

- Matka ma kontakty w Moskwie. Zdobędzie dla niego miejsce.

- Czy Stinnes jest przywiązany do chłopca? - zapytałem. Byłem zdumiony, ile informacji przymilnym zachowaniem zdołała wydobyć z małomównego Ericha Stinnesa.

- Często się kłóca - odparła. - Jest w wieku, w którym synowie kłócą się z ojcami. Takie są prawa natury, że świeżo upierzone ptaki odfruwają z gniazda.

- Sądysz więc, że Stinnes przystanie na naszą propozycję? - zapytał Werner. Jego stosunek do skaperowania Stinnesa był wciąż ambiwalentny.

- Nie wiem - powiedziała. Zauważyłem, że poczuła się dotknięta z powodu sposobu, w jaki Werner napierał, żeby ujawniła wszystko co wie o Stinnesie. Uważała może, że są to informacje, za które Londyn powinien zapłacić. - Wciąż nad tym się zastanawia. Jeśli jednak nie zgodzi się, to nie z powodu żony czy syna.

- Co będzie czynnikiem decydującym? - Podniosłem dzbanek z kawą. - Czy ktoś życzy sobie jeszcze kawy?

Werner potrząsnął głową. Zena wyciągnęła filiżankę w moim kierunku, moje obojętne zachowanie nie zmieniło faktu, że nie czuła się szczęśliwa przekazując mi za darmo informacje. - Ma czterdzieści lat - powiedziała. - Czy nie w tym wieku mężczyźni zwykli przeżywać kryzys, związany z półmetkiem życia?

- Tak sądzisz?

- Czy nie w tym wieku mężczyźni zadają sobie pytania, co osiągnęli oraz czy wybrali właściwą pracę? - zapytała Zena.

- Oraz właściwą żonę i syna? - dodałem. Zena uśmiechając się kwaśno, przytaknęła.

- Czy kobiety nie przeżywają takiego samego kryzysu? - zapytał Werner.

- Tak, w wieku dwudziestu dziewięciu lat - odpowiedziała i uśmiechnęła się.

- Sądzę, że to zrobi - powiedział Werner. - Mówiłem o tym Berniemu. Zmieniłem o nim zdanie. Myślę, że przejdzie na naszą stronę. - Werner wciąż nie wydawał się być zbyt szczęśliwy z tej perspektywy.

- Powinniście zaoferować mu odpowiednią pracę. Dla takiego człowieka jak Stinnes renta w wysokości jednej czwartej miliona jest czymś niewiele lepszym od propozycji stosu pogrzebowego. Musicie go przekonać, że przejdzie do was, żeby robić coś ważnego. Musicie sprawić, żeby czuł się potrzebny.

- Tak - powiedziałem. Taka filozofia z pewnością zdała egzamin w jej stosunkach z Wernerem. Przypomniałem sobie, że moja żona przeszła do wroga, gdyż obiecano jej stopień pułkownika i stanowisko kierownicze w pracy z takimi ludźmi jak Stinnes. - Co możemy mu oferować? Nie spędził ostatnich dziesięciu lat pełniąc funkcję kapitalistycznej zapory. Jeśli przyjedzie na Zachód, to dlatego, że jest apolityczny. Chciałby zostać policjantem.

- Policjantem? - zapytała Zena gwizdząc szyderczo. - Czy wszyscy siebie tak nazywacie? Czy myślicie, że jesteście grupą tłustych, starych glin pomagających starszkom przechodzić przez jezdnię i informujących turystów, jak z powrotem dotrzeć na dworzec autobusowy? - Dostyc - Werner rzadko decydował się na upomnienie Zeny.

- Wszyscy jesteście tacy sami - powiedziała. - Ty, Bernie, Stinnes, Frank Harrington, Dicky Cruyer...wszyscy, których poznałam. Mali chłopcy odgrywający kowbojów.

- Powiedziałem, skończ już - rzekł Werner. Był zły, jak sądzę z powodu, że byłem świadkiem jej wybuchu, gdyż z pewnością mówiła to już wiele razy przedtem.

- Pif-paf! - zawołała naśladując odgłosy strzelaniny na kowbojskich filmach.

- Ćwierć miliona dolarów - rzekł Werner. - Londynowi musi bardzo na nim zależeć.

- Znalazłam coś w samochodzie Stinnesa - powiedziała Zena.

- Co znalazłaś? - zapytał Werner.

- Pokażę ci - odparła. Weszła do gabinetu z oszklonymi drzwiami, w którym kiedyś Werner trzymał swój model wodolotu Dornier DX. Teraz, podobnie jak wszystkie inne jego modele, został przeniesiony do magazynu w suterenie, a Zena wystawiła na jego miejsce chińskie zwierzątka. Zza nich wyjęła dużą brązową kopertę. - Spójrz na to - powiedziała wyciągając kilka zapisanych na maszynie arkuszy i kładąc je na stole. Wziąłem jeden, a drugi podałem Wernerowi siedzącemu na sofie.

Razem było pięć arkuszy szarego, czerpanego papieru. Obie strony zapisane były pismem maszynowym z pojedynczymi odstępami. Kopie powielono na matrycy rzadko już dzisiaj używanej w krajach zachodnich, wciąż jeszcze mającej duże zastosowanie na Wschodzie. Studiowałem arkusze pod światłem, gdyż niektóre litery nie były wyraźnie odbite i trudno mi było czytać. W tego typu tajnych radzieckich dokumentach bez trudu można było domyślać się o jakie nieczytelne bądź niezrozumiałe fragmenty chodzi.

- Co to jest? - zapytała Zena. - Nie znam rosyjskiego. Czy to jest tajne?

- Gdzie to dokładnie znajdowało się? - zapytałem.

- W samochodzie Stinnesa. Siedziałam z tyłu i zajrzałam do kieszeni, które są we wszystkich starych samochodach. Znalazłam stare ołówki, spinki do włosów i te dokumenty.

- I wzięłaś je?

- Włożyłam je do mojej torebki. Nikt nie widział, jeśli to cię niepokoi. Czy są tajne? - zapytała ponownie. Wskazała na dużą czerwoną pieczętkę, przybitą na kopiach.

- Tak, tajne - powiedziałem. - Nie ma w nich jednak niczego, co upoważniłoby nas do telefonowania do Białego Domu i wyciągnięcia prezydenta z łóżka.

- Co to jest?

- Nagłówek brzmi: *Oddziały Sil Radzieckich w Niemczech*, co jest oficjalną nazwą wszystkich rosyjskich jednostek tu stacjonujących, są również ich numery informacyjne. Druga linia jest tytułem dokumentu: *Dodatkowe Instrukcje Dotyczące Obowiązków Wywiadu w Organach Bezpieczeństwa Państwa*. Potem jest długi wstęp, typowy dla tego rodzaju pism. Jest w nim powiedziane: *Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego wyznacza obywatelom radzieckim drogę w walce o zwycięstwo komunizmu. Partia prowadzi i kieruje silami narodu oraz organami bezpieczeństwa państwa*.

- O czym to jest? - zapytała zniecierpliwiona Zena.

- Wstęp obejmuje pół strony, zanim przystępują do konkretów. Te ponumerowane paragrafy są zatytułowane: *Instrukcje dla dowódców jednostek KGB w ich stosunkach z dowódcami jednostek wojskowych, do których są przydzieleni*. Oczekuje się od nich, aby byli niezawodni, grzeczni i chętni do współpracy... Są to zalecenia, w których stosach wszyscy

urzędnicy państwowi zawsze toną. Następny zbiór paragrafów jest zatytułowany *Obowiązki Wydziału Specjalnego*; informują one oficerów o środkach, jakie imperialistyczne siły wywiadu stosują, żeby zdobyć radzieckie tajemnice.

- Jakie to środki? - zapytała Zena.

- Dwa paragrafy szczegółowo opisują ludzi, których przyłapano na szpiegostwie. Jednego w fabryce, a drugiego w pobliżu zaminowanego pola. Żaden z tych przypadków jednak nie mieści się całkowicie w granicach tego, co nazywamy szpiegostwem. Jeden z mężczyzn wbiegł na zakazaną strefę za swoim psem, w drugim przypadku mężczyzna robił zdjęcia bez zezwolenia.

- Czy sugerujesz, że dokumenty, które przyniosłam, to tylko śmiecie? Nie wierzę w to.

- Zapytaj Wenera. Twój mąż zna lepiej ode mnie rosyjski.

- Bernie przetłumaczył to bezbłędnie - rzekł Werner.

- Ty też uważasz, że to śmiecie? - zapytała. Była rozczarowana i zła.

Werner spojrzał na mnie zastanawiając się, co mu wolno powiedzieć. Zdając sobie sprawę, że i tak wszystko jej powtórzy, wyjaśniłem. - Jest to regularnie co miesiąc wydawana publikacja. Kopie przesyłane są dowódcom niektórych jednostek KGB na terenie całej Niemieckiej Republiki Demokratycznej. W górnym rogu znajduje się numer piętnasty wydania, które obejmuje nie więcej niż około stu egzemplarzy. Jest tajne. Londyn chciałby mieć taką kopię, gdyby mu udało się ją zdobyć. Wątpię, czy mamy pełen ich komplet w naszych archiwach, chociaż CIA ma na pewno. Amerykanie lubią mieć wszystko w komplecie - prace Szekspira, meissenowski serwis obiadowy, soczewki do kamery Olympus i garaże zawałone egzemplarzami *National Geographic*, wydanymi w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat.

- I? - zapytała Zena.

Wzruszyłem ramionami. - To jest tajne, ale mało interesujące.

- Dla ciebie. To nie jest interesujące dla ciebie.

- Jest to interesujące jedynie dla archiwów bibliotecznych. Patrzyłem na Wenera, jak podnosi się z sofy. Była bardzo niska i wstawanie z niej nie było łatwe. Zauważyłem, że Zena nigdy na niej nie siadała; klękała jedynie mogąc w każdej chwili opuścić nogi i wstać z dużą łatwością.

- Znalazłam je w samochodzie - powiedziała. - Domyśliłam się, że stempel oznacza, że jest to tajny dokument.

- Powinnaś zostawić to tam, gdzie było - rzekł Werner. - Pomyśl, co by się stało, gdyby przeszukali samochód, gdy przejeżdżaliście przez punkt kontrolny.

- Nic by się nie stało - powiedziała. - To nie był mój samochód. Był to samochód służbowy, prawda?

- Tam nie interesują ich takie subtelne różnice - stwierdził Werner. - Gdyby strażnicy graniczni znaleźli ten dokument w samochodzie, aresztowaliby ciebie i kierowcę.

- Za bardzo się przejmujesz, Werner - powiedziała.

Rzucił dokumenty na stół. - To było szaleństwo, Zena. Zostaw ryzyko ludziom, którzy biorą za nie pieniądze.

- Ludziom takim jak ty i Bernie?

- Bernie by nigdy nie przewoził takich papierów przez punkt graniczny. Ani ja. Nikt, kto zdaje sobie sprawę, jakie by mogły być tego konsekwencje.

Spodziewała się szczodrych pochwał. Teraz jak małe dziecko zagryzła czerwone usta i nadąsała się.

- Nawet jeśli wopiści niczego nie zrobiliby tobie, czy wyobrażasz sobie, co by się stało ze Stinnesem, gdyby dowiedzieli się, że był na tyle nieostrożny i zostawił dokumenty w samochodzie, gdy jechał na Zachód? Nawet oficerowi KGB trudno by było się z tego wytłumaczyć.

Spojrzała na mnie. Na jej twarzy nie było żadnego wyrazu, czułem jednak, że jej odpowiedź będzie wyważona. - Nie płakałabym z jego powodu - rzekła. Zastanawiałem się, czy to bezlitosne odrzucenie Stinnesa miało w jakiś sposób udobruchać Wenera. Obserwowałem jego reakcję. Uśmiechnął się tylko smutno. - Czy chcesz to, Bernie? - zapytał podnosząc papiery.

- Nie, nie, dziękuję. - Rozumieliśmy się. Nie chciałem mieć nic wspólnego z szalonymi pomysłami Zeny. Nie zdawała sobie sprawy, z jakim igrą niebezpieczeństwem ani nie chciała tego zrozumieć.

Dopiero gdy Werner poszedł do gabinetu, uświadomiła sobie, co zamierza zrobić.- Wkrótce dobiegł nas jęk rozdrabniacza, gdy Werner niszczył stronicę.

- Dlaczego? - zapytała ze złością. - Te dokumenty były wartościowe. Były moje.

- Nie, nie były twoje - rzekłem. - Ukradłaś je.

Werner wrócił i powiedział: - Lepiej, że zniknęły. Cokolwiek innego byśmy z nimi zrobili, sprowadzilibyśmy na kogoś kłopoty. Jeśli Stinnes podejrzewa ciebie o ich kradzież, pomyśli, że to myśmy ciebie na niego nasłali. To może skłonić go do wycofania się z całej sprawy.

- Mieliśmy je sprzedać Londynowi - stwierdziła.

- Londyn nie byłby skłonny płacić za dokumenty, które tak łatwo wpadły w nasze ręce. Zastanawiano by się, czy są prawdziwe, czy też podłożono je celowo, żeby nas oszukać. Zaczęto by zadawać pytania na temat Stinnesa i innych spraw. Nie chcemy, żeby urzędnicy z Londynu wścibiali nosy w to, co robimy. Dostatecznie trudno jest pracować i bez tego.

- Moglibyśmy sprzedać je Frankowi Harringtonowi - nie rezygnowała Zena. Mówiła jednak już mniej pewnie.

- Franka Harringtona próbuję trzymać z daleka od sprawy - powiedziałem. - Jeśli Stinnes myśli poważnie o przejściu na naszą stronę, stanie się to w Mexico. Gdybyśmy to zrobili tutaj, Frank sobie przypisałby zasługi.

- Jest na to zbyt bierny - oświadczyła Zena.

- Nie w tym wypadku - powiedziałem. - Sądzę, że zaczął już dostrzegać rozmiary zainteresowania całą sprawą w Londynie. Przypuszczam, że Frank będzie chciał się do niej włączyć. Miałby się czym pochwalić, co byłoby pożądane przed emeryturą.

- Mexico City znajduje się daleko od Londynu - rzekł Werner. - Mniejsze jest więc prawdopodobieństwo, że Centrala londyńska będzie ci siedzieć na karku. Wiem, co chcesz zrobić, Bernie.

Uśmiechnąłem się, lecz nie odpowiedziałem. Miał rację, chciałem trzymać Centralę w Londynie jak najdalej. Wciąż czułem się jak mysz w labiryncie, gdzie każdy krok stawia mnie przed kolejną ślepią ścianą. Dostatecznie trudno było radzić sobie z KGB, a ja teraz musiałem walczyć również z Centralą w Londynie; zagadkowe posunięcia Fiony jeszcze bardziej wszystko gmatwały.

Co czekało przy wyjściu z labiryntu, czy równie paskudna pułapka jak ta, do której wysłałem MacKenzie'ego?

- Nadal uważam, że powinniśmy sprzedać dokumenty Frankowi - powiedziała Zena.

- Mogłoby to okazać się niebezpieczne - rzekł Werner. - Prawdę powiedziawszy, kochanie, nie mamy całkowitej pewności, czy Stinnes nie zostawił ich tam specjalnie, żebyś je znalazła. Gdyby tak było, nie chciałbym, żebyś to ty była osobą, która by je dalej przekazała.

Uśmiechnęła się. Nie wierzyła, że Stinnes zostawił dokumenty, żeby ją oszukać. Trudno jej było uwierzyć, by jakkolwiek mężczyzna mógł ją oszukać. Czas spędzony z Wernerem uspił w niej instynkt samozachowawczy.

ROZDZIAŁ XVIII

Znałem Franka Harringtona przez całe życie, nie jego życie, tylko moje, oczywiście. Nie byłem więc zdziwiony, gdy następnego ranka samochód zawiózł mnie przed domu Lisi

nie do jego biura w SSB (Służbie Specjalnych Badań) przy Stadionie Olimpijskim, lecz do domu. Gdy Frank mówił „biuro”, miał na myśli Stadion wybudowany w 1936 r. przez Hitlera na Olimpiadę. Przez „moje biuro” rozumiał pokój, który służył mu za gabinet w dużej rezydencji przy Grinewaldzie, będącej zawsze do dyspozycji Rezydenta w Berlinie, które to stanowisko Frank piastował przez dwie długie kadencje. Był to cudowny dom zbudowany przez krewnych bankiera Bleichrodera, tego, który sprolongował Bismarckowi niezbędny kredyt na prowadzenie wojny prusko-francuskiej. Ogród był rozległy, a duża liczba drzew potęgowała wrażenie, że znajduje się głęboko na niemieckiej wsi.

Zostałem wprowadzony do pokoju przez lokaja, Tarranta, krzepkiego starca, który pracował dla Franka od czasów wojny. Frank siedział za biurkiem wymachując poważnie wyglądającymi papierami. Spojrzał na mnie spod brwi, tak jak oficer dowodzący patrzy na rekruta, który się niewłaściwie zachował.

Był ubrany w trzyczęściowy, ciemnopopielaty garnitur, wykrochmaloną białą koszulę i mocno zawiązany krawat ze szkoły w Eton. Wygląd „pułkownika” nie ograniczał się tylko do jego zachowania. Szczególnie był widoczny w jego gabinecie. Znajdowały się w nim meble z trzciny i wybijana skórą ława, tak stara i zniszczona, że miejscami obicie było prawie białe. Stała też wspaniała wojskowa skrzynia z drzewa eukaliptusowego, a na niej stara maszyna do pisania, która powinna się znaleźć w muzeum. Za Frankiem, na ścianie wisiał duży, oficjalny portret Królowej. Wszystko to przypominało dekoracje do sztuki o ostatnich dniach brytyjskiego zwierzchnictwa. Wrażenie przebywania w indyjskim bungalowie potęgował sposób, w jaki promienie światła wpadały do ciemnego gabinetu Franka. Żaluzje były opuszczone jako zabezpieczenie przed wymyślnymi mikrofonami mogącymi wyłapywać wibracje z szyb okiennych; smugi berlińskiego światła dziennego, padające na dywan, mogły być więc promieniami bezlitosnego słońca Pendżabu.

- Dobry Boże, Bernardzie - powiedział Frank. - Czasami wystawiasz moją cierpliwość na próbę.

- Naprawdę, Frank, nie miałem takiego zamiaru. Przepraszam.

- Co, u diabła, robiłeś w Luneburgu?

- Miałem spotkanie.

- Z agentem?

- Wiesz dobrze, więc po co pytasz - odpowiedziałem.

- W Londynie jest piekielne poruszenie. Jeden z waszych pracowników został zamordowany.

- Kto?

- MacKenzie. Stażysta. Przypuszczam, że czasami dla ciebie pracował.

- Znałem go.

- Co wiesz na temat jego śmierci?

- To, co mi powiedziałaś.

- Nic więcej?

- Czy to jest formalne przesłuchanie?

- Oczywiście, że nie, Bernardzie. Nie jest to jednak odpowiedni moment, żeby ukrywać dowody.

- A gdyby moment był właściwy, czy powiedziałbyś mi o tym, Frank?

- Próbuję pomóc. Gdy wrócisz do Londynu, przejdziesz przez ostrzejsze pytania niż te.

- Na przykład?

- Czy nie przejmujesz się w ogóle tym biednym chłopcem?

- Przejmuję się. Bardzo. Co mam zrobić, żeby cię o tym przekonać?

- Nie musisz mnie o niczym przekonywać, Bernardzie. Zawsze stałem po twojej stronie. Od czasu śmierci twojego ojca uważałem siebie *in loco parentis* i miałem nadzieję, że przyjdiesz do mnie, gdy będziesz miał kłopoty, tak jakbyś przyszedł do swojego ojca.

Czy o tym tak pilno było Frankowi ze mną rozmawiać? Nie byłem pewien. Odwróciłem role. - Czy Henry Tiptree jest twoim pracownikiem? - Starłem się mówić bardzo spokojnie.

- Tiptree? Ten, który zatrzymał się u Frau Hennig? - W zamyśleniu dotknął swoich krótko przystrzyżonych włosów.

Frank był jedyną osobą, która nazywała Lisi „Frau Hennig”, dlatego minęła chwila nim odpowiedziałem na jego pytanie. - Tak, ten.

Frank zaczął się nerwowo krzątać. Sięgnął do szuflady w biurku i znalazł paczkę z tytoniem do fajki. Dłuższą chwilę rozdierał opakowanie i wąchał zawartość, żeby stwierdzić, czy zachowała świeżość leżąc w szufladzie. - Co powiedział Tiptree na temat swojej pracy tutaj?

- Powiedział kupę bzdur. Uważam, że jest z kontrwywiadu.

Frank sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego. Bardzo nieostrożnie nabijał tytoń do fajki rozsypując go po starannie utrzymanym biurku. - Masz rację, Bernardzie. Cieszę się, że to odkryłeś. Chciałem dać ci znać. Podano to jednak z Londynu ściśle do mojej wiadomości. D-G nie pozwolił nikomu mówić, teraz jednak, gdy sam się domyśliłeś, mogę twoje przypuszczenie potwierdzić.

- O co tu chodzi, Frank?

- Jest młodym, ambitnym dyplomatą, chcącym zdobyć doświadczenie w tropieniu szpiegów.

- W kontrwywiadzie?

- Nie dziw się. Tam właśnie umieszczają takich ludzi. Nie chcemy ich w epicentrum działań, prawda, Bernardzie?

- Dlaczego przysłali go tutaj?

- Kontrwywiad nigdy nie opowiada się nam, śmiertelnikom, co robi i dlaczego, Bernardzie. On jest pewien, że przekaże ci wszystko, co mi powie.

- A jakie to ma znaczenie?

- Pozwól, że ujmę to inaczej. - Zmusił się do uśmiechu. - To znaczy, że cokolwiek mi powie, zostanie przekazane pracownikom berlińskim.

- Czy ten drań mnie śledzi? - zapytałem.

- Nie podniecaj się tak, Bernardzie. Nikt nie wie, co on robi. Kontrwywiad ma prawo na swój własny użytek, wiesz o tym. Nawet jeśli wścibia nos do twoich spraw, nie powinieneś być zdziwiony. Wszyscy jesteśmy obserwowani od czasu do czasu. A ty masz...

- Ja mam żonę, która przeszła na stronę wroga. Czy to chciałeś powiedzieć, Frank?

- Nie, nie chciałem tego powiedzieć, skoro jednak ten temat został poruszony, kontrwywiad jest zobowiązany zbadać wszystkie powiązania w związku z tą sprawą. Nie odpowiedziałem. Przynajmniej Frank musiał przyjąć pozycję obronną, co było lepsze niż odpowiadanie na pytania dotyczące MacKenzie'ego. Teraz, gdy fajka była napełniona tytoniem, nie przeszkadzałem w paleniu jej.

- Tak, możesz być pewien, że będziesz ich miał na karku przez jakiś czas - powiedział.

- Ale to minie. Starają się być rzetelni. Musisz to przyznać. - - Szybkimi i krótkimi pykaniami rozżarzył fajkę. - Czy znasz przynajmniej jeden przypadek tyranizowania pracownika Departamentu?

- Nie, nie znam - powiedziałem. - Z tego jedynie powodu, że takie sprawy nigdy nie oglądają światła dziennego.

- Nie sądzisz, że wypisywano by na ten temat listy do *The Times*? - zauważył Frank. Uśmiechnął się, lecz spojrzałem na niego obojętnie, obserwując jak trzymał pudełko zapalek nad fajką, żeby zwiększyć ciąg. Zastanawiałem się, czy był rzeczywiście tak kiepski w rozpalaniu fajki, czy świadomie pozwalał, żeby wygasła pomiędzy pyknięciami, aby mieć zajęcie i czas na przemyślenie odpowiedzi na kłopotliwe pytania.

- Nie będę potrzebował poparcia w sprawie Stinnesa, Frank - powiedział ostrożnie dobierając słowa. - Prawdopodobnie przeprowadzę to z dala od miasta, a może w ogóle nie w Niemczech.

Frank odebrał to tak jak powinien: w przyjęty w Departamencie sposób został poinformowany, żeby poszedł do diabła. Formalna uwaga, że będę prowadził całą operację z dala od niego i wszystkich jego poczynań. - To twoja sprawa, chłopcze - powiedział. - Jak ci idzie?

- Czy wiesz, że Londyn zaoferował Stinnesowi płatność gotówką?

Poruszyły się tylko oczy. Spojrzał znad fajki, lecz dalej trzymał ją w ustach i próbował rozpać. - Nie. W każdym razie nie oficjalnie.

- Słyszałeś o tym?

- D-G powiedział, że może mieć miejsce płatność. Starszy pan zawsze informuje mnie o sprawach, które odbywają się na moim terenie. Przez kurtuazję.

- Czy D-G jest tym osobiście zainteresowany?

- Jest, rzeczywiście. - Wyszukany uśmiech. - Dlatego tak wielu naszych kolegów poświęca tej sprawie wnikliwą uwagę.

- Włączając ciebie?

- Zacząłem pracować równocześnie z Sir Henrym Clevemore'em. Odbiliśmy razem szkolenie, chociaż był starszy ode mnie, zostaliśmy bliskimi przyjaciółmi. Sir Henry Clevemore jest jednak Dyrektorem Generalnym, a ja jedynie biednym berlińskim Rezydentem. On nie zapomina o tym, Bernardzie, a i ja staram się o tym nie zapomnieć. - W ten sposób Frank dał mi do zrozumienia, że jestem cholernie nieposłuszny. - Tak, jeśli Sir Henry osobiście jest bardzo zainteresowany jakimś szczególnym przedsięwzięciem, mnie również ono interesuje. Nie jestem głupcem.

- Kiedy ostatnio go widziałem, był w złej formie.

- Chory? - zapytał Frank, jak gdyby słyszał o tym po raz pierwszy.

- Nie w tym rzecz, Frank. Kiedy mówiłem do niego, odpowiadał mi od rzeczy.

- Czy sugerujesz, że staruszek jest *non compos mentis*?

- Nie jest z nim całkowicie w porządku, Frank. Musiałeś to zauważyć, gdy widziałeś się z nim ostatnio.

- Jest ekscentryczny, to prawda - powiedział ostrożnie Frank.

- Jest jednym z najpotężniejszych ludzi w Brytanii, Frank. Nie bawmy się w grę słów.

- Nie podobałoby mi się, gdybyś sugerował komukolwiek cokolwiek innego niż to, że D-G jest silny psychicznie i fizycznie zdrowy - powiedział Frank. - Jest nadmiernie

przeciążony. W odpowiednim czasie oczywiście odejdzie. Wszystkim nam zależy jednak, żeby to nie była reakcja na rządowe polecenie.

- Czy rząd domaga się jego głowy?

- Są tacy w gabinecie, którzy widzieliby kogoś innego na fotelu D-G.

- Kogoś konkretnego?

- Gdyby mieli możliwość, umieściliby tam polityka - powiedział Frank.

- Każdy powojenny rząd łudził się, że będzie mieć swojego „zaufanego”, który będzie nami kierował. Nie tylko socjaliści, torysi również mieli swoich kandydatów. O ile mi wiadomo, liberałowie i socjaldemokraci mieli także swoje projekty.

- Czy praca na tym stanowisku podobałaby ci się?

- Mnie?

- Nie mów, że nigdy o tym nie myślałeś.

- Awansowanie z berlińskiego Rezydenta na miejsce D-G byłoby zbyt dużym krokiem.

- Z tego co wiem, wróciłeś tutaj, żeby uporządkować bałagan. Gdybyś został w Londynie, byłbyś dzisiaj deputowanym.

- Być może - powiedział Frank.

- Czy ktoś wspominał o takiej możliwości? - nalegałem.

- Jedni bardziej, inni mniej poważnie - przyznał Frank. - Zdecydowałem się jednak odejść na emeryturę, Bernardzie. Nie sądzę, że powinienem podjąć obowiązek kierowania całym Departamentem w moim wieku. Powiedziałem, że jeśli starszy pan jest rzeczywiście chory, przyjadę i obejmę fort, dopóki nie będzie wyznaczony ktoś stały na to stanowisko. Aby trzymać z dala kandydata rządowego. Nie zdołałem jednak przeprowadzić reorganizacji w Departamencie, która rzeczywiście jest konieczna.

- Departament jest beznadziejnie zacofany - przyznałem.

- Niektórzy tak uważają - powiedział Frank. - Wszyscy są jednak jednomyślni, że jeżeli dojdzie do najgorszego, lepiej żeby był kierowany bez udziału D-G niż bez Rezydenta w Berlinie.

- Od dłuższego czasu jest kierowany bez udziału D-G - powiedziałem. - Deputowany D-G ma chorowitą żonę i dobrze prosperującą instytucję prawniczą. Jedno i drugie pochłania mnóstwo czasu. Nieczęsto widuje się go w ostatnich czasach na górnym piętrze.

- Jakie są plotki na temat przewidywanych wydarzeń? - zapytał Frank.

- Teraz, kiedy Bret Rensselaer stracił swoje imperium, stał się jednym z kandydatów.

Frank wyjął fajkę z ust i skrzywił się. - Bret nigdy nie zostanie D-G. Jest Amerykaninem. Gdyby jego kandydatura została wysunięta, nie zostałaby zaakceptowana przez rząd, przez Departament i generalnie przez społeczeństwo.

- Bret jest teraz obywatelem brytyjskim. Już od kilku lat.

Przynajmniej tak słyszałem.

- Bret może przyjąć takie obywatelstwo, na jakie będzie miał ochotę. Jednak ci, którzy podejmują decyzje, uważają go za Amerykanina, gdyż nim faktycznie jest. I zawsze nim pozostanie.

- Lepiej mu tego nie mów.

- Nie twierdzę, że nie dostanie upragnionego szlachectwa. W dzisiejszych czasach dostają je aktorzy, komicy, piłkarze, dlaczego więc nie Bret? A o to jedynie mu chodzi. Chce wrócić do swojego małego miasteczka w Nowej Anglii jako Sir Bret Rensselaer. Nie pozwolą mu natomiast wrócić, by oświadczył, że właśnie został Dyrektorem Generalnym MI 6, nie uważasz? Jaki więc wniosek?

- Sądzisz Breta zbyt surowo - powiedziałem. - Nie siedzi w tym tylko dla tytułu szlacheckiego. - Zacząłem zastanawiać się, czy nagła antypatia Franka do Breta nie ma przypadkiem czegoś wspólnego z jego kandydaturą na stanowisko D-G. Nie wierzyłem w skromne deklaracje Franka. Gdyby dano mu tylko szansę, walczyłby zębami i paznokciami o fotel D-G.

Frank westchnął. - Nie ma się przyjaciół w tej pracy, Bernardzie. Berlińska Jednostka Operacyjna jest miejscem, do którego Londyn wysyła pracowników, gdy chce ich się pozbyć. Jest to Syberia w tej służbie. Oczekują, że zrobi się rzeczy niewykonalne, przy współpracy niekompetentnego personelu i dysponując niewystarczającymi funduszami. A kiedy próbujesz trzymać wszystko do kupy, Londyn obrzuca cię gównem. W tej jednej sprawie Centralny Komitet Polityczny w Londynie i szef na Europę zawsze się zgadzają. Również co do tego, że każde potknięcie w Londynie jest spowodowane błędem popełnionym tutaj, w Berlińskiej Jednostce. Bret wysłał mnie tu tylko dlatego, aby usunąć mnie z drogi, kiedy wyglądało na to, że mogę zostać szefem Sekcji Ekonomicznej, którą on później przekształcił w imperium.

- To wszystko skończone, Frank - powiedziałem. - Możesz się z tego śmiać. Bret stracił wszystko, kiedy sprowadzili Brahmsa 4 na naszą stronę i stracili dopływ informacji. Obecnie Bret walczy o część spraw Dicky'ego.

- Nie skreślaj jeszcze Breta. Nie zostanie wprowadzie D-G, ale jest gładki, bardzo inteligentny i dobrze popierany przez wpływowych popleczników. - Frank podniósł się zza biurka, aby zapalić lampę, kołyszącą się nad starą maszyną do pisania. Światło lampy,

przedostające się przez szkło o zielonkawym odcieniu, nadawało ściągniętej twarzy Franka grobowy wygląd.

- Jeśli skaperujesz Stinnesa, będzie miała miejsce najpoważniejsza w ostatnim dziesięcioleciu, ponowna ocena wszystkich osiągnięć. - Głos Franka zabrzmiał teraz bardziej poważnie i miałem wrażenie, że w końcu powie mi, dlaczego tak mu zależało na natychmiastowym spotkaniu.

- Tak sądzisz?

- Nie możesz tego nie brać pod uwagę, Bernardzie. Jego przesłuchiwaniom nie będzie końca. Wyciągną każdy przypadkowy dokument, o którym Stinnes kiedykolwiek słyszał. Przeczytają każdy raport, przedłożony kiedykolwiek przez nas.

- Szukając kolejnego guza?

- Nie ma żadnego guza. To parawan dla ich poczynań. Wykorzystają Stinnesa, żeby stwierdzić, czy dobrze wykonywaliśmy naszą pracę w ostatnim dziesięcioleciu. Będą mogli przekonać się, czy odgadliśmy, co dzieje się po tamtej stronie. Będą czytali nasze raporty i przewidywania oceniając ich trafność. W końcu wystawią, na wzór szkolnego, świadectwo.

- Czy D-G tak planuje wykorzystać Stinnesa? - zapytałem.

- D-G nie jest jeszcze całkiem takim wrakiem, jak myślisz, Bernardzie. Osobiście jestem zbyt blisko emerytury, żeby to miało mnie bardzo poruszyć. Zeznania Stinnesa postawią jednak wiele osób w bardzo niekorzystnym świetle. To zajmie, oczywiście, wiele czasu. Przesłuchujący będą musieli wszystko kilkakrotnie sprawdzić, a potem przedłożyć swoje raporty. W końcu wyniki egzaminu nadejdą. Niektórzy zostaną poproszeni na rozmowę do dyrektora, podczas której dyskretnie im się oznajmi, żeby sobie znaleźli inną szkołę.

- Wszyscy w Londynie zdają się być bardzo zainteresowani skaperowaniem Stinnesa.

- Ponieważ są przekonani, że Stinnes udowodni, jak są mądrzy. Trzeba być egomaniakiem, ażeby przetrwać w londyńskim biurze. Wiesz o tym.

- Czy dlatego w nim przetrwałem?

- Tak - Frank wciąż stał za mną. Nie ruszył się od chwili zapalenia lampy. Na ścianie wisiało zdjęcie Duke'a Ellingtona; nie licząc portretu Królowej, było to jedyne zdjęcie w pokoju. Frank miał jedną z największych na świecie kolekcji płyt Ellingtona, a ich słuchanie było jedyną rozrywką, na jaką sobie pozwalał oprócz sporadycznych przygód miłosnych z niestosownie młodymi kobietami. - Jaki to będzie miało wydźwięk w stosunku do twojej osoby, nie wiem - powiedział Frank. Dotknął mojego ramienia w ojcowskim geście zaufania.

- Nic nie wyjdzie na światło dzienne, co zwiększyłyby moje szanse zostania D-G - powiedziałem.

- Wciąż jesteś zły, że Dicky Cruyer przejął Sekcję Niemiecką? - zapytał.

- Myślałem, że Departament będzie podlegał komuś rzeczywiście znającemu robotę. Powinienem był wiedzieć, że kandydatami mogą być tylko absolwenci Oxbridge.

- Zawsze tak było. Historycznie to było logiczne. Istniało małe prawdopodobieństwo, że absolwenci dobrych uniwersytetów będą królobójcami, reformatorami rolnymi czy luddystami. Pewnego dnia to się zmieni, jednak zmiany w Anglii zachodzą bardzo powoli.

- To moja wina - powiedziałem. - Doskonale wiedziałem, jak to funkcjonuje, lecz wmówiłem sobie, że tym razem będzie inaczej. Nie było powodu do takiego rozumowania.

- Czy nigdy nie myślałeś o porzuceniu służby? - zapytał Frank.

- Przez tydzień o niczym innym nie myślałem. Dwukrotnie napisałem swoją rezygnację. Rozmawiałem już nawet ze znajomym o pracy w Kalifornii.

- Co zdecydowało o tym, że zostałeś?

- Nigdy nie zdecydowałem się zostać. Zawsze jednak znajdowałem się w środku czegoś, co musiałem skończyć nim odejdę. A kiedy tak się stało, byłem już zaangażowany w nową operację.

- Czy rozmawiałeś o tym z Fioną?

- Nigdy nie traktowała tego poważnie. Twierdziła, że nigdy nie opuszczę Departamentu. Mówiła, że groziłem odejściem od czasu, kiedy pierwszy raz dowiedziała się, w jaki sposób zarabiam na życie.

- Zawsze byłeś dla mnie jak syn, Bernardzie. Wiesz o tym. Nie wątpię, że możesz mieć już powyżej uszu tych moich deklaracji. Obiecałem twojemu tacie, że będę się tobą opiekował, ale i bez obietnicy, robiłbym to. Twój tata wiedział o tym i mam nadzieję, że ty też. - Frank wciąż stał za mną. Nie odwróciłem się; patrzyłem na Duke'a Ellingtona w białym fraku, w latach trzydziestych. - Nie bądź więc na mnie zły za to, co chcę powiedzieć - rzekł Frank. - Nie jest to łatwe. - Zdjęcie przedstawiało bardzo młodego Duke'a, było jednak podpisane w 1969 roku dla Franka, podczas jego wizyty w Berlinie Zachodnim. Tak dawno. Frank powiedział: - Jeśli masz jakieś wątpliwości, co zeznania Stinnesa mogą ujawnić... lepiej odejść teraz, Bernardzie.

Sporo czasu zajęło mi zrozumienie tego, co usiłował powiedzieć. - Nie myślisz o zdradzie, Frank?

- Pozwalając Stinnesowi dostać się w nasze ręce, nie rozwiążesz sprawy - powiedział Frank. Udawał, że nie słyszał mojego pytania. - Po Stinnesie przyjdzie następny, a po nim jeszcze następny. Może nie tak ważny, jednak wnoszący dostatecznie dużo, żeby w

Departamencie Koordynacji poskładali razem kawałki. - Mówił łagodnym i pojednawczym głosem, jak gdyby powtarzał swoją rolę wiele razy.

Odwrociłem się, żeby spojrzeć na niego. Byłem gotów wybuchnąć, ale Frank sprawiał wrażenie wyczerpanego. Kosztowało go wiele, żeby powiedzieć to, co usłyszałem. Więc pomimo gniewu łagodnie zapytałem: - Myślisz, że jestem radzieckim agentem? Sądzisz, że Stinnes mnie zdemaskuje, dlatego celowo przeciwdziałam jego skaperowaniu? Radzisz mi więc, żebym uciekał? Czy dobrze cię rozumiem, Frank?

Spojrzał na mnie. - Nie wiem, Bernardzie. Naprawdę nie wiem. - Wyglądał na skrajnie zmęczonego.

- Nie musisz mi nic wyjaśniać, Frank - powiedziałem. - Żyłem z Fioną przez te wszystkie lata nie wiedząc, że moja własna żona jest radzieckim agentem. Nawet na koniec miałem trudności z uwierzeniem w to. Czasami budzę się w środku nocy i myślę, że to koszmarny sen i czuję ulgę, że się skończył. Dopiero gdy się całkiem rozbudzę, uświadamiam sobie, że to wcale nie koniec. Koszmarny sen wciąż trwa.

- Musisz dostać Stinnesa. I to szybko - rzekł Frank. - To jedyny sposób, żeby udowodnić Londynowi, że jesteś czysty.

- Nie można go popędzać - powiedziałem. - Musi sam dojść do przekonania, że chce do nas przyjść. Znałem starszego pana, który mieszkał w Reinickendorfie. Był pływakiem, uczestniczącym w olimpiadzie w 1936 roku, stracił stopę w czasie wojny, z powodu odmrożenia. Zajmował się nauczaniem dzieci pływania. Któregoś roku zaprowadziłem do niego Billy'ego, który natychmiast nauczył się pływać. Zapytałem go, jak tego dokonał, ponieważ Billy zawsze bał się wody. Starszy pan powiedział, że nigdy nie każe dzieciom wchodzić do wody. Pozwala im podejść blisko i przyglądać się innym. Czasami mijają wieki, nim dziecko zbierze się na odwagę i wejdzie do basenu, lecz zawsze tę decyzję pozostawia jemu samemu.

- Tak właśnie postępujesz ze Stinnesem? - Frank wrócił za biurko i usiadł z powrotem.

- Będzie musiał zdekonspirować siatkę KGB, żeby udowodnić swoje *bona fides*, Frank. Ty wiesz o tym, ja wiem i on wie również. Zastanów się, co to znaczy. Skieruje nas przeciwko swoim własnym ludziom. Gdy siatka zostanie spalona, nigdy nie wiadomo jak dalej potoczą się sprawy. Naprędce zrobione notatki, błędnie przedstawiona książka z adresami, jedna niewłaściwa odpowiedź na pytanie przesłuchującego i następna siatka zostanie również zdekonspirowana. Obaj znamy prawdziwy sposób, w jaki to się odbywa, niezależnie co nakazuje instrukcja. To są jego współpracownicy, Frank, kobiety i mężczyźni,

z którymi nie tylko pracował, ale których często również osobiście znał. Musi oswoić się z tą myślą.

- Niech to nie trwa zbyt długo, Bernardzie.

- Gdyby Londyn się nie wtrącił oferując dużą kwotę gotówkową, może już byśmy go mieli. Gotówka sprawiła, że poczuł się jak Judasz. Poruszanie zbyt wcześnie spraw finansowych było najgorszą rzeczą, jaką mogliśmy zrobić mając do czynienia z takim człowiekiem jak Stinnes.

- Centrala w Londynie stara ci się pomóc - powiedział Frank. - Jest to najgorsza rzecz, jaka może przytrafić się człowiekowi.

- Wymaga to więcej czasu niż zwykle, ponieważ to my przyszliśmy do niego, a nie on do nas. Ci idioci w Londynie usiłują porównywać Stinnesa do tych dezertersów, którzy przybywszy do Berlina Zachodniego podnoszą słuchawkę telefoniczną i mówią - „przyjeżdżajcie po mnie”. Wysła się po nich samochód policyjny i zaczyna przesłuchanie.

Stinnes nie pielęgnował tego pomysłu przez lata czekając na szansę ucieczki. Jego trzeba kusić; jego trzeba nęcić. Musi przyzwyczać się do tego.

- Jeden Pan Bóg wie, co planuje zrobić teraz - powiedział Frank.

- Nawet jeśli się zdecydował, będzie chciał dostać się do niektórych dokumentów. To duży krok, Frank. Ma żonę i dorosłego syna. Nigdy już ich nie zobaczy.

- Mam nadzieję, że podczas rozmowy z nim nie przybrałeś równie sentymentalnego tonu.

- Będziemy go mieli, Frank. Nie martw się. Czy jest jeszcze coś, o czym chciałbyś ze mną porozmawiać?

Frank przyglądał mi się, nim powiedział. - Nie, pomyślałem tylko, że należałoby osobiście zawiadomić cię o śmierci twojego pracownika, MacKenzie'ego. Departament trzyma to w wielkiej tajemnicy.

- Doceniam to, Frank - powiedziałem. Prawdziwy powód spotkania, sugestia, że mógłbym chcieć przejść przez Checkpoint Charlie i zniknąć na zawsze, był teraz zamkniętym rozdziałem, tematem tabu, który nigdy prawdopodobnie nie zostanie poruszony.

Drzwi otworzyły się jak zaczarowane. Przypuszczam, że Frank nacisnął jakiś ukryty guzik wzywając starego Tarranta, lokaja i głównego totumfackiego. - Wdzięczny ci jestem bardzo, Frank - powiedziałem. Ryzykował wszystkim, co zostało z jego kariery i wspaniałą emeryturą, żeby wypełnić obietnicę, złożoną memu ojcu. Nie jestem pewien, czy okazałbym jemu takie miłosierdzie i zaufanie, gdyby nasze role odwróciły się.

- Tarrant. Powiedz kierowcy, że mój gość odjeżdża. Przygotuj jego płaszcz, dobrze? - powiedział.

- Tak, sir - odpowiedział głośno, jak się zwykło odpowiadać w wojsku.

Gdy Tarrant odszedł maszerując przez hall, Frank zapytał: - Czy czujesz się czasami samotny, Bernardzie?

- Czasami - odpowiedziałem.

- To straszne utrapienie. Moja żona nienawidzi Berlina. Rzadko kiedy przyjeżdża - powiedział. - Czasami myślę, że również go nienawidzę. Jest taki brudny. To z powodu tych cholernych pieców węglowych na Wschodzie. W powietrzu, którym oddycha się, unosi się sadza; w czasie gorszych dni czuję jej smak. Nie mogę doczekać się powrotu do Anglii. Tak strasznie się nudzę.

- Żadnych zainteresowań w mieście, Frank? Oczy zwięzły mu się. Zawsze przekraczałem granicę w rozmowie z Frankiem, ale zawsze odpowiadał. Czasami podejrzewałem, że jestem jedynym człowiekiem, który rozmawia z Frankiem na równej stopie. - Masz na myśli kobiety? - Powiedział to bez uśmiechu. Na ten temat nie żartowaliśmy.

- Coś w tym rodzaju - odpowiedziałem.

- Już od wieków nie. Jestem za stary na flirty.

- Trudno mi w to uwierzyć, Frank - powiedziałem. Nagle zadzwonił telefon. Frank podniósł słuchawkę. - Halo? Nie musiał mówić, kto telefonuje: jego telefon był połączony jedynie z prywatnym sekretariatem, tu w domu. Słuchał przez chwilę i powiedział: - Wyślij telex potwierdzający, że przyjęliśmy to do wiadomości i powiedz, że wyślemy kogoś, a jeśli Londyn chce wiedzieć co zrobimy, zawiadom ich, że zajmujemy się tą sprawą, dopóki nie otrzymamy od nich innych instrukcji. Zatelefonuj, gdyby zdarzyło się coś nowego. Będę u siebie.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na mnie. - O co chodzi? -

zapytałem.

- Zamknij lepiej na chwilę drzwi, dopóki o tym nie porozmawiamy - rzekł Frank. - Paul Biedermann został aresztowany przez oficera bezpieczeństwa.

- Za co?

- Nie wiemy jeszcze dokładnie. Jest w Paryżu. Na lotnisku Charles de Gaulle. Wiadomość nadeszła drogą teleksową. Hasło „Mikado” w kodzie NATO oznacza wszystkie rodzaje tajnych dokumentów.

- Co to ma wspólnego z nami? - zapytałem. - Nic poza tym, że jakiś cholerny idiota w Londynie udzielił Biedermannowi „prawa nietykalności”. Obecnie nikt w Londynie do tego się nie przyznaje, ale w końcu dojdą, kto za to odpowiada. Nie można nikomu wydać takiego dokumentu bez podpisania go.

- To prawda - powiedziałem. Nagle zrobiło mi się zimno. Ja byłem tym idiotą.

Frank prychnął: - Jeśli Biedermann ma przy sobie skradzione tajne dokumenty posiadając równocześnie poparcie kogoś w Londynie, będzie piekielna awantura. - Patrzył na mnie czekając na odpowiedź.

- Wygląda na to, że to poparcie nie było zbyt wielkie. Powiedziałeś, że został aresztowany.

- Rutynowa kontrola. Żadna etykieta nie chroni przed rutynową kontrolą. Osoby z etykietką o nietykalności z założenia znajdują się pod nadzorem, nawet jeśli tylko pobieżnym.

- Uśmiechnął się znów na myśl o kimś w Londynie, kto wpadł w tarapaty. - Jeśli ma przy sobie tajne dokumenty NATO, oszaleją. Czy znasz Paula Biedermanna?

- Oczywiście, że znam. Obaj byliśmy w drużynie krykietowej, którą próbowałeś zorganizować dla niemieckich dzieci.

- Drużyna krykietowa. Ach, to takie odległe czasy.

- Spotkałem jego siostrę Poppy, w tym domu, nie tak dawno.

- Poppy jest urocza. Paul Biedermann natomiast jest cwany draniem. Czy to nie jemu sprzedałeś swoje ferrari?

- Cwany? Czy taką opinię o nim wyrobiłeś sobie po ostatniej rozmowie telefonicznej? - zapytałem. - Tak, sprzedałem mu samochód. Często żałuję, że go nie zatrzymałem. Po nim miałem już z pół tuzina innych i nawet z asygnowanym funduszem na samochód nie mogę sobie pozwolić na nowe volvo.

- Zawsze zastanawiałem się, czy Biedermann zajmuje się szpiegostwem. Ma doskonałe ku temu możliwości, tak wiele podróżując. Jest takim egocentrykiem, że na pewno chciałby spróbować. Wygląda na to, że przeciwna strona pierwsza go pozyskała.

- To lizus - powiedziałem.

- Tak, wiem, że go nie znosisz. Pamiętam, jak zrobiłeś mi wykład o tym, jak sprzedał przedsiębiorstwo transportowe swojego ojca. Czy nie zechciałbyś pojechać do Paryża i wszystko wyjaśnić? To tylko kwestia wstępnej rozmowy z ludźmi, którzy go zatrzymali. Do tego czasu Londyn stwierdzi, kto podpisał prawo o nietykalności. Kto by to nie był, będzie musiał pojechać do Paryża, taka jest zasada, prawda?

- Tak - odpowiedziałem. Miałem złe przeczucie. Tak, ktokolwiek podpisał dokument o nietykalności, musiał udać się tam, gdzie trzymano Biedermanna. Nie było od tego odwrotu, tak było przyjęte. Ten kto wiedział, że to ja podpisałem dokument, mógł zmusić mnie, żebym pojechał tam, gdzie zechce, musiał jedynie spowodować zaarrestowanie Biedermanna i użyć hasło NATO w informacji. Nie pomyślałem o tym, gdy czyniłem Biedermanna nietykalnym, a teraz było za późno, żeby cokolwiek zmienić.

- Czy wszystko w porządku, Bernardzie? Dziwnie zzieleniałeś.

- To śniadanie u Lisi - powiedziałem pośpiesznie. - Nigdy nie będę już jadał tych obfitych niemieckich śniadań.

Frank skinął głową. Za dużo wyjaśnień. Kłopot z Frankiem i Wernerem polegał na tym, że znali mnie zbyt dobrze. Kłopot z Fioną polegał na tym samym.

- Zostań tak długo w Paryżu, dopóki Londyn nie przyśle tego, kto podpisał dokument. W tym tygodniu brakuje mi pracowników, a ponieważ i tak wracasz już do Londynu... Nie masz nic przeciwko temu?

- Oczywiście, że nie. - Zastanawiałem się, czy osoba, która to wszystko zaaranżowała, wiedziała, że będę dzisiaj z Frankiem, czy był to szczęśliwy zbieg okoliczności. Tak czy inaczej efekt byłby ten sam. Prędzej czy później musiałbym lecieć do Paryża. Byłem myszą w labiryncie; mysz zaczęła bieg. - Czy pozwolisz mi na posiadanie krótkiej broni palnej?

Teraz? Zaraz? Będziesz musiał przejść przez szereg kłopotliwych pytań, Bernardzie. W dzisiejszych czasach armia opiekuje się naszym uzbrojeniem, potrzebny jest dzień albo dwa na uzyskanie odpowiednich dokumentów drogą urzędową, a potem trzeba umówić się z dyżurnym oficerem w zbrojowni. Możesz ją mieć pod koniec tygodnia. Co chciałbyś dokładnie? Lepiej zapisz, żebym czegoś nie pomylił.

Nie, nie kłopotcz się - powiedziałem. - Chciałem tylko wiedzieć, jaka jest procedura na wypadek, gdyby kiedyś była mi tutaj potrzebna.

Frank uśmiechnął się. - Przez chwilę myślałem, że chcesz zabrać ją z sobą do Paryża. Oznaczałoby to jakiś nieżelazny egzemplarz, nazywają go dzisiaj bronią lotnisk, a nie jestem pewien, czy mamy jakiś do dyspozycji. - Odprężył się, położył rękę na telefonie czekając, żeby zadzwonił jeszcze raz. - Mój sekretarz zatelefonuje ponownie w sprawie wszystkich szczegółów, a potem samochód odwiezie cię na lotnisko; zdążysz złapać najbliższy samolot. - Sprawdził czas na swoim złotym zegarku. - Tak, wszystko wspaniale się układa. Jak dobrze, że byłeś tutaj, kiedy to się stało!

- Tak - powtórzyłem. - Jak dobrze, że byłem tutaj. Musiał usłyszeć gorycz w moim głosie, gdyż podniósł wzrok, żeby mi się przyjrzeć. Uśmiechnąłem się.

ROZDZIAŁ XIX

Port lotniczy Charles de Gaulle jest tego typu futurystycznym lotniskiem, którego model można znaleźć wewnątrz niespodzianki bożonarodzeniowej wyprodukowanej na Tajwanie wiele lat temu. Nad głową przezroczysty plastik był poplamiony brązowymi zaciekami, ruchome schody były nieczynne, wykładziny dywanowe zadeptane, a sztuczny marmur tu i ówdzie popękany tworząc czarne dziury, w które zostały wrzucone śmiecie.

Pasażerowie oczekujący na kawę ustawiali się w długie kolejki i w jeszcze dłuższe ci, którzy chcieli zdobyć drinka. Podróżni lubiący jeść siedząc porozciągali się na podłodze pośród porzrzuconych plastikowych kubków i opakowań, z kanapek podgrzewanych w piecykach mikrofalowych.

Miałem szczęście. Uniknąłem długich kolejek. Umundurowany urzędnik służby granicznej podszedł do mnie, gdy wychodziłem z samolotu. Wziął mój bagaż i przeprowadził przez punkty odprawy bagażowej i paszportowej machając niedbale w kierunku pełniącego obowiązki urzędnika. Otworzył przede mną zamknięte na klucz drzwi wpuszczając do innego świata. Za bezładnym slumsem, znanym podróżnym jako lotnisko, znajduje się inny, przestronny świat, w którym nikt się nie spieszy, świat dla personelu. Można tu odpocząć, pomyśleć, zjeść i wypić spokojnie, a jedynym zakłóceniem jest dźwięk nie odbieranych telefonów.

- Gdzie go trzymacie? - zapytał urzędnika, który otworzył przede mną drzwi.

- Będzie pan musiał najpierw porozmawiać z Głównym Inspektorem Nicolem - odpowiedział. Znajdowaliśmy się na górnej kondygnacji głównego budynku zajmowanego przez policję. Większość biur na tym korytarzu należała do *Compagnie Republicaine de Securite*, zajmującej się sprawami imigracyjnymi. Biuro, do którego zostałem wprowadzony, nie należało do człowieka, zajmującego się sprawdzaniem paszportów. Główny Inspektor Gerard Nicol był dobrze znaną osobistością w *Surete Nationale*. Nazywano go „kardynałem” i miał na tyle wysoką rangę, by posiadać własne, dobrze umeblowane biuro w gmachu ministerstwa przy rue des Saussaies. Spotkałem go już kilkakrotnie przedtem.

- Główny Inspektorze Nicol, jestem Samson - przedstawiłem się wchodząc do jego biura. Byłem bardzo formalny; policjanci francuscy w równym stopniu żądają uprzejmego zachowania się od swoich kolegów jak od więźniów. Zmierzył mnie od stóp do głów, nim uznał, że to rzeczywiście ja. - Dawno się nie widzieliśmy, Bernardzie - powiedział w końcu. Miał na sobie ubranie, które oficerowie *Surete* noszą, gdy nie są w mundurach: ciemne spodnie, marynarkę z czarnej skóry, białą koszulę i jasny krawat.

- Dwa albo trzy lata - powiedziałem.

- Dwa lata. Spotkaliśmy się ostatnio na konferencji bezpieczeństwa we Frankfurcie. Mówiło się wtedy, że masz otrzymać duży awans.

- Dostał go kto inny - powiedziałem.

- Już wtedy mówiłeś, że go nie dostaniesz - przypomniał.

- Nie wierzyłem w to jednak.

Wysunął dolną wargę i wzruszył ramionami, jak tylko Francuzi potrafią.

- Teraz przysłali cię, żebyśmy zauroczeni twoim wdziękiem zezwolili na przejęcie opieki nad aresztowanym?

- O co jest oskarżony? zapytałem.

W odpowiedzi Nicol podniósł jasną torbę z kąta i jej zawartość wysypał na blat stołu. Był tam amerykański paszport pełen stempli granicznych, od Tokio do Portugalii, pęk kluczy, zegarek na rękę, portfel ze skóry krokodyla, złoty ołówek, plik papierowych pieniędzy niemieckich i francuskich, monety, cztery karty kredytowe w plastikowej oprawie, opakowanie chusteczek jednorazowych, koperta zapisana notatkami, złota zapalniczka oraz paczka niemieckich papierosów Atika, które Biedermann palił. Nicol podniósł karty kredytowe. - Biedermann Paul - powiedział.

- Identyfikacja na podstawie kart kredytowych? - Uporządkowałem szybko własność Biedermanna.

- Trudniej w dzisiejszych czasach dostać kartę kredytową niż *Carte de sejour* - powiedział smutno Nicol. - Jeśli wolisz, jest tutaj także kalifornijskie prawo jazdy ze zdjęciem. O nic go jeszcze nie oskarżyłem. Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli zaczekamy na twoje przybycie.

- To bardzo uprzejmie z twojej strony - rzekłem. Schowałem pudełko papierosów niemieckich do kieszeni. Jeśli Nicol widział, że to zrobiłem, nie dał tego po sobie poznać.

- Zawsze staramy się wyświadczyć przysługę - powiedział Nicol. - W prawie francuskim nie ma *habeas corpus*. Nie ma sposobu, żeby niesłusznie zatrzymany mógł zostać uwolniony. Prefekt policji nie potrzebuje formalnego aktu oskarżenia czy dowodu, że przestępstwo zostało popełnione; nie potrzebuje prawnego nakazu do przeszukania domu czy do skonfiskowania listów na poczcie. Może aresztować każdego. Może go przesłuchiwać i postawić przed sądem, zwolnić albo wysłać do domu wariatów. Nic dziwnego, że policjanci francuscy są tacy zrelaksowani.

- Czy mogę zobaczyć jego bagaż? - zapytałem.

- Miał przy sobie małą torbę podręczną z przyborami do golenia, bielizną, prasą i aspirynami. Leży tam. Nie znalazłem w niej nic interesującego. Miał jednak również i to. -

Nicol wskazał na neseser z twardej, brązowej skóry, leżący na stole. Był drogi, nie posiadał żadnych nalepek świadczących o miejscu wyprodukowania, znajdowały się w nim oddzielne miejsca na buty, koszule i skarpety. Miał największy, dopuszczalny rozmiar, aby można go było przewozić w samolocie jako podręczny bagaż, na tyle jednak duży, żeby stanowić sporną kwestię z urzędnikami podczas odprawy bagażowej.

Wydzielona część w wieku nesesera przeznaczona była na dokumenty handlowe. Znajdowało się również miejsce na pióra, ołówki i notatnik. W kieszeni zamykanej na zamek błyskawiczny były cztery kolorowe plastikowe teczki, a w każdej z nich kartki maszynopisu. Szybko je przerzuciłem. Były napisane w języku angielskim, a ściśle mówiąc amerykańskim sądząc ze sposobu przedstawienia treści. Raporty zaopatrzone były w kolorowe mapy i podpisane zdjęcia, co sprawiało, że wyglądały na wypracowane oferty agencji reklamowej, przygotowane dla potencjalnego klienta.

We wstępie przeczytałem: „Niemiecka Stocznia Howaldtswerke Deutsche Werft w Kiel dominuje na rynku małych i średnich rozmiarów dieslowskich okrętów podwodnych od przeszło piętnastu lat. Niebawem zostaną oddane dwa typy 209 (1400 t), a Brazylia zamówiła kolejne dwa, o tej samej wyporności. Produkcja zostanie prawie natychmiast rozpoczęta. W budowie są dwa większe (1500 t), zamówione przez Indie. Nie są one rozwiniętą wersją 209, ale produkowane według specjalnie zaprojektowanej nowej dokumentacji”. Wkrótce jednak szczegółowe opisy przyjęły bardziej techniczny charakter: typ 209s jest wyposażony w *Krupp Atlas passive (active sonar a TR 1700)*, posiada również sonar francuskiego projektu. Przeciwpożarowy system kontrolny wyprodukowany przez *Hollandse Signaal-Apparaten* jest standardowy; zostały jednak wprowadzone modyfikacje w związku z powtarzającymi się awariami na argentyńskim okręcie podwodnym *San Luis* w czasie ataku na siły Marynarki Królewskiej.

- Nie wygląda na to, żeby pojął pan arcyszpiega - powiedziałem.

- Są określone jako tajne - bronił się Nicol.

- Mnóstwo tajnych dokumentów znajduje się również w archiwach muzealnych - powiedziałem.

- Nie mówmy o muzeach. Te papiery mają datę z ubiegłego miesiąca. Nie znam się na okrętach podwodnych, wiem jednak, że Rosjanie przywiązują bardzo dużą wagę do aktualnych informacji na temat rozmieszczenia okrętów podwodnych na świecie... Wiem również, że te zasilane ropą są myśliwcami używanymi do wykrycia jednostek nuklearnych.

- Ogląda pan zbyt wiele filmów dokumentalnych w telewizji - powiedziałem.

- Nauczyłem się dostatecznie dużo na konferencji bezpieczeństwa państw NATO, żeby wiedzieć, że raport jak ten ujawniający tajemnice o okrętach podwodnych budowanych w stoczniach niemieckich dla marynarki Norwegii i Danii poruszyłby każdego.

- Nie przeczę - powiedziałem. - Uważamy Biedermanna za agenta KGB, jednak za niezbyt liczącego się i pracującego poza Berlinem. Dokąd leciał?

- Nie mogę tego powiedzieć.

- Nie mogę czy nie chcę? - zapytałem.

- Przyjechał taksówką z Paryża i nie zdążył jeszcze kupić biletu. Zobacz sam. - Wskazał na osobiste rzeczy Biedermanna wciąż leżące na biurku.

- Był więc donos?

- Trudno to stwierdzić - powiedział Nicol.

- Nie mów mi takich rzeczy, Gerardzie - rzekłem. - Mówiłeś, że nie kupił biletu. Nie przyleciał również samolotem. Nie znaleźliście dokumentów podczas odprawy paszportowo-celnej. Kto wam doniósł, żebyście go przeszukali?

- Doniósł?

- Tylko na podstawie donosu mogliście wiedzieć, że te papiery są tajne.

- Nie cierpię policjantów, a ty, Bernardzie? Mają zawsze takie podejrzliwe umysły. Nigdy nie zadaję się z nimi po służbie.

- Paszport amerykański. Czy zawiadomiłeś ambasadę?

- Jeszcze nie - odpowiedział. - Gdzie mieszka na stałe Biedermann?

- W Mexico. Jego towarzystwa są tam zarejestrowane. Sądzę, że z powodów podatkowych. Czy coś mówi?

- Pomógł nam trochę odpowiadając na kilka wstępnych pytań - przyznał Nicol.

- *Passage a tabac*? - zapytałem. Było to delikatne policyjne określenie na brutalne metody, jakie stosuje się w stosunku do więźnia, który nie chce współpracować podczas wstępnego przesłuchania.

Jego twarz była bez wyrazu, gdy spojrział na mnie i powiedział: - Takie rzeczy nie zdarzają się już. Zrezygnowano z nich pięćdziesiąt lat temu.

- Żartowałem tylko - powiedziałem, chociaż mogłem rozpiąć koszulę i pokazać mu kilka blizn świadczących zgoła o czym innym. - Jaka jest oficjalna procedura? Czy będziecie sami go trzymać w areszcie, czy chcecie, żebym go stąd zabrał?

- Czekam na instrukcje w tej sprawie - powiedział. - Nie ma jednak przeciwwskazań, żebyś z nim porozmawiał.

- Na osobności?

Nicol skrzywił się w pozbawionym wesołości uśmiechu. - Pod warunkiem, że nie będziesz się z nim obchodził brutalnie, by później winić nas za prymitywne, policyjne metody.

Moje obraźliwe uwagi nie pozostały więc bez echa. - Dziękuję - powiedziałem. - Odwdzięczę ci się, jeśli będę miał okazję.

- To był donos. Zatelefonowano do mojego biura, musiał więc to być ktoś, kto wie, jak pracuje *Surete*. Rozmówca powiedział, że mężczyzna z pokiereszowaną twarzą, kulejący, będzie przy okienku *Alitalia*. Urzędnik odebrał telefon. Nie ma szansy na zidentyfikowanie głosu czy odszukanie rozmówcy; jeśli sobie życzysz, możesz porozmawiać z urzędnikiem. To był mężczyzna; płynny francuski, prawdopodobnie z paryskim akcentem.

- Dziękuję - powiedziałem. - Wygląda na to, że zawęziłeś liczbę podejrzanych do ośmiu milionów osób.

- Polecę komuś, żeby sprowadził cię na dół.

* * *

Trzymali Paula Biedermanna w specjalnej celi, znajdującej się na piętrze pod komisariatem. Zbudowana była z cegły z metalowymi wzmocnieniami na suficie. W 1973, od którego to roku lotniska stały się główną atrakcją dla porywaczy, zamachowców, demonstrantów, umysłowo chorych i kryminalistów różnego rodzaju, obszar zajmowany przez cele został trzy razy powiększony i przebudowany, tak że w sumie dysponowano dwudziestoma pięcioma pojedynczymi celami, ośmioma potrójnymi (zgodnie z zaleceniami współczesnej kryminalistyki głoszącymi, że czterech więźniów z sobą walczy a dwóch zbytnio się zżywa) i czterema pomieszczeniami do przesłuchań w bezpiecznych warunkach. W tym czasie zostały również oddane trzy cele dla kobiet. Paula Biedermanna nie było w żadnej z cel. Trzymano go w pokoju przesłuchań. Jak w większości tego typu pomieszczeń, dołączony był do niego mały pokój do obserwacji, na tyle duży, żeby pomieścić dwie do trzech osób. Drzwi do niego były otwarte, wszedłem więc i przez lustrzaną szybę obserwowałem Paula Biedermanna. Znajdowało się tu całe wyposażenie do rejestrowania, nic nie wskazywało jednak na to, że ostatnio było używane.

W pokoju przesłuchań, w którym trzymano Biedermanna, nie było łóżka, tylko stół i dwa krzesła. Nic, co by mogło zostać połamane, wygięte lub użyte jako broń. Drzwi nie były drzwiami celi, nie miały żelaznych krat ani zasuw, tylko skomplikowany zamek. Napatrzwszy się do woli, otworzyłem drzwi i wszedłem do środka.

- Bernd. Cieszę się, że cię widzę. - Roześmiał się. Blizny w dolnej części twarzy były tak pomarszczone a uśmiech tak szeroki, że jego powykręcana twarz przypominała twarz

szaleńca. - Chryste. Miałem nadzieję, że to będziesz ty. Powiedzieli, że ktoś przyjedzie z Berlina. Wszystko wyjaśnię, Bernd. To jakieś szalone nieporozumienie. - Znajdując się w stresie wciąż miał niski, chrapliwy głos z silnym amerykańskim akcentem.

- Pomału, Paul - powiedziałem. Rozejrzałem się po wybetonowanym na biało pokoju i nie stwierdziłem żadnych wyraźnych śladów istnienia ukrytych mikrofonów. Jeśli nie korzystano z obserwacyjnego pokoju, prawdopodobnie nie byliśmy nagrywani. W końcu postanowiłam nie przejmować się tym zbytnio.

- Zrobiłem wszystko, co mi kazałeś, Bernd. Wszystko. - Ubrany był w drogie lniane spodnie, brązową koszulę z rozpiętym kołnierzykiem a na szyi miał szalik. Na jednym z krzeseł leżała rzucona niedbale jasnobrązowa kaszmirowa marynarka. - Czy nie masz papierosa? Zabrali nawet i je. Jak ci się to podoba?

Podąłem mu paczkę papierosów Atika będącą jego własnością, którą zabrałem z biurka Nicola. Wziął jeden i odłożył paczkę na stół. Było między nami milczące porozumienie, że otrzyma ją, gdy będzie posłuszny. Zapaliłem mu papierosa i zaciągnął się głęboko. - Czy wiozłeś ze sobą te tajne papiery, które widziałem na górze?

- Nie - odpowiedział.

- Nie wiozłeś? Nigdy przedtem ich nie widziałeś?

- Tak. To znaczy i tak, i nie. Wiozłem je. Nie wiedziałem jednak... łodzi podwodne. - Roześmiał się krótko. - Cóż ja wiem o łodziach podwodnych?

- Usiądź. Przez chwilę odpręż się. Potem powiedz mi dokładnie, w jaki sposób wszedłeś w posiadanie dokumentów - powiedziałem.

Wypuścił dym i machnął ręką chcąc go odpędzić, jakby w obawie przed strażnikiem mogącym wejść i zabrać mu papierosa. - Zawsze podróżuję bez bagażu. Leciłem do Rzymu. Mam takie miejsce, w którym spędzam urlopy, na Giglio, na wyspie...

- Wiem, gdzie znajduje się Giglio - powiedziałem. - Powiedz mi o dokumentach.

- Podróżuję bez bagażu, ponieważ z lotniska zawsze zabiera mnie samochód a potrzebne ubranie mam na miejscu.

- Cóż za życie, Paul. Czy nie nazywają tego na Giglio *la dolce vital*.

Szybki uśmiech nie był niczym więcej niż grymasem. - Miałem więc przy sobie jedynie niewielką torbę na ramię, która odpowiada rozmiarem wymogom bagażu osobistego.

- Czy wewnątrz były same ubrania?

- Nie było prawie nic; przybory do golenia i zmiana bielizny na wypadek, gdybym miał gdzieś opóźnienie.

- Skąd więc neseser z brązowej skóry?

- Zapłaciłem taksówkarzowi przed halą przylotów i wszedłem do niej głównym wejściem; nim jednak zdążyłem podejść do okienka *Alitalia*, dogonił mnie kierowca. Wcisnął mi brązowy neseser twierdząc, że go zostawiłem. Powiedziałem, że to nie mój, ale on tylko stwierdził, że zaparkował samochód w niedozwolonym miejscu i przepychając się za mną, zniknął. Był olbrzymi tłok, pomyślałem więc, że najlepiej będzie, jeśli zaniosę neseser na policję.

- Sądziłeś, że to zwykła pomyłka? Co powiedział kierowca taksówki wręczając ci bagaż?- „Jestem kierowcą taksówki” - powiedział. - „Zostawił pan tę walizkę na tylnym siedzeniu”.

- Zastanów się nad tym dobrze, Paul. Chciałbym dokładnie wiedzieć, co powiedział.

- Dokładnie to. „Jestem kierowcą taksówki. Zostawił pan tę walizkę na tylnym siedzeniu”. - Biedermann czekał przyglądając mi się badawczo. - Cóż w tym dziwnego?

- Właściwie nic. Gdybym był kierowcą taksówki, któremu ktoś przed chwilą zapłacił, nie widziałbym potrzeby przedstawiania się. Uważałbym za oczywiste, że wie kim jestem. Podobnie nie byłbym skłonny wyjaśniać, co to jest za walizka. Spodziewałbym się, że mój pasażer natychmiast ją rozpozna. Spodziewałbym się, że okaże mi swoją wdzięczność. Nie oddalałbym się zbytnio, aby dać mu szansę wyrażenia jej w sposób wymierny. Mam rację, prawda, Paul?

- Tak... Dobrze ci teraz mówić. Straciłem wtedy głowę.

- Czy jesteś zupełnie pewny, że mężczyzna, który wręczył ci walizkę, był tym samym, któremu płaciłeś w taksówce?

Twarz Paula Biedermanna zamarła. Zaciągnął się ponownie i zamyślił.

- Chryste. Masz rację, Bernd. Taksówkarz miał na sobie skórzaną marynarkę, w tym samym kolorze co ja i ciemnoniebieską koszulę. Zauważyłem jej rękawy, gdy prowadził.

- A ten, który dał ci neseser?

- Był tylko w koszuli. Pomyślałem, że kierowca zdjął marynarkę. Ten drugi miał na sobie jednak białą koszulę. Chryste, Bernd, jesteś genialny. Jakiś drań podłożył mi tę walizkę. Szukałem posterunku policji, gdy mnie aresztowali.

- Znajdowałeś się w pobliżu okienka *Alitalia* - powiedziałem. - Skup się, Paul. Kto wiedział, że będziesz przy nim?

- Czy wydadzą ci mnie stąd? - zapytał. Mówił cichym głosem, takim, jaki słyszałem u innych zdesperowanych mężczyzn.

- Spróbuję - obiecałem. - Kto wiedział, że będziesz przy okienku *Alitalia!*

- Tylko dziewczyna z recepcji hotelowej. Telefonowała do nich w mojej sprawie. Czy to ktoś od was wcisnął mi tę walizkę? Czy w ten sposób chcieliście mnie nakłonić do pracy dla was?

- Nie bądź głupcem, Paul.

- Dlaczego Rosjanie mieliby to robić? Mogli poprosić, żebym wziął tę cholerną walizkę i nie odmówiłbym. Przewoziłem już dla nich inne rzeczy, mówiłem ci o tym. - Zgasił papierosa. Miał amerykański zwyczaj gaszenia do połowy wypalonych papierosów.

- Tak, wiem - powiedziałem, chociaż nie mówił mi o przewożeniu dla nich paczek. Zapadło długie milczenie. Biedermann zaniepokoił się.

- Dlaczego mi to zrobili? - zapytał. - Dlaczego? Powiedz mi, dlaczego?

- Nie wiem - odparłem. - Sam chciałbym wiedzieć. - Sięgnął nerwowo po kolejnego papierosa, więc podałem mu ogień. - Pójdę porozmawiać jeszcze raz z Głównym Inspektorem. Londyn domaga się, aby ciebie przekazano. Inspektor czeka na odpowiedź, czy Paryż odda cię pod moją opiekę.

- Mam nadzieję, że tak. Lata miną, nim zdołają ten problem rozwikłać w paryskich sądach.

Otworzyłem drzwi kluczem, który dał mi Nicol. Biedermann skory do wyświadczenia przysługi, za którą mógłbym być wdzięczny, dodał:

- Uważaj na Moskwiną. To stary łotr. Inni bywają czasami ludzcy, ale Moskwin to *fink*. To prawdziwy *fink*.

- Zrobię dla ciebie co będę mógł, Paul - obiecałem. Wyszedłem i zamknąłem drzwi na klucz. Szedłem z powrotem korytarzem prowadzącym do schodów, żeby jeszcze raz porozmawiać z Nicolem. Byłem u ich szczytu, gdy omal nie wpadłem na kobietę w niebieskim fartuchu. Była całkiem młoda, miała około dwudziestu pięciu lat, niosła niewielką tacę, na której znajdowała się kawa z pianką i kanapka. - Z pozdrowieniami od Głównego Inspektora Nicola - powiedziała z ostrym akcentem klasy pracującej. - To dla aresztanta. Inspektor powiedział, że pan ma klucz.

- Tak, mam. Czy dać go pani?

- Nie zaniósłby pan mu kawy? - zapytała nerwowo. - Inspektor Nicol nie pochwaliłby pana za oddawanie klucza - względy bezpieczeństwa.

- Proszę bardzo - powiedziałem.

- Proszę nie siedzieć zbyt długo. Inspektor musi wyjść na spotkanie.

- Zaraz u niego będę - obiecałem.

Spędziłem nie dłużej niż minutę podając Paulowi kawę i kanapkę. - Dali mi obiad - powiedział patrząc na mizernie wyglądającą kanapkę. - Marzyłem jednak o kawie. - Miała gorzki zapach mocno palonych ziaren, taki, jaki lubią Francuzi.

Zamknąłem go ponownie i poszedłem na górę zobaczyć się z Nicolem. Siedział wciąż za biurkiem. Rozmawiał przez telefon, skinął na mnie, żebym wszedł do środka i nagle zakończył konwersację. - Czy wydobyleś coś z niego, Bernardzie? - Na biurku stała teraz waza z ciętymi kwiatami. Miały w sobie nieuchwytną galijskość, to niewielkie *je ne sais quoi*, które, jak zwykli uważać Francuzi, czyni z nich prawdziwych ludzi.

- Twierdzi, że walizkę podłożono mu - powiedziałem. Położyłem klucz na biurku Nicola. Zauważyłem, że zostało posprzątane, a zawartość kieszeni Biedermanna ponownie znalazła się w plastikowym worku.

- Za pośrednictwem taksówkarza? Wsiadł do taksówki na postoju przy Rivoli. W jaki sposób można było wpłynąć, żeby wziął tę szczególną taksówkę? Nie jest to zbyt przekonujące, prawda?

- Sądzę, że kto inny dał mu walizkę. Przypuszczam, że to wszystko było ukartowane.

- Dlaczego miano by to robić? Powiedziałeś, że jest mało ważnym agentem.

- Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiono - przyznałem.

- Nie ma wciąż odpowiedzi z Paryża, ale powinna nadejść lada chwila. Skoro musimy tu siedzieć, czy mogę wysłać po coś do picia dla ciebie?

- Poproszę o kawę *grand creme*; taka, jaką wysłałeś swojemu więźniowi, byłaby najbardziej odpowiednia. Czy wszystkim więźniom posyłasz kawę, czy chciałeś wyrzeć na mnie wrażenie?

- Z brandy? Ja zamierzam wypić taką właśnie.

- Przekonałeś mnie, proszę.

Sięgnął po słuchawkę wewnętrznego telefonu, lecz zanim ją wziął do ręki, zapytał: - O jakiej kawie mówisz?

- Wysłałeś na dół kawę i kanapkę dla niego, prawda?

- Kawę? Czy sądzisz, że tutaj jest *Ritzl*? Nie posyłam kawy więźniom. Ani tu, ani gdziekolwiek indziej.

- Nie wysłałeś?

- Oszalałeś chyba! Więzień mógłby stłuc filiżankę i przeciąć sobie żyły. Czy niczego was w tej Anglii nie uczą?

Wstałem. - Dała mi ją młoda kobieta. Miała na sobie niebieski fartuch. Wyglądała na sekretarkę, mówiła jednak jak kierowca ciężarówki, z silnym paryskim akcentem.

Powiedziała, że posyłasz kawę i kanapkę z pozdrowieniami i poprosiła, żebym podał to mężczyźnie w areszcie. Dodała również, że zaraz musisz wyjść na spotkanie...

- Chciała się ciebie pozbyć - powiedział Nicol. Złapał klucze i krzyknął do umundurowanego mężczyzny siedzącego za biurkiem w sąsiednim pokoju. Pokonał jednym skokiem schody, a ja biegłem tuż za nim.

Oczywiście, było za późno. Paul Biedermann klęczał w rogu z czołem opartym o podłogę jak muzułmanin w czasie modlitwy. Pozycja ta spowodowana była skurczem mięśni, które wykręciły ciało i zatrzymały serce.

Nicol złapał Biedermanna za nadgarstek mając nadzieję, że wyczuje jeszcze puls; oczywiste było jednak, że znikły już wszelkie ślady życia.

- Sprowadź lekarza - rzekł Nicol. - Oficer policji może domyślać się, że nastąpiła śmierć, ale nie powie tego na głos.

Nicol podniósł filiżankę z kawą, powąchał ją i odstawił z powrotem. Wyschnięta kanapka była nietknięta. Przedstawiała nędzny widok. Z pewnością nie planowano, że miał ją zjeść.

- Będziemy całą noc na nogach - powiedział Nicol. Poblądł ze złości. - Moi pracownicy będą wściekli, gdy o tym się dowiedzą. Kiedy więźniowie umierają w areszcie, dzieje się to zawsze z powodu brutalności policji. Każdy o tym wie. Sam mi to powiedziałeś, prawda? Czy możesz sobie wyobrazić, co z tego zrobią komuniści? Trzeba będzie za to cholernie drogo zapłacić.

- Rosjanie?

- Nie potrzeba Rosjan - odpowiedział. - Mam tutaj wszystkich jacy są potrzebni, w Zgromadzeniu Narodowym. A nawet o wielu za dużo.

- To moja wina - powiedziałem, gdy z powrotem znaleźliśmy się w biurze.

- Masz rację - powiedział nie ukrywając złości. - W ten właśnie sposób zostanie to przedstawione w dokumentach. Nie myśl, że będę cię krył. - Wyjął kilka arkuszy liniowanego papieru z szuflady i rzucił je przez biurko w moim kierunku. - Dasz mi pisemne oświadczenie. Wiem, powiesz, że nie możesz, będziesz musiał jednak coś napisać.

* * *

Długo patrzyłem na czysty papier. Oświadczenia zawsze pisane są na liniowanym papierze; policja nie wierzy, aby ktoś był zdolny pisać prosto. Nicol zdjął zakrętkę z pióra kulkowego i rzucił je na papier, aby mnie pospieszyć.

- Nie chcesz, żebym tu został?

- Zostać tutaj? Ja? Miałbym cię tu trzymać i wyjaśniać mojemu ministrowi, że pozwoliłem cudzoziemcowi zejść na dół i zamordować więźnia? Pisz oświadczenie, wynoś się stąd i trzymaj się od nasz daleka. Im szybciej się ciebie pozbędę, tym bardziej będę zadowolony. Jedź i wytłumacz to swoim w Londynie. Chociaż nawet nie będę próbował zgadywać, jak to zrobisz.

Dziwne bajdurzenie nieprawdziwego taksówkarza zaczęło mieć sens. KGB było zdecydowane obciążyć mnie tym oskarżeniem. Wyglądało na to, że przyznałem Biedermannowi prawo nietykalności, chociaż nie było żadnego śledztwa, żeby pomagać mu w pracy kuriera KGB. Potem natomiast stwierdzi się, że morderstwo zostało dokonane, żeby go uciszyć.

Wielka zagadka została w końcu wyjaśniona. Wiedziałem już, co Stinnes robił w Mexico City. Został tam wysłany, żeby przygotować Biedermanna na śmierć, za którą ja miałem być odpowiedzialny. Nie wyjawili oczywiście Stinnesowi całego planu, to nie w stylu KGB. Komunizm nigdy nie oderwał się od klimatu konspiracji, w którym się zrodził i w działaniach operacyjnych, nawet wyżsi oficerowie KGB mieli powierzone jedynie swoje indywidualne zadania. Lecz jaką troskę i uwagę im poświęcali! Nawet teraz, gdy siedziałem zamarty z trwogi i skręcałem się z niezdecydowania, musiałem podziwiać projekt schwywania mnie w pułapkę. KGB nie słynęło z olśniewających pomysłów, ale z wytrwałego planowania, zdecydowania i poświęcenia uwagi detalom, co w sumie często owocowało wstrętnymi pomysłami.

Cóż, mysz zbliżała się do wyjścia z labiryntu. Teraz już wiedziałem, jaka czeka na mnie pułapka. Ale przecież nikt, na Boga, nie uwierzy w Londynie, że mogę być agentem KGB a już z pewnością nie tym, kto zamordował z zimną krwią Biedermanna i MacKenzie'ego. Potem przypomniałem sobie jednak, jak Frank odstępując od swoich zasad, dał mi szansę ucieczki do Moskwy. Nie może być bardziej szczerego odruchu; Frank ryzykował dla mnie swoją pracę, zaprzepaszczenie szans na tytuł szlachecki i przepadek emerytury. Nawet Frank uważał, że mogę być winien, Frank, który znał mnie od kołyski. Nie mogłem mieć złudzeń co do wątpliwości ludzi o kamiennych twarzach z Oxbridge w londyńskiej Centrali.

ROZDZIAŁ XX

Gdy w końcu powróciłem do Londynu, byłem zdziwiony znajdując kobietę w moim łóżku. Nie, nie jest to dokładnie prawda. Kobietą była Tessa, moja szwagierka i nie znajdowała się w moim łóżku, tylko spała w pokoju służbowym. Nie byłem również zdziwiony; na półce w hallu znajdowała się kartka z informacją, że śpi tutaj.

Był wczesny ranek. Zeszła na dół w swoim wspaniałym szlafroku w kwiaty i znalazła mnie w salonie. Jej długie blond włosy były zmierzwiłone a powieki wciąż ciężkie od snu. Jest jakaś dziwna intymność w oglądaniu kobiecej twarzy bez makijażu. Tessa wyglądała blado, zwłaszcza wokół oczu, gdzie zwykle znajdowały się cienie, przyciemnione brwi i na czarno pomalowane rzęsy. Teraz była to twarz sennego dziecka, niemniej wciąż, bardzo atrakcyjna. Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo jest piękna; George był szczęściarzem w równej mierze, co wielu innych mężczyzn.

- Bernard. Myśleliśmy, że nigdy nie wrócisz. Dzieci mnie wciąż o ciebie pytały...

- Przepraszam, Tessa. Przyjechałem prosto z lotniska.

- Niania denerwuje się również, dzieci to wyczuwają i czują się zagrożone. To dobra dziewczyna. Nie ma zbyt wiele czasu dla siebie. Przeniosłam się do pokoju służbowego; powiedziałeś, że mogę z niego korzystać.

- Oczywiście. Zawsze. Dziękuję za opiekę nad nimi. - Zdjąłem kapelusz oraz płaszcz i rzuciłem je na fotel. Sam usiadłem na sofie.

- Czy jadłeś śniadanie w samolocie?

- Nic nie nadawało się do jedzenia. - Czy napijesz się kawy? - Zaczęła manipulować przy włosach, jak gdyby nagle zdając sobie sprawę, w jakim są nieładzie.

- Z rozkoszą.

- A soku pomarańczowego? Trzeba chwilę poczekać nim zaparzy się kawa.

- Czy David wie, że tak często bywam poza domem?

- Był wściekły. Groził, że przyjedzie i zabierze dzieci. To był jeszcze jeden powód, dla którego zostałam. Niania nie zdołałaby mu się przeciwstawić. - Ukradkiem przejrzała się w lustrze i wygładziła szlafrok. - Zamierzam w piątek zabrać dzieci do mojej kuzynki... Może teraz, kiedy jesteś w domu, wolałbyś, żeby zostały z tobą? - Pospiesznie dodała: - Ma trójkę dzieci, duży ogród i mnóstwo zabawek. Mamy zamiar spędzić tam całe ferie.

- Muszę wrócić do Mexico. Nie zmieniaj swoich planów - powiedziałem.

Uklękła obok mnie dotykając mojej twarzy w geście wielkiego przywiązania. - Wiem, że kochasz dzieci. One również o tym wiedzą. Musisz pracować. Nie martw się.

Poszła do kuchni i dzwoniła butelkami, szklankami, filiżankami i spodkami. Wróciła niosąc tacę z do połowy opróżnioną butelką szampana. Stał również na niej dzbanek z wodą, w której próbowała się rozpuścić bryłka w kształcie puszeki, zamrożonego pomarańczowego soku. - Czy sok pomarańczowy będziesz pił z szampanem czy sam?

- Szampan? O tej porze powinno podawać się go w damskich pantoflach.

- Był w lodówce, został z wczorajszego wieczora. Otworzyłyśmy z nianią butelkę, ale jej nie skończyłyśmy. Bąbelki nie wywietrzeją, jeśli natychmiast po rozlaniu wstawi się go do lodówki. Przyniosłam z sobą skrzynkę. Miałam z George'em ostrą wymianę zdań i pomyślałam: „Dlaczego miałabyś zostawić szampana?”

- Czy te ostre wymiany zdań, to stan permanentny?

- Kto wie. George krzyczał. Nie zdarza mu się to często.

- Czy jedzie do Afryki Południowej?

Nalała nam obojgu szampana. - Mówiłam ci o tym wszystkim, prawda... o telefonie do hotelu we Włoszech i o pytaniu o panią Kosiński. To było głupie z mojej strony, żeby zanudzać cię moimi problemami.

- Pojechał? - Zamieszałem zamrożony sok i nalałem trochę do każdego kieliszka. Był to cholernie purytański zwyczaj, żeby pić szampana tak wcześnie rano; dodanie soku czyniło go bardziej przyzwoitym.

- Nie, wysłał w zastępstwie swojego dyrektora generalnego. Dowodzi to, że musi być inna kobieta.

- Nie widzę w tym żadnej logiki - powiedziałem. Spróbowałem szampańskiej mikstury.

- Inna kobieta byłaby wściekła, gdyby ją zawiódł biorąc w zamian żonę. Jedyne sposoby, żeby uniknąć kłopotów, to nie jechać w ogóle.

- Żałuję, że nie mogę pomóc - powiedziałem.

- Nie jestem pewna, czy nie możesz, Bernardzie. - Spojrzała na zegarek. - Kawa będzie za moment.

- Porozmawiam z George'em.

- Jestem przekonana, że masz dostatecznie dużo własnych problemów.

- Nie - odpowiedziałem rezolutnie. Stary, poczciwy Bernard zawsze ma czas, żeby pomóc innym ludzkim istotom, bez względu na to, co mu zagraża. A może tylko próbowałem o tym przekonać siebie?

- George jest takim głupcem, Bernardzie. Wie, że bywałam uwodzona przez innych mężczyzn.

Zamilkła. - Uhm - powiedziałem. Skinąłem głową i podziwiałem dobór słów. Tylko kobieta może określić długi szereg szalonych przygód miłosnych jako bycie uwodzoną, bez wyraźnego przyznania, że temu uwodzeniu ulegała.

- Nie zadawałam sobie zbyt wiele trudu, żeby to przed nim ukryć. Wiesz o tym, Bernardzie. Dostyc długo nie reagował na to, prawda? Nie sądzisz, że powinien coś powiedzieć, zanim zdecydował się odejść z inną kobietą. Ale to byłoby do niego niepodobne.

- Czy jakiś szczególny związek mógł rozzłościć George'a?

- Och, Bernardzie. - Powiedziała to głośno, głośniejsz niż zamierzała, gdyż rozejrzała się wokół zastanawiając się, czy słyszała to niania, ale jej pokój znajdował się na górze, obok pokoju dzieci. Naprawdę, Bernardzie, jesteś irytujący. Napła się. - Dobrze - powiedziała.

Nie lubię nikomu sprawiać przykrości, szczególnie jeśli nie wiem, dlaczego. - Co takiego zrobiłem, Tessa? - zapytałem.

- To oczywiste. Nawet dla takiego twardogłowego idioty jak ty.

- Co?

- Oczywiście, że cię uwielbiam, Bernardzie. O to właśnie George zawsze awanturował się.

- Ale my... To znaczy, ja nigdy...

Sardonicznie roześmiała się. - Zaczerwieniłeś się, kochanie. Nie wiedziałam, że zdołam wywołać rumieniec na twoim obliczu. Zawsze jesteś taki cholernie opanowany. To właśnie czyni cię godnym podziwu.

- Skończ z tymi nonsensami, Tessa. O czym ty mówisz?

- To George. Jest przekonany, że mamy płomienną przygodę miłosną i nic nie zmienia jego zdania.

- Och, naprawdę. Muszę z nim porozmawiać.

- Życzę ci szczęścia, kochanie. Nie zwraca uwagi na nic, co mówię do niego.

- Czy wie, że teraz tu jesteś?

- Tak, oczywiście. Właśnie to go tak wzburzyło. Użył kilku strasznych określeń pod moim adresem, Bernardzie. Gdybyś rzeczywiście był moim kochankiem, poszedłbyś do niego i strzelił pięścią w nos. To mu powiedziałam.

- Co mu powiedziałaś?

- Powiedziałam, że gdyby Bernard był rzeczywiście moim kochankiem, przyszedłby tutaj i dałby ci nauczkę.

- Mój Boże, Tessa, dlaczego tak powiedziałaś?

- Byłam zła. - Roześmiała się na wspomnienie sceny z mężem. Mnie nie chciało się śmiać. - Powiedziałam mu, że masz mnóstwo kobiet i nie jestem ci potrzebna.

Wcale nie mam wielu kobiet. - Nie chciałem, aby takie historie o mnie rozprzestrzeniały się. - Mówiąc prawdę, nie mam żadnej kobiety.

- No, teraz nie przesadzaj, Bernardzie. Nikt nie oczekuje, że będziesz wiódł żywot pustelnika. Nie kupiłeś, jak sądzę, w supermarkecie *Secret de Venus*, który stoi w łazience, żeby ładnie pachnieć.

- Czyj sekret?

- Olejek kąpielowy firmy Weil z Paryża. Kosztuje majątek i wiem, że Fi nigdy go nie używała.

- Udostępniłem łazienkę jednej osobie z biura, żeby się tutaj przebrała.

- Wspaniałej Glorii. Wiem o niej wszystko od Daphne Cruyer. Zostawiła go, prawda? Jej myśli były pochłonięte czym innym. Należysz do dyskretnych, Bernardzie. Czy dużo innych jeszcze tu było?

Skłonny byłem odeprzeć jej zarzuty. Zrozumiawszy jednak, że dokładnie o to jej chodzi, pozostawiłem je bez komentarza. - Biedny George - powiedziałem. - Muszę to sprostować.

- Nie uwierzy ci. Równie dobrze możemy iść prosto na górę i wskoczyć do łóżka, żeby wszystkie jego podejrzenia były uzasadnione.

- Nie żartuj z tego - powiedziałem.

- Usiądź tu koło mnie na sofie a przekonasz się, czy żartuję, czy nie. - Odsunęła do tyłu brzeg szlafroka, odsłaniając biodro. Był to żartobliwy gest, błazenada, którą prawdopodobnie widziała na jakimś starym filmie, dostrzegłem jednak, że była naga pod szlafrokiem. Wziąłem głęboki oddech i całą uwagę skupiłem na drinku. Ten „słodki nieład w stroju” powodował, że trudno mi było skoncentrować się na czym innym niż na Tessie; była niepokojąco atrakcyjna.

Wypiłem drinka i zerwałem się na nogi. - Pójdę do dzieci - powiedziałem.

- Zjemy razem śniadanie. - Tessa uśmiechnęła się. - Porozmawiam z George'em. Zadzwoń do niego rano.

- Z pewnością masz ważniejsze rzeczy do roboty - rzekła. Również wstała. - Czy chcesz, żebym to wyjaśniła?

- Myślałem, że chcesz wrócić do George'a.

- Sama nie wiem, czego chcę - powiedziała. - Potrzebuję czasu, żeby się nad tym zastanowić.

- Nie ma się nad czym zastanawiać - rzekłem. - Musisz albo wrócić do George'a, albo zostawić go i zdecydowanie z tym skończyć. Oboje będziecie nieszczęśliwi, jeśli sprawy będą dalej tak wyglądać. Musisz się zdecydować, czy go kochasz, czy nie. Jedynie to się liczy.

- Naprawdę? Czy nadal kochasz Fionę?

- Nie - odpowiedziałem. - Nigdy nie kochałem.

- Nie możesz po prostu wymazać przeszłości, Bernardzie. Wiem, jak szczęśliwa była Fi, gdy się jej oświadczyłeś. Uwielbiała cię, oboje byliście szczęśliwi. Nie rozumiem co się stało, nie mów jednak, że nigdy jej nie kochałeś.

- Ta Fiona była zaledwie częścią osoby, aktorką, która nigdy nie pozwoliła mi ujrzeć się w rzeczywistości. Żyła kłamstwem i cieszę się, że odeszła tam, gdzie chciała być.

- Przemawia przez ciebie gorycz. George mógłby to samo powiedzieć o mnie. Mógłby utrzymywać, że nigdy naprawdę nie dałam mu prawdziwej siebie.

- Nie mogę ci pomóc w podjęciu decyzji, Tessa.

- Nie odtrącaj mnie, Bernardzie. Będę się opiekować dziećmi i schodzić ci z drogi. Gdy cię nie będzie, będę siedziała na górze z nianią oglądając razem z nią telewizję i korzystając z jej małej kuchni, aby przygotować śniadanie, które razem zjemy w pokoju dziecięcym. Rzadko kiedy zejść na dół. Nie będę ci przeszkadzać, gdy przyprowadzisz tutaj kogoś.

- Nie zamierzam tutaj nikogo przyprowadzać, jeśli myślisz o kobietach.

- Czy idziesz dzisiaj do biura? - Możliwe - odpowiedziałem. Staliśmy blisko siebie. Nikt z nas nie miał nic do powiedzenia, ale nie chcieliśmy się ruszać. Przypuszczałem, że oboje czuliśmy się samotni.

- Słyszę, że w łazience leci woda dla dzieci. Idź i przywitaj się z nimi. Ucieszą się widząc cię.

- Muszę przeprowadzić rozmowę z George'em - ostrzegłem ją.

- Może nie w tej chwili - poprosiła.

- Zatelefonuję do niego z biura - powiedziałem. - Nienawidzę nieporozumień.

Kiedy wszedłem na górę, dzieci powitały mnie okrzykami. Powiedziałem im, że Tessa zamierza zabrać je na wieś.

- Czy niania pojedzie z nami? - zapytał Billy.

- Ciocia Tessa pozwala nam pić szampana - powiedziała Sally. Billy rzucił jej piorunujące spojrzenie, gdyż zdradziła sekret.

Nigdy nie pytali mnie o matkę. Zastanawiałem się, co myśleli o jej nagłym zniknięciu, lepiej było jednak nie poruszać tego tematu, dopóki sami nie zaczęli zadawać pytań.

Na ich tablicy wisiał przypięty pinezkami kolorowy rysunek czerwonego na twarzy mężczyzny, siedzącego na spiczastym pudełku i strojącego gitarę. Na jaskrawoniebieskim niebie widniały duże litery napisu WITAMY TATUSIA. - Czy to mam być ja? - zapytałem.

- Skopiowaliśmy to z rysunku Micka Jaggera - wyjaśnił Billy. - Potem dorysowaliśmy ci okulary. Ja narysowałem kontury, a Sally pokolorowała.

- A to są piramidy w Mexico - powiedziała Sally. - Przerysowaliśmy je z encyklopedii.

- Piękny. Czy mogę go zatrzymać?

- Nie - rzekł Billy. - Sally chce go zanieść do szkoły.

* * *

Wszedłem do małego pokoju, w którym stała moja maszyna do pisania, leżały moje książki i nie zapłacone rachunki. Znalazłem słowo „fink” w słowniku amerykańskiego slangu: fink - szpieg firmy, tajny informator albo łamistrajk (oryg. Pink - skrót od „człowieka Pinkertona”).

Zastanawiałem się, jak Paweł Moskwin pasuje do tej definicji i co jeszcze Paul Biedermann zamierzał mi o nim powiedzieć.

ROZDZIAŁ XXI

Wiedziałem, czego się spodziewać. Dlatego nie spieszyłem się przy śniadaniu, spędziłem trochę czasu z dziećmi, a potem ubrałem się w ciemny garnitur i założyłem stosowny krawat. Bret Rensselaer wybrał na spotkanie ze mną pokój konferencyjny numer trzy. Było to pomieszczenie o niewielkiej powierzchni, używane zwykle przez starszy personel na przyjemne pogawędki, z dala od hałasu maszyn do pisania, zapachu maszyn kopiujących i widoku pracowników pijących herbatę z filiżanek bez spodków.

Znajdował się tam stół o kształcie przypominającym trumnę, przy którym główne miejsce zajmował Bret. Ja znalazłem się na jego przeciwległym końcu. Reszta: Dicky Cruyer, jego przyjaciel Henry Tiptree razem z Frankiem Harringtonem i człowiekiem o nazwisku Morgan, głównym totumfackim D-G, zajęli pozostałe miejsca, aby wspierać autorytet Breta. To, że Bret chcąc zdobyć większe zaufanie i znaczenie zdecyduje się zrobić przedstawienie, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Był kierownikiem poszukującym Departamentu, a nie ma bardziej niebezpiecznych stworzeń od tych kroczących dumnie korytarzami Whitehallu. Miał na sobie ciemny, wełniany garnitur; jedynie człowiek tak staranny wybrałby materiał, na którym widać każdy pyłek czy włos i białą koszulę ze sztywnym kołnierzykiem oraz staromodnymi mankietami o podwójnych dziurkach, wymagającymi spinek. Spinki były duże, wykonane z antycznych złotych monet a niebiesko-biały krawat miał wzór, jaki noszą tylko pasażerowie *Concord*.

- Słuchałem - rzekł Bret. - Nie możesz powiedzieć, że nie słuchałem. Nie jestem pewien, czy wiele zrozumiałem, ale słuchałem. - Spojrzał na zegarek i odnotował godzinę w

notatniku, który leżał przed nim. Robił wszystko, żeby podkreślić, jaki nieformalny charakter ma to spotkanie; nie było stenografa, taśm magnetofonowych ani podpisanych oświadczeń. Tak wolał Bret, aby nie rejestrowano tego co było powiedziane, a zostało tylko to, co zanotował. - Mam wciąż piekielnie dużo pytań do ciebie - powiedział. Stwierdziłem, że jest gotowy do próby sił; że - jak to elegancko nazywał - „załadował strzelbę nabojami dużego kalibru”.

Próbowałem rzucić palenie, sięgnąłem jednak po posrebrzane pudełko z papierosami, które zwykle znajdowało się w pokojach konferencyjnych na górnym piętrze i poczęstowałem się. Nikt nie miał ochoty na papierosa. Nikt nie chciał być łączony z moją osobą w myślach, teorii i działaniu. Miałem wrażenie, że gdybym zadeklarował abstynencję, wszyscy pospiesznie by się upili. Zapaliłem, uśmiechnąłem się i powiedziałem Bretowi, że zrobię wszystko według jego woli.

Nikt nie odwzajemnił uśmiechu. Frank Harrington bawił się swoim złotym zegarkiem naciskając guzik, żeby przekonać się, która godzina jest w Timbuktu. Henry Tiptree napisawszy na kartce coś, co nie nadawało się do publicznego odczytania, pokazał ją Morganowi. Bret pochował małe notatniki i ołówki, które zawsze leżały przed każdym na stole. W ten sposób skutecznie zapobiegł robieniu przez kogokolwiek notatek, z wyjątkiem piegowatego Tiptree, który przyniósł swój własny notatnik. Dicky Cruyer miał na sobie swoje drelichowe ubranie i bawełnianą koszulę w palmy, rozpiętą pod szyją i odsłaniającą złoty łańcuch. Teraz było jasne, że Dicky wiedział o zatrudnieniu Henry’ego Tiptree w charakterze oficera kontrwywiadu. Nigdy mu nie wybaczę, że nie uprzedził mnie o tym w Mexico City, kiedy Tiptree pojawił się po raz pierwszy wędrując wokół.

Bret Rensselaer zdjął swoje duże, w drucianych oprawkach okulary, jakie zwykli nosić gliniarze z drogówki, a które służyły mu do czytania i powiedział: - Załóżmy, że byłeś zdecydowany nigdy nie skaperować Stinnesa? Załóżmy, że wszystko, co robiłeś od czasu przybycia do Mexico, a może nawet wcześniej, było zrobione w tym celu, żeby Stinnes pozostał lojalny KGB? - Podniósł rękę i zakreślił nią koło w powietrzu, jakby otwierał licytację. - To tylko hipoteza, rozumiesz.

Nie odpowiedziałem od razu. - Chcesz powiedzieć, że groziłem mu? Sugerujesz, że dałem mu do zrozumienia, że pracuję dla KGB oraz że dopilnuję, aby jakakolwiek próba zdrady zakończyła się dla niego klęską?

- Och, nie. Jesteś za mądry, żeby przystąpić do zagadnienia w tak niedelikatny sposób. Znając ciebie, nic nie powiedziałbyś o swojej pracy dla KGB. Prowadziłbyś tylko całą sprawę

w sposób nieudolny i niekompetentny, taki, że Stinnes wystraszyłby się. Dopilnowałbyś, żeby ze zdenerwowania nie był zdolny do jakiegokolwiek ruchu.

Zapytałem: - Czy uważasz, że sprawa jest prowadzona w sposób nieudolny i niekompetentny? - Nie było już hipotez, zauważyłem. Zręcznie podniesiona została kwestia niekompetencji.

Operacja w Mexico City była operacją Dicky'ego, który szybko spostrzegł, że Bret zamierza go pograżyć. - Myślę, że nie posiadasz jeszcze wszystkich niezbędnych informacji - powiedział Bretowi, nie zamierzał dać się pograżyć, nawet jeśli oznaczało to utrzymanie mnie na powierzchni.

- Zabraliśmy się do tego powoli, Bret - powiedziałem. - Centrum Przesłuchań dało nam do zrozumienia, że Londyn oczekuje, żeby Stinnes był gotów do rozmów. Nie chcieliśmy naciskać zbyt mocno. Ty sam powiedziałeś, że londyńskie Centrum Przesłuchań nie zamierza wyciągać z niego każdego słowa. Frank to pamięta.

Bret zdał sobie sprawę, że może zostać złapany na wypadnięciu z roli. Przyjmując pozycję obronną stwierdził: - Nie mogłem powiedzieć czegoś takiego. Skąd u diabła miałbym wiedzieć, jakie ma zamiary Centrum Przesłuchań?

Dicky pochylił się do przodu, żeby widzieć Breta i rzekł: - Taki był sens twojej wypowiedzi. Z całą pewnością pozwoliłeś kierować się Bernardowi jego własnym sądem. On zdecydował się rozegrać sprawę powoli.

- Być może - rzekł Bret i ułagodźszy Dicky'ego skierował swoje uniesienie z powrotem na mnie. - Co rozumiesz przez słowo „wolno”? Nie chcę, żeby Stinnes umarł ze starości natychmiast po skaperowaniu. Chcielibyśmy sprawę trochę przyspieszyć.

- Chcielibyście przyspieszyć sprawę. Zastosowaliście więc magiczne rozwiązanie przyspieszające, prawda? Zaoferowaliście Stinnesowi ćwierć miliona, żeby pomóc mu w podjęciu decyzji. Nie zadaliście sobie nawet trudu, żeby poinformować mnie o tym, pomimo faktu, że to ja jestem za tę operację odpowiedzialny. Zamierzam złożyć oficjalny protest przeciwko temu aktowi nietaktownego wtrącania się. - Zwróciłem się do osobistego asystenta D-G mówiąc: - Czy zanotował to pan, panie Morgan? Sprzeciwiam się ingerowaniu w realizację mojego zadania.

Morgan był białolicym Walijszym, którego jedynymi kwalifikacjami do zatrudnienia w Departamencie były honorowe stopnie biologii i wujek pracujący w Biurze Spraw Zagranicznych. Spojrzał na mnie tak, jak gdybym był owadem pływającym w jego drinku. Wyraz jego twarzy nie zmienił się i nic nie odpowiedział. W dniu, w którym opuścę Departament, strzelę Morgana pięścią w nos. Tę uroczystość obiecywałem sobie od dawna.

Bret mówił dalej pospiesznie, jakby chciał odwrócić uwagę od tego, że zrobiłem z siebie głupca. - Powody, dla których chcemy mieć Stinnesa jak najprędzej, powinny być dla ciebie oczywiste.

- Aby wypytać go o ucieczkę Fiony? - zapytałem. - Czy mógłbym cię prosić, żebyś przesunął na drugą stronę stołu popielniczkę?

- To nie była ucieczka, bracie. Uciec, to znaczy odejść bez pozwolenia. Twoja żona była agentką KGB przekazującą tajne informacje do Moskwy. - Przesunął ciężką, szklaną popielnicę po wypolerowanym stole z gwałtownością, z jaką barmani na kowbojskich filmach popychają butelki z burbonem.

Wziąłem popielnicę, strzepnąłem na nią popiół i zapytałem: - Cokolwiek zrobiła, czy chcesz właśnie o to wypytać Stinnesa?

- Chcę wypytać o twoją w tym rolę. Są na dole tacy, którzy uważają, że ty i twoja żona zawsze pracowaliście razem jako zespół. - Frank przesunął swoje krzesło kilka centymetrów do tyłu, podświadomie odzegnując się od każdego, kto tak myśli.

- Kiedy uciekła, byłem już tam, w Berlinie Wschodnim. Dlaczego miałbym wracać i zakładać sobie pętlę na szyję?

Bret przytrzymał jedną ze spinek i przekręcił biały wykrochmalony mankiet. Ze wzrokiem wbitym we mnie powiedział: - To było bardzo chytne. Po co winny człowiek miałby wracać do Departamentu, który zdradził? Powrót był najbardziej pomysłową obroną, jaką mogłeś wymyślić. Co więcej, Bernardzie, jest to bardzo do ciebie podobne.

- Bret, uspokój się - powiedział Frank Harrington. Bret popatrzył dostatecznie długo na Franka, żeby przypomnieć mu, komu zawdzięcza obecne stanowisko i kto może bez problemu znaleźć mu pracę w Islandii, jeśli będzie do tego zmuszony. Frank pokrył swój protest kaszlem, a Bret spojrzał przez stół na mnie.

- Podobne do mnie? - zapytałem.

- Tak - powiedział Bret. - Jest to dokładnie podwójne myślenie, w którym celujesz. Jesteś jednym z niewielu ludzi, którzy nie zawahaliby się tego zrobić. Mało kto jest tak opanowany, bardzo opanowany.

Zaciągnąłem się papierosem próbując być rzeczywiście takim, jak mówił. Znałem Breta; wyciągał wnioski z obserwacji. To była jego utarta metoda - rzucić cały ciężar oskarżeń i obserwować reakcję.

Stosował ją nawet w odniesieniu do urzędników biurowych. - Potrafisz zmyślać podniecające historie, Bret - powiedziałem. - Ta szczególna przypowieść pomija jeden bardzo

ważny szczegół. Ja byłem tym, który ukazał Fionę we właściwym świetle. Uciekła pod wpływem rozmowy telefonicznej ze mną.

- Taka jest twoja wersja wydarzeń - rzekł Bret. - Bardzo sprytnie został nie dostrzeżony fakt, że uciekła. Powiedziałbym, że to właśnie telefoniczna rozmowa z tobą na czas ostrzegła ją i umożliwiła ucieczkę.

- Poinformowałem również Dicky'ego.

- Tylko dlatego, że chciałeś, aby powstrzymał ją przed zabraniem dzieci.

- Pozostaw w spokoju moje motywacje - powiedziałem - zmusiłem ją do ucieczki w popłochu, takie są fakty. Nawet w raporcie mówi się, że nie zdążyła zabrać z sobą żadnych ważnych dokumentów.

- Nie zabrała nic z sobą, gdyż chciała być czysta podczas kontroli celno-paszportowej. Według prawa brytyjskiego nie istniały żadne prawne podstawy, żeby zapobiec opuszczeniu przez nią kraju, z paszportem lub bez. Wiedziała, że gdy nie będzie posiadała przy sobie niczego obciążającego, będziemy mogli jedynie z uśmiechem na ustach pomachać jej na pożegnanie.

- Nie mam zamiaru być wciągniętym w dyskusję o podmiotowych prawach brytyjskich dotyczących opuszczenia kraju i powrotu do niego - stwierdziłem sztywno, jakby Bret uchylał się od tematu dyskusji... - Powiedziałem tylko, że była nie przygotowana. Ostrzeżona mogła nam zadać potężny cios.

Bret liczył się z takim stwierdzeniem. - Była spalona, dlatego sprawy przyjęły taki obrót. To był dowód ją obciążający. Gdybyś nie spłoszył jej, Bernardzie, zdemaskowałby ją inny agent. Pozwalając zrobić to tobie, Moskwa chciała mieć ciebie, złotego chłopca, tutaj w Londynie. Taki ruch szachiści nazywają gambitem, prawda? Poświęca się figurę, aby zyskać lepszą pozycję do ataku.

- Nie znam się na szachach - powiedziałem.

- To mnie dziwi - rzekł Bret. - Przypuszczałem, że jesteś w nich dobry. Pamiętaj jednak, gdybyś kiedyś grał... o utracie figury celem uzyskania lepszej pozycji... będziesz pamiętał?

- Skoro moja podwójna gra jest tak cholernie oczywista, dlaczego nie aresztowałeś mnie od razu po moim powrocie?

- Nie mieliśmy pewności - odparł. Poruszył się na krześle. Zwykł chodzić w samej koszuli. Nie wyglądałby właściwie siedząc w marynarce jak manekin na sklepowej wystawie.- Nie kazałeś mi stanąć przed komisją. Nie było nawet żadnego formalnego przesłuchania.

- Chcieliśmy zobaczyć, czego dokonasz w sprawie skaperowania Stinnesa.

- To nie jest przekonujące, Bret. Fakt, że chciałeś mieć Stinnesa żeby przesłuchać go, świadczy o wątpliwościach co do mojej winy.

Wcale nie. W ten sposób chcieliśmy potwierdzić lub zakwestionować twoją lojalność i mieć na dodatek Stinnesa. Omawialiśmy to z Dickym, prawda, Dicky? - Bret wyraźnie czuł, że Dicky nie udziela mu potrzebnego poparcia.

- Zawsze twierdziłem, że nie ma dowodów, żeby podejmować jakiegokolwiek akcje przeciwko Bernardowi. Chciałbym postawić tę sprawę jasno wobec wszystkich obecnych przy tym stole. - Rozejrzał się wokół, dla potwierdzenia swoich słów.

Stary, poczciwy Dicky, nie był wcale taki dobroduszny. Zdał sobie sprawę, że może właśnie nadeszła okazja, na którą czekał; okazja wylania kubła nieczystości na głowę Breta. Dicky zamierzał trzymać się na boku, stał się jednak moją podporą, teraz gdy Bret przyjął na siebie rolę mojego oskarżyciela. Gdyby okazało się, że jestem winny, Dicky potrafiłby wykręcić się z tego. Obecne towarzystwo było dobrze przygotowane, aby właściwie zrozumieć w przyszłości *communiqué* Dicky'ego, z ostrożnie dobranych słów. Stwierdził, że nie było dostatecznych dowodów, żeby podejmować jakiegokolwiek działania przeciwko mnie. Nie zamierzał nadstawiać karku mówiąc, że jestem niewinny.

Widząc, że jego uwaga zbiła na moment Breta z tropu, Dicky wymierzył szybko lewy i prawy sierpowy. - Gdyby Bernardowi nie udało się namówić Stinnesa do przejścia na naszą stronę, i czy to stanowiłoby dowód jego winy? - zapytał. Mówił podniesionym głosem nieznacznie uśmiechając się. Tak właśnie wyobrażał sobie pełnego humoru wykładowcę w Oxfordzie, którym kiedyś miał nadzieję zostać. Nie odpowiadał temu wyobrażeniu jednak obraz mężczyzny w wypłowiałym drelichu i butach firmy *Gucci*.

Dicky perorował dalej: - Stanowiłoby? Przypomina to średniowieczne procesy czarownic. Wrzucało się obwinioną do jeziora i jeśli wypływała na powierzchnię, miało się pewność, że jest winna i że można wykonać egzekucję.

- Dobrze, Dicky, dobrze - powiedział Bret trzymając uniesioną dłoń i podziwiając sygnet bractwa oraz swój manicure. - Wciąż pozostaje wiele pytań bez odpowiedzi. Dlaczego Bernard udzielił Biedermannowi prawa nietykalności?

To była dobra taktyka; zaadresować pytanie do Dicky'ego Cruyera, który odskoczył jak oparzony kot. Wiedział grając mojego obrońcę, że tylko jeden krok dzieli go od tego, żeby się stać moim współnikiem. - Cóż powiesz na ten temat, Bernardzie? - zapytał odwracając głowę w moim kierunku, z wyrazem twarzy sugerującym, że posunął się tak daleko, jak tylko było to możliwe, żeby mi pomóc.

- Chodziłem z Biedermannem do szkoły - powiedziałem. - Znałem go przez całe moje życie. Nigdy nie był nikim ważnym.

- Czy chciałbyś przejrzeć pobieżnie listę akcji Biedermannna? - zapytał Bret. - Wcale imponująca, jak na kogoś mało ważnego.

- Nie, nie chciałbym. Mówię o nim jako o agencie. Był pionkiem.

- Skąd ta pewność?

- Śmierć Biedermannna miała spowodować odwrócenie uwagi. Nie mógł być nigdy niczym więcej niż małym elementem w maszynerii KGB. Nic nie wskazuje na to, że Biedermann miał kiedykolwiek dostęp do jakichkolwiek ważnych tajemnic.

Wszyscy patrzyli na mnie z kamiennymi twarzami; wiedzieli, że będę umniejszał znaczenie Biedermannna, kimkolwiek by nie był.

Tiptree odezwał się po raz pierwszy. Przygładził dłonią starannie zaczesane rude włosy a potem dotknął palcem swoich cienkich wąsów sprawdzając, czy przylegają do skóry. Zachowywał się jak młody aktor przed pierwszym występem na scenie. - Pomimo tego przewoził tym razem tajne dokumenty?

- Zaczekam na oficjalną ich ocenę, nim zabiorę w tej kwestii głos - powiedziałem. - Nawet jeśli to były materiały warte zachodu, założę się, że nie ujawniają niczego o Rosjanach.

- Oczywiście, że niczego nie ujawniają - powiedział Tiptree swoim umiarkowanie donośnym głosem. - Ten gość był radzieckim agentem, prawda? - Rozejrzał się wokół i roześmiał.

Morgan przemówił po raz pierwszy. Wyjaśnił Tiptreemu, co miałem na myśli: - Samson zmierzał do tego, że niczego nie dowiemy się o celach i intencjach radzieckich z raportu o konstrukcji łodzi podwodnych, którą Biedermann miał przy sobie.

- Dowiemy się tylko - dodałem - że KGB wybrało dokument, który w tę sprawę wpłączy maksymalną liczbę organizacji bezpieczeństwa: Francji, Danii, Norwegii, Wielkiej Brytanii, kilku latynoamerykańskich klientów, Mexico, w którym był rezydentem i Stanów Zjednoczonych, z powodu swojego paszportu.

- Materiał był jednak na tyle ważny, że z jego powodu go zabito - rzekł Tiptree.- Został zabity, żeby obciążyć mnie - stwierdziłem.

- No cóż - powiedział Tiptree z udanym spokojem. - Nic nie zmieni faktu, że to ty podałeś mu napój, który go otruił.

- Nie wiedziałem przecież, co to jest. Mówiliśmy już o tym. Tuż przed naszym przyjściem tutaj Bret powiedział, że *Surete* znalazł osobę potrafiącą zidentyfikować dziewczynę, od której otrzymałem zatrutą kawę.

Bret poruszył się niespokojnie w fotelu. Lubił obracać się w nim. Przerzucał swój ciężar z jednej strony na drugą, jak gdyby łudzając się, że fotel, choć nie jest, stanie się fotelem obrotowym. Poprawił mnie: - Powiedziałem, że *Surete* znalazła kogoś w budynku, kto przypomniał sobie, że widział opisaną dziewczynę. To niezupełnie to samo, Bernardzie. Niezupełnie.

- Twierdzisz, że Biedermann nie liczył się - rzekł Tiptree, wciąż demonstrując spokój, z jakim wielkie umysły rozwikłują problemy. - Żałuję, że nie możesz poprzeć tego ani jednym przykładem.

- Biedermann był tak mało ważną osobą, że KGB zabiło go tylko po to, żeby mnie w to wciągnąć. Czy to niczego nie dowodzi?

- Nie, niczego - powiedział Bret - wiesz o tym równie dobrze. Jak zdążyłem się zorientować, Biedermann siedział w tym po szyję, a ty pracowałeś razem z nim. To brzmi jako bardziej prawdopodobny motyw morderstwa. Wyjaśnia też, dlaczego udzieliłeś mu prawa nietykalności bez umieszczenia jego nazwiska w odpisach naszych rejestrów.

- Chciałem, żeby wyświadczył mi przysługę. Przygotowywałem do tego grunt.

- Jaką przysługę?

- Chciałem, żeby mi pomógł przekonać Stinnesa.

- Jaką pomoc spodziewałeś się uzyskać od małego, nieważnego pionka, którego nam opisałeś?

- Stinnes był w kontakcie z Biedermannem. Myślałem, że wybierze jego jako łącznika zamiast Wenera Volkmana.

- Dlaczego?

- Ja bym tak zrobił na jego miejscu.

- Dlaczego Stinnes nie chciał kontaktować się za pośrednictwem Biedermann?

- Sądzę, że planował zrobić to w ten sposób, potem jednak KGB zaczęło niepokoić się tym, co się dzieje i powstrzymało go.

- Powtórz to jeszcze raz, o połowę wolniej - rzekł Bret.

- Myślę, że początkowo Moskwa zachęcała Stinnesa, żeby podrażnił się trochę z nami. Stinnes zdawał sobie wtedy sprawę, że ma idealną sposobność, żeby przejść na naszą stronę. Moskwa nigdy nie ufa nikomu, sądzą więc, że kontrolowali Stinnesa i jego kontakty z nami. Ma pomocnika, Pawła Moskwinę, który może być zaangażowany przez Moskwę, żeby go

szpiegować. Równie dobrze mogą być jeszcze inni ludzie obserwujący go. Wszyscy wiemy, że Moskwa lubi mieć szpiegów, którzy szpiegują szpiegów. Przypuszczam, że ktoś wyżej musiał powiedzieć Stinnesowi, żeby nie używał Biedermanna jako łącznika. W stosunku do niego mieli inne plany. Miał zostać zamordowany.

Bret zmierzył mnie wzrokiem. Obaj wiedzieliśmy, że mówiąc „ktoś wyżej” miałem na myśli Fionę. Byłem prawie pewien, że powie to. Kiedyś podejrzewałem go, że jest kochankiem Fiony. Nawet teraz całkowicie nie odrzuciłem tej myśli. Zastanawiałem się, czy wie o tym.

- Pomyślałeś więc, że Biedermann będzie dla nas pożyteczny - rzekł. - Czy dlatego udzieliłeś mu prawa nietykalności?

- Tak - odpowiedziałem.

- Czy nie wydaje ci się bardziej proste i bardziej logiczne, że kryłeś go, ponieważ należeliście do tej samej siatki?

- Czy szukamy prostoty i logiki, czy rozmawiamy o KGB? - zapytałem. - Mówmy o tym, co jest prawdopodobne.

- Czy taka hipoteza może być prawdopodobna? Biedermann jest twoim łącznikiem z KGB. Udzieliłeś mu prawa nietykalności, żeby trzymać wszystkich od niego z daleka. W ten sposób pierwszy zostałby poinformowany, gdyby Biedermann zwrócił uwagę jakiegokolwiek agencji wywiadowczej NATO. Twoim pretekstem na kontaktowanie się z nim o każdej porze dnia i nocy było prowadzone przez ciebie śledztwo w sprawie jego działalności.

- Nie lubiłem Biedermanna. Nigdy go nie lubiłem. Każdy może ci o tym powiedzieć. - Była to kiepska odpowiedź na przekonywający wywód Breta i zignorował ją.

- Ten rodzaj maskowania się, przesłuchanie, był już wcześniej używany.

- Biedermann został zabity, żeby ja został obciążony tym morderstwem. Również dlatego, że gdyby żył, poświadczyłby wszystko, co powiedziałem. Nie ma innego powodu dla tego całkiem niepotrzebnego zabójstwa.

- Och, z pewnością - rzekł Bret - wszystko po to, żeby pogрузić cię w kłopotach.

Nie odpowiedziałem. Personel operacyjny KGB dobrze wywiązał się ze swojej pracy. Gdyby wszystkie fakty przemawiały przeciwko jednemu pracownikowi Departamentu, byłbym również jak Bret podejrzliwy. Dicky przestał obgryzać paznokcie. - Czy mogę powiedzieć, co ja o tym myślę? - zapytał. Jego głos przybrał wysoką tonację i świadczył o zdenerwowaniu, nie było to jednak pytanie; Dicky był zdecydowany podzielić się swoją teorią. - Myślę, że Stinnesa w ogóle Biedermann nie obchodził. Tego wieczoru w Mexico, kiedy po raz pierwszy skontaktował się z Volkmannami, z pewnością podszedł do ich stolika

dlatego, że pomylił Zenę Volkman z siostrą Biedermanna. Podobała mu się. Do diabła, to świetna dziewczyna a Stinnes ma reputację kobieciarza. Sądzę, że przeceniamy rolę Biedermanna.

- Zastanówmy się nad tym - powiedziałem. - Przypuśćmy, że Stinnes został wysłany do Mexico City tylko dlatego, że byli tam Werner i Zena. Powiedział im, że przebywa tam od kilku tygodni, ale nie mamy na to żadnego dowodu. Gratulowaliśmy sobie ogłoszenia alarmu oraz tego, że Volkmannom udało się go spotkać. Założmy jednak, że było wręcz odwrotnie. Przypuśćmy, że Stinnes dokładnie wiedział tego wieczoru, kim są Volkmannowie, gdy podszedł do ich stolika w klubie *Kronprinz*. Przypuśćmy, że to wszystko było zaplanowane przez agentów operacyjnych KGB.

Rozejrzałem się wokół. - Mów dalej - rzekł Bret. - Wszyscy słuchamy.

- Jak można pomylić Zenę Volkman z Poppy Biedermann? - powiedziałem. - Nie można ich pomylić, nie ma żadnego podobieństwa. Udawał, że myli Zenę z Poppy, żeby nazwisko Biedermanna padło w czasie rozmowy zakładając, że dowiemy się o tym, że przebywa on w Mexico i skontaktujemy się z nim. Przypuśćmy, że od początku chcieli wplątać w to Biedermanna?

- Z jakiego powodu? - zapytał Dicky, szybko tego żałując. Lubił przytakiwać, jak gdyby wszystko rozumiał. Dotknął, swoich bezkrwistych warg, jakby chciał się upewnić, że są zamknięte.

- Nie wymyślili tego najgorzej, prawda? - zapytałem. - Spowodowali, że wszyscy tutaj skakali w górę i w dół z podniecenia. Oskarżacie mnie o to, że jestem agentem KGB oraz o to, że zamordowałem Paula Biedermanna na polecenie KGB. Nieźle. Bylibyśmy bardzo dumni, gdyby to KGB tak zabrnęło w dociekaniach, kto jest po czyjej stronie.

Bret zrobił niezadowoloną minę. Moje oskarżenie o zabrnięcie w dociekaniach osiągnęło cel. Frank Harrington pochylił się do przodu i zapytał: - Jak daleko się posunął? Czy przyślą tutaj Stinnesa, żeby przekazał nam mnóstwo fałszywych informacji?

- Wątpię, żeby wytrzymał długo trwające przesłuchania.

- Po co więc u diabła zadają sobie tyle trudu? - zapytał Bret.

- Żeby zmusić mnie do ucieczki - odpowiedziałem.

- Do Moskwy?

- Wszystko pasuje. Wysłali Stinnesa do Mexico, aby Volkmannowie spotkali go, gdyż domyślali się, że ja zostanę wybrany na łącznika. Potem zaplanowali zabójstwo Biedermanna, żeby mnie nim obciążyć. Mogli nawet spodziewać się, że udzielę Biedermannowi prawa nietykalności przez siły NATO, praktykowano to już przedtem, wszyscy wiemy o tym, a teraz

chcą mi przypisać to morderstwo. - Było jeszcze wiele innych faktów, od niezdarnego zbliżenia czarnoskórej dziewczyny do morderstwa MacKenzie'ego włącznie, które podtrzymywały moją teorię, nie miałem jednak zamiaru ich wyjawiać. - Wszystko to dodane razem miało mnie skłonić do ucieczki.

- Lekarze nazywają to diagnozą kosza na śmieci - powiedział Bret. - Wrzuca się wszystkie symptomy do kubła, a potem wymyśla się chorobę. Chciałbym cię widzieć całkowicie oczyszczonego z podejrzeń zanim zacznę łamać sobie głowę, dlaczego mieliby to uknuć przeciwko tobie? - powiedział. - Do wyjaśnienia dzieli nas wciąż daleka droga.

Frank Harrington rozejrzał się wokół stołu i powiedział: - Miałoby to dla nich duże znaczenie, gdyby Bernard zwrócił się o azyl polityczny. Sądzę, że powinniśmy wziąć pod uwagę to, że Bernard został tutaj, aby stawić czoło zarzutom. - Aż do tego momentu zastanawiałem się, czy propozycja Franka, żebym uciekł przez punkt kontrolny Charlie, nie była wykonaniem dyrektyw z Londynu. Teraz jednak uznałem, że zrobił to z własnej inicjatywy. Byłem mu wdzięczny bardziej niż kiedykolwiek. Jeśli Frank sprawiał wrażenie obojętnego na przebieg tego spotkania to dlatego, żeby móc udzielić mi większego poparcia poza sceną, gdy nie okaże stroniczości.

Bret zwrócił się do mnie: - Jesteś więc przekonany, że wszystkie dowody przeciwko tobie są częścią moskiewskiego planu, żeby skłonić cię do ucieczki? - Zamilkł, nikt nie odezwał się ani słowem. Bret dodał z sarkazmem: - A może to tylko twoje paranoiczne domysły?

- Nie jestem paranoikiem, Bret - odpowiedziałem. - Szykanuje się mnie.

Bret zakipiał oburzeniem. - Szykanuje? Pozwól powiedzieć sobie...

Frank położył rękę na ramieniu Breta, żeby go uspokoić. - To żart, Bret - powiedział. - Stary żart.

- Och, tak, rozumiem - rzekł Bret. Był zakłopotany faktem utraty przez chwilę panowania nad sobą. - Trudno wyobrazić sobie, żeby kierownictwo KGB wymyśliło coś takiego.- Mogę opowiedzieć o kilku, nawet jeszcze głupszych pomysłach, które realizowaliśmy.

Bret nie poprosił, żebym o nich opowiedział. - To, co opisałeś, świadczyłoby o zmianie stylu ich pracy, prawda? - powiedział. - O nowych metodach, które mógłby wprowadzić ktoś nowy, żeby udowodnić jak są genialni.

Każdy przy stole wiedział, kogo ma na myśli. Przypomniawszy sobie, że notatki nie są sporządzane oraz że niczego nie nagrywa się, powiedział to na głos.

- Ktoś taki, jak twoja żona?

- Tak, Fiona. Mogła przyłożyć do tego rękę.

- Chciała cię skłonić do ucieczki. Miałaby ciebie i dzieci. Hmm - rzekł Bret. Trzymał w ręce złoty długopis i kilkakrotnie naciskał przycisk na górze, żeby pokazać, że myśli. - Czy Fiona sądziła, że wpadniesz w panikę? Zna cię dobrze. Dlaczego miałyby się pomylić? Czy pomyliła się?

- Spokojnie, Bret. Nie wyciągaj pochopnych wniosków.

- Wciąż jeszcze mamy jedno nie wyjaśnione zdarzenie. - Spojrzał na Tiptree.

Ten natychmiast podjął temat. Spotkanie ze mną, bez wątpienia, było omówione szczegółowo. Tiptree patrząc na mnie powiedział: - Czarnoskóra kobieta prosiła o podwiezienie i podwiozłeś ją na londyńskie lotnisko. Tam oboje mieliście krótką rozmowę z inną kobietą.

Spojrzałem na Tiptree a potem na Breta. Byłem wstrząśnięty. Złapali mnie na utracie kontroli. Podnieśli tę kwestię tak późno, żeby wyrzucić odpowiedni efekt. - To nie miało nic wspólnego z Departamentem.

- Otóż jestem przeciwnego zdania - powiedział Bret.

- Każdy ma prawo do prywatnego życia - przypomniałem mu. - A może zaczynamy nową grę? Będziemy zbierać się w poniedziałkowe przedpołudnia, ażeby przedyskutować prywatne życie każdego z nas w oparciu o doniesienia ekip śledczych. Czy chcesz, żebyśmy zaczęli zaraz? Bret, ten, kto nie był bliski zabrania zgrabnej sekretarki do swojej posiadłości nad brzegiem rzeki, na przytulny weekend, nie jest wart, żeby wymieniać z nim uwagi na ten temat.

Henry Tiptree zabrał głos, żeby zmniejszyć nacisk na Breta. - Od tego czasu sprawdzaliśmy twoje przejazdy między domem i biurem. Byłeś podejrzany od chwili powrotu, Bernardzie. Z pewnością musiałeś zdawać sobie z tego sprawę.

- Nie, nie zdawałem sobie sprawy. W każdym razie nie przyszło mi do głowy, że wyślecie ekipę z kontrwywiadu, żeby śledziła mnie w drodze do domu.

- Kto to był? - zapytał Tiptree.

- Sąsiadka. Ma przyjaciółkę, która pracuje na lotnisku. Zamierzałem zatrudnić ją jako opiekunkę do dzieci. Jest wykwalifikowaną pielęgniarką i chciała dodatkowo zarobić w dniach wolnych od pracy. Teraz jednak sprawy przedstawiają się tak, że muszę mieć kogoś na stałe.

Była to pospieszna improwizacja i nie byłem przekonany, czy Tiptree uwierzył mi. Przyglądał mi się przez długą chwilę, a i ja patrzyłem na niego z odwzajemnioną antypatią. - Dobrze, zostawmy to na razie - powiedział, jak gdyby godził się na ustępstwo w stosunku do

mnie. Zastanawiałem się, czy próbował śledzić czarnoskórą dziewczynę na szczęście z mniejszym powodzeniem niż biedny MacKenzie. - Wróćmy do sprawy MacKenzie'ego - powiedział jakby czytając w moich myślach. - Powiedz, jakie wykonywał dla ciebie zadanie, gdy zginął.

Czy to był podstęp? - Nie wiem, kiedy zginął - odpowiedziałem. - Znam tylko szacunkowe określenie czasu, sporządzone przez lekarza.

Tiptree uśmiechnął się ponuro. - Jeśli nie wiesz, kiedy zginął - powiedział, ostrożnie używając trybu warunkowego, jak gdyby w to nie wierzył - opowiedz mi o nim. Zleciłeś mu kilka spraw. Z tego, co słyszałem, to niepodobne do ciebie, żebyś korzystał z pracy stażysty. Jesteś osobą zawsze skarżącą się na brak doświadczenia wokół. Jesteś tym, który nie toleruje amatorszczyzny. Dlaczego więc MacKenzie?

Starłem się trzymać tak blisko prawdy jak to możliwe. - Chciał zostać agentem operacyjnym - powiedziałem im. - Naprawdę chciałem.

Skinęli głowami. Wszyscy widywaliśmy stażystów chcących zostać agentami operacyjnymi, chociaż różne komisje selekcyjne próbowały odwieść od tego zamiaru wielu z tak wypaczonymi ambicjami. Wkrótce, nawet ci najbardziej uparci przekonywali się, że ich szanse na wysłanie, aby działali w terenie, są bardzo nikłe. Agenci operacyjni rzadko wywodzili się z rekrutacji. Nie byli nigdzie wysyłani. Agenci operacyjni działali na miejscu.

- Często korzystałeś z jego pracy - powiedział Tiptree.

- Zawsze znajdował czas, żeby pomóc. Pisał raporty, kiedy wszystkie cholerne maszynistki odmawiały pracy po godzinach. Stał całymi nocami na deszczu i nigdy nie zadawał żadnych niepotrzebnych pytań. Szedł do biura miejskiego i spędzał godziny szperając w pudłach ze starymi metrykami urodzenia, kwitami podatkowymi lub listami wyborców. Ponieważ był wyjątkowo nieuprzejmym i źle ubranym stażystą oraz mówił niegramatycznie po angielsku z regionalnym akcentem, nie miał najmniejszego problemu, żeby przekonać każdego, że jest dziennikarzem jednej z naszych największych krajowych gazet. Dlatego korzystałem z niego.

Morgan, mówiący z walijskim akcentem, próbował przez krótki okres zostać reporterem w jednym z naszych wielkich krajowych dzienników; pozwolił sobie teraz na cień uśmiechu.

- To wszystko nie wyjaśnia, co robił w punkcie kontaktowym Departamentu, w domu w Bosham - powiedział Tiptree.

- Och, wszyscy wiemy, co tam robił. Leżał martwy. Leżał martwy przez siedem dni, nim ktoś z wysoko opłacanych przez Departament dozorców zadał sobie trud, żeby sprawdzić lokal.

- Tak, to dranie - powiedział Bret. - Wyrzucę tych leniwych sukinsynów. Nie będzie z nimi więcej problemów.

- Bardzo mnie to podniesie na duchu, gdy następnym razem wejdę do punktu kontaktowego i usiądę na krześle, aby jakiś zakapturzony agent KGB mógł przystawić do mojej czaszki magnum 44.

- Skąd wiesz, z jakiej strzelano broni? - zapytał Henry Tiptree z największą obojętnością, na jaką się mógł zdobyć.

- Nie wiem, jaka to była broń, panie Tiptree - odpowiedziałem. - Wiem tylko, jaki był rodzaj pocisku, wyrwijącego dziurę, który, nawet jeśli prędkość u wylotu lufy jest duża, rozrywa człowieka na części również przy niezbyt precyzyjnym celowaniu. Zanim zadasz mi dodatkowe pytanie, które sądząc z ruchu twoich warg już formułujesz, dowiedziałem się o tym z ekspertyzy balistycznej, która była dołączona do aktu zgonu MacKenzie'ego. Może powinieneś także przeczytać ją, skoro zależy ci, żeby odnaleźć winnego.

- Nikt nie wini ciebie za śmierć MacKenzie'ego - powiedział łagodnie Frank.

- Tylko za śmierć Biedermanna - rzekłem - dobrze wiedzieć.

- Nie musisz wstawać i śpiewać „Rule Britannia” - powiedział Bret. - Nie było żadnej sugestii o otwarciu w twojej sprawie oficjalnego dochodzenia. Pragniemy jedynie poznać prawdę. Powinieneś najlepiej o tym wiedzieć.

- Przyjmijcie więc moją hipotezę na próbę - powiedziałem. - Załóżmy, że wszystko wygląda tak, jak to przedstawiłem, tym bardziej że nie macie dowodów na to, że się mylę, przypuśćmy też, że skaperowanie Stinnesa bez pośpiechu jest najlepszym sposobem. Są w takim razie w Departamencie tacy, którzy chcieliby, żeby moje wysiłki dotyczące Stinnesa zakończyły się niepowodzeniem. - Przerwałem na moment pozwalając, żeby moje słowa głęboko zapadły. - Prawdopodobnie te osoby mają nadzieję, że ponaglając mnie i mieszając się do tego, co robię, zatrzymają Stinnesa tam, gdzie jest; po przeciwnej stronie.

- Powtórz to jeszcze raz - powiedział Bret. Jego głos był twardy i nieustępliwy.

- Słyszałeś, co powiedziałem, Bret. Jeśli Stinnes przyjdzie do londyńskiego Centrum Przesłuchań zrelaksowany i odprężony, tak jak zabiegam o to, będzie śpiewał. Powtarzam, że mogą być osoby, i to nie tysiąc kilometrów stąd, nie posiadające skłonności muzycznych.

- Warto się nad tym zastanowić, Bret - powiedział Frank. Wypowiedział głośno to, o czym Frank mówił do mnie w Berlinie. Spojrzał na mnie i prawie niedostrzegalnie mrugnął.

- Nie włączasz do tego mnie? - zapytał Bret.

- Nie wiem, Bret. Omów to ze swoimi pracownikami od analiz. Ja zajmuję się jedynie faktami.

- Nikt nie próbuje nałożyć ci kagańca, mądralo - rzekł Bret. Zwracał się teraz bezpośrednio do mnie, jakby nie było nikogo innego w pokoju.

- Próbowałeś zrobić ze mnie głupca, Bret. Przed chwilą usłyszałem, że zajmuję się sprawą skaperowania Stinnesa w sposób nieudolny i niekompetentny. Rzuca mu się pieniądze nawet nie informując mnie o tym. Zaczynam podejrzewać, że nie postępuję dokładnie tak, jak życzylibyśmy sobie.

- Nie mów do mnie w ten sposób - rzekł Bret.

- Słuchaj mnie, Bret, stary bracie - powiedziałem. - Będę mówił do ciebie w sposób, jaki uznam za stosowny. Ponieważ jestem oficerem odpowiedzialnym za prowadzenie sprawy Stinnesa. Na wypadek gdybyś zapomniał, przypominam, że mamy w Departamencie staromodny system: jeżeli agent zostanie raz obciążony odpowiedzialnością za przeprowadzenie operacji, ma w niej pełną swobodę decyzji. Prowadzi sprawę, dopóki nie zostanie zamknięta lub przejęta przez kogoś innego. W obu przypadkach jednak ma on również głos decydujący. Posadziliście mnie na tym rozżarzonym krześle i zwołaliście sąd kangurów, żeby zastraszyć mnie, bywałem jednak po drugiej stronie muru, gdzie zajmują się tym eksperci. Nie przestraszyłeś mnie, Bret. Nie zląkłem się wcale. Jeśli ta pantomima była odegrana po to, żebym zrzekł się odpowiedzialności za sprawę Stinnesa, to straciliście czas. Dostanę go. Przybędzie tutaj i będzie mówił jak ocalony rozbitek.

Wszystkich mój wybuch wprawił w zakłopotanie. Niżsi rangą nie powinni narzekać. Każda przyzwoita szkoła uczy tego w pierwszym półroczu. Frank zakasłał, Morgan odchylił do tyłu głowę i patrzył na sufit, Tiptree gładził włosy a Dicky rozłożył wszystkie palce na brzegu stołu, żeby wybrać jeden, który będzie mu służył jako posiłek.

- Jeśli jednak ktoś z obecnych tutaj jest zdania, że odpowiedzialność za sprawę Stinnesa powinna zostać mi odebrana, to teraz jest odpowiedni moment, żeby wstać i to powiedzieć. - Czekałem.

Bret patrzył na mnie uśmiechając się szyderczo. Nikt się nie odezwał.

Wstałem i powiedziałem: - Traktuję to jako jednogłośnie zgodę na pełnienie dalej przeze mnie ustalonych obowiązków. Zostawiam was, panowie, abyście sporządzili protokół zebrania w sposób, w jaki chcecie, tylko nie proście mnie, żebym go podpisał. Gdybyście mnie potrzebowali w ciągu następnych kilku minut, jestem u D-G. Korzystam z moich praw, wynikających z innego, niemożliwego przepisu, obowiązującego w tym Departamencie - prawa

bezpośredniego informowania Dyrektora Generalnego o sprawach najwyższej wagi służbowej.

Bret zaczął się podnosić. - Nie odprowadzaj mnie, Bret - powiedziałem. - Nie próbuj wyprzedzić mnie w spotkaniu ze starszym panem. Umówiłem się dzisiaj rano i właśnie na mnie czeka.

Doszedłem aż do drzwi, zanim Bret przyszedł na tyle do siebie, żeby pomyśleć o replice. - Lepiej dostań Stinnesa - powiedział. - Zawalisz tę sprawę a skieruję cię do pracy w Rejestracji, w charakterze urzędnika.

- Dlaczego nie? - zapytałem. - Zawsze chciałem przeczytać akta personalne wyższych urzędników.

* * *

Gdy wyszedłem na korytarz, wziąłem głęboki oddech. Uciekłem z brzucha wieloryba, morze wciąż jeszcze jednak było wzburzone.

Spotkanie z D-G było czymś w rodzaju formalności załatwianej między dwojgiem cywilizowanych ludzi, zresztą jak zwykle. Nie informowałem go oczywiście o żadnych sprawach wagi służbowej. Korzystałem z życzliwości D-G, żeby powiedzieć mu dzień dobry. Zawsze starałem się mieć ważne spotkanie, aby uciec z posiedzeń, które mogły trwać zbyt długo.

Pokój był ciemny i pachniał skórzanymi fotelami, na których piętrzyły się stosy książek. D-G siedział przed oknem przy małym stoliku zastawionym rodzinnymi zdjęciami, dokumentami, stosami papierów i dawno zapomnianymi filiżankami z herbatą. Czułem się, jakbym wszedł do egipskiego grobu, żeby porozmawiać z uprzejmą mumią.

- Oczywiście, pamiętam ciebie - powiedział D-G. - Twój ojciec, Silas Gaunt, był Szefem Wydziału Europejskiego, kiedy zacząłem tutaj pracować.

- Nie, Silas Gaunt jest moim dalekim kuzynem, ale tylko przez małżeństwo - powiedziałem. - Mój ojciec był pułkownikiem i nazywał się Samson, był Rezydentem w Berlinie, gdy Silas był Szefem Wydziału Europejskiego.

D-G niewyraźnie pokiwał głową. - Szef Wydziału Europejskiego, dział spraw iberijskich... takie dziwne nazwy. Uważałem zawsze, że stosujemy nazwy, jakbyśmy prowadzili Służbę Zamorską BBC. - Chrząknął. Ten żart powtarzał już wielokrotnie przedtem. - Czy wszystko w porządku?

D-G nie wyglądał na osobę, która lubi słyszeć, że cokolwiek nie jest w porządku. Miałem uczucie, że gdybym dał do zrozumienia, że nic nie układa się dobrze, D-G rzuciłby się przez okno nie zatrzymując się nawet, żeby je otworzyć. Sądzę, że rozmowa z D-G

budziła w każdym te same opiekuńcze uczucia. Nic dziwnego, że Departament był miejscem jatek. - Tak, sir - powiedziałem. - Wszystko w porządku. - Dzielny człowiek ten Samson i prawdopodobny aż do obrzydzenia.

- Lubię wiedzieć co się dzieje - rzekł D-G - dlatego wysłałem po ciebie.

- Tak, sir - powiedziałem.

- Wstrętny doktor nie pozwolił mi w ogóle pić. Ty jednak nie wyglądasz na takiego, który zadowoliliby się cytrynową herbatą. Podejź do kredensu i nalej sobie porządnego drinka. Co powiesz na to?

- Dziękuję, sir.

- Jestem człowiekiem, który ma mnóstwo czasu - powiedział D-G. - Marzyłbym usłyszeć, co wydarzyło się ostatnio w Waszyngtonie.

- Byłem w Berlinie. Zajmuję się sprawami niemieckimi.

- Nieważne, nieważne. Opowiedz mi, co się działo w Berlinie. Czy możesz jeszcze raz powtórzyć swoje nazwisko?

- Samson, sir. Bernard Samson.

Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę. - Samson, tak, oczywiście. To ty miałeś ten straszny problem z żoną.

- Tak, sir.- Pan Harrington wyjaśnił mi twoje kłopoty. Czy powiedział ci, że spodziewamy się dostać dodatkowe środki finansowe dla ciebie?

- Tak, sir. To będzie duża pomoc.

- Nie martw się o dzieci. Nie doznają żadnej krzywdy. Gwarantuję to. - D-G uśmiechnął się. - Obiecaj mi teraz, że przestaniesz się martwić o dzieci.

- Tak, sir, obiecuję.

- Samson. Tak, oczywiście. Zawsze miałem zdolność zapamiętywania nazwisk.

* * *

Opuściwszy biuro D-G poszedłem do toalety i zastałem przy suszarce do rąk Franka Harringtona.

- Czy czujesz się teraz lepiej, Bernardzie? - zapytał żartobliwie.

- Lepiej niż czułem się przedtem czy lepiej od osób zgromadzonych u Breta?

- Och, pozostawiłeś nas bez cienia wątpliwości co do tego, mój drogi przyjacielu. Okazałeś swoją wyższość w sposób bardziej niż jasny każdemu z obecnych. Co robiłeś u D-G, czy prosiłeś go o rezygnację? - Zauważywszy że rozglądam się wokół, uspokoił mnie. - Wszystko w porządku, nikogo tutaj oprócz nas nie ma.

- Powiedziałem to, co należało powiedzieć - odparłem defensywnie.

- I powiedziałaś bardzo dobrze. Bret poszedł do domu zmienić majtki.

- Co za dzień - rzekłem.

- Nie doceniasz efektów wybuchu swojej pasji, Bernardzie. Bret jest sam sobie winien. Twój docinek z sądem kangurów był trafny. Bret zmartwił się; powiedział nam nawet, że jest zmartwiony. Dziesięć minut śpiewał na twoją cześć hymny pochwalne, żeby przekonać nas, że nie miał w stosunku do ciebie złych intencji. Masz jednak skłonności do przesadnego uderzania.

- Czy to jest ostrzeżenie, Frank?

- Rada, Bernardzie, rada.

- Mam trzymać język na wodzy?

- Absolutnie nie. Zawsze bawią mnie twoje napady złego humoru, chyba że wymierzone są we mnie. Radował mnie widok ich wszystkich, półprzytomnych ze strachu.

- Przestraszyłem ich?

- Oczywiście. Zdają sobie sprawę, jak łatwo potrafisz zrobić z nich głupców. Bret do tej pory nie zapomniał żartu, jaki opowiedziałeś o jego wizycie w Berlinie w zeszłym roku.

- Zapomniałem, o czym mówiłem.

- On nie. Powiedziałaś, że wszedł na górę po stopniach, w Check-point Charlie i wyrzwał na drugą stronę muru. Nie podobało mu się to, Bernardzie.

- Przecież to właśnie zrobił. Ustawił się w kolejce za turystami z autobusu i wszedł po schodach na górę, żeby wyrzeć za ten cholerny mur.

Oczywiście, że zrobił. Właśnie dlatego nie roześmiał się razem z innymi. Gdyby powiedział to Dicky lub ktoś bez doświadczenia w pracy operacyjnej, nie miałyby to takiej wymowy. Ponieważ wyszło to od ciebie, ugodziło w jego godność a godność znaczy dla niego wiele. - Przez cały czas Frank uśmiechał się podkreślając za jak dobry to uważa żart.

- Ale?

- Ale nie wszyscy naraz, Bernardzie, stary przyjacielu. Nie rób wrogów równocześnie ze wszystkich obecnych. To niebezpieczny sport, stary chłopie. Zjednoczą się, gdy będzie ich coś wspólnego łączyć. Na przyszłość atakuj pojedynczo. Dobrze?

- Dobrze, Frank.

- Twój ojciec byłby uradowany z powodu awantury, jaką wywołałeś. Oczywiście nie pochwaliliby jej, to nie w stylu twojego ojca, obaj wiemy. Byłby jednak uradowany, Bernardzie.

Dlaczego ta ostatnia uwaga Franka tak bardzo mnie ucieszyła? Czy nigdy nie wyzwolimy się spod tyranii ojcowskiej miłości?

ROZDZIAŁ XXII

Gdy zakończyłem dzień pracy w biurze, nie byłem w nastroju do spotkania z urażonym mężem, nawet jeśli tylko przez pomyłkę. Zaproponowałem George'owi wspólnego drinka, gdyż lepiej to było mieć jak najszybciej za sobą. Chciał spotkać się ze mną w nowym mieszkaniu, które kupił w Mayfair, więc udałem się tam prosto z biura.

Mieszkanie było ogromne; zajmowało dwa piętra budynku na Mount Street, na tyłach Hyde Parku. Chociaż wiedziałem, że wciąż nie jest zamieszkane, nie byłem przygotowany na widok gołych podłóg i zapach świeżo wytynkowanych ścian.

George już był. Miał zaledwie trzydzieści sześć lat. Robił jednak wszystko, żeby wyglądać przynajmniej o dziesięć lat starzej. Urodził się w Poplar, gdzie Tamiza tworzy ogromną pętlę w sercu londyńskiego basenu portowego. Szkołę opuścił w wieku piętnastu lat, żeby pomóc swojemu dotkniętemu kalectwem ojcu. Gdy osiągnął wiek dwudziestu siedmiu lat, jeździł już rolls-royce'em, starym wprawdzie, który próbował sprzedać.

Niewielki wzrost George'a potęgował wrażenie gorączkowej energii, gdy drepcząc z pokoju do pokoju schylał się, przybijał, mierzył i sprawdzał wszystko w zasięgu wzroku. Nosił ciężkie okulary, które nieustannie zsuwały mu się z nosa, miał faliste włosy, srebrnopopielate na skroniach i wielkie wąsy. Patrząc na niego bez trudu można było uwierzyć, że rodzice byli emigrantami z Polski, choć spłaszczony samogłoski wschodniolondyńskiego akcentu oraz często pomijana głoska „h” zawsze były zaskoczeniem. Czasami zastanawiałem się, czy nie kultywuje swojej londyńskiej wymowy jako swoistego aktywu w interesach samochodowych.

- Jesteś, Bernardzie - powiedział. - Miło cię widzieć, bardzo miło. - Powitał mnie raczej jako przyszłego klienta niż kogoś, kogo podejrzewa o flirt z żoną.

- Wspaniałe mieszkanie, George - rzekłem.

- Za chwilę pójdziemy na drinka. Muszę tylko zrobić pomiary przy świetle dziennym. Nie ma tutaj jeszcze prądu, zobacz. - Dla potwierdzenia swoich słów przekreślił wyłącznik.

Ubrany był w błyszczący, ciemnoniebieski garnitur w kremowe paski, w którym wydawał się niższy niż w rzeczywistości. Wszystko było bez wątpienia drogie - jedwabna koszula i kwiecisty krawat firmy *Cardin* oraz czarne buty z niewyprawnej skóry - gdyż George lubił, żeby każdy natychmiast zauważył, że jest biednym chłopcem, któremu się powiodło.

- Chciałbym porozmawiać z tobą o Tessie - powiedziałem.

- Mhm. - Dźwięk ten mógł oznaczać cokolwiek: „tak”, „nie” lub „być może”. Mierzył długość pokoju. - Trzymaj to - powiedział, podając mi koniec miarki, żebym pomógł zmierzyć jeden bok kominka. - Tutaj jasnozłoty dywan. - rzekł. - Jak myślisz?

- Będzie wyglądał bardzo elegancko - powiedziałem. Przykucnąłem, żeby mu pomóc wymierzyć palenisko. - Jestem wdzięczny, że pozwoliłeś jej zaopiekować się dziećmi, gdy mnie nie było - powiedziałem nawiązując do tematu, jak sądziłem, w dyplomatyczny sposób.

- Nie pytała mnie o zgodę - rzekł George. - Nigdy mnie o nic nie pyta. Robi to, co chce. - Nagle szarpnął taśmę, aż wyslizgnęła mi się z palców.

Wstałem. - Niania nie lubi zostawać sama w nocy - wyjaśniłem.

George podniósł się i spojrzał mi w oczy z bolesnym wyrazem twarzy. - Metr siedemdziesiąt - powiedział. Zwinął ostatnie kilka centymetrów taśmy przy pomocy małej korbki, a następnie wetknął miarkę pod ramię zapisując jaskrawoniebieskim piórem wynik pomiaru na dłoni. - Czy mógłbyś? - zapytał podając mi koniec taśmy i cofając się, żeby zmierzyć szerokość pokoju.

- Pomyślałem, że powinienem zamienić z tobą kilka słów - powiedziałem.

- O czym?

- O Tessie. - Schyliłem się przytrzymując koniec taśmy przy ścianie. Naciągnął ją, aż się naprężyła i nachylił się, żeby przyjrzeć się jej z bliska, gdyż szybko ściemniało się.

- Co z Tessą? - zapytał, ponownie notując na dłoni.

- Nocowała w moim domu. Pomyślałem, że powinienem ci podziękować. - Spojrzał na mnie z wymuszonym uśmiechem.

- Lubię Tessę - powiedziałem. - Nie chciałbym jednak, żebyś doszedł do niewłaściwych wniosków.

- Jaki wniosek mógłby być niewłaściwy?

- O mnie i o Tessie - odpowiedziałem.

- Twoje intencje są całkowicie honorowe? - zapytał, przesadnie przeciągając głoskę „h”. Przeszedł na drugi koniec pokoju i badał podłogę obcasem. Pękła pod jego ciężarem. Wykrzywił się i podszedł do okna, żeby wyjrzeć na ulicę. - Lubię upewnić się, że samochód stoi na swoim miejscu - wyjaśnił.

- Nie mam żadnych intencji - powiedziałem. Zaczął mnie irytować i nie ukrywałem tego.

- Jedynie rozmowa, prawda? - powiedział odrobinę głośniejszym głosem, lecz w dużym, pustym pokoju jego głos odbił się echem wydając rezonans. - Ty i Tessa jedynie prowadziliście pogawędkę. Jak dwoje kolegów, prawda?

- Oczywiście, rozmawialiśmy - odparłem.

- Sądzę, że o mnie. Przypuszczam, że dawałeś jej rady dotyczące mnie. Co robić, żeby nasze małżeństwo funkcjonowało. Lub coś w tym rodzaju.

- Czasami - przyznałem.

- To jeszcze gorzej - powiedział nie podnosząc głosu. - Jakby ci się podobało, gdyby twoja żona rozmawiała z innym mężczyzną o tym, jak ma z tobą postępować? Podobałoby ci się to?

- Nie wiem - przyznałem. Poczułem się źle, gdy ujął to w ten sposób.

- Wolałbym, żebyś poszedł z nią do łóżka. Można pominąć taki szybki, nic nie znaczący wybryk. - Podeszedł do kominka i pogłaskał go. - Postawiłem kominek z marmuru. Pochodzi z pięknego, starego domu w Bristolu. - Ostrożnie badał świeżo wytynkowany pasek na ścianie, w miejscu, gdzie ten antyk został umieszczony. Następnie zbliżył się do mnie mówiąc: - Ona ma jeszcze czelność opowiadać mi, jak bardzo lubi rozmowy z tobą. To cholerny policzek, Bernardzie.

Można było przypuszczać, że prowadzi rozmowę z dwojgiem różnych osób. Odwrócił się, by pogłaskać nowy tynk. Cichym głosem powiedział: - Tapeta w jasnoszare paski. Wzór z okresu regencji. Będzie pasować do naszych mebli. Czy pamiętasz tę prześliczną georgiańską komodę z węzowymi motywami na drzwiach? Jest w tej chwili schowana w hallu, nie będziesz mógł jej się dobrze przyjrzeć. Zajmie honorowe miejsce na tamtej ścianie. Nad nią będzie wisiało owalne lustro, georgiańskie rokoko, w wielkim wieńcu z pozłocanymi liśćmi; piękna rzecz, którą kupiłem w Sotheby, w zeszłym tygodniu.

Lustro oryginalne, rama została odrestaurowana, ale rzeczywiście dobrze. Zapłaciłem za nie o wiele za dużo, targowałem się o nie z pośrednikiem. Nie mam nic przeciwko przebijaniu w licytacji pośrednika. On i tak podniósłby cenę o pięćdziesiąt procent, prawda?

- Tak sądzą - powiedziałem.

- Na pewno podniósłby.

- Chciałbym, żebyśmy zostali przyjaciółmi, George - powiedziałem. - Żebyście oboje byli moimi przyjaciółmi.

- Dlaczego? - zapytał George.

- Dlaczego? - powtórzyłem.

- Nie jesteśmy żadnymi krewnymi. Poznaliśmy się tylko dlatego, że poślubiliśmy dwie siostry. Ty nie obchodzisz mnie, ja nie obchodzę ciebie. Dlaczego chciałbyś być moim przyjacielem?

- Dobrze - powiedziałem ze złością. - Zatem nie bądźmy przyjaciółmi. Wiedz jednak, że nie obracam twojej żony ani nie mam takich zamiarów. A jeśli jesteś tak cholernie głupi, żeby nie docenić tego, co usiłuję ci powiedzieć, to możesz iść do diabła.

- Ciemnoniebieska terakota w jadalni - rzekł George rozsuwając drzwi i wchodząc do środka. - Importowana z Włoch. Niektórzy twierdzą, że terakota jest zbyt krzykliwa. Ja osobiście uważam, że trochę ożywi jadalnię. Zatrzymamy nasz stół. Jest to stary wiktoriański rupień, był jednak pierwszym meblem, który posiadali moi rodzice. Gdy pobrali się, ojciec go kupił. - Wskazującym palcem poprawił okulary. - Oczywiście, pozbycie się domu w Hampstead nie będzie łatwe. Obrót nieruchomościami jest teraz trudny. Stracę na tym pieniądze.

- Jestem pewien, że wyjaśniłeś to poprzednim właścicielom tego mieszkania - powiedziałem.

Uśmiechnął się z uznaniem. - Masz rację, Bernardzie. Nieruchomość to zawsze dobra inwestycja. Kiedy na rynku nieruchomości panuje stagnacja, rozsądny człowiek powinien czynić najbardziej wartościowe zakupy, na jakie go stać. Opuściłem cenę w Hampstead o dwadzieścia pięć tysięcy, jestem jednak przekonany, że to mieszkanie kupiłem o osiemdziesiąt tysięcy taniej niż w normalnych czasach. Dokonałem tego w oparciu o fundusz emerytalny mojego towarzystwa, zaoszczędziłem więc mnóstwo na podatkach.

- Tessa myśli, że już jej nie kochasz.

- Dała mi niezłą szkołę, Bernardzie. Nie muszę mówić ci o tym. Była kiepską żoną.

To prawda. Co mogłem mu powiedzieć? - Może wszystko się zmieni. Czuje się zaniedbana. Może zbyt wiele czasu poświęcasz pracy? - Moja praca, to wszystko co mam - powiedział. Podniósł taśmę mierniczą i sprawdził wymiary okna w jadalni, bez szczególnego powodu, po to jedynie, by zająć czymś ręce. - Jest okrutną kobietą. Nie wiesz nawet jak bardzo. - Wszedł do kuchni i jego głos w mniejszej przestrzeni odbijał się echem. - Zainstaluję tutaj amerykański samooczyszczający się piekarnik. Cholerny głupiec zajmujący się ich dystrybucją chciał mi wmówić, że niemieckie są lepsze.

- A są lepsze?

- Nie obchodzi mnie jakie są, nie spodziewaj się, że kupię jakikolwiek niemiecki wyrób. Mój ojciec przewróciłby się w grobie. Wystarczy, że muszę sprzedawać te cholerne japońskie samochody. W każdym razie ten idiota nie potrafił odróżnić piekarnika od odkurzacza. Nie sądzisz chyba, że wchodzę do sklepu i pytam o opinię osoby sprzedające towar?

- Nie pytasz?

- To tak, jakbym oczekiwał, że ktoś przyjdzie do mojego salonu i zapyta o najlepszy samochód. Najlepszy samochód to ten, który przynosi mi największy zysk. Tylko Amerykanie potrafią zaprojektować samooczy szczający się piekarnik. - Prychnął pogardliwie. - Nagle doszła do wniosku, że nie może pić nic innego oprócz szampana. Kosztuje mnie to fortunę, nie protestowałbym jednak, choć wiem, że robi to tylko dlatego, żeby mnie rozzłościć. Uważa, że to bardzo zabawne.

- Och, nie sądzę. W moim domu też pija szampana.

- Pija go w wielu domach, ale zawsze za moje pieniądze.

- Może masz rację - powiedziałem.

- Nie musi robić z tego przedstawienia - powiedział ze smutkiem. - Mogłaby być bardziej dyskretna. Nie musi robić ze mnie pośmiewiska, nie sądzisz? - Otworzył drzwi do piekarnika znajdujące się na wyższym poziomie i zajrzał do środka. - Tessa dobrze gotuje. Lubi udawać, że gotuje źle, potrafi jednak właściwie wykorzystać takie urządzenie.

- Może nie zdawała sobie sprawy...

Zamknął piekarnik przyglądając się szeregowi tarcz i zegarowi kontrolnemu. - Zdaje sobie sprawę. Kobiety zawsze zdają sobie sprawę ze wszystkiego, co dotyczy przygód miłosnych i innych błazeństw. Doskonale zdawała sobie sprawę. Dobrze wiedziała, że rani mnie, nie miej co do tego żadnych wątpliwości, Bernardzie. - Powiedział to bez złości, jakby omawiał właściwości piekarnika.

- Nie wiedziałem, że jesteś taki rozgoryczony - rzekłem.

- Nie jestem rozgoryczony. Spójrz na to mieszkanie. Czy świadczy o moim rozgoryczeniu?

- Tessa martwi się, że byłeś we Włoszech z kimś innym - zaryzykowałem.

- Wiem. Niech się martwi.

- Jeśli to coś poważnego, powinieneś jej o tym powiedzieć. Tak byłoby lepiej dla was obojga.

- Mój brat Stefan ze swoją żoną byli na urlopie w Rzymie. Spędziliśmy kilka dni w tym samym hotelu. Rozumiesz?

- Gdy Tessa pytała o panią Kosiński, w hotelu sądzono, że chodzi o jej szwagierkę. Dlaczego nie powiedziałeś o tym Tessie?

- Nigdy mnie o to nie pytała - rzekł George. - Robiła mi wymówki i kłóciła się. O nic mnie nie pytała.

- Takie są kobiety - powiedziałem. - Czy nie myślisz o rozwodzie?

- Nie, Bernardzie. Nie myślę. - Wszedł do kolejnego małego pokoju, który z pewnością był w przeszłości pralnią. W ścianie wciąż znajdowały się instalacje do pralki automatycznej. Pomieszczenie pomalowane było na biało, podłoga wyłożona szarą terakotą, a na środku znajdowała się kratka ściekowa. - Można tu zrobić ładną, małą ciemnię, prawda?

- Sądzę, że tak.

- Tessa mówi, że chciałaby mieć mały pokój do szycia. Wydaje mi się śmieszne przeznaczanie pokoju tylko na ten cel, skoro jej jednak na tym zależy, zgodziłem się. Ciemnię mogę zrobić w łazience. Z drugiej strony szkoda przeznaczać pokój z oknem na robienie fotografii, kiedy bez trudu można wykorzystać do tego celu jakieś wewnętrzne pomieszczenie.

Przeszedł do następnego pokoju i próbował włączyć światło wiedząc, że nie ma prądu.

- Uczucia, jakie miałem dla niej oczywiście umarły. Żadna miłość nie przetrwa ciosów wymierzanych przez nieustanną niewierność żony. - Zapadł zmrok i jego twarz okalała czerwonożłota linia. Wyrzął przez okno, by spojrzeć kolejny raz na zaparkowany samochód.

- To ponura perspektywa, George, żyć z kimś, kogo się nie kocha - powiedziałem.

- Może dla ciebie. Ja jestem katolikiem. - Oczywiście, jak mogłem zapomnieć? Poczulem się jak głupiec, że wspomniałem o rozwodzie i George musiał to zrozumieć, gdyż szybko dodał: - W pokoju dziennym nie ma krucyfiksów ani złoty krzyż nie wisi na mojej szyi; jestem jednak katolikiem, a moja wiara jest dla mnie bardzo ważna. Wstaję przed szóstą rano, żeby pójść na siódmą na mszę i nie spóźnić się do pracy. Mój ojciec i matka byli tacy sami, dopóki ojciec nie spadł do ładowni statku i nie zmiądzzył nóg; resztę swoich dni spędził w wózku inwalidzkim. Po tym wypadku matka zabierała go na późniejszą mszę. W Polsce dwaj bracia mamy są księżmi. Nie miałem na tyle wielkiego umysłu, żeby nim również zostać, jednak moja wiara jest silna. - Uśmiechnął się. Sądzę, że zdawał sobie sprawę, jakim zaskoczeniem byłoby jego oświadczenie dla osób, które uważały go za londyńskiego kapitalistę, kłaniającego się tylko przed mamoną. - Tutaj będzie mi wygodniej. Będę chodził na msze przy Farm Street. Jestem chytry... - Uśmiechnął się. - Zawsze tam był. To tylko kilka kroków wzdłuż drogi. Cudowny mały kościół i zyskuję dodatkowo kilka minut w łóżku co rano. - Uśmiechnął się przebiegle, a ja nie byłem w stanie wyobrazić sobie nikogo, komu by dodatkowe minuty w łóżku sprawiały równie małą różnicę.

- Ona czuje się niepewnie - powiedziałem. - Tessa czuje się niepewnie.

- Czy tak powiedziała?

- Jest bardzo nieodporna, George. Trzeba ją uspokoić. Zdajesz sobie na pewno sprawę, że za całą jej ekstrawagancją kryje się straszliwy brak pewności siebie. Fiona zawsze

twierdziła, że był to kompleks drugiego dziecka. Widzę, że teraz to samo dzieje się z moimi własnymi dziećmi. Tessa wyrosła w cieniu swojej znakomitej, o silnym charakterze siostry.

- Pominąłeś despotycznego ojca - powiedział George. Wziął swój kapelusz z drabiny.

- Widzę, że wiele nad tym myślałeś. Być może ożeniliśmy się z niewłaściwymi siostrami. Może udałoby ci się zapobiec wykołajeniu Tessy, co mnie się nie powiodło. - Trudno było powiedzieć, czy jest złośliwy, czy mówi poważnie.

- A tobie udałoby się zapobiec innego rodzaju wykołajeniu Fiony. Czy to chciałeś powiedzieć?

- Kto wie.- rzekł George.

- Dochodzę do wniosku, że Fiona nienawidzi mnie - powiedziałem. Sam nie wiem, dlaczego zwierzyłem mu się nagle z czegoś, czego nie chciałem przyznać przed nikim innym; może dlatego, że George'a cechował beznamiętny sposób bycia jak wysoko płatnego lekarza. I jak spowiednika.

- Zabiłeś jej osobowość - powiedział bez wahania. Prawdopodobnie przemyślał to już przedtem. - Sprawiałeś, że czuła się mała i nic nie warta.

- Uważasz, że tak właśnie, tak to widziała?

- Zdradzenie własnego kraju przypomina zdradzenie partnera.

Rozpadające się małżeństwo nie jest sukcesem dla żadnej ze stron; to wzajemna klęska. Jak Fiona mogłaby znieść myśl o tobie wiodącym normalne życie z twoją pracą, dziećmi i domem? Wyglądałaby głupio, Bernardzie; jak mała zepsuta dziewczynka bawiąca się w politykę, nie lepsza od tych wszystkich aktorek filmowych udających działaczki polityczne. To oczywiste, że Fiona cię nienawidzi. - Bawił się kapeluszem, lecz nagle założył go na głowę, na znak, że pragnie zmienić temat. - Jeśli masz wciąż ochotę na drinka, chodźmy do *Connaught*. Wolę hotele i wygodne miejsca, w których można posiedzieć. Uczęszczanie do pubów nie sprawia mi przyjemności, muszę bywać w nich zbyt często w związku z interesami. Możemy także zamówić kanapki. Nie mam po co wracać do domu.

- To mój pomysł - przypomniałem mu. - Pozwól zaprosić się na kolację, George.

- To miło z twojej strony, Bernardzie. Widzę, że wciąż jeździsz tym samym fordem. Szkoda, że nie pozwoliłeś mi znaleźć dla ciebie czegoś lepszego.

- Nie mam pieniędzy, aby pretendować do roli klienta.

- Dobrze, dobrze. Nic nie cieszy mnie bardziej niż sprzedanie samochodu mężczyźnie - powiedział George i zdawał się mówić całkiem poważnie. Teraz odprężył się; był inną osobą, gdy mieliśmy za sobą tę trudną rozmowę. Prawdopodobnie lękał się jej podobnie jak ja. - Mam dla ciebie odpowiedni komplet kółek, Bernardzie. Należał poprzednio do dwóch

opryszków, którzy przygotowywali go do dużego napadu rabunkowego. Układ kierowniczy i hamulce są w doskonałym stanie i wyciąga na autostradzie ponad dwieście bez szemrania. Jest tani, Bernardzie. Czy interesuje cię?

- Dlaczego tani, George?

- Karoseria jest w złym stanie i nie ma sensu, żeby cokolwiek przy niej robić. Gdy klienci przychodzą kupować samochody, nie chcą wiedzieć o hamulcach i układzie kierowniczym i może jeden na dziesięciu chce zajrzeć do silnika. Zajmuję się sprzedażą i kupnem karoserii. Powtarzam to wszystkim moim pracownikom.

- Interesuje mnie.

- Oczywiście, że interesuje. Poobijany samochód, wyrzucający spod kół piasek prosto w mercedesa 450 jest dokładnie w twoim stylu. Przyjdź i obejrzyj go. Zatrzymam go dla ciebie.

- Dziękuję, George.

- Dzisiaj mam zabawny dzień - wyznał. - Rano zatelefonowano do mnie z policji, by poinformować mnie, że odnaleziono kubek do schładzania wina z litego srebra, który nam skradziono. Nie był bardzo stary, ale ładny, bogato zdobiony. Myślałem, że już go więcej nie zobaczę. Młodzieniec, który pracował u mnie jako mechanik, próbował go sprzedać pośrednikowi handlującemu antykami na targu przy Portobello Road. Pośrednik domyślił się, że jest skradziony i zawiadomił policję.

Zauważyłem, że „kubek na lód” Tessy u George’a był „kubkiem do schładzania wina”. To samo było z wieloma innymi rzeczami. Dziwiło to, że pobrali się, tak niewiele mieli ze sobą wspólnego.

- Mielicie szczęście, że go odzyskaliście - powiedziałem.

Ostatnim, pełnym dumy spojrzeniem obrzucił swoje nowe mieszkanie i zamknąwszy podwójnie frontowe drzwi przekręcił osłonę na dziurkę od klucza. - Dzieciak myślał, że to był platerowany biały metal; nie rozpoznał litego srebra. Głupi, co? Wzbudziłby podejrzenia w każdym. Był dobrym młodym pracownikiem, zaledwie dziewiętnastoletnim, płaciłem mu bardzo dobrą pensję. Jak można coś takiego zrobić, kraść w czyimś domu, dziwne, prawda?

- Tak, dziwne.

Jezuicki George prowadził dalsze rozważania sam z sobą.

- Z drugiej strony, naraziłem go na pokusę. Zaprosiłem go do domu eksponując tak cenne rzeczy. Powinienem w jakiejś mierze również ponieść karę. Powiedziałem to posterunkowemu.

- Jak na to zareagował?

- Stwierdził, że nie może wciągać się w dyskusje na temat etyki i moralności, ma wystarczający problem próbując zrozumieć prawo. - George roześmiał się. - Przystępstwo, to tylko jeden procent motywacji i dziewięćdziesiąt dziewięć okazji. Musiałem to już ci mówić, Bernardzie.

- Wydaje mi się, że już to słyszałem, George - rzekłem.

ROZDZIAŁ XXIII

Perspektywa powrotu do Mexico, chociaż bez Dicky'ego, nie była zachęcająca. Chciałem zostać tutaj; spędzić więcej czasu z dziećmi oraz nasycić się domowym jedzeniem i muzyką Mozarta. Oczekiwał mnie jednak szereg hoteli o wnętrzach ze sztucznego tworzywa, „międzynarodowa kuchnia” i Muzak.

Wróciłem do domu przed północą, spędziwszy miły wieczór na kolacji z George'em. Przypomniałem sobie, jak opisał idealny samochód dla mnie: sfatygowany wygląd, lecz pod maską potężny zapas mocy. Czy tak właśnie odbierał mnie George, czy podświadomość odbijała jego własne niedostatki? Nie mogłem pójść spać, gdyż czekałem na bilety lotnicze, które miał przynieść dyżurny posłaniec. Rozzaliwszy się nad sobą powędrowałem do pokoju dzieci i wziąłem do ręki „Księgę żartów” Sally: „Jak złapać małpek - Zawisnij na drzewie głową w dół i udawaj, że jesteś bananem”. W książce Billy'ego natomiast, z poezją dla dzieci, znalazłem wiersz Kiplinga:

Five and twenty ponieś Trotting through the dark - Brandy for the parson, Baccy for the Clerk; Laces for a lady, letters for a spy, Watch the wali, my darling, while the Gentlemen go by.

Obiecałem przynieść baterie do ich, przez radio sterowanego, samochodu wyścigowego i spróbować naprawić Sally budzik z kaczorem Donaldem. W tym roku przegapiłem urodziny dzieci, a teraz zostały zabrane do kuzynki Tessy. Czułem się w stosunku do nich winny, nie mogłem jednak odmówić powrotu do Mexico. Potrzebne mi było poparcie Departamentu.

Gdybym się z nim pożegnał, nie miałem żadnych kwalifikacji, które przyniosłyby mi porównywalne dochody. Departament nie załatwiłby dla mnie pracy. Przeciwnie, znaleźliby się tacy, którzy powiedzieliby, że moja rezygnacja świadczy o powiązaniach z działalnością Fiony, co jasno postawiono na zebraniu. Nie miałem wyboru, jak zostać wzorowym urzędnikiem Departamentu, godnym zaufania profesjonalistą, uzyskującym właściwe rezultaty, podczas gdy inni będą zdobywać się jedynie na pustą retorykę. A jeśli odważnie wykonam moją robotę, bez niczyjego poparcia i oczyszcze się z podejrzeń, niektórzy z wybitnie niekompetentnych osób w Departamencie zostaną zdeptani, co będzie mi na rękę.

Zadzwoił dzwonek u drzwi. Jedenasta czterdzieści pięć. Mój Boże, ile to im zajęło czasu. Nie usłyszałem silnika motocykla i było to niezwykle dla posłańców o tej porze nocy. Pamiętając wciąż o złowieszczych przestroгах Wenera dotyczących grupy uderzeniowej KGB, otworzyłem bardzo ostrożnie drzwi i stanąłem ukryty w cieniu.

- Dobry wieczór, panie Samson. O co chodzi? - To była Gloria Kent.

- O nic.

- Oczekiwał pan posłańca na motocyklu, prawda? Cholernie szybko we wszystkim się orientowała. - Tak, oczekiwałem.

- Czy mogę na chwilę wejść? Wracam do domu, ze spotkania z chłopakiem.

- Uciekł pani ostatni pociąg - powiedziałem kwaśno. - Tak, proszę wejść.

Miała na sobie futrzany kapelusz i brązowy, zamszowy płaszcz, ozdobiony brązową skórą. Duży futrzany kołnierz zapięty był pod szyją, którą osłaniał złoty szal. Płaszcz podkreślał jej biodra a dzięki zaokrąglonym połom nie sposób było nie dostrzec błyszczących, skórzanych botków. Zauważyłem nalepkę *McDouglasa* z Paryża, gdy wziętem od niej płaszcz, żeby go powiesić. Był podszyty jakimś drogim futrem. Nie można byłoby pozwolić sobie na takie okrycie z pensji samodzielnego oficera dziewiątego stopnia. Doszedłem do wniosku, że mieszkańcy Epson muszą bardzo dbać o zęby.

Usiadła bez zaproszenia. Miała niewielki neseser, który trzymała przy sobie. - Chciałam podziękować - powiedziała.

- Za co?

- Za to, że nie zostałam odesłana z powrotem do Rejestracji. Za pozwolenie pozostania na górze i pomagania pańskiej sekretarce. Myślałam, że będzie pan zły. Sądziłam, że mnie się pan pozbędzie.

- Nie chciałem, żeby cierpiała pani z powodu mojej błędnej oceny - powiedziałem.

Uśmiechnęła się. - Czy mogłabym prosić o odrobinę tego doskonałego brandy, które ostatnio tu piłam? To był chyba *MartelH*

- Oczywiście. - Nalałem niewielkie ilości do dwóch kieliszków i podałem jej jeden. - Czy nie zostawiła tu pani olejku kąpielowego „Tajemnica Wenus”?

- Tak. Znalazł go pan?

- Nie ja; moja szwagierka.

- O Boże. - Gloria roześmiała się i wypila na raz połowę zawartości i zakrztusiła się. - Dzisiejszy wieczór jest zimny - stwierdziła. Odstawiła kieliszek i położyła neseser na kolanach. - Chciałam powiedzieć, że przykro mi z powodu tego co się stało. Uznałam, że

przynajmniej powinnam naprawić wyrządzoną szkodę. - Otworzyła neseser. Znajdowały się w nim podkoszulki i slipy, nowe, w przezroczystych opakowaniach.

Nie zamierzałem pozwolić, żeby zrobiła ze mnie głupca po raz drugi. Zastanawiałem się, czy w dowcipie uczestniczyły jeszcze jakieś inne dziewczyny z biura. - To nie jest mój rozmiar - warknąłem.

Sprawiła wrażenie przerażonej. - Ależ ten. Od *Marksa & Spencera*, bawełniane, duże. Zauważyłam kiedy... kiedy je przecinałam. Jest mi strasznie przykro z tego powodu, panie Samson. Zachowałam się w sposób bardzo dziecinny.

- Oboje zachowaliśmy się w taki sposób - powiedziałem. - Nie uśmiechała się, jednak wciąż nie byłem jej pewny.

- Tylko, że to ja je zniszczyłam.

- Już je uzupełniłem. Nie są mi potrzebne.

- Myślałam o tym. Lecz u *Marksa & Spencera* bardzo chętnie wymieniają rzeczy. Mogą nawet wymienić towar na gotówkę... - Spojrzała na mnie wyjmując z nesesera dużą kopertę. - Tutaj są pańskie bilety do Mexico City i trzysta funtów w czekach podróżnych. Zarówno bilety jak i чеki są wystawione na nazwisko Samson, ale mogę jutro rano natychmiast je zmienić, jeśli pański paszport opiewa na inne. Jeśli zamierza pan korzystać z czeków, powinien pan je podpisać. W kasie nienawidzą wydawania ich *in blanco*. Pańska sekretarka nie była pewna, jakiego paszportu pan będzie używał. Powiedziała, że informacje tego rodzaju zatrzymuje pan dla siebie.

- Dziękuję, Gloria. Samson jest właściwym nazwiskiem. - Czy pozwoli mi pan położyć te rzeczy na miejsce? - zapytała. Wstała. Jednym łykiem wypiła resztkę brandy i skierowała się w stronę schodów. Zamierzałem sprzeciwić się, ale już była na górze.

Wzruszyłem ramionami.

Była tam około pięciu minut, gdy usłyszałem ciężki łoskot i pomyślałem, że zrzuciła telewizor stojący przy łóżku. Pośpiesznie wbiegłem po schodach i wszedłem do sypialni. Było ciemno, w świetle lampy nocnej dostrzegłem jednak ubranie Glorii i jej jedwabną bieliznę rozrzuconą po pokoju. Gloria stała po drugiej stronie łóżka. Była kompletnie naga. Postawiła na miejscu ciężkie krzesło, które przewróciła na bok. Podpierała się pod boki, jak gdyby miała rozpocząć gimnastykę poranną. - Co, u diabła...? - zapytałem.

- To jedyny sposób, jaki mi przyszedł do głowy, żeby cię tu zwabić - powiedziała. - Wołanie cię byłoby takie staromodne.

- Skończ z tym, Gloria. Mówiłaś, że właśnie wracasz ze spotkania z chłopakiem. - Miała wspaniałą figurę i nie mogłem od niej oderwać wzroku.

- Nie ma żadnego chłopaka. Powiedziałam tak na wypadek, gdyby była tutaj już jakaś kobieta.

- Czy to ma być żart?

- Nie żart. Chcę skorzystać z propozycji, którą kiedyś odrzuciłam. Myślałam o tym. Byłam głupia. - Weszła do łóżka i naciągnęła kołdrę po samą szyję. Zadrżała. - W tym łóżku można zamarznąć na śmierć. Nie słyszałeś nigdy o kołdrach elektrycznych? Chodź i ogrzej mnie.

Zawahałem się.

- Nie ma żadnego ryzyka z punktu widzenia bezpieczeństwa, Bernardzie. Byłam poddana różnym badaniom i wszystkie dokumenty świadczą o tym, że jestem godna zaufania. - Uśmiechnęła się rozmarzona i potrząsnęła głową, a jej włosy błyszczały w świetle lampy. - Zbliź się, człowieku czynu. W biurze mówi się, że jesteś impulsywny i działasz instynktownie. - Musiała zobaczyć coś w mojej twarzy, gdyż szybko dodała: - Nie, nikt w biurze nie wie. Twoja sekretarka jest przekonana, że oddałam bilety dyżurnemu posłańcowi. To żaden dowcip. Przysięgam.

Była porywająca. Bardzo młoda i przejęta. I rozebrana. Nie mówiła nic, tylko przyglądała mi się śmiejąc z absurdalności naszego szaleństwa. Gdy wszedłem do łóżka, sięgnęła nade mną do kontaktu żeby zgasić światło. Pragnąłem jej. Porwałem ją w objęcia.

Potem, w długi czas potem, stwierdziłem, że przyglądam się szafce nocnej, stojącej po stronie dawnego łóżka mojej żony. Z przedpokoju wpadał strumień światła. Dostrzegłem historyczną książkę, którą Fiona przeczytała tylko do trzydziestej strony, grzebień oraz opakowanie z tabletkami aspiryny. Zawsze czesała się wstając rano z łóżka; był to niemalże odruch, czynność, którą wykonywała w półśnie.

- Nie zasypiaj - powiedziała Gloria.

- Nigdy nie byłem bardziej rozbudzony.

- Czy myślisz o żonie i... dzieciach?

- Nie ma dzieci w domu.

- Wiem o tym, głuptasie. Wiem o tobie wszystko, teraz, kiedy pracuję razem z twoją sekretarką.

- Czy mnie szpiegujesz? - zapytałem siląc się na surowy ton.

- Oczywiście, że szpieguję. Przecież tym właśnie się zajmujemy?

- Nie siebie nawzajem.

- Czasami siebie nawzajem też - poprawiła mnie.

- To prawda, czasami siebie też - powiedziałem.

- Chciałabym, żebyś mi ufał... naprawdę ufał.

- Dlaczego?

- Ponieważ cię kocham - rzekła.

- Nie kochasz mnie. Jestem dostatecznie stary, żeby być twoim ojcem.

- Co to ma wspólnego z miłością?

- Nigdy nie powinno do niczego dojść między mną a tobą. Do niczego poważnego, Gloria.

- Czy nie lubisz imienia Gloria?

- Nie, dlaczego.

- Wymówiłeś je tak, jak gdybyś go nie cierpiał. Rodzina nazywa mnie Zu; to skrót od Zsuzsa.

- Dobrze, Zu, to nieprawda, że nie cierpię imienia Gloria. Roześmiała się, przytuliła się do mnie i pochyliła głowę, żeby ugryźć mnie w ramię z udawaną złością. Nagle spoważniała dotykając bawełnianą kołdrę w niebieskie pasy.

- Czy byłeś w tym łóżku z inną kobietą? Potem, jak opuściła cię żona?

Nie odpowiedziałem.

- Nie zdawałam sobie z tego sprawy. Byłam niedelikatna.

- Wszystko w porządku. Nie mogę do końca życia trwać w celibacie.

- Czy wciąż ją kochasz?

- Brakuje mi jej. Żyjesz z kimś, masz z nim dzieci, patrzysz jak rosną. Macie wspólne zmartwienia, dzielicie wspólnie gorsze okresy... ona jest częścią mojego życia.- Czy wróci, jak sądzisz?

- Nie powinniśmy o tym rozmawiać - powiedziałem. - W biurze krążyła oficjalna notatka na jej temat. Zniknięcie mojej żony było teraz ukrywane przez Departament Oficjalnych Tajnych Akt.

- Nic mnie nie obchodzi biuro, Bernardzie. Ty mnie obchodzisz. - Długa pauza. - Obchodzi mnie to, co będzie z nami.

- Ona nie wróci. One nigdy nie wracają.

- Jesteś zły. Nie jesteś smutny, tylko zły. To nie zdrada polityczna, tylko osobista wyzwala w tobie taką gorycz.

- Nonsens - powiedziałem.

Zaledwie promień światła wpadał przez otwarte drzwi sypialni. Podniosła się na łokciu, żeby lepiej przyjrzeć się mojej twarzy. Przykrycie zsunęło się z jej ramion i światło odbijało się na jej nagim ciele. - To nie jest nonsens. Twoja żona nie dlatego uciekła, że

czytywała *Das Kapital*. Twoja żona musiała ręka w rękę pracować z radzieckim oficerem. Przez lata. To było umówione spotkanie, romans, uwiedzenie. Bez względu, jak czyste były między nimi ich fizyczne związki, twoja żona została uwiedziona.

- To romantyczny pomysł, Zu, ale to nie zawsze odbywa się w ten sposób.

- Kobiety mają osobiste zależności. Nie są zdolne do lojalności dla spraw abstrakcyjnych, tak jak mężczyźni.

- Dajesz się ponieść wyobraźni, ponieważ tym szczególnym radzieckim agentem była kobieta. Większość szpiegów to mężczyźni.

- Większość szpiegów to homoseksualiści - powiedziała. Przez moment zastanowiłem się nad tym. Wielu z nich, umieszczanych w zachodnich społecznościach było homoseksualistami, ukrywającymi się ze swoimi skłonnościami i aktywnymi; to prawda, że KGB uzależnione było od regularnych i częstych osobistych kontaktów. Nasi ludzie na Wschodzie nie mogli poruszać się z równą łatwością, a kontakty osobiste ograniczały się do nagłych wypadków.

- Homoseksualiści są najbardziej mobilnym elementem zachodnich społeczności - powiedziałem bez zająknięcia.

- Przypadkowym, chciałeś powiedzieć. Jednego wieczoru minister gabinetu, następnego technik laboratoryjny. Czy to miałeś na myśli?

- Tak - odpowiedziałem.

- Mam nadzieję, że o mnie nie myślisz w ten sposób - powiedziała przechodząc od spraw ogólnych do osobistych, co jest zwyczajem kobiet.

- A nie jesteś? - zapytałem.

- Nie bądź wstrętny, kochanie. - Wyciągnęła rękę dotykając mojej twarzy. - O czym myślisz?

Przypomniałem sobie, co Stinnes powiedział temu niezdarnemu Pawłowi Moskwinowi w pustym weekendowym domu Biedermanna w Mexico. - Zachowujesz się jak gwałciciel, kiedy jesteśmy w trakcie uwodzenia. Nie tylko przy jednej okazji mówiłem w ten sam sposób. Ostrzegłem Dicky'ego, że Stinnes nie jest werbowany; jego chciano skaperować. Werbowanie jest uwodzeniem, skaperowanie - rozwodem. Agent werbuje się roztaczając przed nim olśniewające perspektywy niewinnej przyszłości... Agent nieprzyjaciela, taki jak Stinnes, nie jest podatny na fantazjowanie. Można namówić go do przejścia na drugą stronę obiecując dom, samochód, płacenie alimentów. - O niczym - odpowiedziałem.

- Jesteś tak daleko - powiedziała nagle. - Sprawiasz, że czuję się, jak gdyby mnie tutaj już nie było. Jak gdybym nie była już dłużej potrzebna.

- Przepraszam - powiedziałem. Sięgnąłem po nią i przyciągnąłem blisko do siebie. Jej ciało było zimne. Przytuliła się do mnie naciągając kołdrę prawie na głowę. - Jesteś tutaj i jesteś bardzo potrzebna - powiedziałem.

- Kocham cię, Bernardzie. Wiem, że uważasz mnie za niedorośłą, kocham cię jednak beznadziejnie.

- Myślę, że jesteś bardzo dorosła - powiedziałem pieszcząc ją.

- Och, tak - powiedziała rozmarzona. Nagle wypowiadając myśl, która przysła jej do głowy, zapytała: - Nie będziesz mnie ukrywał przed swoimi dziećmi, prawda?

- Nie, nie będę.

- Obiecujesz?

- Oczywiście.

- Potrafię zajmować się dziećmi.

- Dorosłymi również - powiedziałem.

- Och, tak - rzekła. Zsunęła się i przytuliła do mnie. Starąłem się nie zasnąć. Bałem się, że przyśni mi się koszmar o MacKenzim i obudzę się z krzykiem, mokry od potu, jak zdarzyło mi się to już dwu - albo trzykrotnie. W końcu jednak usnąłem. Nic mi się nie śniło. Gloria była dla mnie dobra.

ROZDZIAŁ XXIV

Ze stopni samolotu zstępowałem jak do sauny, w żar Mexico City. Przyleciałem o wyjątkowo złej porze, kiedy wilgotność i temperatura osiągnęły rekordowy poziom. Jak w bombardowanym mieście nasycone parą ulice dudniły odległym grzmotem, który nigdy nie stawał się głośniejszy. Czarne, kłębiaste chmury deszczowe wiszące nad górami nie przynosiły zapowiadanej burzy. Taka pogoda wpływała na system nerwowy nawet najbardziej zaaklimatyzowanych mieszkańców, a statystyki policyjne wykazywały, że niezliczone formy przemocy osiągały o tej porze roku rekordowe rozmiary.

- Muszę porozmawiać ze Stinnesem - powiedziałem Wernerowi. - Muszę się z nim spotkać w cztery oczy... - Znajdowaliśmy się w mieszkaniu wuja Zeny. Lista stłuczek wisząca przy telefonie znacznie wydłużyła się. Być może był to jeszcze jeden dowód na to, że ciężka pogoda wpływa na nadpobudliwość. Niechętnie odwróciłem się od klimatyzatora, chociaż powietrze wydostające się z niego było gorące a hałas silnika tak duży, że nie dosłyszałem odpowiedzi Wenera. Przystawiłem dłoń do ucha.

- Jestem gotów jechać w piątek - rzekł Werner, za drugim razem podnosząc głos. - Tak, jak sobie życzyli w Londynie; nie później ani nie wcześniej. - Nawet Wenera, któremu odpowiadały wysokie temperatury, zmogła w końcu wysoka wilgotność. Nie miał na sobie

koszuli i nieustannie popijał dużymi łykami lemoniadę z lodem, chociaż mówiłem mu, że się to na nic nie zda. Czasami bywał bardzo uparty.

- Londyn nie zgodzi się na wypłacenie tak ogromnej sumy, dopóki ktoś na miejscu nie sprawdzi odbierającego i nie potwierdzi, że wszystko jest w porządku; a ja jestem człowiekiem na miejscu.

Do pokoju weszła Zena niosąc lemoniadę z lodem. - Ich ambasada ograniczyła możliwość swobodnego poruszania się. Nie mogą przemieszczać się jak dotychczas - stwierdziła.

- Trudno mi w to uwierzyć - powiedziałem. - Stinnes jest pracownikiem KGB. Nie obowiązują go żadne polecenia ambasady; może powiedzieć ambasadorowi, żeby się wypchał.

Zena odebrała moją odpowiedź jako oznakę zdenerwowania. - Wszystko będzie w porządku - powiedziała uśmiechając się opiekuńczo, jak zwykła często uśmiechać się do Wenera.

- Nic nie będzie w porządku - rzekłem. - Londyn nie zgodzi się na wypłatę pieniędzy... takich pieniędzy.

- Powiedz więc Londynowi, że musi się zgodzić - rzekła Zena.

- Moje stosunki z Londynem nie są na tyle dobre, żeby ochoczo przyjmowano tam moje polecenia - wyjaśniłem. - Będą chcieli usłyszeć kilka odpowiedzi na zadane pytania.

- Jakie pytania? - zapytał Werner.

- Będą chcieli wiedzieć, dlaczego Stinnes tak nalega, żeby wypłacono mu pieniądze z góry.

- A dlaczego nie? - powiedziała Zena, którą zdziwiłoby, gdyby ktokolwiek chciał w inny sposób zrealizować płatność.

- Skąd ten pośpiech? - zapytałem. - Dlaczego Stinnes nie zaczeka, aż znajdzie się w Zjednoczonym Królestwie? Co zamierza zrobić w środku Mexico City z walizką pełną funtowych banknotów?

- Dolarów amerykańskich - powiedziała Zena. - Prosił o używane studolarowe banknoty.

Postawa Zeny zirytowała mnie, powiedziałem więc do niej oschle: - Złote suwereny, złotówki, zęby rekina czy muszle porcelanowe... co za różnica? Po co nieść walizkę z gotówką przez tak niebezpieczne miasto? Dlaczego nie przekaz bankowy, list kredytowy czy obligacja na okaziciela?

- Zastanawiam się, czy Stinnes myślał o suwerenach - rzekła Zena. - Sądzę, że mógłby nawet woleć suwereny od banknotów amerykańskich. Jak ciężkie byłyby w złocie?

Nie odpowiedziałem na pytanie. - Jakikolwiek rodzaj gotówki wybrał - będzie ją miał przy sobie wsiadając do samochodu, prawda? Gdybyśmy działali w złej wierze, moglibyśmy bez trudu mu ją odebrać. Zupełnie nie rozumiem, o co mu chodzi.

- Nie sądzą, żeby ją miał przy sobie - powiedziała Zena w sposób tak oczywisty, jakby rozważała możliwość nadciągnięcia burzy, która przyniosłaby trochę chłodu. - Erich jest mądry. Zostawi ją gdzieś, gdzie nikt inny nie będzie miał do niej dostępu. - Zostawi ją?

- Ja bym tak zrobiła - odparła.

- Wpadnie do banku i zostawi ją kasjerowi? - zapytałem kpiąco.

Chwyciła przynętę. - Albo komuś, komu ufa.

Roześmiałem się. - Pieniądze zostawi komuś, komu ufa, a swoje ciało odda w ręce osób, którym nie ufa? Powiedziałbym, że ktoś, kto rozumuje w ten sposób, jest imbecylem. - Przyjrzałem się jej, żeby stwierdzić, dlaczego jest taka pewna zamiarów Stinnesa. Nie ulegało wątpliwości, że ma ogromny na niego wpływ. Zacząłem się teraz zastanawiać, czy Zena planuje przekazać go nam a potem ukraść jego pieniądze. Biedny Erich Stinnes.

- Wątpisz - powiedziała wyniośle - ponieważ twoja żona zostawiła cię i nie wierzysz ani nie ufasz nikomu ani niczemu. Na tym świecie są jednak ludzie godni zaufania.

- Tak - przyznałem. - Są, trzeba jednak podjąć ryzyko, żeby stwierdzić, którzy to.

Uśmiechnęła się jak gdyby z pobłażaniem i z ledwo słyszalnym sarkazmem stwierdziła: - Życie jest trudne, prawda? Trzeba ryzykować, gdy chce się coś zdobyć. - Zebrała filiżanki po kawie ze stołu i postawiła je na tacy robiąc przy tym więcej hałasu niż byłoby to konieczne. - Muszę wyjść, Werner - powiedziała, a dodanie jego imienia miało mnie wykluczyć z dostępu do tej informacji.

- Dobrze, kochanie - powiedział Werner.

- Do widzenia, pani Volkmann - powiedziałem. - Miło mi było z panią rozmawiać. - Spojrzała na mnie. Wiedziała, że wróciłem z Wernerem do mieszkania tylko dlatego, że miała wyjść na umówione spotkanie.

- Wolałbym, żebyście się lepiej z Zeną zgadzali - rzekł Werner, gdy zostaliśmy sami.

- Chcesz powiedzieć, że wolałbyś, żebym był dla niej bardziej grzeczny.

- Nie jest łatwa we współżyciu. Ty natomiast mówisz zawsze niewłaściwe rzeczy.

- Czy zdobyłeś pistolet dla mnie, Werner?

- Nie było to łatwe. - Podążyłem za nim do dużej szafy na książki, w której była wystawiona chińska zastawa. Otworzył zamkniętą szufladę. Sięgnął do niej i zza owiniętych

materiałem srebrnych sztuców wydobyl kolta 38, specjalnego, detektywistycznego typu. Wręczył go mnie. Wyjąłem broń z kabury wykonanej z ozdobnie tłoczonej skóry i przyjrzałem się jej.

Niklowe zakończenie było prawie całkowicie zniszczone. Musiała mieć z ćwierć wieku. Kiedyś była wyposażona w zabezpieczenie cyngla dla zmniejszenia niebezpieczeństwa przypadkowego wystrzału i przedziurawienia stopy. - Wiem, że chciałeś mały rewolwer samoczynny z tłumikiem, jednak jedynie ten udało mi się w tak krótkim czasie zdobyć - powiedział Werner usprawiedliwiając się.

- Jest dobry - powiedziałem. Staralem się wymyślić jakieś miłe określenie poza tym, że byłby cennym antykiem. - Te pistolety w stalowej oprawie łatwiej utrzymać przy szarpnięciach spowodowanych krótkimi pociskami... Jest mi potrzebny, żeby pomachać nim, na wypadek, gdyby Stinnes zmienił zdanie.

- Zaledwie jedno pudełko pocisków, ale za to nie są zbyt stare.

- To w związku ze Stinnesem. Czuję jakiś niepokój, Werner - powiedziałem. Zatknąłem rewolwer za pasek spodni i omal nie upadłem na podłogę pod jego ciężarem. Pudełko naboju bardzo przydało się w kieszeni dla uzyskania równowagi. - Zena sprawiała wrażenie, jak gdyby nie chciała, żebym się spotkał ze Stinnesem.

- Jest bardzo w stosunku do niego opiekuńcza. Myśli, że Centrala w Londynie chce każdego oszukać. Szczerze mówiąc nie zrobiłeś wiele, żeby zmniejszyć jej podejrzenia.

- A ty? - zapytałem. - Czy również podzielasz te podejrzenia?

- Gdybyś to ty obiecał pieniądze Stinnesowi, byłbym pewien, że je dostanie. Trzymają cię jednak z dala od wszystkiego, prawda?

- Muszą mi przysłać wkrótce pieniądze. Jeśli nie przyślą ich do piątku, nie mogą spodziewać się, że wsadzę go do samolotu.

Werner zacisnął kciuk i palec wskazujący na nosie. - Nie jestem pewien, czy Londyn przyśle ci pieniądze - rzekł.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Werner?

- Do miasta przybył twój przyjaciel Tiptree. Założę się, że to on ma zorganizować płatność gotówkową. Trzymają cię od tego z dala.

- Tiptree? Skąd wiesz?

- Wiem - odpowiedział. - Może to lepiej. Pozwól rozegrać mu jego tajemnicze gierki. Miałeś rację mówiąc, że to niebezpieczne. Nieść torbę pełną pieniędzy przez miasto. Tutaj jest mnóstwo takich, którzy wbiliby nóż za pięćdziesiąt centymów. Mnóstwo.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego Zenie tak zależało, żeby zapobiec mojemu spotkaniu ze Stinnesem - powiedziałem. - Nie możemy kontynuować tej absurdalnej metody prowadzenia rozmowy za pośrednictwem ciebie i Zeny, i przyniesieniu przez was z powrotem wiadomości od Stinnesa. Było to dobre na samym początku, ale teraz czasu pozostało niewiele.- Jaka to różnica, czy ty z nim rozmawiasz czy ja, czy Zena? - zapytał Werner.

- Jeśli Stinnes ucieknie w ostatnim momencie lub zdarzy się inna niemiła niespodzianka, co jest całkiem możliwe, wolałbym wtedy być przekonany o własnej winie niż o waszej.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział Werner. - Erich jest jednak bardzo zdenerwowany. Tutaj w biurze ma swoich wrogów; to bardzo dla niego niebezpieczne.

Był teraz Erichem już dla dwojga Volkmannów. Nie podobało mi się to. Miało to zbyt osobisty charakter. Lepiej w tego rodzaju operacji utrzymywać stosunki typu lekarz-pacjent, na wypadek, gdyby miała się nie udać. - Powinien był to przewidzieć, gdy się decydował - powiedziałem.

- To duży krok, Bernardzie.

- Tak, duży. - Podszedłem do klimatyzatora. Przyłożyłem rękę do jego wylotu, powietrze nadal nie było o wiele chłodniejsze. - Robi dużo hałasu, ale nie pracuje dobrze - wyjaśnił Werner. - Meksykanie nazywają go „politykiem”.

- Gdy będę w końcu zmuszony zameldować w Londynie o „niespodziance”, natychmiast zapytają, dlaczego u diabła nie nalegałem, żeby się spotkać ze Stinnesem osobiście.

- Erich wie, jakie są zagrożenia - rzekł Werner. - To doświadczony agent. Będzie postępował tak, jak my postępowalibyśmy. Dopilnuje, żeby wszystko przebiegło pomyślnie, prawda?

- Lepiej dla niego, żeby przebiegało pomyślnie - powiedziałem. - Nie będzie mógł wrócić po fakcie do swojej ambasady i powiedzieć, że rozmyślił się.

- Dlaczego nie będzie mógł? - zapytał Werner. - Wiemy, że takie rzeczy się zdarzały? Myślałem, że właśnie dlatego Londyn jest zainteresowany, żeby wsadzić go do samolotu i wydostać stąd.

- W Londynie już o tym pomyśleli - rzekłem. - Gdy tylko otrzymają telex potwierdzający, że mamy Stinnesa, historia przedostanie się do jakiejś agencji prasowej. Będzie powiedziane, że mamy wysokiej rangi uciekiniera z KGB, który od paru lat dostarczał nam informacje. Jeden z wybranych reporterów będzie nawet znał kilka szczegółów dotyczących wywiadu, o których się powie, że zostały przekazane przez Stinnesa.

Teraz Werner zacisnął palec wskazujący i kciuk na materiale podkoszulki i odciągnął ją od ciała, by umożliwić dostęp powietrza. - Erich Stinnes nie przekazywał niczego do Londynu, prawda?

- A jak sądzisz?

- Sądzę, że Centrala w Londynie zmiesza go z błotem, żeby me ważył się myśleć kiedykolwiek o powrocie.

- Fantastycznie, Werner - powiedziałem z żartobliwym podziwem. - Zgadłeś za pierwszym razem. Na miłość boską, nie pozwól jednak, żeby Stinnes coś zwietrzył.

- Kto wpadł na ten paskudny pomysł, Bret Rensselaer?

- Obaj wiemy, że nie mógł to być Dicky - rzekłem. - On nie miewa żadnych pomysłów.

- Gdzie chcesz spotkać się z Erichem? - zapytał Werner.

- Muszę się z nim spotkać - powiedziałem. - W cztery oczy i przed piątkiem. Jeśli chce zawierzyć Zenie lub jakiegokolwiek innej osobie, to jego sprawa. Tej decyzji nie mogę za niego podjąć. Informacja o piątkowym spotkaniu jest przeznaczona tylko dla niego, Werner.

- Zamierzasz trzymać Zenę z dala od tego, prawda? Mnie też?

- Zrobiłeś to, co do ciebie należało, Zena również. Skończmy z tym. Chcę wydostać się już z tego miasta. Deszcz i upał... i zaduch. To nie jest dobry pomysł na spędzenie wakacji.

- Wuj i ciotka Zeny mają wrócić pod koniec tygodnia z urlopu, my też wyjedziemy. Zrobię to bez żalu - rzekł Werner. - Nigdy nie będę już narzekał na pogodę w Berlinie po tej cholernej wilgotności. Trzy razy wzywałem fachowca, żeby sprawdził klimatyzację, za każdym razem usłyszałem, że dobrze działa. Jest zbyt gorąco na zewnątrz, żeby urządzenie mogło podziałać temperaturze.

Spojrzałem na niego i skinąłem głową.

- Zgoda - powiedział Werner. - Skontaktuję się z Erichem Stinnesem. Będzie telefonował około szóstej. Zawiozę go tam, gdzie będziesz chciał.

- Muszę z nim porozmawiać. Gdzieś, gdzie bylibyśmy bezpieczni. Sklep z karoseriami Angela, miejsce napraw samochodów w pobliżu świątyni Gwadelupy. Pamiętasz? Jest wymalowany na czerwono i żółto.

- O której?

- Wjedź do środka, przez warsztat i podjedź z tyłu. Jest tam podwórce. Będę czekał w samochodzie. Powiedzmy o siódmej.

- Będę tam.

- Bez Zeny.

Werner napił się lemoniady. - Nigdy nie widziałem jej takiej - powiedział smutno. - Ona naprawdę lubi Ericha. Martwi się o niego.

- Trzymaj ją z dala od tej sprawy, Werner.

- Bernie, jak myślisz, czy Zena może być zakochana w Erichu Stinnesie?- Znasz ją lepiej niż ja - powiedziałem, żeby uniknąć pytania. A właściwie odpowiedzi, która była prosta, gdyż znałem tylko jedną rzecz, w której Zena była zakochana. Erich Stinnes miał właśnie ją odebrać, w wysokości ćwierć miliona.

- Tak sądzisz? - zapytał niepewnie Werner. - Nigdy nie widzisz osoby, którą kochasz, chyba że przez różowe okulary. Czasami oczekuję od niej zbyt wiele. Dałbym jej koronę z klejnotami.

- Ucieszyłaby się z niej, Werner.

Uśmiechnął się bez wielkiego wysiłku. - Tak bardzo ją kocham, wiesz o tym. Jesteś przyjacielem. Potrafisz to lepiej widzieć ode mnie.

- Nie powinieneś pytać mnie o Zenę - powiedziałem. - Nie spodziewaj się po mnie, że cokolwiek wiem na temat kobiet. Bez względu na to, co Zena czuje do Ericha Stinnesa, nie ma dużej szansy, żeby któryś z nas kiedyś się o tym dowiedział. Zawsze myślałem, że nienawidzi Rosjan.

- Dużo mówi na jego temat. Zatrzymała jedno ze zdjęć paszportowych, które ci przysłał. Trzymała je we własnym paszporcie. Zauważyłem, że wyjęła je, gdy przechodziliśmy przez punkt kontroli dokumentów na lotnisku.

- To nie musi o niczym świadczyć.

- Jeśli ucieknie ze Stinnesem, umrę - rzekł Werner.

- Nie zamierza z nim uciekać - powiedziałem. - A jeśli nawet, co jest mało prawdopodobne, zrobi to, nie umrzesz, Werner. Będziesz się czuł nieszczęśliwy, ale nie umrzesz. - Czulem potrzebę chwycenia go i potrząśnięcia, wyrwania z nastroju przygnębienia, wiedziałem jednak, że się to na nic nie zda. Już przedtem te środki zawodziły.

- Kiedy wyjeżdżaliśmy z Berlina, zaniósła całą swoją biżuterię do siostry.

Cholera, pomyślałem. Nie mów mi tylko, że jest jeszcze jedna Zena. Uśmiechnąłem się jednak mówiąc: - Czy ma dużo biżuterii?

- Sporo, kilka pierścionków z diamentami, naszyjnik z trzech sznurów pereł i bransoletkę z platyny z dużymi diamentami. Ma również ciężki, złoty naszyjnik, który kosztował mnie prawie dziesięć tysięcy marek. Otrzymała również biżuterię od matki,

wisiorki, zegarek wysadzany brylantami i perły. Lubi biżuterię. Zauważyłeś chyba, że chętnie ją nosi.

- Powinienem, jednak nie zauważyłem.

- Zaniósła ją do siostry.

- Obawiała się złodziei - rzekłem.

- Nigdy nie zostawia jej w mieszkaniu, gdy wyjeżdżamy.

- Sam widzisz. Chciała mieć pewność, że będzie w bezpiecznym miejscu. Nie było sensu przywożenia jej tutaj. Moglibyście mieć kłopoty z urzędem celnym. Wywiezienie jej z powrotem byłoby jeszcze trudniejsze.

- Zwykle prosiła mnie, żebym przechował ją w moim sejfie. Tym razem zaniósła ją do siostry.

- Zawsze możesz ją o to zapytać - powiedziałem myśląc, w jaki sposób zmienić temat rozmowy.

- Zapytałem ją - stwierdził Werner. - Powiedziała, że może siostra zechce ją nosić podczas naszej nieobecności.

- Masz zatem wytłumaczenie.

- Jej siostra nie chodzi nigdzie, gdzie mogłaby taką biżuterię założyć.

- Więc dlaczego ją do niej zaniósła, jak sądzisz?

- Jeśli Zena zamierza uciec ze Stinnesem, postąpiła w sposób przemyślany. Lubi swoją biżuterię bardziej niż cokolwiek na świecie.

- Lepiej, jeśli Zena nie będzie wiedziała dokładnie, co ma się wydarzyć w piątek - rzekłem.

- Chcesz, żebym odmówił poinformowania jej? - Zauważyłem, że Werner przewiduje walkę, jaką będzie musiał z tego powodu stoczyć.

- Lepiej, żeby żadne z was nie wiedziało - powiedziałem.

- Nie będzie zadowolona z odmowy - rzekł Werner. - Była w tej sprawie od samego początku. Będzie chciała uczestniczyć w akcji końcowym.

- Wymyślimy co mamy jej powiedzieć - stwierdziłem. - Przy okazji, skąd dowiedziałaś się o przybyciu Henry'ego Tiptree?

- Telefonował do mnie. Usłyszałem mnóstwo pochlebstw na temat mojej wspaniałej reputacji. Potem zorganizował spotkanie. Powiedział, że chce zebrać informacje. Zatelefonował jednak później i je odwołał. Ma się skontaktować ponownie.

- Dlaczego odwołał?

- Czy to jest ważne?

- Jestem ciekawy.

- Nie mogę powiedzieć dlaczego. Zena odebrała telefon. Nie podał żadnego powodu, z tego co wiem. Twierdzi, że telefonował tylko i odwołał spotkanie. - Skinąłem głową. - Nie wspominaj o broni przy Zenie. Nienawidzi jej - powiedział.

Zena rozmawiała więc z Tiptree. Albo on rozmawiał z Zeną. Tak czy owak nie podobało mi się to. Jak również to, że trzymali Wenera z dala od sprawy. To była zła kombinacja; pozbawiona skrupułów mała Zena i Tiptree, ambitny dyplomata, próbujący swoich sił w pracy operacyjnej. Byli amatorami. Amatorzy mają utkwiony wzrok w celu zamiast spoglądać przez ramię.

ROZDZIAŁ XXV

Znalezienie *tacherii*, nad którą zawsze unosił się dym z ogniska i do której ustawiała się kolejka oczekujących na świeże *tacos*, nie było trudne. Po drugiej stronie ulicy stały autobusy, które przywoziły pielgrzymów do świątyni Gwadelupy; autokary wszystkich kształtów, rozmiarów i kolorów, od olbrzymich, klimatyzowanych potworów przywożących ludzi z dużych międzynarodowych hoteli z centrum miasta do rozklekotanych starych wraków, dowożących pielgrzymów z drugiej strony gór. Kupującymi *tacos* byli nie tylko uczestnicy pielgrzymek; miejscowi mieszkańcy przychodzili również.

Obok zadymionej *tacherii* znajdowało się miejsce, w którym miałem się spotkać ze Stinnesem. Było to duże, do szopy podobne pomieszczenie z walącym się frontem. Na jaskrawoczerwonej wywieszce niestarannie namalowany i poplamiony napis głosił: „Angel - Sklep z karoseriami?”. Wewnątrz znajdowały się ciężarówki i samochody w różnych etapach naprawy i renowacji. Zawsze świeciło tu intensywne światło i dobiegał przerywany ryk spawarek. Zawsze znalazła się tutaj praca dla doświadczonych mechaników w Mexico City.

Przybyłem wcześniej, przejechałem przez warsztat i zaparkowałem na podwórzu znajdującym się z tyłu. Angel Morales, niski mężczyzna o smutnych oczach, ciemnej skórze, z dokładnie przystrzyżonymi wąsami, wyszedł, żeby sprawdzić, kto przyjechał. - Mam tutaj spotkanie, Angel - rzekłem. - Interesy. - Podałem mu kopertę zawierającą pieniądze.

Skinąłem głową z grobową miną. Był przyjacielem mojego przyjaciela, jednak od czasu kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, stawialiśmy sprawy jak zwykli to czynić ludzie interesu. Wolałem to niż korzystanie z punktów kontaktowych, które pracownicy służb Specjalnych Badań przy ambasadzie by mi udostępniłi.

Wziął kopertę i nie zaglądając do środka wsunął ją do kieszeni swojego tłuszczem poplamionego kombinezonu. - Nie chcę kłopotów - powiedział. Prawdopodobnie były to

jedyne znane mu w języku angielskim słowa, gdyż usłyszałem je również podczas naszych poprzednich dwóch spotkań.

- Nie będzie kłopotów, Angel - rzekłem uśmiechając się szerokim uśmiechem, jaki widywałem u pogodnych mężczyzn o beztróskich umysłach.

Skinął głową i wrócił, żeby obrzucić przekleństwami młodego Indianina wrywającego z tylnej części paskudnie rozbitej ciężarówki kawałek metalu.

Przyjechali dokładnie o czasie. Stinnes prowadził swój samochód. Zatrzymał go na podwórzu nie wyłączając silnika. Werner zajął miejsce kierowcy i zaczekał aż Stinnes wysiądzie, szybko machnął ręką i zaczął się cofać. Nieostrożnie uderzył tylnym zderzakiem w ścianę. Zażenowany zatoczył koło i gwałtownie naciskając pedał gazu odjechał.

Było umówione, że wróci za pół godziny. Zastanawiałem się, czy był zły, że został wykluczony ze spotkania. Szybko jednak odrzuciłem od siebie tę myśl; Werner był profesjonalistą.

Stinnes był ubrany w zielony, tropikalny garnitur, bardzo wypłowiały z powodu częstego prania. Miał zapiętą pod szyję koszulę, nie nosił jednak krawata. Sprawiał wrażenie człowieka roztargnionego, który ubrał się w pośpiechu, wiedziałem jednak, że Stinnes nie jest roztargniony, a sposób, w jaki przeciągał porozumienia dotyczące skaperowania, świadczyły o człowieku, który się nigdy nie spieszył.

Był bardzo poważny, gdy wsiadł do mojego samochodu. - Mam nadzieję, że wszystko w porządku - powiedział przywitawszy się ze mną.

- Jaki rodzaj gry prowadzisz, Erich? - zapytałem. - Chciałbym wiedzieć.

- O jakiej grze mówisz?

- Są różne - odpowiedziałem. - Moskiewska gra, polegająca na tym, że wodzisz nas za nos, by na koniec powiedzieć nie, dziękuję.

- Znam jedynie grę Bernarda Samsona - rzekł. - Robię to, co proponowałeś. Decyduję się na pieniądze, kilka miesięcy przesłuchań i emeryturę w komfortcie.

- A co powiesz o grze Ericha Stinnesa? Zabierzesz pieniądze i znikniesz.- Znajdziesz sposób, żeby temu zapobiec, jestem pewien. W końcu taka jest twoja robota, prawda?

- Co ustaliłeś za moimi plecami z Londynem, Erich? - zapytałem.

- To cię trapi, sposób, w jaki twój własny Departament zachowuje się. Przeciwno mnie nie masz żadnych zarzutów. Dotrzymuję danego słowa.

- Nie posunęliśmy się jeszcze bardzo daleko - podkreśliłem.

- Londyńska gra, o niej nie wspomniałeś - rzekł Stinnes. Nie odezwałem się. Próbowałem rozzłościć mnie, żeby móc coś odkryć. Można się było tego spodziewać. Zachowywałem się tak samo w podobnych okolicznościach.

- Gra londyńska... - rzekł Stinnes. - Ty zostaniesz obarczony winą za wszystkie błędy. Czy na tym polega gra londyńska, panie Samson?

- Nie wiem - odparłem. Byłem zmęczony tą głupią rozmową. Stinnes nie rezygnował.
- Gdybyś zniknął, twoi współpracownicy w Londynie mieliby swojego kozła ofiarnego, którego można by było obarczyć wszystkimi niepowodzeniami, prawda?

- Nie. Będą musieli wyjaśnić wiele spraw - powiedziałem z największą pyszałkowatością, na jaką mnie było stać.

- Nie w wypadku, gdy razem z tobą znikną pieniądze.

- Do czego zmierzasz, Erich? - Starłem się powiedzieć to lekko i sprawiać wrażenie rozbawionego jego sugestią. - Czy do tego, że Londyn zamorduje mnie, spowoduje, że pieniądze ulotnią się, aby wszystko wskazywało, że byłem od wielu lat agentem KGB?

Uśmiechnął się, lecz nie odpowiedział.

- W jaki sposób będzie to pasować do scenariusza? Ja martwy. Pieniądzy nie ma. A gdzie jest Erich Stinnes?

- Dotrzymam moich zobowiązań. Już ci powiedziałem. Czy masz jakiś powód, żeby o tym wątpić? - Podążyłem w ślad za spojrzeniem Stinnesa. W tylnej części dziedzińca ziemia wznosiła się w górę. Na brudnej, białej, pokrytej stiukami ścianie młodzieniec w wypłowiałych dżinsach i czerwonej podkoszulce rozpylał slogan - *La Revolución no tiene fronteras* - rewolucja nie ma granic. Było to hasło popularne w całej Ameryce Środkowej; wszędzie, gdzie można było pozwolić sobie na farbę.

- Jesteśmy wciąż po przeciwnej stronie, Erich. W piątek spotkamy się w innych okolicznościach. Do tego czasu będę traktował cię z największą podejrzliwością.

Obrócił głowę i spojrzał na mnie. - Oczywiście. Może czekasz na gest dobrej woli z mojej strony? Czy o to ci chodzi?

- Podniosłoby to mnie na duchu.

- Chyba nie ten szczególny gest - rzekł Stinnes. Sięgnął do kieszeni i wyjął rosyjski paszport. Dał mi go. Nie byłoby w nim nic nadzwyczajnego - wydany dwa lata temu, miał przekonywające stemple i ośle uszy - gdyby nie to, że zarówno zdjęcie jak i rysopis był mój. Zrobiło mi się zimno.

- Zatrzymaj to - powiedział Stinnes. - Jako upominek. Tylko nie korzystaj z niego. Numery serii zaalarmują policję na granicy. Są również niewidzialne znaki, które oglądane w

świecie fluoryzującym oznaczają telefon do Moskwy. - Uśmiechnął się zapraszając, żebym przyłączył się do uciechy.

- Czy istniał plan porwania mnie?

- Głupi, warunkowy plan, z którego dawno temu zrezygnowano... na mój wniosek.

- Czy nikt nie podejrzewa, że możesz przejść do nas?

- Jeden sfrustrowany głupiec, zbyt jednak często wywołuje wilka z lasu, również w odniesieniu do innych.

- Bądź ostrożny, Erich.

- Czy to miejsce jest bezpieczne? „Sklep z karoseriami Angela”. Czy możemy być pewni, że nie jesteśmy obserwowani?

- Werner zna swoją robotę - powiedziałem. - Podwórce u Angela jest bezpieczniejsze od każdego innego miejsca w tym ponurym mieście.

- Czy zauważyłeś, co ci mężczyźni z dłutami robią - zapytał. - Wycinają numer z silnika ciężarówki. To kryminaliści. Policja prawdopodobnie ten warsztat obserwuje. Byłeś chyba szalony przyprowadzając mnie tutaj.

- Musisz wiele nauczyć się o Zachodzie, Erich. Angel zajmuje się przerabianiem amerykańskich ciężarówek i samochodów, które zostały skradzione w Teksasie i Kalifornii. Gdy po raz pierwszy wszedłem do jego biura, zastałem go nad skrzynią pełną amerykańskich tablic rejestracyjnych, które zostały oderwane od samochodów przed przemalowaniem

- I?

- Nie sądzisz chyba, że może uprawiać ten proceder rok po roku, nie zwracając na siebie uwagi policji?

- Dlaczego nie siedzi w więzieniu?

- Przekupuje policję, Erich. Policjantów nazywają tutaj „kaszający”, a pochodzi to stąd, że regularnie przychodzą po swoje wynagrodzenie. To najbezpieczniejsze miejsce w całym mieście. Żaden gliniarz nie ośmieli się przyjść tutaj i zakłócić naszą rozmowę. Miałby wszystkie siły porządkowe u swojego gardła.- Faktycznie, dużo muszę nauczyć się o Zachodzie - rzekł Stinnes z ironią. Ciekawe dlaczego udawał, że łapówkarstwo i korupcja nie dotknęły bloku wschodniego. Zdjął okulary i zmrużył oczy.

- Ciężko było mi pożegnać się z moim synem - powiedział, jakby myśląc na głos. - Zapytał mnie, czy nie myślałem o ucieczce na Zachód... Nigdy nie pytał o to. Nigdy. To bardzo dziwne, prawie jak telepatia. Musiałem powiedzieć, że nie, cóż miałem zrobić?

Po raz pierwszy zrobiło mi się go żal, starannie jednak ukryłem to. - Spotkamy się na Garibaldi Square - powiedziałem. - Weź taksówkę i udawaj, że chcesz słuchać muzyków.

Pozostań jednak w samochodzie. Bądź o dziewiątej. Czas może się zmienić, jeśli samolot będzie opóźniony. Zatelefonuj pod numer, który ci podam, żeby potwierdzić termin. Ktokolwiek odpowie, poda jedynie godzinę, ale nie miejsce. Ono jest ustalone - Garibaldi Square. Żadnego bagażu. Bądź ubrany tak, żebyś nie wyglądał zbyt podejrzanie w Anglii.

- Będę tam.

- I nic nie mów pani Volkmann.

- Mam nie mówić jej, gdzie spotkam się z tobą?

- Nie mów jej nic.

- Ona pracuje z wami, prawda? Myślałem, że z nią będę podróżował samolotem.

- Nie mów jej nic.

- Czy jesteś pewien, że to ty odpowiadasz za tę operację?

- Przyznam Erichu, jak jeden profesjonalista drugiemu, że ta robota wykończy mnie nerwowo. Masz być nie uzbrojony, rozumiesz? Ja będę miał broń przy sobie. W chwili, gdy stwierdzę obecność dragonów z KGB lub jakikolwiek inny dowód zabezpieczenia z twojej strony, wypalę w tobie dziurę tak dużą, że będzie przez ciebie prześwitywać światło dzienne. Nie zamierzam cię obrazić, Erich, myślę jednak, że lepiej zawczasu cię o tym uprzedzić.

- Jak jeden profesjonalista drugiego - rzekł Stinnes z niemałą dozą ironii. - Doceniam twoją szczerość. - Mówiąc nie patrzył na mnie. Jego wzrok utkwiony był w otwartych drzwiach warsztatu, przy których na ulicy zatrzymał się jeep. Siedziało w nim trzech wojskowych policjantów, wszyscy w mundurach w stylu armii amerykańskiej oraz w pomalowanych na białą hełmach.

Jeden z policjantów wyszedł z jeepa i przeszedł przez podwórze, na którym staliśmy. Długo patrzył prosto na nas. Stinnes przestał mówić, dopóki policjant nie obrócił się i nie wszedł do środka. Obserwowaliśmy go, gdy wchodził do dużej klatki, w której Angel miał swoje biuro. Na zewnątrz klatka oblepiona była zdjęciami dziewcząt, kalendarzami i plakatami turystycznymi; na jednym znajdował się napis: *Hotele Sheraton pozwolą ci ruszać się w rytmie Ameryki Łacińskiej.*

Po kilku minutach policjant pojawił się ponownie, zapinając guzik górnej kieszeni. Gdy jeep odjeżdżał, uśmiechał się do kierowcy.

- W tym mieście wszędzie jest tak samo. Gliniarze żerują nawet na taksówkarzach wożących turystów na lotnisko - powiedziałem. - Każdy musi się opłacać.

Stinnes spojrział na zegarek, żeby stwierdzić, za ile czasu przyjdzie Werner. - Zdajesz sobie sprawę, jak bardzo potrzebna ci jest moja życzliwość, prawda?

- Dlaczego?

- Londyńską Centralę interesuje głównie jedna sprawa. Czy jesteś człowiekiem Moskwy. Jeśli powiem „tak”, będziesz skończony.

- Odkryją, że kłamiesz - powiedziałem spokojnie.

- Może odkryją a może nie.

- W Centrum Przesłuchań nie pracują głupcy - powiedziałem z większym przekonaniem niż faktycznie czułem. - Nie używają wprawdzie narzędzi tortur ściskających kciuki ani elektrowstrząsów, nie stosują nawet diety o chlebie i wodzie, ale odkryją prawdę.

- W końcu może tak. Jednak zbyt późno, żeby mogło to mieć w twoim wypadku jakieś znaczenie.

- Nie wyprowadzą mnie przecież i nie rozstrzelają - powiedziałem.

- Nie, tego nie zrobią. Usuną cię jednak z pracy i skompromitują. Jeśli nawet oczyszczą cię potem z podejrzeń, nie zostaniesz zrehabilitowany i przywrócony na stanowisko.

- Jeśli dojdę do przekonania, że to wszystko jest planem KGB skompromitowania mnie, zabiję cię, Stinnes.

- Znacznie pogorszyłoby to twoje położenie. Gdybym został zabity, byłbyś natychmiast podejrzany. Twoja sytuacja byłaby o wiele mniej korzystna niż w wypadku, gdybym rzucił na ciebie oszczerstwo. Ze mną żywym mógłbyś dyskutować, moje martwe ciało londyńska Centrala potraktuje natomiast jako przekonywający dowód twojej winy.

- Czy tak to sobie wyobrażasz?

- Tak - powiedział. - Chciałbyś coś jeszcze wiedzieć?

- Czy moja żona przyczyniła się do śmierci chłopca w Bosham?

- Dlaczego o to pytasz?

- Muszę wiedzieć - Rozpoznał ją.

- Czy zabiła go?

- Twoja żona... oczywiście, że nie.

- Czy zabito go na jej polecenie?

- Nie tę decyzję podjął ktoś inny. Nie konsultowano jej z twoją żoną.

Patrzyłem na niego pragnąc umieć czytać w jego myślach. - I tak powiesz prawdę.

Widziałem z wyrazu jego twarzy, że można nie zadawać sobie dalszego trudu kontynuowania tematu. Nagle jak gdyby zdał sobie sprawę, że począwszy od teraz musi przyzwyczaić się do wykonywania naszych poleceń, rzekł: - Paweł Moskwin, jeden z naszych ludzi, próbował zdobyć dla ciebie rozgłos.

- Mordując jednego z naszych młodszych pracowników?

- Moskwin używał mojego nazwiska: był w Londynie odgrywając moją rolę. Doszedł do wniosku, że MacKenzie to ty.

- Co?

- Nic nie wiedział o tobie oprócz twojego nazwiska i tego, że chcesz się ze mną skontaktować. Był w Londynie jako ochrona twojej żony. Kiedy przybył MacKenzie, nie mógł powstrzymać się. Udawał, że jest mną.

- Co za fiasko - powiedziałem.

- Moskwin jest wścibskim głupcem. Sądzi, że wszystko jest łatwe. W końcu wolał zabić waszego pracownika niż zameldować, jak wszystko pogmatwał. Nie, twoja żona nie była w to zamieszana. Była wściekła z tego powodu.

Robotnik wytoczył ze sklepu przyczepę z pompą i włączył silnik, który grzmotnął głośno, nim ciśnienie nie wyrównało się. Mężczyzna zaczął lakierować drzwi samochodu. Pistolet do lakierowania syczał głośno, dopóki nie spłynęła na podwórze chmura różowego lakieru.

- Przyjechałeś tutaj za Volkmannami, prawda?

- Powiedziałem jej, że się tego domyślisz. Chronologia jest pierwszym elementem dedukcji.

- Volkmannowie przyjechali tutaj, ty za nimi i pozwoliłeś, żeby odkryli twoją obecność.

- Twoja żona była przekonana, że jej projekt zmusi cię do ucieczki.

- Tak sądziła? - Miałem wątpliwości, czy Fiona rozmawiała na takie tematy ze Stinnesem, czy z kimkolwiek innym. To nie było w jej stylu.

- Uważała, że do tej pory w Centrali londyńskiej żywcem obedną cię ze skóry. Tymczasem wygląda na to, że udało ci się uniknąć kłopotów. Zamiast uciekać na Wschód sprawiłeś, że to ja uciekam na Zachód. To będzie podwójna dla niej porażka, a znajdą się tacy w Moskwie, którzy nie pozwolą jej uniknąć odpowiedzialności. Będzie zła, jak tylko zdolne do tego są kobiety. Zemści się na tobie, Samson. Nie chciałbym być w twojej skórze, gdy będzie szukała zemsty.

- Coś się wygrywa, coś się przegrywa. - Czułem zapach lakieru. Była to kwaśna woń, charakterystyczna dla szybko schnących lakierów.

- Mówisz tak dlatego, że jesteś mężczyzną - rzekł Stinnes.

- Mówię tak dlatego, że jestem profesjonalistą. Tak jak ty i jak moja żona. Profesjoniści nie mszczą się, mają dość problemów z wykonywaniem swojej pracy.

- Może jesteś dobrym agentem - powiedział Stinnes. - Musisz się jednak jeszcze wiele nauczyć o kobietach.

- Jedyna rzecz, jaką mężczyzna wie o kobiecie, to to, że nic o niej nie wie. Pozwól, że cofnę samochód, zanim będzie miał różową chłodnicę.

Włączyłem silnik i odjechałem z drogi szalonemu lakiernikowi.

- Czy nadal kochasz swoją żonę? - zapytał Stinnes.

- Nie - odpowiedziałem. Miałem powyżej uszu zainteresowania wszystkimi moimi uczuciami do Fiony. - Czy nadal kochasz panią Volkmann? - odciąłem się.

Stinnes był zaskoczony. Poruszał głową, jak gdybym uderzył go w twarz.

- Lepiej mi powiedz - rzekłem. - Może mieć to wpływ na nasze plany.

- W jaki sposób?

- Czy chcesz jechać do Anglii z panią Volkmann?

- Ona to zorganizowała. Twój współpracownicy zgodzili się.

- Zgodzili się, o Boże!

- Postawiła im warunek. Ja ją kocham a ona mnie.

- Czy mówisz poważnie, Erich?

- Kocham ją. Nigdy nie byłeś zakochany?

- Nie w Żenie Volkmann.

- Nie próbuj niczego zmieniać. Teraz już na to za późno. Mamy zamiar, razem w Anglii, rozpocząć nowe życie. Jeśli powiesz jej mężowi albo będziesz próbował do tego się mieszać, nie pójdę na współpracę z wami.

- Musisz być cholernym głupcem - rzekłem. - Żeby mężczyzna taki jak ty słuchał słodkich słówek małej oszustki, jaką jest Zena Yolkmann. Chce położyć rękę na twoich pieniądzech. Nie widzisz tego?- To moja sprawa - powiedział zirytowany.

- Miałeś bójkę ze swoją żoną... jej posiniaczona twarz. Czy miało to coś wspólnego z Zeną Volkmann? Nie uderzyłeś jej przecież po to pięścią, żeby wszystko pasowało do scenariusza, prawda?

- Gdy powiedziałem Inge, że jest inna kobieta, wpadła w histerię. Nie chciałem jej zadawać bólu, ale próbowała mnie zabić metalowym pogrzebaczem. - Westchnął. - Zena powiedziała, że muszę żonę o tym poinformować. Nalegała na czyste zerwanie. Twierdziła, że w przeciwnym razie Inge będzie próbowała mnie odnaleźć. W ten sposób natomiast prawdopodobnie zapomni o mnie i powtórnie wyjdzie za mąż.

- Nie powiedziałeś żonie, że masz zamiar uciec?

- Jestem zakochany, ale nie obłąkany. Nie, oczywiście, że jej nie powiedziałem.

- Zachowaj rozsądek również w stosunku do Zeny - rzekłem. - Dam jej bilet na późniejszy od twojego lot. Dołóż starań, żebyś w piątek zjawił się sam. W przeciwnym razie będę musiał pozbyć się Zeny w bardziej brutalny sposób.

Stinnes nie potraktował mojej groźby poważnie. - Sądzę, że każdy turysta wybierający się do Londynu chce zobaczyć Baker Street 21B - powiedział.

- Co się znajduje na Baker Street? - Nim zdążyłem wymówić to pytanie, uświadomiłem sobie, że jest to wymyślony adres Sherlocka Holmesa. - Och tak, oczywiście. Pójdziemy tam razem - obiecałem.

- To jest coś, co chciałem zawsze zobaczyć - rzekł Stinnes. Zanim zdążyliśmy porozmawiać na temat Holmesa, zjawił się Werner w samochodzie Stinnesa. Wysiadł zostawiwszy drzwi otwarte i podszedł do nas.

- Skończyliście? - zapytał. - Czy chcecie, żebym dał wam jeszcze trochę czasu?

Stinnes spojrzał na mnie. - Wszystko omówiliśmy, Werner - powiedziałem. Wsiadając z samochodu Stinnes dotknął czoła salutując. - *Auf Wiedersehen* - powiedział żartobliwie. Zwróciłem uwagę na sposób, w jaki nagle wprowadził do rozmowy temat Sherlocka Holmesa nie obiecując, że Zena nie będzie razem z nim.

- *Sayonara* - rzekłem. Wciąż nie wiedziałem, co o nim myśleć.

- Co cię gryzie? - zapytał Werner usiadłszy obok mnie. Spoglądałem w lusterko czekając aż Stinnes wsiądzie do swojego samochodu i odjedzie. Dopiero wtedy podałem Wernerowi mój rosyjski paszport, żeby go sobie obejrzał. - Święty Boże - powiedział.

- Tak, zamierzali mnie porwać.

- Czy Stinnes temu zapobiegł?

- Chce mieć u mnie kredyt - odpowiedziałem. - Równie dobrze mogli zrezygnować z tego zamiaru w związku z innymi planami.

- W Londynie sądzono by, że zrobiłeś to dobrowolnie. Doskonały pomysł.

- Tak. W Moskwie mają ostatnio wiele doskonałych w związku ze mną pomysłów.

- Myślisz o Fionie?

- Trudno się oprzeć wrażeniu, że to pochodzi od niej. Nie chciałbym jednak mieć na tym punkcie obsesji.

- Czy mówił coś o Zenie? - zapytał Werner.

- Rozmawialiśmy już na ten temat, Werner. Dopilnuj, żeby w piątek Zena była zajęta. Powiesz jej, że nic nie jest jeszcze zaplanowane i zabierzesz ją na długi weekend do Acapulco, gdzie będziecie pływać i opalać się. W piątek rano wyślij ją tam samą, żebyś mógł zabezpieczać mnie na lotnisku wieczorem. Dolecisz do niej późniejszym samolotem.

- Nie przystanie na to, Bernie. Wie, że planowany termin jest bliski.
- Namów ją na kilka dni urlopu. Bądź przekonujący. Wiesz, ile ta sprawa znaczy dla mnie. Muszę mieć Stinnesa w Londynie.

- A ja muszę mieć przy sobie Zenę - powiedział ponuro Werner.

- Stinnes sądzi, że Zena z nim zbiegnie.

- Zbiegnie?

- Wiesz o czyni mówię - powiedziałem.

- Zena nabija go w butelkę. Próbuje ci tylko pomóc, Bernie.

:- Ona jest cholernie przebiegła, Werner. Jest twoją żoną. Wiem. Jest jednak zbyt przebiegła.

Werner nie zaprzeczył temu. - Widziała się z Tiptree - powiedział.

- Widziała się z nim?

- To z nim spotkała się tego popołudnia, kiedy rozmawialiśmy. Poszła na spotkanie z Henrym Tiptree. Powiedziała mi o tym po powrocie.

- Do czego zmierza Londyn? - zapytałem znużony.

- Dlaczego się na to godzisz? Dlaczego nie zobaczysz się z Tiptree? Powiedz mu, żeby przejął całą operację albo trzymał się od niej z dala.

- Myślałem o tym - rzekłem. - Jestem jednak przekonany, że Tiptree powie, że przejmuje operację. Obaj dobrze wiemy, że on może to spartaczyć. Jestem pewien, że Erich Stinnes mówi poważnie. Jeśli zjawi się w piątek, doprowadzę go do tego cholernego samolotu trzymając na muszce, jeśli to będzie konieczne. Albo doprowadzę go do Londynu, albo zginę podczas tej próby. Jeśli przekażę sprawę Tiptree i nie powiedzie się, w Londynie powiedzą, że celowo zrezygnowałem z prowadzenia operacji, ponieważ zależało mi na tym, żeby Stinnes nie dotarł do Londynu.

Werner odwrócił się w drugą stronę i opuścił szybę, jak gdyby nagle zainteresował się czymś innym. Unikał mojego wzroku. Przypuszczam, że zatrwożyła go perspektywa utracenia Zeny.

- Zena nigdzie nie pojedzie ze Stinnesem - obiecałem mu. - Będziesz na lotnisku, Werner. Nawet gdyby próbowała, będziesz mógł ją zatrzymać.

Nie odpowiedział. Włączyłem silnik i objechałem podwórze. Potem przejechałem przez warsztat. Blask płomieni acetylenowego palnika padał na rozbite samochody jak ogień z karabinów tysiąca *paparazzi*. Na zewnątrz stał zaparkowany niebiesko-biały policyjny samochód. Kierowca był w środku i rozmawiał z Angelo.

ROZDZIAŁ XXVI

Garibaldi Square jest dla muzyków meksykańskich tym, czym Archipelag Galapagos dla ludów niecywilizowanych. Nawet w późnych godzinach nocnych plac jest zatłoczony ludźmi a przestrzeń wypełniają dźwięki dwóch lub trzech tuzinów grup śpiewających różne pieśni przy własnym akompaniamencie. Nie jest to muzyka rockowa, pop soul czy muzyka punków; nie słyszy się utworów Elvisa, Beatlesów czy Eltona Johna. To muzyka meksykańska i jeśli ktoś nie lubi jej, musi iść gdzie indziej.

- Byłem tutaj po raz pierwszy dopiero dzisiaj rano. Nie wyobrażałem sobie, że tak to może wyglądać. To jest fantastyczne - rzekł Henry Tiptree, gdy przechodziliśmy obok pięciu muzykantów w poncho i sombrero, śpiewających...*życie jest nic nie warte w Guanajuato...* Tiptree zatrzymał się na moment i słuchał. - Nawet turyści nie zdołali tego zepsuć, prawie każdy jest tutaj Meksykaninem.

- Jest tak właśnie, jakbyśmy sobie tego życzyli - rzekłem. - Hałaśliwie, tłoczno i ciemno. - Oraz smrodliwie. Nieruchome powietrze zamknięte otaczającymi górami wisiało nad miastem chłonąc spaliny i dym palonego drzewa, drażniąc nozdrza i powodując pieczenie oczu.

- Nie działałem przeciwko tobie - powiedział nagle Henry Tiptree.

- Skoro tak twierdzisz - rzekłem. Zatrzymał się, żeby rozejrzeć się po placu. Z każdego kierunku dobiegała muzyka tworząc jednak wrażenie polifonii raczej niż dysonansu. A może przyzwyczailem się tylko do chaosu?

Tiptree nadal rozglądał się po placu. Dotykał palcem wąsów, które nie sprawiały wrażenia, żeby kiedyś miały urosnąć i przemówił z pewnością siebie charakterystyczną dla osób chcących podkreślić swoje znaczenie. - Musisz zrozumieć, że jedynie liczy się to, żebyśmy doprowadzili Stinnesa do Londynu; nic poza tym nie ma znaczenia. Dlatego właśnie londyńska Centrala jest zainteresowana, żebyśmy właściwie to rozegrali.

- Wszyscy jesteśmy zainteresowani - stwierdziłem. - Kto jednak wie, który sposób jest najważniejszy?

- Masz do tego bardzo filozoficzny stosunek - powiedział monotonnym głosem.

- Mam bardzo filozoficzny stosunek do życia - rzekłem. - Miałbyś podobny, gdyby Centrala londyńska kilkakrotnie przykręciła ci śrubę.

- Centrala w Londynie mnie powierzyła kierownictwo - rzekł Tiptree. - Chciałbym, żeby to było jasne, nim zrobimy jakikolwiek dalszy krok. Ty zabierzesz Stinnesa do Londynu, lecz tutaj, w mieście będziemy działać zgodnie z moim planem.

- Jesteś szefem - zgodziłem się. Centrala w Londynie? Kto temu idiocie powierzył kierownictwo - Dicky? Bret? Prawdopodobnie Morgan. Tiptree był w bardzo dobrych

stosunkach z Morganem, zaufanym D-G. Złapał D-G w jakimś słabszym momencie i zdobył jego podpis.

Tiptree rzucił mi podejrzliwe spojrzenie. Zdawał sobie sprawę, że moje wypowiedziane bez zająknięcia potwierdzenie znaczyło bardzo niewiele albo nic. Nie nadstawiałbym karku słuchając poleceń nowicjusza. Zatrzymał się, żeby przyjrzeć się kolejnej grupie muzykantów. Śpiewali pieśń o mężczyźnie, który stracił serce dla dziewczyny z Veracruz. Śpiewaków oświetlała sycząca lampa acetylenowa umieszczona u ich stóp. Wiodący śpiewak, bardzo stary człowiek o twarzy jak orzech włoski i z wąsami *bandido*, śpiewał ładnym basem, w którym słyszalna była emocja. Każdy Meksykanin posiadał namiętą duszę, dlatego miłość lub rewolucja potrafiła zawładnąć całym jego jestestwem; choć tylko na kilka minut, co jakiś czas. - Co zorganizowałeś w sprawie pieniędzy? - zapytałem.

Kątem oka widziałem, że Tiptree przygląda mi się nie mogąc zdecydować się, co odpowiedzieć. - Pani Volkmann spotka się z nami w banku - rzekł w końcu. - Stinnes życzył sobie, żeby jej wypłacono pieniądze.

Z wielkim wysiłkiem powstrzymałem się od podskoczenia w górę i zawycia z wściekłości. Ten idiota dokładniej informował Zenę niż mnie. Bardzo spokojnie zapytałem jednak: - Który bank na Garibaldi Square jest o tej porze otwarty?

- Są więc rzeczy, o których nie wiesz, Samson, co?

Wszedł na chodnik i znalazł *pulgerię*, w której nawet barman wyglądał na pijanego. Fermentujące soki rośliny *maquey* pachniały jak zjełczały olej orzechowy, były jednak najłatwiejszym sposobem zapomnienia i jak w wielu innych barach, z nich pędzono alkohol. Przepchawszy się między Klientami na sam koniec sali, Tiptree otworzył drzwi i przytrzymał je dla mnie. Podążyłem za nim wąskim korytarzem, a on zaczął się wspinać po stromych, skrzypiących schodach w górę.

- Zaczekaj chwilę - powiedziałem. Zatrzymałem się u podnóża schodów i rozejrzałem wokół. Ciemna żarówka oświetlała jedynie przejście prowadzące na zaplecze i do ustępów. - Dokąd idziemy? - Mój głos odbił się echem, gdy zamknąłem za sobą drzwi. Klienci w barze tak hałasowali, że muzyka z Garibaldi Square była ledwo słyszalna. Bardzo nie podobało mi się to miejsce.

- Mam spotkanie ze Stinnesem na placu - zaprotestowałem.

- Nie bądź nerwowy - powiedział Tiptree. - Plan uległ zmianie. Stinnes wie o tym. - Uśmiechnął się uspokajająco; utwierdziło mnie to tylko w przekonaniu, jakim jest głupcem.

Zdawał sobie sprawę jak bardzo byłem urażony zmianą planu oraz tym, że Zena została do niego włączona. - Wszystko zostało zaaranżowane.

Dotknąłem kolby starego pistoletu, żeby upewnić się, że jest na miejscu i poszedłem za nim wąskimi schodami w górę. Pułapka na szczury, budynek nie zabezpieczony przed pożarem, potrzask; było to miejsce takiego rodzaju. Nie podobało mi się coraz bardziej. Szczególnie dla tego rodzaju interesów. Wąskie schody z głęboką studnią, z których człowiek mający w czubie może spaść na łeb na szyję.

Tiptree zatrzymał się na drugim piętrze. Oświetlenie było tu wystarczające, żeby zauważyć, że drzwi są nowe, jako jedyna nowa rzecz w zasięgu wzroku. Nacisnął dzwonek i czekał aż otworzy się w nich mała kłapa. Zjawił się ktoś za nią patrząc wprost na krawat Tiptree z Eton. Ten schylił się i wyszeptał kilka słów, w rezultacie których ustąpiły dobrze naoliwione zasuw.

- Nie lubię niespodzianek - powiedziałem Tiptree. - Umówiłem się ze Stinnesem na placu.

- Posłałem mu wiadomość. Spotka się z nami tutaj. Na placu jest cholernie dużo ludzi.

Kiedy drzwi zostały otwarte przez szczupłego, meksykańskiego chłopca w słomianym kapeluszu, z rondem wywiniętym w kowbojskim stylu, zauważyłem, że wewnątrz drzwi znajdowała się stalowa płyta. Z tyłu stał drugi chłopiec przyglądając się nam z uwagą. Rozpoznał Tiptree i skinął głową.- To jest bank - oświadczył Henry. Znajdowaliśmy się w dużym pomieszczeniu, którego okna wychodziły na plac, żaluzje były jednak opuszczone. Pokój z ozdobnymi wiktoriańskimi tapetami i kinkietami i jasnego mosiądzu miał atmosferę saloonu na Dzikim Zachodzie sprzed wieku... Trzej, prawie identyczni mężczyźni siedzieli przy trzech niemalże identycznych stołach. Mieli na sobie białe koszule bez rękawów, czarne spodnie, czarne krawaty oraz czarne, dobrze wypolerowane buty jak zwykli na całym świecie ubierać się ludzie, ubiegający się o powierzenie im pieniędzy.

Każdy z mężczyzn był wyposażony w tuzin ksiąg, małą kasę, notatnik i japoński kalkulator. Przez uchylone drzwi widziałem drugi pokój, który zajmowały dziewczęta piszące na maszynach o szerokim wałku, gdyż taki stosowany jest w arkuszach rozliczeniowych.

- To kantor wymiany walut - powiedziałem.

- Trzej partnerzy; bracia. Zajmowali się głównie prowadzeniem towarzystwa kredytowego... które oczywiście również prowadziło wymianę pieniędzy. Kiedy rząd znacjonalizował wszystkie banki, otworzyły się dla nich szersze horyzonty.

- Czy to bank legalny? - zapytałem.

- Mówiąc dokładniej, nie jest legalny i nie jest bankiem - odpowiedział Tiptree. - Dla nas jednak jest bardzo odpowiednim miejscem. Spędziłem wiele czasu w Mexico, Samson. Wiem, jak tutaj wszystko funkcjonuje.

Przyjrzałem się mężczyźnie siedzącemu za drzwiami z karabinem między kolanami. Kilkunastoletni chłopcy, którzy wpuścili nas do środka, wyglądali na jego krewnych. Prawdopodobnie był to interes prowadzony przez jedną rodzinę.

Tiptree powitał Zenę. Siedziała na drewnianej ławce i skinęła nam grzecznie na powitanie. Pomimo upału ubrana była w lniany kostium z nalepkami paryskimi, a jej makijaż oraz pantofle na niskich obcasach wskazywały, że wybiera się w podróż. Nigdzie nie było śladu Wenera.

- Czy właśnie tutaj mają znajdować się pieniądze? - zapytałem. Tiptree uśmiechnął się z powodu wątpliwości, jaką usłyszał w moim głosie.

- Nie daj się zwieść pozorom. Ćwierć miliona dolarów to bagatelka dla tych ludzi, Samson. Mogliby w ciągu godziny wyrzucić na podłogę dziesięć milionów, w jakiegokolwiek głównej walucie.

- Rozumiem, że wszystko zostało uzgodnione - powiedziałem.

- Ty pracujesz mięśniami, ja rozumem - rzekł Tiptree nie wysilając się zbytnio, żeby przekonać mnie, że żartuje.

Wymienił grzeczne w angielskim stylu powitanie z jednym z partnerów i formalnie przedstawił mnie. Najstarszy partner nazywał się Pepe, był mężczyzną o miękkim głosie i białych włosach, ospowatej twarzy, z kieszenią pełną długopisów. Tiptree powiedział mu, że pieniądze mają zostać wypłacone Zenie. Spojrzałem na nią i uśmiechnęła się.

Gdy byli gotowi, żeby liczyć pieniądze, Zena podeszła do stołu i przyglądała się mężczyźnie układającemu na stole stosy banknotów studolarowych. Podeszedłem, aby widzieć to również. Były zużyte, po dwieście pięćdziesiąt w każdym grubym pliku.

Każdy z nich związany był mocną czerwoną taśmą, do której dołączono skrawek papieru z zapisaną kwotą 25000 \$. Było ich dziesięć.

Może w innym banku i innym mieście pieniądze tak zapakowane zostałyby po prostu przekazane. Znajdowaliśmy się jednak w Mexico, a ci mężczyźni byli przyzwyczajeni do braku zaufania, jakie wieśniacy okazywali bankierom. Wszystkie pieniądze musiały być ponownie przeliczone, banknot po banknocie. Pomimo grzebania się Pepe, zajęło to zaledwie kilka minut.

Skończywszy przeliczanie, Pepe otworzył szafkę, ażeby wyjąć pudełko na pieniądze. Było tam wiele innych pudełek o różnych kształtach i rozmiarach. Z boku widniał napis -

Filety anchois - 50 puszek - 2 uncje. Ciekaw byłem, kto pierwszy odkrył, że pięćdziesiąt puszek *anchois* zajmuje dokładnie tyle miejsca co ćwierć miliona dolarów. Albo odwrotnie.

Prawdopodobnie powinienem był zwrócić większą uwagę na nerwowe zachowanie Pepe i niezdarny sposób, w jaki liczył banknoty, zbyt jednak pochłaniała mnie myśl o odejściu Zeny z pieniędzmi przed przybyciem Stinnesa. Spojrzałem na zegarek oraz na zegar wiszący na ścianie. Stinnes spóźniał się. Coś było nie tak. Cała moja zawodowa intuicja podpowiadała mi - uciekaj, uciekaj natychmiast. Jednak zostałem.

Kiedy Pepe zaklejał taśmą pudełko, Zena podeszła do okna. Podniosła żaluzję, żeby wyrzucić na plac i właśnie w tym momencie Pepe kazał mnie i Tiptree położyć ręce na głowę.

- Przykro mi - powiedział, a na jego bladej twarzy, pokrytej wczorajszym zarostem malował się wyraz strapienia i zgryzoty. - Robię tylko to, co muszę.

Tiptree pomimo doskonałej znajomości hiszpańskiego nie zrozumiał miękko wydanej przez Pepe instrukcji.

- Połóż ręce na głowę - powiedziałem. - Rób co mówi. Wydawało mi się, że nadal Tiptree nie zrozumiałby polecenia, gdyby nie zobaczył, że kładę ręce na głowę. - Ktoś przybył tu przed nami.

- Twój przyjaciele? - zapytał Tiptree rozglądając się po pokoju.

- Bardzo bym chciał, żeby tak było - odparłem. Nie miałem jednak czasu na głupie podejrzenia Tiptree. Próbowałem ustalić, jaką rolę odgrywa mężczyzna z karabinem i czy dwaj chłopcy są uzbrojeni.

Zena również trzymała teraz ręce na głowie. Została odciągnięta od okna, żeby jej cień na żaluzji nie został zauważony przez kogoś na ulicy. - Co się dzieje? - zapytała.

W tym momencie z sąsiedniego pokoju wyszedł krępy mężczyzna w ciemnym garniturze. Był razem z meksykańskim chłopcem trzymającym karabin maszynowy. Nie przepadam za tego typu bronią, szczególnie za takim jak ten egzemplarzem.

Patrząc na chłopaka z pistoletem doszedłem do wniosku, że szansa na przeżycie po wykonaniu jednego fałszywego ruchu była równie niewielka jak pozostanie suchym obrzuciwszy stekiem przekleństw ogrodnika podlewającego ogród. Przyjrzałem się dokładnie broni. Był to model 25, czeskiej konstrukcji, pochodzący z czasów nim wprowadzono broń radziecką. Tania, stara strzelba; chłopcu sprawiało jednak przyjemność wymachiwanie nią i trzymał ją wycelowaną w nas, żeby w razie potrzeby mieć ułatwione zadanie.

Przypomniałem sobie, że widziałem mężczyznę w ciemnym garniturze w nocy, w domu Biedermanna. Był to towarzysz Stinnesa, człowiek, który nazywał siebie Pawłem Moskwinem, „fink”, mocno zbudowany, pięćdziesięciolatek, krótko przystrzyżony, o

wyglądzie poborca podatkowego. - Ty - zwrócił się do mnie swoim łamanym niemieckim - powiedz swoim przyjaciołom, że nic się im nie stanie, jeśli będą wykonywać moje polecenia.

- O co chodzi? - zapytałem.

Spojrzał na mnie, jednak nie odpowiedział. - Powiedz im - powtórzył.

Tiptree i Zena słyszeli sami. - Czy to twoja robota, Samson? - zapytał Tiptree.

- Nie bądź głupcem - odparłem. - To zabezpieczenie KGB. Czekają na Stinnesa. Mogą się nas pozbyć, jeżeli będziemy przeszkadzać.

- Co zrobią? - zapytał Tiptree. - Czy zamierzają go zabić? Zadrzałem. Mogliśmy jedynie czekać, by przekonać się o tym.

Zadzwęczał dzwonek u drzwi i Moskwin skinął głową, żeby Pepe odsłonił judasza w drzwiach.

Pepe wyjrzał i po krótkiej wymianie słów stwierdził, że jest to kobieta pragnąca wymienić banknot jednodolarowy na monetę meksykańską.

- Znasz ją? - zapytał Moskwin Pepe.

- Wielu ludzi prosi o wymianę, kelnerzy, pracownicy hotelowi, sklepikarze. Nie znam. Niewiele dostrzegłem przez wziernik.

- Powiedz jej, żeby przyszła jutro. Wy tłumacz, że skończyła ci się gotówka..- Hiszpański Moskwin był jeszcze gorszy od niemieckiego. Żeby otrzymać pracę w radzieckiej służbie zagranicznej z tak niewielką zdolnością do języków, musiał być lojalną podporą partii.

Pepe odesłał kobietę i wszyscy czekaliśmy dalej. Była to wojna nerwów. Moskwin dobrze to obmyślił. Pozycja była idealna. Miał wszystkie niezbędne dowody, żeby przygwoździć Stinnesa a rozegrawszy to w ten sposób, zyskiwał również dolary. Niczego bardziej KGB nie lubiło nad utarcie nam nosa.

Przeklinałem Tiptree za zmianę spotkania. Moskwinowi nie byłoby tak łatwo na ciemnym zatłoczonym placu.

Spojrzałem na Pepe. Prowadząc taki interes niewątpliwie musiał mieć powiązania z partią komunistyczną. Prawdopodobnie KGB obserwowało Tiptree, gdy przyszedł tutaj umówić się w sprawie pieniędzy.

Cała sytuacja była zagadkowa. Zastanawiałem się, czy starszy człowiek był strażnikiem banku. Nie sądziłem, żeby Moskwin mógł przyprowadzić go z sobą, gdyż nie był dostatecznie mocny. Ze sposobu, w jaki trzymał dubeltówkę, domyśliłem się, że Moskwin usunął z niej naboje. Przygnębienie zaś na twarzach chłopców i zazdrość, z jaką spoglądali na karabin maszynowy, upewniły mnie, że byli nie uzbrojeni. Poradziłem sobie ze starszym

mężczyzną i chłopcami. Poradziłbym sobie prawdopodobnie również w tym samym czasie z Moskwinem, jednak pistolet maszynowy przeważał szalę.

Trzymałem ręce na głowie i próbowałem sprawiać wrażenie bardzo przestraszonego. Nie było to trudne, szczególnie gdy zobaczyłem, jak dzieciak z karabinem maszynowym wymachuje nim i czule gładzi cyngiel. - Nikomu nie wolno się ruszać - rozkazał Moskwin. Powtarzał to często, w międzyczasie spoglądając na zegarek. - Trzymajcie się z dala od okien.

Pepe opuścił ręce i wyjął chusteczkę, żeby wytrzeć sobie nos. Moskwin to zirytowało. Zdzielił Pepe z tyłu z siłą, która rzuciła go na kolana. - Następna osoba, która ruszy się bez pozwolenia zostanie zastrzelona - obiecał i mściwie wymierzył Pepe kopniaka dla podkreślenia przestrogi.

Było ich więc tylko dwóch i wyglądało na to, że nie pracowali przedtem z sobą. Jeden pistolet maszynowy i prawdopodobnie jakaś broń krótka w kieszeni Moskwin. Jedna osoba przeciwko nim miała niewielkie szanse.

Rozejrzałem się wokół myśląc co zrobić, gdy Stinnes zadzwoni do drzwi. Będą musieli otworzyć, gdyż w przeciwnym razie stalowe wzmocnienie da mu osłonę i zabezpieczenie. Zastanawiałem się, czy mają kogoś w barze lub na ulicy, kto zauważy przybycie Stinnesa. Zatłoczony bar idealnie się do tego nadawał.

Spojrzałem na trzech partnerów, na trzech strażników i dwie urzędniczki, które przyprawiono z sąsiedniego pokoju. Wszyscy trzymali ręce nad głowami, zachowywali się spokojnie i biernie, co tak bardzo różni mieszkańców Ameryki Łacińskiej od mówiących językiem hiszpańskim Europejczyków.

Gdy rozmyślałem nad tym problemem, usłyszałem trzaśnięcie drzwi na dole. W normalnej sytuacji kroki na schodach nie byłyby słyszalne, jednak warunki nie były normalne, każdy w pokoju był napięty.

Chłopiec z karabinem maszynowym odciągnął rygiel przygotowując broń do strzału.

Głuchy trzask oznaczał, że zaczep spustowy znalazł swoje miejsce w ryglu. To wystarczyło, żeby poruszyć odpowiednie mechanizmy w umyśle Zeny. - Obiecałeś! - krzyknęła. - Obiecałeś nie zranić go!

Zwracała się do Moskwin, lecz on uśmiechał się tylko, nawet nie patrząc w jej stronę. A więc było to tak: Moskwin kontrolował wydarzenia za pośrednictwem Zeny. Ona sama nie była materiałem na agentkę KGB; wiadomo co zamierzała osiągnąć - pudełko z pieniędzmi. Dobrze pomyślane, Moskwin, ale jeśli cała ta koncepcja nie zrodziła się w głowie mojej żony Fiony, gotów byłem zjeść wszystkie pieniądze banknot po banknocie.

Usłyszeliśmy kroki na górę, które zatrzymały się na piętrze. - Obiecałeś - powiedziała Zena. Złość obezwładniła ją. - Powiedziałam ci, że go kocham. - Zesztywniała uświadamiając sobie całkowitą obojętność Moskwin, a jej twarz pod ostrym makijażem posiniała z wściekłości.

Ani Moskwin, ani człowiek z karabinem maszynowym nie przejmowali się Zeną. Utkwili oczy w drzwiach, w których spodziewali się za moment ujrzeć Stinnesa.

Istnieje zawsze szansa nie mieszcząca się w granicach prawdopodobieństwa. Jedyna rzecz, której nie wziąłem pod uwagę, to możliwość zakochania się Zeny w Stinnesie. Z jej osobowości przebijała silna rysa romantyzmu i stara pruska uczciwość każąca jej notować każdą stłuczoną filiżankę. Zena pozwoliłaby, żeby Stinnes został zdradzony, nie mogła się jednak zgodzić, żeby został zabity.

Nie zważając na karabin maszynowy, rzuciła się przez pokój jak kula armatnia w ludzkiej postaci. Zderzyła się z chłopakiem kopiąc go i drapiąc paznokciami. Schylił się i niewiele brakowało a przewróciłby się w momencie ataku, potem z hukiem oboje wpadli na ścianę... Próbując obronić się przed jej paznokciami upuścił karabin, by chwycić ją za rękę. Rozdzierający huk wystrzału rozległ się w pokoju, gdy karabin wypalił pod wpływem wstrząsu. W tym czasie paznokcie Zeny dosięgły twarzy chłopca, który wyjął z bólu prosił o litość. Bał się jej i słychać to było w jego krzykach. Ona, zachęcona jednak puściła go tylko na moment, by chwycić za długie włosy i uderzyć jego głową o ostry kant szafki.

Gdyby Moskwin sięgnął do kieszeni po pistolet albo podniósł karabin maszynowy, odzyskałby panowanie nad sytuacją. Użył jednak swoich ogromnych pięści. Działał impulsywnie jak człowiek, który całe swoje życie korzystał z siły pięści, w znaczeniu dosłownym i przenośnym. Wymierzył małemu ciału Zeny potężny cios w nerki i poprawił bijąc lewą ręką w głowę.

Ciosy lądowały ze ściskającą za serce siłą. Odniosły efekt; wyeliminowały małą Zenę. Nie była całkiem przytomna upadając na podłogę z rozrzuconymi rękami. Moskwin nie mógł sobie odmówić kopnięcia jej. To jednak wiązało się z upływem czasu. Było go mnóstwo; wcisnąłem swój pistolet z powrotem za pas widząc, że Tiptree wyjmując z kieszeni mały automat Browninga i z imponującą szybkością dwukrotnie strzela do Moskwin. Pierwsza kula chybiła; słyszałem, jak odbiła się rykoszetem o maszynę do pisania w sąsiednim pokoju; drugi strzał trafił Moskwin w nogę. Moskwin przestał kopać Zenę i wrzasnął. Miałem rację, że był amatorem. Udowadniał właśnie, że amator jest tylko wtedy sprawny, gdy wszystko przebiega dla niego pomyślnie. Ranny, stracił zainteresowanie zabiciem Stinnesa. Przestały obchodzić go pieniądze i chłopak z twarzą postrzępioną paznokciami Zeny oraz czaszką

rozciętą o ostry kant szafki. Nie interesował go nawet karabin maszynowy leżący na podłodze.

Meksykanie nie poruszyli się, nadal trzymali ręce na głowach, a twarze ich pozbawione były wyrazu. Położyłem z powrotem ręce na głowę. Nie było sensu ryzykować życia; przygotowywałem się na dalszy rozwój wydarzeń przesuwając się wolno w kierunku karabinu maszynowego, aby postawić na nim stopę. To była karta atutowa.

Moskwin opadł na krzesło zaciskając dłońmi obfite krwawienie. Pochłonięty swoim bólem pragnął, żeby wszystko się skończyło. Ścisnął rękami ranną nogę jęcząc i płacząc z bólu. Ból nie mógł być wielki, przestraszył się go jednak. Prawdopodobnie wmówił sobie, że umrze. Nawet ludzie bardzo odporni na widok krwi, mogą być bardzo przejęci ujrawszy swoją własną.

Tiptree znalazł dość czasu, żeby rozejrzeć się wokół i sprawdzić gdzie jestem. - Otwórz drzwi - powiedział do mnie z wyższością graniczącą niemal z pogardą. - I zdejmij ręce z głowy. Wszystko skończone. - Gdy nie zareagowałem dostatecznie szybko, spojrzał w dół, na moją stopę i karabin maszynowy dodając: - Och, masz go, to dobrze.

- Muszę iść do szpitala - stwierdził głośno Moskwin - wykrwawię się na śmierć.

- Zamknij się - rzekłem.

Pomimo zmienionej sytuacji Meksykanie nadal trzymali ręce na głowach. Nie zamierzali ryzykować. Podniosłem karabin maszynowy, podszedłem do drzwi i wyjrzałem przez judasza spodziewając się zobaczyć Stinnesa. Zamiast niego mały dzieciak wyszeptał: - Mam wiadomość. Tylko dla *Senora* Samsona.

- To ja jestem *Señor* Samson - powiedziałem.

Dzieciak przez dłuższą chwilę przyglądał mi się nie mogąc się zdecydować, czy powierzyć mi swoją ściśle strzeżoną wiadomość. Wyszeptał w końcu:

- Pański przyjaciel czeka na pana na placu, w umówionym miejscu.

- Dziękuję ci - powiedziałem.

- Ma mi pan dać sto pesos - rzekł. Stinnes wiedział, co zrobić, żeby wiadomość została przekazana. Podałem dziecku banknot przez judasza.

- Muszę iść do szpitala - powiedział Moskwin. Mówił niższym, mocniejszym głosem, jak gdyby powróciło mu trochę pewności siebie.

- Jeśli powie jeszcze jedno słowo, zastrzel go - zwróciłem się do Tiptree po angielsku.

- W kostnicy nie będą mu zadawać pytań.

Tiptree skinął głową z powagą. Myślę, że zrobiłby to z ochotą; nigdy nie można być niczego pewnym, gdy ma się do czynienia z takim entuzjastą jak Tiptree.

Moskwin zamilkł nagle. Z pewnością na tyle rozumiał angielski, żeby wiedzieć, jak należy się zachowywać.

Były właściciel karabinu maszynowego siedział na podłodze zalany krwią. Nie był całkiem przytomny i z bólu miał zamknięte oczy. Odkrył, że szafka może okazać się potężną bronią.

- Co dalej? - zapytał Tiptree. Głos miał piskliwy. Był podniecony i nadmiernie pewny siebie, gdy nadal wymachiwał pistoletem.

- Zostaniesz tutaj i dopilnujesz, żeby nikt nie ruszał się, dopóki nie zatelefonuję do ciebie, wiesz skąd.

- Chwileczkę - rzekł Tiptree, a w jego głosie pojawiła się nagła troska. - Trzeba to wszystko uporządkować. Rosjanin postrzelony, Meksykanin poważnie zraniony, nieprzytomna dziewczyna. Może przyjąć policja. Jak wytłumaczę posiadanie broni?

Wykręciłem numer oficera frachtowego na lotnisku. Natychmiast zgłosił się Werner. - Tu wszystko gotowe - powiedział. - Czy u was wszystko w porządku?

Spojrzałem na Zenę. Nie było powodu, żeby go alarmować; nie mógł nic zrobić. - Jak dotychczas, dobrze - powiedziałem odkładając słuchawkę. Tiptree wyjaśniłem: - Powodzenie tej operacji zależy będzie od tego, czy doprowadzimy naszego człowieka do Londynu. Nic poza tym nie liczy się. Sam mi to powiedziałeś. Londyn polega na tobie - nie zawieź jego nadziei. Podam ten numer komuś, kto zatelefonuje do ciebie, gdy bezpiecznie będziemy już w powietrzu. W międzyczasie trzymaj ich tutaj. To jest twoja wielka szansa. Są bardzo niebezpiecznymi agentami.

- Ja pójdę, a ty zostaniesz - zaproponował Tiptree.

- Nie wiesz, gdzie umówiłem się z naszym przyjacielem - powiedziałem.

- A ty nie powiesz mi - rzekł Tiptree.

Nie trzymałem się, żeby odpowiadać na to pytanie. Spojrzałem na nich. Ten głupi prostak Moskwin, ze zwiniętą nogawką spodni i przewiązany przez nogę krawatem w celu zatamowania krwotoku, trząsał się o swoje życie. Były posiadacz karabinu siedział na podłodze jęcząc, z zamkniętymi oczami, tamując krew na swojej pokaleczonej twarzy i głowie dużymi garściami chusteczek higienicznych.

I drobna Zena, zdumiewająca kula armatnia, której nigdy nie zrozumieć. Typowe dla niej było to, że odzyskując przytomność badała palcami rozdarcia i poprute szwy swojej drogiej sukienki z Paryża.

Nawet Tiptree poradzi sobie z tymi „groźnymi agentami”. Nie zamierzałem zostać tak długo, żeby przekonać się, jak będzie radzić sobie z policją.

- Masz rację - rzekł Tiptree uśmiechając się nagle. Szczęśliwie adrenalina zaćmiła jego sąd a zarozumiałość dokończyła dzieła. - Zajmę się tym! Powiedz w Londynie, że mój raport nadejdzie właściwą drogą.

- Powiem.

* * *

Wyszedłem tylnym wyjściem na podwórze i wdrapawszy się po stosie skrzynek z piwem pokonałem ścianę, z której zeskoczyłem na aleję, na wypadek, gdyby inny przyjaciel Moskwin siedział w barze. Stinnes czekał w taksówce na rogu. Otworzył drzwi, a ja wślizgnąłem się obok niego. Spodziewałem się, że natychmiast zapyta o Zenę, on powiedział jednak: - Skąd to spóźnienie? - Nachylił się do kierowcy. - Na lotnisko - poprosił. Kierowca włączył silnik.

- Od strony frachtu - dodałem. Upuściłem pudełko z pieniędzmi na kolana Stinnesa, który po chwili, uświadomiwszy sobie co zawiera, odstawił je na bok nawet go nie otwierając.

- Nie chcę pieniędzy - powiedział, jak gdyby myślał nad tym od dłuższego czasu. - Nie robię tego dla pieniędzy.

- Wiem, że nie - rzekłem. - Pomimo to weź je. Nie będziesz miał najmniejszych trudności z pozbyciem się ich.

Taksówka odjechała od krawężnika, początkowo powoli, żeby nie przejechać wędrownych muzykantów i hulak. Stinnes opadł na siedzenie. Pomyśleć, że byłem gotów pod groźbą pistoletu przeszkodzić mu w popędzeniu za umiłowaną Zeną.

- Po stronie frachtu - rzekł Stinnes. - Kolejna zmiana planu. Jaki nowy pomysł pojawi się, gdy przybędziemy na miejsce? Autobus do Los Angeles?

- Być może - odparłem.

- Spóźniłeś się - stwierdził patrząc na zegarek.

- Pojawił się twój znajomy, Moskwin. Najwyraźniej nie mógł znieść rozłąki z tobą.

- Moskwin - powiedział Stinnes. - Wczoraj zastałem go, jak przetrząsał moje biurko. Oczywiście niczego nie znalazł, powinienem jednak powiedzieć ci o nim.

- Twoja przyjaciółka wszystko mu przekazała. Wszystko.

- Rozmawiała z Moskwinem?

- Z jakiego innego powodu przyszłaby tam? - Na to pytanie były jeszcze inne odpowiedzi, jednak Stinnes nie wiedział o nich. Nie był to odpowiedni moment, żeby opowiedzieć mu o tym, jak ryzykowała dla niego życie.

Milczał, gdy przejeżdżaliśmy przez Garibaldi Square. Przy skrzyżowaniu przechylił się na bok i schylił głowę, żeby spojrzeć na „bank”. Może musiał zobaczyć budynek i światło przedostające się zza opuszczonych żaluzji, żeby oswoić się z myślą o zdradzie Zeny. - Miałaś co do niej rację - powiedział ze smutkiem. - Odgadłem to z wyrazu twojej twarzy, kiedy powiedziałaś, jakim jestem głupcem. Pomogłeś mi to zrozumieć.

Ruch uliczny był bardzo duży, przewidziałem jednak możliwość zwłoki a nawet stanie w korku ulicznym. Ruch zwolnił, a następnie zupełnie zatrzymał się. Połykacz ognia pracował nadal. Dmuchał językiem ognia w powietrze; było ciemno i płomień oświetlił wszystkie samochody odbijając się w polakierowanych karoseriach i błyszcząc we wszystkich szybach.

- Niektórzy ludzie robią wprost fantastyczne rzeczy, żeby zarobić na życie - rzekł Stinnes. Opuścił szybę i wręczył dziecku zbierającemu pieniądze dwieście pesos.

Kiedy ruch został wznowiony, wyjął z kieszeni małe, czarne cygaro i włożył je do ust. Gdy przeszukiwał kieszenie, obserwowałem go uważnie, wyjął jednak tylko pudełko zapalek.

- Powiedz mi - poprosiłem - czy podobnie jak chłopca z wiadomością, to ty przysłałeś tę starą kobietę? - Podziwiałem tę nadzwyczajną ostrożność. Tak postępuje każdy prawdziwy profesjonalista.

Zapałił małe cygaro z wyszukaną uwagą, równą tej, jaką mężczyzna mógłby poświęcić jedynie podwójnej whisky.

- Tak, wysłałem również staruszkę. - Wydmuchał dym i samochód wypełnił mocny zapach nadmiernie dojrzałych liści tabaki, które Stinnes lubił. - Tak - powiedział - chciałem wiedzieć co się dzieje. Nie miałem zamiaru iść na górę. Żaluzje były zaciągnięte, wąskie schody, zatłoczony bar. Nie wyglądało to zdrowo. Co się stało?

- Nic wielkiego - rzekłem. - Moskwin jest urzędnikiem, prawda?

- Tak - odparł Stinnes. - Nie cierpię urzędników.

- Ja również - powiedziałem z przekonaniem. - Są cholernie niebezpieczni.

„KB”